

PAUL CARSON

OSTATNI DYŻUR

Jack pojawił się na miejscu zbrodni pierwszy, zaraz po tym, jak zastrzelono Sama Lewinsa. Usłyszał echo dwóch wystrzałów dochodzące z głębi korytarza i sprintem dopadł drzwi własnego pokoju, ale zobaczył jedynie połę rozwianego białego fartucha znikającego za najbliższym narożnikiem. Wpadł do gabinetu szefa i zastał go leżącego na podłodze w kałuży krwi, z pomiętymi dokumentami trzymanymi wciąż w drgających spazmatycznie palcach. Utulił umierającego w ramionach, usiłując gorączkowo ocenić sytuację, i szybko wezwał zespół ratunkowy. Stał potem w tłumie gapiów przed salą operacyjną, wciąż pokryty krwią Lewinsa, podczas gdy jego koledzy starali się ratować życie profesora. Ale pomimo zastosowania kroplówek, preparatów krwiozastępczych i leków zmniejszających obrzęk mózgu profesor wydał ostatnie tchnienie i został oficjalnie uznany za zmarłego. Trzydzieści minut później ochrona zamknęła i zabezpieczyła teren całego szpitala. Po kolejnej godzinie przebranie zabójcy zostało odnalezione w pomieszczeniach pralni na parterze.

OSTATNI DYŻUR

wra.MajlepszyPrezent.PL

TWOJA KSIĘGARNIA INTERNETOWA

Zapoznaj się z naszą ofertą w Internecie i zamów, tak jak lubisz:

BBOj sklep@NajlepszyPrezent.pl UU-WUj +48 61 652 92 60 U +48 61 652 92 00

Publicat S.A., ul. Chlebowa 24, 61-003 Poznań książki szybko i przez całą dobę • łatwa obsługa ■ pełna oferta ■ promocje

11

Przełożył z angielskiego Robert J. Szmidt

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału Finał Duły

Opracowanie graficzne Mariusz Banachowicz

Ilustracja na okładce © Duncan Babbage

Konsultacja medyczna Krzysztof Smolarek

Copyright © Paul Carson 2000

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany ani przesyłany za pośrednictwem urządzeń mechanicznych bądź elektronicznych. Niniejsze zastrzeżenie obejmuje również fotokopiowanie oraz przechowywanie w systemach gromadzenia i odtwarzania informacji.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

For the Polish edition © Publicat S.A., MM1X

ISBN 978-83-245-7740-8

Wydawnictwo „Książnica”

40-160 Katowice

Al. W. Korfantego 518

oddział Publicat S.A. w Poznaniu

tel. (032) 203-99-05

faks (032) 203-99-06

e-mail: ksiaznica@publicat.pl

www.ksiaznica.com

Wydanie pierwsze Katowice 2009

PODZIĘKOWANIA

Chicago

Dr Sean Callan jest psychiatrą, dramaturgiem i felietonistą „Irish Medical Times”. To on przedstawił mi swoje przepiękne miasto, oprowadzając po miejscach uroczych, takich sobie, a nawet odrażających. Dr Callan wyjaśnił mi meandry północnoamerykańskiej opieki medycznej i wprowadził w jej techniczne detale. Tworzenie tej książki bez jego pomocy trwałoby o wiele dłużej i byłoby okupione znacznie większym wysiłkiem.

Podziękowania należą się także: dr Clair Callan, wiceprezes Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego, Arniemu Swerdlowowi, ordynatorowi oddziału chirurgicznego North Chicago VA, Bruce'owi Bergelsonowi, lekarzowi z Rush North Shore Hospital, i zespołowi z oddziału kardiologicznego tego samego szpitala, Johnowi Barretto-wi, dyrektorowi oddziału urazowego Cook County Hospital, Edowi Donoghue, ekspertowi medycyny sądowej hrabstwa Cook (jedna jedyna wizyta, którą złożyłem pewnego mglistego październikowego poranka na jego oddziale, wystraszyła mnie jak jasna cholera).

Dublin

Liam Mulligan, szef pilotów z Airlinik Airways, pokazał mi, jak się steruje cesseną 340, natomiast David Sheppard, szef pilotów z Irish Air Transport, podzielił się ze mną swymi doświadczeniami z lotów nad Ameryką Północną. Dziękuję również Michaelowi McGrathowi, menadżerowi lotniska Knock w Irlandii.

Wszystkim wyżej wymienionym dziękuję za czas mi poświęcony i wiedzę, którą podzielili się ze mną tak szczerze.

Wszystkie błędy, jakie zakradły się do tego tekstu, powstały z mojej wyłącznie winy.

Paul Carson, sierpień 2000 Dublin

ROZDZIAŁ 1

Doktor Jack Hunt usiłował sformułować treść rezygnacji, gdy jego zabójczyni wchodziła do budynku.

Z laminowanej plakietki, którą miała przypiętą do kieszonki nie pierwszej świeżości lekarskiego fartucha, można było wywnioskować, że nosi nazwisko dr E. Berenski i jest starszym asystentem na kardiologii inwazyjnej chicagowskiego Szpitala imienia Cartera. Fałszywej tożsamości, jak i przebrania dostarczył jej człowiek z zewnątrz. Prawdziwe nazwisko tej kobiety brzmiało Kate Hanzek, była trzydziesto-dwuletnią płatną zabójczynią, ściągniętą aż z Denver do wytropienia i zlikwidowania celu. Aby przeniknąć na teren szpitala, wyczekała, aż przed wejście na izbę przyjęć Cartera podjedzie z piskiem opon kolejna karetka, i wmieszała się w tłum śpieszących się zakrwawionych ludzi towarzyszących bezwładnej ofierze.

Przewieszony przez szyję stetoskop, granatowa koszulka wyzierająca spod białego fartucha; wyglądała jak typowa lekarka pogotowia.

— Z drogi, zejdźcie mi, do cholery, z drogi — krzyczał jeden z sanitariuszy. — Ten dzieciak wykrwawia się na śmierć!

Nikt nie zauważył wejścia Hanzek. Nikt na nią nie zwracał uwagi, oczy wszystkich były zwrócone na rany nastolatka odniesione pod kołami skradzionego samochodu, który rozbił się w pobliżu jednego z wielu placów budowy, jakie pojawiły się ostatnio w mieście.

— Jest w szoku. Nie mogliśmy uzyskać dostępu do żyły! — krzyknął drugi z sanitariuszy, gdy masywne drewniane drzwi prowadzące na salę operacyjną otworzyły się na całą szerokość. — Klatka piersiowa mu się zapada.

9

Zespół chirurgów przystąpił do akcji. Podciągnięto bliżej stelaże kroplówek, dreny i maskę tlenową.

— Podajcie mu litr krystaloidu, potrzebujemy krwi do ustalenia grupy i na próbę krzyżową. — Gorączkowo rzucane polecenia wypełniły przestrzeń, gdy lekarze przystąpili do stabilizowania stanu zmasakrowanego ciała.

Szpital imienia Cartera posiadał największy oddział pediatrii urazowej. Ulokowany w narożnym budynku przy Zachodniej Harrison, w samym środku dzielnicy najlepszych placówek medycznych Chicago, miał się

czym pochwalić. Ale także tutaj, jak w każdej wielkiej instytucji, dochodziło do nieustannej wymiany personelu. Nowe, obce twarze pojawiały się i znikwały równie często jak karetki przywożące kolejnych rannych z południowej i zachodniej części aglomeracji, zarówno z centralnych dzielnic, jak i z przedmieść. Dlatego Kate Han-zek nie miała najmniejszych problemów z przeniknięciem do wnętrza placówki prosto z ulicy.

Na dziewiątym piętrze, gdzie mieścił się oddział kardiologiczny, Jack Hunt z wielkim wysiłkiem starał się dobrać odpowiednie słowa.

Drogi profesorze Lewins, z wielką niechęcią wyrażam niepokój co do praktyk stosowanych na oddziale kardiologicznym...

Kartka została zmięta i wyrzucona do kosza. Po pierwsze, pomyślał Jack, trudno zwracać się do szefa per „drogi”, a po drugie wątpię, by drań interesował się tym, co dzieje się na oddziale.

Usiadł wygodniej na krześle i westchnął, aby zaraz sięgnąć po następną kartkę. Rzucił okiem na fotografię zdobiącą blat biurka, na uśmiechniętą szeroko wciąż młodą żonę i rozbawionego ośmioletniego syna. Robię to dla was, rozumiecie? Nawet jeśli to ma oznaczać moją rezygnację, nie cofnę się, obiecuję.

Zaczął pisać od nowa.

Profesorze Lewins, z przykrością informuję pana, że...

Han-zek dotarła do wind na parterze i wcisnęła się do wnętrza jednej z nich, razem z pacjentem na wózku inwalidzkim i wiozącym go sanitariuszem. Ten ostatni obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

— Które piętro?

— Dziewiąte — odparła bez wahania. — Kardiologia.

10

Zabarwiony nikotyną palec nacisnął szóstkę i dziewiątkę, zapaliły się dwie diody.

Han-zek dotknęła broni upchniętej w wewnętrznej kieszeni, czuła się pewniej, gdy stał napierała przez cienki materiał ubrania na jej skórę. Wybrała hecklera & kocha P7, kaliber dziewięć, z czterocalową lufą i niklowanym wykończeniem. Pistolet nie należał do tanich, na legalnym rynku kosztował około tysiąca dolarów i z pewnością nie popełniano nim pospolitych zbrodni. Dobrze jej służył przy poprzednich zleceniach. Han-zek przesunęła łokieć, by ukryć przed współpasażerami wypukłość pod pachą.

Oparła czoło o otwartą dłoń i pozostała w takiej pozycji do momentu, w którym drzwi windy otworzyły się na szóstym piętrze. Pomogła nawet w wypchnięciu wózka inwalidzkiego na zewnątrz i wsunęła wystający koniec szpitalnej koszuli pod nogę siedzącego na nim starca.

— Dziękuję, pani doktor — wyjęczał pacjent, zanim drzwi zasunęły się, oddzielając ich od siebie.

— Nie ma sprawy — odparła, uśmiechając się lekko.

Dla pewności nacisnęła ponownie właściwy klawisz i poczuła krzepiące szarpnięcie, gdy winda ruszyła w górę. Poza drażniącym jej nozdrza zapachem środków dezynfekcyjnych wszystko układało się zgodnie z planem. Spojrzała na zegarek. Dokładnie piętnaście po pierwszej. O czasie, żadnych poślizgów, żadnej przypadkowej kontroli. Nie musiała przechodzić do planu B. Zdawało się, że nic nie zakłóci wybranej przez nią strategii działania.

Od czasu gdy tutaj przybyłem, odczuwałem frustrację, a nawet poczucie zawodu ze względu na apatię panującą w pionie badawczym, mierny poziom obsługi medycznej i brak wyrazistego przywództwa. Oczekiwałem czegoś więcej po szpitalu cieszącym się sławą na skalą krajową.

Jack Hunt przerwał pisanie, stalówka pióra zawisała nad powierzchnią papieru. Szukał odpowiednich słów, by zaakcentować przepełniający go gniew i rozczarowanie. Jeszcze jeden stracony rok, być może nawet czekająca go jeszcze jedna przeprowadzka.

Jack miał już trzydzieści dziewięć lat. Poświęcił całe zawodowe życie badaniom chorób serca w najlepszych klinikach świata. Sydney, Londyn, Dublin, Filadelfia i — tuż przed przenosinami do Chicago

11

— Nowy Jork. W każdym z tych ośrodków gromadził nowe doświadczenia i pisał wysoko oceniane artykuły. Pięciokrotnie otrzymywał propozycje przejścia na bardziej lukratywne posady, ale za każdym razem odrzucał je, gdyż oferowany poziom prac badawczych nie był dla niego wystarczającym wyzwaniem. Był świadom, jakie zaszczyty go przy tych okazjach omijały. Nie zaliczał się jednak do graczy zespołowych, niespecjalnie obchodziły go także luksusy dostępne dzięki prowadzeniu prywatnej praktyki kardiologicznej. Był naukowcem, pragnącym pracy przy programach naukowych, najszcześniejszym w momencie, gdy udawało mu się rozwiązać kolejną tajemnicę ludzkiego ciała. Naiwniak, tak określił go jeden z ordynatorów z dawnego miejsca pracy. I rzeczywiście, jego bezkompromisowość miała też swoją cenę. W porównaniu do kolegów po fachu w swoim wieku był nędzarzem. Zdołał oszczędzić zaledwie szesnaście tysięcy dolarów i miał jeden samochód, pięcioletnie volvo z ponad pięćdziesięcioma tysiącami mil na liczniku. Całą resztę majątku mógł pomieścić w sześciu walizkach.

Oddział kardiologiczny Szpitala imienia Cartera w Chicago był swego czasu jednym z najlepszych na świecie. Jack wiele sobie po nim obiecywał. Ale ku jego rozpaczy przejście tam nie dało mu niemal nic. W napadzie złości poczuł, że nie ma wyboru, że znów musi rozpocząć poszukiwania nowej, w pełni odpowiadającej mu pracy. Tym razem był również zdecydowany na znalezienie miejsca, w którym wreszcie będzie się mógł osiedlić na stałe i zająć rodziną. Jego żona, Beth, miała już dość koczowniczego trybu życia, przenosin z jednego szpitala do drugiego, z miasta do miasta, z kraju do kraju. Chciała urodzić drugie dziecko i zamieszkać w miejscu, które mogłaby nazywać domem. Niepokoiło ją też ubóstwo, w jakim żyli, oraz to, że jej mąż nigdy nie pracował w jednym miejscu wystarczająco długo, by otrzymać znaczącą podwyżkę.

A jego syn Danny marzył o tym, by móc kibicować tej samej drużynie w ciągu więcej niż jednego sezonu.

— Oto twój nowy cel.

Rankiem tego dnia, w pokoju numer 2852 chicagowskiego Hyatta, czarno-białe zdjęcie formatu sześć na osiem prześliznęło się po dębowej okleinie niewielkiego stolika. Z okna pokoju widać było sąsied-

12

ni biurowiec i płynącą tuż za nim, szeroką w tym miejscu na niemal trzysta jardów rzekę. W pierwszych promieniach wstającego słońca turystyczne łodzie współzawodniczyły między sobą o miejsce przy pirsach, aby już za chwilę w trakcie rejsu przybliżyć gościom panoramę drapaczy chmur widzianą od strony wybrzeża.

Do dziesiątej pozostały zaledwie dwie minuty. Na zewnątrz letni poranek niósł już pierwsze oznaki nadciągającego gorąca i wilgoci. W klimatyzowanym wnętrzu Kate Hanzek siedziała swobodnie, ubrana w skrócone nożyczkami džinsy i czarny T-shirt, rzeczy znacznie bardziej krzykliwe niż granatowa bluzka szpitalna z logo Szpitala imienia Cartera, leżąca obok na łóżku. Przytłaczający zimną bielą fartuch z fałszywym identyfikatorem wisiał na rozsuwanych drzwiach garderoby. W prawą kieszeń wetknięto stetoskop, lewą wypełniał cały pęk długopisów, zmięta kartka papieru i podniszczony notes z zagiętymi rogami, utrzymywany w kupie gumką. Podobne śmieci nosi przy sobie niemal każdy lekarz. Obok fartucha wisiał długi, lekki prochowiec, pod którym Hanzek miała ukryć szpitalne ciuchy, opuszczając hotel. Mysiobrązowa peruka leżała na jednej z półek. Załadowany heckler & koch spoczywał bezpiecznie w głębi profilowanego neseseru na środku łóżka.

— To jeden z szefów oddziału kardiologii.

Pośrednik przekazywał jej tyle wiadomości, ile mu kazano. Tylko podstawowe fakty, żadnych szczegółów. Był niewysokim, otyłym Koreańczykiem, miał akcent charakterystyczny dla Wschodniego Wybrzeża. Ubrany był schludnie, ale dość konwencjonalnie, w granatowe spodnie i T-shirt, na który narzucił rozpiętą białą lnianą kamizelkę. Nie zdjął panoramicznych okularów przeciwsłonecznych nawet w pomieszczeniu.

Hanzek siedziała przy biurku pod oknem, paliła marlboro. Klimatyzacja szumiała leniwie w tle, gdy przyglądała się fotografii. Przyjemna twarz, pomyślała, może nawet przystojna. Głowa kształtna, kruczoczarne włosy. Przyjrzała się oczom. Zdecydowane, pewne siebie. Szkoda zdejmować takiego pięknego człowieka.

— Nazywa się doktor James Hunt. — Koreańczyk już zbierał się do wyjścia.

Podobnie jak zabójca, którego wynajmował, niewiele wiedział o celu i szczerze powiedziaławszy, nie był zainteresowany jego życiem

13

i losem. Znajdował się tak daleko od źródła zlecenia, że nie wiedział nawet, kim jest człowiek zlecający mokrą robotę. — Ma trzydzieści dziewięć lat, jest z pochodzenia Irlandczykiem, wzrost na oko pięć stóp i

jedenastu cali. Sądzę, że waży około stu siedemdziesięciu funtów. Zatem nie polecam kontaktu fizycznego.

Zabójczyni skinęła głową. Sama mierzyła zaledwie pięć stóp i sześć cali. Chociaż utrzymywała kondycję, ćwicząc codziennie, nie zaliczała się do ulicznych zabijaków.

— Zrób to jak należy. Pierwsza kulka w serce, druga w głowę i znikasz. Jeśli dotrzesz o wyznaczonej porze na oddział kardiologiczny, nie spotkasz tam nikogo innego. — Koreańczyk spojrział na nią, jakby się spodziewał jakiejś reakcji, ale pozostała niewzruszona. — Nie powinnaś mieć problemów.

Hanek uśmiechnęła się blado. Nie powinna mieć problemów. Skąd ten skurwiel wiedział, co jest łatwe, a co nie jest? Otarła brwi chusteczką, klimatyzacja po krótkiej walce przegrała z upałem i w pokoju zrobiło się bardzo gorąco.

— Samochód będzie czekał na dolnym poziomie podziemnego parkingu. Godzinę później trafi na wrakowisko, gdzie zostanie dokładnie spalony. — Pośrednik już kończył. — Powiem kierowcy, że spotkasz się z nim w holu o dwunastej. Po robocie ktoś inny zabierze cię na lotnisko formem thunderbirdem.

Winda szarpnęła raz jeszcze i zatrzymała się na dziewiątym piętrze Szpitala imienia Cartera. Misternie przygotowany plan Kate Hanek leżał w gruzach, ledwie wyszła z kabiny i usłyszała przeraźliwy przerywany dźwięk alarmu odbijającego się od wszystkich ścian. Był tak ostry i niespodziewany, że nieomal ją ogłuszył. A na pewno zdezorientował. Spojrzała w prawo i zobaczyła trzech odzianych w białe fartuchy lekarzy, którzy właśnie zmierzali szybkim krokiem w stronę drzwi znajdujących się w połowie korytarza.

Czarnoskóry pielęgniarz chwycił ją za rękaw, pociągając za sobą.

— Rusz się, alarm trwa już ze dwie minuty.

Hanek nie wiedziała, że dzwonki alarmowe działu kardiologicznego nie umilkną, dopóki ostatni z członków zespołu ratunkowego nie znajdzie się przy pacjencie. Nie miała też pojęcia, że każdy medyk przebywający w tym momencie w szpitalu, a nie mający ważnych za-

14

jęć, powinien rzucić wszystko i pośpieszyć do strefy alarmowej. No i nawet się nie domyślała, gdzie znajduje się sala intensywnej terapii. Podobnie jak nie знаła się na reanimacji. Dla osoby trudniącej się powstrzymywaniem pracy serc za pomocą dobrze wycelowanej kuli była to istna terra incognita.

— Rusz się, na litość boską! — Obok niej przebiegła młoda pielęgniarka w zielonkawym fartuchu i ochronnym czepku, najwyraźniej zaskoczona paraliżem napotkanej lekarki. Gdy dopadła otwartych drzwi, obejrzała się za siebie. Hanek zauważyła, że początkowe zaskoczenie na twarzy pielęgniarki zaczęło zmieniać się w podejrzenie.

Dzwonki nadal rozbrzmiewały, wypełniając jej uszy, gdy skręciła w lewo, jak planowała, ale omal nie została przewrócona przez dwójkę następných lekarzy. Porzuciła pierwotny plan i skręciła w pierwszą odnogę korytarza po prawej, starając się oddalić, najszybciej jak to tylko było możliwe, od miejsca akcji. Głosy zbliżające się z naprzeciwka zmusiły ją do kolejnej zmiany planu. Teraz szła przez jasno oświetlone atrium poprzedzielane otwartymi boksami biurowymi, z których sterczały garby terminali komputerowych. Wokół niej kręciło się nerwowo wielu pracowników szpitala, każdy trzymał w ręce jakieś papiery. Hanzek dostrzegła ich pytające spojrzenia. A dzwonki alarmowe wciąż świdrowały jej mózg. Zaczęła się śpieszyć. Zaczęła się pocić.

— Mogę w czymś pomóc? — zapytał ktoś, ale Hanzek tylko zbyła go machnięciem ręki i znów zmieniła kierunek marszu. Serce waliło jej jak szalone, gdy starała się wydobyć z pamięci układ pomieszczeń tego piętra.

Łazienka dla niepełnosprawnych po lewej. Poruszyła gałkąz drzeniem dłoni. Przekręciła ją i z ulgą zarygłowała za sobą drzwi. Przycisnęła czoło do zimnych kafelków na ścianie. Pierdolić to wszystko! Dwie myśli zrodziły się w jej głowie. Pierwsza: zgubiłam się. Druga: jeśli nie znajdę Jacka Hunta, wpadnę w tarapaty. Starła się opanować drzenie rąk, robiła długie głębokie wdechy, by uspokoić łomot serca.

Spojrzała na zegarek: pierwsza dziewiętnaście. Zaczynał się jej kończyć czas.

Na dodatek, profesorze Lewins, pragnę Panu zwrócić uwagę, że dwaj starsi lekarze tego oddziału najwięcej uwagi poświęcają baseballowi oraz swoim inwestycjom giełdowym.

15

To powinno do niego trafić, pomyślał Jack. Będzie wiedział, o kim mowa. Jest przecież profesorem, szefem. Powinien prowadzić ten oddział, a nie wylegiwać się cały dzień na tłustej dupie.

Obaj wykazują minimalne zainteresowanie badaniami nad przypadkami i metodami leczenia chorób serca, za to ich kontakty z przedstawicielami firm farmaceutycznych wyglądają nie tylko na nierozsądne, ale wręcz kompromitujące.

Oprócz profesora Sama Lewinsa i Jacka na oddziale pracowało jeszcze trzech kardiologów. Irlandczyk nie miał jednak żadnych oporów przed przedstawieniem negatywnej oceny osiągnięć dwóch najstarszych stażem kolegów.

Stopniowo docierało do niego, że na korytarzu rozbrzmiewają dzwonki alarmowe.

Oddział kardiologii zajmował niemal całe piętro, a dostęp do niego gwarantowały dwie windy, w tym jedna dostępna tylko dla noszy. Podzielono go na cztery niezależnie zarządzane, ale połączone wydziały. Największy był oddział kliniczny, mieszczący się we wschodnim skrzydle. Tam też znajdowały się sale chorych, intensywna terapia, kardiologia inwazyjna i radiologia diagnostyczna. W skrzydle południowym umieszczono niedofinansowany, cierpiący na wieczne braki personelu i z tych powodów nie w pełni wykorzystywany dział la-boratoryjno-badawczy. Zachodnie skrzydło zarezerwowano dla administracji, a w północnym aneksie umieszczono biura profesora i jego najbliższych współpracowników.

Jack Hunt zaczął już wstawać z krzesła, zastanawiając się, czy on także powinien zareagować na alarm. We wschodnim skrzydle, tam gdzie leczono pacjentów, było dość personelu medycznego, aby poradzić sobie w każdej sytuacji. Pełen zespół ratunkowy powinien zebrać się wokół pacjenta w trzy do czterech minut. Ale dzisiaj dzwonki alarmu zdawały się brzęczeć bez końca. Gdy nagle zamilkły, Jack odprężył się. Mógł wrócić do pisania wymówienia.

Kate Hanzek doskonale wiedziała, że znalazła się nie tam gdzie trzeba. Podczas spotkania w hotelu narysowano jej dokładny plan pomieszczeń, poszczególne oddziały zostały oznaczone innymi kolorami i ponumerowane, każdy krok odmierzony. Wsiądz z windy. Skręć w lewo, następnie w trzeci korytarz po prawej, potem natychmiast

16

w lewo. Przejdź około piętnastu metrów, zrób kolejny zwrot w prawo. Znajdziesz się w biurach starszych asystentów. Pokój numer dwadzieścia sześć to dziesiąte drzwi po lewej. Drzwi będą niedomknięte, może nawet lekko uchylone. Cel będzie się znajdował za nimi, zazwyczaj dyktuje raporty do około pierwszej trzydzieści. Rzadko zostaje dłużej. Przyjdiesz o minutę za późno i nie zastaniesz go. Otwórz drzwi i od razu strzelaj.

W zaciszu pokoju hotelowego wydawało się to tak proste. Ale w tej chwili uczestniczyła w zupełnie innej rozgrywce. Była roztrzęsiona, zagubiona i ukryta w łazience dla niepełnosprawnych. W głowie wciąż jej się kręciło, w uszach słyszała wyłącznie dzwonięcie. I dochodziła już pierwsza dwadzieścia siedem. Jedna półkula jej mózgu wysyłała sygnały ostrzegawcze: wycofaj się. Lecz stawka była niezwykle wysoka: dwieście tysięcy dolarów za wyeliminowanie celu. Zdecydowała więc, że nie zrezygnuje.

Kiedy przyjmowałem się na oddział kardiologiczny Cartera, otrzymałem konkretne gwarancje dotyczące zobowiązań badawczych placówki. Pan z kolei wydawał się niezwykle poruszony moją publikacją dotyczącą powiązania infekcji przebytych w dzieciństwie ze schorzeniami kardiologicznymi objawiającymi się w wieku późniejszym.

Jack wiedział, że to już wyłącznie pyszałkowate bicie piany.

Spojrzał na zegarek. Pierwsza dwadzieścia dziewięć. Czas się zbierać.

Hanzek była niemal pewna, że jej się uda. Zdołała już się pozbierać, otworzyła drzwi łazienki i ruszyła szybkim krokiem w lewą stronę. Znów szła pewnym krokiem, nie czuła się ani trochę zagubiona.

— Cała część biurowa oddziału jest pomalowana w ten sam sposób, błękitne jak niebo ściany, białe sufity — poinformował ją Koreańczyk podczas krótkiej odprawy. Jeden rzut oka potwierdził przekazany przez niego opis. — Wszystkie drzwi mają kolor granatowy i są wyraźnie ponumerowane.

Ale tutaj pośrednik się pomylił, co wywołało u Hanzek nowy atak paniki. Drzwi w tej części budynku miały ten sam kolor, ale na pewno

17

nie był to granat. Wszystkie były nowiusieńkie i jeszcze nie pomalowane, wyraźnie widziała słoje na drewnie, z którego je wykonano. I co gorsza, na żadnych nie było numeru.

Nie sądzę, abym mógł kontynuować pracę na tym oddziale, dopóki nie zostaną wprowadzone fundamentalne zmiany.

Jack coraz bardziej się śpieszył do swoich pacjentów. Chciał też zobaczyć, co się wydarzyło na intensywnej terapii.

Minęła pierwsza trzydzieści dwie. Czas na napisanie ostatniego zdania.

Hanek zrozumiała, że nie ma wyjścia i musi sprawdzić wszystkie pomieszczenia po kolei. Nie chciała natknąć się na cel poza wyznaczonym miejscem, zwłaszcza że echa niedawnego alarmu wciąż rozbrzmiewały jej w głowie. Była zmieszana, ale i zdeterminowana. Już prawie go mam; wykończę gnojka w taki czy inny sposób. Rozglądała się nerwowo. Zdaje się, że nikogo tu nie ma. Ten pieprzony skośnooki drań z Hyatta choć co do tego miał rację.

Ostrożnie otwierała jedne drzwi po drugich. Nic. Cały oddział wydawał się opuszczony. Ujęła delikatnie rękojeść hecklera & kocha, jej serce znów zaczęło bić żywiej. Po raz pierwszy w karierze zabójcy pozwoliła się wmanewrować w tak idiotyczną sytuację. Wszystkie poprzednie zlecenia wykonała bez komplikacji. Wyszukiwała odpowiednie miejsce na egzekucję, dopadała ofiary, strzelała. Nigdy nie bawiła się z celem w chowanego, jak teraz.

Była już pierwsza trzydzieści pięć.

Obawiam się, że będę zmuszony złożyć rezygnację z zajmowanego stanowiska i opuścić Szpital imienia Cartera.

Jack Hunt usłyszał, że ktoś otwiera, a potem zamyka drzwi w jednym z sąsiednich gabinetów. Zgłuszone wykładziną odgłosy szybkich kroków przybliżyły się.

Hanek pokonała już połowę długości korytarza. Właśnie przerwała jakiejś kobiecie lekturę dokumentów.

— Przepraszam, pomyliłam pokój. — Zmusiła się nawet do uśmiechu, kiedy zamykała za sobą drzwi.

18

Puściła pistolet tylko na moment, kiedy musiała szybkim ruchem obetrzeć pot z czoła, ale kilka sekund później znów go pochwytiła. Później wróciła na początek korytarza i przeliczyła drzwi, stanęła przed dziesiątymi po lewej. Słyszała dochodzące zza nich lekkie szmery. Delikatnie przekręciła klamkę.

Była pierwsza trzydzieści osiem.

Z wyrazami szacunku.

Jack nakreślił swój podpis na dole kartki. Nachylił się, nie wstając z krzesła, i podniósł z biurka fotografię żony i dziecka. Wybaczcie, kochani, ale znowu będziemy się musieli gdzieś przenieść. A to oznacza nieliczną awanturę, gdy wrócę do domu.

Zabójczynie uchyliła drzwi i zamarła w oczekiwaniu. Na widok burzy czarnych włosów nad oparciem fotela zacisnęła mocniej palce na kolbie hecklera & kocha. Kiedy mężczyzna siedzący przy biurku pod oknem zaczął się odwracać, Kate Hanzek po raz pierwszy w życiu wyszeptała słowo „przepraszam”. Potem zaczęła strzelać.

Zegar na ścianie wskazywał pierwszą trzydzieści dziewięć.

ROZDZIAŁ 2

Wysoki mężczyzna liczył sygnały telefonu. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Koniec. Przez dwadzieścia kolejnych sekund wpatrywał się w tarczę zegarka. Telefon znów zadzwonił. Naliczył sześć dzwonek, zanim ponownie zrobiło się cicho. Powrócił do obserwacji wskazówek zegarka. Dwadzieścia sekund. Dzwonek. Podniósł słuchawkę z widełek.

— Tak?

Czternasty czerwca. W Nowym Jorku była piąta po południu, o godzinę później niż w Chicago. Wysokie temperatury, sięgające powyżej dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita, sprawiały, że na zewnątrz nie dało się wytrzymać. Ulice parowały po niedawnej ulewie, a nieliczni przechodnie lawirowali bądź odskakiwali, aby uniknąć ochlapania przez przejeżdżające samochody. W chłodnym przepychu luksusowego miejskiego hotelu drewniane obramowanie wysokości niespełna siedmiu stóp kryło trzy ściśnięte kabiny telefoniczne. Pech chciał, że on, człowiek, który miał dostęp do każdego środka komunikacji, jaki znał świat, musiał skorzystać akurat z automatu telefonicznego. Ale dla tego połączenia potrzebował bezpiecznej, czystej, a nade wszystko nienamierzalnej linii.

— O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz? — Na szczęście drzwi do niewielkiej budki były szczelnie zamknięte, więc nikt nie mógł usłyszeć jego podniesionego głosu. — Nie wierzę. Co to znaczy, że Hunt nie zginął?

Wiadomość przekazana przez koreańskiego łącznika nie należała do najlepszych. Tak go wkurzyła, że poczuł nawrót migreny i natych-

20

miast sięgnął do kieszeni po imigran w sprayu. Bez względu na to, w jakim świetle pośrednik będzie przedstawiał dzisiejsze wydarzenia, mieli do czynienia z prawdziwą katastrofą.

Wyjął chusteczkę i osuszył nią czoło.

— Opowiedz wszystko od początku — rozkazał, potem oparł się ostrożnie plecami o drzwi budki, poluźnił krawat i słuchał. — Nie, nie wierzę. — Kolejna porcja paplaniny z drugiej strony. — Jezu, kurwa,

Chryste — jęknął, gdy zrozumiał, jakie będą skutki. — Czekaj, czekaj — poprosił w końcu. — Pozwól mi to zreasumować. Nie dość, że dziwka nie sprzątnęła Hunta, to jeszcze rozpierdoliła kogoś innego?

— Jego przypuszczenie zostało potwierdzone. — Kogo ona tam stuknęła? — Rozmówca milczał przez chwilę, a potem wymienił nazwisko.

Wysoki mężczyzna osunął się po drzwiach budki, zgiął wpół i zaczął tłuc głową o ścianę. Klął cicho.

— Sama Lewinsa? Profesora? — Wciąż nie dowierzał. — Zabiła tego Sama Lewinsa?

Zatkało go tak mocno, że nie potrafił wykrztusić z siebie słowa przez całą minutę. Potem wyprostował się, zdjął zatyczkę z pojemnika imigranu, przytknął go do nosa i wciągnął chemiczną zawieszynę, równocześnie upychając chusteczkę do kieszeni spodni. W końcu zaczął mówić spokojnym i pewnym głosem.

— Dobra, zmiana planu. — Kaszlnął lekko, obejrzał się, czy ktoś nie stoi przed budką, i podjął: — Materiały, które mieliśmy podrzucić Huntowi, trzeba przerobić, żeby pasowały do Lewinsa. Zrozumiano?

— Koreańczyk potwierdził. — Wycofajcie się z Cartera i odwołajcie osłonę... — przerwał, zastanawiając się nerwowo. — Pozbądź się Hanzek i kierowcy. Jeśli chcesz utrzymać ryj nad powierzchnią ziemi i nadal robić interesy w tej branży, sam się tym zajmiesz. Zrozumiano? — Dzwoniący potaknął i zapewnił solennie, że cyngiel i kierowca już wrócili do hotelu. — Upewnij się, że to się stanie poza miastem. Nie chcę, żeby ktoś powiązał strzelaninę w szpitalu ze znalezieniem ich zwłok w jakimś śmietniku. — Jego polecenia zostały przyjęte bezwarunkowo. — Przerывamy operację, dopóki nie przemyślemy sprawy. Okay? Nikt z nikim się nie kontaktuje, dopóki ja na to nie pozwolę.

Odłożył słuchawkę na widełki i poprawił marynarkę. Zanim opuścił ciasne wnętrze budki, zrobił głęboki wdech, żeby wciągnąć resztki

21

leku przeciwmigrenowego, a potem ruszył zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia z hotelu, czując narastający łomot w głowie.

Trzy mile od tego miejsca, na szczycie wieżowca mieszczącego się pomiędzy Whitehall a Battery Park, Stan Danker zasiadł za wielkim, przypominającym półksiężyc biurkiem z wiśniowego drewna. Wpatrywał się w faks, który właśnie przed nim wylądował:

PROFESOR SAM LEWINS ZOSTAŁ ZASTRZELONY W SWOIM BIURZE GODZINĘ TEMU. W SZPITALU PANIKA, NIE ZNAM WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW. NATYCHMIAST ZAMELDUJĘ O WSZYSTKIM, JAK TYLKO CZEGOŚ SIĘ DOWIEM.

Danker oniemiał do tego stopnia, że nie był w stanie pojąć treści kryjącej się za tą wiadomością. Profesor Sam Lewins został zamordowany? I to we własnym biurze w Szpitalu imienia Cartera? Jezu Chryste, dokąd ten świat zmierza?

Danker był pięćdziesięcioletnim dyrektorem północnoamerykańskiej filii Zemdon Pharmaceuticals, szwajcarskiego potentata farmaceutycznego lokowanego na dziewiątym miejscu wśród największych korporacji tej branży na świecie i na drugim pod względem przychodów w Europie. Firma była wyceniana na jakieś dziewięćdziesiąt miliardów dolarów i sprzedawała leki warte czternaście i pół miliarda rocznie. Pracował w biurach Zemdonu na Manhattanie, skąd z okien widział panoramę rzeki Hudson i przeprawę promową na wyspę Ellis. Miał tutaj trzy atrakcyjne sekretarki i oszałamiająco piękną asystentkę imieniem Maria, którą zatrudnił tylko dlatego, że jej umiejętności zawodowe były nawet większe niż uroda.

Danker był postawnym mężczyzną, mierzył sześć stóp i cztery cale przy wadze nieco ponad stu osiemdziesięciu funtów, jednakże pod idealnie skrojonymi garniturami od braci Brooks próżno było szukać jednej fałdy zbytecznego tłuszczu. Bujne włosy koloru stalowoszare-go, granitowe oblicze, oczy ciemnoniebieskie, zdrowo wyglądające zęby. Zdecydowany uścisk dłoni, wskazujący na wielką pewność siebie. Która nagle go opuściła.

Nacisnął klawisz interkomu.

— Mario, połącz mnie natychmiast z Zurychem.

Zemdon planował szeroko zakrojoną światową kampanię reklamową nowego produktu, który miał zostać wypuszczony na rynek

22

w początkach października. W fabrykach koncernu już trwała produkcja cyclintu, cudownego leku nasercowego, zmniejszającego ryzyko zawału o ponad dwadzieścia osiem procent. Ten specyfik mógł uratować życie tysiącom ludzi cierpiących na choroby układu krążenia. Oddział kardiologiczny Szpitala imienia Cartera został wybrany na miejsce, w którym lek zaprezentowałby się światu. Placówka w Chicago cieszyła się znakomitą opinią i mimo że ostatnimi laty nieco podupadła, wciąż była liczącym się na świecie ośrodkiem kardiologicznym. Każda wypowiedź jej szefa błyskawicznie rozchodziła się po społeczności lekarskiej, a rekomendacja produktu — bezpośrednia czy choćby wzmiankowana — gwarantowała wzrost sprzedaży. Szwajcarski gigant nieprzypadkowo pozyskał Sama Lewinsa do swego projektu, podobnie jak nie bez powodu sława kardiologii zgodziła się wesprzeć narodziny cyclintu swoim nazwiskiem. Profesor złożył Zemdonowi obietnicę, a korporacja w zamian zapełniła jego konto bankowe. Wysiłek obu stron zmierzał do rozpoczęcia w Chicago procesu, który powinien błyskawicznie objąć cały świat. Jednakże sukces przedsięwzięcia w wielkiej mierze uzależniony był od wsparcia udzielonego przez Lewinsa. A ten nie żył.

— łączę — zacharczał interkom.

Danker zaczerpnął tchu, aby uspokoić skołataną nerwy.

ROZDZIAŁ 3

Dwa dni później Jack Hunt pokonał dwadzieścia betonowych stopni, które prowadziły do głównego wejścia Szpitala imienia Cartera. Pięć minut po ósmej rano, ubrany w najszykowniejsze rzeczy, jakie posiadał: sfatygowany i nieludzko wymięty letni granatowy garnitur oraz nonszalancko rozpiętą pod szyją koszulę. Wystroił się tak, choć nie bez oporów, z okazji ceremonii pogrzebowej, jaka miała się odbyć w szpitalu ku czci zastrzelonego niedawno szefa. Temperatura zbliżała się powoli do dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita, a rzadkie chmurki nie mogły przesłonić ostrego słońca, dyszał więc mocno, gdy pchnął oszklone drzwi, aby natychmiast odetchnąć z ulgą w strefie chłodzonej ożywczymi podmuchami klimatyzacji.

Po korytarzu oddziału kardiologii krążyli teraz, niczym na patrolach, członkowie grupy dochodzeniowej. Gliniarze w niebieskich mundurach i charakterystycznych czapkach z daszkiem dyskutowali z ubranymi po cywilnemu detektywami. Żółta taśma rozciągnięta pomiędzy gałkami na drzwiach praktycznie odcinała dostęp do aneksu, gdzie mieściły się wszystkie biura i gdzie tuż przed zamachem grasował zabójca. Zatrzymywano i przesłuchiowano lekarzy w białych fartuchach i niższy personel medyczny noszący bładozielone kombinezony; głowy przepytanych poruszały się rytmicznie w pionie bądź w poziomie, zależnie od treści udzielanych odpowiedzi. Nad wszystkimi unosił się wyczuwalny duch niedowierzania, że do tak przerażającego mordu mogło dojść w biały dzień w samym sercu szpitala. Wielu wciąż miało nieprzytomne spojrzenia i automatyczne ruchy, zwłaszcza w pobliżu gabinetu profesora.

24

Jack pojawił się na miejscu zbrodni pierwszy, zaraz po tym jak zastrzelono Sama Lewinsa. Usłyszał echo dwóch wystrzałów dochodzące z głębi korytarza i sprintem dopadł drzwi własnego pokoju, ale zobaczył jedynie połę rozwianego białego fartucha znikającego za najbliższym narożnikiem. Wpadł do gabinetu szefa i zastał go leżącego na podłodze w kałuży krwi, z pomiętymi dokumentami trzymanymi wciąż w drgających spazmatycznie palcach. Utulił umierającego w ramionach, usiłując gorączkowo ocenić sytuację, i szybko wezwał zespół ratunkowy. Stał potem w tłumie gapiów przed salą operacyjną, wciąż pokryty krwią Lewinsa, podczas gdy jego koledzy starali się ratować życie profesora. Ale pomimo zastosowania kroplówek, preparatów krwiozastępczych i leków zmniejszających obrzęk mózgu profesor wydał ostatnie tchnienie i został oficjalnie uznany za zmarłego. Trzydzieści minut później ochrona zamknęła i zabezpieczyła teren całego szpitala. Po kolejnej godzinie przebranie zabójcy zostało odnalezione w pomieszczeniach pralni na parterze.

Jack kierował się teraz prosto do biur ulokowanych na dziesiątym piętrze, gdzie mieściła się administracja szpitala. Przy sobie, w wewnętrznej kieszeni marynarki, miał list z rezygnacją. Jezu, co to za kraj, mówił do siebie w duchu, idąc korytarzem. I pomyśleć, że niedawno uznaliśmy Nowy Jork za zbyt niebezpieczne miejsce. Dwie próby włamania i jedna wyrwana na ulicy torebka określiły granice wytrzymałości Beth. Chicago, obiecałem jej, będzie zupełnie innym miejscem. O wiele bezpieczniejszym. I gdzie teraz mamy się podziąć? Jack doskonale zdawał sobie sprawę, że fundusze badawcze w jego dziedzinie koncentrowały się głównie w Ameryce Północnej, to tutaj pracowali najważniejsi gracze w branży. Nie w Dublinie, Londynie czy Sydney.

Jack złożył białą kopertę w sekretariacie działu administracji, nie mając ochoty na konfrontację z wciąż oszołomionymi niedawnym zabójstwem członkami zarządu szpitala.

Następnego poranka, siedemnastego czerwca, ledwie Jack zdążył zasygnalizować rozpoczęcie pracy w szpitalnej recepcji, otrzymał wiadomość od Steve'a Downesa, szefa administracji, z prośbą o pilne spotkanie.

— Czytałem pańskie CV — powiedział Downes, zapraszając irlandzkiego kardiologa do swojego gabinetu na dziesiątym piętrze.

25

Pomieszczenie miało co najmniej trzydzieści stóp kwadratowych powierzchni, stało w nim ciężkie biurko z dostawką dla kilku gości, podłogę wyścielono grubą włochatą wykładziną, a powietrze odświeżała pracująca nieustannie klimatyzacja. Elementów dekoracyjnych nie było wiele, lecz zostały dobrane ze smakiem, do tego punktowe oświetlenie wzmacniało zamierzony przez architekta wnętrz efekt. Do głównego biura przylegały dwie sale konferencyjne, pomiędzy nimi ulokowano prywatną łazienkę, aby dyrektor administracyjny nie narażał się na stresy, stając przy ogólnie dostępnych pisuarach ramię w ramię z pracownikiem, któremu wcześniej udzielił ustnej nagany.

Downes był wyniosłym i raczej bezceremonialnym osobnikiem grubo po pięćdziesiątce. Nosił niemodne już garnitury dwurzędowe, chyba głównie po to, aby ukryć rosnący wciąż obwód w pasie. Jego włosy przypominały kłębki źle przystrzyżonej wełny. Miał też turecką bródkę i wydawał się co najmniej trzy cale niższy od Jacka, tak że sporo mu brakowało do sześciu stóp. Tego ranka miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę z krótkim rękawem i spodnie z cienkiego materiału, które nie zdołały ukryć jego nadwagi.

Jack nie ukrywał zaskoczenia na widok otwartego zbindowanego skoroszytu oprawionego w kasztanową okładkę, który leżał na biurku. Wnętrze grubych na dwa cale akt wypełniały dokumenty dotyczące poprzednich etapów jego kariery, kwalifikacji i referencji. O co w tym wszystkim chodzi? zastanawiał się.

— Troszkę się pan pokręcił po świecie... — Downes przeszedł przez gabinet i przewrócił kolejną kartkę w CV. Mówił głębokim barytonem, który tak bardzo kontrastował z irlandzkim akcentem Jacka, wciąż dobrze wyczuwalnym pomimo lat spędzonych na obczyźnie.

— Australia oraz Europa przed Filadelfią, Nowym Jorkiem i Chicago.

— Spojrzał przez mahoniowe biurko, które ich dzieliło. — W żadnym z tych miejsc nie chciał pan osiedlić się na stałe?

Jack dał się zaskoczyć tym pytaniem. Co gorsza, nadal nie miał pojęcia, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. Irytowała go gra dyrektora, dlatego w odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami, starając się unikać kontaktu wzrokowego z rozmówcą.

— Jeszcze do niedawna Carter wydawał mi się takim miejscem, panie Downes.

Dyrektor pochylił się w jego stronę.

— Mów mi Steve. Dajmy spokój formalnościom, spotkaliśmy się, bo jest interes do zrobienia.

Jack strzepnął nieistniejący pyłek z rękawa. Wciąż miał na sobie szpitalny strój roboczy, który włożył tuż przed wezwaniem do Dow-nesa, nie przyszło mu nawet na myśl, żeby się przebierać.

— Cóż, Steve, miałem nadzieję, że Chicago będzie ostatnim przystankiem na mojej drodze. Moja żona i syn mają już dość nieustannych przeprowadzek. Chcieliby wreszcie zapaść korzenie. Ostatnie osiem lat spędziliśmy, tułając się od jednego wynajmowanego mieszkania do drugiego.

Downes przewrócił kolejną stronę.

— Więc może jednak zostaniesz u nas.

Jack poruszył się nerwowo na krześle.

— Obawiam się, że nie do końca zrozumiałem, o co ci chodzi. Co dokładnie proponujesz?

Downes zignorował pytanie Jacka, za to wczytał się w listę jego artykułów. Na załączniku do CV były one nie tylko ponumerowane, ale i ułożone w porządku alfabetycznym. Razem osiemdziesiąt trzy publikacje, wszystkie w renomowanych pismach medycznych. „New England Journal of Medicine”, „British Medical Journal”, „Lancet”, „Journal of the American Medical Association”, „Medical Journal of Australia”.

Wydawcy odrzucający ponad dziewięćdziesiąt procent nadsyłanych prac zazwyczaj przyjmowali prace Jacka.

— Naprawdę imponujące. — Downes przewrócił kolejną stronę, ta miała czerwone znaczki na marginesach. — Referencje także świadczą o twoim wielkim zaangażowaniu w prace badawcze. — Zacytował: — Inteligentny i potrafiący zmusić do myślenia... obsesyjnie dokładny przy prowadzeniu badań... znakomity wykładowca.

Jack skrzywił się zawstydzony pochwałami.

— Moje życie to medycyna, Steve. Niczego innego w życiu nie robiłem. Nie gram w golfa, nie żegluję, nie skaczę ze spadochronem, nawet po górach się nie wspinam. Sam zresztą widzisz, co jest w moich papierach. Jestem pełnoetatowym kardiologiem.

Dyrektor przyjrzał mu się uważnie, a potem powrócił do lektury akt. Rozpiął następny guzik koszuli i szerzej rozchylił jej poły.

— Robiłeś testy na HIV i żółtaczkę?

Jack skinął głową. To były standardowe procedury przy zatrudnianiu w placówkach medycznych na terenie Stanów Zjednoczonych. Nie ma badań, nie ma pracy.

Downes obrócił krzesło najpierw w jedną stronę, potem w drugą, a na koniec sięgnął po pilota klimatyzacji, aby zwiększyć nawiew.

— A co z testami na obecność niedozwolonych substancji?

Jack przysunął krzesło do biurka i przewracał kartki CV, dopóki nie odnalazł właściwego miejsca.

— Wszystkie są tutaj. Byłem badany częściej niż niejeden olimpijczyk.

Downes zagłębił się w lekturę wpisów.

— Bardzo dobrze — mruknął. — Ostatnio mieliśmy z tym sporo problemów.

Oto mistrzowskie niedopowiedzenie. Sześć miesięcy wcześniej szpital został obsmarowany na łamach „Chicago Sun-Timesa”. Dziennikarz poszedł za jednym z lekarzy Cartera do meliny w pobliżu nie cieszącego się dobrą sławą kondominium Cabrini-Green, gdzie nagrał scenę zakupu narkotyków i ich zażywania. Po tym wydarzeniu rozpoczął się sezon polowań na wszystkich pracowników placówki, oznaczający niekończące się serie testów. Trzyście osób, na szczęście wyłącznie z personelu pozamedycznego, utraciło już pracę. Zarząd dał tym sposobem wyraźny sygnał załodze. Zero tolerancji. Jeden skręt i wylatujesz. Nie zaliczysz testu na alkoholizm albo narkotyki, twoja kariera będzie skończona. Pozostajesz czysty albo cię nie ma. Pięć innych osób zwolniło się na własną prośbę w ciągu dwóch kolejnych miesięcy. Co ważne, jedną z nich był młody lekarz, o którym zaczęły już krążyć plotki.

— Widzę, że jesteś rodzinnym człowiekiem — Downes przerzucił jeszcze kilka akapitów i podniósł wzrok — to mi się podoba. Rodzina sprawia, że człowiek staje się odpowiedzialniejszy... no wiesz, hipoteki, kredyty bankowe, zobowiązania. — Krzesło znów się pod nim poruszyło. — Jezu, masz pojęcie, ilu naszych lekarzy jest już po dwóch, a nawet trzech rozwodach?

Jack nie odpowiedział; wyczuł, że dyrektor wsiadł na swego konika, więc mu nie przeszkadzał. Udawał, że słucha, ale tak naprawdę przez cały czas zastanawiał się gorączkowo, do czego zmierza ta rozmowa.

28

Downes przerzucił pobieżnie resztę CV i dotarł do ostatnich stron skorygowanego.

— Czasami zastanawiam się, jak wyglądałaby nasza robota, gdybyśmy nie mieli tutaj lekarzy. Jestem pewien, że moja praca byłaby wtedy o wiele łatwiejsza. — Dokładnie przyjrzał się kartotece Jacka wystawionej przez Izbę Lekarską, dokumentowi, w którym spisywano wszystkie wypadki niezgodne z etyką zawodową. — Naszemu szpitalowi wytoczono właśnie trzy procesy o zaniedbania i błędy lekarskie. Ubezpieczalnia prowadzi dochodzenie w sprawie jednego z dermatologów, zarzuca mu się niegospodarność. — Był to powszechny eufemizm dotyczący zlecenia nadprogramowych testów, które obniżały rentowność placówki. — A kilka tygodni temu dwie pielęgniarki z zakładu diagnostyki obrazowej złożyły pozew o molestowanie przeciw jednemu z naszych radiologów. — Wreszcie spojrzał na Jacka, ten zrewanżował się współczującym gestem. — Ty nie przysporzysz mi takich problemów, prawda?

Jack spojrział dyrektorowi prosto w oczy.

— Wciąż nic nie rozumiem, Steve. Coś mi się widzi, że nie nadajemy na tych samych częstotliwościach. Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

Downes odsunął krzesło od biurka i splótł dłonie na brzuchu, jego oczy nagle się zwężyły.

— Chcę ci powiedzieć dwie rzeczy, obie prywatnie. — Jack wyprostował się i zamarł, nie chciał uronić nawet słowa. — Sam Lewins został zastrzelony, ponieważ był aktywnym pedofilem.

Jackowi opadła szczeka. Niewiele wiedział o osobistym życiu niedawno zabitego profesora, słyszał jedynie o jego separacji z żoną i resztą rodziny oraz plotki o farbowaniu włosów. Słowa Downesa uderzyły w niego z siłą młota kowalskiego.

— Policja znalazła tony dziecięcej pornografii w jego mieszkaniu.

- Dyrektor obserwował reakcje swojego rozmówcy. — Naprawdę

ostre rzeczy, z tego co mi mówiono. A potem jakiś pojeb zadzwonił do „Chicago Tribune” i poinformował, że właśnie sprzątnął niegodziwego profesorka. Ostrzegł też, że ma naprawdę długą listę następnych zbrodniarzy do odstrzału. — Rozplótł palce i ułożył dłonie na blacie biurka. — To pewnie bzdury, ale nie wątpię, że znajdą się wkrótce na Pierwszej stronie wszystkich gazet.

29

Jack jęknął głośno. Skandal na kardiologii, opisany szeroko w prasie lokalnej, rozpęta prawdziwe piekło w szpitalu. Wszyscy od tego ucierpią.

— Druga sprawa dotyczy ciebie bezpośrednio i chciałbym, aby pozostała między nami. — Downes zamknął akta i odsunął je na bok.

— Potrzebujemy kogoś z jajami, kto by przejął oddział kardiologiczny i go poprowadził. — Poprawił nerwowo spodnie. — W moim mniemaniu jesteś najwłaściwszym kandydatem na to stanowisko.

Jack był tak zszokowany, że nie potrafił wydusić z siebie nawet słowa. Mięśnie twarzy mu stężały, oczy miał rozbiegane. List z rezygnacją nagle zmienił się w ofertę pracy. I to nie byle jaką — mógł zostać ordynatorem, może nawet profesorem jednego z najbardziej cenionych oddziałów kardiologicznych świata.

Zanim zdążył pozbierać myśli, Downes przedstawił mu Forde'a Becka, szpitalnego prawnika, do którego zwracał się z wyraźnym unizieniem. Beck bardzo przypominał dyrektora, miał wydatne sumiaste wąsiska, był równie brzuchaty, łysiejący i zręczliwy. Porozumiewał się niskim i bardzo nosowym głosem, tak charakterystycznym dla mieszkańców górnej części Środkowego Zachodu.

— Proszę zabrać te dokumenty do domu — poradził, wręczając Jackowi plik zadrukowanych kartek.

— Proszę zapoznać się z ich treścią, a potem zwrócić podpisane do administracji. — Podkreślił wąża.

— Tylko niech to nie trwa za długo.

Na pierwszej stronie pisma znajdowało się podsumowanie:

I Objęcie stanowiska ordynatora oddziału kardiologii w Szpitalu imienia Cartera w Chicago nabierze mocy prawnej w poniedziałek dwudziestego ósmego czerwca.

II Proponowane roczne wynagrodzenie wynosi 205 300 dolarów.

III Emerytura i opieka medyczna jak na stronie drugiej.

IV Zakres obowiązków służbowych wyszczególniony na stronach od trzeciej do dziesiątej.

V Koordynacja proponowanego przez Zemdon Pharmaceuticals październikowego debiutu nowego leku — strona dwunasta.

VI Rozwiązanie kontraktu — strona czternasta.

Proszę traktować zapisy niniejszego kontraktu jako ściśle tajne i poufne.

30

Wszystko to wydarzyło się jeszcze przed jedenastą rano. Otumaniony, zmieszany i podniecony Jack wziął sobie wolne na resztę dnia, aby pojechać do domu i przygotować odpowiedź. W chwili obecnej dochodziło już dwadzieścia po drugiej, a on wciąż nie potrafił dojść do siebie po tak dramatycznym zwrocie dotyczącym jego planów. Siedział wraz z żoną w salonie wynajętego mieszkania, znajdującego się na pierwszym piętrze budynku przy West Deming w dzielnicy Lincoln Park. Nowy kontrakt leżał przed nimi na podłodze, studiowali uważnie każdą kartkę. Ośmioletni Danny, który dopiero co wrócił z wizyty u dentysty, bawił się na dworze, ćwicząc strzelanie rzutów karnych.

— To jest to, panie Hunt. — Beth była rozanielona, jej oczy po raz setny przebiegały po linijkach kontraktu. Mała drobna Australijka miała radosne usposobienie, którym kompensowała humory Jacka. — Wielka rzecz, coś, na co pracowałeś przez całe życie. — Przytuliła się do niego mocno i pocałowała go prosto w usta.

Ale Jack zaraz się cofnął, na jego twarzy wciąż malował się niepokój.

— Sam nie wiem, Beth. Wydaje mi się, że jestem dla nich najłatwiejszym rozwiązaniem problemu. — Usiadł wygodniej w fotelu i zaczął się wachlować jedną ze stron kontraktu. — Za moment staną w obliczu ogromnego skandalu i mają świadomość, że to może być koniec dobrej reputacji szpitala. Więc wybierają najczystsze i naj-poręczniejszego gościa do tej roboty.

— Co dokładnie chciałeś przez to powiedzieć? — Beth spojrzała mu prosto w oczy.

Jack skupił się na obserwacji sufitu.

— Spędziłem kilka ostatnich godzin na czytaniu tego kontraktu i powiem ci jedno: ta sprawa cuchnie. — Zignorował niedowierzanie malujące się na twarzy żony. — Ci ludzie szukają urzędnika, nie pracownika naukowego. — Wskazał palcem punkt czwarty i piąty. — Zakres obowiązków służbowych. Przecież to standardowe formułki, nie ma tu nawet słowa wzmianki o pracy badawczej. A spójrz na następny punkt: Koordynacja proponowanego przez Zemdon Pharmaceuticals Październikowego debiutu nowego leku. Chcą, żebym płaszczył się przed jakąś ponadnarodową korporacją i wciskał ludziom jej najnowszy produkt.

31

— Czekaj no — przerwała mu Beth. — Tutaj nie chodzi tylko

o twoją posadę, ale o naszą przyszłość. Naszą wspólną przyszłość. Nie raczysz uwzględnić nas w swoich kalkulacjach? — Wskazała palcem na wysokość wynagrodzenia. — Dwieście pięć tysięcy dolarów. Kiedy udało ci się wynegocjować podobną kwotę pieniędzy?

Jack wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

— Tu chodzi o coś więcej niż tylko o pieniądze. O to, czy będę swoim własnym szefem i czy będę mógł działać wedle własnych kryteriów. Robić wszystko na swoją modłę, w sposób, o którym wiem, że jest najlepszy. Za wiele widziałem i doświadczyłem do tej pory, żeby dać się łatwo nabrać. Carter jechał zbyt długo na reputacji. Ktokolwiek podejmie się tej roboty, będzie musiał przenieść góry, zanim ta placówka odzyska światową klasę.

— Zatem stań się tym kimś — poprosiła Beth. — Całe lata o tym słuchałam. „Chcę mieć mój własny oddział.” Ile razy to powtarzałeś?

Jack postanowił zaprezentować jej swój upór w najgorszym wydaniu.

— Jeśli naprawdę mnie chcą, muszą przedstawić lepszą ofertę — wskazał palcem na kartki. — Zażądam więcej konkretów na umowie.

Beth także zaczęła tracić spokój.

— Mógłbyś przestać być tak samolubny?! — krzyknęła. Ten wybuch tak bardzo nie pasował do jego wyobrażenia o niej, że Jack zamarł z wytrzeszczonymi oczami. — Potrzebujemy domu, prawdziwego domu. — Przycupnęła na fotelu z długimi podłokietnikami, stojącym pod bocznym oknem, przez które mieli widok na pobliskie komunalne parcele, rękami objęła kolana. Jack stanął obok niej, odwrócił się plecami do okna i przysiadł ostrożnie na parapecie. Miał na sobie džinsy i koszulę z krótkim rękawem, pod pachami widniały już spore plamy potu.

— Danny zasługuje na coś więcej niż tylko mieszkania na wynajem — dodała. Na jej czole pojawiły się głębokie bruzdy ze zmartwienia.

W dusznym, wręcz lepiącym się od upału powietrzu rozległ się radosny krzyk. Go! Go! To Danny trafił do siatki. Beth poderwała się

1 pomachała chłopcu przez okno, a ojciec przekazał mu salut zaciśniętą pięścią. Zachwycony dzieciak najpierw zamachał obiema rękami,

32

a dopiero potem dostrzegł w oknie ojca. To był dla niego rzadki widok.

Beth odwróciła się.

— Zawsze byliśmy z tobą. Teraz ty musisz zrobić coś dla nas. Spojrzała ze złością na męża, w jej oczach płonął żar.

Jack chciał stanąć okoniem, ale nie miał serca. Wiedział, że jego żona ma rację. W dodatku była tak piękna, że jego opór nie mógł trwać zbyt długo. Jej włosy, klasyczny popielaty blond, spięte teraz z tyłu, wciąż nie traciły koloru. Miała długie ciemne rzęsy, piwne oczy, wysokie kości policzkowe i zmysłowe usta. Była szczupła i gibka, tylko nieco niższa od Jacka, bo mierzyła aż pięć stóp i osiem cali. Jak zawsze latem miała na sobie bawełniane szorty koloru kremowego, luźną bluzę, białe skarpety i adidasy i wyglądała tak wspaniale, że nic, tylko ją schrupać.

Spotkali się w Sydney, gdy Jack pracował w Parramatta General, najlepszej placówce medycznej w mieście. Byli jak ogień i woda. On — wysoki ciemnowłosy Irlandczyk z nosem utkwionym w książkach, i ona — wiecznie rozpromieniona Australijka, surferka, która nie umiała usiedzieć w domu. Na początku ich znajomości twierdziła, że nigdy nie osiadzie w Irlandii, ponieważ wyczytała, iż w tym kraju za udane lato uważa się czas, w którym leje tylko przez pół dnia.

Ale gdy złożyli pierwszą wizytę w jego ojczyźnie, zakochała się w zielonych łagodnych wzgórzach i dolinach otaczających wymalowaną na biało chatę, w której dorastał Jack. Uwielbiała siadywać wieczorami na werandzie i obserwować, jak słońce leniwie chyli się ku zachodowi na tle pokrytych snopkami siana pól, powołując do życia tak wiele długich cieni. Soczysta zieleń pastwisk stanowiła ogromny kontrast dla pełnych pyłu równin jej kraju ojczystego i to właśnie Beth poprosiła męża, aby zostali w Irlandii na dłużej. Dlatego Jack powrócił do szpitala Świętego Wincentego w Dublinie, przyjmując na sześć miesięcy posadę naukową i zabierając ze sobą rodzinę, czym uszczęśliwił starszą siostrę.

Niestety dość szybko otrzymał ciekawą propozycję z Filadelfii: oferowano mu katedrę na kardiologii z możliwością prowadzenia pracy naukowej. Ta oferta mogła uszczęśliwić ich oboje, Jackowi dając możliwość pracy naukowej, a Beth słońce i niebieskie niebo. Poza tym n'gdy wcześniej nie byli w Stanach.

33

— Weź tę posadę — poprosiła teraz Beth, trzymając Jacka mocno za rękę. Chwył był mocny, intencje czytelne. Szukała odpowiedzi w jego oczach. — To dla czegoś takiego pracowałeś przez tyle lat. Będziesz swoim własnym panem, będziesz miał własny oddział. — Zmusiła go w końcu, by spojrzał wprost na nią. — Profesor Hunt. Czego jeszcze możesz chcieć?

Jack rozłożył ręce.

— Lepszego kontraktu. Jeśli chcą kandydata najwyższej klasy, będą musieli zaakceptować kilka zmian w zapisach.

Beth opadła na fotel. Skuliła ramiona i ukryła twarz w dłoniach. Jack próbował ją przytulić, ale odepchnęła go.

— Ja już tak dłużej nie mogę — powiedziała cicho. — Nie dam rady przeprowadzać się raz po raz. Mam już tego dość. — Wytarła oczy o przód bluzy. — Nie wydaje mi się, by Danny także mógł to znieść. Poznał tutaj tak wielu przyjaciół. — Rozpuściła posklejane od potu włosy, potem spięła je ponownie z tyłu. — Szukaj dalej — powiedziała w końcu. — Z pewnością znajdziesz coś, co cię zadowoli, ale z nami się tą radością już nie podzielisz.

Zapadła pełna złości cisza, oboje odwrócili się i spojłali na syna biegnącego po ogrodzie.

Ten chłopak był ich światem, jej światem. Przez ciągłe przeprowadzki nie była w stanie podjąć żadnej pracy, a zaangażowanie Jacka w kolejne projekty medyczne zabierało mu naprawdę dużo czasu. Skutkiem tego zdecydowana większość jej energii kierowana była na wychowywanie syna. A że miała bardzo żywe dziecko, musiała zużywać jej naprawdę wiele. Chłopiec był zagorzałym piłkarzem, kibicował drużynom z całego świata: angielskiej Chelsea, hiszpańskiej Real Madryt, włoskiej Lazio. A kiedy nie dopingował swoich ulubieńców, kopał wszystko, co kształtem przypominało piłkę, i wybił więcej szyb, niż jego rodzice byli w stanie spamiętać. Miał już cztery stopy i siedem cali wzrostu, ciemne jak ojciec włosy i intensywnie niebieskie oczy. Wszystko wskazywało na to, że odziedziczył po nim również choleryczny charakter. Kiedy Danny'ego dopadała złość, robił się czerwony na twarzy i przygryzał przednimi zębami koniuszek języka, co stanowiło komiczny widok.

Nie rozmawiali przez prawie pięć minut, a potem Jack pochylił się i scałował łzy z oczu Beth. Chciała się odwrócić, ale przytrzymał ją

34

delikatnie, przyciskając usta do jej czoła. Zdjął zegarek i włożył go ostrożnie do jej lewej dłoni.

— Jest w tej chwili czternasta czterdzieści pięć. Mam podpisać kontrakt do siedemnastej. — Świeże łzy popłynęły z oczu jego żony. — Zabierz teraz Danny'ego do parku i spotkajmy się tutaj o siedemnastej trzydzieści.

Wyprostował się, twarz miał poważną, widać było na niej determinację. Wiedział, jak wiele wysiłku musiało kosztować Beth wypowiedzenie tych kilku słów. Nie była mściwą ani złą osobą. Jeśli coś mówiła, to absolutnie szczerze. Dlatego zapragnął tej profesury bardziej niż jeszcze przed chwilą. Jednakże nie za każdą cenę.

Kiedy Beth wychodziła z Dannym, on udał się do zapasowej sypialni, której używał jako tymczasowego biura, i usiadł przy komputerze. Usłyszał odgłos zamykanych drzwi, potem wołanie Beth. Włączył

komputer i czekał niecierpliwie, aż wszystkie programy się załadują. Zegar widoczny w lewym górnym rogu monitora wskazywał piętnastą jeden. Miał czas do siedemnastej, aby uratować karierę i małżeństwo. Zaczął pisać pierwszą wersję faksu do Steve'a Downesa.

Jack nie oszukiwał sam siebie. Wiedział doskonale, dlaczego dyrektor dostrzegł w nim idealnego kandydata na niespodziewanie wolne stanowisko. Zarząd szpitala chciał położyć kres serii problemów, które narastały od pewnego czasu, by wraz ze śmiercią Sama Lewinsa spowodować prawdziwą katastrofę.

Oprócz niego na oddziale kardiologicznym Cartera pracowało jeszcze trzech lekarzy z dużym stażem. Najstarszy stopniem, zaraz po Lewinsie, był Harry Chan, kardiolog urodzony w Hongkongu i wykształcony w Princeton. Niski, drażliwy, nosił okulary o niezwykle grubych szklach. Trzęsły mu się ręce i miał straszny, nerwowy śmiech. Harry miał też pecha do kobiet. Jego aktualna żona była już trzecią i jeśli wierzyć pogłoskom, to małżeństwo również nie należało do udanych. Harry miał także pecha w czymś jeszcze. Uprawiał hazard i bez przerwy narzekał na brak gotówki. Karciane długi i alimenty zatruwały mu życie. Większość ludzi uważała, że Chana trzyma w Carterze tylko wysokość zarobków.

Następny był Martin Shreeve, poprzednio pracujący w klinice gdzieś w Cleveland. Miał tak straszną nadwagę, że z trudem mieścił S1? w szpitalne mundurki. Miał też więcej włosów na twarzy niż na

35

głowie, co przynajmniej pozwalało mu ukrywać kolejne podbródki. Shreeve jadł nie to co trzeba i pił zbyt wiele, wypalał co najmniej trzy paczki papierosów dziennie i nie robił więcej niż pięć kroków na raz, jeśli mógł pokonać ten dystans samochodem. Plotka głosiła, że zamierza otworzyć prywatny gabinet. Było tajemnicą poliszynela, że zjawia się w pracy ostatni i wychodzi pierwszy.

Ostatnim ze starszych asystentów był Nat Parker, człowiek po lokalnej uczelni, ale pochodzący z Zachodu. Wysoki, kościsty, czarnoskóry mężczyzna o nadzwyczaj ruchliwych kończynach i nieprzyjemnym zwyczaju wruszania ramionami, gdy zaczynał się irytować, znany był z uprzejmości i powszechnie darzony zaufaniem — krył swoich kolegów nawet ze szkodą dla siebie. Cieszył się sporym poważaniem w szpitalu, wielu lekarzy otwarcie przyznawało, że chciałoby, aby posiadał więcej ambicji i agresji i sięgnął po zwolnione nagle stanowisko. Ale ten oddział potrzebował kogoś, kto ma więcej oleju w głowie. Kogoś czystego. Nie uwikłanego w żadne skandale.

Kogoś takiego jak Jack Hunt.

O piętnastej trzydzieści pięć zadzwonił do Downesa i poinformował go, że przesłał faks ze szczegółową odpowiedzią na jego propozycję. Dodał, że chciałby zakończyć negocjacje przed siedemnastą albo jego rezygnacja nabierze mocy prawnej. Przesłany dokument zawierał pięć stron tekstu, w którym przedstawił dokładny plan przekształceń wydziału badawczego i rewitalizacji oddziału klinicznego. Zażądał także rocznej pensji w wysokości trzystu tysięcy dolarów. Kwestie emerytalne i opieki zdrowotnej pozostawił bez zmian.

Wyjaśnił to wszystko Downesowi.

— Cztery lata temu Carter był numerem dwa na liście dziesięciu najlepszych szpitali w Ameryce Północnej. — Dane zaczerpnięte z ratingów „US News & World Report” dotyczyły liczby światowej klasy oddziałów, jakie posiadała ta placówka. Dla przykładu, oddział pediatrii pourazowej przyciągał wielu zagranicznych studentów i lekarzy, którzy pracowali na nim, by uczyć się nowatorskich metod z pierwszej ręki. — Oddziału kardiologicznego zazdrościły wam wszystkie szpitale Wschodniego Wybrzeża. Ale w ostatnim zestawieniu spadliście aż na piątą pozycję. — Usłyszałem, że Downes prycha pogardliwie, więc dokręcił śrubę jeszcze mocniej. — Stało się tak przez znaczny spadek poziomu w sekcji kardiologicznej. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

36

Ciągłe ataki mediów na szpital nie uszły uwagi większości personelu. — Do ciebie zapewne nie docierają szmery niezadowolenia z przebiegów, ale ja je słyszałem. 1 zapamiętałem. — Faktycznie, wśród wyższego personelu medycznego rozlegało się wiele pełnych rozgoryczenia komentarzy, że zarząd nie robi nic, by zmienić ten stan rzeczy. Główną przeszkodą na drodze reform był Sam Lewins. Teraz kiedy go zabrakło, zarząd powinien wreszcie zrozumieć, że tylko zmiany gwarantują odzyskanie pozycji. — Jeśli urządzisz konkurs na to stanowisko, stracisz sporo czasu i doprowadzisz do konfliktu. Ogranicz straty i daj mi wolną rękę — naciskał. — Przemysł sprawę — poradził i odwiesił słuchawkę.

O szesnastej siedem zadzwonił telefon.

— To ty, Jack? — Połączył się z nim prawnik szpitala, Beck, sądząc po głosie mocno wkurzony. — Szczerze mówiąc, nie lubimy być przymuszani do podejmowania w tak szybkim czasie równie poważnych decyzji. Stanowisko profesora oddziału kardiologii w Szpitalu imienia Cartera jest jedną z najbardziej prestiżowych posad w Ameryce Północnej. Gdybyśmy ogłosili konkurs, z pewnością zgłosiłoby się wielu znakomitych kandydatów.

Jack trzymał nerwy na wodzy.

— Panie Beck, ja z panem nie pogrywam. Nie lubię takich gier, moim zdaniem to tylko strata czasu. Potrzebuje pan kardiologa z najwyższej półki, żeby podnieść notowania tego oddziału. Jeśli ogłosi pan otwarty konkurs, pozostali trzej starsi stażem lekarze zrobią panu piekło za pominięcie ich w procedurze naboru... — przerwał, żeby jego słowa dokładnie wryły się w pamięć rozmówcy. — A to może z kolei sprawić, że każdy rozsądny kandydat będzie wolał trzymać się z dala od waszej oferty.

Czekał i słuchał. W słuchawce panowała kompletna cisza, nie wychwytywał nawet odgłosów oddechu Becka, wywnioskował więc, że ma do czynienia z telekonferencją.

— Oddzwonię.

Beck powiedział to tak, jakby zamierzał natychmiast odłożyć słuchawkę, zatem Jack wtrącił szybko:

— Przesyłam panu faks z poprawkami. Proszę go uważnie przeczytać i dać mi odpowiedź. Została nam niespełna godzina na zawarte tej umowy. — Odłożył słuchawkę.

Kolejny dokument zawierał komplet informacji na temat problemów oddziału kardiologicznego, których istnienia Beck i Downes mogli nie być świadomi. Jack przedstawił szczegółowo przypadki zniżania standardów, braku dyscypliny, zwykłej arogancji i niedostatków w wyszkoleniu rezydentów. Zakończył podniesieniem wynagrodzenia do trzystu dziesięciu tysięcy dolarów, tyle według niego były warte porządki w tym burdelu. Nie chodziło mu o pieniądze, ale nie chciał, aby pomyśleli, że jest jakimś głupkiem. Kukiełką, która połakomi się na każdy ciśnięty jej kąsek.

Jack zabijał czas, rzucając o ścianę gabinetu piłeczką baseballową. Spocił się przy tym strasznie, w ustach mu zaschło. Co ja do cholery robię? Czy żelazne zasady po raz kolejny zamkną mi drogę do prawdziwej kariery? Będę musiał stanąć przed Beth i Dannym jako bezrobotny, jeśli ten plan nie wypali.

Zrobił szybki wypad do lodówki i wrócił z napoczętą puszką coca-coli. Wypił jej zawartość duszkiem. Na zewnątrz popołudniowe słońce już chyliło się ku zachodowi, ale powietrze wciąż było rozgrzane. W mieszkaniu można się było udusić nawet przy klimatyzacji ustawionej na maksimum. Dla odwrócenia uwagi zaczął przeglądać e-maile. Miał trzy nowe wiadomości, jedną otrzymał od providera, była to oferta wylosowania darmowej podróży na Florydę, o ile zgodzi się na wypełnienie dołączonego kwestionariusza. Wykasował ją. Druga zawierała biuletyn Amerykańskiej Fundacji Serca. Nie otworzył go przed wyrzuceniem do kosza. Przy trzeciej wiadomości zatrzymał się dłużej.

JACK, WŁAŚNIE DOWIEDZIAŁEM SIĘ, ŻE MAM STARSZEGO BRATA. MOŻE TY TEŻ MASZ JEDNEGO?

Podpisano: C.

Co to miało znaczyć do jasnej cholery?

Projektem badawczym, który obecnie najbardziej zaprzątał Jacka, było powiązanie chorób przebytych w dzieciństwie z rozwojem chorób serca. Krótko mówiąc, jeśli jego hipoteza była prawdziwa, młodzi ludzie, którzy przebyli w dzieciństwie szereg poważnych infekcji, byli bardziej narażeni na atak serca z powodu uszkodzonych arterii. Aby tego dowieść, musiał zgromadzić grupkę młodych pacjentów, u których stwierdzono początki takich schorzeń. Niestety nigdy nie pozostał wystarczająco długo w jednym miejscu, by przeprowadzić

wszystkie potrzebne badania. Zasugerował tę zależność przez Internet wszystkim znanym kolegom po fachu z gorącą prośbą o ich komentarze. Otrzymał wiele wypowiedzi krytycznych, a nawet lekceważących e-maili, których autorzy sugerowali, by przestał zajmować się pierdołami i wrócił do poważnych badań opartych na aktualnym stanie wiedzy. Tylko jedna osoba zareagowała inaczej. Doktor Carlotta Drunker z Sacramento w Kalifornii.

Jack wiedział o niej niewiele, znał jedynie jej wiek (czterdzieści trzy lata), status zawodowy (dyrektor naukowy) i stan cywilny (samotna, bezdzietna). Doktor Drunker była bardzo zainteresowana informacjami o zależnościach pomiędzy chorobami zakaźnymi wieku dziecięcego a schorzeniami

kardiologicznymi, dlatego zaczęli korespondować. Wspomniała kiedyś, że jeszcze jeden lekarz zajmuje się podobnym problemem gdzieś w Kolorado, ale już dawno straciła z nim kontakt.

W pewnym momencie Beth zaczęła podejrzewać, że taka ilość wymienianej korespondencji oznacza coś więcej niż tylko kontakty zawodowe, i zażądała, aby Jack pokazał jej wszystkie e-maile. Przez kilka kolejnych dni chodziła nadąsana, jakby poczuła wielki zawód, że jej mąż jednak nie interesuje się niczym poza medycyną.

Ostatnio niektóre e-maile od Carlotty były zastanawiające, by nie powiedzieć: dziwaczne. Zamiast interesujących wypowiedzi na tematy związane z projektem przychodziły jednozdaniowe wiadomości, których treści Jack nie był w stanie pojąć. Zaczął się nawet zastanawiać nad stanem zdrowia psychicznego koleżanki. Ale w tym akurat momencie musiał się skoncentrować na własnych problemach, które wydawały się o wiele większe. Dlatego teraz wykasował także tę wiadomość.

Steve Downes zadzwonił dopiero o czwartej czterdzieści jeden.

— Wciąż pracuję nad naszą ostateczną ofertą.

Dłonie Jacka były tak spocone, że słuchawka nieomal wyślizgnęła mu się z rąk.

— Skąd to opóźnienie? — Wytrzeł rękę o spodnie i czekał na odpowiedź.

— Cholera, Jack, poprosiłeś o furę pieniędzy — usprawiedliwił S1ę Downes. — Obawiam się, że rada nadzorcza nie wyrazi zgody na tak wielkie wydatki.

39

Jack wyobraził sobie dyrektora oraz jego prawnika, siedzących przy olbrzymim biurku na dziesiątym piętrze, ślęczących nad cyframi, wyliczających wszystko co do centa. Jak każdy lekarz zajmujący się kwestiami naukowymi, Jack bujał w obłokach. Ale tego dnia odrobił zadanie domowe. Po porannej dyskusji wykonał kilka dyskretnych telefonów i dowiedział się, że Beck zarobił za ostatni rok nie mniej niż sto dziewięćdziesiąt tysięcy, a Downes jeszcze więcej. Ich uposażenie było o niebo wyższe niż pensje któregośkolwiek lekarza zatrudnionego w tej placówce. I na tym oparł swój plan. Zdecydował się na zagranie atutem: posiadaną o nich wiedzą. Bo w medycynie, jak nigdzie indziej, wiedza liczy się najbardziej.

— Steve, daj spokój. Oddział kardiologiczny padnie, kiedy „Chicago Tribune” opublikuje artykuł o pedofilskich skłonnościach Le-winsa. Pies z kulawą nogą się nie zgłosi, jeśli sprawa rozniesie się po obu wybrzeżach. — Spojrzał na monitor komputera. Zbliżała się szesnasta czterdzieści trzy. Beth i Danny wkrótce wrócą do domu. Co ja mam zrobić, do cholery? — Oto moja ostateczna propozycja. Wezmę tę posadę i postawię na nogi wasz oddział, jeśli dacie więcej pieniędzy na badania. W ciągu ostatnich pięciu lat Carter nie opublikował ani jednej znaczącej pracy. Martwią cię trzy ostatnie procesy o zaniedbania, ale jeśli ten oddział nadal będzie wyglądał jak okręt pozbawiony sterów, czeka cię cały zalew pozwów sądowych dotyczących błędów lekarskich — przerwał, by zaczerpnąć tchu. — Ktoś musi wprowadzić u was naprawdę znaczące zmiany. I to mogę być ja. Na dodatek wezmę na siebie odpowiedzialność za

nauczanie i szkolenie na oddziale kardiologii inwazyjnej. — Ta część działalności podupadła najbardziej, jeden z asystentów już złożył zażalenie na niski poziom. — Nie podoba mi się też pomysł z rozpoczęciem kampanii nowego leku dla Zemdona Pharmaceuticals i uważam, że w najbliższym czasie powinniśmy odsunąć ten projekt na boczne tory. Są inne, znacznie pilniejsze sprawy.

Dyrektor odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— Jakoś to przeżyję. Mogę odstąpić ten projekt komuś innemu.

Jack aż przysiadł na podłodze, tak go wycieńczyły negocjacje.

— Potrzebuję konkretnej odpowiedzi do siedemnastej. Tak albo nie. To ostateczny termin. — Na koniec zdecydował się spróbować szczęścia. — Ale moje wynagrodzenie rośnie do trzystu dwudziestu tysięcy dolarów.

40

Odłożył słuchawkę, zanim z mikrofonu dobiegło pierwsze z wielu przekleństw.

Jack zaczął nerwowo krążyć po mieszkaniu. Ustawił klimatyzację na maksimum, lecz mimo to wciąż lepił się od potu. Wargi i krtań miał wyschnięte na wiór. Zmierzył sobie puls i ze zdumieniem skonstatował, że przekracza już sto uderzeń na minutę, o trzydzieści więcej niż zazwyczaj. Czuł tak wielki nacisk na pęcherz, że musiał chodzić do łazienki dosłownie co dziesięć minut, za każdym razem jednak wydalając minimalną ilość moczu, zupełnie jak pies znaczący kolejne latarnie. Zdołał opróżnić całą lodówkę z płynów, odświeżał się więc, ssąc kostki lodu.

Siedemnasta nadeszła i minęła. Ostateczny termin także. Co się tam dzieje? Rzucił okiem przez okno, by sprawdzić, czy Beth z Dan-ym już wracają do domu. Dostrzegł jedynie czarnego kota obwąchującego worki ze śmieciami i kilku przypadkowych przechodniów.

O siedemnastej piętnaście przemógł się i podniósł słuchawkę. „Jakoś to przeżyję. Mogę odstąpić ten projekt komuś innemu.” Słowa wypowiedziane przez Downesa kołatały mu się po głowie. Zaczął wybierać numer. Dlaczego naciskałeś ich tak mocno? Trzysta dziesięć tysięcy było do przełknięcia. Cholera, po co podwyższyłeś stawkę do trzystu dwudziestu tysięcy? Nie wcisnął ostatniego klawisza. Dość tego. Powrócił dawny upór. Jack usiadł na podłodze i modlił się w myślach o pierwszy sygnał telefonu.

Weszli do pokoju, ale on ich nawet usłyszał. Beth była mokra od potu, bluza przylepiała się jej do ciała. Danny trzymał futbolówkę pod lewym ramieniem, a w prawej dłoni ręcznik, obie nogi miał pokryte pyłem. Żadne się nie odezwało na widok Jacka siedzącego na podłodze z miną, która mówiła wszystko. Podobnie jak ich twarze. Chłopak wyglądał na równie smutnego jak jego matka.

— Czekam na telefon.

Jack usiłował się uśmiechnąć, ale Beth bez słowa obróciła się na pięcie i wyszła.

— Chodź, Danny, dam ci loda.

Nigdy jeszcze nie słyszał u niej tak zimnego tonu. Chciał wstać, ale nie miał siły. Co ja mam jej powiedzieć? Spieprzyłem wszystko. Stra-

41

ciłem pracę i znów znalazłem się na ulicy. Zacznie się przeszukiwanie czasopism medycznych, rozsyłanie CV, chodzenie za pracą. Rozmowy kwalifikacyjne. Ale tym razem będę sam. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siedemnasta czterdzieści osiem. Już po wszystkim, sam ustaliłeś deadline. Oboje wiedzą, że jesteś załatwiony.

Gniewne krzyki Beth, która odkryła właśnie, że lodówka jest pusta, nieomal zagłuszyły dźwięk telefonu. Nie od razu sięgnął po słuchawkę, czekał niemal trzydzieści sekund.

— Jack Hunt.

Sam się zdziwił, że potrafi tak doskonale kontrolować głos. Wyczuł, że Beth stoi za nim, wyciągnął ku niej rękę. Ujęła jego dłoń i ścisnęła lekko. Danny został w drzwiach pokoju, przestępując nerwowo z nogi na nogę, bał się nawet słuchać.

— Mówi Forde Beck.

Jack wstrzymał oddech. Steve Downes nie pofatygował się osobiście. To mogło oznaczać odrzucenie warunków.

— W tej chwili przesyłam ci faks. Daję ci trzydzieści minut na zapoznanie się z jego treścią. Po upływie tego czasu oczekuję odpowiedzi. Jeśli do osiemnastej trzydzieści nie dostanę jej, uznam, że nasza oferta została odrzucona, i ogłoszę konkurs na to stanowisko. — Tym razem Beck odłożył słuchawkę pierwszy.

Faks składał się z dwunastu stron. Pierwsze siedem zawierało listę zmian, jakim może być poddany oddział kardiologii. Ich ciężar spoczywał wyłącznie na barkach nowego szefa i miał być poddawany cyklicznemu audytowi. Na stronach od ósmej do dziesiątej zawarto szczegółowe zobowiązania dotyczące akademickich standardów i nowych funduszy na badania naukowe. Strona jedenasta została w całości poświęcona kwestiom dyscyplinarnym i klauzulom rozwiązania kontraktu. Zwłaszcza istotny był paragraf dwudziesty czwarty, traktujący o obowiązkowych testach na obecność substancji uzależniających. Ostatnia, dwunasta strona, przedstawiała warunki finansowe:

Podana suma obejmuje pensję ordynatora oddziału i osoby sprawującej nadzór nad projektami badawczymi, z uwzględnieniem dodatkowych godzin na nauczanie i szkolenie, zgodnie z informacjami znajdującymi się na stronach od ósmej do dziesiątej. Zostały w niej

42

również uwzględnione przyszłe dochody oddziału kardiologii inwazyjnej i natychmiastowe przejęcie obowiązków. Mając na uwadze wszystkie powyższe kwestie, rada nadzorcza wyraża zgodę na ustalenie rocznych zarobków w kwocie trzystu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, z zaznaczeniem, iż zgoda jest wyrażona na okres dwóch lat.

Jack raz jeszcze przeczytał ostatnią stronę, potem bez słowa podał ją Beth. Spojrzał w stronę Danny'ego i uniósł oba kciuki w górę. Chłopiec uśmiechnął się z ulgą, a potem natychmiast zniknął w salonie, gdzie zaczął kopać jak szalony piłkę tenisową.

Beth opadła na kolana i przebiegała wzrokiem zapisy kontraktu, porozdzierała faks na osobne strony, sprawdzając, czy nie ma jakichś ukrytych aneksów, które zniweczyłyby efekt początkowy. W końcu uszczęśliwiona przeszła do strony dwunastej i chłonęła każde słowo na niej zapisane. Prześlizgiwała się po nich szybko oczami, raz po raz odczytując treść trzech krótkich, ale jakże znaczących zdań. Było widać, że powoli dociera do niej pełne znaczenie nowej umowy. Wysokość uposażenia była niewyobrażalna dla nich obojga. Oznaczała szansę na własny dom. Nowy samochód. Kolejne dziecko.

Beth rzuciła się na męża, zasypując jego twarz pocałunkami.

— Ty gnojku, cholerny Irlandczyku bez serca. Gdybym tak cię nie kochała, zabiłabym na miejscu. — Przewróciła go na łóżko, zamknęła cicho drzwi, potem stanęła przed nim i zaczęła zdejmować ubranie. — Nawet nie myśl, że mnie dotkniesz przed podpisaniem tego kontraktu. — Przeszła do łazienki i odkręciła kurek prysznicza.

W czasie gdy się kąpała, Jack zadzwonił do szpitala, by potwierdzić przyjęcie wszystkich warunków.

— Witamy na pokładzie, profesorze. — Beck roześmiał się. Wydawał się zadowolony, wręcz szczęśliwy. — Ciężko się z panem negocjuje — pogratulował — ale wywalczył pan to, na co zasługuje. Proszę przyjść jutro, najpierw podpiszemy papierki. Spodziewamy się Po panu naprawdę wielkich dokonań.

Jack nie mógł powstrzymać się od westchnienia ulgi.

— Nie mogę powiedzieć, że lubię takie targi, ale gwarantuję, że szpital z pewnością nie pożałuje wyboru.

43

Beck odkaslnął cicho.

— Ja też mam taką nadzieję, profesorze. Może być pan pewien, że nie chciałbym pana wyrzucać z roboty, zważywszy na rozgrywkę, którą właśnie zakończyliśmy. Obaj roześmiali się nerwowo.

ROZDZIAŁ 4

Środek lata w Chicago. Upał. Temperatury sięgają niemal stu stopni, zwykły spacer zamienia się w walkę z ociążałymi nogami. Nawet wiatr przemykający pomiędzy ścianami wieżowców nie daje wystarczającej

ochłody, większość ludzi ucieka na plaże albo w pobliże fontann lub chroni się w zaciszu domowych klimatyzatorów. Rolkarze przemykający po nabrzeżnej esplanadzie raczej suną bezwolnie, niż odpychają się od asfaltu, a przepoceni policjanci szukają tylko okazji do wlepienia mandatu każdemu, kto w ich mniemaniu łamie przepisy. „Chryste Panie, zabieraj się stąd. Nawet nie próbuj tutaj parkować.” Elektrownie z trudem dostarczają energię do żarłocznych urządzeń klimatyzacyjnych, choć kierowcy taksówek twierdzą, że tym upałem i tak daleko do sytuacji z dziewięćdziesiątego piątego, kiedy to zanotowano czterysta przypadków zgonu na skutek udarów cieplnych, i to w niespełna dwa tygodnie. Wielkie chłodnie wciąż zwoziły ciała do biura koronera hrabstwa Cook, chociaż kostnice już pękały w szwach.

Hend de Mart nie przejmował się upałem, przywykł do takich warunków. Uwielbiał burze z piorunami, które pojawiały się przed wieczorem, to ich gwałtowne crescendo, ten lśniący taniec pomiędzy wieżami Sears Tower albo Hancock Center w śródmieściu. Dziesięć minut wystarczało, by ogłuszające grzmoty i pajęczyny błyskawic pomknęły hen, nad jezioro Michigan, pozostawiając na ulicach miasta Parującą błyskawicznie wilgoć, nieuchronne następstwo każdej ulewy. Na blokowiskach i w slumsach Southside dzieciarnia mogła pluskać się w wodzie wypełniającej wyrwy w nawierzchni ulic, obrzuca-

45

jąc się lepkiem błockiem i piszcząc przy tym z uciechy. Nawet dilerzy narkotykowi witali taki deszcz z radością. Kiedy wszyscy na ulicy są przemoczeni do suchej nitki, oni sami wyglądają mniej podejrzanie.

Hend de Mart miał trzydzieści lat, sześć stóp i sześć cali oraz dwieście dwadzieścia funtów żywego południowoafrykańskiego mięcha. Ale był białasem, Afrykanerem o wypłowiałych od słońca blond włosach, które układał z tyłu w kaczy kuper. Charakterystycznego wyglądu dopełniały ciemnoniebieskie oczy, wydatne jabłko Adama i całkiem niezła muskulatura. Był urodzonym zabijaką. Jako nastolatek przez kilka lat grał w rugby w drużynie z Johannesburga, gdzie zyskał przydomek „Tasak”. De Mart pragnął tylko zwycięstwa, wygranej za wszelką cenę. Kości były łamane, mięśnie zrywane, przeciwnicy tratowani. Ta straszliwa reputacja i wielkie ambicje przydały mu się nieco później, gdy zaczął pracę w lokalnej firmie handlującej złotem. Był w niej cynglem i zarazem handlowcem, dzięki ogromnej posturze i równie wielkiej sile fizycznej często zastraszał potencjalnych klientów, uzyskując lepsze warunki kontraktów. Potrafił też skutecznie wycisnąć dłużników. Wkrótce zyskał w nowej branży równie wielką sławę jak wcześniej na pokrytych pyłem boiskach.

Teraz de Mart pracował dla Zemdron Pharmaceuticals. Został zwerbowany w Johannesburgu, przeszkolony w Szwajcarii, potem przekazany do nowojorskiego oddziału zarządzanego przez Stana Dankera. Następnego dnia po nominacji Jacka na ordynatora oddziału kardiologii w Szpitalu imienia Cartera Danker zapisał wielkiego Afrykanera do swojego klubu tenisowego na Manhattanie. Przycupnęli teraz obaj w ciasnej i dusznej łaźni parowej, z dala od wścibskich uszu. Dochodziła dopiero jedenasta rano, pora, w której przybytek ten świecił pustkami.

— Hend, mamy problem, który musi być załatwiony od ręki. — Danker rozpoczął wyjaśnienia, ocierając pot z czoła. — Powiem ci najpierw, jak działa nasza branża, żebyś wiedział, do czego zmierzam. — Siedzieli na drewnianych stołkach przepasani ręcznikami, zgięci w pół spoglądali na podłogę, gorąca para

opływała ich ciała. De Mart kreślił wielkimi paluchami u stóp zawile kształty na pokrytych wilgocią kafelkach. — Podstawy są takie same, bez względu na to, czy masz do czynienia z wielką czy małą firmą. — Danker zdecydowanie przetarł włosy końcówką ręcznika. — Żołnierzami firmy

46

są mężczyźni i kobiety, którzy wydzwanają po szpitalach albo gabinetach, oferując nasze produkty, umawiają się na spotkania, składają wizyty- Oprócz funkcji handlowych ludzie ci spełniają także inną, poważniejszą rolę: gromadzą dla nas dane. Każdy lekarz jest oceniany pod kątem przydatności, sprawdzamy, co przepisuje pacjentom, jakie ma upodobania. Przedstawiciele medyczni składają raporty supervisory, którzy dokonują ich analizy i przekazują co cenniejsze i bardziej interesujące dane dalej, do central krajowych. — Pogmerał przy panelu sterującym, żeby zmienić ilość dozowanej pary. — W każdym kraju mamy dyrektora naczelnego, który odpowiada bezpośrednio przed Zurychem. Tam siedzą grube ryby, tam prowadzą wszystkie drogi naszego imperium. — De Mart podciągnął kolana i objął je swoimi niedźwiedzimi ramionami, obserwując rozpraszającą się parę. Słyszał już raz taką gadkę w Szwajcarii. — Ale mamy także pewną liczbę tajnych zespołów decyzyjnych... — Danker przerwał z rozmysłem. A zaciekawiony de Mart spojrział na niego przez ścianę bieli. — Nie zawsze koła zyskowności obracają się swobodnie. — Stan przeszedł do konkretów. — Czasami wymagają delikatnego popchnięcia. — Wstał i przeciągnął się, sprawdził wzrokiem całą łaźnię, zanim ponownie usiadł.

De Mart nie spuszczał z niego wzroku.

— Co dokładnie oznacza ten termin? — odezwał się po raz pierwszy. Ktokolwiek go słuchał, nie miał wątpliwości co do jego obcego pochodzenia.

Danker pokręcił ramionami w jedną i w drugą stronę, później obrócił głowę tak mocno, że aż chrupnęło.

— Pozwól, że powiem ci coś jeszcze. — Wytarł obie nogi ręcznikiem, po czym zaczął starannie osuszać kolejne palce. Jego towarzysz wyglądał na zniecierpliwionego. — Produkuje leki. Powinny one docierać do finalnego odbiorcy, do milionów ludzi na całym świecie. Dobrze mówię? — De Mart skinął głową. — Pomiędzy nami a klientem znajdują się lekarze. Jeśli przepisują nasz lek, zarabiamy. Jeśli używają leków innych firm, tracimy. Dlatego musimy mieć ich po naszej stronie. A tymi, na których nam najbardziej zależy, są lekarze opiniotwórcy. Najmądrzejsi spośród wszystkich ludzi, którzy zajmują się medycyną. Ich opinie mogą zwiększyć bądź załamać sprzedaż produktu. — De Mart przeszedł do trybu uważnego słuchania, kiwał

47

głową, kwitując każdy punkt wypowiedzi. — Są też nasi wrogowie

— kontynuował Danker. — Sukinsyny zasrywający naszą ofertę. Obserwujemy ich bardzo uważnie. Jedno oświadczenie kogoś z ich środowiska i natychmiast kontratakujemy.

— Jak? — przerwał mu Afrykaner.

Danker rozejrzał się uważnie, kilku obcych mężczyzn weszło do sauny, znajdowali się zbyt blisko nich, żeby mógł swobodnie kontynuować rozmowę.

— Chodźmy popływać.

Przeszli do wielkiego basenu wyłożonego błękitną mozaiką ozdobioną wizerunkami delfinów. Woda była ciepła, nad jej powierzchnią unosiła się leciutka mgiełka. Wokół nie było nikogo, gorączka luncho-wa jeszcze się nie rozpoczęła, zanurkowali więc obaj i zaczęli młócić rękami wodę.

Dziesięć długości później oparty o brzeg basenu Danker powiedział:

— Najpierw staramy się załatwić sprawę grzecznie. Firma ma wielu ważnych ludzi w kieszeni. Lekarzy, dziennikarzy, wydawców pism medycznych. Propagatorów zdrowia w mediach. Całe lata budowaliśmy tę sieć powiązań, topiąc w niej masę pieniędzy. Egzotyczne wycieczki, wykwinne obiady, sponsoring, hojne dotacje, dotacje do sprzętu medycznego. — Zsunął się w głąb ożywczej wody, odwrócił i znów oparł łokcie o brzeg mozaiki. — Najpierw prosimy kogoś z tych ludzi o oddanie przysługi. Wiemy, który wydawca znajdzie dla nas stronę na reklamę, który lekarz napisze tendencyjny artykuł, jaka stacja da nam czas antenowy. — Odbił się i popłynął stylem grzbietowym na głębszą wodę, skąd wrócił, ostrożnie idąc po dnie. — A jeśli to nie zadziała, podejmujemy bardziej zdecydowane akcje, aby zyskać pewność, że taki zasraniec nie będzie nas w przyszłości obgadywał.

— Zanurkował, dotknął rękami kafelków na dnie, potem zrobił przewrót i odbił się nogami. Po wypłynięciu na powierzchnię ostrożnie przetarł oczy. — W tym momencie wkraczasz ty.

De Mart uśmiechnął się.

— Obawiałem się, że pan nigdy nie przejdzie do konkretów.

— Mamy haki na niemal każdego ważnego lekarza. — Danker wrócił na brzeg basenu. — Wiemy, który bije żonę albo pije, kto jest narkomanem, a kto pedofilem. Znamy też tych, którzy lubią się prze-

48

bierać w damskie ciuszki, wypalonych albo zwyczajnie skończonych. Czasami wystarczy kilka słów albo zdjęć przesłanych e-mailem i malkontent zmienia zdanie. Albo przynajmniej zamyka gębę na kłódkę.

Zanurzył głowę na moment i zaraz strzasnął z niej nadmiar wody.

Takimi to sposobami zapewniamy swobodę ruchu kołom zyskowności.

Afrykaner wstał, by po chwili zanurkować w głębszym końcu basenu; kiedy zaczął płynąć, jego ramiona tak mocno uderzały w wodę, że zdawało się, iż jeszcze bardziej ją rozgrzewają. Pokonał dwadzieścia długości, potem podciągnął się na brzeg. Podniósł ręcznik i podszedł dziarskim krokiem do czeszącego się Dankera.

— Co mam zrobić?

Danker podniósł głowę.

— Hend, chcemy, żebyś kontrolował dla nas Chicago. Nie przesadzę, jeśli powiem, że od twojego sukcesu zależą losy całej firmy.

Usiedli na skraju basenu. Wyglądali na swoje przeciwieństwa: Danker szczupły i proporcjonalnie zbudowany, de Mart muskularny i przysadzisty. Nawet ich akcenty pozostawały w kontraście — nowojorskie zaciąganie przeciw afrykanerskiemu zaśpiewowi. Przez odległe może o dwadzieścia stóp panoramiczne okno mieli widok na niewielką siłownię, w której rekiny finansjery wypacały kolejny zbyt obfity obiad.

— Będziesz hojnie opłacany, amerykańskie dolary na numeryczne konto w Szwajcarii. Nie do wyśledzenia przez służby skarbowe. Gotówkę możesz pobrać na całym świecie już po dwunastu godzinach od zlecenia. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wrócisz do Jo-hannesburga pod koniec roku jako niezwykle bogaty człowiek.

De Mart spojrzał głęboko w oczy Dankera, jakby szukał w nich jakiegoś podstępu.

— Podoba mi się to, co usłyszałam. — Marzył mu się dom z prawdziwego kamienia w którymś z bogatszych miast na zachodzie przyłądka, może w Hout Bay, gdzie widoki na morze są tak niesamowite; do tego wystarczająca ilość pieniędzy, by kupić niewielką łódź rybacką i spędzać czas na opalaniu, podczas gdy spławik będzie się moczył w granatowej toni.

— Planujemy rozpoczęcie światowej promocji nowego leku na Początku października — poinformował go Danker. — To będzie bar-

49

dzo nagłośniona i kosztowna operacja, powinna też uzyskać poważne wsparcie oddziału kardiologii Szpitala imienia Cartera w Chicago. Ale cztery dni temu nasz najgorętszy zwolennik w tej placówce został zamordowany i zostaliśmy z pustym fotelem, bez ważnej szychy, która mogłaby wesprzeć naszą promocję. Próbowaliśmy nawiązać kontakt z każdą liczącą się instytucją medyczną w tym kraju, ale w zaistniałej sytuacji żadna nie jest zainteresowana przejęciem pałeczki. Zatem albo Chicago, albo nic.

— Co stanowi problem?

— Nowy profesor. Rada nadzorcza była w takim szoku, że chcąc posadzić kogoś na nagle zwolnionym stołku, wybrała jakiegoś Irlandczyka, na którego nie mamy żadnych haków. Można powiedzieć, że to żółtodziób w branży, akademik, który nie ma pojęcia o komercyjnym wykorzystaniu medycyny. Facet, który spędza całe dni dumając nad tajemnicami wszechświata, podczas gdy my wszyscy wypruwamy z siebie żyły, pracując na to, by on mógł siedzieć na tyłku i marzyć.

— Co chce pan z tym zrobić?

— Dyrekcja Cartera nadal jest skłonna wziąć udział w naszej inauguracji. Przyniesie im to nie tylko potrzebny prestiż, ale i solidny zastrzyk gotówki. Jestem z nimi w stałym kontakcie, więc wiem, że są zdeterminowani, by dotrzymać warunków umowy. Ale obawiają się o reakcję tego nowego.

De Mart wyglądał na zdezorientowanego.

— I to ma być ten problem? Jeśli ten szpital potrzebuje nas tak, jak my jego, nie widzę żadnego problemu.

Danker pokręcił głową, kilka kropel wody spadło mu na ramiona.

— Nie możemy ryzykować, stawka jest zbyt wysoka. Jeśli nowy ordynator nie będzie chciał zatańczyć, jak my mu zagramy, cała promocja może okazać się niewypałem. A to lekarstwo musi się sprzedać, nie ma mowy o porażce.

Zapadła kłopotliwa cisza, de Mart zaczął wycierać plecy i ramiona, jego mięśnie prężyły się przy każdym ruchu.

— Chcę, żebyś pogrążył tego człowieka — oznajmił Danker. — Dowiedz się o nim wszystkiego. Co lubi jeść, gdzie kupuje ubrania, jak mu się układa w małżeństwie. Czy pije dużo, czy może zażywa prochy dla odprężenia. Jeśli jest coś, co go obciąża, znajdź mi to. Ale jeśli nie ma niczego takiego, stań na głowie, żeby przeciągnąć go na

50

naszą stronę. — Wstał i położył dłoń na ramieniu Afrykanera, uścisk nie był zbyt mocny. — Potrzebujemy tego szpitala.

— Za nowego profesora, mojego tatę. — Ośmioletni Danny trzymał w ręku puchar musującej oranżady z domieszką niewielkiej ilości szampana.

Stół w niewielkim, wynajętym mieszkanku rodziny Huntów został przystrojony w irlandzki lniany obrus z motywami kwiatowymi wyszytymi na brzegach, na nim ustawiono kieliszki z rżniętego kryształu od Waterforda, chińską zastawę z kostnej porcelany i lśniące sztucce. Obok stały półmiski ze stekami z grilla i żeberkami na ostro, mieszane sałatki oraz frytki, do tego świeżo otwarta butelka Sancerre, rocznik 1998, i do połowy opróżniony Moet et Chandon.

Zbliżał się wieczór pierwszego dnia po objęciu stanowiska. Jack większą część z poprzednich dziesięciu godzin spędził na niekończących się konferencjach. Ale pogoda była tak zachęcająca, że wymknął się z pracy przy pierwszej okazji, by świętować z rodziną swój nieoczekiwany sukces. Nisko zawieszony, gęste chmury odcięły drogę promieniom słonecznym i temperatura pod nimi opadła poniżej osiemdziesięciu stopni Fahrenheita, nawet wilgotność powietrza była o wiele znośniejsza.

Beth i Danny ubrali się odświętnie, ona w prostą, długą białą sukienkę i tenisówki, włosy spięta z tyłu klamrą w kształcie motyla. Chłopiec włożył najlepsze spodenki i najczystszy T-shirt. Jack wręcz przeciwnie, zachował niedbały styl; gdy smażył mięso w ogrodzie, wciąż miał na sobie dżinsy i koszulę z

krótkim rękawem i nie zmienił ich, kiedy posiłek był już gotowy. Przez kilka minut w pokoju panowała kompletna cisza, każde z nich jadło łapczywie i popijało co chwila. Zarówno Jack, jak i jego żona mieli wrażenie, że śnią. Urzeczywistniło się coś, o czym marzyli od wielu lat. Pozycja zawodowa z odpowiednio wysoką płacą gwarantująca upragnioną stabilizację. Jack nie przyznał się do tego, ale rano obudził się z przecuciem, że za chwilę zadzwoni telefon ze szpitala i ktoś poinformuje go, iż zaszła straszliwa Pomyłka, którą rada właśnie tuszuje, awansując na stanowisko profesora zupełnie innego kandydata. Na szczęście dość szybko zapomniał o tym koszmarze i nabrał humoru.

51

— Panie Hunt — docięła mu Beth — chyba czas kupić panu porządne ubrania. Nie może pan chodzić do pracy jak ostatni żebrak. Musi pan wyglądać jak rasowy profesor i zachowywać się odpowiednio do zajmowanego stanowiska.

— Mamusia ma rację. — Danny poparł ją piskliwie. — Poszedłeś dziś do pracy w garniturze, który miałeś na sobie podczas pierwszego interview, jeszcze w Nowym Jorku.

Jack podniósł ręce do góry na znak, że się poddaje.

— Dobra, dokupię sobie kilka koszul i krawatów, jeśli to ma was uszczęśliwić.

— Tylko nie w Filene's Basement — ostrzegła go Beth. — Spróbuj zajrzeć w odpowiedniejsze miejsce, jak choćby Bloomingdales albo do jednego z tych fikuśnych butików przy Oak Street.

Jack odstawił ostrożnie kieliszek i zmierzył żonę pełnym wyrzutu spojrzeniem.

— W szpitalu i tak noszę fartuch. Nie mam zamiaru tracić fortuny na garnitur od Armaniego tylko po to, żeby wisiał w szafce przez cały dzień. Znajdę sobie coś wygodnego i niedrogo.

— Może i ja pójdę na zakupy? — W oku Beth pojawił się błysk.

— Myślę, że twoja dziewczynka po tylu latach zaciskania pasa zasłużyła na odrobinę szaleństwa. — Jack jęknął głośno, ale na tym poprzestał, Beth bowiem już kontynuowała: — Może rozejrzemy się w końcu za nowym domem? To mieszkanie rozpada się na naszych oczach. Zamieniłeś jedyny wolny pokój w pracownię i musimy przedzierać się przez stosy papierów, gdy chcemy wejść albo wyjść.

Jack zaczął się zastanawiać, czy jego pierwsza wypłata rozejdzie się, zanim w ogóle trafi na konto.

— Może nie będziemy robili wszystkiego na raz — zaproponował.

— Najpierw muszę postawić oddział na nogi, a to będzie kosztowało mnie wiele wysiłku. Proponuję, byśmy odłożyli część twoich wielkich planów do tego czasu. Potem możemy zacząć polować na dom

— stuknął w kieliszek Beth i mrugnął znacząco. — Ale wcześniej rozejrzemy się za nowymi ciuchami, może nawet za samochodem, a później wybierzemy miejsce, w którym zechcemy mieszkać.

Danny wypił swojego drinka jednym haustem i otarł usta serwetką.

— Tylko żeby to nie trwało za długo. Pamiętaj o oknach, które mogą zostać wybite, jeśli nie znajde lepszego boiska do grania niż

52

nasz ogródek. — Zeskoczył z krzesła i podniósł piłkę leżącą w kartonie przy drzwiach wyjściowych. Dwie minuty później już słyszeli, że gania za nią po całej parceli.

Beth oparła łokcie na stole i popijała wino małymi łydkami.

— Smakuje mi — powiedziała, przyglądając się butelce. — Powinam się przyzwyczajać do takiego stylu życia.

Jack uśmiechnął się i posłał jej całusa.

— Wszystko przed nami. Kontrakt podpisany, więc nie ma już odwrotu. Bądź cierpliwa, to już się dzieje.

Ale jego żona nie chciała czekać.

— Jestem taka podekscytowana — powiedziała z entuzjazmem.

— Ja też.

— Tyle mamy do zrobienia. Tak mnie korci, żeby wszystko pozmienić. Wyjść wreszcie na zewnątrz i zakosztować pełni życia. Znaleźć dom.

Jack pochylił się nad stołem i pocałowali się, długo i namiętnie.

— Ja też jestem podekscytowany, ale nie mogę pozwolić sobie na okazywanie tego otwarcie. Szedłem dzisiaj szpitalnymi korytarzami, jakbym był królem na zamku. Boże, ależ ja się wtedy czułem!...

Nieco później, gdy Danny już zasnął, kontynuowali świętowanie w łóżku. Gdy wreszcie skończyli, Beth przetoczyła się na swoją połówę i wyciągnęła wygodnie. Wkrótce z jej strony zaczęły dobiegać ciche pomruki, a potem już tylko głęboki i równy oddech.

Jack wpatrywał się w sufit, słysząc oddech żony, czując bliskość jej ciała. Nie pamiętał nawet, kiedy po raz ostatni był tak szczęśliwy.

ROZDZIAŁ 5

Tydzień po brutalnym zabójstwie Sama Lewinsa i zaledwie pięć dni po wycofaniu listu z rezygnacją Jack Hunt przemierzał pewnym krokiem korytarze oddziału kardiologicznego w Szpitalu imienia Cartera. Miał na sobie nowy letni strój, zakupiony w ten weekend: kremową lnianą marynarkę, granatowe spodnie, niebieską koszulę i krawat w czerwone pasy, kruczoczarne włosy gładko uczesane, zarost równo przycięty. Wyglądał jak milioner. Szedł krokiem człowieka, który ma misję do wypełnienia. Zaczął pracę o

dziewiętej trzydziści i zdążył już zapoznać się z pacjentami w trakcie obchodu trwającego nie dłużej niż pół godziny oraz uniknąć rozmowy z przedstawicielem firmy Zemdon Pharmaceuticals z Nowego Jorku. Poprosił, żeby przekazano rozmówcy, że oddzwoni, jak tylko będzie miał wolną chwilę. Wreszcie zdołał dostać się do swojego dawnego biura — policja zrobiła tu już swoje — i usiadł w fotelu, aby zebrać myśli. Miał przed sobą trudne chwile, może nawet bardzo trudne. Ale mierzył naprawdę wysoko i wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie zreorganizuje oddziału. Na początek musiał dokonać kilku kosmetycznych poprawek.

— Chciałbym, aby narożne biuro było na tyle duże, bym mógł przeprowadzać w nim konferencje i prowadzić seminaria. — Tak brzmiało pierwsze żądanie, jakie skierował do Steve'a Downesa.

— Chcę także, żeby w pozostałych pomieszczeniach pojawiły się porządne biurka, a na każdym ma stać komputer podłączony do sieci.

— Jack wyobraził sobie Downesa, siedzącego na dziesiątym piętrze w luksusowym gabinecie, najprawdopodobniej właśnie zwiększającego pilotem nawiew klimatyzacji, podczas gdy reszta pracowników

54

szpitala splywała potem. Dlatego postanowił nacisnąć jeszcze bardziej. — Potrzebuję także sekretarki, na początek może być dochodząca, ale z opcją na pełny etat. To musi być osoba z wykształceniem medycznym i umiejętnością obsługi komputera.

Piętro wyżej Downes przełknął łąpczywie lekarstwo zobojętniające kwasy żołądkowe. Następnie rozpiął guzik koszuli w okolicach przepony, by zmniejszyć na nią nacisk.

— Coś jeszcze?

Niestety jego sarkazm nie został doceniony.

— Tak, przydałoby się malowanie części biurowej. Wiesz, takie lekkie odświeżenie. Nowy dywan, kilka porządných foteli. Część gabinetów wygląda naprawdę marnie. To nie podnosi morale pracowników. Chciałbym, aby wszyscy zrozumieli, że opuszczamy mroki średniowiecza. Oddział kardiologii będzie wyglądał i działał jak najnowocześniejsza placówka medyczna. — Jack kontynuował, nie zważając na ostrzegawcze westchnienie po drugiej stronie linii. — A co najistotniejsze, chciałbym, żeby wszystkie te prace zostały wykonane do końca przyszłego tygodnia. — Odpowiedziały mu kaszlnięcia i charkot.

— Jezu, tego nie da się zrobić — zaprotestował Downes.

— Da się — odparł spokojnie Jack. — Rozmawiałem już z szefem pionu remontowego, powiedział mi, że może wysłać trzyosobową ekipę, która powinna uporać się ze wszystkimi pracami do przyszłego czwartku.

W słuchawce zapadła nagle cisza.

— Rozmawiałeś z szefem pionu remontowego?

— Tak, Steve. Wiem, jak bardzo jesteś zajęty, i postanowiłem nie zawracać ci głowy takimi drobiazgami. Chciałbym ruszyć na dobre w przyszłym tygodniu. Do tego czasu wszystko powinno już być gotowe.

Downes zapadł się w sobie, ale wydał wszystkie niezbędne pozwolenia.

Sam Lewins stracił swojego długoletniego asystenta dziesięć miesięcy wcześniej, ale nie kwapił się z poszukiwaniem jego następcy. Wystarczyłby jeden telefon do firmy doradztwa personalnego, aby zmienić tę sytuację, tak jak teraz, kiedy Jack wydał zapotrzebowa-

55

nie. Trzy dziewczyny jeszcze tego samego dnia trafiły na krótką listę ewentualnych sekretarek nowego profesora.

Jack przeprowadził z nimi rozmowy kwalifikacyjne w piątek, na sam koniec tygodnia pełnego gorączkowych przygotowań, podczas którego jego stopy miały niewiele okazji do kontaktu z podłogą w należącym do niego, świeżo wymalowanym i wyłożonym nową wykładziną, gabinecie. Wybrał szaroniebieski kolor na podłogi i kremowy na ściany. Biurko i krzesła miały okleinę bukową i pięknie komponowały się z resztą wystroju. Z gabinetu, w którym miał pracować, widać było panoramę ulicy West Harrison. W bezpośrednim pobliżu masywny szary monolit Cook County Hospital przesłaniał mu perspektywę ulicy, ale gdy spoglądał w dół, mógł obserwować poruszające się falami samochody i przypominających mrówki przechodniów, którzy kryli się w cieniu rzucanym przez okoliczne budynki. Temperatury nadal oscylowały w okolicach dziewięćdziesięciu stopni, i to w ciągu całego dnia, chociaż we wnętrzu profesorskiego biura niewielki wentylator robił co mógł, aby ochłodzić nieznośnie duszną atmosferę.

Jack pojawił się w tym miejscu wiele razy na przestrzeni upływającego tygodnia, odczuwając mieszaninę dumy i niedowierzania, gdy porównywał je z klitkami, w których musiał pracować przez ostatnie kilka lat. Dzielił tam przestrzeń z innymi naukowcami, dokumentacja, nad którą pracował, zaścieniała nie tylko blaty biurka, ale i podłogę, zdarzało się nieraz, że wspólnie z kolegami chodzili sobie nawzajem po ważnych papierach. Z obić krzesel wyłaziła gąbka, o takich cudach jak telefony albo komputery nie było nawet mowy. Dlatego kiedy spoglądał na doskonałość tych pomieszczeń, odczuwał niedowierzanie. Podobnie jak niewiarę budził w nim jego nowy tytuł. Profesor Jack Hunt, ordynator Oddziału Kardiologii Szpitala imienia Cartera w Chicago. Przyzwyczajaj się, Jack. Uganiałeś się za takim stanowiskiem od lat, ale nigdy ci się nie udawało. Ciągnąłeś za sobą rodzinę przez tyle kontynentów. Teraz musisz sprostać wyzwaniu.

— Witam, nazywam się doktor Hunt. Proszę się czuć swobodnie i opowiedzieć mi coś o sobie. — Przeszedł na tę rozmowę kwalifikacyjną prosto z kardiologii inwazyjnej, gdzie przeprowadzano niecierpiące zwłoki cewnikowanie. Dzisiaj, jak zawsze zresztą, był jedynym starszym asystentem, który miał wolny czas podczas nagłych przy-

padków. — Nie chciałbym, aby nasze spotkanie odbywało się w zbyt formalnej i deprymującej atmosferze.

Wysłuchiwał wszystkich dziewczyn po kolei. Przeglądał przy tym dostarczone przez nie CV, zadawał pytania o doświadczenie z poprzednich miejsc pracy, aktualne zobowiązania i plany na przyszłość. Musiał zmieścić wszystkie spotkania w porze lunchu, dlatego nie starał się ich niepotrzebnie przedłużać. Dwie z trzech kandydatek zostały oddalone niemal natychmiast. Były rożgarnięte, atrakcyjne i radziły sobie znakomicie z komputerem, ale żadna z nich nie posiadała wiedzy z zakresu pielęgniarstwa. Trzecia była dwudziestoosmioletnią Murzynką, nazywała się Helen Bradley. Była niewysoka i szczupła, ale miała tak szeroki uśmiech, że rozjaśnił cały gabinet, kiedy tylko weszła. Natychmiast też wytrąciła inicjatywę z rąk Jacka.

— Wygląda pan na człowieka, któremu cholernie się śpieszy — powiedziała. — Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam taki chaos. — Jej głos przywodził mu na myśl przetaczającą się falę, tak samo unosił się i opadał. Tak, akcent miała bezwzględnie chicagowski. 1 bez cienia skrępowania strzelała oczami po całym biurze.

Jack spojrział na nią przepraszająco zza biurka, potem zamknął jej CV i rozparł się wygodnie na fotelu.

— To naprawdę aż tak źle wygląda?

— Telefon na zewnątrz pańskiego gabinetu nie przestał dzwonić od momentu, w którym weszłam na oddział, pański komputer nie jest jeszcze podłączony. — Wstała i nachyliła się, by spojrzeć za plecy Jacka. — Nie wie pan nawet, gdzie jest włącznik klimatyzacji. — Skierowała krytyczne spojrzenie na blat biurka. — Panie profesorze, nie wiem, czy mnie pan zatrudni czy też nie, ale radzę panu szybko znaleźć kogoś do tej roboty, bo stąpa pan już po naprawdę grząskim gruncie.

Jack uśmiechnął się i raz jeszcze przemknął wzrokiem po życiorysie dziewczyny.

— Specjalizacja z intensywnej terapii, jak widzę.

Helena skinęła głową i przesunęła po biurku dużą brązową kopertę.

— A tutaj ma pan oryginały moich pozostałych certyfikatów. Asystowałam przy operacjach przez pięć lat, potem byłam intensywiwką na izbie przyjęć w Rush Presbyterian.

— Dlaczego więc zmienia pani zawód?

Telefon w sekretariacie znów zaczął dzwonić.

— Widziałam już tyle krwi i flaków, że wystarczy mi do końca życia. Wolałabym pracować przy czymś mniej wymagającym, ale wciąż w obrębie medycyny. No i ze względu na dzieci nie mogę już brać nocnych dyżurów.

— Ile ma pani dzieci?

— Dwoje, żadne nie ma jeszcze pięciu lat. Potrzebują obecności matki. Mój mąż nie wraca do domu przed dziewiątą, a ja nie mogę pozwolić, żeby tak długo siedziały z opiekunką.

Natarczywy dźwięk dzwonka nagle ustał, ale już trzydzieści sekund później znów się odezwał. Helen zmarszczyła brwi i wstała.

— W tym hałasie nie potrafię się skoncentrować, czy mogę odebrać i uspokoić tego kogoś, kto dzwoni?

Jack machnął jedynie ręką, w skrytości ducha ciesząc się, że dziewczyna jest tak operatywna.

— Ależ oczywiście, ten cholerny sygnał mnie też zaczyna denerwować. — W czasie gdy znajdowała się poza gabinetem, Jack spokojnie przejrzał jej referencje.

Za uchylonymi drzwiami trwała przyciszona wymiana zdań, a potem Jack usłyszał trzask odkładanej na biurko słuchawki.

— Dzwonią z nowojorskiego oddziału Zemdon Pharmaceuticals, czy może im pan poświęcić pięć minut? — zapytała Helen, wychylając głowę zza futryny.

Jack jęknął i skrzywił się, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Helen już wróciła do rozmowy, tym razem wyraźnie usłyszał jej słowa:

— Bardzo mi przykro, ale pan profesor Hunt jest w tej chwili w samym środku rozmowy kwalifikacyjnej. Czy może mi pan zostawić numer, postaram się, żeby oddzwonił. — Minutę później wróciła na swoje miejsce. — Na czym to stanęliśmy?

Jack zamknął jej CV. Ta dziewczyna miała w sobie dynamit, była dokładnie tym, czego potrzebował. Przepęłniała ją pewność działania i potrafiła przejąć inicjatywę we właściwym momencie.

— Kiedy może pani zacząć?

Helen spojrzała na zegarek.

— Jestem umówiona dzisiaj po południu... — przerwała, na jej czole pojawiły się zmarszczki. — Może mnie pan próbować przeko-

58

nać, żebym została dzisiaj nieco dłużej, ale jeśli nie będzie to konieczne, co pan powie na poniedziałek?

Jack wstał, zdążył już przejść połowę dystansu do drzwi.

— Znakomicie. Proszę się stąd nie ruszać przez najbliższą godzinę — poprosił — ja w tym czasie udam się do działu administracyjnego po pani kontrakt.

Wrócił po niespełna godzinie, by odkryć, że Helen porozwieszała na ścianach sekretariatu jego dyplomy i tytuły naukowe. W chwili gdy przekraczał próg, właśnie zamawiała wizytówki i papier firmowy z nagłówkiem: Profesor Hunt, ordynator oddziału kardiologii. Sprawdziła też, czy działają telefon, faks i e-mail.

— Czuję, że będzie się nam dobrze współpracowało, profesorze Hunt. — Posłała mu zwycięski uśmiech. — Aha, były dwa telefony do pana — przewróciła kartki w notatniku. — Właśnie dzwonili z „Chicago Tribune”. Ich felietonista z działu zdrowia chce zrobić z panem wywiad. Dałam mu godzinne okienko pomiędzy czwartą a piątą dzisiejszego popołudnia. Powiedziałam, że ma tu szybko przyjść i równie szybko zmykać.

Zdziwionemu Jackowi opadła szczęka. „Chicago Tribune” była jedną z najbardziej liczących się i wpływowych gazet codziennych w kraju.

— Nic tak nie zrobi dobrze weekendowemu dodatkowi jak wiadomość, że przybył pan z odsieczą. — Helen podniosła torebkę. — Dzwonili też ponownie z Zemdon Pharmaceuticals, jakieś dziesięć minut temu, żebym załatwiła dla nich okienko na przyszły tydzień. Muszę przyznać, że są wytrwali. — Obrzuciła wzrokiem biuro, wyglądało na to, że jest zadowolona z tego, co zobaczyła, a potem uśmiechnęła się do nowego szefa. — Do zobaczenia w poniedziałek.

O szóstej trzydzieści, po udzieleniu naprawdę długiego wywiadu dziennikarzowi działu medycznego „Chicago Tribune”, Jack odbył krótkie spotkania z pozostałymi trzema starszymi asystentami, Natem Parkerem, Harrym Chanem i Martinem Shreeve'em. Zgodnie z przewidywaniami pierwszy pojawił się Parker, cały w uśmiechach, z ręką wyciągniętą do powitania.

— Cóż mogę powiedzieć, Jack, idziesz jak burza, odkąd dostałeś posadę, i mogę ci powiedzieć, że tempo wprowadzanych przez cie-

59

bie zmian nie wszystkim się podoba. — Głos miał głęboki, ale zgrzytliwy, a twarz znakomicie odzwierciedlała jego uczucia. — Ja nie widzę w nich niczego złego. — Górował nad Jackiem o dobre sześć cali, jego wychudzone ciało zdawało się żyć własnym życiem. Ręce i nogi poruszały się nieustannie, do tego te podskakujące ramiona. Przedwczesna łysina już zdobiła mu czoło, choć miał dopiero czterdzieści sześć lat. Na rozpiętej pod szyją koszuli nosił bielusiński fartuch, do tego ciemne spodnie, szpitalny identyfikator przypiął do klapy, a stetoskop swobodnie zawiesił na szyi. — Cieszę się, że trafiłeś na szczyt. — Usiadł i rozprostował długie nogi, potem spojrzął ukradkiem na otwarte drzwi. — To miejsce powoli stawało się piekłem i ktoś w końcu musiał powstrzymać jego rozkład.

Przynajmniej mam jednego człowieka po swojej stronie, pomyślał Jack. Z korytarza dobiegał szmer rozmowy i zbliżające się kroki. Ciekawe, jak pozostali dwaj znieśli jego awans? Jack do tej pory nie miał żadnych informacji o ich reakcjach.

Parker wyrwał go z zamyślenia.

— Żal mi było Sama Lewinsa, ale tylko do momentu, w którym przeczytałem o dziecięcej pornografii. Nie wiem, jak ten stary drań zdołał to tak długo ukrywać, muszę jednak przyznać, że robił to naprawdę umiejętnie. W dodatku w ogóle nie interesował się tym, co dzieje się na oddziale. — Hałasy z zewnątrz nasilały się. — Jestem z tobą, Jack. Nadszedł czas, żebyśmy zaczęli pracować na poważnie.

Harry Chan i Martin Shreeve przyszli razem. Chan przywitał się tradycyjnym nerwowym śmiechem.

— Moje gratulacje, profesorze, nareszcie oficjalne! — Niepewny chwyt i leciutki uścisk zwiotczałej dłoni zirytowały Jacka, podobnie jak chrapliwy chichot godny idioty. Chan nosił lekki granatowy garnitur, białą koszulę, do której założył jasnożółty krawat. Wszystko było zbyt duże jak na jego mikre ciało. Przeciągnął krzesło, by usiąść obok Parkera, i zaczął gadać, co chwilę poprawiając okulary o niezwykle grubych szklach. W którymś momencie pchnął je tak mocno na nasadę nosa, że przytarł sobie skórę.

Martin Shreeve palił papierosa, ale Jack i tak wyczuł od niego woń bourbona.

— Witam — burknął ponuro, a jego podwójny podbródek zadrgał mocno. Wyglądał na podenerwowanego, wylewał się zza ciasnych

60

szpitalnych rzeczy i sądząc po niezadowolonej minie, chciałby teraz przebywać co najmniej milion mil od tego gabinetu. — Gratuluję awansu. — Przeszedł do kąta, oparł się o ścianę, potem dopiero rozejrzał się w poszukiwaniu popielniczki. Nie znalazł żadnej, strzepnął więc popiół na otwartą dłoń, gdzie trzymał go, aż wypalił do końca papierosa. Potem wsypał wszystko do bocznej kieszeni fartucha. Na terenie całego szpitala obowiązywał ścisły zakaz palenia, lecz Jack doskonale wiedział, że Shreeve ma gdzieś wszystkie przepisy. Pierwszy poważny konflikt zbliżał się wielkimi krokami.

Jack udał się na zaplecze gabinetu i przyniósł stamtąd butelkę szampana oraz cztery kieliszki. Oczy Shreeve'a rozbłyły, ledwie korek wystrzelił, a napełnione kieliszki powędrowały do ich rąk.

— Będę mówił krótko i na temat. — Jack uparł się, by stuknąć się z każdym z osobna, potem wzniosł własny kieliszek i upił łyk musującego płynu. Pozostali poszli za jego przykładem. — Zebraliśmy się tutaj, by uczcić nasz oddział. W przyszłym tygodniu przedstawię plan zmian, jakie zamierzam wprowadzić. — Chan i Shreeve wymienili zaniepokojone spojrzenia, ale Nat Parker słuchał z niemal błogim uśmiechem i nadal jakby nigdy nic popijał szampana. — Mam szczerą nadzieję, że będzie się nam dobrze współpracowało. Znamy się przecież od dawna i wszyscy wiemy, że oddział kardiologii wymaga restrukturyzacji. — Zauważył, że niepokój na twarzach Chana i Shreeve'a jeszcze się pogłębił. Tak będzie, chłopaki, czy tego chcecie czy nie. — Ale dzisiaj świętujemy i przygotowujemy się na przyszłość. Nowym obowiązkom stawimy czoło w przyszłym tygodniu.

— Ponownie uniósł kieliszek. — Za oddział kardiologii na Carterze.

— Tylko Nat Parker spełnił toast. Dwaj pozostali usiłowali przywołać na usta uśmiech, ale nawet to nie usunęło z ich twarzy wyrazu niepokoju.

Gdy się rozchodzili, Jack położył dłoń na ramieniu Shreeve'a i poprosił go, by został. Następnie odczekał, aż pozostali odejdą poza zasięg głosu.

— Martin — odezwał się lodowatym tonem. — To był ostatni papieros, jaki zapaliłeś na tym piętrze.

Shreeve popatrzył na niego, twardo i długo, a potem bez słowa

Przestąpił próg i zamknął za sobą drzwi.

*

61

— Znienawidzą cię za to.

— Wiem.

Beth i Jack dyszeli nadzy i pokryci potem po dopiero co odbytym stosunku. Już minęła północ, a Jack wciąż referował jej wydarzenia minionego dnia. Leżał w łóżku na wznak, wpatrując się w sufit. Beth przytuliła się do jego boku, czuł na szyi łaskotanie jej włosów.

Przesunęła palcem po jego klatce piersiowej.

— Będą ci zarzucać, że jesteś za czysty.

— Niech zarzucają.

— Może powinnam ich naprostować. — Pochyliła się nad nim, jej język musnął usta Jacka.

— Tak? — Uśmiechnął się złośliwie. — Ciekawe jak.

— Cóż — zaczęła prowokująco, jej palce błędziły teraz pomiędzy udami męża. — Co powiesz o tych dziewczynach z salonu masażu tajskiego? Ile ich było? Chyba ze cztery?

— Trzy. — Jack poprawił ją natychmiast. Chociaż, prawdę mówiąc, chyba było ich sześć, pod koniec stracił rachubę. Lecił wtedy do Australii i zatrzymał się w stolicy Tajlandii. Trzy dni później miał przerobioną całą „Kamasutrę” i odczuwał ból w każdym mięśniu. — Zdecydowanie były tylko trzy — skłamał. — Takich rzeczy się nie zapomina.

Wszystko wydało się pewnej nocy w Sydney, gdy wlał w siebie za dużo forstera. Beth próbowała wtedy ustalić historię jego seksualnych podbojów. Chodzili ze sobą już dwa miesiące, kiedy przyłapała go w łóżku z oszałamiająco piękną ciemnowłosą recepcjonistką. Zaowocowało to awanturą i sześcioma tygodniami separacji, groziło także zerwaniem związku. Naciskała go zbyt mocno, starając się poznać przeszłość, a on powiedział odrobinę za wiele.

— Słuchaj — powiedział Jack, zmieniając temat, czuł bowiem, że powrót do tych wydarzeń sprowokuje kolejne ich rozpamiętywanie — to co działo się przed laty, minęło, już nie istnieje. Zgadza

się, siedłem do łóżka, z kim tylko mogłem. Piłem za dużo i czasem popalałem skręta. — Uniósł się nieco, opierając na łokciu. — Facet powinien zaznać życia, zanim się zestarzeje i zapomni, że można poszaleć. Zatem aż taki znów czysty na pewno nie jestem.

Beth uszczypnęła go w nos.

— Wiem o tym, ale tylko ja, nie oni.

62

Leżeli teraz twarzą w twarz, mocno obejmując się rękami.

— Pamiętasz, co kiedyś powiedziałeś mi o lekarzach? — zapytała Beth. — O regule dziesięciolecia...

Jack milczał przez następne dziesięciolecie, przynajmniej tak musiała odebrać to Beth, bowiem dźgnęła go łokciem.

— Trzeba dziesięciu lat od ukończenia studiów, żeby zgłębić dokładnie tajniki swojej specjalności. W tym czasie większość kolegów z tego samego roku straci dwóch lub nawet trzech pacjentów z powodu błędnego rozpoznania albo braku doświadczenia.

— A ilu ty straciłeś? — wyszeptała to pytanie i natychmiast zniknęła z ich rozmowy wszelka niefrasobliwość.

— Trzech.

Beth westchnęła. To było niezbadane terytorium nawet dla niej.

— Jak?

Rozdzielili się i Jack powrócił do obserwacji sufitu.

— Pierwszemu podałem nie ten zastrzyk co trzeba. Byłem wyczerpany dyżurem trwającym trzy dni i nocę z rzędu. Po prostu pomyliłem ampułki. Ale pacjent był tak poważnie chory, że i bez tego zastrzyku nie pociągnąłby długo. Tyle że to ja, a nie kto inny, przyśpieszyłem jego śmierć. — Przesunął ręką po włosach, potem otarł czoło z potu rąbkiem prześcieradła. — W drugim przypadku postawiłem złą diagnozę. Wydawało mi się, że staruszka ma zawał serca, a tymczasem w jej płucach przez cały czas tkwił ogromny zakrzep. Trzeci był mały chłopiec, chyba w wieku Danny'ego.

Beth ponownie wykonała głęboki wdech.

— Poważne obrażenia głowy, których nie rozpoznałem wystarczająco szybko — ciągnął niezrażony jej reakcją Jack. — Chłopak zmarł z powodu obrzęku mózgu. Mógł przeżyć, ale źle odczytałem wyniki.

— Przestań, proszę.

Jack odwrócił się i pocałował żonę w czoło.

— Nauczyłem się z tym żyć. Taki mam zawód. Nie da się leczyć ludzi, nie popełniając błędów. Jeśli ci się przytrafiają, musisz przejść nad nimi do porządku dziennego. — Wciągnął Beth na siebie i przytulił, jakby to były ich ostatnie chwile. — Takie życie sobie wybrałem.

Żadne z nich nie odezwało się przez dłuższą chwilę, trwali tak zatopieni we własnych myślach.

63

— O czym jeszcze mówi reguła dziesięciolecia?

— O tym, że po dziesięciu latach od uzyskania dyplomu pięć procent absolwentów będzie uzależnionych od alkoholu albo narkotyków, iluś tam będzie po drugim albo nawet trzecim małżeństwie, inni w trakcie terapii rodzinnej. Kilku zostanie przyłapanych na popełnianiu przestępstw takich, jak wyłudzenia z ubezpieczalni albo sprzedaż narkotyków, co najmniej jeden popełni samobójstwo. Czasami, ale to naprawdę rzadkie przypadki, wyjdzie na jaw popełnione morderstwo... — przerwał na moment. — Ale pozostali będą normalni.

Beth wygięła się, aby lepiej widzieć twarz męża w półmroku.

— Powiedz mi zatem, cóż to za pokraki odziedziczyłeś po Samie Lewinsie?

Jack powoli przesunął dłonią po jej nagich plecach.

— Mam pięćdziesięcioośmioletniego pijaka i pięćdziesięciopięcioletniego hazardzistę. Nat Parker, najmłodszy z nich, zaledwie czterdziestoparoletni, jest twardy jak gąz. To znakomity lekarz. Ale ogólnie na oddziale jest marnie. Potrzeba nam świeżej krwi.

— Dlaczego tak się z tym śpieszysz? Czy te największe zmiany nie mogły poczekać, aż się tam zdomowisz? — W głosie Beth dało się wyczuć błagalny ton. — Nie zmuszaj ich, żeby cię znienawidzili.

Jack przytulił ją do nagiej piersi, przesunął dłonią po jej włosach. Przez cienką ścianę słyszeli, jak Danny chrapie.

— Wiesz, jak to jest, gdy patrzysz na jakiś stary budynek i nie możesz się doczekać, kiedy zacznie się remont, który pozwoli mu odzyskać dawną świetność? Albo kiedy dobrze rokująca firma idzie na dno, bo jej szef jest okropną łajzą i nie potrafi nadążyć za zmianami? Tak właśnie się teraz czuję. Jeśli nie zacznę wprowadzać tych zmian natychmiast, jedynie pogorszę stan oddziału.

Beth oparła głowę na piersi Jacka i wsłuchiwała się w bicie jego serca. Była młodą matką w obcym mieście, z ośmioletnim synem i nadzieją na następne dziecko. A jej mąż zamierzał zmienić oblicze świata.

— Bądź ostrożny, Jack. Proszę.

ROZDZIAŁ 6

W Chicago, opodal dzielnicy Near North Side grupującej najwięcej galerii w USA poza Manhattanem, znajduje się niewielki hotelik noszący nazwę Cloneys. Wznosi się na wysokość siedmiu pięter przy

skrzyżowaniu, około pół mili od miejsca, w którym Kennedy Expressway zbiega się z ulicą North Orleans. To klasyczna noclegownia, gdzie wpuszcza się gości tylko na noc, a potem wywala ich bez słowa, miejsce odwiedzane jedynie przez uboższych turystów i podupadłych biznesmenów. W jego piwnicach znajduje się ciemny, zadymiony bar z ciągiem łóż pod ścianami i taką liczbą telewizorów, by goście mogli obejrzeć bez przeszkód każdy mecz. Futbol, hokej na lodzie, koszykówka, baseball. Poza sezonem barmani nagrywają rozgrywki ligi australijskiej i puszczają w kółko. Ale nawet najczęściej przesiadujący tutaj pijacy rzadko zauważają różnice w wyglądzie muskularnych facetów, którzy wprasowują się wzajemnie w murawę bądź błoto w pogoni za piłką. Piwnice Cloneysa to speluna ostrego picia przeznaczona dla ludzi, którzy wolą mrok i anonimowość od blasku słońca i przechadzek po parku. Poszukiwacze piwa i bourbona przychodzą tutaj, by utopić w alkoholu smutki, chociaż nie pamiętają już, od czego zaczęły się ich problemy. Nawet tutejsze kelnerki wyglądają na przygnębione i zmęczone, odrobinę tylko mniej niż goście, których z trudem próbują zadowolić.

Martin Shreeve, kardiolog z Cartera, bywał częstym gościem w Cloneysie. Po pracy, czasem nawet przed pracą, w niemal każdy weekend. Jego małżeństwo dawno już obumarło, dzieci dorosły

65

i porozjeżdżały się po innych stanach. Żona spędzała większą część roku na Florydzie u owdowiałej siostry, a Shreeve został alkoholiczkiem. Wiedział o tym, ale nic sobie z tego nie robił, zaszedł już za daleko, by się przejmować. Policzył sobie wszystko i zaplanował, że przejdzie na emeryturę najdalej za dwa lata. Uważał, że zdoła do tego czasu wytrwać przy takim stylu życia, a potem już tylko będzie krążył pomiędzy swoim mieszkaniem w pobliżu ratusza, Clo-neysem i stadionem Wrigley Field, na którym najczęściej kibicował Cubsom. Shreeve był wielkim pasjonatem baseballu. Wisało mu, czy jego ukochana drużyna odnosi szereg zwycięstw czy trapi ją seria porażek, on po prostu chłonał atmosferę rozgrywek. Odgłosy pociągów przejeżdżających po pobliskich torach, bliskość sąsiadów na meczu, widzów na dachach pobliskich kamienic, okrzyki padające z trybun. Tyle tylko wymagał od życia. Ale musiał przetrwać jeszcze dwadzieścia cztery miesiące na kardiologii, by osiągnąć swój cel. Niedawno zmarły profesor Sam Lewins był jego nieświadomym współnikiem. Równie zobojętniały i apatyczny nie reagował nawet wtedy, gdy oddział kardiologii Cartera sphywał alkoholem. Jednakże teraz, gdy Jack Hunt przejął stery w swoje ręce, zakropiona alkoholem przyszłość nie rysowała się już w tak różowych barwach.

W niedzielę Shreeve zajął stałe miejsce w barze Cloneysa, wciskając się do ostatniej łoży. Dopiero zbliżało się południe, na zewnątrz miasto kipiało życiem, słońcem i turystami. W półmroku podpiwniczenia znajdowała się jedynie garść pijaczków, wszyscy palili papierosy trzymane w drżących dłoniach, paru mamrotało coś do siebie. Shreeve położył na blacie przed sobą rozłożone niedzielne wydanie „Chicago Tribune”, wyjął z niego czterostronicową rozkładówkę, gdyż to ona właśnie interesowała go najbardziej. Przesunął wzrokiem po nagłówku, NOWY SZEFEK kardiologii w CARTERZE, potem przeczytał cały artykuł, starając się zignorować towarzyszące mu zdjęcie uśmiechniętego i wyglądającego na bardzo z siebie zadowolonego Jacka Hunta. Ostry profesor, tak je podpisał.

— Nie czytaj tego badziewia, tylko podniesiesz sobie ciśnienie krwi.

Shreeve nawet nie podniósł wzroku, gdy Harry Chan wsunął się do jego łoża. Nowo przybyły omiół wzrokiem bar, skinął na przecho-

66

dzącą w pobliżu kelnerkę i roześmiał się w tak charakterystyczny dla niego, a zarazem irytujący sposób.

— Że też możesz tutaj cokolwiek przeczytać. Chłopie, toż to istna ciemnica.

Shreeve rozejrzał się, potem wzruszył obojętnie ramionami.

— Widzę wszystko jak trzeba i tylko to się liczy. — Przesunął gazetę na drugą stronę stolika. — Czytałeś już ten wywiad?

Chan przyjrzał się uważnie koledze.

— Martin, powinienes któregoś dnia ogolić się porządnie i włożyć czystsze ciuchy.

Shreeve ubrany był w długą, o wiele za dużą na niego bluzę, która zwiśla żałośnie nad równie obszernymi spodniami od dresu. Niechlujny zarost pokrywał wszystkie podbródki. Zignorował komentarz kolegi i powtórzył pytanie:

— Czytałeś już ten wywiad?

Chan uniósł róg kartki, jakby była upačkana czymś paskudnym.

— Tak, czytałem.

Shreeve zmrużył oczy w ciemności.

— Ico?

Chan usiadł wygodniej, ale nie odpowiedział. Shreeve stracił cierpliwość.

— I co? Co, do kurwy nędzy, zamierzasz z tym zrobić?

Harry uniósł do góry obie ręce, aby uspokoić kolegę. Odpowiedział po chwili, mówiąc powoli i dobitnie, jego głos brzmiał niemal uroczyście.

— Musimy działać roztropnie. Hunt może nam zaszkodzić, jeśli mu się wystawimy. — Shreeve chciał coś wtrącić, ale Chan mu na to nie pozwolił. — Jeśli mu się wystawimy, Martin, tylko jeśli mu S1ę wystawimy. Wydaje mi się, że Steve Downes dając mu tę robotę, uważał, że wszystko ułoży się bez problemów. — Obracał w palcach Podstawkę pod piwo. — Nie wiemy, jakie zmiany zaplanował, nie warny nawet pojęcia, czy to wszystko zadziała. Dlaczego po prostu n'e poczekamy? Pozwólmy mu działać. Jeśli posunie się za daleko, nagle sam może wypaść z gry. Hunt nie jest graczem zespołowym, ale będzie nas potrzebował, jeśli chce rozkręcić ten oddział.

Shreeve przywołał kelnerkę i zamówił kolejne piwo. Kiedy oddali się, groźnie spojrzął na drugi kraniec stołu.

67

— Nie zamierzam czekać dwóch pierdolonych lat. Nie wytrzymam z tym irlandzkim skurwielem tak długo. Wybór jest prosty: albo on, albo ja.

Harry Chan odwrócił gazetę i rzucił okiem na tekst.

— Sądząc po tym, co tutaj jest napisane — stwierdził po trzech akapitach — nie postawiłbym na ciebie złamanego dolca.

Artykuł w „Chicago Tribune” zajmował dwie pełne kolumny, pozostawiając miejsce na jedną niewielką reklamę. Opisano w nim historię oddziału kardiologii, kładąc nacisk na dawne dni chwały, a potem poddano analizie jego powolny, acz spektakularny upadek. Autor zacytował wiele nieoficjalnych wypowiedzi dotyczących niskich standardów panujących w tej prestiżowej placówce. Dodał także wiele równie nieoficjalnych wypowiedzi szefów innych oddziałów, którzy chwalili zmianę dokonaną na kardiologii. Postać Sama Lewin-sa odmalowano raczej w czarnych barwach, jego tajemnicze zabójstwo i uwikłanie w sprawę z pornografią dziecięcą dodatkowo pogrążyło starego profesora.

Dlaczego tak ważny oddział trwał w mierności przez tyle lat? — zapytał w końcu dziennikarz. I natychmiast przedstawił swoją diagnozę: walka o stanowiska, niezgrany zespół, brak wyraźnego przywództwa et cetera. Nie podając żadnych nazwisk, powtórzył wszystkie plotki, jakie krążyły w Carterze na temat starszych asystentów oddziału kardiologicznego. W komentarzach nie znalazło się ani jedno przychylne im słowo. Harry Chan zacisnął ze złości zęby. Rozpoznał w tych opisach siebie, i to nawet pomimo zastosowanego kamuflażu. Większość pracowników szpitala bez trudu zorientuje się, o kim napisano niepocholebnie w komentarzach do tego artykułu.

Wywiad z Jackiem Huntem zajmował pół strony. Do tego przebieg kariery medycznej, lista publikacji. Mnóstwo wypowiedzi bez sensu, w tym cytat opinii dyrektora Steve'a Downesa: „Znakomity kandydat, który ma za sobą pracę na tym oddziale. Przedstawił bardzo ciekawe plany jego przebudowy, gwarantujące powrót kardiologii Cartera na zaszczytne wiodące miejsce w rankingu placówek medycznych Środkowego Zachodu”. Zdjęcia przedstawiające głowę i górną część tułowia Downesa zrobiono co najmniej dziesięć lat i dwadzieścia kilogramów temu. Obok znalazło się znacznie większe popiersie przedstawiające Hunta. Jak zwykle gapił się prosto w obiektyw, wyglądał

68

poważnie, by nie powiedzieć: jak człowiek zdeterminowany. Można było odnieść wrażenie, że do ratowania oddziału powołano człowieka silnego i zdecydowanego.

— Pierdolony chuj. — Tak zabrzmiał podsumowujący komentarz Chana, gdy popchnięta gazeta przesunęła się na odleglejszą część stołu.

— I przeciwnik bourbona — dodał Shreeve, gdy postawiono przed nimi pełne butelki.

Siedzieli w ciszy; Chan popijał piwo małymi łydkami, a Shreeve doił butelkę, jakby właśnie dowiedział się, że browary zostały zbombardowane i rząd wprowadza racjonowanie piwa.

— Wydaje mi się, że to blef — oświadczył w końcu Chan.

Shreeve odstawił butelkę na tyle, by skupić uwagę na słowach kolegi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Chan usiłował ustawić piramidkę z podkładek, ale rozleciała się, ledwie zaczął wyjaśniać.

— Wydaje mi się, że pan Wielki Hunt zagrał kartą zmian, by dostać tę robotę, ale nie będzie za bardzo kołysał naszą małą łodzią, ponieważ może doprowadzić do dalszego pogorszenia sytuacji na oddziale. Gość nie ma doświadczenia menedżerskiego i jest zupełnie zielony, jeśli chodzi o komercyjną stronę medycyny klinicznej. Za długo zajmował się kwestiami badawczymi i akademickimi. Tacy faceci zbyt często stają się idealistami. — Pozwolił sobie na przelotny uśmiech, potem podniósł butelkę i stuknął nią o doniesioną właśnie szklaneczkę z bourbonem Shreeve'a. — Powinieneś podejść do tego spokojniej, Martin. Rozchmurz się. Ty i ja siedzimy na oddziale od lat. Ten irlandzki bękart to tylko przelotne zawirowanie. Możemy go usadzić, jeśli będziemy musieli. Ale może najpierw popatrzmy, co on szykuje na nas. Potem zdecydujemy, czy jest wart naszych obaw.

Martin Shreeve wytarł spocone dłonie o spodnie dresu. Wypił całego bourbona jednym haustem, potem przepłukał zęby resztkami Piwa.

"— Dam mu parę miesięcy forów. Ale jeśli jeszcze raz zaczniesz mnie pouczać, urwę mu ten pieprzony łeb i nasikam w szyję.

Wyszli z baru, mrużąc oczy, gdy słońce zatańczyło na pobliskiej wystawie. Shreeve sięgnął łapczywie po dziesiątego już papierosa.

69

Byli dwoma niedorajdami, którzy w pijackim widzie, podpierając się wzajemnie, brnęli przez rynsztok, zastanawiając się w milczeniu, co też przyniesie im przyszłość.

Beth Hunt po powrocie do mieszkania uważnie wsunęła kartkę z wywiadem wydrukowanym w „Chicago Tribune” do dużej koperty. Obok niej siedział Danny, trzymając sześć podobnych przesyłek. Jedna z nich przeznaczona była dla Sinead, starszej siostry Jacka mieszkającej w Dublinie. Rodzice Jacka nie żyli od kilku lat, więc starał się utrzymywać ściśle kontakty z pozostałą mu rodziną. Ale to raczej na Beth spadał obowiązek dzwonienia, pisania listów, przypominania o kartkach na urodziny i Boże Narodzenie. Co innego w Sydney, tam wciąż żyli oboje rodzice Beth i jej dwaj bracia. Pisywali do siebie regularnie, za każdym razem pytając o pracę Jacka. Bardzo kochali Danny'ego i narzekali nieustannie na odległość, jaka ich dzieliła. Kolejne trzy koperty były przeznaczone do rozrzuconych po świecie przyjaciół, a jedną zamierzała wysłać do dawnego mentora Jacka zamieszkującego teraz w Nowym Jorku. Na koniec

zapakowała, z wyraźną niechęcią, kopię wywiadu dla doktor Carlotty Drunker z Sacra-mento. Jack nalegał na to pomimo wyraźnych dąsów żony. Do strony z wywiadem była przyczepiona kartka z odręcznym dopiskiem od Jacka: „Cieszę się, że odnalazłaś starszego brata. Nawet nie wiedziałem, że go straciłaś! Ja mam jedynie siostrę, żadnych starszych braci”.

Beth przeczytała te zdania chyba z dwadzieścia razy, chcąc znaleźć w nich jakiś ukryty przekaz. Podała się dopiero, gdy mąż obiecał jej, że wyjdą wspólnie na niedzielny obiad.

rozdział 7

Dziesięć po piątej rano w poniedziałek dwudziestego ósmego czerwca Jack wyślizgnął się z łóżka. To była gorąca i duszna noc, spał więc bardzo niespokojnie. Pochylił się nad łóżkiem i nasunął prześcieradło na ramiona Beth, która leżała w swojej ulubionej pozycji: skulona, przy krawędzi materaca. Potem siedział długo nieruchomy jak kamień i patrzył, jak oddycha. Widząc, że żona wciąż śpi głęboko, pocałował ją delikatnie w czoło. Potem poszedł prosto do gabinetu. Włączył komputer, chwilę odczekał, ziewając podczas ładowania programów. Ale już minutę później jego palce zatańczyły na klawiaturze.

Zaczął czytać dokument, nad którym pracował przez cały miniony tydzień. Tekst składał się z aż jedenastu akapitów, zaczął więc wycinać i wklejać poszczególne fragmenty, niektóre kasował, w innych coś dopisywał, aż udało mu się skrócić całość do ośmiu. Potem odchylił się na krzesło i studiował ocalałe słowa. Miał niezwykle jasny umysł.

Słyszał dochodzące z zewnątrz odgłosy pierwszych samochodów, które mknęły przez North Clark, zaledwie kilkaset jardów od ich mieszkania. Sprawdził czas na zegarku, była piąta trzydzieści osiem. Powrócił do klawiatury i znów pracował nad tekstem. Rozważał różne warianty. W ekranie monitora dostrzegł odbicie swojej głowy, włosy sterczały mu na wszystkie strony, spróbował je więc przygładzić. Paznokcie zazgrzytały na krótkim zaroście pokrywającym brodę. Raz jeszcze przeczytał dokument i zmarszczył brwi. Nagle pod wpływem świeżej myśli skasował spory kawałek i dopisał dwie nowe linijki.

— Panie Hunt, co też pan tu wyrabia o tak wczesnej porze?

71

Podskoczył, słysząc głos Beth, więc położyła mu dłoń na ramieniu, aby go uspokoić.

— Kilka poprawek w ostatniej chwili — wyjaśnił.

Zawisła na jego ramieniu i zaczęła czytać zdania widoczne na ekranie.

— Mam nadzieję, że nie masz dzisiaj swego słynnego zmiennego nastroju — mruknęła, dochodząc do końca.

— Nie — zaprzeczył. — Jeżeli już, raczej dopadła mnie chęć dopięcia wszystkiego na ostatni guzik.

Beth jęknęła. Wiedziała, jak działa jej mąż. Gdy w grę wchodziło coś ważnego, przestawał się liczyć rozsądek, nie było sposobu na wyperswadowanie mu tego, co sobie akurat umyślił. Nawet gdy chodziło

0 miłość. Jeszcze w Sydney, kiedy chodzili ze sobą dopiero od kilku miesięcy, pokłócili się o coś gwałtownie. Rzuciła go, pozostawiając rozdygotanego na środku przyszpitalnego parkingu w samym środku letniej ulewy. Dwie godziny później, przemoczony i ubłocony, pojawił się na jej progu i oświadczył się. Odmówiła i wykopała go. Jack przykuł się do jej roweru i siedział przy nim na chodniku do rana — zastała go tam, gdy musiała wyjść do pracy. Skończyło się na popisowej awanturze i jeszcze bardziej popisowym seksie (spędzili w łóżku całą godzinę, mimo że już była spóźniona). Dziesięć dni później powiedziała mu „tak” przed ołtarzem.

— Nie masz ochoty na śniadanie? — zapytała. Jack właśnie brał prysznic, radośnie podśpiewując. — I przycisz się troszkę, obudzisz Danny'ego.

Piętnaście minut później, gdy Jack pakował swoją aktówkę, Beth spoglądała na niego z niepokojem.

— Zjem coś w stołówce. To dla mnie naprawdę ważny dzień

1 muszę być w szpitalu najwcześniej, jak się da.

Beth pocałowała go w policzek.

— O której wrócisz?

Zapiął skuwki teczki, otworzył drzwi wejściowe mieszkania.

— Postaram się wrócić, zanim Danny zaśnie. Zjedzcie obiad sami, zostaw mi tylko coś, co dam radę odgrzać.

Beth odprowadziła go na schody, zawinięta w ręcznik okrywający nagie ciało, aby nie siać zgorszenia.

— Panie Hunt, panie Hunt — mruknęła dość głośno.

72

Jej mąż zatrzymał się w połowie schodów i spojrzał przez ramię w górę-

To tylko praca, nie rób z niej koszmaru.

Odpowiedziała mu machnięciem dłoni i zamknęła za sobą masywne drzwi mieszkania.

Tornado uderzyło w oddział kardiologii przed wieczorem.

— Witam, mam nadzieję, że wszyscy mnie znacie — zagaił Jack na zebraniu personelu medycznego, które zwołał tuż po zakończeniu pracy. — Ale na wypadek gdyby ktoś jeszcze nie wiedział, jestem waszym nowym szefem. Chciałbym wam przybliżyć kilka zmian, które zamierzam wprowadzić na tym oddziale.

W nieużywanej sali chorych na oddziale intensywnej terapii zebrało się prócz trzech starszych asystentów: Parkera, Chana i Shreeve'a, także siedmiu młodszych lekarzy. Dwie kobiety i pięciu mężczyzn w ubraniach szpitalnych, wszyscy wyglądający na zmęczonych i podenerwowanych. Jack

zwołał to zebranie na znanym im terenie, a nie w przytłaczającym przepychu jego nowego biura, do którego sam się jeszcze nie zdążył przyzwyczaić. Jego nowa sekretarka, Helen Bradley, nadal pracowała nad przywróceniem tam porządku. Jack wołał jej w tym nie przeszkadzać.

— Zaczniemy od rzeczy prostej i niespecjalnie kontrowersyjnej

— przysiadł na krawędzi pustego łóżka, skupiając na sobie wzrok wszystkich obecnych. — Wiem, jak ciężko większość z was pracuje. Zdaję sobie sprawę z długości dyżurów, podczas których z trudem łapiecie chwilę na drzemkę. — Kilka osób przytaknęło w milczeniu.

— Dlatego mam propozycję, żeby rozpoczynać obchód o godzinę później niż do tej pory.

Młodzi lekarze nie mogli uwierzyć w to, co usłyszeli, jeden z nich otwarcie poprosił Jacka o powtórzenie propozycji. Nat Parker wyglądał na zaskoczonego, podczas gdy Harry Chan i Martin Shreeve wymienili uśmiechy ulgi. Jack doskonale zdawał sobie sprawę, że nie tego się spodziewali, czekał więc spokojnie, aż znów skupią uwagę na nim. Dopiero wtedy wyjął z kieszeni fartucha niewielki notesik i przejechał palcem po punktach, które w nim zapisał.

— Brooklyn Hospital z Nowego Jorku właśnie zapłacił czternaście tysięcy dolarów kary za zbyt długie godziny pracy młodszych lekarzy

73

— wyjaśnił. — A tamtejsza klinika uniwersytecka musiała zapłacić szesnaście tysięcy po tym, jak inspektorzy wykryli, że najmłodszy stażem kardiolog pracował po sto trzydzieści godzin tygodniowo. — Zmiał karteczkę i wrzucił ją do najbliższego kosza na śmieci. — Nie chcę kontroli na naszym oddziale. Nie możemy pogarszać wizerunku oddziału. W żaden sposób.

Niemal namacalne napięcie powoli topniało, Jack widział, że zebrani powoli się rozluźniają. Nie zrzucił na ich głowy bomby, której się najwyraźniej spodziewali.

— Zadałem także o polepszenie jedzenia dostępnego podczas dyżurów na oddziale. W ciągu kilku ostatnich miesięcy zauważyłem, że wielu z nas ciągnęło wyłącznie na kawie ze Starbuck's i zimnych przekąskach. Nie możemy pouczać naszych pacjentów na temat zdrowego trybu życia, skoro sami go nie prowadzimy. — Tym razem przybili parę piątek, na twarzach pojawiły się uśmiechy. Jack pochylił głowę, ale kątem oka notował uważnie każdą reakcję. Po chwili wyprostował się. — Ale trzeba będzie za to zapłacić. — Grupa zebranych medyków zeszywniała nagle, a nowy profesor zwrócił spojrzenie na starszych kolegów. — Czas, abyśmy wzięli odpowiedzialność za nasz oddział. Kasa zostawała do tej pory na szczytach, najmłodszym nic nie skapywało. Dlatego starszyzna tego oddziału od dzisiaj będzie pojawiała się na dyżurach równo z pozostałymi pracownikami. — Spróbował wygładzić prześcieradło, na którym przysiadł. — Przyzwyczailiśmy się do przychodzenia i wychodzenia, kiedy dusza zapragnie. Ale to już przeszłość. Teraz będziemy dawali innym przykład.

Wstał, podał jednemu z młodych lekarzy stos dokumentów i zmierzył surowym wzrokiem pozostałych.

- To wszystko na dzisiaj. Następne spotkanie w połowie tygodnia.
- Witam, jestem nowym szefem oddziału kardiologii.

Wtorek, dwudziesty dziewiąty czerwca, godzina siódma trzydzieści rano. Jack wszedł do pokoju wypoczynkowego bloku operacyjnego mieszczącego się na trzecim piętrze. Przeciętnie wyglądające pomieszczenie, niebieskie ściany, biała glazura na podłodze, gdzieś tam niewielkie stoliki z rozłożonymi pismami medycznymi. Zauważył też pięć foteli, obicie dwóch było mocno zużyte, z jednego zwisało wypełnienie. To tutaj, sześć pięter poniżej oddziału kardiologii, przewo-

74

żono na operacje większość jego pacjentów. Wymiana uszkodzonych zastawek serca, wszelkiego rodzaju by-passy i zabiegi na dużych naczyniach krwionośnych. Oba oddziały były niezależne od siebie, chirurgów wzywano tylko wtedy, gdy kardiolodzy uznawali, że operacja jest jedynym rozsądnym rozwiązaniem problemu chorego. Działo to także w drugą stronę: chirurdzy oczekiwali, że jego zespół utrzyma ich pacjentów w dobrym stanie aż do momentu wypisania. Operacje na otwartym sercu wycieńczały cały organizm.

Jack wymienił uściski dłoni z trzema starszymi asystentami — byli to wyłącznie mężczyźni — potem podał każdemu podkładkę do pisania z czterema doczepionymi kartkami.

- To nowe i poprawione wskazówki dotyczące naszej dalszej współpracy — wyjaśnił.

Dał całej trójce kilka minut na zapoznanie się z tekstem, w tym czasie zauważył, jak brwi jego kolegów podjeżdżają do góry w zdziwieniu. Jezu, pomyślał, jestem z nich wszystkich najmłodszy, mogą pomyśleć, że dopiero co skończyłem studia.

Donovan, niski smagły mężczyzna w zielonym stroju, spoglądał ciekawie na Jacka spod mocno powiększających okularów.

- Muszę jeszcze przyjrzeć się kilku szczegółom, ale całość wydaje mi się rozsądna.

Pozostała dwójka, Pawlski i Reed, także wymamrotali słowa uznania, gdy dobrnęli do końca ostatniej kartki.

- Był na to najwyższy czas — dodał Reed, siadając na fotelu i uważnie oglądając bajgla, do którego miał się zabrać, kiedy przeszkodził mu Hunt. Teraz nagle zdecydował, że nie ma już na niego ochoty. Był wysoki, ale miał też wydatny brzuch, jakby zjadał więcej chleba, niż jego organizm potrzebował. — Życzę panu powodzenia. Jest pan czymś w rodzaju powiewu świeżości z wyższego piętra. Spojrzał na kardiologa ostrzegawczo. — Ale obawiam się, że nie wszyscy przyjmą z radością ten wichur zmian.

Jack zmusił się do uśmiechu.

- Będą musieli się przystosować albo zmienić miejsce zatrudnienia.

Zauważył, że chirurdzy są pod wrażeniem, ale zachowują również °strożność. Wiedzieli przecież doskonale, o jaką stawkę toczy się ta 8fa i kto trzyma karty.

75

W środę Jack wyruszył do samych trzewi Szpitala imienia Cartera. Na oddział patomorfologii. To tutaj sześcioro lekarzy i niemal dwudziestu innych pracowników zajmowało się próbkami przesyłanymi przez oddziały z wyższych pięter. Tutaj analizowano i opisywano krew, mocz i plwocinę. Cięto i sprawdzano pod mikroskopami próbki tkanek pobrane z organów. Tutaj też trafiały zwłoki wymagające autopsji, aby móc ustalić przyczynę śmierci albo ostateczne postępy schorzenia. Najstarszym spośród tutejszych lekarzy był szkolony w Filadelfii patomorfolog nazwiskiem Jay Neils. Był to wysoki mężczyzna o pogodnym nastroju, chichoczący cicho, ale często, zwłaszcza gdy opowiadał jeden ze znanych w całym szpitalu świńskich dowcipów, którymi sypał jak z rękawa.

— Zatem to pan jest tą nową miotłą? — powitał Jacka siedząc za biurkiem, zaśmieconym do granic możliwości, i mierząc gościa fachowym wzrokiem, jakby miał zamiar za chwilę ułożyć go na jednym ze stołów do sekcji zwłok. — Dynamo z Dublina, cwaniak ze stetoskopem. Pańska reputacja wyprzedza pana znacznie, profesorze.

Jack uśmiechnął się. Dostrzegał już ukradkowe spojrzenia i słyszał szepty, kiedy kroczył szpitalnymi korytarzami.

— Pomyślałem, że wpadnę, aby się przedstawić — powiedział — i może namówię pana do współpracy przy badaniach, które zamierzam niedługo rozpocząć.

Neils roześmiał się w swoim stylu.

— Słucham, profesorze. Cały zamieniam się w słuch. Jeśli przyglądam się panu zbyt natrętnie, to tylko dlatego, że od pięciu lat nie widzieliśmy tutaj nikogo z dziewiątego piętra. Może pacjenci wam tam już nie umierają. A może jesteście tacy wszechstronni, że już nie potrzebujecie naszej pomocy. — Zauważył poważny wyraz twarzy Jacka i obniżył ton głosu o oktawę. — A może wasz ostatni szef tak zapatrzył się w świńskie zdjęcia, że zapomniał, jak to jest być prawdziwym doktorem.

Jack postanowił zignorować docinki patomorfologa. Skup się, pomyślał. To stara drużyna, ale z nowym kapitanem. Nie rozczulamy się nad przegranymi meczami. Od dzisiaj zaczyna się nowy sezon i tylko to nas interesuje.

76

.— Jeśli pan pozwoli, doktorze Neils, chciałbym raczej pomówić o moim programie badawczym. Te sprawy o wiele bardziej mnie interesują.

Neils skinął głową, przyznając, że się zagalopował.

— Strzelaj pan.

Oparł niezdarnie obie stopy o blat biurka, przesuając ogromny stos papierów, a potem odłożył słuchawkę telefonu, aby nikt im nie przeszkodził w rozmowie.

— Okay — zaczął Jack. — Chciałbym, aby pański oddział przeprowadzał autopsję każdego pacjenta poniżej pięćdziesiątego piątego roku życia, który umrze na serce w tym szpitalu. Chodzi mi zwłaszcza o tętnice szyjne, udowe i wieńcowe oraz wszelkie ślady dotyczące przebytych w dzieciństwie infekcji.

— Infekcji? — wtrącił zaciekawiony Neils.

Jack skinął głową i usiadł na jedynym wolnym krześle. Pozostałe trzy stojące w niewielkim kantorku patomorfologa przykryte były stosami książek i akt pacjentów. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi, po chwili do nozdrzy Jacka dotarł ostry zapach formaliny.

— Taki jest cel badań: uzyskać potwierdzenie, że przebyte w wieku młodzieńczym infekcje skutkują zwężeniami arterii, które w efekcie powodują wcześniejsze zapadanie na choroby serca. — Przekazał patomorfologowi gruby tom akt. — To wstępne badania, które właśnie zacznę kontynuować.

Neils zważył skoroszyt w ręce.

— To są wstępne badania? Ciekawe, jaką wagę będzie miała główna część?

Jack na tym nie skończył.

— Chciałbym również, aby w naszym projekcie brali udział koledzy z oddziału pediatrycznego. Zależy mi na tym, aby przeprowadzał pan wszystkie autopsje, jakich zażądamy, pod kątem znalezienia dowodów wpływu wcześniejszych schorzeń na arterie. Być może tym sposobem uda się wyodrębnić wszystkie przeciwciała związane z konkretnymi patogenami bakteryjnymi, które odpowiadają za ten proces.

Neils nie odzywał się chyba przez minutę, a potem powoli zdjął nogi z biurka i wstał.

— Wygląda na to, profesorze, że będziemy mieli wreszcie jakąś Porządną robotę na naszym oddziale. Wszystko ulegnie zmianie.

77

Mam nadzieję, że pańscy koledzy są równie zaangażowani jak pan. — Rzucił okiem na opasy skoroszyt. — Podoba mi się ten plan, to bardzo ciekawy materiał badawczy. Mam nadzieję, że wspólnie do czegoś dojdziemy. — Odłożył słuchawkę na widełki. — Porozmawiam z ordynatorami traumatologii i pediatrii. Ale nie sadzę, żeby robili problemy.

Jack poczuł ulgę. To było jedno ze spotkań, których najbardziej się obawiał. Przy tak wielkiej stagnacji, jaką zastał na oddziale kardiologii, miał przeczucie, że przekonanie reszty lekarzy do jego zmian może napotkać na przeszkody. Podobnie jak uzmysłowienie im, że współpraca przyniesie same korzyści. Badania były jednak najważniejsze. Jeśli jego propozycje zostaną zaakceptowane przez patomorfologów, pediatrów i traumatologów, wtedy przyjdzie czas na prawdziwą rehabilitację oddziału kardiologii. Ale

postępy jego prac znajdują się pod czujnym okiem wielu ludzi. To go akurat nie martwiło. Miał szczerzy zamiar współpracować z lekarzami innych specjalności, wysłuchiwać ich szczerzej krytyki. Był pewien, że każda dyskusja przybliży go do celu, wzmocni wizję odbudowy renomy oddziału kardiologicznego. A co najważniejsze, będzie mógł wreszcie poprowadzić swoje badania.

Środa okazała się dobrym dniem.

Ale czwartek był do bani.

Jack zwołał kolejną konferencję po godzinach pracy, tym razem w nowych biurach, krzesła ustawiono w kręgu wokół jego biurka. Helen zasugerowała taki układ.

— Proszę nie dopuścić do tego, żeby któryś z nich poczuł się mniej ważny od pozostałych — poradziła. — Wie pan, jak delikatne jest ego lekarzy. Każdy chce uchodzić za białego żarłacza, żaden nie pogodzi się z miejscem na końcu łańcucha pokarmowego. — Zanim poszła do domu, przygotowała świeżą kawę i tyle przekąsek, by zaspokoić pierwszy głód ludzi, którzy z pewnością są przed obiadem.

Przychodzili małymi grupkami, Jack obserwował ich reakcje, gdy witał się z każdym z osobna. Siedmiu młodszych lekarzy zajęło miejsca obok siebie z jednej strony półokręgu, rozmawiając i podjadając kanapeczki do momentu, w którym nieomal wszystkie zniknęły

78

w ich żołądkach. Martin Shreeve nie zasiadł razem z nimi i obserwował wszystkich z najodleglejszego kąta gabinetu. Harry Chan znów walczył z okularami, zdejmował je, by czyścić grube soczewki, potem z powrotem zakładał na nos, aby po kilku minutach powtórzyć raz jeszcze całą procedurę. Wyglądał na mocno rozeźlonego. Za to Nat Parker był totalnie zrelaksowany. Nawet jego wiecznie roztańczone kończyny pozostawały teraz w bezruchu.

— Przepraszam, że znów zawracam wam głowę, ale jest jeszcze kilka spraw, które chciałbym omówić. — Jack dostrzegł całą paletę reakcji na jego słowa: znudzenie, brak zainteresowania, zmęczenie, uwaga, obawa, markotność, zapatrzenie. Przeszedł od krzesła do krzesła, podając każdemu plik przypiętych do podkładki kartek. Papier podrygiwał śmiesznie, gdy strumień powietrza z obrotowego wentylatora omiatał pomieszczenie.

— Nowe wytyczne — wyjaśnił, gdy wszyscy mieli je już w rękach.

Martin Shreeve zwinął papiery w rulon, nawet na nie nie patrząc. Wodził wzrokiem za Jackiem po całym pokoju.

— Kwestie dyscyplinarne, dyskusje, kłótnie. Wszystko to ma trafiać do mojego biura. Nie życzę sobie żadnych awantur na oddziale. Jeśli komuś coś leży na sercu, przychodzi z tym prosto do mnie. To ja jestem odpowiedzialny za działanie tego cyrku.

Dał grupie kilka minut na zapoznanie się z tekstem, notując przy tym niechętną postawę Shreeve'a.

— Proszę przejść do strony szóstej. — Rozległ się szelest papieru. — Dzisiaj rano prowadziłem negocjacje z oddziałem pomocy doraźnej. Wszyscy pacjenci z podejrzanymi bólami w klatce piersiowej lub zawałem mięśnia sercowego będą natychmiast przenoszeni na dziewiąte piętro, zamiast pozostawać na obserwacji na tamtejszym oddziale. Chcę, aby wszystkie osoby, które posiadają doświadczenie z cewnikowaniem serca, były gotowe do działania przez cały czas trwania dyżuru. Jeśli wyniki EKG i enzymów potwierdzą postępujące niedokrwienie, będziemy natychmiast wykonywali angiografię połączoną z założeniem stentów bądź balonikowaniem tętnic wieńcowych. Naszym celem będzie raczej zapobieganie dalszym uszkodzeniom ni | ężnia sercowego niż obserwacja postępów choroby i leczenie jej ewentualnych skutków.

79

Lekarze wydali z siebie zgodny pomruk, a Martin Shreeve nagle rozwinął swoją kopię procedur. Gdy zaczął czytać wskazaną stronę, jego twarz wykrzywił grymas furii.

— Cóż, przyznaję, że to oznacza więcej pracy — dodał Jack — więcej poświęconego przez nas wszystkich czasu i uwagi. Przeniesiemy odpowiedzialność za przypadki nagłej niewydolności serca z izby przyjęć na dziewiąte piętro. Poskutkuje to większą liczbą wezwań dla starszych asystentów oddziału.

Shreeve tym razem nie wytrzymał.

— Jezu Chryste, to nie są jakieś cholerne zawody. Nie mam zamiaru targać mojej kościstej dupy na obchód oddziału każdej cholernej nocy, aby bawić się w Boga.

Zaskoczeni lekarze zamilkli. Ci młodszy nie byli pewni, gdzie kierować wzrok, Harry Chan skulił się na swoim fotelu i ukrył twarz w dłoniach i tylko Nat Parker siedział niewzruszony, obserwując rozwój wydarzeń. Jack czekał, aż Shreeve'owi minie największa złość.

— Cieszy mnie, Martin, że zdecydowałeś się skorzystać tak szybko i tak otwarcie z nowych procedur składania skarg — powiedział wreszcie. — I rozumiem twój uzasadniony niepokój. — Z całych sił walczył, aby zachować spokój w głosie, za nic nie chciał, aby zobaczyli, jak jest wkurzony. — Ale pamiętaj, że wszyscy tkwimy w tym po równo. Oddział kardiologiczny musi ścigać się z czasem. Każdy, kto uważa, że nie podoła zmianom, powinien zastanowić się nad rozwiązaniem kontraktu. — To już była walka na słowa, pierwsze publiczne i bezpośrednie starcie.

Shreeve odsunął się od ściany i wypiął wszystkie kartki, jedna po drugiej, rzucając je na podłogę.

— Idę do mojego prawnika. — Wymaszerował z gabinetu, trzaskając drzwiami.

Jack zignorował jego wystąpienie.

— Załatwmy teraz resztę spraw i wracajmy do domu najszybciej jak się da.

Jeszcze godzinę trwało dyskutowanie i przyswajanie kolejnych radykalnych propozycji, jakie dla nich przygotował. Gdy spotkanie się skończyło, Jack długo siedział, spoglądając za okno gabinetu, na

migoczące światła odległych drapaczy chmur. Oporni zostali wyłowieni. Czy będą się trzymać stanowisk czy raczej zrezygnują? Czy zaczną

80

konspirować przeciw niemu? Czy zaczęła się już otwarta wojna czy wybuch Shreeve'a to tylko próba sił?

Natarczywe brzmienie dzwonka telefonu Helen w sekretariacie wytrąciło go z zamyślenia.

— Panie Hunt, o której godzinie zamierza pan wrócić do domu dzisiejszego wieczora? — To była Beth, piekielnie zmęczona sądząc po głosie.

Jack rzucił okiem na zegarek i przeklął bezgłośnie. Była ósma trzydzieści. To już czwarty wieczór z rzędu, gdy wróci do domu po dziesiątej. Danny będzie już spał, a kolacja całkiem wystygnie.

— Już się zbieram.

Dziesięć minut później biegł po ulicy, machając na taksówkę. Powinienem kupić kwiaty po drodze, pomyślał. Wkrótce światła wielkiego miasta zaczęły przemykać za szybą, gdy ponaglił kierowcę do szybszej jazdy.

W piątek Jack dokonał niemożliwego. Udało mu się namówić ordynatorów czterech oddziałów na spotkanie w porze lunchu. Chirurga Donovana z oddziału płucosercowego, Jaya Neilsa z patomorfologii, profesora Neda Watsona z pediatrii i szefa traumatologii, George'a Ver Barkmena. Takie wydarzenia w wielkich placówkach medycznych należały do rzadkości — znani lekarze pracowali pod tym samym dachem, ale niemal nigdy nie spotykali się, by omawiać sprawy zawodowe. Byli niczym okręty we mgle, mijali się nie zauważając wzajemnie na korytarzach bądź na parkingach szpitalnych, czasem tylko byli sobie przedstawiani przy okazji jakichś uroczystości. Ale zazwyczaj pozostawali sobie obcy przez większość czasu pracy.

Przybyli do świeżo wykończonych wewnątrz profesorskiego gabinetu, wymieniając zdawkowe uprzejmości, i nie spuszczały z oczu zegarków, gdy Jack wyjaśniał im powody tego spotkania.

— To zajmie góra piętnaście minut — obiecał. Goście, jak mu S|Ç wydawało, zgodnie odetchnęli z ulgą. — Rozmawiałem z każdym z was osobno i wyjaśniałem charakter zmian, jakie planuję wprowadzić na oddziale kardiologii. — Zyskał już pełną uwagę wszystkich zebranych. — Zamierzam dzięki pracy zespołowej rozwinąć mój oddział, rozpoczynając program badawczy bazujący na danych, które

81

opracowywałem od dłuższego czasu. — Rozdał im dokumenty. — To wyniki wstępnych badań. Oparłem je o dane i statystyki zgromadzone w moich prywatnych archiwach. Dodatkowo na stronach od dziesiątej do piętnastej znajdują panowie informacje o sposobach sprawdzania i konfrontowania wyników, jakie będziemy uzyskiwać w trakcie realizacji programu.

Żaden z zaproszonej czwórki nie spojrział nawet w dokumenty, studiowali za to młodszego kolegę siedzącego naprzeciw nich. To, że dokonał takiego postępu, odbył tyle rozmów i doprowadził do tego nietypowego spotkania, a wszystko na przestrzeni tygodnia od uzyskania nominacji, wydawało im się naprawdę niesamowite. Jack wyczuwał ich podziw, ale także pewną rezerwę.

— Chcę wynieść swój oddział z powrotem na szczyty — dodał na zakończenie. — Przywrócić mu światową klasę.

Wywołał tym dyskusję, która trwała równo siedemdziesiąt minut. Była żywa i krzepiąca. Jack niewiele mówił, pozwalał, by inni przedstawiali swoje zdanie. A kiedy skończyli, wiedział już, że wygrał to rozdanie. Wywarł na nich pozytywne wrażenie i zyskał przychylność ordynatorów najważniejszych oddziałów. Kardiologia w Carterze dostała zielone światło.

To, że Jack pracował w ekspresowym tempie, było w dużej mierze zasługą jego sekretarki, Helen. Poganiała szefa, zmuszała do dotrzymywania terminów, kontrolowała plany spotkań. Musiał załatwiać sprawy administracyjne pomiędzy ważnymi spotkaniami, rozmowy kwalifikacyjne w porze lunchu, a pacjentów doglądać na okrągło. Helen układała jego plan dnia z niesamowitą precyzją. Wkrótce dorobiła się nie gorszej reputacji niż człowiek, któremu służyła pomocą.

— Amerykańska Fundacja Serca prosi pana o odczyt na dorocznym spotkaniu w listopadzie. Co mam odpowiedzieć?

— Zrobię to.

Jack miał na sobie ubranie operacyjne, kawę w jednej ręce, ciastko w drugiej. Wciąż nie potrafił dostosować się do zasad żywienia, jakie sam wprowadził na oddziale. Helen włożyła dzisiaj białą garsonkę z czerwonym paskiem, w rękach trzymała podkładkę i długopis. Była gotowa do natychmiastowego działania.

82

— Oddział kardiologii uniwersytetu stanowego chciałby pana widzieć na panelu ekspertów. Mają na myśli trzy spotkania rocznie, na których omawiano by lokalne problemy medyczne.

— Mogą na mnie liczyć.

— Wydawca „Journal of the American Medical Association” proponuje, żeby pan przeczytał i zrecenzował trzy artykuły, które zamierzają opublikować. — Helen dochodziła już do końca listy. Bezwiednie skrzywiła się, widząc, że Jack sięga po kolejne ciastko.

— Przekaż im, że mogę zająć się tylko jednym w miesiącu, i to wyłącznie w przypadku, gdy ktoś u nich osobiście zarekomenduje artykuł.

— Załatwione. — Helen uśmiechnęła się i wyjęła zza podkładki długą cienką kopertę. — Zemdon Pharmaceuticals proponuje panu i pańskiej żonie lot na Hawaje na początku grudnia, aby wygłosił pan przemówienie na międzynarodowym zjeździe kardiologów, który tam organizują. — Zamachała

provokacyjnie kopertą tuż przed nosem Jacka. — Brzmi nieźle. Tutaj nie będzie za ciepło, może pan potraktować ten wypad jak ładowanie akumulatorów przed długą chicagowską zimą.

Jack zauważył wizytówkę dopiętą do koperty. Hend de Mart, przedstawiciel na Środkowy Zachód, Zemdron Pharmaceuticals.

— Odeślij im zaproszenie, nie jestem zainteresowany.

Helen wzruszyła ramionami.

— Pański wybór. Ja bym tam chciała, żeby ktoś zaprosił mnie na Hawaje.

Jack skierował się ku drzwiom, zaczęło mu się śpieszyć.

— Coś jeszcze? Chyba powinienem przez chwilę pobawić się w doktora.

Przez łopot dobrze wykrochmalonego fartucha nie dosłyszał wszystkich wykrzyczanych słów,

— Teraz jest pan profesorem, panie Hunt. Bycie prostym doktorem to już przeszłość.

W sobotę trzeciego lipca bomba wreszcie wybuchła.

Jack zwołał poranną konferencję całego zespołu kardiologii. Le-karzy, pielęgniarek i sanitariuszy. W sumie dwadzieścia cztery osoby zostały poproszone do sali audiowizualnej na parterze szpitala. Jack

83

oddelegował tylko najmłodszą z praktykantek, by pilnowała pacjentów leżących na dziewiątym piętrze. Dziewczyna, której zlecił to zadania, wkrótce przenosiła się do Waszyngtonu, uznał więc, że jej udział w naradzie nie będzie konieczny.

W każdym szpitalu soboty i niedziele były dniami odpoczynku. Poza tymi, którzy mieli dyżury, wszyscy pozostali mogli ładować akumulatory przez całe czterdzieści osiem godzin, zażyć normalnego życia, zanim znów nie wpadną w wir kolejnego tygodnia pracy. Idealna okazja, by zrobić zakupy, wyluzować się, upić, pójść na mecz, poleżeć na słońcu albo pomarzyć o wypadzie na Karaiby. Pobyć trochę z rodziną, której za często się nie widuje. Dokładnie odgraniczony od reszty tygodnia czas z przeznaczeniem na odpoczynek. Nikt nie słyszał o tym, by kiedykolwiek wezwano pełną obsadę oddziału w sobotni poranek. Ale Jack złamał i tę tradycję.

— Dzień dobry — rzucił na powitanie. Nikt mu nie odpowiedział, widział jedynie poważne twarze, smutny wzrok, od czasu do czasu rzut oka na zegarek. Większość przybyła w normalnych ubraniach, T-shirtach, szortach. Jack miał na sobie bawełnianą koszulę w serek, sprane dżinsy i adidas. — To jednorazowa sprawa, przyrzekam. Ja także zebrałem w domu cięgi, dlatego sugeruję, byśmy przeszli od razu do tematu. Gdybyśmy zbrali się w środku tygodnia, co chwilę coś by nam przerywało, a sprawa jest zbyt ważna, żeby omawiać ją w przeciągu. Muszę wam ją przedstawić osobiście, twarzą w twarz, nie przez osoby trzecie. Nie chcę, żeby ktoś przekręcił moje słowa, żeby powstały jakiegokolwiek

niedomówienia. Usłyszycie dokładnie to, co chcę wam przekazać. Jeśli ktoś będzie miał problem ze zrozumieniem, chcę o tym od razu wiedzieć. Nie dopuszczę do siania fermentu na oddziale.

Zauważył niewielką zmianę na obliczach. Martin Shreeve i Harry Chan stali razem na samym końcu sali, obu najwyraźniej zainteresował układ słoików na okleinie mebli. Nat Parker, ubrany w dżinsy i T-shirt, bez przerwy zezował w siedzące po jego obu stronach pielęgniarki. Ale również nie wyglądał na uszczęśliwionego pobylem w szpitalu. Pozostali zaczęli wykazywać oznaki rosnącego zniecierpliwienia. Zza okna przywoływało ich gorące czerwcowe chicagowskie słońce. Jack uderzył, szybko, mocno i nisko.

— Od tej chwili zakazuję wszelkich kontaktów z firmami farmaceutycznymi... — przerwał, by sprawdzić, czy salwa trafi w cel. — Nie

84

chcę widzieć żadnego przedstawiciela handlowego na oddziale kardiologicznym Cartera. Nie obchodzi mnie, co się dzieje w pozostałej części szpitala, to nie mój interes. Ale za kardiologię ja odpowiadam. Wszyscy, którzy posiadają akcje firm farmaceutycznych, mają mi to zgłosić.

Na niewielkiej widowni zapanowała martwa cisza. Smutek na twarzach przeistoczył się w kompletne zadziwienie. Przedstawiono im właśnie jedną z najbardziej restrykcyjnych zasad działania szpitala.

— Żaden z lekarzy zatrudnionych u mnie nie będzie udzielał publicznego wsparcia produktom chemicznym. Nie chcę widzieć tanich wziętek w torbach z logo ofiarodawcy, które wciąż walają się po całym oddziale. Mam na myśli długopisy, papeterie, kubki, ręczniki, kalendarze i całą resztę. — Jack podniósł naręczę wypchanych reklamówek. — Tyle zebrałem z biur i korytarzy minionej nocy. — Zeskoczył z pulpitu, z którego przemawiał, i zaczął się przechadzać po sali. W dżinsach i wyciętej bluzie wyglądał raczej na wykładowcę informatyki niż profesora kardiologii. — Krótko mówiąc, nie życzę sobie, by nasz oddział był kompromitowany braniem darów albo innych łapówek. Każdy lek, jakiego będziemy używali, musi być skuteczny. Nikt z nas nie będzie wprowadzał innych nitratów, leków na nadciśnienie, czynników obniżających poziom lipidów i całej reszty, jeśli nie będzie takiej potrzeby.

Szczęki wszystkim opadły, siedzieli z otwartymi ustami. Jack przeszedł teraz do domeny Shreeve'a i Chana.

— Zakaz obejmuje także zaproszenia na fundowane wypadki do egzotycznych krajów. Zawsze uważałem, że tego typu praktyki firm farmaceutycznych są podejrzane. Jeśli ich produkt jest dobry, będzie się sprzedawał. Jeśli jest zły, nikt go nie kupi, a wydanie masy pieniędzy tego nie zmieni... — przerwał na moment. — W ubiegłym roku przemysł farmaceutyczny wydał miliard dolarów na reklamę bezpośrednią, choć zaledwie rok wcześniej suma przeznaczona na ten cel była niższa o niemal czterysta milionów. Podaję za statystykami opublikowanymi w „Wall Street Journal”. Nie chcę brać udziału w tym procederze i zapowiadam, że żaden lek nie dostanie się na mój oddział tylnymi drzwiami.

To czego Jack zażądał od swoich podwładnych, było naprawdę szokujące. Wszyscy przecież mieli jakieś kontakty, jadali i pijali

z rozmaitej maści przedstawicielami handlowymi konkurującymi ze sobą koncernów. Wielu latało na konferencje organizowane w odległych rejonach świata, na których jedynym punktem obowiązkowym było wysłuchanie wykładu o lekach produkowanych przez sponsora. Całą resztę czasu można było spędzić przy basenie albo na zakupach. Wszyscy otrzymywali kubki, kalendarze, nawet skrobaczki do lodu z wyraźnie widocznym logo firmy. W domach i mieszkaniach aż roiło się od podobnego badziewia. Przy prezentach z nieco wyższej półki, takich jak markowe pióra, można było zmyć bądź wydrapać logo darczyńcy i udawać, że ma się dobry smak i pieniądze na luksusowe towary. Nikt już nie przejmował się podejrzaną hojnością firm farmaceutycznych. Nikt też nie udawał, że nie wie, iż obdarowujący oczekuje czegoś w rewanżu — w rzeczy samej była to ukryta transakcja handlowa. Dlatego utrata tych częstych i niewliczanych do opodatkowania dóbr była równie bolesna jak odkrycie, że ktoś właśnie wyjadł cały krem z ciastka. Wielu pracowników szpitala zainwestowało swoje oszczędności w akcje koncernów produkujących i sprzedających leki. Dokonywali tym samym nielegalnych transakcji, wiedząc zawczasu o planowanych ruchach firm. I właśnie ujawnienie kapitału zainwestowanego w te akcje, a być może nawet konieczność ich zbycia, wywołało największy szok.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, Jack przejął inicjatywę.

— Oddział kardiologiczny Cartera od kilku lat popadał w stagnację, a jego słabe wyniki rzutowały na obraz całego szpitala. Ale ja to zmienię. Czasy zaniżonych standardów i braku zaangażowania w pracę należą do przeszłości. Będziemy uczciwie zarabiali na siebie i znów wyniesiemy nasz oddział na szczyt. Będę od was żądał obiecujących wyników w pracach badawczych, decyzji ważnych i przelomowych, które zrewolucjonizują w przyszłości leczenie chorób serca, pionierskich technik, które zmienią międzynarodowe standardy... — Zamilkł, stając przed zebranymi. — To wszystko, co miałem wam do zakomunikowania. — Przyjrzał się każdemu rzędowi z osobna. — Czy ktoś ma jakieś pytania związane z tą sprawą?

Nikt nic nie powiedział, żadna głowa się nie poruszyła. Jakby zamroził całą grupę.

— W takim razie idźcie, złapcie trochę słońca.

*

Jakieś pięć mil od miejsca spotkania, w północnej części parku Lincolna, Beth Hunt grała we frisbee ze swoim synem. Wokół nich pełno było rodzin, które cieszyły się promieniami słońca, rozpalano grille, płynęły strumienie piwa, w powietrzu rozbrzmiewał śmiech. Dzieciaki jeździły na deskorolkach albo rowerach, inne kopały albo rzucały piłkę. Ludzie korzystali z życia, starając się wycisnąć tę okazję do ostatka. Beth rozumiała, że nowa praca Jacka będzie zabierała mu wiele czasu, ale ich syn boleśnie to przeżywał.

— Okay, Danny — zawołała w końcu, czując, że w tym żarze nie zdoła zrobić ani jednego kroku więcej. — Chodźmy do domu i sprawdźmy, czy nasz tajfun już wrócił.

Rozpoczęli długi powrót na West Deming.

ROZDZIAŁ 8

— Pani Bradley, czy doktor Hunt jest teraz w swoim biurze?

Trzy dni po tym, jak Jack Hunt odpalił bombę embarga farmaceutycznego, zadzwonił do niego rozwścieczony Steve Downes. Była dokładnie za piętnaście dziesiąta rano, pół godziny przed seminarium na temat kardiologii inwazyjnej, które miał poprowadzić Jack. Jego wykłady cieszyły się wielką popularnością wśród młodych lekarzy, szef miał bowiem naturalny talent do nauczania.

— Przebija się teraz przez tony dokumentów. Chce pan z nim rozmawiać?

— Jak cholera. Proszę nie pozwolić mu wyjść. Już tam do was schodzę.

Downes przemaszerował przed biurkiem Helen, rzucając jej jedynie zdawkowe powitanie. Drzwi do gabinetu profesorskiego były uchylone, więc wszedł od razu i zatrzęsął je za sobą.

Jack siedział za biurkiem, ale ledwie go było widać. Błat zawalony był stosami papierów, akt pacjentów, roczników pism medycznych i pustymi kubkami po kawie. Jedno z krzeseł także utonęło pod stertą książek, kubek na śmieci stojący obok otoczony był kulkami zmiętego papieru, które nie sięgnęły celu. Jack podniósł wzrok, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi, w samą porę, by ujrzeć rozgorączkowane oblicze Downes. Dyrektor administracyjny stał już przy samym biurku, pochylał się nad nim, brzuch zwiślał mu pod luźną koszulą w pasy. Kołnierzyk miał rozpięty, krawat poluzowany, a twarz popielatą, rozedrganą. Jego przypominające szczotkę włosy były

88

w kompletnym nieładzie. Kiedy się odezwał, nie silił się nawet na grzeczność.

Co to za pojebany pomysł z zakazaniem wstępu firmom farmaceutycznym na oddział kardiologiczny?

Jack wskazał przybyłemu jedyne wolne w tej chwili krzesło. Downes zignorował ten gest i sterczał nad nim nadal.

— Prosta zasada, Steve. — Jack nie ugiął się pod groźnym spojrzeniem. — Chcę zmienić ten oddział w światowej klasy placówkę wolną od handlowych uwikłań.

— Do cholery, Hunt, na październik mamy zaplanowaną akcję promocyjną nowego leku. Korporacja Zemdon wpompuje w nasz szpital pół miliona dolarów, abyśmy stanęli na nogi. Potrzebujemy tych pieniędzy. Możesz siedzieć sobie w tej swojej naukowej wieży z kości słoniowej nawet cały pierdolony dzień, ale nigdy nie pojmiesz, jak kieruje się tak skomplikowanym organizmem jak szpital.

— A czego Zemdon chce w zamian za te pieniądze? — zapytał Jack. Zmienił pozycję na nieco wygodniejszą, nie musiał już patrzeć z dołu na atakującego.

— A skąd ja mam to wiedzieć, do kurwy nędzy? — ryknął Downes, aż ślina zaczęła mu przyskać z kącików ust. — Kiedy oferują ci pół miliona dolarów tylko za użycie papieru firmowego, nie pytasz o nic. Te pieniądze mogą trafić bez większego problemu do każdej placówki medycznej na Wschodnim Wybrzeżu.

Jack przysunął się do krawędzi biurka, odkładając na bok część papierów, aby zrobić trochę miejsca.

— Pozwól, że powiem ci kilka słów o medycynie, Steve — zmierzył urzędnika zimnym wzrokiem. — To nie pieniądze wyniosą ten oddział na szczyty światowych rankingów, tylko ludzie. Lekarze, pielęgniarki i sanitariusze. To jest nasz kapitał. Pracowałem na wielu oddziałach tonących w szmalu i posiadających dostęp do najnowocześniejszych technologii, ale pracowały tam jedynie małpy, które nie potrafiły odróżnić jednego końca stetoskopu od drugiego... — przerwał, aby zaczerpnąć tchu. — Jeśli Zemdon kupi ten oddział, każdy dokument, który wydamy, będzie traktowany jak potencjalna reklama. Jeśli ogłoszę, że jedynym sensownym lekiem na niestabilną chorobę wieńcową są beta-blokery, na kolejnej konferencji ktoś przysiadzie się do mnie i zapyta, ile wzięłem za wydanie takiej opinii. W naszym

89

zawodzie pracuje wielu cyników. Ale prawdziwe wyniki naukowe osiąga się w oderwaniu od korzyści handlowych. I tak mam zamiar postępować na tym oddziale. — Spojrzał na zegarek, dochodziła dziesiąta piętnaście.

— Masz to zapisane w kontrakcie — przez usta Downesa przemknął cień uśmiechu.

Jack oparł oba łokcie na blacie biurka, wyprostował palce i oparł twarz na opuszkach.

— Nie mam, Steve. Wydzieliliśmy tę kwestię do aneksu, pamiętasz? Nie stanąłbym w sobotę przed całym oddziałem, gdybym wcześniej tego dokładnie nie sprawdził. — Sięgnął do szuflady i wyjął kopię umowy, którą zawarli, przewrócił kilka kartek i zatrzymał się na stronie szóstej. Zacytował: — Podpunkt 3A. Koordynacja działań przy planowanej promocji nowego leku Zemdon Pharmaceuticals: sprawa zostanie ustalona po miesiącu od rozpoczęcia kontraktu — podniósł wzrok. — No więc ustalę ją teraz. Nie będę częścią tej promocji. Niech sobie znajdą inną papugę do tego występu.

Downes otworzył usta, potem je zamknął, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Potem chwycił wolne krzesło i przysunął je do biurka.

— Nie wkurwiał mnie, Jack. Dogadaliśmy ten interes, zanim Sam Lewins został zastrzelony. Był nim zachwycony i bardzo chciał wziąć udział w tej promocji. Mówił, że dzięki temu oddział odzyska prestiż i utracone morale. Ten program został już uruchomiony. Są już pierwsze zwiastuny, reklamy, zrobiliśmy zamówienia, ludzie są przygotowani. Możemy załatwić tę sprawę z marszu. Nie możesz, chociaż raz w życiu, poświęcić swoich cholernych pryncypiów?

Jack jeszcze raz sprawdził czas, był już spóźniony.

— Muszę już iść, Steve. Wybacz. Porozmawiamy o tym następnym razem. Dzisiaj to jedna z ostatnich rzeczy na mojej liście spraw do załatwienia.

Zamierzał wstać, ale Downes poderwał się pierwszy i znów zawisł nad biurkiem.

— Nie zapominaj o swoich zobowiązaniach, profesorze. — Twarz miał napiętą, mięśnie rysowały się pod skórą.

— Nie wymuszaj na mnie niczego, Steve. Nie lubię, jak się mnie zapędza do rogu.

90

Powtarzam ci, że już dobiliśmy targu. Twoim zasranym obowiązkiem jest doprowadzić sprawę do końca.

Po moim trupie, Steve. Jeśli będziesz naciskał, narobisz tylko smrodu wokół szpitala.

Downes wyprostował się, dysząc ciężko. Sięgnął do bocznej kieszeni po chusteczkę i szybko otarł nią czoło.

Porozmawiamy o tym jutro — cofnął się o krok, odwrócił i wyszedł.

ROZDZIAŁ 9

Wielu sukinsynów człowiek spotyka w życiu, ale nie wszyscy są prawnikami. Weźmy przykład doktora Harry'ego Chana.

Miał już pięćdziesiąt pięć lat, trzecią żonę i potężne długi na karku. Do tego można by doliczyć dwie byłe i całe stado dzieciaków do wykarmienia. Jego aktualna partnerka życiowa miała niezły gust oraz pociąg do drogich ciuchów i mebli, a skromny domek w chicagowskim Oak Park, w którym wspólnie mieszkali, przeszedł cztery remonty w ciągu ośmiu lat, meble natomiast zmieniano przy byle okazji. Ostatnio kobieta ta zaczęła dość regularnie wysyłać sygnały typu: jaka ja jestem znudzona, nie mam dzisiaj nic do roboty.

Chan miał też równie kosztowną kochankę: biuro bukmacherskie w pobliżu Union Station. Obstawiał tam wyścigi konne, gonitwy psów, mecze i pojedynki bokserskie. Stanowe i krajowe. Jak go poniosło, był w stanie obstawiać wyniki chabet z Hongkongu, Anglii, a nawet z Australii. Większość z nich była nadal na torze, gdy zwycięzcy po odebraniu nagrody pędzili już do domu w swoich przyczepkach. Chan miał tyle samo szczęścia do hazardu co do kobiet.

Rozpaczliwie próbując zachować wypłacalność, od trzech lat dokonywał przekrętów finansowych, które zapewniały mu dodatkowe dochody. Robił to dzięki współpracy z szemranym brokerem rezydującym zaledwie dwie przecznice od Wall Street. Chan obracał wyłącznie akcjami koncernów farmaceutycznych, a podpowiedzi szukał w pismach fachowych, sprawdzając wszelkie informacje o możliwych przetłomach

w leczeniu. Utrzymywał ścisłe kontakty z wieloma korporacjami i miał źródła w liczących się laboratoriach na terenie ca-

92

jego kraju. Jeśli któryś z produktów rokował nadzieję na wielki sukces, Harry kupował akcje jego producenta. Równolegle informował swojego brokera o takich pewniakach, a ten sprzedawał te informacje zaufanym klientom. Działając w zмовie, dwukrotnie byli sprawcami przecieku dla prasy na długo przed tym, zanim pewna korporacja oficjalnie ogłosiła rozpoczęcie produkcji nowych leków na epilepsję i schizofrenię. W obu wypadkach zakupili odpowiednio wcześniej sporą liczbę akcji. Ale wszystkie te działania, pomimo przychodów pozwalających na pokrywanie bieżącego zadłużenia, nie należały do specjalnie intratnych zajęć, więc Harry musiał nieustannie walczyć o dopływ gotówki, by nie zginąć. Nowe zasady wprowadzone przez Jacka Hunta mogły go doszczętnie zrujnować. Także Martinowi Shreeve'owi Irlandczyk przysparzał wielkiego bólu, był zagrożeniem dla jego pijackiego stylu życia i planów emerytalnych. Ale Harry Chan miał o wiele więcej do stracenia.

— Doktorze Chan, znajdzie pan parę minut na rozmowę?

Hend de Mart czekał na kardiologa na parkingu przy szpitalu. Minęły już cztery dni od sobotniej konferencji Jacka i cały oddział stawał na głowie, by spełnić wygórowane żądania szefa. Chan był tak zatopiony w myślach, że nie zauważył cienia zwalistego Afrykanera, który padł na niego, gdy pochylał się, by otworzyć drzwi od strony kierowcy. Kiedy podniósł wzrok, wydawało mu się, że stanął przed nim Sylvester Stallone u samego szczytu sterydowej kariery. Afrykaner miał na sobie jasne spodnie i luźną koszulę z krótkim rękawem, jego nieskazitelny wygląd świadczył dobitnie, że upały Środkowego Zachodu nie robią na nim żadnego wrażenia. Codziennie uprawiał jogging w parku Lincolna, jeździł na rolkach wzdłuż wybrzeża, ćwiczył na niewielkiej siłowni mieszczącej się o dwie przecznice od miejsca, w którym mieszkał. Był opalony i rzeński, tylko blond włosy miał nieco jaśniejsze niż zwykle, a mięśni równie potężnych Chan mógł się naogładać wyłącznie w magazynach kulturystycznych.

Kardiolog łypnął oczami zza grubych szkielek i roześmiał się nerwowo.

— Przepraszam, ale śpieszę się do domu. — Czuł, że może mieć do czynienia z napadem.

De Mart podał mu wizytówkę i zaczął mówić.

93

*

Wieczorem tego samego dnia na chodniku przed luksusowym hotelem Four Seasons na East Delaware odświętnie ubrany i mocno zaciekawiony Chan spoglądał na główne wejście. Sprawdził buty, poprawił krawat i przetarł okulary. Szybki rzut oka na odbicie w wypolerowanej szybie, głęboki wdech i już był we wnętrzu, szukając drogi do baru wychodzącego na Michigan Avenue. Hend de Mart czekał na niego w sporym tłumie popołudniowych gości i szybko poprowadził gościa pomiędzy stolikami do windy na zapleczu.

— Chciałbym, aby poznał pan kogoś.

Na dwunastym piętrze znajdował się niewielki, ale doskonale wyposażony prywatny apartament. Dyrektor filii amerykańskiej Zemdon Pharmaceuticals, Stan Danker, siedział w aneksie barowym na wprost panoramicznego okna zajmującego niemal całą ścianę i spoglądał na panoramę miasta. Przez otwarte drzwi wewnętrzne widać było drugie pomieszczenie, w którym kelnerzy nakrywali stół do posiłku na trzy osoby, na antresoli długonoga blondynka w czarnym uniformie czekała, by podać chętnym napoje chłodzące.

— Doktorze Chan, jak się cieszę, że mogę pana wreszcie poznać. — Danker próbował urzec gościa od progu. Miał na sobie lekki beżowy garnitur, bladoniebieską koszulę i żółtą muszkę. Siwe włosy naźlelował i przyczesał do tyłu. — Tyle o panu słyszałem. — Uśmiechnął się szeroko, pokazując niemal wszystkie zęby.

Chan delikatnie ucisnął jego dłoń i spróbował odpowiedzieć uśmiechem, ale nie potrafił się zdobyć na taką śmiałość, sceneria wręcz go przytłaczała.

Hend de Mart rozpiął guzik koszuli i zdjął krawat. Rozpięta pod szyją koszula odsłoniła wydatne jabłko Adama. Mimo że dochodziła już ósma, na zewnątrz wciąż było piekielnie gorąco, na szczęście wydajne klimatyzatory hotelu radziły sobie nawet z takim żarem.

Blondynka zrobiła koktajle, rozdała je obecnym i dyskretnie przeszła do pokoju jadalnego. Trzej mężczyźni popijali drinki przez niemal dziesięć minut, rozmawiając o sprawach przyziemnych i spoglądając z góry na ruch uliczny i światła. Ludzie tłoczyli się na chodnikach, wielu miało torby z zakupami w rękach, robili zdjęcia albo czytali menu pobliskich restauracji.

94

— Wspaniałe miasto — zachwycił się Danker i zaraz rozpoczął dyskusję z de Martem na temat dobrych i złych stron metropolii. Po chwili przerwali, by dopuścić do głosu Chana, przysłuchując się z zainteresowaniem każdemu jego słowu. Kiwali głowami smutno, gdy poruszał jakiś niemiły wątek, i śmiali się radośnie, kiedy opowiadał im o ciekawostkach z rodzinnego miasta.

Wypili tylko jednego drinka przed obiadem, potem Danker poprowadził ich do jadalni, gdzie natychmiast zasiedli do stołu. Dania zostały już podane, wina wybrane, nie zabrakło nawet szklanek z pokruszonym lodem i wodą. Przez cały czas trwania posiłku Danker kontynuował swoje podchody. Konwersowali o wszystkim, od pogody po architekturę, później przeszli do obgadywania służby zdrowia w regionie. Chan zaczął się odprężyć. Dobre jedzenie, świetne wino, ciekawa rozmowa, wszystko to sprawiało, że poczuł się bezpieczniej. Nawet pomyślał, że powinien być zabrać z sobą żonę. Mogłaby się wreszcie pokazać. Popatrzcie tylko na mnie, mój mąż, doktor Harry Chan, zasiada przy jednym stole z szychami z Nowego Jorku. Co prawda nie załapał się na posadę profesora (przez wiele dni z rządu miał przechlapane, po tym jak ta meblowa furiatka dowiedziała się, że awansowali Hunta, jemu pokazując figę), ale wciąż jest ważną osobą.

Kawę zaserwowano w pomieszczeniu z barkiem, zaproponowano także cygara, ale wszyscy zgodnie odmówili. Chwilę później drzwi od jadalni zostały cicho zamknięte. Blondwłosa kelnerka chciała przyrządzić kolejne koktajle, ale de Mart stwierdził, że nie będą więcej pili. Chan właśnie podnosił rękę, mając nadzieję na podwójną porcję najlepszej brandy, ale zrozumiał w lot, że szczodrość gospodarzy właśnie się skończyła. Czas przejść do najważniejszego, czyli interesów.

Stan Danker dolał mleczka do kawy i spojrzał zza stolika na kardiologa. Wciąż się uśmiechał, ale już nie tak kordialnie jak podczas Powitania.

— Na pewno zastanawia się pan, dlaczego nalegałem na to spotkanie.

Chan roześmiał się nerwowo, nie odpowiedział jednak. Jego oczy Przeskakiwały pomiędzy siedzącymi naprzeciw niego mężczyznami.

95

— Reprezentuję Zemdon Pharmaceuticals — zaczął Danker — jedną z największych firm farmaceutycznych świata. — Chan zamrugał, ale wciąż nie ważył się powiedzieć słowa, uchylał wargi tylko po to, by upić odrobinę espresso. — W październiku zamierzamy wprowadzić na rynek jeden z najciekawszych leków w historii nowoczesnej kardiologii. To tabletki zapobiegające wystąpieniu zawału serca pod nazwą cyclint. Domyślam się, że zna pan tę sprawę.

Podawane z wyprzedzeniem informacje dotyczące daty zaprezentowania nowego specyfiku oraz dane o jego skuteczności krążyły od pewnego czasu wśród najbardziej znanych kardiologów świata. Chan odezwał się po raz pierwszy.

— Tak, tak. Znam. Wspaniały produkt. Z pewnością będzie hitem. Może powinienem zainwestować w akcje pana firmy?

Danker uśmiechnął się dobrodusznie i spojrzał na de Marta. Afrykaner siedział niewzruszony, zachował kamienną twarz, słuchał i obserwował.

— My również oczekujemy, że to będzie strzał w dziesiątkę — ciągnął Danker. — W rzeczy samej wydaliśmy już sporo pieniędzy, by zapewnić mu sukces. A ich znacząca część miała być zainwestowana tutaj, w Chicago.

Chan nagle zrobił się czujny.

— To znaczy?

Danker westchnął ciężko, na jego twarzy widać było rozczarowanie.

— Planowaliśmy wykorzystać opinię oddziału kardiologii Cartera do wsparcia medialnego naszego produktu. Chcieliśmy, aby reputacja i prestiż waszej placówki promowały cyclint w kraju i za granicą. — Pochylił się i wbił wzrok w Chana. — Nieoficjalnie powiem panu, że zdołaliśmy zjednać sobie profesora

Lewinsa. Zgodził się wystąpić jako osoba polecająca nasz produkt. Sam miał poprowadzić szarżę Zemdonu.

— Ale nie żyje. — Harry przypomniał rzecz oczywistą.

— Tak. — W końcu i de Mart przemówił. — Nie żyje. Ale na polu walki pozostał Zemdon i sprawa promocji nowego leku.

— I dlatego zaprosiliśmy pana... — Stan Danker usiadł wygodniej, lecz nie spuszczał badawczego wzroku z kardiologa.

Harry Chan wyglądał na mocno zmieszanego.

96

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Potrzebujemy innego wybitnego polecającego. I potrzebujemy go dzisiaj, nie za tydzień. Szukamy człowieka z siłą przebicia, kogoś pracującego na dobrym oddziale kardiologicznym, kto poprzez wprowadzenie cyclintu i wypowie się ostro i wyraźnie za naszym projektem.

— Entuzjastycznie — wtrącił de Mart.

— Zaoferujemy tej osobie bardzo korzystny pakiet finansowy. Coś, czego chyba żaden lekarz nie będzie w stanie odrzucić.

De Mart przejął na siebie dalszą część przemowy.

— Pieniądze zostaną wpłacone na numeryczne konto w Szwajcarii, z dala od oczu i uszu urzędu skarbowego. Dostęp do nich będzie możliwy natychmiast po zrealizowaniu warunków umowy. — Afrykaner nie owijał w bawełnę. Uważał, że takie postawienie sprawy będzie najefektywniejsze.

— To nie będzie prosta robota. — Danker podjął temat. — Trzeba będzie poświęcić wiele czasu na podróże i wykłady podczas konferencji medycznych. Chcemy organizować panele satelitarne z udziałem największych sław kardiologii, krajowe i międzynarodowe seminaria. Nasz człowiek musi na nich być podporą cyclintu i promować go agresywnie. Do cholery, oczekujemy, że powie, iż nasz produkt jest tak dobry, że warto go dodawać do źródeł wody pitnej. — Roześmiali się jednocześnie z tego niewinnego żartu.

Harry Chan odstawił filiżankę po kawie na orzechowy stoliczek. Jego dłonie wyraźnie drżały, gdy zdejmował okulary, by przetrzeć ich szkła czystą lnianą chusteczką, którą przygotował sobie specjalnie na tę okazję.

— No, nie wiem... — zastanawiał się — nigdy nie zapuszczałem się na te tereny.

Danker skinął na de Marta, Afrykaner przeszedł za barek i wrócił z neseserem. Otworzył jego zamki. Dwa bruliony trafiły do rąk Chana, pozostałe spoczęły na stoliku przed Dankerem. Doktor przestudiował uważnie pierwszą stronę, oczy rozszerzały mu się za grubymi soczewkami w miarę czytania.

— Skąd pan to ma?

Na kartce znajdowało się szczegółowe podsumowanie stanu finansowego kardiologa, wyciągi z jego konta bankowego, umowy kredytu to-

97

we, zobowiązania alimentacyjne, długi hazardowe, nawet szczegółowe zestawienie jego niedozwolonych operacji giełdowych.

Stan Danker splótł palce i oparł na nich brodę, po czym wyjął wargi.

— Doktorze Chan — powiedział z pełną powagą — Zemdon to istne imperium, korporacja globalna. A my chronimy jej aktywa z ogromnym zdecydowaniem. Nie tylko produkujemy i sprzedajemy leki. Podobnie jak wszyscy w branży gromadzimy informacje

o ludziach, którzy mogą okazać się pomocni. Dlatego musimy wiedzieć o nich wszystko. O dobrych i złych stronach ich natury. O interesach, jakie prowadzą, tych legalnych i tych, które przekraczają granice prawa. — Rozdzielił łukowate sklepienie palców. — Kupujemy informacje, jeśli zachodzi taka potrzeba. I mamy naprawdę wiele zewnętrznych źródeł. — Pochylił się nad stołem. — Ale nie mówimy teraz o sposobach pozyskiwania takich informacji. Proszę rzucić okiem na stronę drugą, potem będziemy kontynuować rozmowę.

Druga strona zawierała ofertę finansową Zemdonu. Dzięki niej wszystkie zobowiązania alimentacyjne i długi hazardowe miały być spłacone, i to jednorazowo. W dodatku na tajne konto w berneńskim banku powinno trafić pół miliona dolarów w gotówce. A jeśli będzie sumiennie wykonywał obowiązki nałożone przez zleceniodawców

1 promował cyclint, po sześciu miesiącach na to samo konto wpłynie kolejne pół miliona. W zależności od wyników sprzedaży i dodatkowego zaangażowania lekarza w promocję produktu istniała także możliwość trzeciej, porównywalnej kwotowo wpłaty, która powinna zwieńczyć dzieło.

Ale istniało też ograniczenie: Chan musiał natychmiast przerwać wszystkie nielegalne działania na giełdzie. Korporacja nie chciała, by jej najgłośniejszy i najwyżej postawiony promotor został przyłapany na działalności przestępczej.

Chan uważnie przeczytał warunki współpracy. Potem powrócił do pierwszej strony. Przeczytał ją powoli. Przeszedł na stronę drugą. Tę również czytał bardzo wolno.

— Czy zaoferowaliście podobną umowę komuś innemu z naszego oddziału? — zapytał w końcu.

Danker zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Rozważaliśmy kandydatury wszystkich, dokonaliśmy także równie szczegółowych analiz ich spraw majątkowych i cywilnych. Pański kolega, doktor Shreeve, jest zbyt rozchwiany. Pije za dużo i nie potrafi porządnie się wysłowić. Ma poważne problemy z własnym wizerunkiem.

— Tak — przyznał pośpiesznie Chan. — Ciągłe kłapie dziobem o tych rozmowach z prawnikiem. Obawiam się, że to tylko zwykłe pieprzenie, już dawno stracił opiekę prawną.

— My też tak sądzimy.

— A co z Parkerem?

— Nat Parker to świetny lekarz, ale za bardzo wyluzowany jak na nasz gust i leniwy. Nie będzie tak waleczny, jak tego potrzebujemy.

— A nowy profesor? — Teraz Chan wbił spojrzenie w Dankera. — Rozważaliście jego kandydaturę?

— Doktor Hunt jest nieprzewidywalny — odparł Danker. — Poświęcił się badaniom naukowym i nie ma bladego pojęcia o biznesie farmaceutycznym. I nie jest zbyt dobry, kiedy przychodzi do ostrych targów. Oddany sprawie, i owszem. Ale zarazem bardzo naiwny. — Mówił wolno, ostrożnie dobierając słowa. — Wiemy już o nowych zasadach, jakie wprowadził na oddziale.

— Zaznaczył dokładnie, że nie życzy sobie zaangażowania lekarzy w promowanie czyichś produktów. — Chan wpadł mu w słowo. — Nie zezwala na wstęp przedstawicieli handlowych na dziewiąte piętro. Jezu, nie mogę nawet używać pióra, jeśli jest na nim wygrawerowane logo jakiejś firmy farmaceutycznej.

Słowa Chana zawisły na moment w powietrzu.

— Mamy pełną świadomość polityki stosowanej przez profesora Hunta. Uważamy ją za śmieszna i niedorzeczną, pewnie nieźle byśmy się bawili, słuchając o jego kolejnych zarządzeniach, gdyby nie były bezpośrednio w naszą sprzedaż.

— Jak zamierzacie go obejść? Może postawić veto moim działaniom.

Danker zmienił kompletnie taktykę.

— Harry, powiedz szczerze, chciałbyś zostać profesorem tego oddziału? — Pominął tytuł doktora i nazwisko. Teraz zwracał się do niego po imieniu.

Chan znów wyglądał na zmieszanego.

— Nie rozumiem.

— Pozwól, że ci wyjaśnię. Kiedy profesor Lewins został zamordowany, wszyscy w Zemdonie byli przekonani, że to ty zajmiesz jego stanowisko. Byłeś dla nas najoczywistszym wyborem. Bardzo doświadczony kardiolog, lata pracy w Carterze, człowiek szanowany przez niemal wszystkich lekarzy ze szpitala i cieszący się respektem wśród pracowników innych placówek medycznych regionu. — Nagle jego uzależnienie od hazardu, ogromne długi i oszustwa giełdowe poszły w zapomnienie. Teraz postać Chana rysowała się świetliście, jakby został świętym za życia. — Powiem ci jedno. Jack Hunt nie zdobył tego stanowiska w otwartej walce. Nie, kochany, naciskał i rzucał się na administrację, aż ta ustąpiła.

Chan rozpiął kołnierzyk i poluzował krawat.

— Proszę kontynuować.

— Cóż, Harry, facet, który naciska tak mocno, czasem traci równowagę i spada ze szczytu.

— Co pan ma na myśli?

— Pan Danker powiedział — wtrącił Hend de Mart — że nie powinieneś się już przejmować Huntem. Jeśli do nas dołączysz, Zemdon zadba o twoje bezpieczeństwo. Irlandczyk nie zdoła pokrzyżować naszych planów. Prawdę powiedziawszy, im bardziej będzie nam przeszkadzał, tym mniej niedopowiedzeń pozostanie po naszej rozmowie. Jeśli stanie się zbyt uciążliwy, będzie musiał odejść.

Chan roześmiał się nerwowo.

— Co dokładnie chciał pan przez to powiedzieć?

Stan Danker ponownie utworzył łuk ze splecionych palców.

— Lepiej, żebyś nie wiedział wszystkiego, Harry. Nie mówimy tutaj o przemocy. Nie działamy w taki sposób. Ale mamy haki na wszystkich, zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Hunt może się niektórym wydawać wielkim reformatorem, ale my patrzymy na niego pod innym kątem. — Głos mu stwardniał. — Jedno jest pewne, nie będzie dla nas przeszkodą. A jeśli będzie musiał opuścić wasz oddział, bez względu na przyczyny, radzę ci szykować się na objęcie stanowiska profesorskiego. — Uśmiechnął się przelotnie. — Profesor Harold Chan. Brzmi nieźle, nieprawdaż?

Chan poczuł się swobodniej na wielkim skórzanym fotelu.

— Brzmi całkiem dobrze. Rzekłbym, znakomicie.

100

Hend de Mart zaczął zamykać neseser.

— Chcemy, by pan odpowiedział najpóźniej do jutra. Jeśli okaże się, że Zemdon nie może liczyć na oddział kardiologii Cartera, pieniądze zostaną ulokowane w innej placówce.

Chan nagle pochylił się i powstrzymał dłoń Afrykanera.

— Mogę panom odpowiedzieć już teraz. Zajmijcie się Jackiem Huntem, a będę wasz. Mogę nawet chodzić po ulicy z billboardem na plecach, jeśli to zapewni cyclintowi sukces.

ROZDZIAŁ ! 0

Doroczny bal kardiologów był jednym z najważniejszych wydarzeń towarzyskich w kalendarzu każdego lekarza tej specjalności ze Środkowego Zachodu. Zwyczajowo organizowany w chicagowskim Hiltonie, na wprost parku Granta, był okazją dla najlepszych lekarzy z kraju oraz zaproszonych gości z innych części świata do spotkań i nawiązania bliższych znajomości z dala od szpitalnych obowiązków. Mistrzowie kardiologii, teoretycy i praktycy, zbierali się w jednym miejscu. Obowiązywały stroje wieczorowe: smokingi dla panów i wykwintne suknie wieczorowe dla pań.

Przyjęcie zaczynało się od drinka przed obiadem przy cichej muzyce klasycznej wykonywanej na żywo przez kwartet smyczkowy. Po zaliczeniu tego punktu programu towarzystwo przenosiło się do sali głównej, by jeść i pić ile wlezie. Przed kawą i brandy nadchodził czas przemówień, po których przekazywano pieczęć przewodniczącego w nowe ręce. Potem otwierano bar, a tych, którzy mieli jeszcze siłę się ruszać, zapraszano na salę balową z pełnowymiarową orkiestrą, gdzie można już było do woli plotkować. Niedobitki opuszczały to miejsce długo po tym, jak ostatni muzycy spakowali instrumenty. Liczba gości rzadko spadała poniżej trzech setek, a fundatorem imprezy była Amerykańska Fundacja Serca, wspierana studolarowymi biletami wstępu opłacanymi przez każdego z uczestników. Impreza ta nie była powiązana komercyjnie z lobbystami żadnej firmy farmaceutycznej, tak często obecnymi podczas innych tego typu przedsięwzięć.

Mimo to na trzy dni przed imprezą Jack nadal odmawiał uczestnictwa w niej.

102

— Beth, mam roboty po dziurki w nosie. Zaczyna się druga runda rozmów kwalifikacyjnych na niższe stanowiska, brakuje nam pielęgniarek, musimy ograniczać liczbę łóżek na oddziale i wprowadzić rygorystyczne warunki dla ograniczenia transferów z izby przyjęć. Pałętam się po agencjach od tygodni, żeby pozyskać lepiej wyszkolony personel. Wiesz, że z przyjemnością wyrwałbym się gdzieś w ten weekend, ale nie zmuszaj mnie, bym siedział tam i słuchał wszystkich tych nudnych przemówień.

Beth zaczęła się złościć nie na żarty.

— Wszystko rozumiem, ale czy wiesz, ile czasu spędzam w tym mieszkaniu, gapiąc się bez celu w ścianę? Ty ratujesz świat i przewracasz cholerny szpital do góry nogami, a ja siedzę w domu i wychowuję twojego syna. Trudno powiedzieć, że żyjemy razem, a o życiu towarzyskim wprost nie może być mowy.

Zbliżała się północ, leżeli w łóżku oddaleni od siebie na taką odległość, że jeszcze cał, a każde znalazłoby się na podłodze, tyle że z różnych stron łóżka. Beth owinęła się szczelniej nakryciem, odwróciła plecami do męża i wpatrywała w światła przebijające się z ulicy.

— Wiem, jak bardzo zależy ci na tych zmianach. — Jej głos zrobił się miłszy. — Wiem także, że nie będziesz szczęśliwy, dopóki twój oddział nie powróci na sam szczyt listy medycznych przebojów. Ale postaraj się uwzględnić mnie i Danny'ego w swoich równaniach. Chociaż odrobinę. Tak bardzo czekałam na tę noc. — Odwróciła się, poprawiła poduszki, a potem oparła się na łokciu. — Pamiętasz, kiedy ostatni raz ubrałam się wyjściowo? W ciągu minionego roku nie wydałam nawet stu dolarów na ciuchy dla siebie.

Jack skrzywił się w ciemności. Jedna połowa jego mózgu rozważała krytykę ze strony żony, druga wciąż tkwiła na oddziale, podejmując decyzje, planując następne ruchy. Pojął już, że oddział kardiologii Cartera trwał tak długo w stagnacji, że zmienianie na nim czegokolwiek można było bez przesady porównać do szturchania łokciem uśpionego 8ganta. Ale zdawał sobie też sprawę, że Beth ma wiele racji: jego zaangażowanie w pracę faktycznie niszczyło więzy rodzinne. Przychodził do domu późno w nocy, wychodził o świcie. Jedynym kontaktem z żoną były pocałunki na dobranoc i ciepłe tosty, którymi dzielili się

każdego ranka.

103

— Będę musiał wypożyczyć smoking, kupić nowe buty i jakąś wyjściową koszulę. Ale nie mam na to czasu. W tym problem.

— Nie możesz znaleźć kilku chwil, Jack? Danny skarży się, że już cię nie widuje, ja też muszę się umawiać z Helen, żeby wykroiła ci pięć minut na spokojną rozmowę.

— Wiem, że nie wygląda to dobrze. Ale wierz mi, jestem teraz pod wielką presją. Dyrekcja wścieka się na mnie z powodu jakiejś promocji leku, a ta cholerna firma farmaceutyczna wciąż nęka mnie telefonami. Lada moment będę musiał zacić się przed nimi po kątach. — Jack sam wpędzał się teraz w objęcia niezadowolenia. — Moje badania szlag trafia, nie posunąłem się nawet o cal, a moja tajemnicza miłość, Carlotta Drunker, przesyła maile ze świeżutkimi wynikami dwa razy dziennie.

— To powiedz jej, żeby rzuciła to w diabły i zajęła się czymś innym — skontrowała natychmiast Beth. — Jeśli dasz mi jej numer, sama zadzwonię i powiem jej, że kradnie nasz czas.

Jack spróbował taktyki dywersyjnej.

— Co byś powiedziała na weekend z dala od tego wszystkiego? Tylko my dwoje, hm? — Robił co mógł, byle żona zesłała z tematu jego koleżanki po fachu, ten temat przy jej aktualnym humorze powinien być omijany z daleka. — Może pod koniec miesiąca, kiedy pozałatwiam większość bieżących spraw?

Beth nie chwyciła przynęty.

— Grasz na zwłokę, Hunt. Już słyszałam tę śpiewkę. Nie możesz wymyślić czegoś innego?

Leżeli w ciszy. Przez cienkie jak papier ściany dobiegało chrapanie Danny'ego.

Wreszcie Beth wyplątała się z materiału i przeturlała bliżej niego. Jedna ręka powędrowała pod koftę.

— Kupię ci wszystkie potrzebne rzeczy — wyszeptała, zbliżając usta do jego ucha. — Jesteś ostatnio taki spięty... — Dłoń zjechała nieco niżej. — Powinieneś trochę odpuścić, rozluźnić się nieco. Nie napinaj tak bardzo mięśni.

Jack odprężył się i odwrócił do niej. W ciemności obserwował, jak ciało żony wślizguje się na niego. Pogłaskał jej plecy.

— Przykro mi, kochanie. Mam teraz tak wiele problemów.

Język Beth prowokacyjnie zatańczył na jego wargach.

104

. — Zatem — wyszeptała — nadszedł czas, żebym oderwała cię od tych problemów choć na chwilę.

Dwadzieścia minut później Jack mruknął:

— Z tym balem już postanowione?

— Oczywiście, że postanowione — odparła Beth. — Takich numerów za darmo nie robię.

Beth z wielką determinacją przystąpiła do robienia zakupów przed balem, przeszła całą Magnificent Mile od końca do końca. Wjeżdżała na najwyższe piętra windami, schodziła po schodach. Bloomingdales i Henri Bendel przy North Michigan numer 900. Saks Fifth Avenue w Chicago Place, butik projektantów przy Oak Street. Wielkie sklepy, gdzie karty kredytowe wyskakiwały z kieszeni zaraz za drzwiami. W końcu namierzyła cały zestaw — suknię, buty i dodatki — u Neimana Marcusa na North Michigan. I nie ośmieliła się powiedzieć mężowi, ile naprawdę kosztowały. Sprzedawczyni określiła tę suknię jako prostą, ale przyciągającą wzrok, i wcale nie przesadziła. Była obcisła, sięgała lekko powyżej kolana, czarny jedwab z prowokacyjnie dużym dekoltem, wąskie ramiączka, a z tyłu w sam raz tyle, żeby nie gorszyć ludzi. Dobrała do niej torebkę i buty. Dziewczyna zasugerowała jej jeszcze wypożyczenie naszyjnika z imitacjami brylantów w komplecie z kolczykami i bransoletką, nawet umówiła ją na spotkanie w niezbyt odległym sklepie jubilerskim.

Zanim wyszli z domu tego sobotniego wieczora, Beth narobiła zamieszania o swoją fryzurę. Jack włożył już nowe buty i koszulę (wybrane i kupione przez żonę) oraz smoking, który Beth wypożyczyła, biorąc miarę z jego znoszonej marynarki. W eleganckim stroju wyglądał naprawdę sztywnie. Czekał na żonę, czytając Danny'emu bajkę na dobranoc, opiekunka do dziecka dopiero przysłała i właśnie się rozgaszczała.

— Może tak?

Ojciec i syn wymienili pełne niepokoju spojrzenia. To było już piąte wezwanie z głównej sypialni.

— Zaraz przyjdę. — Odwrócił stronę książeczki i czytał dalej, Podczas gdy Danny przytulał się do niego, chłonąc tak rzadką chwilę Poczucia bliskości z własnym ojcem.

— Nie mamy już czasu, zaraz przyjedzie taksówka — w głosie Beth pojawiła się desperacja.

Jack pocałował syna w czoło i przykrył go dokładnie.

— Jeśli zaraz nie pójdziesz — wyszeptał Danny — mama cię zamorduje.

Jack skrzywił się i przejechał znacząco palcem po gardle.

— A potem pokroi mnie na kawałki i nakarmi mną świnki. Danny uniósł oczy ku niebu. Nie cierpiał, kiedy ojciec mówił do

niego jak do małego dziecka.

— Daj spokój, tato, bądź realistą. — Podniósł się na poduszce.

— Gdyby naprawdę chciała się ciebie pozbyć, wynająłaby mordercę spoza miasta.

Jack zatrzymał się i odwrócił.

— Nie wiem, jakie programy oglądasz, młody człowieku, ale jednego jestem pewien: nie będziemy rozmawiali w taki sposób.

Danny wyszczerzył się w uśmiechu. Pomimo tej oznaki humoru w jego jasnoniebieskich oczach czaił się smutek.

— Nawet byś nie zauważył, gdybyśmy kupili telewizor.

Jack dał się złapać, o czym obaj doskonale wiedzieli. Zrobił groźną minę w stronę syna, ale w odpowiedzi zobaczył jeszcze bardziej wykrzywione oblicze.

— Lepiej idź sprawdzić, co u mamy — poradził Danny, zakopując się w pościeli. — I wróćcie do domu przed Bożym Narodzeniem.

Wreszcie, gdy taksówkarz zaczął trąbić na ulicy przed domem, Beth była gotowa. Ułożyła włosy, zaczesując je do tyłu i węzeł układając nisko na karku. Jack miał szczerą ochotę podrzeć na niej tę suknię i powtórzyć kilka figur zapamiętanych z Bangkoku. Beth zauważyła ten charakterystyczny błysk w jego oku i pogroziła mu palcem.

— Weź zimny prysznic. Masz mi tylko powiedzieć, jak wyglądam.

Podszedł tak blisko, jak mu pozwoliła, i powiódł wzrokiem od stóp do głów. Odślonięty dekolt kusił. Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta, smakując słodczy szminki.

— Jesteś oszałamiająca. Nigdy nie widziałem cię piękniejszej.

— Spojrzała na niego cynicznie. — Nie, naprawdę — zaprotestował.

— Mówię poważnie. Nie będą mogli oderwać od ciebie oczu. — Jego

106

oczy powędrowały w kierunku długich opalonych nóg, które widać było w całej krasie, suknia kończyła się dobre trzy cale ponad kolanami. Gwizdnął cicho i uderzył się w pierś. — Nie oddalaj się ode mnie ani na krok, jak już tam się znajdziemy — ostrzegł. — Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że należysz do mnie.

Beth zabrała torebkę i sprawdziła ostateczny efekt w lustrze. Przód, tył, oba boki. Wydęła wargi, by sprawdzić, czy pomadka się nie rozmazała.

— Ale wiesz co? Znacznie bardziej podobasz mi się w samych pończochach z podwiązkami.

Szminka przeleciała obok jego głowy.

Jack trzymał Beth za łokieć, gdy przeciskali się przez tłum przy drzwiach. Z dumą wypinał pierś, na której nosił swój identyfikator: profesor J. Hunt, szpital im. Cartera, Chicago. Musiał wykorzystać tę okazję do maksimum. Rozglądał się po zgromadzonych, szukając znajomych twarzy. Kiedy przechodzili koło stolika barowego, zauważył wiele ciekawych spojrzeń. Tak, jestem tym Irlandczykiem, który zajął stanowisko Sama Lewinsa. Jestem tym, który wstrząsnął Carterem. Kogo się spodziewaliście, garbusa z jednym okiem na samym środku czoła? Dopiero po chwili dotarło do niego, że w kręgu zainteresowania jest Beth, nie on. Jego pęczniejący balonik samozadowolenia został natychmiast przekłuty.

— Profesor Hunt? — Korpulentny mężczyzna o nalanej twarzy i kartoflowatym nosie wyciągnął rękę na powitanie. — Jestem Con Williams z Amerykańskiej Fundacji Serca. Jeśli pan pozwoli, zabiorę pana na moment od tej prześlicznej damy. Zarezerwowaliśmy panu miejsce przy stoliku numer osiem.

Jack skrzywił się, ale zanim zdolał zaprotestować, ujrzał, że jego żona podąża już w głąb sali. Przeszła szybko pomiędzy gośćmi.

— Stolik numer szesnaście, proszę pani — usłyszała, kiedy kelner odsunął jej krzesło. Usiadła pomiędzy sztywniakiem w smokingu a atrakcyjną brunetką w czerwonej sukni.

— Cześć, jestem Lisa — przedstawiła się kobieta. — Miło mi cię poznać. Tyle słyszałam o twoim mężu.

Sztywniak siedzący po lewej zerwał się, ukłonił i uściskał jej dłoń.

107

— Nazywam się Peter Kovalsky. Jak się pani miewa? — Machnął na przechodzącego kelnera. — Czy napije się pani szampana? — Zanim Beth zdążyła odpowiedzieć, Kovalsky już zamówił butelkę Kru-ga. — Pani mąż to najlepsza partia w mieście, pani Hunt, a dzięki pani znajdę się naprawdę blisko niego.

Miejsca przy stole zostały zajęte, uściski dłoni wymienione, padły nazwiska, oczy prześlizgnęły się po identyfikatorach. Zdawało się, że organizatorzy porozdzielali małżeństwa z rozmysłem, więc Beth nieco

ulżyło. Po chwili zaczęła dobrze się bawić, jej kieliszek ani przez moment nie stał pusty. Rozgrzała się i rozkręciła, zniknęła typowa dla niej rezerwa.

— Czytałem artykuł w „Chicago Tribune” — powiedział Koval-sky, smarując masłem bajgla. — Zapewne jest pani zachwycona nową pozycją męża.

Twarz Beth pojaśniała z dumy.

— Oboje jesteśmy wniebowzięci. Całe lata podróżowaliśmy, szukając podobnej okazji. Jack oczywiście bardziej to przeżywa, ale i dla mnie jego awans ma ogromne znaczenie. Teraz możemy już kupić dom, nowy samochód, kilka porządnych ciuchów... — Lista życzeń skończyła się, gdy do Beth dotarło prawdziwe znaczenie jej słów. — Koniec z siedzeniem na walizkach — dodała na koniec, a jej oczy zaszyły mgiełką.

Sluchacze uśmiechali się ciepło, widząc, jak bardzo jest szczęśliwa. Zamówiono drugą butelkę szampana, Kovalsky obejrzał ją okiem znawcy i zaaprobował wybór. Wzniesli kolejny toast.

— Słyszałem, że profesor pracuje nad niezwykle nowatorskim programem badawczym.

Właśnie podano danie główne, dzięki czemu Beth zyskała chwilę na zebranie myśli. Poczowała się nieco zawstydzona tak otwartym ujawnianiem skrytych do tej pory myśli, i to przed zupełnie obcymi ludźmi.

— Tak, próbuje wykazać powiązania pomiędzy infekcjami dziecięcymi a wczesnym występowaniem chorób serca. — Boże, jak łatwo jej to poszło. Jak często słyszała te same słowa wypowiedane przez Jacka? Odpowiedź była oczywista: zbyt często. — To program, nad którym pracuje od wielu lat.

— Och... — Kovalsky zgarnął okruszki na talerzyk. — A czy ktoś jeszcze nad tym pracuje?

108

Lisa wciąż uśmiechała się czarująco, ale Beth czuła się niezręcznie, wiedząc, że przez nią poruszają się w obrębie tak nudnych tematów.

— Słyszałam o kimś w Kolorado, a już na pewno jest taka jedna lekarka w Sacramento... — Beth zachichotała, odrobina szampana wylała jej się z kieliszka. — Wysyłała do nas tak wiele e-maili, że pomyślałam, iż Jack ma z nią romans. — Roześmiała się, a Lisa natychmiast jej zawtórowała.

— A miał? — zapytała łobuzersko.

Beth nabiła na widelec warzywa, włożyła je do ust i zaczęła gryźć.

— Nie, o ile nie zdradzali mnie za skanerem na oddziale kardiologii inwazyjnej. — Wszyscy roześmiali się na głos.

Kovalsky odwrócił swoje krzesło tak, by mieć Beth w polu widzenia.

— Kim zatem jest owa tajemnicza dama? — Jego oczy tańczyły, kokietowały.

Beth odmówiła kolejnej dolewki szampana, poprosiła o wodę z lodem.

— Nigdy jej nie widziałam — wyznała — ale wygląda mi na kolejną nudną badaczkę, która myśli wyłącznie o pracy.

— Znam większość lekarzy z Sacramento — wtrąciła Lisa. Przesuwała jedzenie po talerzu, nie wyglądała na głodną. Nie tknęła też szampana. — Jak brzmi jej nazwisko?

— Carlotta Drunker. — Beth wypatrywała na twarzy drugiej kobiety oznak reakcji. — Znają pani?

— Nie, raczej nie. — Lisa zmarszczyła brwi. — Musi pracować w innej sekcji.

W tym samym czasie Jack starał się zmusić do konwersacji z Co-nem Williamsem. Po jego lewej stronie znajdowało się puste krzesło, plakietka na stole informowała, że było przeznaczona dla Moniki Casselte z nowojorskiej filii Vendine Placements.

— Śmierć Sama Lewinsa była dla nas wszystkich cholernym szokiem — mamrotał Williams pomiędzy sporymi kęsami rostbefu.

Najdziwniejsza sprawa, o jakiej słyszałem. Wprawdzie nie znałem go osobiście, ale z tego co wiem, był całkiem normalnym facetem.

109

Jack zdecydował, że nie będzie komentował zasad moralnych swojego zmarłego szefa.

— Straszny wstyd — odparł bez specjalnego entuzjazmu. — Cały oddział był wstrząśnięty. Ludzie nie mogli dojść do siebie nawet wiele dni po zabójstwie.

— Tak, potrafię w to uwierzyć. Szpitale powinny być sanktuariami, do których uliczna przemoc nie ma dostępu. W tym cholernym mieście zapanowała gorączka strzelania. Napady z bronią w rękę, walki pomiędzy dilerami. Coś mi się wydaje, że gliniarze sromotnie przegrywają. — Williams sam sobie podnosił ciśnienie. — Mamy za mało funkcjonariuszy, żeby opanować sytuację. Zbyt wielu siedzi za biurkami, zamiast chodzić po ulicach, gdzie powinni chronić naszego bezpieczeństwo.

Jack zapragnął znaleźć się milion mil od tego miejsca. Obawiał się kolejnych dwu godzin w towarzystwie tego nudnego człowieka. Zmuszał się jednak do uśmiechu i udawał, że słucha z zainteresowaniem.

Ktoś poruszył krzesłem po lewej i Jack, kiedy się odwrócił zaskoczony, ujrzał przed sobą najgłębsze ciemnoniebieskie oczy, jakie widział w życiu.

— Przepraszam za spóźnienie. — Smukła ręka wysunęła się w jego kierunku. — Monika Casselte. Witam panów.

Jack poderwał się na równe nogi.

- Proszę usiąść. — Odsunął puste krzesło. Machnął na przechodzącego kelnera i poprosił o menu.
- Ominęło panią główne danie, musi być pani strasznie głodna.

Spóźniona kobieta miała na sobie długą kremową suknię przylegającą ściśle do ciała. Szałowe wrażenie podkreślała smukła szyja, błyszczące pełne wargi i ledwie widoczne muśnięcie tuszu na rzęsach, wysokie kości policzkowe i pieprzyk po lewej stronie czoła. Ciemne włosy spięła z tyłu błyszczącą klamrą. Gdy do nozdrzy Jacka dotarł uwodzicielski zapach Chanel, nie dbał o to, jak bardzo niegrzeczne z jego strony jest odwrócenie się plecami do niedawnego rozmówcy.

- Dziękuję — Monika spojrzała prosto na identyfikator Jacka — profesorze Hunt.
- Mów mi Jack. Przed nami cała noc, nie powinniśmy zachowywać się jak sztywniaczy.

110

Cóż, Jack, prawdę mówiąc nie jestem głodna. Zazwyczaj nie

jadam podczas takich imprez. Nigdy nie wiesz, co tak naprawdę ci podają.

Jack zjadł wszystko ze smakiem i wypił już prawie połowę butelki Cabernet Sauvignon z winnic Roberta Mondavi.

- Ja nie mogę powiedzieć złego słowa o menu — odparł. — Zważywszy na liczbę gości, szef kuchni sprawił się wyśmienicie.

Monika nalała sobie wody i upiła łyżeczkę, przesunęła oczami po sali.

- Całkiem spory zbiór ważnych osobistości.

Jack także się rozejrzył, szukając w tłumie Beth. Dostrzegł ją w odległości niespełna dwudziestu stóp, zatopioną w rozmowie z towarzyszącym jej przy stole mężczyzną, siedzieli na wprost siebie, śmiali się. Dobrze, że chociaż ona świetnie się bawi. Co najmniej przez cały tydzień będę miał święty spokój. No aleja też chyba powinienem wykrzesać to co najlepsze z tego wieczoru. Otarł usta serwetką i usiadł na swoim miejscu.

- Jaką branżę reprezentujesz, Moniko?

— Rekrutacja na stanowiska medyczne. Siedzimy kariery wielu lekarzy i pielęgniarek i kiedy jakaś instytucja ogłasza wakat, polecamy najodpowiedniejszą osobę. — Mówi z bardzo wyraźnym akcentem francuskim, zawyrokował niemal natychmiast Jack. — Doradzamy też lekarzom przy wyborze następnej pracy.

Jack natychmiast zainteresował się tematem.

- Naprawdę? — Spojrzył jeszcze raz na plakietkę, Vendine Placements, Nowy Jork. Dlaczego nie trafiłem na ciebie, kiedy sam szukałem pracy? pomyślał, na głos zaś zapytał: — A gdzie najczęściej prowadzisz rekrutację?

— Największe szkoły medyczne Wschodniego Wybrzeża, jeśli potrzeba kogoś na staż, Europa, Australia i Nowa Zelandia, kiedy potrzebny jest ktoś z większym doświadczeniem. Niedawno wysłaliśmy zespół na Filipiny, skąd próbujemy ściągnąć pięćset wykwalifikowanych pielęgniarek. Ta praca to nieustające i wiecznie zmieniające się wyzwania.

— W to akurat jestem w stanie uwierzyć — przyznał Jack. Odsunął się, aby kelner mógł zabrać jego talerz. — Mamy w tej chwili trochę problemów kadrowych w Carterze.

111

Monika pochyliła się w jego stronę.

— Musisz być zatem bardzo zapracowanym człowiekiem.

— Jestem do tego przyzwyczajony. Ale teraz objąłem dowodzenie na oddziale, mam tam sporo do zmienienia.

— I jak się domyślam, nienawidzisz akurat tej części swoich obowiązków? — Kelner z winem pojawił się w zasięgu wzroku, ale Monika odmówiła. — Większość lekarzy nie jest specjalistami od zarządzania.

— To prawda — przyznał Jack. — Spędziłem całe życie zawodowe w laboratoriach i szpitalach. Lubię zajmować się pacjentami i uwielbiam odkrywanie tajemnic ludzkiego ciała. Ale nudzą mnie śmiertelnie wszystkie te spotkania komisji, rozmowy kwalifikacyjne, tarcia pomiędzy członkami zespołu, słowem: administrowanie zamiast leczenia.

— Uważasz, że to strata czasu?

— Okrutna. W dodatku w domu też mam problemy, bo z niczym się nie wyrabiam.

Rozmawiali jeszcze długo o życiu lekarzy, żonach lekarzy i obowiązkach lekarzy. Podano deser, ale Monika znów niczego nie tknęła. Jack pochłaniał czekoladowy pudding przekładany warstwami bitej śmietany, a jego partnerka tylko patrzyła. W pewnym momencie po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

— Nie karmią cię w domu? — zapytała.

— Na pewno nie taką ilością kalorii. Moja żona cały czas pilnuje diety, więc lekko nie mam. — Przynął się do niej konfidencjonalnie. — Ale teraz siedzi dziesięć stolików dalej, więc nie dowie się o moim małym szaleństwie. — Nagle podniósł wzrok w pozorowanym przerażeniu. — Chyba że jej na mnie doniesiesz.

Monika zachichotała, a Jack roześmiał się na głos. Zamówił kolejny kieliszek wina i rozejrzał się wkoło, by sprawdzić, czy Con Williams nie poczuł się dotknięty tym, że tak bezceremonialnie go zignorował. Grubas jednak brylował nadal, zagadując aktualnie jednego z emerytowanych kardiochirurgów.

— Moniko, pomożesz mi znaleźć dobrych pracowników?

- Bardzo bym chciała ci pomóc, Jack, ale moją specjalnością są wyłącznie stanowiska kierownicze.
- Medyczne czy administracyjne?

112

Medyczne. Śledzę ruchy na szczycie. Szpitale, instytucje naukowe, akademie... Powiem ci dla przykładu, że znam całą twoją historię zawodową.

Jack przyjrzał się swojej rozmówczyni nieco dokładniej.

- Jaki pożytek mogłaby mieć ze mnie twoja firma?

Monika uśmiechnęła się.

- Z chwilą gdy zająłeś profesorski stołek, zostałeś przeniesiony do kategorii potencjalnych pracobiorców. Taka zmiana oznacza też szansę dla innych. My podążamy jedynie za grubymi rybami. W przyszłości może pojawić się okazja, która będzie cię interesować.

Jack roześmiał się.

- To musiałyby być naprawdę coś. O moją obecną posadę walczyłem jak lew.

Monika dołała sobie wody z lodem.

- Czy nie jesteś zbyt młody jak na tak wpływowe stanowisko?... Będziesz prowadził oddział tak jak twój dawny szef?

- O, nie. — Jack nieomal się skrzywił. — Już wprowadziłem szereg daleko idących zmian. Moim celem jest odbudowanie części badawczej i przywrócenie tego pionu do życia.

Monika oparła brodę na dłoni.

- Mów dalej, proszę.

Godzinę później Jack obejmował smukłą kibić swojej żony, tańczyli właśnie przy dźwiękach klasycznej muzyki Johnny'ego Mathisa.

- Kim jest ta damulka, z którą flirtowałeś?

Jack odchylił się lekko i spojrzał na Beth.

- To nie jest żadna damulka, pani zazdrośnicka. I wcale z nią nie flirtowałem. Ona, podobnie jak ja, musiała zjawić się w tym miejscu, ponieważ tak wypadało, i zwyczajnie starała się spędzić ten wieczór przyjemnie. — Odsunął żonę od pary, która najwyraźniej zamierzała Porysować idealnie gładką podłogę w sali tanecznej. — Z tego co widziałem, ty też się świetnie bawiłaś, więc nie narzekaj. Z czego się tak zarykiwaliście?

Beth przyciągnęła męża do siebie i złożyła soczysty pocałunek na jego policzku.

— Opowiedziałam im o romansie, który miałeś z koleżanką po fachu z Sacramento.

113

Jack jęknął.

— Mam nadzieję, że żartujesz. Naprawdę mam nadzieję, że to żart.

Ale Beth nie odpowiedziała, tańczyła i śmiała się aż do białego rana.

Pięć dni później, w czwartek piętnastego lipca, Jack Hunt wszedł do swojego biura i zastał w nim Monikę Casselte. Helen, jak zwykle zajęta, wisiała właśnie na telefonie, jej biurko lada chwila mogło załamać się pod stertami dokumentów i akt pacjentów. Wskazała jedną ręką oczekującego gościa, drugą natomiast żywo gestykulowała, negocjując z kolejną agencją pracy.

— Moniko — Jack nie potrafił ukryć zaskoczenia — co ty tutaj robisz? — Nagle tknęła go radosna myśl. — Nie mów mi, że udało ci się załatwić kilka umów, które pozwolą zakończyć nasz kryzys z zatrudnieniem.

Monika wstała i uściśniła rękę, którą do niej wyciągnął. Miała na sobie leciutką sukienkę i dopasowany do niej blezer, odkryte nogi i niebotycznie wysokie obcasy.

— Wybacz, ale to naprawdę nie mój teren. — Spojrzała w stronę Helen i z ulgą odnotowała, że rozmowa telefoniczna pochłania sekretarkę do cna. — Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności, to potrwa tylko kilka minut. — Podniosła neseser w kolorze burgunda. — To sprawa służbowa.

Jack zaprowadził ją do gabinetu i wskazał wolne krzesło, ogarnął nieco bałagan na biurku, a potem zamknął drzwi. Spojrzał na zegarek.

— Mogę ci poświęcić pięć minut, ale ani sekundy więcej. Zaraz rozpoczyna się konsylium, które mam poprowadzić.

Monika przysiadła na krawędzi krzesła, neseser trzymała na kolanach. Poufałość, z jaką rozmawiali podczas obiadu, gdzieś zniknęła.

— Profesorze Hunt, moja agencja chciałaby zaproponować panu posadę.

Jackowi z zaskoczenia opadła szczęka.

— Słucham?

— Jak już wspomniałam podczas naszej niedawnej rozmowy, pracuję dla Yendine Placements z Nowego Jorku. Nadmieniałam też, że

114

zajmuj? się wyłącznie stanowiskami najwyższego szczebla. — Jack skin głową. — Międzynarodowa korporacja farmaceutyczna wynajęła nas, abyśmy złożyli ci oficjalną ofertę.

I co niby miałbym dla nich robić?

poprowadzić ich badania w dziedzinie kardiologii.

Gdzie?

— W Londynie. Znalazłbyś się znacznie bliżej swojej rodzinnej Irlandii.

Jack przypatrywał się swojej rozmówczyni bardzo uważnie. Różnica pomiędzy syrenką, która zabawiła go rozmową przez niemal cały wieczór pięć dni temu, a biznesmenką siedzącą teraz przed nim była naprawdę ogromna. Długa sukienka, błyszczące usta, zapach perfum, błysk w oku — wszystko zniknęło.

— Moniko, nie chcę być niewdzięczny, z pewnością nie mogę też powiedzieć, że ta oferta mi nie schlebia, ale nie jestem nią zainteresowany.

— Jeszcze nie usłyszałeś warunków. — Było jasne, że Monika nie podda się bez walki, więc Jack z rozmysłem spojrzął na zegarek. Zignorowała jego gest. — Mój klient proponuje naprawdę dobre warunki finansowe, do tego natychmiastowe przeniesienie całej rodziny, oczywiście czasowe, do jednego z luksusowych penthouse'ów w Knights-bridge.

Brwi Jacka powędrowały w górę. Knightsbridge. Bardzo elegancka okolica. Bardzo droga.

— Czy mogę się dowiedzieć, kim jest twój klient?

Monika uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

— Nie ma podpisu, nie ma nazw. Wybacz, ale takie otrzymałam instrukcje.

— Ale dlaczego ja? Dlaczego nie któraś z gwiazd Wschodniego Wybrzeża?

— Uzyskałam zapewnienie, że ta firma wie o tobie wszystko. Ma Pełne dane o twoich osiągnięciach naukowych i wie, że naprawdę Poświęcasz się kardiologii. Zapoznano się tam ze wszystkimi twoimi-1111 pracami, sprawdzono także twoje dokonania. — Klepnęła dłonią w neseser. — Są gotowi dać ci więcej niż Carter.

Jack patrzył wprost przed siebie, z całych sił starając się ukryć zaskoczenie.

115

— To brzmi kusząco.

— Mam przy sobie wszystkie szczegóły dotyczące finansów oraz przeprowadzki. Otrzymałam instrukcję, by zostawić ci projekt umowy i skontaktować się z tobą ponownie za tydzień. — Zaczęła rozpinąć neseser. — Nie ma tutaj nic, co pozwoliłoby ci zidentyfikować tę korporację. Jak już wspomniałam, dowiesz się wszystkiego po podpisaniu papierów.

— Moniko — Jack wszedł jej w słowo — jesteś zajęta kobietą, ja też mam sporo roboty, więc nie marnujemy cennego czasu. Mogę ci dać odpowiedź od razu. Nie jestem zainteresowany tą ofertą. Nie obchodzą mnie oferowane warunki finansowe ani gdzie twój klient zamierza mnie czasowo przesiedlić.

— Nie mógłbyś przynajmniej przeczytać tej oferty?

Jack już wstał, zdążył nawet otworzyć drzwi.

— Nie — odparł najłagodniej, jak potrafił. — Bardzo zdecydowane „nie”. Zamierzam zostać tutaj i nic nie jest w stanie odwieść mnie od tego postanowienia. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę popracować trochę medycynę.

Monika przeszła obok niego, wyślizgnęła się do sekretariatu, gdzie zatrzymała się na moment. Wyjęła z górnej kieszeni zakietu wizytówkę i podała mu ją.

— Na wypadek, gdybyś jednak zmienił zdanie. Ta oferta jest ważna jeszcze przez tydzień. Znajdziesz mnie w nowojorskim biurze firmy.

Wyruszając na oddział, Jack był spóźniony całe piętnaście minut. Współpracownicy już się pewnie niecierpliwią — myślał. — Zauważą spóźnienie, może nawet się poskarżą. Jezu, postawiłem im tak wysokie standardy zachowania, a sam nie potrafię ich dotrzymać.

Kiedy przemierzał korytarze, słowa Moniki Casselte wciąż odbijały się echem w jego głowie.

Mój klient proponuje naprawdę dobre warunki finansowe, do tego natychmiastowe przeniesienie całej rodziny, oczywiście czasowe, do jednego z luksusowych penthouse'ów w Knightsbridge... Są gotowi dać ci więcej niż Carter.

Cholerne oferty pracy są jak autobusy. Czekasz przez dziesięć lat, a potem w odstępie zaledwie czterech tygodni pojawiają się aż dwie naraz.

116

rozdział 11

— Londyn? — Beth nie posiadała się ze zdumienia. — Masz na myśli t e n Londyn? W Anglii? Tamizę, Big Bena, opactwo westminsterskie?...

— Ten sam — potwierdził Jack, kiedy tego samego dnia kończyli spóźniony obiad. — Trafalgar Square, Oxford Street, Kensington, co tylko sobie przypomnisz.

Nawinął spaghetti na widelec, potem nadział kawałek mięsa. Jednym okiem spoglądał na talerz, drugiego nie spuszczał z planu kolejnych spotkań. Beth sięgnęła przez stół i odsunęła wszystkie papiery.

— Hej — zaprotestował Jack, chwytając wolną dłoń powietrze. — Muszę przygotować odpowiedź na jutro. Oddawaj.

Ale papiery zostały już rzucone w najdalszy kąt pokoju, choć Jack nadal mógł je widzieć.

— Mam nadzieję, że te strony były ponumerowane.

Beth wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Zapomnij o szpitalnej robocie i mów natychmiast, co ta kobieta ci powiedziała. — Ubrała się już do spania, miała na sobie białą bawełnianą koszulę nocną na wąskich ramiączkach.

Jack wytarł ostatnim kawałkiem chleba sos z talerza i wcisnął pieczywo do ust. Pociągnął długi łyk schłodzonej wody, potem rozparł się wygodnie na krześle, jego głód został wreszcie zaspokojony. Dawno już pozbył się ubrania, w którym spędził cały dzień, teraz miał na sobie tylko T-shirt i szorty.

— Bardzo smaczny obiad.

Niecierpliwość Beth sięgnęła zenitu.

117

— Panie Hunt, jeśli przeciągniesz odpowiedź na moje pytanie choćby o minutę, gwarantuję, że będziesz spał sam do końca tygodnia.

Jack uśmiechnął się.

— Dobrze, zatem atrakcyjna kobieta imieniem Monika...

— Umówmy się, że przy omawianiu tej sprawy możesz pominąć wszystkie fragmenty dotyczące jej atrakcyjności. Widziałam was oboje podczas obiadu wydanego w ostatnią sobotę. Nie chcę słyszeć, jak gładką miała skórę, jak promienisty był jej uśmiech. Nie musisz mi podawać rozmiaru miseczki jej biustonosza. Chcę się tylko dowiedzieć, co ci zaoferowała podczas dzisiejszej rozmowy... — przerwała, a potem szybko dodała: — I chodzi mi wyłącznie o sprawy służbowe. Jeśli zaproponowała ci cokolwiek innego, dowiem się o tym od Helen. Już ona ma na ciebie oko.

— Jesteś tego pewna?

— Ona i ja, drogi panie kardiologu, zostałyśmy bliskimi przyjaciółkami. — Beth obdarzyła go jednym ze swoich cwaniackich uśmieszków. — Odbyłyśmy wiele długich i interesujących rozmów, podczas gdy ty patrolowałeś korytarze szpitala. Wiem o każdej plotce i pogłosce, więc nie licz, że cokolwiek umknie mojej uwadze. A teraz przechodź do rzeczy.

Jack odsunął krzesło od stołu i rozprostował nogi.

— Nie poznałem szczegółów tej umowy, ponieważ nie pozwoliłem jej na dalsze gadanie. Ale z grubsza chodziło o objęcie posady szefa projektu kardiologicznego jakiejś ponadnarodowej korporacji farmaceutycznej. Mieliśmy przenieść się do Londynu, oni by za wszystko zapłacili. Dostalibyśmy jeden z ich szykownych apartamentów w Knightsbridge, no i otrzymywałbym jeszcze wyższą pensję.

Beth pochyliła się nad stołem i starła koniuszkiem palca plamkę po sosie bolońskim.

- Co to za korporacja?
- Tego nie mogła zdradzić na tym etapie.
- Jakiej odpowiedzi jej udzieliłeś?
- Podziękowałem jej. Nie interesuje mnie coś takiego. Jestem w miejscu, w którym zawsze chciałem być, i niech mnie szlag, jeśli się stąd ruszę.

118

— Dobrze — w oczach Beth pojawiła się ulga. — Zakładamy nasze ognisko domowe tutaj, w Chicago. Gdybyś się zgodził, musiałbyś jechać do Londynu sam. — Wpatrywała się w męża z uwagą. Chcesz teraz te swoje papierzyska?

Jack spojrział na miejsce, w którym leżały kartki. Jedna wylądowała na krześle, druga pod nim, cztery pozostałe rozsypały się po korytarzyku prowadzącym do sypialni. To mieszkanie było takie małe. Ciasna kuchnia z widokiem na podwórze, salon połączony z jadalnią, tak że ledwie wystarczyło miejsca na komplet wypoczynkowy, przedpokój prowadzący do trzech malutkich sypialni.

- A mogę? — zapytał.
- Tylko w wypadku, gdy zgodzisz się wygospodarować jeden dzień wolnego na oglądanie domów.

Jack jęknął. Kolejna umowa.

— Może zajmiemy się tym w przyszłym tygodniu? — zaproponował z nadzieją w głosie. — Teraz mam masę pilnej roboty i szykuje mi się kolejne spotkanie z patomorfologami. Chcą, żebym pomógł im ustalić szczegółowe zasady dotyczące autopsji. Ordynator z urazówki przesłał mi faks z bardzo ciekawymi danymi, które zdołał zebrać, i też muszę dla niego znaleźć chwilę czasu. Potem...

Beth potrząsnęła głową.

— Nie chcę dzisiaj słyszeć ani słowa o oddziale kardiologicznym. Potrzebujemy domu, miejsca, w którym będziemy mogli zamieszkać na stałe. Wiesz, że możemy to teraz osiągnąć, po tylu latach poniewierki i oszczędzania. — Zaczęła zbierać ze stołu brudne naczynia, stukot porcelany niósł się po pokoju. — Od jutra będę obdzwaniać agencje i sprawdzać ich oferty. Nie mam zamiaru spędzić tej zimy w tej klitce. Potrzebujemy przestrzeni. Jeśli nie znajdziesz czasu, by pooglądać ze mną oferty, będziesz musiał zdać się na mój wybór. — Wymaszerowała do kuchni.

Jack rozważał sytuację. Beth miała rację — jak zawsze zresztą. Ale on nie mógł sobie pozwolić na zaniedbanie obowiązków na oddziale, oprócz pozowania na szefa i świecenia przykładem miał jeszcze wiele Poważnych rzeczy do zrobienia. W grę wchodziły kwestie administracyjne, konsylia, narady i spotkania, ocena pracowników, nadzorowanie wydatków. I inne sprawy. Kilka godzin wcześniej Helen dopadła go przy jednej z sal chorych na intensywnej terapii.

— Profesorze? Goniałam za panem przez cały dzień, parę spraw nie cierpi zwłoki...

Jack — w zielonym mundurku, z dwoma stetoskopami przewieszonymi przez szyję i pagerem brzęczącym bez ustanku — oparł się o ścianę, podpisał harmonogram podawania leków dla sześciu pacjentów, którzy znajdowali się pod jego bezpośrednim nadzorem, potem wręczył podkładkę stażystce, której jeszcze przekazał szczegółowe instrukcje dotyczące przeniesienia kolejnego pacjenta po zawale z intensywnej terapii.

— Dawaj.

— Rezydenci z kardiologii żądają dodatkowej godziny wykładów na temat interpretacji obrazowania diagnostycznego.

— Dam radę?

— Tylko w porze lunchu. Albo o siódmej rano w czwartki.

Lunch był jedyną szansą na nadgonienie zaległości. Pomiędzy kęsem kanapki a łykiem kawy dyktował listy do innych lekarzy i podsumowywał kartoteki wypisywanych pacjentów.

— Niech będzie siódma w czwartki.

Godzina spania mniej, ale dzięki tak wczesnej porze korki powinny być mniejsze, więc zaoszczędzi trochę czasu w drodze do pracy. Nadal nie miał czasu na zakup nowego samochodu, korzystał więc z sieci miejskich autobusów, wsiadał do jednego na North Clark, jechał do centrum, gdzie przesiadał się na West Harrison. Szybki, niewymagający sposób podróży, na dodatek pozwalający na niemal czterdzieści minut nieprzerwanej pracy.

— Prośba z „The Cardiologist”. — Pismo to docierało bez opłat do każdego praktykującego kardiologa w Ameryce Północnej. — Chcą przedrukować pańską pracę na temat powiązania infekcji z chorobami serca i proszą o napisanie artykułu wstępnego podsumowującego całość prac.

— Mogą zrobić przedruk — zawyrokował szybko Jack — ale nie będę pisał żadnego wstępu. Przekaż im, że jestem bardzo zaszczycony...

— Wiem, wiem — przerwała mu Helen. — Przedstawię sprawę tak, że uwierzą, iż chodzi pan o kulach i ledwie może ruszyć palcem.

— Mów, co chcesz, byle podziałało — zgodził się Jack z uśmiechem na ustach. Jego pager znów zaczął pikać, sprawdził więc, z jakiego numeru dzwonią. — Coś jeszcze?

— Tak. Od dwu godzin w biurze czeka na pana niejaki Hend de Mart z Zemdon Pharmaceuticals. Twierdzi, że nie zajmie panu więcej niż dwie minuty, ma tylko jedno, ale za to niezwykle ważne pytanie.

Jack uniósł oczy ku niebu.

— Jezu, ci faceci nigdy nie odpuszczają. Ciekaw jestem, którą część słowa „nie” tak trudno im zrozumieć.

Helen zakreśliła coś piórem na jednej ze stron.

— Decyzja należy do pana, profesorze. Ale proszę mi ją zakomunikować. Wolałabym, aby ten goryl zniknął z mojego pola widzenia, i to jak najszybciej. Od tego jak na mnie patrzy, dostaję gęziej skórki.

Jack oparł tył głowy o ścianę.

— Przekaż mu moje przeprosiny i wyjaśnij, że nowe regulacje dotyczące obecności przedstawicieli firm farmaceutycznych na naszym piętrze stoją w sprzeczności z jego obecnością. A może odwrotnie. Jeśli nawet będzie tam siedział do usranej śmierci, ja nie zamienię z nim ani słowa — zakończył podenerwowany Jack.

— Rozumiem. — Helen wsunęła papiery pod pachę. — Jest jeszcze jedna sprawa... — kontynuowała, wbijając pytające spojrzenie w swojego szefa. — Doktor Carlotta Drunker. Miał pan wcześniej jakieś kontakty z tą kobietą?

— Tak. To jeden z najlepszych naukowców w Kalifornii. Czasami dzielimy się wynikami badań. Z obopólną korzyścią.

— Cóż... — zaczęła ostrożnie Helen. — Dzisiaj dzwoniła już trzy razy.

— Chciała ze mną rozmawiać?

— Tak jest, chciała rozmawiać i nie przyjmowała żadnych wymówek w odpowiedzi. — Na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania. — Brzmiała dziwnie, jakby się czegoś bała. Żądała ode mnie rozmowy z panem. Żądała — podkreśliła to słowo. — Za pierwszym razem był pan na intensywnej, za drugim na obchodzie, a trzeci telefon odebrałam godzinę temu. Próbowałam się z panem skontaktować, ale pan nie odpowiadał na wezwania pagerem.

— Zakładałem wkłucie centralne. Fartuch i pager zostały na zewnątrz sali operacyjnej. — Spojrzał na zegarek. Znów był spóźniony, jak zawsze zresztą. — Zostawiła jakąś wiadomość?

— „Proszę sprawdzić e-mail.” Tylko tyle. „Proszę sprawdzić e-mail.”

121

I to właśnie zrobił Jack, zanim położył się spać. W czasie gdy Beth smarowała się przed lustrem, on przy komputerze sprawdzał nadesłane wiadomości. Było ich sześć; pięć pierwszych przesłała mu Carlotta Drunker.

jack, czy twoje badania obejmują przypadki z terenu ameryki północnej? muszę to wiedzieć jak najszybciej.

pozdrowienia, c.

jack, rubenstein z kolorado nie odzywa się do mnie już od sześciu tygodni. czy kiedykolwiek komunikował się z tobą? c.

nie wysyłaj niczego ważnego e-mailami ani pocztą.

jack, sprawdź swoich krewnych. c.

migracja leukocytów w uszkodzonym mięśniu sercowym jest prorocza dla ostatecznych wyników.

c.

Jack wczytywał się w ostatnią wiadomość chyba przez pięć minut, starając się zrozumieć jej treść. Leukocyty oznaczały białe ciała krwi, to oczywiste. Migracja? Czyli ruch? Przejście. Ale skąd dokąd? Uszkodzony mięsień sercowy. To rozumiem. Prorocza dla ostatecznych wyników? Cóż to miało znaczyć, u licha? Co ona chciała mu przekazać? Helen miała rację, ta kobieta była dziwna. A może nawet gorzej. Raz jeszcze przeczytał wszystkie wiadomości. Nie wysyłaj niczego ważnego e-mailami ani pocztą... Sprawdź swoich krewnych... Naprawdę dziwne.

Nagle poczuł ukłucie winy. Jego badania tak bardzo ucierpiały przez te wszystkie zmiany, zarówno zawodowe, jak i osobiste. Zdawał sobie sprawę, że często celowo unikał Carlotty, aby tylko nie przyznać się, iż ma opóźnienia. Prawdę mówiąc, nadal nie nadrobił wszystkich strat. Miał żonę i synka, ona była samotna, więc nie rozpraszały jej sprawy rodzinne. Po prostu niecierpliwiła się, kiedy on też dojdzie do jakichś wyników i będzie mógł jej zaoferować świeży trop.

Otworzył ostatnią wiadomość i zmarszczył brwi, gdy zobaczył, że została wysłana z jego własnego biura.

122

profesorze hunt.

pańska uroczą żonę beth poprosiła mnie, bym wysłała panu TĘ wiadomość. twierdziła, że to jedyny sposób na dotarcie do jej zapracowanego męża kardiologa. ona zamierza wyruszyć na poszukiwanie domu, czy się to panu podoba czy nie. załatwcie to między sobą, proszę, nie mam w kontrakcie klauzuli

o załatwianiu spraw domowych!

helen.

Jack zaczął się śmiać. Śmiał się wciąż, gdy pięć minut później Beth protestowała gorąco, twierdząc, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

Za to doktor Carlotta Drunker w Kalifornii nie miała powodów do śmiechu. Dzieliło ją od Chicago niemal tysiąc pięćset mil i trzy strefy czasowe. Siedziała w salonie na piętrze swojego apartamentu, sprawdzając przez lornetkę wszelkie oznaki ruchu na zewnątrz.

Mieszkała na zamkniętym osiedlu, w skupisku średnio wysokich domów z cegły krytych terakotowymi dachami, na jednym z najbardziej ekskluzywnych przedmieść Sacramento. Mieszkańcy mieli do swojej dyspozycji basen i korty tenisowe, przystrzyżone trawniki

1 alejki do spacerów. Teren osiedla ogrodzony był wysokim płotem z siatki, na którego szczycie rozciągnięto dodatkowo drut kolczasty. Całość ukryta była przemyślnie w gęstym, szybko rosnącym żywopłocie. Jedyna droga prowadząca do osiedla znajdowała się na wschodzie, przy bramie zawsze czuwali co najmniej dwaj uzbrojeni strażnicy, mający oko na nieznanym i dostawców. Nawet mieszkający tu od dawna ludzie musieli się za każdym razem legitymować. Każdy gość był sprawdzany, dzwoniono też do osoby, która go zaprosiła. Nikt, kto nie posiadał zaproszenia, nie miał wstępu za ogrodzenie.

Czterdziestotrzyletnia lekarka mierzyła pięć stóp i siedem cali wzrostu, była raczej szczupła, miała niebieskie oczy, ciemne rzęsy 1 wysokie czoło. Długie czarne włosy wiązała zazwyczaj w warkocz, który przerzucała przez jedno ramię. Mały zadarty nos i wąska broda dopełniały obrazu.

Siedem minut po ósmej wieczorem lokalnego czasu miała na sobie dżinsowy kombinezon, czerwono-niebieską flanelową koszulę w szkocką kratę, watowane poduszki na ramionach i trzy grube swe-

123

try dla zamaskowania sylwetki. Włosy spięta dokładnie i ukryła pod żółtą baseballówką. Mimo że klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach, pocila się jak przysłowiowa mysz. Sprawdziła czas na zegarku, dochodziła ósma dziesięć. Lornetka znów skierowała się ku bramie wjazdowej. Nie zauważyła żadnego ruchu, jeśli nie liczyć cienia jednego ze strażników stojących wewnątrz budki. Przygryzła nerwowo dolną wargę. Telewizor za jej plecami dał się na cały regulator, mieszkanie aż trzęsło się od zawodzenia tłumu na chrześcijańskim spektaklu masowego uzdrawiania. Carlotta, zdeklarowana agnostyczka, nienawidziła wszelkich transmisji religijnych. Ale tego wieczora wszystkie te modły, śpiewy, okrzyki „alleluja!” służyły jej sprawie, dlatego zaciskała zęby i cierpiała w milczeniu.

O ósmej piętnaście odezwał się brzęczyk interkomu łączącego ochronę z mieszkaniem, musiała podejść do drzwi wejściowych, aby odebrać. W telewizji modlący się wciąż ryczeli z niesłabnącym zapałem.

— Jakiś dżentelmen do pani, panno Dunker.

Carlotta zogniskowała lornetkę na widoku za oknem. Wieczór był wciąż jasny, słońce zachodziło na pomarańczowo, barwiąc dachy samochodów stojących na pobliskim parkingu. Szybko sprawdziła pojazd tkwiący tuż przy szlabanie, dość sfatygowaną acurę integralną rocznik dziewięćdziesiąt jeden. Z trudem mogła dostrzec mężczyznę siedzącego za kierownicą, widziała jednak, że jest tęgi i ma na sobie czerwono-niebieską koszulę w szkocką kratę i żółtą baseballówkę na głowie.

— To mój gość. — Starła się, aby strażnik nie wyczuł napięcia w jej głosie.

— Oczywiście.

Integra zatrzymała się przed jej blokiem, kierowca wysiadł. Nie wyglądał na kogoś, komu się śpieszy, spędził sporo czasu, grzebiąc w bagażniku, przy okazji zdjął kilkakrotnie żółtą czapkę, aby otrzeć czoło. W dość jeszcze jasnym świetle Carlotta rozpoznała go bez trudu. Wielgachny nos, nisko osadzone czoło i grube usta. Gość w końcu zamknął drzwi wozu i ruszył swobodnym krokiem w stronę zabudowań.

Carlotta powitała go, nakazując natychmiast milczenie, potem przekradli się razem przez hol. Tam wręczyła mu pięćset dolarów

124

w dwudziestkach. Gość, bezrobotny aktor, który imał się każdej pracy tego typu, przeliczył kwotę i schował banknoty do kieszeni. Dopiero w tym momencie pokazała mu podkładkę z przypiętą do niej, zapisaną odręcznie kartką. NIE ZMIENIAJ TEGO KANAŁU, OK? Potwierdził suchym skinieniem głowy. Czas na kolejną dyrektywę. ZAMÓWIŁAM TAKSÓWKĘ DLA CIEBIE NA DZIEWIĄTA, ZAŁATWIŁAM TEŻ WSZYSTKO Z OCHRONĄ, OK? Gość uniósł oba kciuki w górę. Przeszła więc do ostatniej wiadomości. NIE WYCHODŹ, PROSZĘ, Z TEGO MIESZKANIA, ZANIM TAKSÓWKA NIE STANIE POD BLOKIEM, OK? Jeszcze jedno przytaknięcie.

Gość wszedł do salonu, rzucił okiem na ekran telewizora i skrzywił się. Carlotta posłała mu przepaszający uśmiech i wykonała znaczący gest, pocierając kciukiem palec wskazujący. Wynajęty człowiek powinien wiedzieć, kto tu rządzi. Nadął skrzywiony zasiadł w fotelu, wyjął z kieszeni książkę i zagłębił się w lekturze.

Dwanaście minut później Carlotta wyszła z mieszkania. Siłąc się na pełną swobodę, podeszła do integry i po trzech minutach jadąc wiekowym autem, minęła wartownię osiedla, aby skierować się na południe. Cały czas spoglądała jednak na widok we wstecznym lusterku. Po dwóch nagłych skrętach w boczne uliczki i krótkim postoju na zatłoczonym parkingu pod supermarketem uznała, że jest bezpieczna.

ROZDZIAŁ 12

Dziewiętnastego lipca Hend de Mart zdecydował, że czas przyspieszyć bieg wypadków w Chicago. Skontaktował się z agentem umieszczonym w szpitalu Cartera, informatorem nazwiskiem Caleb Rossi. Był to tykowaty, wyglądający na wiecznie zdenerwowanego młodzieniec, który pracował w szpitalnym laboratorium. De Mart poznał go dwa tygodnie wcześniej w niewielkim barze na Westside, na ekranie telewizora stojącego za kontuarem leciał właśnie jakiś mecz, w głębi lokalu stał wielki stół bilardowy. Rossi miał spokojny, ale piskliwy głos, odpalał papierosa od papierosa.

— Mogę ci opowiedzieć, co tylko zechcesz o tym mi, ejscu — oznajmił. — Wiem, kto puka czyją żonę, kto bierze w toalecie, a potem podmienia próbki moczu. Wiem też, kto fałszuje recepty i sprzedaje towar na ulicy. — Rossi zamówił kolejne piwo i przyssał się do niego łapczywie. — Płacisz, a ja dostarczam ci wszystkiego, co zechcesz.

— De Mart dał mu natychmiast trzy studolarowe banknoty, później dołożył listę wymagań. Oczy Rossiego rozszerzyły się ze zdumienia.

— A nie chcesz działki? Mogę nawet skołować crack. Tylko powiedz, koleś. Załatwię to dla ciebie.

Afrykaner pochylił się mocno, ich twarze nieomal się zetknęły.

— Zrób tylko to, o co cię proszę. I żadnych pytań, rozmowa pozostanie między nami, zrozumiałeś?

— Rossi przytaknął nerwowo. Jego nowy znajomy wyglądał na rozwścieczonego niedźwiedzia.

— I nie próbuj wciskać mi kitu. Przyjechałem tutaj wykonać konkretną robotę i wypierdalam stąd, jak tylko będzie to możliwe.

Rossi uniósł w górę obie dłonie.

126

— Jasne, koleś. Ty tu rządzisz.

De Mart rzucił na stolik fałszywą wizytówkę.

— Jeśli poczujesz nagłą potrzebę skontaktowania się ze mną, zadzwoń pod ten numer. To biuro pośrednika. On nie może się ze mną skontaktować, ale ja dzwonię do niego co jakiś czas. Zapytaj o pana Henda. Nigdy nie podawaj żadnego innego nazwiska. — Ruszył w stronę rozstłonecznionych drzwi wyjściowych, pozostawiając za sobą zaciekawionego Rossiego, spoglądającego z podziwem na jego szerokie barki.

Teraz, gdy zbliżał się termin wypuszczenia na rynek cyclintu, Afrykaner coraz częściej myślał o powrocie do domu. Przeszukiwał już nawet Internet, oglądając posiadłości do kupienia na przylądku. Jego uwagę zwrócił ładnie urządzonego bungalow położony blisko portu w zatoce Hout. Każdej nocy śniła mu się plaża, morze i żyłka znikająca za krawędzią mola.

Hrabstwo Cook nudziło go, równiny Środkowego Zachodu, równie płaskie jak rozległe, wydawały się tak nieciekawe, że aż męczące. Nie jeździł autostradami, używając wyłącznie bocznych dróg w okolicach, do których nie dotarła jeszcze cywilizacja: warsztat „U Grubasa”, bar „U Hanka i Wilmy”, pole golfowe „U zwariowanego Gorda”. Rzygać mu się chciało na widok tej wiochy.

— Potrzebuję młodego oprycha.

De Mart przysiadł na spłachetku trawy naprzeciw wieżowca Sears Tower. Autobusy wycieczkowe wypływały ze swoich wnętrza pasażerów prosto w żar i oślepiający blask promieni słonecznych, gdzie musieli stać w formującej się kolejce, jeśli chcieli obejrzeć panoramę świata z drugiego co do wysokości budynku na świecie. To było idealne miejsce na spotkanie, które miało pozostać niezauważone, ludzie przychodzili w to miejsce i odchodzili, trwał tutaj nieustanny ruch. Nikt się nikim nie interesował.

Rossi zgodził się z nim umówić podczas przerwy na lunch. Znow był podenerwowany i palił papierosa za papierosem, twarz ukrył za ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi. Widać było, że nie czuje się komfortowo w towarzystwie drugiego mężczyzny. Nosił lekkie dżinsy, koszulę z krótkim rękawem, rozczłapane trampki, wszystko Przepoczone do suchej nitki w południowym upale. Od trzech dni tem-

peratury w dzień nie opadały poniżej stu stopni Fahrenheita i wielu ludzi albo zostawało w domach, albo opuszczało je tylko na krótko. Gdy rozmawiali, tuż obok nich przemknął wóz strażacki, jego syreny zagłuszyły część słów. Rossi odczekał chwilę, pozwolił, by czerwony samochód zniknął w oddali.

— Co to znaczy: młodego oprycha? Znam wielu, którzy pasują do tego opisu. Ile ma mieć lat? Nie znam żadnego pięciolatka handlującego crackiem, jeśli o to ci chodzi. — Spróbował się roześmiać z własnego dowcipu, ale skończyło się jedynie na ataku kaszlu. W końcu przeczyścił krtań, wypluwając czarną smolą flegmę. Dwoje starszych turystów spojrzało na niego z obrzydzeniem, a de Mart pociągnął go w górę wzniesienia, gdzie było mniej ludzi.

— Dzieciaka, ma mieć osiem, może dziewięć lat. Twardego i szybkiego.

Technik z Cartera zastanawiał się nad tym żądaniem, przelatując w pamięci wszystkich pasujących do opisu.

— Nie ma problemu. Tam gdzie mieszkam, jest takich bez liku. — Strzepnął popiół z niedopałka, potem zgniótł go obcasem. — Co ma zrobić?

Szczeniak miał na imię Luther, nazwiskiem się nie przedstawił. De Mart odebrał go o dziesiątej następnego ranka i posadził na, tylnym fotelu czarnej toyoty camry. Chłopak milczał, miał poważny wyraz twarzy.

Mierzył nie więcej niż pięć stóp i sześć cali wzrostu, był szczupły, wyglądał na wygłodniałego. Głowa wygolona, twarz poznaczona pamiątkami po poprzednich robotach. Szereg kolczyków w obu uszach, świek w nosie. Rossi zarzekał się, że nie ma więcej niż dziewięć lat, ale de Martowi wyglądał na znacznie starszego, co najmniej jedenastolatka. Nosił koszulkę gimnastyczną co najmniej o rozmiar na niego za dużą, dżinsy z dziurami na obu kolanach i oddartymi tylnymi kieszeniami. Na bose stopy włożył podróbki nike'ów. Zawzięcie żuł gumę, gniewnie spoglądając przez boczne okno na ulice, którymi jechali.

De Mart zabrał go z jednej z ulic biegnących obok slumsów South-side. Zrujnowane budynki, opuszczone bloki, narkotykowe meliny. De Mart musiał cztery razy przejechać przez umówione miejsce, za-

nim Luther wyszedł z ukrycia. Chłopak obszedł toyotę ze wszystkich stron, przyglądając się jej podejrzliwie, potem nagle otworzył bagażnik. Usatysfakcjonowany wgramolił się przez tylne drzwi i usiadł na środku siedzenia, błyskawicznie sprawdzając, czy nie ma zagrożenia.

— Dawaj, facet. Nie chcę mieć jebanych glin na karku. — Miał głos dziecka, ale ton zatwardziałego przestępcy. Osunął się w dół na siedzeniu, tak że widać mu było tylko oczy. — Połowa teraz, połowa, jak skończę.

De Mart podał mu studolarowy banknot, Luther obejrzał go pod światło, potem zwinął i schował do kieszeni.

— Jedź.

Przemieszczali się bocznymi ulicami, trzymając z dala od tras przelotowych. W jednej chwili znajdowali się w bogatej dzielnicy pełnej luksusowych wieżowców, a już dwa zakręty dalej trafili do Seedsville, między zabite deskami wystawy sklepów, do krainy, gdzie kupić można było tylko alkohol albo seks. De Mart ustawił klimatyzację na najwyższe obroty, starając się ograniczyć wpływ upału panującego na zewnątrz. W Oz Park skręcił w prawo, w West Webster, potem w lewo na North Clark. Jechał powoli i ostrożnie, uważając, żeby nie przejechać skrzyżowania na czerwonym świetle ani nie zmienić niepotrzebnie pasa. Znowu na chwilę pojawiły się dobre sklepy, potem przez jakiś czas posuwali się wzdłuż składowisk wszelkiej maści śmieci. Restauracje, lombardy, McDonald's, podłe pizzerie. Nieliczni przechodnie kryli się w cieniu budynków, aby uniknąć żaru lejącego się z nieba.

Około jedenastej trzydzieści toyota podjechała w pobliże niewielkiej szkoły w pobliżu West Deming, w której Danny miał wielu nowych przyjaciół i gdzie sięgnął po tytuł najbardziej bramkostrzelnego zawodnika w futbolowej lidze juniorów. Rok szkolny już się zakończył, w szkole odbywały się jedynie poranne zajęcia w ramach półkolonii letnich. Luther sprawdził ulicę. Była to spokojna trzypasmowa aleja, ruch niewielki, zaledwie kilkoro przechodniów. Podstawówka była prostym parterowym budynkiem z czerwonej cegły otoczonym ogrodzeniem ze zwykłej siatki. Wejście znajdowało się może pięćdziesiąt jardów dalej, stał przy nim znudzony strażnik, szukający cie-nia pod rozłożystym wiązem.

■— Kiedy dzieciaki wyjdą na przerwę, zrobisz swoje.

129

Luther skinął głową. Przykleił gumę do zagłówka na fotelu kierowcy, potem rozerwał papierek skrywający nowy listek i polizał go wolno językiem.

— Widzisz biały budynek w głębi, ten, przy którym paru facetów zapieprza przy ścianie?

De Mart spojrzał w dół ulicy. Około pięćdziesięciu jardów od miejsca, w którym stali, trzech robotników w szortach rozbierało resztki muru zawalonego budynku. U ich nóg wałała się sterta potłuczonych cegieł. Każdy z robotników dla ochrony przed słońcem miał na głowie czapkę z kawałkiem materiału sięgającym aż na kark. Wszyscy byli tak skupieni na pracy, że nie zwracali uwagi na nic innego.

— Widzę.

Luther spojrzał na twarz zleceniodawcy.

— Piętnaście minut. Potem pobiegnę wzdłuż ulicy za tamten dom. Nie mam zamiaru zapierdalać pieszko na sam koniec tej ulicy. — Popatrzył gniewnie, de Mart odpowiedział jeszcze bardziej złym spojrzeniem.

— Słuchaj, szczyłu, nie będziesz sobie grał w chujki ze mną, to i ja z tobą nie będę pogrywał. — Dziwny akcent niepokoił Luthera, dzieciak odwrócił wzrok. — Będę gotowy, jak tylko ruszysz.

De Mart uruchomił silnik i przejechał powoli za wejście do szkoły. Strażnik nawet się nie odwrócił w ich stronę. Gdy dotarli do skrzyżowania, Luther wyskoczył i zniknął za rogiem. De Mart sprawdził zegarek, teraz nie miał nic do roboty prócz czekania.

O jedenastej czterdzieści pięć budynek szkoły otwarto i dzieciaki wysypały się z niego z krzykiem. Większość miała przy sobie jedzenie, batony czekoladowe, ciasteczka, chrupki i napoje owocowe. Jedni popychali się między sobą, inni zaczęli już biegać za piłką jak szaleni. Kilku najspokojniejszych trzymało się cały czas razem, wymieniali się kartami z wizerunkami ulubionych gwiazdorów baseballu czy futbolu. Dziewczynki grały w gumę albo rozmawiały.

W sumie na terenie przyszkolnym znajdowało się może sześć-dziesięcioro uczniów. Dyżur pełniła młoda kobieta nosząca szeroki słomkowy kapelusz i białą bawełnianą sukienkę. Powietrze było tak rozpalone, że przeniosła się do zacienionego kąta pod oknem z markizą i odkręciła butelkę wody mineralnej. Sprawdziła zachowanie podopiecznych i pociągnęła łyżeczek. Dzieciaki grające w piłkę krzyczały

130

i radości. Parę chwil wcześniej podzieliły się na dwie drużyny i teraz ta, do której należał Danny, strzeliła bramkę. Chłopak biegał w kółko i rękami wyciągniętymi w górę i zroszonym potem czołem. Wyróżniał się z tłumu kruczoczarnymi włosami, niemal wszyscy pozostali byli blondynami.

Luther skradał się wzdłuż ściany budynku, dopóki nie znalazł dobrego punktu obserwacyjnego, tam przycupnął i czekał za rzędem rowerów na stojaku. Dość szybko wypatrzył Danny'ego. Chłopak wyglądał dokładnie tak, jak mu go opisano. Poczekał pięć minut, sprawdzając czas na skradzionym zegarku, a potem ruszył prosto na rozwrzeszczaną hałastrę. Wszystkie dzieciaki były ubrane w letnie mundurki, szorty koloru khaki i szare koszulki z krótkim rękawem z logo szkoły na piersi. Do tego białe skarpety i trampki.

Pierwsza zauważyła go jedna z dziewczynek. Był wyższy i wyglądał poważniej, a przede wszystkim nie był ubrany tak jak pozostali. Trąciła łokciem koleżanki i cała grupka odwróciła się lekliwie. Dwie pobiegły w stronę nauczycielki.

Luther zauważył je kątem oka, całą uwagę skupiał bowiem na ciemnowłosym chłopaku usiłującym okiwać przeciwnika. Poruszał się cicho i szybko, jak tylko potrafią uliczni zabijacy. Był jak żywy pocisk. Miał przewagę niemal dziesięciu cali nad synkiem Jacka Hunta, był od niego chudszy, lecz mimo to silniejszy i z pewnością bardziej doświadczony w bójkach. Wygolona głowa podskakiwała, gdy podbiegał do celu od tyłu. Pierwsze uderzenie spadło na kark Danny'ego, chłopak zaczął się odwracać, ale szok nieomal go sparaliżował. Luther nie czekał, uderzył pięścią w twarz, poprawiając sierpem na szczękę. Dzieciak zaczął się przewracać, krew trysnęła z jego nosa i ust.

Na boisku natychmiast wybuchła panika, dzieci zaczęły krzyczeć histerycznie i uciekać w stronę nauczycielki albo do drzwi prowadzących do bezpiecznego wnętrza szkoły. I dobrze. Luther nie przestawał bić. Walił gdzie popadło — w tułów, głowę, plecy. Gdy ofiara upadła, dołożył jeszcze trzy kopnięcia, w nogi i w krocze.

W szkole znajdowało się jeszcze troje nauczycieli i któryś z pracowników technicznych. Gdy z boiska zaczęły dobiegać do nich wrzaski i piski, wszyscy wybiegli na zewnątrz i zobaczyli swoją koleżankę klęczącą na ziemi, biała sukienka była poplamiona krwią. Krzyczała

131

wniebogłosey, przytulając do piersi zakrwawionego ciemnowłosego chłopczyka, który leżał bezwładnie na wydeptanej trawie.

Chłopak nie płakał, nie poruszał się. Nawet nie kwilił. Był nieprzytomny.

— Muszę z panem natychmiast porozmawiać.

Sekretarka Jacka stanęła nad nim w samym środku odprawy pracowników oddziału. Profesor miał na sobie fartuch chirurgiczny i omawiał z trzema młodszymi asystentami sposoby postępowania przy rozległym zawale serca. Spojrzał na nią ewidentnie rozzłoszczony.

— Czy to naprawdę nie może poczekać?

Helen pociągnęła go za prawe ramię, jej chwyt aż zabolął.

— Nie, to nie może zaczekać, do jasnej cholery.

Gdy wyszli z sali, odwróciła go do siebie.

— Pański syn trafił na naszą izbę przyjęć. Beth jest z nim. Coś się stało w szkole.

Jack wpatrywał się w nią zaskoczony i niepewny.

— Danny? Mój Danny? Na izbie przyjęć?

Stali przy windach, Helen nacisnęła klawisz przywołania. Szczęśliwie drzwi otworzyły się niemal natychmiast, wepchnęła go do kabiny, a drugą ręką dotknęła symbol parteru na konsoli. Patrzyła w niedowierzające oczy Jacka, gdy drzwi się zasuwały.

— Co się stało?

Z trudem rozpoznał Danny'ego. Chłopiec został rozebrany do naga i położony na noszach w jednej z sal na urazówce. Jęczał cicho. Splamione krwią, potem i brudem ubranie leżało skłębione u jego stóp. Beth, blada na twarzy jak kreda, stała u jego boku, gładząc dłoń dziecka i szepcząc głośno:

— No, Danny, wszystko będzie dobrze. Mamusia jest przy tobie i tatuś też już przyszedł. Proszę cię, synku, proszę. Obudź się. Tatuś przyszedł ze swojego biura na samej górze, żeby się z tobą zobaczyć.

Twarz Danny'ego była poobijana i posiniaczona, oczy miał całkiem zapuchnięte, u wylotu obu nozdrzy widać było strużki zaschniętej krwi. Także jego tors nosił ślady wielu uderzeń, był cały pokaleczony, okolice krocza nie wyglądały lepiej. Na nogach miał wiele zadrapań

i odbicie podeszwy buta, którym ktoś nadepnął mu na łydkę z wielką siłą-

pierwsze spostrzeżenie Jacka było proste, czysto lekarskie. Klatka piersiowa jego syna unosiła się rytmicznie — zatem żył!

Kotary otaczające łóżko nagle się rozsunęły i młody mężczyzna w ubraniu blokowym, traumatolog nazwiskiem N. Munten, tak przynajmniej informował napis na jego identyfikatorze, podszedł trzymając w ręce wyniki prześwietlenia.

— Pan profesor Hunt? — Jack skinął nieporadnie głową. — Mam dla pana dobre wieści. Źrenice równe i reagujące, prawidłowa reakcja na bodźce. Zdolność poruszania wszystkimi kończynami. Mruczał coś, kiedy go tutaj przewożono, a to także dobry znak. Na pierwszy rzut oka nie ma złamań, ale dla pewności poprosiłem radiologów

o potwierdzenie. — Spojrzał na pacjenta, który nadal leżał nieruchomo. — Z kośćmi twarzy zawsze są problemy, dlatego muszę mieć opinię specjalisty. Ale zdjęcia kończyn i klatki piersiowej są prawidłowe. Na pewno nie ma na nich złamań. — Przesunął dłonie na brzuch chłopca i delikatnie ucisnął. — Nie ma też śladu krwotoków wewnętrznych. — Spojrzał na Beth, potem na Jacka. — Dostał porządny wpierdol, ale na pewno wyciągniemy go z tego.

Jack otworzył usta ze zdumienia i chwycił Beth za ramię. Odwróciła do niego udręczoną twarz.

— Danny pobity? Czyli ktoś zrobił to rozmyślnie? Co tam się u diabła stało?

Beth nie potrafiła wydusić z siebie nawet słowa. Wbiła palce w fartuch męża, drżała na całym ciele. Nagle oczy zasły jej mgłą i zapadły się w głąb czaszki. Jack szybko, lecz delikatnie ujął ją pod ramiona

1 i usadził ostrożnie na najbliższym krześle.

Danny poruszył się na noszach, spróbował nawet wstać, ręce ślizgały mu się po pokrytych materiałem krawędziach. Jęknął głośno, a potem siły go znów opuściły i opadł bezwładnie na poduszkę. Munten stał już obok, obserwując każdy ruch, oceniając stopień powrotu chłopca do świadomości.

— Mamo? Mamo? — Z trudem dało się zrozumieć, co Danny Powtarza opuchniętymi, posiniaczonymi i pokrytymi krwią ustami.

Mamo, gdzie jesteś?

Munten uśmiechnął się na pokaz.

— Kolejny dobry znak, pani Hunt. Chłopak zaczyna wracać do siebie.

Ale Beth nie usłyszała tych słów pocieszenia. Nagle na izbie przyjęć zrobiło się bardzo gorąco, sala zaczęła znikać w mroku. Ześlizgnęła się na podłogę, pozostawiając zdenerwowanego traumatologa wzywającego dodatkową pielęgniarkę i kolejne nosze.

BŁYSK! BŁYSK! BŁYSK!

— Dobrze, odwróć go teraz.

BŁYSK! BŁYSK! BŁYSK!

— Może już wystarczy? — W głosie Beth pojawił się błagalny ton. — Wydaje mi się, że tyle zdjęć wystarczy.

Detektyw spojrział na policyjnego fotografa i wzruszył pytająco ramionami.

— Wystarczy?

Ale jego kolega z grupy dochodzeniowej już zakładał pokrywę na obiektyw. Skinął tylko głową i odszedł.

Dochodziła czwarta po południu następnego dnia. Państwo Hunt złożyli kolejną wizytę na posterunku policji przy parku Lincolna, najbliższej jednostce od miejsca, w którym Danny został zaatakowany. Chłopiec spędził poprzednią noc na oddziale pediatrycznym Szpitala imienia Cartera. „Tylko na obserwacji” — jak zapewnił traumatolog, kiedy obejrzał dodatkowe zdjęcia z prześwietlenia. Wypisano go do domu dopiero, gdy dyżurny lekarz zorientował się, kim jest Jack, i zrozumiał, że w szpitalu nie zapewnią dzieciakowi lepszej opieki.

— Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę natychmiast zadzwonić.

Ale stan Danny'ego był stabilny. Bolało go jak diabli, posiniaczony był straszliwie, ale mógł chodzić, mówić i jeść. Kiedy Jack dowiedział się, w jakim stanie dostarczono go do Beth, zmówił modlitwę w milczeniu. Wyglądało to tak źle, że sam nie wierzył, iż synowi udało się uniknąć poważniejszych obrażeń.

Zadzwonił dyrektor szkoły, słyhać było, że strasznie to przeżywa. Nie krył też zakłopotania.

— Pani Hunt, cały personel jest w szoku. Jeszcze nigdy, a mówię to z pełną odpowiedzialnością, nigdy nie mieliśmy do czynienia

134

i podobnym zajściem. Po prostu nie mieści mi się w głowie, że mogło dojść do czegoś takiego.

Podobnie mówił policjant z posterunku przy parku Lincolna. Zdarzenie zostało zgłoszone natychmiast i chwilę po nim na miejscu pojawił się patrol i karetka. Zebrano zeznania świadków, ustalono rysopis, zabezpieczono ślady. Napastnika nikt nigdy wcześniej nie widział w pobliżu szkoły. Nikt też nie widział, jak się czał ani dokąd uciekł. Ale te dzieci, które widziały moment pobicia i potrafiły go opisać (oczywiście dopiero jak się uspokoiły), były przekonane o jednym: napastnik upatrzył sobie Danny'ego.

Mógł dopaść każdego po drodze (miał wiele mniejszych i bliższych celów), lecz podszedł prosto do Danny'ego, zaatakował go z rozmysłem, zbił na kwaśne jabłko, a potem uciekł.

A teraz na tyłach posterunku Danny znów musiał się rozebrać do naga, aby sfotografowano jego obrażenia. Gdy było już po wszystkim, Beth pomogła mu włożyć ubranie, podczas gdy mąż udzielał dalszych informacji, które mogły pomóc oficerowi prowadzącemu sprawę, wielkiemu facetowi nazwiskiem Nelson. Policjant miał po wojskowemu przystrzyżone włosy i krzaczaste wąsy, które nieustannie stroszył, słuchając opowieści. Zasiedli potem we trójkę na twardych krzesłach wokół mocno podniszczonego stolika. Danny pozostał pod opieką funkcjonariuszki w sąsiednim pomieszczeniu.

— No to może byśmy poskładali se to wszystko do kupy. — Nie tylko akcent Nelsona zdradzał jego wiejskie pochodzenie. — Na pewno nie wicie, czemu wasz chopak dostał takie wciry? — Sierżant splótł dłonie na brzuchu. Rozpiął kołnierzyk munduru, wyciągnął nogi przed siebie. Oczy miał zwężone jak szparki, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że ma zamiar zasnąć. Ale precyzja jego pytań świadczyła o czymś wręcz przeciwnym. — A pani Hunt nie widziała nigdy, jak synek awanturuje się z innymi dzieciarni?

Nie, na pewno nie.

— Nawet tak niby na żarty? Wicie, takie tam, kto jest w drużynie najlepszy czy co?

Kolejne zdecydowane „nie”.

— I nigdy nie znaleziono czego dziwnego w jego pokoju albo w szafce w szkole?

Nie.

135

— A może któreś z was wdało się w poważną awanturę z rodzicami innych dzieciaków?

Nie.

— A co z waszymi krewnymi?

Nie mieszkają w tym kraju.

— A wy od kiedy tutaj siedzicie?

Prawie rok. Przedtem mieszkaliśmy przez sześć miesięcy w Filadelfii, a potem w Nowym Jorku.

— I to wszystko? — Nelson nastroszył wąsa jeszcze bardziej agresywnie, jakby wspomnienie o tych pobytach podsunęło mu nowy trop. — Czasu mało, żeby sobie porobić wrogów.

W tym momencie Jack nie wytrzymał.

— Jakich wrogów, do cholery? Dyrektor szkoły twierdzi, że nigdy wcześniej nie widziano tego zbira w pobliżu. Sądzą, że to było przypadkowe pobicie.

— Możliwe, doktorze Hunt, możliwe. — Nelson zaczął kręcić kciukami młynka. Założył jedną nogę na drugą. — Ale to dobra szkoła jest. To nie buda, w której wszystkie dzieciaki uczą się kucać na pierwszy strzał w kolejnej wojnie o strefy wpływów gangów narkotykowych.

— Do czego pan zmierza? — Jack spróbował pohamować swój gniew.

Nelson wstał, podciągnął spodnie i potrząsnął nogą, aby przywrócić właściwe krążenie.

— Ja po prostu tego nie rozumiem, profesorze Hunt. To dla mnie zagadka. Siedzę już na tym posterunku osiem lat, ale nigdy nie widział czegoś podobnego. — Przysunął swoje krzesło do stołu. — Jakem pracował na poprzednim etacie, co i rusz miałem z takimi do czynienia. Ale nigdy od czasu przeniesienia tutaj. To dobra okolica i dobre ludzie. Dzieciaki normalnie nie sprawiają sobie takiego lania.

Słowa policjanta niepokoiły Beth przez resztę dnia. Dzieciaki normalnie nie sprawiają sobie takiego lania. Z pewnością sprawiają, a mój syn jest tego żywym dowodem. To dobra okolica i dobre ludzie. Ten komentarz, pomimo pozytywnego wydźwięku, zaniepokoił ją jeszcze bardziej. Dlaczego właśnie Danny? Dlaczego aż tak brutalny atak? Ludzie z kręgów szkolnych, z którymi udało jej się po-

136

rozmawiać, a zwłaszcza ci, którzy jej współczuli, byli wstrząśnięci okrucieństwem tej napaści. To wszystko nie pasowało zupełnie do charakteru miejsca, gdzie zamieszkali, i szkoły, którą wybrali. Kilka osób zareagowało jednak w sposób dość osobliwy. 1 te reakcje zapamiętała najbardziej.

Gdy wrócili do domu zaczęła zamęczać syna pytaniami.

— Biłeś się już z innymi dziećmi?

— Zdarłeś z kimś, o kim nie wiemy?

— Czy ktoś ci już kiedyś groził?

— Czy ktoś oferował ci narkotyki?

— A co z piwem i innymi używkami?

— Jesteś pewien, że nie znasz tego chłopaka? Nie bój się, możesz mi to powiedzieć, on już nigdy się do ciebie nie zbliży. Ale muszę wiedzieć, czy go znasz. Muszę wiedzieć, jak się nazywa.

Danny wreszcie nie wytrzymał i rozplakał się.

— Nie, nie, nie. Nic nie wiem, nie mam pojęcia, jak on się nazywa! — Twarz nabiegła mu krwią, język szamoczący się pomiędzy zacisniętymi zębami zaczął znów krwawić. Pobiegł do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi. Po kilku minutach Beth usłyszała dobiegający stamtąd szloch.

— Musimy wynieść się z tej okolicy.

Siedziała na łóżku, nogi podwinęła pod siebie, jakby ćwiczyła jogę, pomimo późnej pory wciąż była ubrana. Właśnie minęła druga, wyczerpany Danny zasnął wreszcie za ścianą. Jack leżał obok niej, wygodnie wyciągnięty, i patrzył w sufit. Znał już na pamięć każdą szczelinę w zaprawie, każde przebarwienie farby. Ta rozmowa trwała już niemal godzinę, ale przez niemal cały czas wyrzucali z siebie jedynie urywane zdania i niedopowiedziane pytania.

Spojrzał w jej stronę. Na tak pięknej zazwyczaj twarzy jego żony dzisiaj widać było wyłącznie ślady stresu i zmęczenia, z jej oczu wciąż płynęły łzy.

— Nie ma mowy o pozostaniu w tej okolicy po tym, co się stało. — Beth kręciła szeroko głową, potem otarła oczy rąbkiem prześcieradła. — Wydawało mi się, że Nowy Jork jest zły, ale to przekracza wszelkie pojęcie. — W jej głosie narastał gniew. — A temu policjantowi było wszystko jedno.

137

— Daj spokój, Beth. — Jack starał się ją uspokoić. — Ten facet jest zawodowcem, powiedział ci, co o tym wszystkim myśli. Wszyscy są przecież w szoku, nawet dyrektor szkoły. — Odwrócił się, żeby przytulić żonę, ale został odepchnięty. — To jeden z tych bezsensownych aktów przemocy, które mogą się zdarzyć wszędzie. Przecież codziennie czytasz o czymś podobnym w gazetach.

— Przestań mi wciskać głodne kawałki, Jack. Zjeździliśmy cały świat i nigdy nikt nas nie zaatakował. Dopiero w Nowym Jorku przeżyliśmy pierwsze włamanie, a na ulicy ktoś wyrwał mi torebkę. A teraz tutaj pobito naszego syna. To nie jest kraj, w którym można wychowywać dzieci.

Jack, nie wiedząc, co odpowiedzieć, powrócił do obserwacji sufitu. Incydent z Dannym wstrząsnął nim równie mocno jak Beth. Naruszył jego wiarę w policję i amerykańskie społeczeństwo, sprawił, że poczuł się bezradny. Czuł się jak człowiek, który nie potrafi obronić swojej żony i dziecka.

Beth wyprostowała nogi, wstała. Zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju.

— Może powinieneś jednak skontaktować się z tą kobietą i zapytać, czy oferta pracy w Londynie jest nadal aktualna? — Odwróciła się do Jacka, oczy miała zaczerwienione, tusz do rzęs rozmazany po całej twarzy. — A pamiętasz jeszcze tę propozycję pracy w Sydney? Mówiłeś, że cię interesowała. Może spróbujesz z nimi porozmawiać?

Była tak zrozpaczona, tak roztrzęsiona, że Jack bez namysłu przytulił ją do siebie.

— Cśś, cśś. Już dobrze, Beth. Uspokój się. Musimy przez to przejść. Nie będziemy przecież gonić po raz kolejny na koniec świata, zostaniemy tutaj. Żaden bandzior nas stąd nie wypłoszy. Tak mocno walczyłem o to stanowisko i dostałem, co chciałem, co my chcieliśmy. — Beth szlochała mu w pierś. — Od jutra zabieramy się za szukanie domu, obiecuję. — Ujął twarz żony w obie dłonie i próbował szałowy wać jej łzy, ból, który przeżywała, ranił także jego. — Zbierz prospekty, obiecuję, że przejrzę je razem z tobą. Wyniesiemy się stąd i zaczniemy nowe życie w lepszym sąsiedztwie.

Jack nie potrafił zasnąć tej nocy. W końcu udało mu się namówić Beth, by się położyła, potem patrzył, jak zapada w sen, rzucając się niespokojnie, ale sam liczył godziny, jakie pozostały do świtu. Beth

138

dwukrotnie krzyknęła, wtedy ją przytulał, szepcząc, głaszcząc, pocieszając- Lepiej pozbieraj się do kupy, człowieku, pomyślał, tak nie da się dalej żyć. Dostałeś robotę, dostałeś podwyżkę, więc rusz dupsko i poszukaj nowego domu. Ale skąd mam na to wziąć czas? Skupiamy się, panie Hunt — nieomal usłyszał skarcenie Beth. — Jakoś znajdujesz czas, jeśli trzeba wdrożyć nowy projekt w szpitalu.

Pod prysznic wszedł o piątej trzydzieści, o szóstej był już ubrany. Beth i Danny wciąż spali, gdy opuścił mieszkanie, wychodząc prosto w gorący chicagowski poranek. Złapał pierwszy miejski autobus i usiadł na samym tyle. Był jednym z nielicznych pasażerów, podobnych do niego rannych ptaszków, którzy ziewając, rzucali spojrzenia na pierwsze promienie słońca przebijające się spomiędzy wieżowców. Zaczął dyktować:

— Helen, czy możesz przeczyścić mój plan spotkań na przyszły tydzień? Potrzebuję co najmniej połowy dnia, powiedzmy w środę po południu albo w czwartek rano. — Nacisnął klawisz stop w dyktafonie. Czwartkowe poranki miał już zajęte na wykłady. Nacisnął start. — Helen, spróbuj z wtorkiem rano albo z popołudniem w środę.

ROZDZIAŁ 13

Doktor Gert Crozer był dyrektorem operacyjnym Zemdon Pharmaceuticals. W środę dwudziestego pierwszego lipca wiercił się niecierpliwie na ostatnim piętrze siedziby nowojorskiego oddziału firmy.

— Herr Danker spóźnił się?

Crozer przyleciał z Zurychu o świcie na pilną konferencję z dyrektorem oddziału północnoamerykańskiego, a termin wyznaczonego na to przedpołudnie spotkania został już przekroczony o pięć minut. Maria, asystentka Dankera, dwoiła się i troiła, by uspokoić gościa. Właśnie skończyła układanie przed nim sterty faksów, które przyszły do biura ostatniej nocy, i usiłowała zaparzyć kubek znakomitej kawy, o którą specjalnie poprosił.

— Pan Danker pojawi się lada chwila, doktorze Crozer. Może woli pan poczekać w jego gabinecie?

Niezadowolenie Crozera było aż nadto widoczne. Był sześćdzieści-ściejoletnim Szwajcarem, wysokim mężczyzną o patykowatych kończynach i rzadkich siwych włosach zaczesanych mocno na jedną stronę. Nosił się nadzwyczaj oficjalnie, najbardziej lubił szyte na miarę garnitury z mieszanki kaszmiru i wełny, do których dobierał białe koszule i krawaty z emblematem firmy. Garbił się lekko, co nadawało mu wygląd człowieka wiecznie zajętego i dokądś pędzącego. Nosił okulary w drucianej oprawie, niezbyt grube szkła łagodziły jego ptasie rysy i przenikliwe oczy. Pomimo upału także teraz miał na sobie garnitur w kolorze węgla, zdobiony cieniutkimi granatowymi prążkami, białą koszulę i pozbawiony polotu niebieski nakrapiany krawat z logo Zemdonu. Przyleciał do Nowego Jorku w sprawach służbowych

I nje zamierzał zostawać tu dłużej, niż to było konieczne. Nie lubił podróżować, gardził obcokrajowcami i czuł się wyalienowany, kiedy przebywał tak daleko od domu.

— Życzy pan sobie kanapkę? Mogę poprosić szefa kuchni, by przyrządził coś specjalnego. — Asystentka dawała z siebie wszystko, co było o tyle łatwe, że północnoamerykański oddział firmy zajmował górne dwadzieścia pięter jednego z wieżowców na Manhattanie i dysponował własną kantiną obsługiwaną przez czterech pracujących na zmianę kucharzy.

Tego dnia włożyła skromną beżową bluzkę o wysokim kołnierzu i spódnicę w pasującym do niej kolorze. Nie eksponowała dekoltu, nie było też widać jej niezwykle długich nóg. Włosy spięła w kok z tyłu głowy, na lewym nadgarstku miała jedną złotą bransoletkę. Jej pozbawione pierścionków palce wydawały się nieprzyzwyczajone nagie. Zazwyczaj Maria przychodziła do biura w obcisłych i zwykle o jeden numer za małych czarnych sukienkach, podnosząc ciśnienie wszystkim mężczyznom. Uwielbiała też biżuterię — naszyjniki, wisiorki, pierścionki, kolczyki. Ale tego dnia, na wyraźne polecenie pana Dankera, wyraźnie spuściła z tonu. Szef ostrzegł ją jeszcze, żeby nie wkładała butów, które mają obcas wyższy niż ćwierć cala. 'i| | | | |

Crozer siedział na stylowym krześle z giętego drewna, z wysokim oparciem i rzeźbionymi zaokrąglonymi podłokietnikami, czytając jakieś dokumenty. Opuścił nieco okulary i rozmasował sobie skroń, potem westchnął głęboko.

— Nie chcę niczego więcej, tylko kawę i ręczniczek. — Jego akcent z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy. — Podniósł następną stronę i przeczytał zawartą na niej wiadomość. — Gdzie jest herr „Danker? BL

Maria otworzyła drzwi do wewnętrznego gabinetu.

•— Zaraz sprawdzę.

Crozer pozwolił sobie na cień uśmiechu, uwielbiał obserwować, jak jego zachowanie wpływa na innych ludzi, z lubością chłonał tę mieszaninę strachu i unізoności. Większość ludzi schodziła mu z drogi przy pierwszej sposobności. ii

— Doktorze Crozer, jak się cieszę, że znów pana widzę. — Stan i.....

Danker wparował do swojego biura cały w skowronkach, z wyszcze-

rzonymi zębami i ręką wyciągniętą do powitania. — Czy Maria zajęła się panem odpowiednio? — Miał na sobie beżową marynarkę, błękitną koszulę i granatowe spodnie. — Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić?

Crozer zignorował jego wylewność i uniósł do twarzy rąbek ręcznika.

— Mam wszystko, czego mi trzeba, gorące ręczniczki i świeżą kawę. — Ziarna zostały wysłane z Zurychu czterdzieści osiem godzin wcześniej. Przedtem zostały starannie wyselekcjonowane, zamrożone i zapakowane.

Danker przeszedł na drugi kraniec swojego wiśniowego biurka w kształcie półksiężyca i usiadł. Komputer stojący po jego lewej stronie pokazywał właśnie aktualne wyniki sprzedaży oddziału północnoamerykańskiego. Po prawej miał cały rząd aparatów telefonicznych i faksów. Nacisnął klawisz interkomu.

— Mario, nie łącz żadnych rozmów przez następną godzinę. — Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu fotela. — Chce pan wiedzieć o postępkach w sprawie Chicago?

Gert Crozer rozparł się wygodnie, skrzyżował nogi i czekał. Okulary w drucianej oprawie spoczywały teraz na blacie biurka tuż przed nim.

— Muszę panu powiedzieć, doktorze Crozer, że mamy tam problem. Jak pan wie, profesor Sam Lewins wyraził zgodę na wspieranie cyclintu, przekonał też administrację szpitala do włączenia się w promocję i obiecał, że osobiście weźmie udział w akcji wprowadzania leku na rynek. Po zastrzeleniu go rada szpitala spanikowała, promocję na zwolnione nagle stanowisko otrzymał pierwszy kandydat, który był na tyle czysty, żeby media nie miały na niego haka. Moje źródła twierdzą, że dyrektor administracyjny już żałuje swej pochopnej decyzji. Robi dobrą minę do złej gry, ale gdyby mógł cofnąć czas, z pewnością jego wybór padłby na kogoś innego. Problem w tym, że doktor Hunt...

— Wiem wszystko o tym człowieku — wtrącił Crozer lodowatym tonem. — Znam jego życie, przebieg kariery zawodowej, badania naukowe. Prawdopodobnie znam doktora Hunta lepiej, niż on sam zna siebie.

Tym stwierdzeniem wytrącił Dankera z równowagi. Zmusił go do nerwowego kaszlnięcia, pozwalającego zyskać na czasie i zebrać po-

142

ownie myśli. Po jaką cholere Crozer przylatywał do Nowego Jorku, aby porozmawiać z nim o problemie w Chicago, skoro doskonale się orientował w sytuacji? I kto mu dostarczył tak dokładne informacje?

— Zatem wie pan też o kłopotach, jakie zaczął nam sprawiać?

Crozer przeczyścił okulary końcówką krawata.

— Parę szczegółów dotarło do Zurychu. Dlatego zdecydowałem się na bezpośrednią rozmowę z panem, zamiast wysłuchiwać relacji z drugiej ręki.

Danker odchrząknął dość głośno. Zatem waźniak z centrali nie wiedział wszystkiego.

— Hunt odmówił uczestnictwa w promocji cyclintu.

— Oferowaliście mu coś na zachętę? Coś, co by go zainteresowało? Przecież to lekarz.

Crozer doktoryzował się z farmakologii i znany był z tego, że przy każdej nadarzającej się okazji wyrażał się niepochlebnie o pozostałych specjalnościach medycznych. Nawet wyposażony w tę wiedzę Danker nie potrafił znaleźć niczego śmiesznego w ostatnim stwierdzeniu. Hunt nie pasował do definicji zwykłego łapiducha łasego na gratisy.

— To człowiek z zasadami. Sprawdziliśmy go dokładnie, ale w jego pancerzu nie ma żadnej rysy. Nie pije i nie bierze. Ma ustatkowane małżeństwo i dobrze wyglądającą żonę. Brak zapisów świadczących o tym, żeby kiedykolwiek wziął łapówkę od naszej firmy albo od kogoś z konkurencji. Nigdy nie był powiązany z promocją jakiegokolwiek produktu, zawsze raczej unikał kontaktów z firmami farmaceutycznymi.

— Domyślam się, że zakazał wam wstępu na teren oddziału kardiologicznego w Carterze.

— Tak. — Ciekawe, skąd wie o tym ktoś, kto mieszka w Zurychu? — Stara się jak może, żeby utrudnić wszystkim życie.

— A naszej firmie w szczególności.

Danker uznał, że musi przekonać Crozera o tym, że jednak nie siedzi całymi dniami za biurkiem, załamując ręce.

— Sprowadziłem na miejsce jednego z moich najlepszych ludzi od rozwiązywania problemów. Już pracuje nad tą sprawą.

— Czy to znaczy, że jesteśmy już bliscy pozytywnego zakończenia?

143

Danker opadł na fotel. Powinien powiedzieć krótko i zwięźle: nie ale nie mógł sobie na to pozwolić.

— Pracujemy bardzo ciężko, aby urzeczywistnić nasz plan. Nadal mamy poparcie przewodniczącego rady i wiemy, jak użyć nacisków z jego strony na profesora Hunta. Przypominamy mu nieustannie o zobowiązaniach i uświadamiamy konsekwencje wynikające z odmowy współpracy.

— Ale macie też plan awaryjny?

— Rozmawialiśmy z innym kardiologiem z tego samego oddziału. Standardowe otwarcie: dobry pakiet finansowy i wszelkie gwarancje. Przejdzie na naszą stronę, jeśli problem nie zostanie rozwiązany w porę.

Crozer, nagle pochłonięty własnymi myślami, spoglądał w przestrzeń. Danker obserwował go uważnie kątem oka. Wiedział, że przygotowania do promocji cyclintu w innych krajach przebiegają bez przeszkód. Najlepsze oddziały kardiologiczne i wybitni prowadzący siedzieli już w kieszeniach Zemdonu. Ale podpora całej operacji, miejsce, od którego wszystko miało się zacząć, czyli Chicago, wciąż nie było pewne. Codzienne raporty Henda de Marta wskazywały niedwuznacznie, że Hunt się nie podda. Irlandczyk był uparty, każde podejście do niego kończyło się niepowodzeniem. Telefony, faksy, oferty wyjazdów — Hunt nie odpowiedział na nic. Danker zdawał sobie sprawę, że de Mart zastosuje własne metody, jeśli zostanie do tego zmuszony, ale wciąż nie był przekonany, czy to zmieni nastawienie Irlandczyka. Drań był tak pełen szlachetnych idei, że gdyby startował na papieża, biały dym pojawiłby się już po pierwszym głosowaniu. Dlaczego ja? — wyszeptał bezgłośnie. — Dlaczego Zurych nie zaplanował tej operacji w Londynie, Berlinie, Paryżu czy Hongkongu?... Znał odpowiedź na to pytanie. Ameryka Północna była największym i najbardziej dochodowym rynkiem dla przemysłu farmaceutycznego. Sukces tutaj gwarantował gigantyczne zyski i pozwalał wesprzeć słabsze regiony.

— Nie muszę chyba przypominać panu, że Chicago jest najważniejszym elementem promocji cyclintu. — Crozer odezwał się zniecierpliwiony, przerywając rozmyślenia Dankera. — Włożyliśmy zbyt wiele środków i wysiłku w ten szpital i nie mamy już odwrotu. — Wstał i podszedł do okna ukazującego panoramę rzeki Hudson. Cienkie

144

pasemka mgły otaczały bryły pobliskich wieżowców, poniżej ludzie przypominający z tej wysokości mrówki roili się na zatłoczonych ulicach. — A od losów cyclintu zależy przyszłość Zemdonu, herr Danker. Bez tego leku firma może zbankrutować. Co dzień ktoś wytacza nam kolejne procesy.

Danker skinął głową. Zbyt dobrze znał tę branżę. Korporacja popadła w wielkie tarapaty, gdy jej sztandarowy antyalergen — allattack

— wyciągnął kopyta. W produkcję i promocję leku włożono miliardy dolarów, ale po roku trzeba go było wycofać, gdyż spowodował zgon stu osiemdziesięciu czterech osób. Działy badania i rozwoju Zemdonu zostały objęte międzynarodowym śledztwem, niezależni eksperci medyczni sprawdzali wszystkie dane, jakie korporacja ogłosiła w czasie promocji leku. Prawnicy krążyli wokół szwajcarskiego giganta niczym stado sępów.

— Jeśli nie uda nam się skutecznie wypromować cyclintu — ciągnął tymczasem Crozer — firma upadnie. Nie posiadamy środków finansowych na niekończące się sprawy sądowe. Potrzebujemy sukcesu. A do niego potrzebujemy Chicago. — Odsunął się od okna i nacisnął klawisz interkomu. — Proszę mi zamówić taksówkę — powiedział i odwrócił się w stronę dyrektora oddziału północnoamerykańskiego.

— Taktyka, której pan używa, jak na razie okazała się kompletnie nieskuteczna, herr Danker. Być może potrzebuje pan całkowitej zmiany podejścia do tego tematu. — Otarł czoło skrawkiem ręcznika. — Sugeruję, aby wprowadził pan w życie plan awaryjny. I to jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 14

— Podoba mi się ten Luther. Wykonał kawał dobrej roboty.

Hend de Mart siedział w klimatyzowanym przedziale szybkiej kolei miejskiej Chicago, znanej powszechnie jako „El”; jej składy przemieszczały się pod, nad, a czasem nawet po powierzchni ziemi, zależnie od trasy.

W piątek dwudziestego trzeciego lipca Hend kupił dwa bilety turystyczne, uprawniające do zwiedzania całego miasta. Osobą, która z nim podróżowała, był technik laboratoryjny ze Szpitala imienia Cartera, Caleb Rossi. Usiedli na najbardziej odizolowanych miejscach tuż przed końcem składu. Rossi gapił się w okno i obgryzał paznokcie z taką intensywnością, że groziła mu ich całkowita utrata. Jak zwykle miał na sobie wytarte dżinsy i poplamiony T-shirt. Jego fryzura wyglądała tak, jakby dopadł go właśnie jednooki fryzjer w najgorszym stadium trzęsionki. Na zewnątrz było słonecznie, po niebie przemykało trochę pierzastych chmur, temperatura sięgała osiemdziesięciu siedmiu stopni Fahrenheita, a wilgotność powietrza tyłuż samo procent. Wewnątrz pociągu panował przyjemny chłód, którego Rossi nie umiał docenić. Od dłuższej chwili obejmował się ramionami, by się rozgrzać.

Wsiedli do pomarańczowej linii przy Clark i nie odzywali się prawie wcale, dopóki nie dojechali do State, ponieważ jakiś Teksaszczyk z niewyparzoną gębą musiał akurat obok nich kręcić panoramę miasta widoczną z torów biegnących na tym odcinku ponad poziomem ulicy. Wreszcie burak wysiadł, żeby przyjrzeć się żeliwnej fasadzie na Page Brothers Building. Pociąg tymczasem skręcił na południe i jechał nad

146

Wabash. Tudum-tudum, tudum-tudum, turkotały koła po starych torach.

Rossi wreszcie się rozgadał, jego zazwyczaj piskliwy głos był jednak ściszony.

— Z tego co słyszałem, dzieciak profesora został przerobiony na mielone. Stary przesiedział na izbie przyjęć całe popołudnie, ściągali tam na konsultacje wszystkich ważniejszych lekarzy — prychnął z obrzydzenia. — Tobą nigdy by się tak nie zajęli, nawet gdybyś zdychał.

Gruba baba, dźwigająca tak wiele toreb, że ledwie ją było zza nich widać, przeszła przez cały wagon i usiadła w ich pobliżu. Rozmowa znów zamarła. Wkrótce pociąg minął pętlę i dotarł do Levee District, dzielnicy zamieszkałej kiedyś przez prostytutki, szulerów i przestępców. Ale oczyszczono ją z wszelkiego elementu jeszcze w latach dwudziestych.

— Co masz na Hunta?

Wagon zadrżał, gdy wjechali na Roosevelt, gdzie tory się rozdzielały. Siatkarka wysiadła na następnym przystanku.

— Uspokoił się trochę, odkąd jego dzieciak oberwał. Nie jest już taki cholernie pewny swego.

Znów zamilkli na kilka minut, obaj wpatrywali się w mijane budynki i ulice zatopieni we własnych myślach. De Mart cieszył się, że Jack Hunt spokorniał. Zaczynała go już niecierpliwieć ta nieustanna pogoń za nim, przesuwane i odwoływane spotkania. Listów, faksów i telefonów praktycznie nie odbierał. W Johannesburgu człowiek postępujący z nim w taki sposób już dostałby porządny wpięprz. De Mart nauczyłby go manier. Tutaj miał nieco skrępowane ręce. Ale skoro wszelkie próby nakłonienia profesorka do współpracy po dobroci zawiodły, zamierzał załatwić sprawę po swojemu. Skończyły się uprzejmości.

— Chcę, żeby ten gnojek wykonał dla mnie jeszcze jedną robotę.

Rossi spojrział na niego ostro.

— Co zamierzasz tym razem? Urwać łeb pieprzonemu profesorkowi? Zasadzić bolca jego żonce? — Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. — To by był dopiero numer. Jeśli szukasz kogoś z wielkim fiutem, zrobię to za darmo.

De Mart odwrócił głowę, prostactwo tego śmiecia zniesmaczyło

go.

147

Pociąg wspinał się właśnie na najwyższy poziom trasy, z którego można było zobaczyć najpełniejszą panoramę miasta, jakiej mogła dostarczyć przejażdżka siecią „El”. W dole ruch uliczny powoli zamierał, przechodnie kryli się w cieniu, w oddali błyszcząły przeszklone ściany wieżowców. To był znakomity dzień na podziwianie widoków z wnętrza klimatyzowanego wagonu. Jednakże Rossi nie rozkoszował się urokami podróży. Znał Chicago. Jego jasne i ciemne oblicze, dobre i złe strony. Zwłaszcza te złe. Dlatego godzina spędzona na jeździe „Elką” nie wydawała mu się idealnym sposobem na spędzanie wolnego czasu. W dodatku wciąż obawiał się potężnego mężczyzny, który siedział naprzeciw i obserwował go uważnie. Wyblakłe blond włosy zaczesane do tyłu, masywne mięśnie i przenikliwe niebieskie oczy. Wydatne jabłko Adama. Denerwował go. Z drugiej jednak strony facet płacił gotówką, i to z góry. Całkiem spore kwoty. Wystarczyło na pokrycie zaległości i jeszcze trochę zostawało. A Luther zarobił dwie stówki tylko za pobicie jakiegoś smarkacza. Robił to samo każdego dnia na osiedlu i nikt mu za to nigdy złamanego grosza nie dał. Dlatego nie fikał temu wielkiemu sukinsynowi.

— Chcę teraz nieco wyższej stawki. — Głos Rossiego był znów piskliwy, musiał też przysiąc na dłoniach, żeby przestały się trząść.

— Luther też pewnie będzie chciał więcej. Wiem, jak on pracuje. Dwieście za pierwszą robotę, potem...

De Mart pochylił się, ich twarze dzieliło teraz zaledwie kilka cali.

— Nie graj ze mną w chujki, rozumiesz? Na razie robięś co trzeba. Nie spraw, żebyśmy obaj pożałowali, że się spotkaliśmy.

Rossi próbował wytrzymać jego wzrok, ale przeliczył się z siłami. Ten dziwny akcent. Straszny. Włożył do ust kawałek gumy i zaczął ją szaleńczo żuć.

— Stówka więcej na nas obu — spróbował jeszcze raz szczęścia.

— Taka jest teraz stawka.

Wysiedli osobno na Western, zmienili linię i wrócili do centrum pierwszym pociągiem. Tym razem siedząc już w różnych wagonach. Rossi wysiadł na Library, podczas gdy de Mart dojechał znów do Clark. Potem złapał taksówkę. Spojrzał na zegarek. Była pierwsza trzydzieści trzy, miał dwie godziny wolnego czasu do podjęcia Luthe-ra. I czuł narastający ból głowy.

*

148

Beth Hunt nie była kobietą nerwową. Podróżowała po całym świecie w ślad za mężem, zmieniającym posady jak rękawiczki, i doświadczyła już wielu rzeczy, zarówno przyjemnych, jak i nieprzyjemnych. Sądziła, że potrafi znaleźć się w trudnej sytuacji. Ale jej synek to zupełnie inna sprawa. Miał dopiero osiem lat i był wciąż tak naiwny, że wierzył w istnienie Świętego Mikołaja. Wiedziała, że jest twardy, bo kiedy grał w piłkę, nie oszczędzał się zbytnio. Potrafił się także znakomicie dostosować do kolejnych szkół i nowych środowisk. Zazwyczaj był lubiany przez rówieśników. Dzielnie znosił wszystkie zmiany, nowe twarze, dziwnych nauczycieli, nawet obce kraje. Na ogół był bardzo pewny siebie, miał w sobie wiele życia. Ale po tej napaści nie potrafił dojść do siebie. Nie sprowokowana niczym, niespodziewana, wciąż stanowiła zagadkę. No i to okrucieństwo. Nikt nie rozpoznał napastnika, a sam Danny nie widział go wystarczająco długo, by móc go opisać. Rany na ciele zagoiły się dość szybko, lecz dusza jakoś nie mogła wrócić do zdrowia. Całe dni odmawiał wyjścia z mieszkania, siedział w swoim pokoju, grając na komputerze albo oglądając po raz enty powtórki „Kocham Lucy”. Cały czas chodził nachmurzony, jakby gnębił go jakiś mroczny sekret. Zdrapania na jego twarzy już się pogoіły, siniaki pojaśniały, ból ustąpił, mógł więc odstawić leki, ale stan umysłu chłopca wciąż był daleki od normy.

— Danny, proszę, wyłącz to. Nie spędzisz kolejnego popołudnia gapiąc się na tego lśniącego potwora. — Beth była stanowcza. Stanęła nad synem w rozkroku, z rękami na biodrach, determinacją na twarzy.

— Ale, mamoo... — wyjęczał chłopiec w proteście, podnosząc się na kolana.

— Żadne: „ale, mamoo” — przerwała mu Beth. — Wychodzimy. Jest taki piękny dzień, czas, żebyś się otrząsnął i wrócił do życia. Zamierzam ci kupić kij, czapkę i piłkę do baseballu. Zagramy sobie w parku.

Danny'emu pomysł przypadł do gustu. Tata zabrał go raz do parku Comiskeya, aby popatrzeć sobie na drużynę White Sox, i mecz bardzo niu się podobał. Piłka nożna była jego pasją, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby spróbować czegoś nowego.

*

149

Luther wynurzył się z cienia obok opuszczonego lombardu w Chinatown. De Mart zaparkował toyotę około trzystu jardów dalej, wysiadł i udawał, że przygląda się złomowi leżącemu na wystawie z tanią elektroniką. Chłopak szedł tymczasem chodnikiem, jakby wybrał się na zwykłą przechadzkę. Miał na sobie dzinsowe szorty, postrzępione na nogawkach, bluzę z logo coca-coli i coś, co przypominało z grubsza płócienne buty plażowe. Bluza miała oddarty jeden rękaw, aby uwidocznic tatuaż na ramieniu: serce przebite sztyletem. Przed żarem i blaskiem słońca chłopak chronił się, nosząc silnie naciągniętą na czoło czapkę baseballową. W lewej ręce trzymał tanią torbę sportową.

Zauważył toyotę i zatrzymał się, obserwując okolicę do chwili, gdy rozpoznał de Marta. Trudno by mu było pomylić Afrykanera z kimś innym, masywny tors wprost wylewał się z fotela za kierownicą.

Luther otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł, natychmiast opuszczając szybę i upychając torbę pomiędzy nogami. Sięgnął do radia i pogłośnił muzykę. Prawy łokieć oparł o drzwiczki, wystukując palcami takt melodii.

De Mart uruchomił silnik, sprawdził, czy pas jest wolny, a potem ostrożnie włączył się do ruchu.

— Skąd masz taki bajerancki zegarek? — Wielka złota cebula dyndała swobodnie na lewym nadgarstku chłopaka. Bransoleta była zbyt duża jak na cienką rękę dziecka.

— Wielki parszywy grubas kierujący wielkim parszywym gratem popełnił wielki parszywy błąd.

Jechali teraz po South State, przyblokowani przez starą furgonetkę z meblami, której w każdej chwili groziło wypadnięcie z drogi, każde z jej kół miało chyba przechył w inną stronę.

— Po prostu ci go dał? — Furgonetka w końcu zjechała na bok, pozwalając toyocie na manewr wyprzedzania.

Luther wciąż patrzył przed siebie.

— Koleś wiedział, że tak będzie dla niego lepiej.

Młody groźny położył obie stopy na desce rozdzielczej wozu, a potem odsunął fotel pasażera tak daleko, jak się dało. De Mart zauważył blizny na gołych nogach. Niektóre były nieregularne, poszarpane, inne proste, długie i głębokie, jakby zrobiono je nożem albo brzytwą. Ale to nie one, tylko historia zainteresowała Afrykanera.

150

— Koleś popełnił błąd, ale zdecydował się go naprawić, dając ci ten zegarek? — spróbował imitować sposób mówienia młodzika, co spotkało się z gniewnym spojrzeniem z jego strony.

Koleś — tym razem słowo zostało mocniej zaakcentowane,

jakby właśnie uczył jego wymowy jakiegoś durnia — wszedł na cudze terytorium. Koleś próbował rwać szczeniaków. Koleś szukał przedszkolaków, sądził, że jak sypnie paroma dolcami, będzie mógł się na nich spuszczać.

— I co się stało?

Luther splunął przez okno, potem spojrzał na de Marta.

— Trafił na mnie, a ja nie jestem przedszkolakiem. Zagroziłem, że mu utnę kutasa. — Ponownie odwrócił wzrok na ulicę. — Koleś zaproponował mi zegarek tylko za to, że wyjdę z jego samochodu.

Znaleźli się już w centrum, kierowali się teraz na północ.

— A ty co?

Luther zabębnił palcami po dachu.

— A ja co, człowieku?

— Czy wyszedłeś z jego samochodu? — De Mart miał wrażenie, że chłopak rozchmurzył się po raz pierwszy od czasu, gdy się poznali.

— Jasne, wyskoczyłem z tej jebanej fury, ale z sikorem w ręce. — Potrząsnął nadgarstkiem, a potem się roześmiał. — I z jego kutasem w drugiej.

Toyota skręciła w lewo, nieomal ocierając się o żółtą taksówkę. Jej kierowca, smagłolicy w turbanie na głowie, zamachał gniewnie zza przedniej szyby. De Mart zaklął, korygując skręt.

— Luther — mruknął w końcu — jesteś kawał małego skurwiela.

Dzieciak śmiał się przez całą drogę do skrzyżowania z West Fullerton.

— Jasne, że jestem, panie Hend. Jasne, że jestem.

Na rogu North Clark i West Newport, w samym środku chicagowskich przedmieść, znajdował się wielki sklep sportowy. Można w nim było kupić sprzęt do wszystkich sportów zespołowych, do których uprawiania potrzebna jest piłka. Baseball, koszykówka, siatkówka, piłka nożna, futbol amerykański, tenis, golf i co tam jeszcze ktoś

wymyślił. Rzędy za rzędami klubowych koszulek, dresów, obuwia czapek, kapeluszy i hełmów. Kasety z meczami, plakaty gwiazd z autografami. Wielkości karty do gry, wielkości strony z zeszytu i wielkości żywego człowieka.

Danny miał obiecaną rękawicę, hełm i piłkę, więc jego matka wędrowała przez stoiska, poszukując odpowiedniego rozmiaru i koloru.

- Co powiesz na koszulkę White Sox?
- Nie. — Machnął tylko ręką.

Spróbował zmarszczyć brwi, ale niespecjalnie mu to jeszcze wychodziło, więc zamiast tego wydał wargi. Przeszli do kolejnego działu, w którym półki od sufitu po podłogę zajmowały hełmy dla dziecięcej ligi. Żadnych nazw zespołów i tylko dwa kolory, niebieski i czarny. Sprzedawca, starszy już mężczyzna, który sapał przy niemal każdym ruchu, starał się jak mógł. Złapał się za głowę, gdy zobaczył otarcia na twarzy Danny'ego.

- Miałeś wypadek, synku? — Na szczęście pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Pierwszy hełm był zbyt ciasny, następny zbyt luźny, a kolejny zbyt szeroki. W końcu dobrali taki, który pasował i nie obcierał skóry przy nakładaniu. Sprzedawca dobrał do niego pleksiglasową osłonę na oczy. Danny trzymał w rękach błękitne cudo, stał na środku alejki i śmiał się od ucha do ucha. Beth miała szczerą ochotę przytulić go z całych sił. Po raz pierwszy od wielu dni chłopak wyglądał na szczęśliwego.

- Widzę, że mu się spodobał — mruknął sprzedawca. Był już wyczerpany nieprzerwanym wspinaniem się i schodzeniem po drabinie, wybieranie trwało dobry kwadrans. — A teraz rękawica i piłka. To chyba pójdzie szybciej.

- Dwieście dolców z góry. Reszta po robocie.

De Mart śledził volvo Beth od West Deming. Zaplanował kolejny ruch ze strony Luthera przed mieszkaniem, ale musiał szybko zmienić plany, gdy okazało się, że cel odjeżdża w momencie, w którym się pojawili. Nie wiedział, jak daleko będą musieli jechać, mimo wszystko ruszył za samochodem Beth przez North Clark, cały czas trzymając się co najmniej cztery wozy z tyłu.

- Zniż się, zniż się — syknął na pasażera. — Nie chcę, żeby cię ktokolwiek zauważył.

152

Niezadowolony Luther precyzyjnie przycisnął się na tylne siedzenie i położył w kącie, gdzie był całkowicie niewidoczny.

Gdy volvo zatrzymało się w pobliżu sklepu, czekając na przerwę w ruchu z włączonym migaczem, żeby móc skręcić na parking, de Mart minął je i obserwował sytuację we wstecznym lusterku. Potem zawrócił i zaparkował po przeciwnej stronie ulicy.

Teraz musieli tylko czekać. Na chodnikach było niewielu przechodniów, ruch także nie był zbyt duży, dlatego po niemal trzydziestu minutach Afrykaner zdecydował się na działanie. Główne arterie miasta były zatłoczone, boczne uliczki raczej pustawe. Sprawdził przewodnik po Chicago i opracował plan szybkiej ucieczki. Kilka spojrzeń na okolicę pozwoliło ustalić miejsce, w którym się zatrzymali.

— Ruszaj.

Luther podniósł głowę, potem wyciągnął otwartą dłoń między przednie siedzenia. Nie cofnął jej, dopóki nie dostał dwóch zmiętych studolarowych banknotów.

— Dobrze, synku. — Sprzedawca uczył Danny'ego, jak poprawnie trzymać dziecięcy kij. Znaleźli sobie spokojniejsze miejsce, aby nie blokować przejścia. Danny machał jak dorośli gracze, których obserwował w telewizji. Hełm na głowie, rękawica w gotowości, Beth rzuca. Pomiędzy regałami White Soxów i Cubsów rozgrywał się niemal prawdziwy mecz baseballu.

Luther sięgnął do torby i wyjął nóż o wąskim ostrzu. Na palce lewej dłoni założył kastet, za duży jak na jego rękę, ale trzymał się na miejscu, kiedy pięść była zaciśnięta.

— Za dziesięć minut — odwrócił złoty zegarek, aby widzieć wskazówki — będziesz stał z otwartymi drzwiami i pracującym silnikiem.

De Mart patrzył przed siebie. Usłyszał z tyłu trzaśnięcie zamykanych drzwi, poczuł, że toyota zachwiała się lekko. Włączył silnik, potem podkręcił klimatyzację na maksimum i zabębnił palcami po kierownicy. Szybkie spojrzenie na zewnątrz upewniło go, że w pobliżu

nie ma nikogo, kto mógłby sprawiać kłopoty.

*

153

— Szanowna pani, jeśli chłopak zapragnie wymienić ten hełm musi pani przynieść go tutaj w oryginalnym opakowaniu razem z paragonem. — Beth i Danny stali już przy kasie, czekając na autoryzację transakcji na karcie kredytowej.

Luther przyklęknął przy tylnych kołach volvo. Nóż gładko wchodził w wysłużony bieżnik opon, a powietrze uchodziło z nich szybko. Teraz podszedł do prawego przedniego koła. Kilka sekund później także ono siadło gwałtownie. Trzask. Przedni reflektor rozprysnął się pod uderzeniem kastetu. Luther przeszedł na drugą stronę samochodu, rzucając szybkie spojrzenia przez szyby, aby się upewnić, że nikt mu nie przeszkodzi. Piąty z rzędu wóz stojący za volvo właśnie zaczął się włączać do ruchu, czekając na wolną drogę. Luther wychylił się i zadał cios. Drugi reflektor rozsypał się w drobny mak.

— Jesteś fanem Soxów? — Danny pokiwał głową, nie mając pojęcia, czy to prawidłowa odpowiedź. Sprzedawca nie ukrywał zaskoczenia. — Popatrz, a Wrigley Field jest tylko kilka mil stąd. Synu, zapomniałeś o najlepszej drużynie w mieście. — Odwrócił się do Beth. — Szanowna pani zabierze syna

na mecz Cubsów. Zobaczycy chłopak, co to prawdziwa gra. — Roześmieli się oboje, zadowoleni z dobitego targu.

Beth złapała Danny'ego za rękę i ruszyła do wyjścia. Biegł obok niej z nałożoną rękawicą, uszczęśliwiony posiadaniem hełmu, kija i piłki, które spoczywały w torbach.

Danny miał przed oczami Luthera. Zgadzał się wzrost, budowa, fryzura. Kolczyki i ćwiek w nosie. Blizny na twarzy. Taki portret pamięciowy sprokurowały dzieciaki ze szkoły, kiedy zebrano od nich informacje. Kopię komputerowego rysunku rozwieszono w okolicach szkoły.

Ale kiedy Danny wyszedł ze sklepu sportowego, pierwszą rzeczą, jaka przykuła jego uwagę, był samochód. Zrobił się o wiele niższy. Potem chłopiec zauważył, że ktoś urwał wycieraczki i potłukł reflektory. Dopiero później dotarł do niego wizerunek wykrzywionej twarzy, to złowieszcze spojrzenie, które spoczęło na nim przez sekundę, zanim

jego właściciel zniknął za innymi pojazdami.

*

154

Mocie pewność, że to był tyn sam chłopok? — Sierżant Nelson

i posterunku przy parku Lincolna był zaskoczony i nie próbował tego nawet ukrywać.

Absolutną. — Wystraszona i poirytowana Beth próbowała pozbierać się do kupy. Przez zaciśnięte zęby zreferowała przebieg incydentu, podczas gdy siedzący tuż obok niej Danny trząsł się i niemal płakał. — Mój syn mógłby go opisać z zamkniętymi oczami.

Nelson nastroszył wąsa.

— Wiele chłopoków podobnych do niego z wyglądu biega po ulicach. Łatwo się pomylić.

Beth straciła panowanie nad sobą.

— Ale my się nie mylimy! — ryknęła.

Echo jej gniewu przetoczyło się po korytarzach, docierając do ludzi pracujących w przyległych pomieszczeniach. Jakiś policjant stanął w drzwiach, ale natychmiast został odprawiony.

— Nic to, pani se tylko musiała krzyknąć.

Nelson poczekał, aż znów zostali sami, i sporządził raport o zajściu.

— Czy uszkodzono jakiś inny samochód oprócz pani volvo?

— Nie ■— odparła posępnie.

- W żadnym stopniu?
- W żadnym — potwierdziła cierpko.
- Ktoś jeszcze widział tego chłopaka?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Widzieliście, w którą stronę uciekł?
- Nie. Zawróciłam do sklepu po pomoc. Kiedy jeden z pracowników wybiegł na zewnątrz, już go nigdzie nie było — udzieliła pełnej odpowiedzi, poirytowana, że rozmawia ze zwykłym wsiakiem, który ma głęboko gdzieś bezpieczeństwo jej rodziny. Gorąca łza napłynęła do kącika jej oka, otarła ją skrawkiem rękawa. Nelson sięgnął pod biurko i wydobyl skądś pudełko chusteczek higienicznych. Przesunął je w jej stronę, nie podnosząc nawet wzroku.
- Dziękuję — wymamrotała Beth. Wyciągnęła jeden listek i przetarła nim oczy. — Wszystko w porządku, Danny? — Chłopak skinął głową, ale nie przestał drżeć.
- Wyślę radiowóz w tamtą okolicę, może kto trafi na tego chłopa.

155

- I to wszystko? — zdziwiła się Beth. — Nie może pan przekazać jego rysopisu lokalnej prasie, telewizji, radiu? — Spodziewała się znacznie bardziej zdecydowanej reakcji. — Ktoś przecież musi go znać.

Nelson nastroszył węża, potem pochylił się nad biurkiem.

- Psze pani, wiem, jakie to musi być dla pani straszne. Ale fakt, że jakiś chłopak stłukł pani synka i reflektory samochodu, nie upoważnia mnie do wsadzenia go na federalnom liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców. — Zgarnął papiery leżące przed nim. — Ale pogodom z chłopakami z oddziału, czy nie da się czegoś jeszcze zrobić. — W jego zachowaniu dało się wyczuć niekonsekwencję. — Muszę przyznać, że to najdziwniejsza sprawa, z jaką miałem do czynienia od kilku lat.

Danny był niepokieszony. Gdy wracali samochodem do domu po wymianie wszystkich opon i reflektorów, trząsł się i chlpał, tak że Beth musiała się zatrzymać, by go uspokoić. Przytuliła głowę chłopca do piersi.

- Już dobrze, Danny, już dobrze. Jestem przy tobie. Ja też jestem zdenerwowana, wcale nie mniej niż ty, ale przecież nic nam się nie stało i to się liczy, prawda? Nikt nie zrobił nam krzywdy. — Wycierała własne łzy o przepoczone włosy syna. — Wiem, że pan policjant znajdzie tego chłopaka. Dotrzemy po nitce do kłębka. A wtedy twój tatuś sprawi mu największe lanie świata.

Danny cofnął się w gniewie.

— Taty nigdy nie ma w pobliżu, kiedy trzeba. Cały dzień siedzi tylko w tej swojej pracy. — Beth osłupiała, widząc stopień rozjuszenia syna. — Dlatego nie mów mi, że tata ujmie się za mną, kiedy znowu będą kłopoty, bo na pewno będzie milion mil stąd. — Danny znów załał się łzami, a Beth wpatrywała się bezmyślnie w pourywane wycieraczki.

Przechodnie na pobliskim chodniku spacerowali, robili zakupy, jedli albo popijali napoje chłodzące. Wyglądali na zadowolonych, cieszących się słońcem. Jednakże we wnętrzu zdemolowanego volvo nie było spokoju. Tylko przerażone dziecko i matka z krwawiącym sercem.

*

156

Klik. Wrrrrrrrrr. Klik. Wrrrrrrrrr.

Awantura przeciągnęła się do późna w nocy. Beth i Jack krzyczeli na siebie wzajemnie, sfrustrowani i źli, zdezorientowani i przerażeni.

— To cholerne miasto ma najwyższe statystyki zabójstw w całym kraju — szlochała Beth. — Nie wiem, kim jest ten bandzior, który się na nas uwziął, ale ostrzegam cię, Jack, jeśli cokolwiek jeszcze nam się przydarzy, ja stąd wyjeżdżam. I zabieram ze sobą Danny'ego. To postanowione.

Klik. Wrrrrrrrrr. Klik. Wrrrrrrrrr.

Około dwustu jardów od mieszkania, w czarnym mercedesie M340 z przyciemnionymi szybami, siedziało dwóch mężczyzn wsłuchujących się w każde słowo tej sprzeczki.

— Załatwiłem już z Helen zmiany w kalendarzu, żebyśmy mogli poszukać nowego domu.

— Nie chcę oglądać żadnych domów, chcę stąd wyjechać. Mam dość. Danny jest tak przerażony, że nie wytknie nosa za drzwi. Dziecko nie może żyć w taki sposób. Nie może wiecznie bać się, że ktoś go pobije albo... albo... albo zaatakuje w inny sposób. — Beth wyrzucała z siebie słowa pomiędzy kolejnymi szlochami.

— Posłuchaj mnie, popytałem tu i ówdzie, kilku kolegów w szpitalu sugerowało, żebyśmy pomyszkowali w okolicach North Shore. Tam jest pięknie i bezpiecznie, są wspaniałe posiadłości i znakomite szkoły. Evanston albo Wilmette, albo Highland Park. Może nawet Lake Forest. Możemy zacząć szukać natychmiast, jeśli chcesz.

— Jack, mam już dość twoich pustych obietnic. — Furia Beth niosła się echem po całym mieszkaniu. — Zostaw to mnie, ja wiem, jak się załatwia takie sprawy — przedrzeźniała go. — Ile razy słyszałam te cholerne słowa? Powiem ci jedno: ja więcej tego nie zniosę. Powinieneś być słyszeć dzisiaj Danny'ego. — Uderzyła w najczulszy punkt Jacka. — „Taty nigdy nie ma w pobliżu, kiedy trzeba. Cały dzień siedzi tylko w tej swojej pracy.” — Weszła do sypialni i zatrasnęła za sobą drzwi. Ostatni akord tej bolesnej przygany dotarł do Jacka przez cienką ścianę. — Kiedyś wrócisz do domu tylko po to, by dowiedzieć się, że nas oboje straciłeś.

Jack opadł na fotel wypoczynkowy i wbił wzrok w ściszony telewizor.

157

Mój Boże, co się porobiło? Miałem nadzieję, że nowa praca rozwiąże wszystkie nasze problemy: zyskamy finansową stabilizację, będziemy mogli osiąść w jednym miejscu, nie martwiąc się wciąż, dokąd nas zagna kolejna przeprowadzka. Ale stało się wręcz przeciwnie, rzuciliśmy się sobie do gardeł. W którym miejscu popełniłem błąd?

Słowa Danny'ego uraziły go do głębi, poczuł nieprzepartą chęć wyrzucenia z siebie wszystkich żalów. Ale zaledwie chwilę później górę wzięła racjonalna natura lekarza i spróbował przeanalizować całą sytuację tak, jak ją widział.

Nie mamy problemów finansowych (nareszcie). Stanowisko profesorskie w Carterze jest dokładnie tym, o czym marzyłem, to prawda, że wyzywające i wymagające, ale tego właśnie chciałem. Moje reformy wstrząsnęły oddziałem, wiem, że zrobię z niego placówkę światowej klasy. Więc w czym tkwi problem?

Rozejrzał się wokół. Tutaj, w tym mieszkaniu. Rozpada mi się życie rodzinne. Jack rozważył na zimno historię z łobuzem, który dręczył jego rodzinę, i doszedł do wniosku, że może to być forma zemsty ze strony Shreeve'a za zmiany wprowadzane na oddziale kardiologii.

Nie, to przecież śmieszne. Shreeve to tylko pijak, nikt więcej. Nie ma tyle sprytu, żeby zaplanować coś takiego...

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym dziwniejsze wydawały mu się ostatnie wydarzenia. Może to jakiś bezmyślny chuligan, który dla draki napastuje sąsiadów?

Spojrzał na zegarek i jęknął. Pięć godzin do pobudki. Lepiej złapać choć odrobinę snu. Niech to nie będzie kolejna noc spędzona na obserwacji sufitu.

ROZDZIAŁ 15

Zrobiło się jeszcze goręcej. Przez pięć dni z rzędu temperatura na Środkowym Zachodzie nie opadała w dzień poniżej dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita, a wilgotność osiągnęła chyba równe sto procent. American Electric zaczęła błagać siedem milionów swoich klientów zamieszkujących ten region, aby zaczęli oszczędzać energię. Elektrownie nie nadążały już z dostawami do niezwykle prądo-żernych klimatyzatorów, które pracowały non stop na pełnej mocy. O wiele przyjemniej było na równinach północy i w dolinie Ohio, gdzie wieczór przynosił ochłodzenie nie przekraczające osiemdziesiątej kreski. Ale całe Wschodnie Wybrzeże sphywało potem, w Nowym Jorku dziewięćdziesiąt stopni było normą w minionym tygodniu. Zanotowano już trzydzieści trzy ofiary śmiertelne upałów, dwanaście w Missouri, jedenaście w Illinois, osiem w Ohio i dwie w Karolinie Północnej. Większość przypadków zgonu zdarzyła się w terenie gęsto zaludnionym.

— Jeśli mieszka się na wsi, można pootwierać wszystkie okna — mówił w telewizji rzecznik departamentu zdrowia stanu Illinois. — Ale jeśli jest się mieszkańcem centrum Chicago, niewiele to

pomoże w panującym tutaj zaduchu. — Lokalne rozgłośnie radiowe i telewizyjne ściągały do studia wszelakiej maści ekspertów. Burmistrz odbywał regularnie konferencje prasowe, radził na nich mieszkańcom, jak jego zdaniem powinni chronić się przed upałem. Nakazał, aby wszystkie plaże były otwarte i strzeżone także w nocy, aby ludność Chicago mogła szukać tam ochłody o dowolnej porze. Niestety Tom Skilling, główny meteorolog w WGN-TY, ostrzegał, że w najbliższych dniach

159

nie ma co się spodziewać zmian pogody. Pojawią się wprawdzie potężne burze, ale temperatura nie spadnie ani trochę.

W Southside także zrobiło się goręcej. Przygnębieni brakami postępów w śledztwie, dotyczącym serii zabójstw przypisywanych czterem płatnym mordercom, agenci FBI ufundowali nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów za informacje prowadzące do ich identyfikacji i ujęcia. Bardzo liczone na współpracę ze strony lokalnej społeczności. Policja przyznawała, że liczba ofiar przypisywanych tym sprawcom wzrosła ostatnio do dwunastu. Ostatnią z nich była młoda kobieta znaleziona na klatce schodowej prowadzącej do piwnic opuszczonej kamienicy.

Jack Hunt też miał nielekkko.

— Ile czasu mi zostało? — Siedział w sekretariacie własnego gabinetu, podpisując listy, wydając polecenia i gorączkowo usiłując pozmienić plan spotkań w sprawach administracyjnych.

Helen spojrzała na niego, uśmiechnięta radośnie jak nigdy. Spojrzała na zegarek.

— Jest dziesiąta trzydzieści. Beth już dzwoniła potwierdzając spotkanie w banku na równo jedenastą. Gdybym była na pana miejscu, już bym się stąd zbierała.

Pager zapiszczał, więc Jack sprawdził numer, z którego dzwoniono, i natychmiast podniósł słuchawkę najbliższego aparatu.

— Jaki to rodzaj arytmii? — Oceniał stan zagrożenia pacjenta, wysłuchując informacji przekazywanych ustami sanitariusza znajdującego się w karetce, która przebijała się właśnie w stronę szpitala.

— Co zastosowaliście do tej pory? — Podano mu kolejne szczegóły. — Proszę podać mi wszystkie odczyty dotyczące stanu pacjenta.

— Zapisywał napływające dane wiecznym piórem na wewnętrznej stronie dłoni. — Okay — zdecydował nagle. — Podajcie trzy miligramy adenozyiny w kroplówce... Dobrze... Jeśli częstoskurcz nie ustąpi po dwu minutach, zaaplikujcie drugą identyczną dawkę. Jak daleko jesteście od szpitala? — Jechali po West Harrison. — Dawajcie ją prosto do mnie, przygotuję zespół medyczny na wasz przyjazd.

— Odłożył słuchawkę, potem wykręcił siedem cyfr. W czasie oczekiwania na połączenie podpisywał hurtem papiery, które podstawiała mu Helen. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę z drugiej strony. — Bob, zjedź na dół na izbę przyjęć. Zaraz dotrze tam pięćdziesięcioletnia

kobieta z arytmia nad komorową. Sanitariusze twierdzą, że jej stan jest ciężki. — Odwiesił słuchawkę i jeszcze raz wybrał numer. — Mówi Jack Hunt z kardiologii. Sanitariusze za chwilę przywiozą pacjentkę w stanie ciężkim, wysłałem do was nasz zespół. Pacjentka najprawdopodobniej będzie potrzebowała szybkiego przeniesienia na dziewiąte piętro. — Rzucił słuchawkę, spojrzął na zegarek, a potem podniósł stos dokumentów. — Popracuję nad nimi po drodze i oddam, zanim po południu wyjdiesz z pracy. Okay?

Helen pokręciła głową, obserwując wciąż pogłębiający się stan chaosu.

— Ma pan tylko dwadzieścia minut, na pana miejscu naprawdę bym się pośpieszyła. — Jack ruszył do drzwi, ale zatrzymały go następne słowa sekretarki. — Zamierza pan stanąć przed bankierami w szpitalnym mundurku?

Zaklął bezgłośnie i pobiegł do swojego gabinetu, ściągając bluzę przez głowę. Trzy minuty później dotarł wreszcie do drzwi wyjściowych, koszula wystawała mu spod paska, rozporek nie do końca był zapięty. Nie zważał jednak na rozbawione spojrzenia, gdy biegł do windy; dopadł panelu i zaczął nerwowo wduszać przycisk przywołania. Drzwi rozsunęły się i Jackomalże nie wpadł na Harry'ego Chana, który właśnie wysiadał. Niski kardiolog zatopiony był w rozmowie z wielkim barczystym blondynem. Gdy zobaczył Jacka, natychmiast zamilkł.

— Jak leci, Jack? — Jego uśmiech zdaniem profesora był o wiele bardziej cyniczny niż zazwyczaj. — Wyglądasz, jakbyś się strasznie śpieszył. Nie będę cię zatem zatrzymywał.

Jack chciał mu coś odpowiedzieć, ale drzwi już się zamknęły. Zanim to się jednak stało, zauważył, że wielkolud przygląda mu się uważnie.

Dwie minuty później biegł już przez podjazd przed szpitalem, rozglądając się nerwowo za taksówką. Co najmniej sześć osób stało przy krawężniku w kolejce do tego środka transportu, więc Jack zdecydował, że lepiej będzie polować po przeciwnej stronie ulicy. Przebiegł przez jezdnię, klucząc pomiędzy autami i ignorując natarczywe dźwięki klaksonów. Przyciskał do piersi stertę kartek, gdy przeskoczył ostatnie kilka stóp asfaltu i wylądował wreszcie na bezpiecznej przystani chodnika. Pocił się jak cholera w tym upale, a po tej stronie West Harrison nie mógł liczyć na osłonę zbawczego cienia.

— Szybciej, szybciej...

Auta stały na wszystkich pasach zderzak w zderzak, ale nie było wśród nich żadnej taksówki. Wreszcie dostrzegł jedną, powoli zbliżającą się do korka przy światłach, i znów wypadł na jezdnię, wzbudzając jeszcze większe natężenie ogłuszających dźwięków i klucząc zygzakiem w wąskich przerwach pomiędzy wozami. Taksówka była już blisko kolejki, ale musiała się zatrzymać za innymi samochodami. Jack dostrzegł starszą panią, machającą gwałtownie rękami, i przyśpieszył kroku, praktycznie rzucił się na maskę ruszającej właśnie taksówki.

— North Clark — wykrzyczał, pakując się na tylne siedzenie, prosto na stertę dokumentów, które tam uprzednio wrzucił. — Jedź pan tak szybko, jak to tylko możliwe, bo stracę żonę.

Taksówkarz obrzucił go badawczym spojrzeniem w lusterku wstecznym i wzruszył ramionami. Ale wykorzystał pierwszą nadarzącą się okazję, by włączyć się do ruchu, i pojechali na wschód. Jack opuścił głowę i zignorował gniewne okrzyki ludzi czekających w kolejce, kiedy wolno wzdłuż niej przejeżdżali.

Otarł czoło rękawem koszuli i pochylił twarz w stronę strumienia chłodniejszego, klimatyzowanego powietrza docierającego z wywietrzników na desce rozdzielczej. Dopiero po chwili zagłębił się w papierkową robotę. Dokumenty dotyczyły spotkań z komisją, zebrań pracowniczych, kontroli finansowej i dyrektyw zewnętrznych. Nudy jak cholera. Wśród szpargałów były także informacje o dwóch telefonach od Carlotty Drunker, Jack najpierw je zignorował, ale potem, mając poczucie winy, schował je natychmiast do kieszeni marynarki. Próbował się do niej dodzwonić, też dwukrotnie, lecz zawsze odpowiadała mu automatyczna sekretarka. W końcu zauważył list od Steve'a Downesa i szybko go przeczytał.

Drogi Profesorze.

Mam nadzieję, że zdążył Pan już przemyśleć swoją opinią na temat promocji nowego leku Zemdton Pharmaceuticals. Jak już wspominałem podczas naszej krótkiej rozmowy, Pańskie bezpośrednie wsparcie tej akcji pozwoli naszemu szpitalowi na zdobycie bardzo potrzebnych funduszy i przedstawi go w pozytywnym świetle. Sponsor z niecierpliwością oczekuje naszej odpowiedzi. Może porozmawiamy raz jeszcze, zanim podejmie Pan ostateczną decyzję w tej sprawie?...

162

Spierdalaj Downes, ja już dawno podjąłem tę decyzję.

Uznał, że nie ma ochoty przeglądać reszty dokumentów, odłożył je więc na bok i spróbował się uspokoić. Jego serce wciąż waliło po przebytych wysiłku, plecy i kark ociekały potem. Sprawdził czas: dziesiąta pięćdziesiąt. W takim stanie będzie musiał stanąć przed bankierem. „Hunt, nie mogłeś chociaż wziąć prysznic albo odświeżyć się w inny sposób?...” — wyobraził sobie kolejną połajankę ze strony Beth. Z wielkim trudem udało mu się ją uspokoić po zdemolowaniu samochodu, nakłonić do nieco racjonalniejszego spojrzenia na ten problem.

— Nie musimy opuszczać miasta, wystarczy, że znajdziemy porządny dom w porządnej okolicy, gdzie jest bezpiecznie i gdzie nie będziesz się czuła osaczona. — Tak argumentował podczas ostatniej rozmowy, którą odbyli późno w nocy, gdy Danny już zasnął. — Jestem wkurzony tak samo jak ty. Nie myśl, że ja też się nie przewracam z boku na bok każdej nocy, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Ale nie możemy tak łatwo odpuścić. Nie jesteśmy tchórzami. Dotarliśmy tak daleko i nie powinniśmy zawracać z tej drogi. Powinniśmy tutaj zostać — przekonywał.

Sierżant Nelson nie poprawił humoru Jacka, gdy spotkali się prywatnie, by omówić postępy dochodzenia w sprawie tajemniczego prześladowcy. Zaczynał podejrzewać, że policjant uważa, iż reagują przesadnie i popadają w paranoję ze strachu.

— Teraz musimy poczekać, aż wykona następny ruch. Musi gdzieś wyleźć. One zawsze wyleżą. — Potem policjant potwierdził, że zwiększono liczbę patroli w okolicy miejsca ich zamieszkania, co zwiększyło poczucie bezpieczeństwa Jacka. Nie potrafił jednak przekazać Beth wiadomości, że policja nadal nie posunęła się ani o krok i nie jest ani trochę bliżej pojmania łobuza.

Taksówka opuściła już centrum miasta i przyspieszała, kierując się w stronę północnych przedmieść. Po lewej stronie mieli właśnie park Lincoln, w którym ostatniej zimy, gdy spadł pierwszy śnieg, rzucali się śnieżkami z Beth i Dannym. Zoo, w którym wspólnie przyglądali się figlom lwów morskich. Zdawać by się mogło, że było to wieki temu. Tak wiele zmieniło się od tamtego czasu i nie wszystko wyszło na lepsze.

Zauważył wysokiego, przygarbionego joggera pokonującego zielone wzniesienia i nagle tknęła go jakaś myśl. Kim był ten zwałisty

163

mężczyzna, którego widział z Chanem przy windzie? Ten wielkolud Przypomnił sobie słowa Helen dotyczące przedstawiciela Zemdona Pharmaceuticals, który wysiadywał przed jego biurem. Wielki jak goryl, czyż nie tak go opisała? Zaniepokoiła go ta myśl. Ale jednocześnie nie miała sensu: Harry uległ przemianie, pojawiał się w szpitalu na czas, zrobił się sumienniejszy i znacznie bardziej przykładał się do pracy. Nawet fatygował się na izbę przyjęć, gdy przywożono tam kogoś z bólem w klatce piersiowej. Martin Shreeve nadal się nie uśmiechał, ale też się trochę zmienił. Nie palił już i nie zalaatywało od niego alkoholem. Może niedługo całkiem odpuści. A Natowi Parkerowi spodobała się rewolucja na oddziale. My dwaj damy radę sami postawić kardiologię na nogi — uznał w duchu Jack.

— Gdzie miał być ten bank? — wybełkotał taryfiarz. Przypominał baryłkę, na którą ktoś naciągnął zapocony T-shirt.

— Róg Clark i Roslyn.

Taksówka wyraźnie zwolniła i obaj mężczyźni odwrócili głowy w kierunku budynku po prawej. Już minęła jedenasta.

— Tutaj nie ma żadnego banku. — Kierowca okręcił się na swoim fotelu. — Wydaje mi się, że jest jakiś o milę stąd. Chce pan, żebym tam podjechał?

Jack zaklął. Rano tak się śpieszył, że nie wysłuchał dokładnie instrukcji wykrzykiwanych przez Beth.

— Jedź pan — opadł na siedzenie i otarł czoło. Wyprostował krawat i obciągnął koszulę. Jezu, jestem wrakiem człowieka, pomyślał. Na dodatek spóźnionym, a to oznacza wielkie kłopoty.

Kierowniczka lokalnego oddziału Associated Bank of Chicago była czarnoskórą kobietą w średnim wieku, ubraną w białą koszulę i granatową prostą spódnicę. Krótkie włosy, oprócz niewielkiej grzywki, miała spięte w kucyk sięgający do ramion, a głos głęboki, ochryply. Jej biuro, wydzielone przegrodami od reszty przeszklonej hali z widokiem na dwie ulice, miało powierzchnię może dwudziestu stóp kwadratowych. Było funkcjonalne i proste: biurko, krzesła i szafki na akta. Kobieta omal się nie rozplakała, gdy usłyszała

od Jacka o stanie finansów rodziny oraz zapewnienie, że zamierza raczej wydawać zarobione pieniądze, niż zapożyczać się ponad miarę.

164

Jestem ostrożnym człowiekiem — zapewniał, widząc niedowierzające spojrzenie z drugiej strony biurka. Po jego lewej stronie siedziała Beth ubrana w najlepszą letnią sukienkę, uważnie wszystkiego słuchając. — Mój ojciec o mały włos nie splajtował, prowadząc spekulacje nieruchomościami i akcjami. Gdy przyszło załamanie, rodzina musiała wyciągać go z długów. Dzięki temu doświadczeniu ostrożniej podchodzę do kwestii finansowych. Widok ojca żebrzącego z czapką w dłoni wystarczy mi do końca życia. Nie dopuszczę, by coś podobnego stało się udziałem mojej żony i syna.

Kierowniczka uśmiechnęła się.

— Rozumiem. Takie doświadczenie sprawia, że dwa razy pan pomyśli, zanim wyda za dużo. Ale wyczuwam też, że jest pan zbyt konserwatywny. Może nadszedł już czas, aby nadszarpnąć lekko rezerwy. Przecież to Ameryka, tutaj rządzi kredyt. — Otworzyła szufladę i wyjęła z niej folder. Jego strony były puste, nad nieskazitelną bielą unosił się ostry koniec ołówka. — Może mi pan określić przypuszczalne zarobki w Carterze?

Jack odchrząknął, potem spojrzał błagalnie na Beth.

— Trzysta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów rocznie.

Końcówka ołówka złamała się z cichym trzaskiem.

— Załamałeś ją, podając tę kwotę. — Beth i Jack popijali mrożoną kawę w pobliskiej kawiarni. Sięgnęła nad stolikiem i poprawiła mu krawat. — Widziałeś, jaki miała wyraz twarzy?

Jack czuł wielkie zawstydzenie. Kierowniczka spisała wszystkie dane dotyczące jego zarobków, powtórzyła wszystko dwukrotnie, żeby sprawdzić, czy nie zaszła pomyłka, potem pochyliła się w ich stronę z twarzą, na której wciąż widać było powątpiewanie.

— To naprawdę spore wynagrodzenie. Mogę zapytać, dlaczego pan wciąż wynajmuje mieszkanie?

Jack nie potrafił podać wyjaśnienia.

— Mówiłam ci — naciskała dalej Beth. — Mamy teraz więcej pieniędzy, niż zarobiliśmy przez wszystkie poprzednie lata, a nadal jeździmy tym samym starym gruchotem, mieszkamy w tym samym zapyziałym mieszkaniu i mamy na sobie te same znoszone ubrania. Chcesz tego czy nie, musimy dokonać zmiany na lepsze. Masz jedną

165

z najlepszych posad w Chicago, nawet ta kobieta w banku to przyznała.

Jack nie potrafił powstrzymać uśmiechu satysfakcji.

— Profesorze Hunt... — Kierowniczką wypowiedziała jego tytuł z wielką rewerencją. — Nie mam zbyt wielu profesorów w naszym oddziale. Prawdę mówiąc, jest pan jedyną osobą z tym tytułem. Chyba powinnam się panem dobrze zająć.

Jack dopił kawę, wyrzucił kubek do kubła i wstał. Ujął Beth za rękę i wyprowadził ją prosto w blask słońca.

— Wiem, że to najlepsze co mogło nas spotkać. Wiem też, że nie mamy czasu, by się tym nacieszyć, ponieważ wsiąknąłem w pracę. Co powiesz na to, byśmy wzięli sobie wolne na resztę dnia? Pójdziemy na zakupy i wydajemy trochę.

Beth uwiesiła się na szyi męża i obsypała go pocałunkami.

— Teraz mówisz językiem, który rozumiem.

Skoro mieli to popołudnie tylko dla siebie, wybrali się na przejażdżkę po salonach samochodowych. Z Dannym na holu obejrzeni fordą explorera, plymoutha neona i cadillaca deville'a. W końcu jednak porzucili wszystkie te auta dla srebrnego chevroleta suburbańskiego z napędem na cztery koła, metalik, beżowa tapicerka, pięciodrzwiowa buda z lśniącymi listwami i mnóstwem miejsca w środku.

— Dobry na wszystkie pory roku — zachwalał sprzedawca. — W zimie po prostu sunie przez zaspy i lód.

Beth, zawsze dbająca przede wszystkim o bezpieczeństwo, zabrała się do negocjowania. W czasie gdy Danny i Jack kopali piłkę na placu przed salonem, ona wybrała się na jazdę próbną najnowszym modelem. Jack wyraźnie widział wniebowzięcie na twarzy syna, gdy razem czekali na jej powrót. Nie pamiętał już, kiedy spędzili razem tyle czasu, po prostu biegając, rozrabiając, będąc blisko siebie.

— Załatwione — powiedziała po zrobieniu rundki wzdłuż North Lake Shore Drive. Rozpędziła się na East Elm i minęła ostatnie domy z brunatnego piaskowca, które przetrwały wielki pożar, potem wpadła na autostradę w pobliżu plaż przy Oak Street, na których tłum ludzi usiłował znaleźć trochę ochłody w falach jeziora Michigan. Zmieniając pas, ruszyła wzdłuż wybrzeża. Daleko na połyskującej błękitem wodzie przesuwały się sylwetki jachtów i statków wycieczkowych

166

płynących wzdłuż wybrzeża. Wreszcie skręciła w pobliżu Diversey Harbor i wróciła przez Stockton Drive.

Ledwie wysiadła z kabiny chevroleta, dała upust swojemu zadowoleniu.

— Bierzemy go. — Danny pokazał w odpowiedzi dwa kciuki uniesione w górę, popierał ten wybór od samego początku. — Panie Hunt, czas, aby i pan wybrał coś dla siebie.

Jack w odpowiedzi spojrzał na żonę bykiem. Nienawidził prowadzić, wkurzało go wleczenie się w korkach, wołał już papierkową robotę, nawet gdy musiał się przy tym trzymać jedną ręką za uchwyt we wnętrzu autobusu. A taksówki pozwalały na szybkie przemieszczanie się, gdy zachodziła taka potrzeba.

— Co za dużo, to niezdrowo. W końcu to dzień rodzinny. Sugeruję, abyśmy udali się na najbliższą plażę, jak tylko załatwimy formalności w salonie. — Danny wydał dziki okrzyk radości i aż podskoczył. — A potem znajdziemy jakieś przyzwoite miejsce, by coś zjeść i zrelaksować się po dniu pełnym wrażeń.

Tego dnia diler dokonał najszybszej transakcji w swoim życiu.

Z okna drugiego piętra restauracji mieli przepiękny widok na pierwszy poważny zakup, jakiego Jack dokonał od czasu objęcia nowego stanowiska. Na zewnątrz błyszczący lakier chevroleta lśnił w promieniach słońca zachodzącego pomiędzy wieżowcami centrum. Po zjedzeniu każdego dania cała rodzina popijała napoje i rozmawiała radośnie, wszyscy cieszyli się z tego, że mogą spędzić ten dzień wspólnie. Dla Beth i Danny'ego nowy samochód był pierwszą oznaką nadchodzącego dobrobytu. Dla Jacka — pierwszym, choć znaczącym krokiem na drodze do odbudowania poczucia bezpieczeństwa jego żony i pokazania jej, że objęcie przez niego stanowiska profesorskiego w Carterze jest otwarciem nowego rozdziału w ich życiu. Już nie będziecie się musieli bać — obiecywał sobie w duchu. — Najpierw samochód, potem dom. Bank miał w ofercie najrozmaitsze pożyczki pod zastaw posiadłości, a jego pensja pozwalała na wybór naprawdę szacownej i bezpiecznej okolicy. Teraz wiedział już, że walka o wyższe wynagrodzenie, którą podjął na początku rozmów, była nader słusznym posunięciem. Raz jeszcze rzucił okiem na auto, zauważył przy tym, że kilku przechodniów podziwiał lśniąca nowością

167

maszynę. Nowa posada otwiera przed nami nowy świat — myślał.

— Stabilność, bezpieczeństwo, finansową niezależność... Nalał sobie ostatni kieliszek wina, zachwycił się jego bukietem, aby już za chwilę delektować się wybornym smakiem.

Tutaj jest twoje miejsce, profesorze. Tutaj musisz zostać.

— To było takie cudowne popołudnie... — Jack, stojąc w sekretariacie własnego gabinetu, referował Helen wydarzenia poprzedniego dnia. — Wyjechaliśmy z salonu samochodowego nowym chevroletem, szybki wypad do domu po ciuchy na plażę, a potem prosto nad jezioro.

— Był rozradowany, cieszyły go te skradzione godziny, dzięki którym mógł być razem z rodziną. — Było tak gorąco, że nie dało się wysiedzieć na piasku. Pływaliśmy chyba z godzinę, potem graliśmy w piłkę. Wypiłem też kilka piwek, gdy się ściemniło, a potem Beth przewiozła nas po północnych przedmieściach, ale na szczęście wróciliśmy do centrum, zanim rozpoczęły się godziny wieczornego szczytu.

Helen położyła na jego biurku świeży stos dokumentów, a Jack zrobił smutną minę, widząc jego wysokość.

— Wybacz pan, profesorze, lecz papierków nie ubywa. Bierze pan dzień wolnego, a po powrocie czekają na pana dwa dni dodatkowej pracy.

Jack przysunął krzesło i wziął pierwszy dokument z góry.

— Zobaczmy, z iloma sobie poradzę przed pierwszym spotkaniem. — Zaczął czytać i sortować na trzy kupki: rzeczy do załatwienia od ręki, nie takie pilne, szkoda na to czasu. Zabronił łączyć jakiegokolwiek rozmowy oprócz tych dotyczących bezpośrednio pracy oddziału. Zauważył także aż cztery wiadomości opatrzone prośbą o odpowiedź, przesłane przez nowojorski oddział Zemdon Pharma-ceuticals, i natychmiast je podarł.

— Jak się czuje Beth? — zapytała Helen pomiędzy kolejnymi telefonami.

— O wiele lepiej. Jest taka podniecona poszukiwaniami nowego domu, że chyba po raz pierwszy od wielu dni wyrzuciła z pamięci tego nastoletniego oprycha. Nie widziałem jej tak odprężonej od wieków.

Znów zadzwonił telefon i Helen musiała przekierować rozmówcę.

— I dobrze. Miała taki zmartwiony głos za każdym razem, gdy tu dzwoniła, że aż mi było jej żal.

168

— Chyba wraca powoli do siebie. Znowu zaczęła mi mówić, że nie ubieram się odpowiednio, napomina mnie też, żebym wracał na czas do domu, i sprawdza maile, na wypadek gdyby moja tajemnicza kochanka z Sacramento przysłała jakąś zaszyfrowaną wiadomość. Niedawno odsłuchał kolejną dziwną wiadomość od Carlotty:

Nie dzwoń do mnie do domu, tylko na mój wewnętrzny w szpitalu". Pokręcił w zamyśleniu głową, nie rozumiał, o co jej chodzi.

Helen nagle zmieniła temat, krzywiąc się niemiłosiernie.

— Czy pan robił coś ze swoim komputerem wczoraj? — zapytała.

Jack nie przerwał lektury.

— Nie — odparł i powoli podniósł wzrok znad papierów. — Dlaczego o to pytasz?

Helen podniosła plik listów i zaczęła wsuwać je w koperty.

— Na tej nowej wykładzinie odbija się wszystko. Jest taka gruba. Kiedy dzisiaj rano kładłam panu na biurku dokumenty, zauważyłam, że ktoś go przesunął. Ślad odcisnięty obok obudowy nie pozostawiał wątpliwości.

Jack odsunął papiery na bok, zastanawiając się nerwowo. Na jego twardym dysku znajdowały się wszystkie wyniki badań i plany kolejnego projektu badawczego. Ale przecież do jego biura klucz posiadała jedynie Helen.

— Siedziałam w biurze przez cały dzień, wyszłam tylko na godzinę w porze lunchu — dodała sekretarka.

Jack poczuł narastający lęk, ale powstrzymał się od gorączkowego działania. Nie chciał, by Helen stała się tak podejrzliwa jak on sam. Na szczęście miał back-upy materiałów na płytach. Kopiował wszystkie dane z komputerów w pracy i w domu. Dzięki temu bez względu na to, czy znajdował się na West Harrison czy West Deming, mógł mieć w każdej chwili dostęp do kompletu danych i pracować nad nimi na każdym z komputerów.

— Może to sprzętaczkę — mruknął.

Ale na wszelki wypadek uznał, że odtąd wychodząc, będzie zamykał biuro na klucz, i postanowił przez kolejne pół godziny sprawdzić wszystkie pliki.

*

169

— Tu masz następną ofertę. — Jack z trudem stłumił jęk, a Dan-ny popędził do ogródka, mając nadzieję, że go nie złapią. — Musimy tam pojechać, żeby się rozejrzeć na miejscu — powiedziała Beth. Mąż spojrział na nią podejrzliwie, czy aby nie postradała zmysłów, ale ona zignorowała go kompletnie i zasypała jego kolana porcją prospektów od agentów nieruchomości.

To była sobota, dzień odpoczynku. Temperatury opadły o całe dziesięć stopni, wilgotność także była mniejsza. Miasto skryło się pod mglistą powłoką chmur. Idealna pogoda na wyjście do parku albo na plażę. Ale rodzina Huntów już po godzinie zmierzała swoim metalicznym chevroletem wzdłuż Sheridan w stronę północnych przedmieść. Siedzący na tylnym siedzeniu Danny przeglądał fotografie domów, a Jack z fotela obok kierowcy pełnił funkcję nawigatora. Dzięki tej wymówce udało mu się uniknąć prowadzenia samochodu.

W Evanston znajdował się uniwersytet Northwestern i chyba z milion studentów. Tak przynajmniej uznała Beth po dwudziestu minutach krążenia po tej miejscowości. Godzinę później na czarną listę trafiły także Highland Park i Lake Forest, znajdowały się zbyt daleko od jego miejsca pracy. Za to Wilmette wyglądało całkiem, całkiem. Beth prześwietlała okolicę dokładnie, zbyt dokładnie, Danny zaczął tracić cierpliwość ze względu na jej drobiazgowość.

— Mamusiu... — jęczał raz po raz, gdy skręcała w kolejną ulicę. Widział przez okno dzieci kopiące piłki na zielonych podwórzach, oblewające się wodą albo grające w berka. Gapienie się przez szybę na kolejne domy nie było nawet w części tak zabawne.

Ale Beth była zdeterminowana. Jeśli tutaj będzie dom jej marzeń, musi się upewnić, że okolica jest naprawdę dobra i bezpieczna. Zbyt wiele przyszpitalnych osiedli już widziała, w zbyt wielu barach jadła i zbyt wiele godzin spędziła przyglądając się przez zabrudzone szyby, jak karetki przywożą kolejnych chorych. Marzył jej się spory domek z równie przestronnym podwórzem od tyłu i pięknym widokiem z okien. Marzyła jej się szkoła w pobliżu, by Danny mógł chodzić do niej bez ryzyka zagrożenia, w otoczeniu wielu innych dzieci. Chciała ogrodu tak wielkiego, by mógł w nim trenować grę w piłkę, a ona miała jeszcze miejsce na uprawę kwiatów i drzew. No i bezwzględnie pokój dziecienny dla niemowlęcia.

Po wielu podejściach wybrała w końcu Wilmette. To była dzielnica z perspektywami, wyłożone kostką brukową uliczki, wspaniałe wiktoriańskie domy z wielkimi ogrodami, wiele rodzinnych samochodów na podjazdach. Dzieci biegały wokół, dwu- i trzykołowe rowerki leżały przy ulicy, jakby ich właściciele mieli pewność, że zawsze zastaną je w tym samym miejscu. No i te otwarte zielone przestrzenie, wręcz wymarzone do gry w piłkę nożną.

Zasięgnęli porady u Paula Ridge'a, starego pośrednika z Suburban Properties, agencji znajdującej się blisko centrum. Ridge ofiarował im całą swoją uwagę i tony nowych prospektów.

— Szanowni państwo, z pewnością znajdziemy dla was odpowiedni dom — zagrzmiął zza biurka. Zbyt rzadkie siwe włosy, trzęsące się ręce, kościste ciało ubrane w o wiele za duży Iniany garnitur i czerwona muszka, wszystko to wskazywało, że jest już za stary na taką robotę. Jego twarz poznaczona była siecią głębokich bruzd, zażawione oczy kryły się za grubymi szklami okularów. Ale głos, ten głos, usuwał w kąt wszystkie wątpliwości. Wydawało się, że krzyczy, i chyba wielu jego klientów musiało odsuwać krzesła jak najdalej od biurka, żeby nie musieć zatykać uszu. Danny pozostał na zewnątrz, silnik wozu był włączony, aby działała klimatyzacja. Przekupili go gigantyczną porcją lodów waniliowych.

Staruszek natychmiast zajął się nimi, wystarczyło, że usłyszał kwotę, jaką mają do rozdysponowania. Oczy załśniły mu mocno i bez słowa wyjął im z rąk prospekt, który przeglądali.

— Wydaje mi się, że powinniśmy zacząć od czegoś bardziej luksusowego. — Puścił oczko do Beth.
— Wygląda mi pani na damę, która ma wymagania.

Ridge zabrał ich na wycieczkę po okolicy, pokazując szkoły, ciekawsze sklepy i stacje kolejowe. Jack spędził dodatkowe dziesięć minut na studiowaniu rozkładów jazdy. Nie wyglądały źle. Jeśli znajdą dom w pobliżu, każdego ranka będzie mógł podróżować Metrą na stację NorthWestern w samym centrum Chicago, wyjazd tuż po szóstej, przyjazd na miejsce szósta czterdzieści pięć. Szybki spacer albo chwila w taksówce i zasiądzie za biurkiem o siódmej, góra siódmej piętnaście. Po pracy może złapać pociąg w centrum i dotrzeć do Wilmette nie później niż o osiemnastej trzydzieści. Skończą się problemy z korkami, które tak podnosiły mu ciśnienie.

— Niektóre z tych domów zostały zbudowane sto lat temu — powiedział Ridge, gdy wrócili do jego biura. Przeszukiwał szafkę na dokumenty. — Większość tynków pamięta jeszcze lata dwudzieste. — Wyjął kolejny plik folderów i pchnął szufladę tak mocno, że mebel cały się zatrzęsł. — Mam też nad jeziorem parę posiadłości wartych siedmiocyfrowe kwoty, ale są też takie, które pójdą za osiemset tysięcy. — Spojrzał na Beth spod okularów. — Nie sądzę, by pani Hunt chciała oglądać coś z niższej półki. — Jack uniósł brwi ze zdziwienia.

Dwie godziny później Beth zawężyła krąg poszukiwań do trzech nieźle wyglądających domów znajdujących się w promieniu jednej mili. Kiedy jechali, aby obejrzeć jeden z nich, istne modernistyczne

cudo z cegły, szkła i stali, Jack zauważył zupełnie odmienny w charakterze budynek przy Shimna Avenue, trzy pasmowej ulicy oddalonej o trzy przecznice od świątyni bahaitów na Linden Avenue.

Zaparkowali przed domem i przeszli przez podjazd, wielka nie-biesko-czerwona tabliczka z napisem „Na sprzedaż” tkwiła w samym środku od dawna nie strzyżonego trawnika. Dom, wybudowany pod koniec dziewiętnastego wieku, miał wysoki, ostro spadzisty dach i oprawione w drewno duże okna. Przez wielkie szyby Jack mógł z zewnątrz dostrzec szczegóły staromodnej kuchni, która dzięki zdobieniom wyglądała jak żywcem przeniesiona z lat pięćdziesiątych. Wystrój całości sugerował, że mniej więcej od tamtych czasów nie dokonywano w środku większych zmian. Jackowi przypomniał się dom jego rodziców w pobliżu Dublina.

— Myślałam, że jedziemy obejrzeć dom z prospektu. — Beth wskazała na broszurkę, którą trzymała w dłoni.

Jack nie wydawał się poruszony jej uwagą. Ten budynek i jego otoczenie miały w sobie to coś. Nie był krzykliwy jak sąsiednie posiadłości, posiadał ulotny urok Europy, a jego niezbyt dobry stan tylko wzmacniał to wrażenie.

— Ten dom mi się podoba — oświadczył w końcu. — Ma charakter, chociaż nie wygląda okazale. Powinniśmy go obejrzeć.

Beth natychmiast dodała go do listy obiektów, które powinni odwiedzić. Jack zauważył, że jest zadowolona z takiego obrotu sprawy. Wreszcie naprawdę razem szukali dla siebie domu.

172

— Widzisz tam jakiś numer albo nazwisko? — zapytała męża myszkującego przy froncie domu. Trawa była wysoka, zdarzały się smugi przesuszeń, widać było, że od dawna nikt jej nie podlewał.

Jack wpatrywał się w porośniętą bluszczem tabliczkę wiszącą po lewej stronie drzwi wejściowych.

— Litery są ledwie widoczne. — Przetarł otwartą dłonią brud pokrywający powierzchnię tabliczki i cofnął się, by raz jeszcze na nią spojrzeć. — Joliet — obwieścił po chwili, ale zaraz nachylił się, by sprawdzić to dokładniej. — Tak, na pewno Joliet.

Beth obejrzała dokładnie front budynku, osłaniając oczy przez ostrym blaskiem słońca.

— Dość nietypowa nazwa... — na jej czole pojawiły się widoczne zmarszczki, które zniknęły, gdy zobaczyła, jak wielka jest działka — ale nie sądzę, żebym nie mogła jej polubić. — Zapisała coś na dokumentach dostarczonych przez pośrednika i ruszyła w stronę samochodu. — Pośpiesz się, mamy jeszcze dwa domy do obejrzenia.

Ale Jack właśnie wchodził na podwórze, tutaj także królowała trawa, jedynie przy ogrodzeniu widział wyższe krzewy. Spora przestrzeń. Ośmioletni gracz mógł tutaj poszaleć z piłką i zostałoby sporo ziemi na ogródek. Beth mogłaby doprowadzić to miejsce do porządku bez większych problemów.

Zanim odjechali, Jack rzucił ostatnie spojrzenie w stronę budynku. To był naprawdę piękny dom. Znajdował się bardzo blisko centrum, w bezpiecznej i przyjaznej okolicy. Był też większy od tych, które do tej pory oglądali. Przejrzał dokumenty dotyczące tej oferty i znalazł w końcu cenę. Osiemset tysięcy. Jezu, toż to kupa pieniędzy. Jego zapał został ostudzony, lecz mimo to nie odwrócił wzroku od podnieszczzonego spadzistego dachu pokrytego gontem. To było dla nich wymarzone miejsce do zamieszkania.

W poniedziałek rano Jack czuł się niezwykle rześko, aż tryskał optymizmem. Wszystko szło ku lepszemu. Po obchodzie oddziału i zakończeniu wykładu dla dwójki najlepszych studentów medycyny, jakich znał, mógł wreszcie skierować swe kroki do biura. Zatrzymał się na moment przy zawalonym papierzykami biurku Helen, by przejrzeć pocztę i nadesłane pisma medyczne. Nagłówek na trzeciej stronie »American Medicine" przykuł jego uwagę.

173

ZNANY KARDIOLOG GINIE W WYPADKU

Przejrzał szybko treść artykułu i poczuł się słabo, gdy dotarł do nazwiska ofiary.

Sacramento.

Lokalna policja wierzy, że pracownica naukowa katedry kardiologii, doktor Carlotta Drunker, zginęła przejechana przez samochód. Kierowca zbiegi z miejsca wypadku. Dwa dni temu czterdziestotrzyletnia kobieta została znaleziona na poboczu drogi w pobliżu zamkniętego osiedla, na którym mieszkała. W toku dochodzenia ustalono, że została potrącona przez samochód. „Do chwili obecnej nie zdołaliśmy ustalić sprawcy tego wypadku" — powiedział rzecznik policji w Sacramento. — „Apelujemy do wszystkich osób, które przebywały w tym rejonie dwudziestego ósmego lipca pomiędzy godziną szóstą a dziesiątą wieczorem, aby zgłaszały się na policję.

Jack osłupiał.

— Czy coś się stało? — Helen musiała dostrzec szok na jego twarzy. Siedzieli razem w sekretariacie profesorskiego gabinetu, było dwadzieścia minut po zakończeniu obchodu.

Jack przeczytał raz jeszcze komunikat policji, a potem zmiął gazetę. Opuścił ramiona, nagle poczuł się zmęczony i przygnębiony. Dlaczego nie odpowiadałem na jej wiadomości? Próbowała skontaktować się ze mną w dniu, kiedy wybraliśmy się na plażę. Może coś ją wtedy wytrąciło z równowagi, może cierpiała na chroniczną depresję. Rzuciła się pod koła przejeżdżającego samochodu. Jeden Bóg tylko wie, co roi się w głowach osób psychicznie chorych. Mój telefon mógł zrobić wielką różnicę

— Moja koleżanka z Kalifornii — powiedział w końcu. — Ta, którą tak przejmowała się Beth. Ta, co przysyłała mi tyle maili.

— Pamiętam ją... — Helen zaczęła przeglądać wpisy w kalendarzu. — Pisała naprawdę dziwne wiadomości.

— Właśnie. A ja nie odpisywałem.

Rozprostował stronę, na której wydrukowany był komunikat, i pokazał ją Helen. Przeczytała, kręcąc głową.

174

— Tak mi przykro — powiedziała, gdy dotarła do ostatnich linijek.

Jack oparł się łokciami o blat biurka.

— Wydaje mi się, że była niezrównoważona. E-maile, które odbierałem w domu, były coraz dziwniejsze. A telefony wcale nie były sensowniejsze. Szczerze mówiąc, w pewnym momencie zacząłem unikać kontaktów z nią. Również dlatego, że przystopowałem moje badania i nie miałem zbyt wielu nowości, którymi mógłbym się podzielić.

Helen spojrzała na zegarek i sprawdziła coś w planie pracy oddziału.

— Czas wracać do roboty, profesorze. Nasze przedstawienie musi trwać.

Jack westchnął i wstał powoli, wciąż wstrząśnięty śmiercią Car-lotty.

— Co mamy na rozkładzie? — Przyjrzał się rozpisce dnia. — Będę zajmował się cewnikowaniem, gdyby ktoś mnie szukał.

Helen siedziała, dopóki nie zniknął jej z pola widzenia, potem sięgnęła po gazetę. Przeczytała komunikat raz jeszcze i opadła na oparcie fotela, pogrążając się w zadumie. Wreszcie potrząsnęła głową, jakby starała się odgonić od siebie jakąś głupią myśl, i odwróciła się do komputera, by podjąć przerwane pisanie. Musiała nadrobić godzinę opóźnienia.

Jack tymczasem kierował się ku kardiologii inwazyjnej. Sercem oddziału była sala operacyjna, z jednym łóżkiem i wiszącymi nad nim lampami halogenowymi. Dodatkowe wyposażenie stanowiły dwa trzydziestocalowe skanery rentgenowskie podłączone do monitorów. Na stole czekał już na niego pacjent, Dan Horton, czterdziestoosmioletni biały mężczyzna. Zaaplikowano mu lekką narkozę, więc leżał pod zielonymi prześcieradłami, nie do końca będąc świadomym tego, co dzieje się wokół. Obok niego przysiadła pielęgniarka w niebieskim mundurku i masce na twarzy. Ścisnęła dłoń pacjenta dla dodania mu otuchy. Wnętrze sali można było obserwować przez szklaną tafłę oddzielającą ją od sąsiedniego pomieszczenia. Tam też znajdował się dwudziestocalowy monitor, na którym dało się śledzić szczegóły przeprowadzanych zabiegów.

Tak wyglądały lekcje udzielane przez Jacka. Dzisiaj w audytorium zasiadło pięciu młodych lekarzy i trzech studentów medycyny. Przed-

175

stawił im się, zanim włożył strój operacyjny, potem szybko podano mu maskę i parę lateksowych rękawiczek. Prostował i zaciskał dłonie, aż uzyskał odpowiadający mu efekt. Skinął głową i towarzysząca

mu pielęgniarka nacisnęła klawisz na niewielkim głośniczku ze stali wiszącym tuż nad pacjentem. Od tego momentu każde słowo, jakie wypowie Jack, będzie słyszalne w drugim pomieszczeniu.

— Moi drodzy — zaczął — pan Horton od sześciu miesięcy doświadczał niestrawności i zgagi. Sądził, że to z powodu złej diety, ale poczuł te same objawy w zeszłym tygodniu, gdy próbował pobiegać wzdłuż plaży przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Potem poczuł ból w klatce piersiowej promieniujący w okolice szczęki.

Leżący na stole Dan Horton niewiele słyszał i rozumiał. Jego szkliste spojrzenie przetaczało się z pielęgniarki na zamaskowanego mężczyznę stojącego obok i z powrotem.

— Jeśli zapoznaliście się z historią jego choroby — kontynuował tymczasem Jack — zauważyliście z pewnością, że nasz pacjent jest nałogowym palaczem i nie stroni od alkoholu, a w jego rodzinie występowały choroby serca.

Obserwujący zabieg przyglądali się aktom pacjenta, wskazywali palcami na istotne ich zdaniem informacje.

— Rzadko kiedy miał okazję do ćwiczeń, co skutkowało podwyższonym poziomem lipidów. Badanie fizykalne nie wykazywało niczego niezwykłego. Ale już wczorajsze EKG przyniosło wskazanie bra-dykardii zatokowej, w odprowadzeniu III i AVF. Zaobserwowaliśmy nieswoiste spłaszczenie załamek. — Jack poruszył się nieznacznie, by uniknąć skurczu w nodze, a potem kontynuował: — Taka kombinacja symptomów i zmian kardiograficznych skłoniła nas do przeprowadzenia angiografii, która wykazała znaczne zwężenia w lewej tętnicy wieńcowej i jej odgałęzieniach. Odnotowaliśmy także zwężenie tętnicy okalającej. Zaistniało też prawdopodobieństwo wypełnienia wstecznego odnog prawej tętnicy wieńcowej poprzez arterie łączące z układem lewej tętnicy wieńcowej. Cewnikowanie prawej tętnicy wykazało, że jest szeroka, znaleźliśmy jednak krytyczne zmiany patologiczne w obrębie tętnicy wieńcowej prawej, w sektorze przyserco-wym, ale przepływ krwi nie był jeszcze zbyt ograniczony.

Medyczny żargon przetaczał się tuż nad głową nic nie pojmującego pacjenta, ale studenci Jacka rozumieli go doskonale. Dan Horton miał

176

niebezpieczne zwężenie w jednej z głównych tętnic wieńcowych. Jeśli ta arteria zamknie się jeszcze bardziej, chory może doznać ostrego i prawdopodobnie grożącego śmiercią zawału. Ale dzięki nowym zaleceniom od razu trafił na stół operacyjny oddziału kardiologicznego w Carterze. Po stwierdzeniu wysokiego stopnia ryzyka zawału i szybkim przebadaniu trafił prosto na zabieg, a wszystko nie trwało dłużej niż dwa dni od momentu przywiezienia go na ostry dyżur.

— Dzisiaj — dokończył Jack — przeprowadzimy angioplastykę i usuniemy zator z tętnicy.

Stent był małym, ale niezwykle precyzyjnie wykonanym kawałkiem stalowej rurki służącym do udrażniania zwężonych fragmentów żył i tętnic, aby umożliwić ponowny niczym nie zakłócony przepływ krwi. „Stenting”, czyli technika jego zakładania, była niezwykle skomplikowana i wymagała wielu godzin

obserwacji, zanim można było ją samodzielnie stosować. Ale i tak pierwsze zabiegi tego typu musiały być wykonywane pod nadzorem starszych asystentów. Jack wykonał ich już tak wiele, że stanowiły dla niego rutynową czynność, aczkolwiek zawsze istniało ryzyko powikłań i niepowodzenia. Jeden nieostrożny ruch mógł uszkodzić naczynia krwionośne albo przemieścić zakrzep, co doprowadziłoby do rozległego zawału. Tylko pewne i precyzyjne dłonie mogły zapewnić bezpieczeństwo. I pełne skupienie.

— Wykonuję teraz nacięcie prawej tętnicy udowej pana Hortona. Zastosowaliśmy miejscowe znieczulenie, więc nie powinien niczego poczuć. — Jack spojrzął w dół na pacjenta, który miał już zamknięte oczy. — Podano mu też aspirynę i heparynę, aby zmniejszyć krzepliwość krwi.

Na sali operacyjnej zapadła cisza. Opuszczono niżej halogenowe oświetlenie, zielenie i błękity stały się o wiele bledsze. Siedzący na górze obserwatorzy słyszeli jedynie oddech operującego.

Minęło piętnaście minut.

— Stent, który zamierzam wszczepić, został przytwierdzony do tej cienkiej prowadnicy. — Podniósł do góry wąski giętki przewód, aby wszyscy widzieli go wyraźnie. — Dzięki niej wprowadzę go do zwężonej tętnicy poprzez nacięcie, które wcześniej zrobiłem. — Jack umieścił koniec prowadnicy w ranie i zaczął ją wsuwać w arterię. Dzięki umiejętnościom i wiedzy mógł nią manipulować bezpiecznie,

177

nakierowując ją dokładnie tam, gdzie potrzebował. — Jeśli spojrzycie teraz na monitor, zauważycie, że stent przeniknął już do wnętrza układu krwionośnego.

Wszystkie głowy w audytorium pochylały się nad monitorem. Studenci mogli na nim widzieć bijące serce Dana Hortona i dzięki mikrofonom słyszeć charakterystyczne odgłosy otwierania i zamykania zastawek, przez które przedostawała się pompowana krew. Stent przesunął się powoli we wnętrzu tętnicy aż do momentu, w którym dotarł do zakrzepu. Krytyczne miejsce. Studenci czuli, że także ich puls przyśpiesza, gdy obserwowali ten widok.

Stent musiał być teraz przytwierdzony do zwężenia i rozprężony, aby tętnica odzyskała pełną przepustowość i mogła swobodnie tłoczyć krew.

— Jesteśmy na miejscu — z głośników dobiegło tryumfalne obwieszczenie.

Radość zebranych przerwało głośnie stukanie w szybę oddzielającą salę. Tuż przy niej stał dyrektor administracyjny szpitala, Steve Downes. Zwrócił na siebie uwagę Jacka i skinieniem ręki nakazał mu wyjść na zewnątrz.

Na ekranie monitora widać było wyraźnie dowód kunsztu operującego kardiologa. Krew płynęła bez zakłóceń przez rozszerzoną tętnicę. Zadanie wykonano, ale pozostała jeszcze sprawa zakończenia operacji. Jednakże z gestykulacji Steve'a Downesa wynikało jasno, że nie ma zamiaru czekać. Raz jeszcze wezwał Jacka. Nie było wyjścia, profesor Hunt musiał usłuchać.

— Proszę oddać próbki krwi i moczu.

— Jezu Chryste, nie mogę w to uwierzyć. — Jack wściekł się. Nie dość, że musiał pośpiesznie kończyć operację, to jeszcze poganiano go przy zaszywaniu pacjenta. Miał nadzieję, że dyrektor ma mu coś niezwykle ważnego do zakomunikowania, może właśnie ogłoszono nominację Oddziału Kardiologicznego Szpitala imienia Cartera do tegorocznej medycznej Nagrody Nobla. A okazało się, że chodziło o losowe poddanie się testom na obecność substancji uzależniających.

— Nie mogłeś poczekać z tym do zakończenia operacji? — syknął, podwijając rękaw i odsłaniając łokieć. — Jak sądzisz, co ja tam robiłem? Może malowałem te cholerne szafki? Dlaczego nie powiadomiłeś mnie wcześniej? — Ten wybuch go ośmieszał i Jack natych-

178

niiast go pożałował, zwłaszcza że byli przy tym studenci. Zauważył, że odwrócili się, by nie być świadkami konfrontacji.

Downes patrzył na niego z nieukrywaną złością.

— Może dlatego, że nazywamy je niezapowiedzianymi testami.

Zrezygnowali obaj z prowadzenia dalej sprzeczki, choć nadal byli na siebie wściekli.

Jack nie potrafił oddać moczu przez prawie dwadzieścia minut. Sikanie, kiedy ktoś zagląda ci przez ramię, żeby mieć pewność, iż nie masz zamiaru podmienić próbki, nie jest takie proste. Przynajmniej Jack miał z tym wielki problem, a Downes, gdy opuszczał oddział, wyglądał na mocno zażenowanego.

Wieści o gwałtownej reakcji nowego profesora migiem obiegły cały oddział. Każdy opowiadający dodawał nieco pikantnych detali, tak że jeszcze tego samego dnia Jack zyskał miano aroganckiego, nieokrzesanego gburą — typowego Irlandczyka. Brakowało mu tylko marchewkowej czupryny, która utrwaliłaby stereotyp. Jedynie Helen wystąpiła w jego obronie, zdecydowanie przeciwstawiając się wszelkiej krytyce Jacka, cierpliwie prostując wersję zdarzeń i potępiając w czambuł powtarzających ją szpitalnych plotkarzy.

ROZDZIAŁ 16

— Profesorze Hunt, musimy spotkać się w porze lunchu, aby omówić jedną czy dwie kwestie, jakie pojawiły się na poziomie dziewiątym — Steve Downes wyrażał się prosto i konkretnie.

Jego propozycja, aczkolwiek ze wszech miar akceptowalna, zaniepokoiła Jacka. Wciąż biegał za swoim ogonem, starając się doprowadzić do końca przekształcenia oddziału kardiologicznego. Nadal miał problemy z niedoborami wśród pielęgniarek, a liczba pacjentów w stosunku do liczby łóżek przekraczała wszelkie normy. Tak więc Jack musiał w końcu podzielić się z Downesem swoimi problemami. Wypisał sobie nawet listę spraw do załatwienia, podkreślił najbardziej istotne kwestie i dorzucił sugestie dalszych zmian. Dopracował całość raportu razem z Helen, mając zaufanie do jej doświadczenia pielęgniarskiego i wiedzy fachowej, i dopiero po tej konsultacji dostarczył go na dziesiąte piętro. Zrobił to już jakiś czas temu i dlatego teraz nie widział niczego szczególnego w zaproszeniu Downesa.

— Cieszę się, że cię znowu widzę, Jack. — Dyrektor miał na sobie lekki szary dwurzędowy garnitur, białą koszulę i granatową muszkę. Kołnierzyk był tak opięty, że obwisłe podgardle Steve'a trzęsło się bardziej niż kiedykolwiek. Ale przycesał wreszcie włosy. Ujął Jacka za ramię, gdy go wprowadzał do swojego gabinetu. — Sprawa, którą do ciebie mam, jest niezwykle ważna, więc pomińmy wszelkie wstępy— Downes był zbyt słodki jak na gust Jacka, zwłaszcza jeśli zważyć na ich poprzednie, niezbyt miłe spotkanie zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej. — Siadaj, zaraz zamówię kawę.

Jack wciąż był ubrany w zielone ubranko operacyjne, miał dwa stetoskopy przerzucone przez szyję i pager przypięty do paska. Usiadł

180

z dala od stołu konferencyjnego, zwracając uwagę na stos papierów zaścielających jego blat. Na wszystkich widoczne było logo Zemdon pharmaceuticals.

Zanim zdążył zebrać myśli, Downes zasiadł po drugiej stronie po ściągnięciu marynarki i odpięciu górnego guzika przy koszuli. Odsunął materiały promocyjne Zemdonu na bok i sięgnął do przycisku interkomu.

— Poproś do nas pana Dankera. — Spojrzał na Jacka. — Mamy tylko jeden temat do omówienia, a są nim twoje problemy na oddziale kardiologii. Chciałbym, aby naszej rozmowie przysłuchiwał się pewien człowiek, który może wnieść do sprawy coś pozytywnego. — Skierował pilota w stronę klimatyzatora i wkrótce cichy poszum wzmógł się znacznie.

Stan Danker wszedł do gabinetu, zanim Jack zdążył się zorientować. Gruba wykładzina tłumiła odgłos kroków, a drzwi musiały pozostać uchylone. Zmierzył wzrokiem przybyłego mężczyznę. Wysoki, szczupły, twarz z granitu i stalowoszare oczy. Idealnie skrojony granatowy jednorzędowy garnitur, jasnoniebieska koszula i intensywnie żółty krawat.

— Cieszę się, że w końcu pana widzę, doktorze Hunt. — Wyszczrzył w fałszywym uśmiechu niemal wszystkie zęby. — Pan Downes był tak uprzejmy i zaaranżował to spotkanie. — Uścisk dłoni nieomal zmiądzzył kości Jacka. — Wiem, jak bardzo jest pan zajęty, więc nie będę się odzywał bez pytania. — Podszedł dystyngowanym krokiem do jedyne go wolnego fotela i usiadł na nim. Jack widział kątem oka, że Danker nie spuszcza z niego oczu.

— Przejrzałem twój raport. — Downes zamachał plikiem pięciu kartek, które przygotowała Helen. — Wynika z niego, że masz kłopot. Braki kadrowe, opóźnienia w diagnostyce obrazowej, naciski ze strony kardiochirurgów, aby rozładować kolejkę oczekujących na wszczepienie by-passów.

Na listę oczekujących na zabieg wpisanych było dwustu dziesięciu ludzi. Zespół chirurgów czekał w pełni gotowy do działania, ale proces zmian na oddziale kardiologicznym hamował podejmowanie decyzji o kolejnych zabiegach. Jeden zespół był gotowy i chętny do pracy, drugi mocno zapracowany i słabo przygotowany. To stanowiło doskonałą pożywkę do powstania międzyoddziałowego konfliktu.

181

— Rozmawiałem ze wszystkimi agencjami pośrednictwa pracy w śródmieściu, ale niczego nie zwojowałem. Rekrutacja w minionym roku nie przekroczyła dwudziestu procent zapotrzebowania, a większość zarejestrowanych pochodzi z dalszych przedmieść i woli pracować gdzieś na miejscu. Dlatego nie widzę sensownego rozwiązania tego problemu w najbliższej przyszłości. — Downes przerzucił stronę i przejechał po następnej palcem do miejsca, którego szukał. — Diagnostyka obrazowa. Radiolodzy poinformowali mnie, że nie mogą poświęcić więcej czasu kardiologii. Zespoły z izby przyjęć otrzymują tak wiele zleceń od was, że musieli praktycznie odciąć wszystkie pozostałe oddziały. Nie jesteście jedynymi, którzy ich potrzebują. Obawiam się, że to problem braku równowagi pomiędzy możliwościami a żądaniami. W tym wypadku żądania znacznie przekroczyły pułap możliwości.

— Mówi mi pan, że nie będziemy w stanie dokończyć zmian na oddziale kardiologii? — wtrącił szybko Jack.

Downes wzruszył ramionami.

— Przynajmniej nie w tradycyjny sposób — popatrzył na Stana Dankera, a Jack mimowolnie zrobił to samo. Gość jednak siedział ze spuszczoną głową, przyglądając się własnym paznokciom. Nie podniósł wzroku, nawet gdy poczuł na sobie dwa palące spojrzenia.

— Naprawdę? — Jack już wstawał z fotela, ale Downes powstrzymał go wysunięciem ręki.

— Naprawdę — powiedział ostro. — Masz problem, prawdę mówiąc całą listę problemów. Zwróciłeś się do mnie z prośbą o pomoc przy ich rozwiązaniu, więc przyjrzałem się im z różnych perspektyw, żeby zobaczyć, czy jestem w stanie załatwić którąkolwiek z tych spraw.

Jack wyczuwał, że jego rozmówca zaczyna się denerwować. Gdyby to była rozmowa w cztery oczy, byłby spokojny i mogliby przedyskutować różne rozwiązania. Ale tym razem musiał brać pod uwagę obecność Stana Dankera. Zazwyczaj nie pozwalano, by obcy ludzie przysłuchiwali się rozmowom o bólączkach trapiących szpital.

— Nie mam zamiaru zanudzać cię szczegółami dotyczącymi wszystkich rozmów, jakie odbyłem, ale powiem ci jedno: nie uzyskałem nic, co mogłoby pomóc w rozwiązaniu większości podniesionych przez ciebie kwestii. Także inne oddziały zaczynają mieć problemy

182

j im też próbuję pomóc, ale twoja sytuacja jest wyjątkowa, może więc sięgniemy po zewnętrzne źródła pomocy.

Jack zauważył, że Stan Danker wyprostował się w tym momencie. Zatem nadszedł czas, by przejść do meritum.

— Może ja spróbuję to wyjaśnić. — Danker odwrócił się do Jacka. Akcent sugerujący pochodzenie ze Wschodniego Wybrzeża był tak trudny do wychwycenia jak pyłek na jego wypolerowanych butach. —

Reprezentuję Zemdon Pharmaceuticals. Moja korporacja gotowa jest przyjrzeć się problemom, z którymi ma pan do czynienia, i oferuje natychmiastową i konkretną pomoc przy ich rozwiązywaniu.

Jack spojrział na niego zdumiony.

— Pańska korporacja zatruwa mi życie telefonami, faksami i mailami. Pomimo wyraźnych instrukcji jeden z waszych przedstawicieli nieomal zamieszkał w moim sekretariacie. Musiałem korzystać ze schodów przeciwpożarowych, żeby unikać spotkania z nim. — Mówił ostro, nie spuszczał z tamtego wzroku.

— Uspokój się, na rany Chrystusa — napomniął go Downes.

— Pan Danker pofatygował się z Nowego Jorku, aby wziąć udział w tym spotkaniu. — Walnął pięścią w biurko tak mocno, że papiery posypały się na podłogę. — Może zdobędziesz się chociaż na wysłuchanie jego propozycji.

Jack zignorował wybuch dyrektora i spojrział na zegarek. Dochodziła pierwsza czterdzieści.

— O drugiej mam konferencję z zespołem pediatrów. Nie mogę jej przełożyć ani opóźnić. — Odwrócił się do szczy z Zemdonu. — Przyleciał pan z Nowego Jorku na spotkanie ze mną bez mojej wiedzy. Wygląda na to, że na próżno. — Machnął ręką w stronę Downesa.

— Moje stanowisko wobec wpływów firm farmaceutycznych na wyspecjalizowane ośrodki medyczne jest znane i oficjalne.

Jeśli Stan Danker poczuł się dotknięty tymi słowami, nie dał tego poznać po sobie.

— Pozwoli pan, że przejdę od razu do rzeczy, panie Hunt. — Poprawił się na fotelu. — Potrzebuje pan pielęgniarek i sprzętu, a ja mogę załatwić obie te sprawy. Moja firma jest w stanie opłacić trzy pielęgniarki kardiologiczne na przestrzeni najbliższych dwóch lat. Dziewczyny będą w pełni przeszkolone, zadamy także o doświadczenie przy zabiegach kardiochirurgicznych. Będą w stanie asystować przy

183

przygotowywaniu do cewnikowania oraz monitorować pacjentów po zawałach i przebywających na obserwacji po przebytych zabiegach. To powinno wpłynąć także na skrócenie listy oczekujących na zabiegi.

Downes dorzucił w tym momencie swoje trzy grosze.

— Ja nie mogę zdobyć takich pracowników. On może. Ja nie jestem w stanie im zapłacić. On tak.

— Wysłuchałem waszej rozmowy o problemach z dostępem do technologii diagnostycznych — kontynuował Stan Danker. — Zemdon może ustawić oddział kardiologii waszego szpitala na pierwszym miejscu w Ameryce Północnej dzięki sprowadzeniu do was GE Innova 2000, pierwszego angiokardiografu nowej generacji. — Jack powstrzymał się od kolejnej riposty. Czy on powiedział GE Innova 2000? — Jak pan wie

— ciągnął Danker — to nowinka w obrazowaniu medycznym. Pozwala na uzyskanie niezwykle czystego obrazu wszystkich naczyń krwionośnych i niezwykle precyzyjne naprowadzanie cewników. Wiem, że taki sprzęt jest bardzo użyteczny w przypadkach, gdy zabieg musi być przeprowadzony bardzo szybko i precyzyjnie.

— Jack, mówimy tutaj o inwestycji wartej osiemdziesiąt tysięcy dolarów. — Steve Downes kiwał się na boki na swoim obrotowym fotelu, obserwując reakcje profesora. — Dostaniemy także dziewięć tysięcy rocznie na naprawy i konserwacje tego sprzętu.

— Tym także się zajmiemy — zapewnił Danker.

To nie było tanie farmaceutyczne wziętko, Jack o tym wiedział. Nie musiałyby się już martwić poszukiwaniem pielęgniarek, skróciłaby się także lista pacjentów oczekujących na zabieg. A GE 2000 był naprawdę ostatnim krzykiem techniki. Dzięki niemu oddział kardiologiczny w Carterze stałby się wiodącą placówką tego typu w całej Ameryce Północnej.

— To bardzo hojna oferta — odparł. — Przyznaję, że zaskoczył mnie pan tym gestem. — Cały czas wpatrywał się w twarz Danke-ra. Dyrektor firmy farmaceutycznej był spięty do granic możliwości.

— Ale czego Zemdon Pharmaceuticals oczekuje w zamian?

Danker pochylił się mocniej i oparł brodę na dłoni. Jack czuł się w tym momencie jak zdobycz obserwowana przez drapieżnika.

— W październiku wypuszczamy na rynek nowy lek nasercowy. Nazywa się cyclint, jego zadaniem jest istotne zmniejszenie ryzyka wystąpienia zawału.

184

— Znam ten lek — odparł Jack. — Czytałem dane z badań klinicznych. Wynika z nich, że to powinien być wielki przebój na rynku farmaceutyków.

Napięcie na twarzy Dankera zmalało.

— Na to liczymy, profesorze Hunt. W rzeczy samej mieliśmy nadzieję na sukces większy nawet niż przy okazji viagry.

Wiele firm farmaceutycznych uwielbiało porównywać swoje nowe produkty do leku na zaburzenia potencji, jednakże mało kto liczył na przebicie sukcesu viagry. Dlatego ostatnia uwaga Dankera podsunęła Jackowi myśl, że Zemdon liczy na przychody z tego specyfiku liczone w miliardach dolarów rocznie.

— Program jest już w bardzo zaawansowanej fazie. — Dyrektor nowojorskiej filii koncernu rozkręcił się na dobre. Usiadł wygodniej w fotelu, założył nogę na nogę. Po spięciu nie było śladu. — Zamówienia wyglądają bardzo obiecująco, lek jest już wyprodukowany i zapakowany, czeka tylko na wysyłkę. Otrzymaliśmy pozytywne opinie na jego temat od wielu czołowych kardiologów świata, wszyscy niecierpliwie czekają na możliwość zastosowania go w terapii na własnym terenie.

— Ale czego oczekujecie ode mnie? — Jack zaczął bawić się pagerem, robił co mógł, aby odwrócić uwagę od swojej twarzy. Starał się z całych sił zdecydować, co dalej. Jeśli przyjmie tę ofertę, jego nieskrywana niechęć do działalności firm farmaceutycznych legnie w gruzach, a jeśli powie: nie, będzie musiał ponieść ryzyko zapaści, na jaką skazany jest jego oddział kardiologiczny.

— Chcielibyśmy, aby był pan twarzą naszej promocji tutaj, w Chicago. — Danker wreszcie przeszedł do sedna. — Pana tragicznie zmarły poprzednik wyraził, i to z wielkim entuzjazmem, zgodę na poparcie naszego projektu. Sam Lewins przeczuwał, że dzięki temu uda mu się poprawić notowania oddziału. Jeśli pan zgodzi się przejąć jego zobowiązania wobec Zemdonu, gwarantujemy uruchomienie grantu dla Szpitala imienia Cartera w wysokości pół miliona dolarów, i to bez żadnych warunków. Będziecie mogli wykorzysta te pieniądze, na co zechce je przeznaczyć wasza administracja. — Rozpiął marynarkę i poluźnił krawat. — To naprawdę wspianałomyślna propozycja, profesorze. Mogę śmiało powiedzieć, że żaden koncern farmaceutyczny jeszcze nigdy nie poszedł tak daleko.

185

Gdy Danker zakończył wylizankę dobrodziejstw płynących ze swojej oferty, wymienił zadowolone spojrzenia z Downesem. Jack zdecydował się więc na zmianę taktyki.

— Panie Danker, jaką gwarancję może mi pan dać na to, że przedstawione przez was dane dotyczące cyclintu nie zostaną podważone?

Danker pozwolił sobie na lekki uśmiech.

— Mogę pana zapewnić, że każdy krok naszych badaczy został dokładnie prześledzony przez wszystkie liczące się międzynarodowe agencje, nie wyłączając FDA z Waszyngtonu. Cyclint otrzymał od nich zielone światło.

— Podobnie było z allattackiem, waszym wiodącym lekiem antyalergicznym — odparł Jack ze spokojem. — Pamiętam też gorączkę, jaka towarzyszyła jego wypuszczeniu na rynek. A ilu ludzi zmarło na skutek jego zażywania? Stu czy dwustu? A może trzystu?

Twarz Stana Dankera spochmurniała; kiedy odezwał się ponownie, mówił przez zaciśnięte zęby.

— Stu osiemdziesięciu czterech, taka jest dokładna liczba ofiar.

— Oczy zwężyły mu się do wąskich szparek. — Ale nie ma jednoznacznych dowodów na to, że do ich śmierci bezpośrednio przyczynił się nasz lek. Wszystkie dane uzyskane podczas badań klinicznych potwierdzały jego skuteczność i brak skutków ubocznych. Takie same wyniki uzyskali niezależni badacze na całym świecie.

— Ale jednak wycofaliście go ze sprzedaży — skontrował Jack. Spojrzał w stronę Steve'a Downesa, po to tylko by napotkać jego morderczy wzrok. — Wszyscy wiemy, że przyszłość waszej firmy wisi na włosku po tym, jak zostaliście zalani lawiną pozwów w tej sprawie.

— Jego pager zapiszczał, sprawdził więc numer telefonu, z którego dzwoniono. — I pan chce, żebym pomimo to poparł wasz następny produkt? Czy to nie jest prawdziwy powód, dla którego oferuje nam pan te bajeranckie urządzenia i wsparcie finansowe? — Downes chciał się wtrącić, ale Jack uciszył go gestem dłoni. — Mogę dać panu moją odpowiedź w tej chwili, panie Danker, a brzmi ona nadal: nie. — Jack wstał i przesunął pager po pasku spodni. — I zaraz powiem panu dlaczego. — Pomyślał, że jeszcze chwila i Danker rzuci się na niego, chwyci go za szyję i udusi, taka wściekłość emanowała z jego twarzy.

— Oferta, którą pan przedstawił, jest naprawdę bardzo hojna, ułatwiłaby życie nie tylko mnie, ale i całej reszcie szpitala. Lecz postawiła-

186

by nas wszystkich w pozycji pańskich dłużników, i to na zawsze. Tej jesieni spłacilibyśmy dług, uczestnicząc w promocji cyclintu, ale kto wie, co przyniesie następny rok? Moglibyście zażądać naszego uczestnictwa w międzynarodowych konferencjach medycznych, na których mielibyśmy prezentować i zachwalać wasze produkty. Albo zobowiązalibyście nas do przepisywania wszystkim cyclintu, gdyby sprzedaż jednak nie osiągnęła przewidywanego poziomu. Czy naprawdę naciski ze strony komercyjnych firm mają kształtować poglądy lekarzy? — Był już w połowie drogi do drzwi. — Może pan zacząć się rozglądać za frontmenem w innych szpitalach, bo na moim oddziale nie znajdzie pan chętnego do takiej roboty.

Pager zapiszczał ponownie, zmuszając go do przyśpieszenia kroku, w drzwiach nieomal zderzył się z sekretarką Downesa niosącą tacę z aromatyczną kawą.

ROZDZIAŁ 17

W niedzielne popołudnie dwudziestego drugiego sierpnia nad Chicago przetoczyła się seria gwałtownych burz nadciągających znad rozległych równin zachodu. Zygzaki błyskawic rozświetlały raz po raz granatowe niebo widoczne pomiędzy stalowo-szklanymi ścianami wieżowców, dźwięki gromów wstrząsały posadami monumentalnych budowli. Gniewne wiatry przegnały gorące, wilgotne powietrze hen, nad jezioro Michigan, przynosząc wreszcie ulgę zarówno spragnionym mieszkańcom, jak i przeciążonej sieci energetycznej. Wyłączono klimatyzatory, ludzie przestali się pocić przy każdym kroku, a na wybrzeże powrócili szaleńcy jeżdżący na rolnach. Tuż za frontem burzowym nadeszły ciężkie ulewy; niewyczerpane strumienie deszczu bębniły o dachy i nawierzchnię ulic, przy studzienkach ściekowych zaczęły się tworzyć miniaturowe zalewy, a na chodnikach pojawiły się ogromne kałuże. Ale hrabstwo Cook odetchnęło wreszcie z ulgą, woda zmyła wszelki brud i przyniosła orzeźwienie.

Jack i Beth, leżąc w łóżku w starym mieszkaniu przy West De-ming, wsłuchiwali się w odgłosy towarzyszące załamaniu pogody. Najpierw uderzyły pioruny, potem o dach załomotał grad, a wszystko to po chwili utonęło w szumie gwałtownej ulewy. Grube chmury sprowadziły na ziemię gęsty mrok, przez zaciągnięte kotary w sypialni z rzadka przedostawał się pojedynczy błysk światła.

Nadszedł czas na spłodzenie kolejnego potomka.

W pokoju obok Danny oglądał swój ulubiony film, „Szczęki”. Słyszeli jego pełne zadowolenia piski towarzyszące każdemu atakowi rekina. Film trwał ponad dwie godziny, tyle więc czasu chłopak po-

188

winien być zajęty i tyleż samo prywatności zyskali jego rodzice. A to oznaczało szybki, gorączkowy seks, oboje byli bowiem zdecydowani j spragnieni drugiego dziecka. Tym razem chodziło bardziej o efekt niż o rozkosz. O zapłodnienie. Ale Jack nie był tego dnia w formie. Po dwudziestu minutach jęków opadł na swoją stronę łóżka wyczerpany i sfrustrowany. Otarł spocone ciało prześcieradłem.

— Nie mogę, cholera, nie mogę...

Leżeli milcząc, gapiąc się w sufit, starając się nie dotykać wzajemnie. Wreszcie Beth odwróciła się do męża.

— Co się dzieje?

Jack unikał jej wnikliwego wzroku.

— Nic się nie dzieje. Nie jestem maszyną. Zazwyczaj robimy to z pożądania, a dzisiaj jest tak... automatycznie — w jego głosie dało się wyczuć stres.

Beth owinęła się kołdrą. Za oknem trzasnęła piorun, kilka sekund później znów ujrzeni oślepiający błysk i usłyszeli jeszcze jeden grzmot. Wiatr zawył potępieńczo, zwiastując rychłe nadejście kolejnej ściany deszczu. Z sypialni Danny'ego dobiegły dobrze znane tony melodii poprzedzającej każdy atak rekina, a potem okrzyki rozradowanego dzieciaka. Kiedy po raz pierwszy oglądał ten film, sztywniał ze strachu. Ale teraz, gdy miał za sobą z dziesięć projekcji, radosnym popiskiwaniami witał każde pojawienie się na ekranie białego żarła-cza.

Beth oparła się na jednym łokciu, drugą ręką zmusiła męża, by spojrzał w końcu na nią.

— Znam cię lepiej, niż ci się wydaje, Jack. Jeśli nie potrafisz skończyć, coś musi cię naprawdę mocno martwić. Powiedz mi, z czym masz problem?

— Z niczym — skłamał.

Wiele rzeczy martwiło go tego wieczora. Na szczęście młodociany przestępca, który pobił Danny'ego i zdemolował samochód Beth, rozpułynał się niczym zeszłoroczny śnieg na równinach. Dzięki temu odzyskał przynajmniej trochę spokoju. Za to pojawiło się kilka trudności wiążących się z kupnem posiadłości w Wilmette.

Kiedy dwa dni temu pojechali raz jeszcze przyrzeć się podniszczonemu wiktoriańskiemu domowi, w Jacku odezwała się wrodzona ostrożność. Właściciele zestarzelali się, ich dzieci dawno już opuściły

189

gniazdo rodzinne, sadowiąc się gdzieś na Florydzie, a „Joliet” pozostała bez opieki, aż w końcu wystawiono ją na sprzedaż. Przez pół roku pies z kulawą nogą się nią nie zainteresował. Jack specjalnie się temu nie dziwił.

Pomimo pięknie wyglądających murów z czerwonej cegły i spadzistych dachów, na których pięknie zielenił się mech, wewnątrz domu przedstawiało obraz nędzy i rozpacz, zapach też nie należał do najprzyjemniejszych. Wykładziny były mocno powycierane, nieliczne kotary brudne i zbyt zniszczone, żeby cokolwiek dało się z nich zrobić. Wystrój wewnątrz był nie tylko niemodny, ale i wskazywał na długie lata użytkowania bez remontu. Wyblakłe pastele na ścianach parteru, niedbale położone błękity i zielenie na górze. Stopnie schodów skrzypiące, poręczce rozchwiane. Na wielu drewnianych oknach widać już było ślady spróchnienia, nadawały się tylko do natychmiastowej wymiany. Ale adaptowany strych na poddaszu budynku był precudny, światło słoneczne rozjaśniało ogromną wolną przestrzeń, nadając temu miejscu specyficzny klimat. Świetliki były ogromne, konstrukcję podtrzymywały masywne drewniane filary, miejsca wystarczało do spania i do zabawy, tak więc Danny natychmiast zarezerwował dla siebie tę przestrzeń.

— Mogę tu porozwieszać plakaty z piłkarzami! — Chodził w kółko i już wszystko urządzał. — W tym kącie mogę mieć łóżko, a piłki i sprzęt do baseballu mogę trzymać w tym czymś. — Beth właśnie odkryła niewielkie drzwiczki do pomieszczenia za kominami, które przeznaczono teraz na składzik.

— Tutaj jest fajnie — zawołała z entuzjazmem. — To miejsce nadawałoby się do chowania wszystkich twoich zabawek.

Danny natychmiast zanurkował w środku.

Po godzinie zwiedzania Jack zauważył, że jego żona co rusz wraca do pokoju na piętrze, z którego rozciągał się piękny widok na zieleń ogrodu. Tego dnia słońce stało już wysoko na niebie, rzucając snopy jasnego słońca do wnętrza domu. Mała sypialnia miała może ze dwadzieścia stóp kwadratowych, z wnęką na kabinę prysznicową i niewielką wannę, ściany pociągnięto blaknącym już różem. Spod sufitu zwisały liczne pajęczyny.

— Tutaj mógłby być pokój dla dzidziusia — szepnęła, gdy zostali na chwilę sami. Danny wciąż eksplorował zakamarki na stryszku.

190

— Doprowadzenie tego domu do stanu używalności będzie kosztowało fortunę — odparł Jack. — Osiemset tysięcy za dom i co najmniej pięćdziesiąt na remont, który pozwoli nam tutaj zamieszkać.

— Ale zyskamy tym sposobem nasz wymarzony dom — powiedziała rozdrażniona Beth. — Na resztę życia. Koniec tułaczki. Ostateczny wybór. Żadnych nowych ofert. To dobra okolica, bezpieczna i szkoły są blisko. Czego jeszcze możemy chcieć?

Jack pomyślał, że mówi, jakby była rzeczniczką agencji nieruchomości. Od momentu gdy rozpoczęli poszukiwania nowego domu, nie poznawał swojej żony. Byli ze sobą już ponad dziesięć lat, ale po raz pierwszy zdarzyło mu się widzieć u niej pragnienie dobrobytu. To było zupełnie nie w jej stylu.

— Nie powinniśmy być tacy rozrzutni — próbował argumentować. — jest mnóstwo wspinających domów, które nie będą wymagały takiego nakładu pracy.

Beth otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Naprzeciw, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się spora, porośnięta zielenią otwarta przestrzeń, po której biegały dzieciaki, ich okrzyki i śmiechy niesły się aż tutaj.

— Na rany Chrystusa, Hunt, choć raz nie bądź pan takim realistą — powiedziała. — Chcesz wybrać dom, który podoba ci się odrobinę mniej, i potem przez całe życie tego żałować? A co z bezpieczeństwem? Umówiliśmy się, że znikamy z centrum miasta.

Zatrzasnęła okno z taką siłą, że rama się zatrzęsała, a w powietrzu zawisło sporo kurzu. Potem stanęła na środku pokoju.

— Danny, zbieramy się! Z twojego ojca znów wyszedł stary du-sigrosz!

Jack ugryzł się w język, nie chciał zaczynać kolejnej awantury, ale martwiło go, że znów różnił się tak bardzo w kwestii domu. W głębi ducha wciąż przejmował się konfrontacją ze Steve'em Downesem i dyrektorem Zemdonu. Downes znał jego stanowisko. Jack lojalnie go uprzedzał, że nie zamierza brać udziału w promocji cyclintu. A wykorzystywanie kłopotów, jakie miał jego oddział, i to nie z jego winy, do przymuszenia go do zmiany zdania uznawał za niedopuszczalne. Najbardziej zaś martwiło go to, że ta akurat sprawa daleka była od zakończenia.

191

Niestety na horyzoncie pojawiło się coś jeszcze, coś o wiele bardziej niepokojącego.

— Jest przesyłka specjalna — poinformowała go Helen w piątek po południu, kiedy już zbierał się do domu. — Musi pan podpisać odbiór, bo przeznaczona jest do rąk własnych.

Wyraźnie znudzony umundurowany kurier czekał w sekretariacie, co chwila spoglądając na zegarek. Jack podpisał się nazwiskiem na dokumentach odbioru, zwracając uwagę, że niewielką paczuszkę nadano w Kalifornii. Gdy wrócił do gabinetu i otworzył kopertę, znalazł w niej dyskietkę i list od prawnika. Adwokat reprezentujący „zmarłą doktor Carlottę Drunker” wypełniał jej ostatnią wolę.

„Doktor Drunker zażądała, by w razie jej nagłej śmierci dostarczyć tę dyskietkę do Pańskich rąk poleconą przesyłką kurierską.”

Natychmiast powróciło poczucie winy. Jack raz jeszcze przeczytał krótki list, potem schował go do kieszeni, w myślach układając odpowiedź. Ale co powinien napisać? Dziękuję, ale zupełnie nie wiem, dlaczego Carlotta wybrała właśnie mnie? Nie byłem jej przyjacielem, zaledwie znajomym z Internetu, z którym wymieniała się wynikami badań, na tyle dalekim, że nie miał czasu oddzwonić choćby raz, kiedy

tego potrzebowała najbardziej? Ale wkrótce ciekawość wzięła górę nad poczuciem winy i wsunął dyskietkę do stacji w swoim komputerze, aby otworzyć znajdujące się na niej pliki.

— Do widzenia, proszę nie siedzieć zbyt długo, bo znów będzie miał pan na pieńku z Beth.

Jack był tak zatopiony w czytaniu materiału znajdującego się w pliku, który przeglądał, że nie zwrócił uwagi na słowa Helen. Dopiero o wpół do siódmej zdał sobie sprawę, że znów spóźni się do domu, szybko więc spakował dokumenty do teczki i ruszył na poszukiwanie taksówki, dwukrotnie upewniając się, czy nie zapomniał zabrać ze sobą dyskietki.

— Co tam tak czytasz? — zapytała Beth wieczorem. Jack ignorował ją i Danny'ego podczas kolacji, ledwie wybąkał parę słów, aby podtrzymać rozmowę, i natychmiast wrócił do komputera.

O dwudziestej drugiej jego syn przyszedł uściskać go na dobranoc. O dwudziestej trzeciej Beth puściła wodę do wanny i zaprosiła go do wspólnej kąpieli, odmówił jednak i musiała obejść się smakiem. Dłu-

192

go jeszcze złorzeczyła i narzekała, że czuje się lekceważona i odrzucona. Ale Jack i na to nie zwrócił uwagi.

Skończył lekturę dopiero około trzeciej nad ranem. W materiałach z badań przeprowadzonych przez Carlottę znalazł potwierdzenie wielu swoich przypuszczeń. Ale nawet po zsumowaniu obu prac nie byłby w stanie dokonać ostatecznego werdyktu i zamknąć procesu badawczego. Oboje pracowali nad problemem równolegle, powielając swoje ruchy i jedynie od czasu do czasu wymieniając się uzyskanymi wynikami, nie była to więc praca wspólna w pełnym znaczeniu tego słowa, a tylko taka mogłaby zaowocować udowodnieniem postawionej tezy. Jednakże nowe informacje zamiast ucieszyć Jacka, wprowadziły go w jeszcze większe zaniepokojenie. I kiedy leżał w łóżku w to niedzielne popołudnie, nasłuchując odgłosów ulewy, zdecydował, że nie będzie dzielił się swoimi mętnymi spostrzeżeniami z Beth.

— Nie rozumiem czegoś. — Uznał, że jednak musi jakoś odpowiedzieć na pytanie żony, ale chodziło raczej o zdezorientowanie jej niż wyjaśnienie czegokolwiek. — Steve Downes znów wyznaczył mnie do losowego testu na obecność substancji zabronionych. — Przejechał dłonią po zmierzwionych włosach i odkrył, że lepią się od potu. — W czwartek byłem w samym środku operacji, kiedy wmaszerował na salę z tym odzianym na biało asystentem. „Siknij pan dla mnie, profesorku.” Nie mogłem własnym uszom uwierzyć.

— Dlaczego? — Beth upchnęła poduszkę pod ramię i odchyliła się, aby go wysłuchać. — Przecież ma do tego prawo. Czy to nie jest zapisane w twoim kontrakcie?

— Wiem, że jest zapisane — przyznał Jack. — Ale dawałem mu próbki zaledwie trzy tygodnie wcześniej.

— Och. — To było pełne zadumy „och”. W stylu: tak, wiem, do czego zmierzasz. — Zapytałeś go, dlaczego poświęca ci tak wiele uwagi w tym względzie?

— Tak. Stwierdził, że robię z igły widły. Powiedział mi: „Mamy na hematologii jedną dziewczynę, którą sprawdzaliśmy pięć razy w ciągu ośmiu tygodni” — Jack wypowiedział ostatnie zdanie, udalnie naśladowując piskliwy głos dyrektora. Beth zachichotała, a i on odprężył się nieco. — Ale zaraz kazał iść asystentowi za mną do toalety. Facet zaglądał mi przez ramię, czekając, aż nasikam do słoiczka. Mówię mu,

193

odsuń się, człowieku. Denerwuje mnie, kiedy inny facet znajdzie się za blisko mnie w toalecie.

Nie dodał, że Downes stał się niezwykle skrupulatny akurat przy jego teście.

— Profesorze Hunt, próbówka zostanie zabezpieczona przy panu — przypomniał mu zupełnie niepotrzebnie, jakby to nie rozumiało się samo przez się. — Proszę podpisać tutaj i tutaj i potwierdzić, że próbka została pobrana dzisiaj i przesłana bezpośrednio do laboratorium.

Chichot Beth nagle zamarł, leżeli obok siebie na łóżku, milcząc, aż wreszcie to ona przerwała ciszę.

— Zauważyłeś ostatnio tego czarnego mercedesa na naszej ulicy? Wygląda jak jedna z tych wielkich terenówek, ale ma wszystkie szyby tak mocno przyciemnione, że nie widać wnętrza.

Jack również podniósł się na łokciu, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

— O czym ty, u licha, mówisz?

Jego żona westchnęła ciężko, jakby miała zamiar wyjawić wyjątkowo nieprzyjemną tajemnicę.

— Może jestem przeczulona. Ale tak się boję po tym ataku na Danny'ego... — Odwróciła się. — Sprawdziałam uważnie wszystkie samochody, nawet wozy dostawcze i śmieciarki, jakie pojawiły się w okolicy, i zauważyłam, że przez kilka tygodni parkował w pobliżu czarny mercedes z przyciemnionymi szybami. Pytałam wielu ludzi, ale nikt się do niego nie przyznawał.

To było coś nowego. Jack był tak zajęty pracą, że wychodził i wracał do domu jak w transie, nie zwracając w ogóle uwagi na takie szczegóły. Ale wiedział, że Beth ma skaner w oczach. Zawoziła Danny'ego do szkoły i przyprowadzała go do domu, często wybierała się także na dłuższe spacery do parku Lincolna, zwłaszcza gdy się nudziła albo potrzebowała otwartej przestrzeni, by odparować. West Deming i przyległe okolice leżały na jej terytorium, nikt nie mógł przez nie przemknąć niezauważony.

— Nigdy nie widziałam, żeby ktoś nim jechał albo do niego wsiadał. A mimo to rzadko stał w tym samym miejscu. Kiedyś o trzeciej nad ranem zauważyłam jakiegoś faceta chodzącego wokół tego auta. Jego papieros żarzył się w ciemności.

194

Jack położył się na wznak i zamyślił. Po plecach przebiegły mu ciarki. Takie historyjki słyszałem w psychiatrykach, pomyślał. Jeśli Beth zaczyna opowiadać o tajemniczych mercedesach, to znak, że jest bliska załamania nerwowego. Jesteśmy sobie wari. Ona obawia się niewidzialnych wrogów, a ja szukam spisku w szpitalu. Trzeba z tym szybko skończyć.

Spojrzał na budzik stojący przy łóżku. Za trzydzieści minut „Szczęki” się skończą i Danny wpadnie do ich sypialni, żeby odegrać najważniejsze sceny. A oni będą reagować, jakby nigdy wcześniej nie słyszeli o rekinie ludojadzie.

Jack usiadł na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, odwrócił się tak, by mieć pewność, że Beth skupi na nim całą uwagę.

— Chyba musimy skończyć z tą manią prześladowczą. Dla mnie dwa kolejne testy są już polowaniem na czarownice. A ty nie możesz sprawdzać wszystkich samochodów zaparkowanych w Chicago. Dlaczego ktoś miałby nas obserwować? Jesteśmy najnormalniejszymi obywatelami tego kraju wiodącymi zwykłe, nudne życie. — Wsunął ostrożnie rękę pod kołdrę i delikatnie dotknął ciała Beth. — Dlaczego nie zaczniemy znów żyć tak jak zawsze? — Jego usta odnalazły jej wargi i zaczęli się całować, mocno, z pasją. — Spróbujmy raz jeszcze zmałstrować to dzidzi.

Tym razem udało mu się skończyć, ale gdy leżał potem na plecach, odpoczywając, niepokój powrócił.

Trzy godziny później Jack otworzył drzwi mieszkania i przepuścił żonę i syna. Gonili Danny'ego w drodze do chevroleta. Po ulewie ulice były mokre, chodniki zdobiły głębokie kałuże, pobliskie dachy wciąż parowały. Danny zatrzymał się tylko na moment, aby rozchłapać wodę przy zatkanej studziencie ściekowej. Beth odskoczyła z chichotem, usiłując uniknąć strugi brudnej wody. Po długim przekomarzaniu się i wielu wrzaskach w końcu dotarli do restauracji w pobliżu Oz Park. Lokal specjalizował się w stekach z frytkami i co ważne, tolerowano w nim dzieci.

— Jeden specjał teksański z frytkami, jeden grillowany stek z frytkami, jedna mała połówka z frytkami.

W czasie posiłku Jack rozmawiał z Beth i przekomarzał się z Dan-nym. Obserwował zachowania żony i syna. Jak każdy zapracowany

195

facet nie miał szansy na prawdziwy odbiór drugiej strony życia. Tej rodzinnej. A tego wieczora widział isierki w oczach matki za każdym razem, gdy odzywała się do syna, czuł też wyraźnie niewinność i wrażliwość ośmioletka.

— Zastanawiałem się znów nad tym domem w Wilmette. Wiecie, chodzi o „Joliet”.

Umazana kremem Beth podniosła oczy znad czekoladowej eklery.

— I? — W jej głosie dało się wyczuć podejrzliwość.

— Przeliczyłem sobie kilka rzeczy. — Jack wyjął z kieszeni kopertę i odwrócił ją, żeby móc odczytać zrobione na niej zapiski. — Podsumujmy... Dom jest zniszczony, zapuszczony i stary. Ale to nie ruina.

Beth odłożyła łyżeczkę i zamieniła się w słuch. Danny nie przestawał pakować kolejnych porcji lodów do ust.

— Associated Bank of Chicago da nam kredyt hipoteczny na sto procent inwestycji. Musimy tylko wpłacić zwrotną zaliczkę, oni załatwią całą resztę. Zadzwońłem do kierowniczkę oddziału tego dnia, gdy obejrzelśmy wszystko dokładnie, i zapewniła mnie, że nie muszę się martwić o renowację i wystrój. Stwierdziła, że możemy to spokojnie zmieścić w ramach kredytu.

— Zatem pieniądze nie są już przeszkodą? — zapytała Beth, a Jack wychwycił w jej głosie nutkę wątpienia.

— Zapomnij o pieniądzech. Nigdy nie były przeszkodą. To ja jestem tutaj prawdziwym problemem. Bałwan ze mnie, Beth, taka jest prawda. Praca mnie tak otumania, że nie potrafię jasno myśleć. Dlatego marudzę cały czas, ile to czy tamto będzie nas kosztowało i czy nie zarżniemy się finansowo.

Beth ujęła dłoń męża nad stołem.

— W tej chałupie kryje się ogromny potencjał, panie Hunt. Wiem, że nie interesuje cię żaden z pozostałych, nowoczesnych domów, które oglądaliśmy. „Joliet” omotała cię od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałeś. I tylko ta twoja przesadna ostrożność powstrzymuje cię od jej zaku-pu.

— Ale czeka nas naprawdę wiele pracy, zanim będziemy mogli tam zamieszkać — ostrzegł ją Jack.

— I co z tego? Ja już podobierałam wszystkie kolory. Daj mi trzy miesiące, a dom będzie lśnił nowością. I nie zamierzam tykać parteru,

196

zajmę się wyłącznie górą. Musimy tylko wybrać kuchnię, a później zdać się na prawdziwych fachowców, jeśli chcemy mieć wszystko na wysoki połysk. — Już tryskała entuzjazmem, nie czuła nawet, że wbija paznokcie w dłoń Jacka. — Ale pokój dla dzidziusia ja sama przygotuję.

. — Dla dzidziusia? — wtrącił się Danny. Jego twarz pokryta była górą lodów. — Co ty mówisz? Będziemy mieli dziecko?

Jack roześmiał się i zmierzwił włosy syna.

— Na razie nie, myślimy o tym z wyprzedzeniem. Nie uważasz jednak, że czas poważniej zająć się kopaniem piłki?

— Jeśli dacie mi strych, to umowa stoi!

Jack przybił z synem piątkę.

— Sprzedany panu w krótkich spodenkach siedzącemu w kącie. — Mrugnął do Beth. — Chyba utkneliśmy w tym domu. Nie możemy się wycofać, skoro junior wybrał już swoje terytorium.

— Nareszcie — powiedziała Beth z emfazą. — Koniec z przeprowadzkami, koniec z rozmowami kwalifikacyjnymi, koniec ze szpitalnym żarciem. Osiedlamy się. — Przytuliła Danny'ego pomimo jego protestów. Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach obserwowali ich z uśmiechami na twarzach. Beth aż promieniała ze szczęścia. — Wracajmy do domu, żeby to uczcić. — Posłała w kierunku męża solidnego całusa, a on go zręcznie chwycił. — Wydaje mi się, że butelka szampana będzie na miejscu. — Spojrzała na zegarek. — Jeśli się pośpieszymy, zdążymy do sklepu z alkoholem.

Wyklócali się o szampana przez dziesięć minut. Beth, lekko podchmielona wypitym winem i dodatkowo upojona perspektywą posiadania własnego domu, upierała się przy najlepszym, Dom Perignon. Jack postulował, aby okazała odrobinę patriotyzmu i kupiła australijskie wino musujące. Danny zmęczony tym wszystkim zaczął się wiercić, chciał już wyjść. Ciągnął ojca za nogawkę spodni, nie było więc rady, Dom Perignon wygrał.

Wypili we dwójkę niemal całą butelkę. Beth z każdym kieliszkiem robiła się coraz radośniejsza i coraz częściej chichotała. Danny'emu pozwolili wypić trzy łyżki („Hej, ale mi to smakuje!"), zanim wreszcie przegonili go do łóżka. A oni rozgościli się na komplecie wypoczynkowym w salonie, gdzie jeszcze długo rozprawiali o nowym domu i zmianach, jakie zajdą w ich życiu. A potem zasnęli przytuleni do siebie.

197

ROZDZIAŁ 18

Dni pędziły jak szalone. Rewolucyjne zmiany na oddziale kardiologicznym w Szpitalu imienia Cartera zaczęły nabierać kształtów. Jack, ciekaw postępów w pracach badawczych, zwołał wcześniejsze spotkanie szefów współpracujących oddziałów. Większość miała jakieś uwagi. Pediatrzy na przykład zażądali większej ilości danych, patolodzy domagali się szczegółowych wytycznych dotyczących zasad autopsji, a kardiochirurdzy stwierdzili, że nie chcą brać w tym przedsięwzięciu udziału, ponieważ nie są co do niego przekonani. Prawie całe popołudnie Jack spędził na przekonywaniu tych ostatnich i udzielaniu odpowiedzi na pytania pierwszych i drugich.

A kolejny ranek zajęło mu studiowanie skomplikowanych raportów dostarczonych z działu administracji. Było to wprowadzenie do specjalnego, trzymiesięcznego planu działania całego szpitala, podczas którego kierownik szpitalnej apteki miał sprawdzić, jakie leki są najczęściej przepisywane przez konkretnych lekarzy. A to podziało na medyków jak płachta na byka.

Co więcej, audyt dotyczący wyboru i dawkowania leków nie ominął nawet izby przyjęć. Wzbudziło to zrozumiałe protesty. Co bardziej krewcy już złorzeczyli na boku. Co ciekawe, Nat Parker był jedynym spośród starszych asystentów na oddziale, który się do nich przyłączył.

— Do cholery, Jack, ten szpital tonie już w biurokratycznych procedurach. — Kończyny kardiologa wydawały się jeszcze bardziej ruchliwe niż zazwyczaj. — A to zarządzenie tylko zwiększy ilość papierkowej roboty.

Jack miał na ten temat podobne zdanie, ale niewiele mógł zrobić.

— Widocznie administracja ma na ten temat inne zdanie. Poza tym według ogłoszonych właśnie statystyk liczba powikłań spowodowanym niewłaściwym zastosowaniem leków spadła o sześćdziesiąt sześć procent w chwili, gdy farmaceutyci zaczęli sprawdzać wszystkie recepty. Z faktami trudno dyskutować.

Ale to nie poprawiło humoru jego interlokutora. Bardziej od tego Jacka jednak martwił brak reakcji ze strony dwóch pozostałych starszych asystentów oddziału. Harry Chan i Martin Shreeve pozostali obojętni wobec jego oświadczenia, zwłaszcza ten drugi przez cały czas trwania zebrania tylko głupkowato się uśmiechał. I chociaż nie wypowiedział ani słowa, mową ciała powiedział wszystko.

— Wychwycono kilka nieprawidłowości — konkludował tymczasem Jack — wliczając w to niewłaściwe dawkowanie, złą częstotliwość podawania leku, niewłaściwy dobór leku i dublowanie terapii. — W tym momencie zdecydował się na pierwszy ruch. — A co ty o tym sądzisz, Martin?

Shreeve wzruszył ramionami.

— To ty jesteś tutaj profesorem i ty decydujesz. Jeśli krawaciarze powiedzą: skaczcie, panowie, powinniśmy szybko ruszać schodami na dach. — Wśród młodych lekarzy rozległy się stłumione śmiechy. Nastawienie Shreeve'a było tak nietypowe, że nawet Nat Parker wykręcił głowę jak tylko mógł, nie dowierając, z czyich ust wyrwały się te słowa.

— To prawda. — Jack nie miał siły na dalsze dyskusje. — Przemyślcie sobie to wszystko przez najbliższe dni i potem spróbujmy spotkać się w tej sprawie raz jeszcze. — Kiedy obserwował podwładnych opuszczających jego gabinet, nie czuł się najlepiej, widząc ich złe nastawienie i złość.

Zdawał sobie sprawę z tego, że wydarzenia z jego życia prywatnego ostatnio zdominowały pracę, i obawiał się całkiem serio, że wkrótce może utracić kontrolę nad oddziałem. Potrzebował wsparcia, podszedł więc do guzdrzącego się Harry'ego Chana.

— Wszystko w porządku? Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Irytujący śmiech Chana sprawił, że natychmiast pożałował swoich słów.

— Jest wręcz bajecznie. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Chan wydawał się bardzo zadowolony z siebie. — Prawdę mówiąc szefie, nie pamiętam, kiedy szło nam tak dobrze.

Jack nie potrafił się zdecydować, co irytuje go najmocniej: śmiech, głupkowate grymasy czy nazywanie go szefem. To ostatnie znalazło mu za skórę dlatego, że tak wiele wysiłku włożył w to, by jego ludzie zrozumieli, że są zespołem, w którego pracy liczy się wspólny wysiłek, a nie indywidualne działania.

Wrócił do gabinetu i ostrożnie zamknął drzwi za sobą, wcześniej ostrzegając Helen, by nikt mu nie przeszkadzał. Usiadł za biurkiem, nogi od razu kładąc na blacie, i pozwolił, by czoło pokryły mu głębokie zmarszczki, gdy starał się ocenić bieżącą sytuację. Harry wydawał się zadziwiająco radosny. To mogło oznaczać, że jednak nie ma żadnych ukrytych zagrożeń. Ale co u licha dzieje się z Martinem? Jak na kogoś bez przerwy grożącego swoim prawnikiem zachowywał się dziś wyjątkowo pasywnie. W tym momencie Jack zbeształ siebie za brak wiary w pozytywne skutki przemian, jakie sam wprowadził. Rozchmurz się, chłopie, wszystko idzie po twojej myśli. Przestań się oglądać za siebie i doszukiwać problemów. Rusz się, robota czeka.

Dziesięć minut później pędził już korytarzem, doglądał pacjentów, sprawdzał zalecenia, rozmawiał z ludźmi z izby przyjęć. Robił to, co do niego należało. Tworzył oddział, który miał stać się wzorem dla innych. Wreszcie poczuł się lepiej.

W czwartek drugiego września wpłacili zaliczkę na swój wymarzony dom.

Kiedy opuszcza się Chicago, jadąc Sheridan Road, łatwo zorientować się, kiedy dotarło się do Wilmette, to tutaj droga gwałtownie skręca. Po prawej oczom ukazuje się majestatyczny widok jeziora Michigan, po lewej natomiast stoi gigantyczna świątynia, koronkowa robota murarzy wyglądająca, jakby żywcem przeniesiono ją z Indii. Ta zadziwiająca budowla jest zaledwie jednym z piętnastu domów modłów w okolicy. Trzymając się wybrzeża, dociera się do Wilmette, pierwszego w ciągu wielu podobnych przedmieść, z których składa się dzielnica North Shore. Najwięcej wartych miliony posiadłości można znaleźć tuż nad jeziorem, ale przy wylocie za miasto trafiają się i takie za dwieście tysięcy.

200

W swoich najśmielszych snach Jack nie przypuszczał nigdy, że może osiąść w tak bogatej okolicy. Gdyby go zapytano, stwierdziłby, że to nie w stylu jego ani tym bardziej w stylu Beth. Ale okazało się, że jedynym skutecznym sposobem na powstrzymanie żony od wyjazdu z Chicago było przeniesienie się na przedmieścia. Z tylnego siedzenia obserwował więc, jak Beth prowadzi ich nowego chevroleta, a jechała w stronę biur Suburban Properties, nie ukrywając ekscytacji z przeprowadzki do tak prestiżowej miejscowości. Ostatnimi czasy każdego dnia dowiadują się czegoś nowego o tej kobiecie, pomyślał.

— Jeśli wolno mi coś powiedzieć, pani Hunt, stwierdzę, że to świetny dom — zagrzmiał Paul Ridge, stary agent z Suburban Properties.

Beth i Jack odsunęli krzesła od biurka. Danny, jak to beztroski dzieciak, przyłożył obie dłonie do uszu i wykrzywił się niemiłosiernie. Na szczęście Ridge nie dostrzegł tego gestu, jego głowa bowiem zniknęła właśnie w stertach papierów. Beth machnęła ostrzegawczo w stronę syna, na co odpowiedział niewinnym wzruszeniem ramion. Poskręcane i sękaty palce pośrednika przemykały po kolejnych stronach umowy. Tego dnia starzec włożył jeszcze bardziej poważnie wyglądający garnitur, do tego nieskazitelnie białą koszulę i czarną muszkę. Jego klienci przeciwnie, ubrali się jak na plażę: w szorty i bluzki, nic wyszukanego. Beth ze względu na upał spięła włosy w wysoki kok. Znów czuło się wilgoć w powietrzu, ale tym razem temperatury były łaskawsze, rzadko przekraczały osiemdziesiąt pięć stopni Fahrenheita, a to dzięki chmurom, które skutecznie filtrowały bezlitosne promienie słońca.

— Możemy zawrzeć tę umowę choćby dzisiaj, jeśli wpłacą państwo sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki, czyli dwadzieścia procent od pełnej kwoty sprzedaży, którą ustalono na osiemset tysięcy.

Jack zaczął wypisywać czek. Associated Bank of Chicago przydzielił mu pełen kredyt, gdy wpłacił obowiązkowe dziesięć tysięcy dolarów prowizji.

— Pozostała część kwoty... — Wilgotne oczy Ridge'a zwróciły się w stronę liczb, które przed chwilą wypisał sobie na osobnej kartce — czyli sześćset czterdzieści tysięcy dolarów — przerwał na moment, by kwota ta zapadła klientom w pamięci — wpłaci pan do ostatniego

201

dnia tego miesiąca, o ile wszystkie warunki umowy zostaną spełnione. Oczywiście będą jeszcze koszty dodatkowe, takie jak na przykład opłaty za odpis z hipoteki, należne podatki et cetera.

Osiemset tysięcy dolarów. Beth spojrzała w stronę męża, wzrok miała poważny i zdecydowany. Marzyła o tym dniu od lat, wyobrażając sobie jego przebieg w tak wielu zaniedbanych mieszkaniach służbowych. Spoglądając na łuszczący się sufit, wypłowiałe tapety, wytarte wykładziny, zastanawiała się wielokrotnie, czy kiedykolwiek będzie ich stać na własny dom.

W jednym z mieszkań panował taki brud, że zażądała natychmiastowej wyprowadzki. Karaluchy w zlewozmywaku i w łazience, grzyb na suficie, wilgoć dostająca się przez nieszczelne okna. Danny był podówczas jeszcze oseskiem, nie miał nawet roczku, i świeżo upieczona matka wciąż obawiała się o jego zdrowie.

— Chyba muszę mianować cię matką założycielką, skarbnikiem i jedynym członkiem Towarzystwa Ciągłego Zaniepokojenia — marudził wtedy Jack. Beth naprawdę potrafiła zauważyć zagrożenia nawet tam, gdzie ich nigdy nie było. Była święcie przekonana, że jej dziecko, raczkując po brudnych podłogach (choć szorowała je dwa razy dziennie), narażało się na złapanie mnóstwa paskudnych chorób. Gdy Danny kichnął, winna była zepsuta klimatyzacja, za słabe ogrzewanie albo niewłaściwa wentylacja mieszkania. Jeśli temperatura podniosła się choćby o stopień, dzieciak był przebierany w lżejsze śpiochy, jeśli spadła o tyle samo, musiał pocić się w grubych wełnianych wdziankach. Beth starała się przewidywać na własną rękę zmiany pogodowe, przekonana, że natura także spiskuje przeciwko niej. Niestety nie miała żadnej kontroli nad żywiołami, dlatego przynajmniej w kwestii mieszkania musiała zawsze stawiać na swoim. Wtedy na przykład wy-maszerowała z nowego lokum i spędziła dziesięć dni w tanim hotelu, zanim Jack nie załatwił zmiany przydziału. W końcu udało mu się wyszukać niewielkie mieszkanie, na tyle bliskie miejsca pracy, że mógł całkowicie zrezygnować z dojazdów. Spędzili w nim kolejne sześć miesięcy, egzystując na krawędzi załamania, podczas gdy Jack zdobywał kolejne punkty do swojego CV.

Tak wyglądało ich prawdziwe życie. Zawsze w drodze, od jednej posady do drugiej: Sydney, Londyn, Filadelfia, Nowy Jork. Te były lepsze, tamte gorsze, ale wszystkie nie spełniały wymagań stawianych

202

przez młodą matkę i jej synka. Kiedy Danny zaczął chodzić, zamieniając się w żywe srebro, Beth z trudem potrafiła go okiełznać. Przeciętne mieszkania służbowe należące do szpitali były maleńkie, czasami tylko zdarzało się troszkę więcej przestrzeni do życia, ale nigdy z pewnością nie nadawały się na plac zabaw, gdy na dworze padało. W jednym z takich miejsc piłka do futbolu wybiła pierwszą z jakże wielu szyb. Cierpliwość Beth czasami się wyczerpywała, co prowadziło w prostej linii do kolejnych błagań o zmianę, na które jednak Jack pozostawał głuchy. Wkrótce zrozumiała, że jej mąż oddaje całe swoje serce pracy badawczej, która była jego jedyną pasją, i nigdy nie zrozumie jej narzekań. Ale dzisiaj ich droga przez mękę dobiegła właśnie końca.

— Sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów. — Jack podał agentowi dopiero co wypisany czek.

Paul Ridge dokładnie go obejrzał, potem zwrócił się do Beth.

— Zasluguje pani na tę posiadłość jak nikt inny, pani Hunt.

— Odpowiedziała mu uśmiechem. Po tylu tygodniach wspólnych poszukiwań i przeliczeń ona i ten przemity starszy pan zaprzyjaźnili się ze sobą. On poznał całą historię jej przeprowadzek, łącznie ze szczegółowymi opisami miejsc najbardziej zasługujących na uwagę.

— Mam też nadzieję, że mały Danny będzie się tam czuł jak u siebie. W tej okolicy dzieciaki przybiegają do domu tylko na lunch i bawią się do woli, wiedząc, że są całkowicie bezpieczne.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak ważne jest to ostatnie zapewnienie dla siedzącym przed nim trzech osób. Beth rzuciła okiem na Danny'ego i zauważyła, że tym razem miał tyle przyzwoitości, by nie zakrywać piąstkami uszu.

— Wielu mieszkańców uważa, że to miejsce jest jak Camelot — kontynuował tymczasem Ridge. Zdawać się mogło, że chce koniecznie wyjaśnić, skąd wzięła się tak wysoka cena posiadłości. — Tutaj nie sprzedaje się domów, nawet jeśli chce się czegoś większego. Nie, proszę państwa, tutaj się dobudowuje. W ubiegłym roku wydano w tej okolicy niemal tysiąc pozwoleń na takie przeróbki. Tym sposobem zniknęło z widoku wiele pięknych ceglanych budynków. — W dudniącym głosie dało się wyczuć nostalgię za starymi, dobrymi czasami.

*

203

Jechali w kierunku najnowszej inwestycji w kompletnym milczeniu. Po drodze minęli nowoczesną posiadłość ze szkła i stali, którą mieli oglądać na samym początku poszukiwań w tej okolicy, ale wtedy Jack został zauroczony pięknem „Joliet”. Tamten dom wyceniono na sześćset tysięcy i nadawał się do natychmiastowego zamieszkania. Jack rzucił okiem na jego lśniąca nowością fasadę, znów zastanawiając się, czy nie wydali zbyt wiele. Uliczka była niezwykle spokojna, widać na niej było tylko kilkoro dzieci, ścigały się po niej na rowerkach, i jednego z sąsiadów, który wylewał do ścieku wiadro pianistego płynu, którym przed chwilą mył swój samochód.

— Dobry dzień na zwiedzenie okolicy.

Beth nie odpowiedziała, wpatrywała się uważnie w ulicę przed sobą. Jack wyczuł w niej napięcie.

— Coś nie tak?

Zatrzymała się, aby skręcić w prawo, włączyła migacz, ale nie spuszczała oczu z lusterka.

— Nie, skądże...

Samochód skręcił i ruszył wzdłuż szeregu domków z czerwonej cegły. Za nimi Jack dostrzegł już czerwono-niebieską tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”, która zdobiła trawnik przed ich nowym nabytkiem. Spojrzał na żonę i zauważył, że przygryza nerwowo dolną wargę. Położył jej na ramieniu dłoń i ucisnął lekko. Gdy dobiła do krawężnika, uśmiechnęła się nerwowo. W końcu odezwała się do niego:

— Panie Hunt, jeszcze nigdy nie wydaliśmy tylu pieniędzy. Mam nadzieję, że nie spędzisz reszty dnia na żałowaniu tego zakupu?

Jack zacisnął pięć i uniósł ją w górę.

— Nie ma już odwrotu, Beth. Tutaj zostajemy. Zapomnijmy o pieniądzach i żyjmy jak ludzie.

Danny nagle wychynął spomiędzy foteli.

— Skończcie już gadać, chciałbym obejrzeć mój pokój.

Spędzili całe dwie godziny, kręcąc się po pustym domu; tylko echa

ich kroków rozbrzmiewały w kompletnej ciszy. Beth nie wypuszczała z dłoni zwijanej miarki, szczególną uwagę poświęciła pokojowi dla przyszłego dziecka. Mierzyła wszystko po kilka razy, a rezultaty zapisywała w notesie. Skoro żona w skupieniu zajmowała się badaniem wnętrza, Jack wykorzystał okazję i rzucił okiem na okładkę ka-

204

jetu. Wykaligrafowała na niej tylko jedno słowo, „Joliet”, w środku natomiast spisywała prócz pomiarów także wszystkie uwagi. Trzeba zdjąć wszystkie wykładziny i zasłony podczas malowania piętra. Dywany nadają się tylko do wyrzucenia. Zamówić stolarza do naprawy schodów, bo nie wyglądają na bezpieczne. Sypialnia do malowania, w przyległej łazience cała armatura do wymiany. Było tego sporo na parunastu zapełnionych drobnym pismem stroniczkach.

Danny zniknął w swojej kryjówce na poddaszu, mogli tylko słyszeć tupot jego nóg, gdy przebiegał po drewnianej podłodze. Kiedy Jack i Beth stanęli w pokoju dzieciennym, oczy Beth zaszklily się, gdy oparła się o ramię męża.

— Chyba będziemy musieli wyłożyć górny poziom grubą wykładziną, aby ukrócić te hałasy — zauważył Jack.

— Też tak myślę. Ale nadal uważam, że powinniśmy zacząć remont od piętra i iść w górę. Powoli, pokój po pokoju, bez pośpiechu. — Wspięła się na czubki palców i delikatnie pocałowała męża w policzek. — Chyba poświęcimy resztę życia na doprowadzenie tego miejsca do porządku.

Gdy wyszli na zewnątrz, przytulili się do siebie, jak przystało na męża i żonę, i zgodnie podziwiali wygląd swojego nowego domu. W ostrym świetle słonecznym strome dachy połyskiwały wesoło, a wyłożone czerwoną cegłą ściany zdawały się ciepłe i kuszące.

— Jaki on jest piękny — szepnęła Beth. — O takim marzyłam od lat. — Objęła męża obiema rękami w pasie i ścisnęła mocno. — I co pan na to, panie Hunt? Jest pan wreszcie szczęśliwy?

Jack zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał uważnie na swoją własność.

— Nie przypominam sobie lepiej wyglądającej posiadłości — oświadczył w końcu.

Przyjemne rozmyślenia zakłócił im ryk radości. Danny myszkował właśnie po drugiej stronie ulicy. Znalazł porzuconą piłkę i pognał za nią wzdłuż chodnika; jemu nie brakowało nic więcej do szczęścia.

— Zostało nam tylko sześć tysięcy oszczędności. — Jack poinformował Beth, zanim odjechali. — Kupiłem chevroleta za nową wypłatę i część zbieranych pieniędzy.

205

Beth nie zastanawiała się dłużej niż dziesięć sekund nad jego słowami.

— To powinno na początek wystarczyć — oświadczyła. — Możemy rozpoczynać pierwsze prace remontowe.

Krzyk Danny'ego powstrzymał rodzącą się awanturę. No i dwukrotnie już przesuwane spotkanie z prawnikami kancelarii adwokackiej Weinberg i wspólnicy.

Lekarze nienawidzą prawników. A ponieważ nie jest to żadną tajemnicą, prawnicy odwzajemniają to uczucie. Weinberg i wspólnicy mieścili się w centrum handlowym w samym środku miejscowości. W klimatyzowanej poczekalni wisiało oprawione w ramkę ogłoszenie wycięte z żółtych stron tutejszej książki telefonicznej, na którym można było zobaczyć poprawione w Photoshopie zdjęcie Herba Weinberga (wyglądał zupełnie jak w telewizji) oraz zdania następującej treści: „Uszkodzenia ciała i nieruchomości. Sprawdzone hipoteki. Wyszukiwanie aktów własności, wyceny, ubezpieczenia”. A pod częścią dotyczącą uszkodzeń ciała widniał dopisek: „Ta firma naprawdę pomaga ofiarom”. Ale nawet takie zapewnienia nie zmieniły negatywnego nastawienia Jacka, którego nabrał zaraz po wejściu na terytorium wroga. Nie zważając na błagalne spojrzenia Beth i wymuszone chichoty Danny'ego, czytał dalej. „Wygrywamy od ponad trzydziestu lat; opłaty pobieramy tylko w wypadku wygranej; wypadki samochodowe... odpowiedzialność cywilna... uszkodzenia ciała na skutek upadku z wysokości... przypadkowe spowodowanie śmierci... pogryzienie przez psa. Se habla Español”.

Jack w końcu dotarł do frazy, która nieomal przyprawiła go o apopleksję: „Błędy lekarskie”. Nic tak nie wkurzało lekarzy jak czyhający na każdy błąd w leczeniu adwokaci. A ledwie kilka zdań dalej Jack doczytał

się, że kancelaria Weinberg i wspólnicy doprowadziła do „zabezpieczenia na poczet odszkodowania wielu posiadłości wartych miliony dolarów”. Tym sposobem spełniły się jego najgorsze przeczucia.

Biura były jasno oświetlone i urządzone w nowoczesnym stylu. Siedziała w nich sekretarka, kobieta w średnim już wieku i o niena-chalnej urodzie, waląca jak szalona w klawiaturę komputera. Była ostatnią przeszkodą na drodze pomiędzy nimi a wielkim szefem. Jack widząc to skromne biuro zaczął podejrzewać, że rzekomi „wspólnicy” pana Weinberga istnieją jedynie na papierze.

206

— Jak się państwo mają? Zapraszam do biura.

Herb Weinberg był niewysokim grubaskiem o wiecznie uśmiechniętej twarzy wciśniętym w tak przyciasny garnitur, że musiał odczuwać ból przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Nosił też okulary, które bez przerwy ześlizgiwały mu się z nasady pulchnego nosa, wymuszając nieustanne ich poprawianie. Krzaczaste brwi trzęsły się, gdy mówił, na obu policzkach widać było sine żyłki. Miał maleńkie, nalane dłonie, którymi bez przerwy bębnił o skraj prostego biurka w orzechowej okleinie, i akcent zdradzający, że nie zdołał zerwać wszystkich wiejskich korzeni. Na blacie przed nim stał włączony monitor komputera, obok spoczywały dwa długopisy i podkładka z bloczkiem do zapisywania.

Wymienili uścisk dłoni, potem prawnik przejechał dłonią po włosach Danny'ego w przyjaznym geście. Chłopak odpowiedział uśmiechem i zaraz zerknął na ojca. Posępny wzrok Jacka wskazywał, że poczytał sobie tę uległość za jawną zdradę.

— Przeprowadzacie się w nasze okolice? — Prawnik opadł na obijany skórą fotel.

— Tak — odparła Beth. — Właśnie wpłaciliśmy zaliczkę na posiadłość przy Shimna Avenue.

Herb wyglądał na szczerze zaskoczonego.

— Shimna Avenue. Przy tej ulicy mieszka wiele szych. — Odwrócił się w stronę Jacka. — Musi pan nieźle zarabiać w Carterze, doktoru. — Nikt nie odpowiedział na jego uśmiech. — Zatem chcą państwo, abym zajął się prawną stroną przedsięwzięcia?

Aczkolwiek Jack był wrogo nastawiony do tego człowieka, musiał przyznać, że do tej pory Herb Weinberg nie okazał nawet śladu nienawiści do lekarzy. Wywiązała się krótka dyskusja na temat ich oczekiwań względem kancelarii. Prowadziła ją wyłącznie Beth, Jack kiwał jedynie głową w momentach, gdy wzrok Weinberga włączał go do wymiany zdań. Piętnaście minut później mieli już dogadaną kwestię prowizji, czasu potrzebnego na wykonanie pracy i ustalili listę potrzebnych dokumentów.

— Ósmy października. — Herb przejrzał kalendarz. — Macie przejąć własność w południe tego dnia, więc musimy załatwić wszystkie sprawy najpóźniej rano. Wolałbym nie widzieć was koczujących pod moimi drzwiami podczas weekendu.

207

Beth zaśmiała się nerwowo. Danny zachichotał, a wzrok Jacka stał się jeszcze bardziej posępny. Ale gdy spotkanie dobiegało końca, przestał się wreszcie chmurzyć. Herb nie był krwiożerczym ogrem. Służył im chętnie radami i dzielił się bogatą wiedzą o sąsiedztwie, sugerował Beth, które sklepy i szkoły brać pod uwagę, doradził też, do której drużyny juniorów powinien zapisać się Danny. Podał nawet Jackowi adres swojego klubu golfowego.

— Pogadam z paroma osobami, może da się przeskoczyć kilka miejsc na liście oczekujących.

— Aleja nie gram w golfa. — Jack powtarzał to jak mantrę przez całe życie.

Herb spojrział na niego jak na Marsjanina.

— To co z ciebie za doktor, jak nie grasz w golfa? Wydawało mi się, że wykładają tę grę na uczelniach medycznych.

Prostoduszność i humor zwyciężyły w końcu i Jack całkowicie się odprężył. Nawet roześmiał się przy dwóch żartach prawnika. Gdy wracali do domu, na West Deming, obserwując godziny szczytu na pasach w przeciwną stronę, omal nie przegapił zjazdu do drogiej restauracji, do której miał zamiar zaprosić rodzinę. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo wciąż jest zmartwiony. Przecież w końcu miał własny dom, wymagające stanowisko pracy i tworzył podwaliny pod oddział kardiologiczny światowej klasy. Czas skończyć ze zmartwieniami i zacząć żyć.

— Nie wpuszczacie dzieci? — warknął na maître d'hôtel. — Zamierzamy coś uczcić, a wy nie wpuszczacie dzieci?

Tym razem Beth, choć zwykle starała się łagodzić takie spory, wykazała sporą dozę uporu.

— Może da nam pan ten maleńki stoliczek przy oknie? Stoi na uboczu i nikt nie będzie nas widział.

Jej kobiecy urok podzielał. Podobnie jak upodobanie kelnera do blondynek o brązowych oczach, smukłych opalonych nogach i wydatnym biuście.

ROZDZIAŁ 19

Doktor Gert Crozer wrócił do Nowego Jorku, właśnie dotarł do siedziby firmy na Manhattanie. Siedzący za wielkim wiśniowym biurkiem Stan Danker prezentował mu szczegóły planu promocji cyclintu i wyjaśniał, jakie strategie firma ma zamiar wykorzystać przy tej akcji. Wszystkie telefony zostały rozłączone, a Maria otrzymała polecenie załatwiania wszystkich interesantów.

— Począwszy od dwudziestego dziewiątego września zamierzamy rozpocząć kampanię reklamową w ogólnokrajowych stacjach telewizyjnych. Od wybrzeża do wybrzeża, tylko największe stacje rozsiewcze i kablowe. Równocześnie będziemy się koncentrowali na kampanii bezpośredniej. Wynajęliśmy już odpowiednią liczbę pielęgniarek, które pojawią się w centrach handlowych, oferując darmowy pomiar ciśnienia krwi. Rozdamy także broszurki wyjaśniające działanie i stosowanie leku.

W gabinecie pojawiła się Maria, niosąc tacę z kawą i kanapkami, jej szef skorzystał więc z okazji i przerwał wyjaśnienia. Uśmiechnęła się nerwowo w stronę Crozera, potem rzuciła pytające spojrzenie na Dankera, ale ten odesłał ją skinieniem głowy. Nalał sobie odrobinę kawy, dodał śmietanki, a potem wybrał kanapkę z razowego chleba z kurczakiem. Począł, aż Crozer usiadł wygodniej, i nacisnął klawisz znajdujący się po lewej stronie biurka. Światła w gabinecie pociemniały, automatyczne rolety zasłoniły okna. Z rzutnika pod sufitem wytrysnął snop kolorowego światła, padając na ekran ukryty do tej pory pod jednym z wielkich obrazów.

209

— Tutaj mamy wykaz dostępnych okienek reklamowych podczas wszystkich liczących się programów.

Usłyszał pomruk aprobaty. Klik. Następny slajd.

— Mamy międzystanowe wieczorki edukacyjne dla farmaceutów, po których wszyscy obecni otrzymają bony towarowe wartości dwustu dolarów.

— Dobre, to jest dobre.

Klik.

— Oferujemy pewien procent od zysków każdemu lekarzowi rodzinnemu, który będzie przepisywał cyclint. To nasza najliczniejsza grupa targetowa i zarazem najprostsza do pozyskania.

Klik.

— Aby zapewnić ściślejszą współpracę pomiędzy lekarzami przepisującymi i aptekarzami wydającymi leki, zastosujemy system rozsądnych zniżek. W pierwszym miesiącu przyniesie nam to pewne straty, ale odrobimy je z nawiązką w kolejnym kwartale. Dzięki temu cyclint zdoła efektywnie wyprzeć z rynku inne leki kardiologiczne. Dodatkowo farmaceuci będą proszeni o informowanie drogą mailową swoich kolegów i znajomych z branży o korzyściach płynących z przezucenia się na cyclint. Powinno to zostać odebrane jako ich własne działanie, a nie kolejny ruch marketingowy.

— Znakomity pomysł.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której Danker łapczywie wgrzył się w kanapkę. Kolejne kliknięcie. Na ekranie pojawiło się zdjęcie młodej kobiety w służbowym uniformie Zemdonu. Doskonale skrojony granatowy blezer, pod spodem idealnie biała bluzka i długa lniana spódnica w kolorze kremowym. Trzy górne guziki żakietu były rozpięte, rozcięcie spódnicy przesunięte na bok.

Klik. Ta sama kobieta, to samo ubranie, inna poza.

— Ten strój zaprojektowano tak specjalnie — wyjaśnił Danker.

— Dziewczyny mogą być skromne albo prowokujące, w zależności od potrzeby. Zależnie od lekarza, do którego się udają. Jeśli trafią na dziwaków albo pedziów, zachowają pełną kulturę, przy facetach z jajami będą mogły iść na całość.

— A co z kobietami? — zapytał Crozer. Był naprawdę zaabsorbowany pokazem, kawa nietknięta, kanapka ledwie nadgryziona.

— A co z lekarkami?

210

— To zależy od oceny naszych ludzi. Jeśli są młode i atrakcyjne, pošlemy do nich najprzystojniejszych agentów. Do pozostałych ruszy nasz plankton.

Klik. Zdjęcie powszechnie znanego i szanowanego profesora kardiologii z Bostonu.

— Oto opiniotwórcze postacie, które możemy wciągnąć do promocji. Na przykład ten miły pan lubi rozładować emocje przy pomocy szmat.

— Szmat? — Crozer znał to słowo, ale chyba nie we wszystkich jego znaczeniach.

— No, szmat — zaczął wyjaśniać Danker. — Dziewczyn na telefon... tych tam, prostytutek.

— Ach, die Dirnen.

Przez moment Stan Danker przyglądał się podejrzliwie swojemu przełożonemu z Zurychu. Nigdy nie widział, by ten się objadał albo pił alkohol, nie zdarzyło mu się też widzieć tego człowieka w towarzystwie kobiety, poza pracownicami firmy oczywiście. Jak o n rozładowuje swoje emocje? Czy całe noce spędza na przeliczaniu zysków i strat? A może w jego zbroi istnieje jakaś szpara?

— Staramy się uzależnić jak największą liczbę znanych lekarzy. Dlatego czasem korzystamy z usług pań i panów lekkich obyczajów.

Brooklyński żargon Dankera mógł być mało zrozumiały dla zagranicznego gościa, ale ogólny kierunek tej części promocji z pewnością był jasny. Dyrektor obserwował Crozera z uwagą. Zdaje się, że był zadowolony z tego, co usłyszał.

Klik.

— Taka kartka, przytwierdzona do butelki porządnego wina, zostanie rozesłana do wszystkich zarejestrowanych kardiologów na świecie.

Na ekranie pojawił się front kartki z życzeniami, widniało na nim wielkie czerwone serce ze strzałą, która przechodzi przez jego górną lewą część.

Klik. Kolejny slajd trafia na ekran.

— Oficjalna strona internetowa poświęcona cyclintowi pojawi się w Sieci pierwszego października. Na północnoamerykańskim serwerze będzie dostępna w czternastu językach. Zamówienia na lek będzie można przysyłać pocztą elektroniczną albo faksem. Planujemy także

211

umieszczenie na stronie formularzy zamówień dla klientów indywidualnych, które będą następnie przekazywane do naszych zaufanych kardiologów. Zaoferujemy im promocyjną cenę siedemdziesięciu pięciu dolarów za opakowanie zbiorcze, a lekarstwa zostaną wysłane natychmiast po otrzymaniu potwierdzenia recepty.

Crozer nie ukrywał podniecenia.

— Znakomity i odkrywczy pomysł.

— To jeszcze nie wszystko — powstrzymał go dumny z siebie Danker. Znalazł się na swoim ulubionym terenie. — Rynek leków w Stanach Zjednoczonych został oszacowany w minionym roku na sto dwa miliardy dolarów, a szacunki mówią o kolejnym wzroście, co najmniej o trzydzieści dwa procent w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Dwadzieścia procent kupujących w Sieci to emeryci, czyli nasza grupa docelowa. Negocjowaliśmy dobre warunki sprzedaży ze wszystkimi sieciami aptek internetowych i udało nam się przekonać je do współpracy. Wydaje mi się, że uda nam się sprzedać dodatkowe dwadzieścia procent dzięki Internetowi. A to oznacza prawdziwe góry pieniędzy.

— Znakomicie, znakomicie. — Crozer wpadł w euforię. — To jest naprawdę wyśmienity plan. — Uśmiechał się. Danker nie był w stanie przypomnieć sobie innej miny tego człowieka niż smutna albo wręcz posępna. — Czekają nas ciekawe chwile, herr Danker.

Rolety powędrowały w górę, ekran zniknął za obrazem. Jedno naciśnięcie klawisza interkomu i Maria wniosła napoje orzeźwiające. Danker obrócił swój fotel i wsparł brodę na splecionych palcach. A potem przemówił.

— Wszystkie te działania zostaną przeprowadzone jednocześnie. Za sześć miesięcy cyclint trafi do wszystkich aptek w każdym stanie. Już wstępne wyliczenia sugerują, że wpływy z jego sprzedaży w Ameryce Północnej przekroczą całkowitą sumę kosztów poniesionych na badania. A w przyszłym roku będziemy już tylko liczyli zyski.

— A co słyhać w sprawie Chicago? — Crozer uderzył bez najmniejszego ostrzeżenia.

Powietrze natychmiast uszło z Dankera.

— Nadal mamy tam problemy. Hunt nie chwycił przynęty.

— Mówiłem, żebyście zmienili taktykę działania.

212

Crozer przeszedł na swoje ulubione miejsce, stanął tuż przed panoramiczną szybą sięgającą od podłogi aż po sufit. Na ulicy, daleko w dole, samochody tłoczyły się w korkach, jadąc zderzak przy zderzaku, a piesi usiłujący przedrzeć się na drugą stronę ryzykowali co chwilę całość kończyn, a nawet życie. Nieco dalej wielkie promy przedzierały się przez spienione wody rzeki Hudson, wioząc pasażerów w stronę wyspy Ellis. Na zewnątrz zrobiło się chłodno, niewiarygodnie wysokie temperatury, jak na wrzesień oczywiście, spadły tego ranka do góra pięćdziesięciu stopni, co było efektem przejścia nad miastem chłodnego frontu.

Danker westchnął.

— Doktorze Crozer, ile razy mam to panu wyjaśniać? — Jego słowa zabrzmiały dość krnąbrnie, mówił, jakby pouczał nieznośnego nastolatka. — Próbowaliśmy podejść go na różne sposoby. To naprawdę trudny przeciwnik. — Crozer słuchał cierpliwie, nic nie mówił. Danker kontynuował więc: — Do rozpoczęcia sprzedaży cyclintu pozostało — sprawdził daty w kalendarzu — około trzydziestu dni. Poczekam jeszcze tydzień i jeśli niczego nie wskóramy, przejdziemy do wykonywania pańskiego planu.

Crozer zaczął przechadzać się po gabinecie.

— A co jeszcze zrobicie w tej sprawie? — Postukał okularami w drucianej oprawie o szczękę.

Nic, pomyślał Danker. Mam już po dziurki w nosie tego cholernego Hunta. Dlaczego nie możemy olać tego człowieka i wziąć na jego miejsce kogoś innego? Kogokolwiek. Jezu, życie stałoby się wtedy o wiele prostsze.

— Naciskamy na dyrektora szpitala. Jest równie zainteresowany jak my doprowadzeniem tego interesu do końca.

— To wciąż ten sam Steven Downes, o którym wspomniał mi pan podczas naszej poprzedniej rozmowy, herr Danker. Do tej pory nie zrobił niczego pożytecznego w naszej sprawie i domyślam się, że w przyszłości niewiele to się zmieni.

Stan Danker był zaskoczony tak trafną oceną sytuacji dokonaną przez swojego szefa z Zurychu. Ten facet miał do czynienia ze wszystkimi szefami filii regionalnych, zapewne robił podchody do wszystkich czołowych kardiologów świata, a mimo to nie przestał martwić się Chicago.

213

— Nie skreślałbym go tak szybko. To on trzyma rękę na pulsie w Carterze. Zna wszystkie podziały wśród swoich ludzi i jeśli istnieje na to choćby najmniejsza szansa, pomoże nam wybrnąć z impasu.

Gert Crozer wsunął okulary do kieszeni marynarki. Obciągnął rękawy, potem poprawił koszulę, na koniec sprawdził efekt tych działań w wielkim lustrze.

— Sugeruję panu, herr Danker, szybkie usunięcie Jacka Hunta z naszej drogi. Czas ucieka.

Wyszedł z gabinetu, nawet się nie żegnając.

Crozer, gdy znalazł się na dole w zatłoczonym holu manhattań-skiego wieżowca, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Czterdzieści sekund później ktoś odebrał, sama rozmowa nie trwała dłużej niż minutę. Dyrektor z Zurychu złożył telefon, przeszedł przez obrotowe drzwi i wmieszał się w tłum przechodniów.

ROZDZIAŁ 20

Piątek pierwszego października. Mieszkanie przy West Deming wygląda, jakby zamieniono je w pomieszczenia magazynowe. Salon, sypialnie i prowizoryczny gabinet zasypano kartonami. Część z nich Beth wybłagała w pobliskim spożywczaku, pozostałe załatwiła w tym samym monopolowym, w którym zakupiła butelkę Dom Perignon. Największe i najmocniejsze pudła dostarczyła firma przeprowadzko-wa.

— Do ilu doliczyłeś?

Danny, który z tej okazji został zwolniony ze szkoły, zamyślił się głęboko, nasrożył brwi i wyduł wargi. Brakowało tylko dymu, który powinien wydobyć się z jego uszu.

— Dwadzieścia dwa.

— Dobry chłopczyk.

Beth była podniecona, rozradowana, a zarazem spanikowana. Kartony ponumerowała w takiej kolejności, w jakiej miała je rozpakowywać w nowym domu za co najmniej dwa tygodnie. Samochód wynajęty do przewiezienia wszystkich rzeczy miał się pojawić dopiero w piątek rano. Wszystko miało się znaleźć jeszcze tego samego dnia w Wilmette. A to mieszkanie musieli opuścić i przygotować na przybycie nowych lokatorów do kolejnego piątku, czyli piętnastego października. A jeszcze kilka dni wcześniej uważała, że ma wszystko pod kontrolą. Z wyjątkiem pogody. Deszcz nie przestawał padać przez cztery dni z rzędu.

— Kto jest pierwszy?

— Ja! — Pierś Danny'ego wypełniła się dumą. — Od pierwszego do dwunastego — wyrecytował, odczytując treść naklejek.

215

— Ubrania i buty, adidasy i dresy, stroje piłkarskie i korki, drobiazgi

— z następnym słowem miał odrobinę kłopotu — aksc... akcesoria sportowe, czyli moje plakaty i zdjęcia, podpisane piłki, szaliki, koszulki i spodenki klubowe.

— A kartony od trzynastego do siedemnastego?

Po raz pierwszy od niemal tygodnia Beth miała szansę pobyć sam na sam z synem. Zauważała, że chłopak coraz bardziej się zmieniał, im bliżej było do jego urodzin w połowie listopada. Na pewno zrobił się wyższy, sięgał jej już do ramion. No i stał się humorzysty, zupełnie jak ojciec. Oblewał się rumieńcem przy każdej sprzeczce i przygryzał koniec języka przednimi zębami. W takich momentach wyglądał jak

rasowy chuligan, zwłaszcza w tych swoich przystrzyżonych na krótko ciemnych jak smoła włosach, obciętych dżinsach i przybrudzonej koszulce. Kochała tego chłopca aż do bólu. Cieszyła się, że w końcu będzie miał swój pokój, we własnym domu, miejsce, w którym będzie się czuł bezpieczny. Zawsze.

— To kartony tatusia.

— Zgadza się.

Pięć kartonów odstawiono na bok, w nich miały się zmieścić rzeczy Jacka; cztery garnitury normalne, jeden letni, dziesięć par spodni, tych nie segregowała ze względu na grubość, nieskończona liczba koszul i krawatów, do tego sześć par butów, dwie pary trepów, bardzo dobrych na tutejsze śniegi, i cała reszta mniejszych przedmiotów.

— A kto będzie ostatni?

— Mamusia.

— Tak. Mamusia jest zawsze na szarym końcu...

Beth zarezerwowała sobie kartony od numeru osiemnaście do dwadzieścia dwa. Jeden odłożyła wyłącznie na kreację, w której wystąpiła na balu kardiologów w lipcu. Sięgająca powyżej kolana suknia z dużym dekoltem i cieniutkimi ramiączkami, do tego pasujące buty i torebeczka, wszystko dokładnie owinięte i osobno zapakowane. Samo pudło po ostrożnym i dokładnym zamknięciu zostało dodatkowo wzmocnione taśmą klejącą. Reszta jej garderoby, głównie rzeczy kupione na wyprzedażach w Filene's Basement, została upchnięta w kolejnych kartonach bez większego planu.

— Czy wiesz — powiedziała — że kiedy wyprowadzaliśmy się z Nowego Jorku, wszystkie nasze rzeczy mieściły się w sześciu wa-

216

lizkach? — Jak się okazało, mówiła do siebie. Danny już wlepił oczy w ekran telewizora. Właśnie lecieli „Simpsonowie”. Na dworze wciążyła tak, że nie miał szans na zabawę.

Beth rozejrzała się po mieszkaniu z beznadzieją w oczach. Oprócz pudeł z rzeczami, zagracających niemal całe mieszkanie, sporo było też plastikowych worków, do których upakowała sztuce i naczynia. Leżały teraz w kącie razem z australijskimi akwarelami ułożonymi jedna na drugiej — były to prezenty ślubne, które Jackowi nigdy się nie spodobały, dlatego zawsze wisały w miejscach najrzadziej przez niego odwiedzanych. Do tego dochodziły jeszcze stosy pism medycznych i całe tony dokumentów — materiałów z prac naukowych Jacka, chyba najważniejszych dla niego rzeczy w domu. Jeszcze z dziesięć miesięcy i nie byłoby jak tutaj mieszkać, pomyślała. Coś trzeba by wyrzucić. Dzięki ci, Boże, za Szpital imienia Cartera. Gdybym miała się raz jeszcze przenosić do innego mieszkania, chyba bym oszalała.

Podeszła do okna i zapatrzyła się na mglisty deszcz. Ulice były jak wymarłe, gdzieś tam przemyskał pojedynczy przechodzień pod parasolem. Wielkie samochody przejeżdżały szybko, ich wycieraczk

pracowały na najwyższych obrotach. Drzewa wyłysiały kompletnie, czerwono-złote liście leżały teraz na przemoczonych chodnikach i trawnikach.

Wróciła do pracy i raz jeszcze zaczęła przeliczać. Jeden, dwa, trzy... o nie... znowu to samo. Z trudem dobiegła do miednicy. Przez następne pięć minut trzęsła się i wymiotowała, całe ciało pokryło się potem. Gdy nudności minęły, z trudem dobrnęła do łóżka i padła na nie. Pokój zawirował jej przed oczami, więc zacisnęła mocno powieki, by odciąć dopływ do źrenic jakiegokolwiek światła. Usłyszała motyw wiodący z „Simpsonów”, kiedy znów wezbrała w niej fala mdłości. Ile to już? Przez ten nadmiar obowiązków i zamieszanie zupełnie zapomniała o liczeniu. Który mamy dzisiaj? Początek października, okay, to... to... o mój Boże, to już siedem tygodni!

— Mamusiu, nic ci nie jest? — W głosie Danny'ego pobrzmiwało zaniepokojenie, nie na tyle duże jednak, by oderwał oczy od ekranu.

— Nie, po prostu muszę trochę odpocząć.

Donośny głos Homera Simpsona mówiącego: „Marge, gdzie jest mój obiad?” wdarł się w jej myśli. Ale ten jeden raz Beth nie była zła na tego błyszczącego potwora sterczącego w salonie. Jej głowa zato-

217

nęła w stosie poduszek. Już nigdy nie zmieszczę się w tę sukienkę, pomyślała. O nie, która to godzina? Jestem spóźniona. Beknęła i poczuła gorzki smak żółci w ustach. Nagły poryw wiatru załomotał szybami w oknach. Trzydzieści minut, tylko tyle potrzebuję.

— Uważam, że ten właśnie patogenny szczep bakteryjny jest odpowiedzialny za wczesne występowanie chorób serca. — Profesor kardiologii przedstawiał myśl przewodnią swoich badań na panelu komitetu etycznego szpitala, był to ostatni krok, który musiał wykonać przed zakończeniem projektu badawczego. — Podam państwu następujący przykład: u myszy celowo zarażonej *Chlamydia pneumoniae* wystąpiło bardzo szybko znaczące zwężenie arterii. A testy z użyciem najnowszych technologii pozwoliły nam na odkrycie swoistych odcisków palców tejże bakterii u pacjentów z innymi schorzeniami chronicznymi, co znacznie zwiększa prawdopodobieństwo, iż to właśnie te mikroby są sprawcami całego zamieszania.

Rada wezwała Jacka na to spotkanie, by wysłuchać jego planów badawczych. Od czasu gdy jego projekt zaczął absorbować tak wiele oddziałów, chcieli się upewnić, czy pieniądze są wydawane prawidłowo i nie dochodzi do nadużyć. Jack miał sześciu słuchaczy, dwie kobiety i czterech mężczyzn, wszyscy zebrali się w jego gabinecie na dziewiątym piętrze. Troje słuchaczy było emerytowanymi lekarzami, zatrudnionymi kiedyś w tym szpitalu, jeden z mężczyzn był niezależnym obserwatorem z Waszyngtonu, a pozostała dwójka pracowała na oddziałach nie związanych z programem badań.

W sekretariacie Helen załatwiała niekończące się telefony, zapisując na kolejnych karteluszkach wiadomości i zamawiając napoje dla zebranych. Miała na głowie nie tylko bieżącą pracę, ale i zebranie. To miał być wielki dzień jej szefa. Jeśli zdoła przekonać to grono, ostatnia wielka przeszkoda pozostanie

za nim. Zacznie się opracowywanie i selekcjonowanie wyników. Ale do momentu uzyskania zielonego światła wszystkie prace musiały zostać wstrzymane.

— Implikacji wynikających z tych badań nie da się w tym momencie ocenić — gorączkował się Jack.
— Być może w przyszłości będziemy w stanie produkować szczepionki przeciw chorobom serca albo leczyć chorych środkami antybakteryjnymi. — Kilka par brwi na twarzach słuchaczy uniosło się z niedowierzania. — Joseph Muhle-

218

stein ze szpitala LDS w Salt Lake City odkrył, że wspomniana bakteria znajduje się tylko w komórkach naczyń krwionośnych ludzi chorych na serce. — Uniesione brwi opadły. Muhlestein był autorytetem. Ta bakteria nie żyje na powierzchni ściany komórkowej, ale wewnątrz komórek, w czym jest podobna do wielu wirusów. — Pokazał zebrany trzystronicowe podsumowanie swoich badań. — Czy mogę zwrócić państwa uwagę na trzy ostatnie akapity tej dokumentacji? — Strony zostały odwrócone. — Moje wnioski są następujące: istnieje możliwość, że Chlamydia pneumoniae jest niczemu niewinnym, przypadkowym uczestnikiem tego procesu, stworzonkiem, które zamieszkuje arterie uszkodzone przez lata tłustego jedzenia i braku ruchu. Aczkolwiek stwierdzono, że króliki poddane wysokotłuszczowej diecie znacznie szybciej zaczynają mieć zwężone arterie, jeśli zostaną nią zarażone, co wyraźnie wskazuje, że musi mieć coś wspólnego z procesem chorobotwórczym. — Nastąpiła krótka przerwa, potem Jack podniósł cieniutki zbindowany skoroszyt. — Więcej szczegółów i argumentów dotyczących moich tez znajdują państwo w tym dokumencie, Helen rozda go wszystkim obecnym, kiedy będziecie wychodzić. Ostrzegam jednak, że nie będzie to łatwa lektura. — Kilka uśmiechów było odpowiedzią na jego żart.

Następnie Jack dostał się w krzyżowy ogień pytań, trwający przez niemal dziewięćdziesiąt minut: Skąd pewność, że tak różne oddziały będą w stanie współpracować? Czy zaistnieje potrzeba zatrudnienia dodatkowego personelu badawczego? Jakie dane posiada pan na temat bakteryjnych przyczyn zwężania arterii? Jakie są pańskie propozycje w sprawie korelacji badań klinicznych i laboratoryjnych? Komisja atakowała jego bramkę raz za razem, celnie i z pełną determinacją, tak że w momencie, w którym przesłuchanie dobiegło końca, Jack był ledwie żywy. Zaczął spotkanie w najlepszym garniturze, a kończył je bez marynarki, z poluzowanym krawatem i podwiniętymi rękawami. Przepocona bawełna oblepiała jego ciało.

— Nieźle to wygląda, profesorze — obwieścił po pewnym czasie przewodniczący. Był to postawny, siwy już mężczyzna. Z dokumentów wynikało, że ma sześćdziesiąt osiem lat, ale wyglądał na o dziesięć młodsze. — Mamy jeszcze wiele spraw do przedyskutowania, ale mogę powiedzieć, że na pierwszy rzut oka pański projekt wygląda znakomicie.

219

Jack wykonał w myślach gest zwycięstwa. Szykowały się spore zmiany zarówno na oddziale, jak i w całym szpitalu. Udało mu się przekonać bardzo znanych lekarzy, z placówki i spoza niej, do wsparcia badań. Po tylu latach ignorowania, wyśmiewania jego pomysłu i wyrzucania podań do kosza.

Helen stała u jego boku, gdy przewodniczący ogłaszał swoje stanowisko. Tego dnia włożyła twarzowy, idealnie nakrochmalony biały kostium z szerokim czerwonym paskiem, włosy zaczesła do tyłu i spięła w kok. Skuteczna, precyzyjna, stanowcza i rzetelna. Uśmiechała się szeroko, dziękując wylewnie każdemu bez wyjątku z członków komitetu za przybycie i wysłuchanie jej szefa. Bezwarunkowo popierała krucjatę Jacka na oddziale kardiologicznym i robiła wszystko, żeby pracownicy poziomu dziewiątego o tym wiedzieli. Nikt nie ośmielił się krytykować szefa, gdy jego sekretarka znajdowała się w zasięgu słuchu.

Gdy ostatni z gości opuścił gabinet, natychmiast podała Jackowi grubą plik wiadomości, z którymi powinien się bezzwłocznie zapoznać.

— Dobra wiadomość. Nie było ani jednej próby kontaktu ze strony Zemdon Pharmaceuticals.

Jack odetchnął z ulgą.

— Dzięki Bogu. Może wreszcie dotarło do nich, co mówiłem.

Dostrzegł znaczące ruchy Helen, która wskazywała za jego ramię.

— Ale zła wiadomość jest taka, że pan Downes już tu jest.

Jeden test na obecność substancji uzależniających był do zaakceptowania. Dwa w ciągu kilku tygodni mogły zirytować, ale Jack jakoś to jeszcze przebolewał. Wszelako trzeci wyprowadził go ostatecznie z równowagi.

— Na litość boską, Downes, za jakie grzechy tak mnie molestujesz? — Znajdowali się w poczekalni jego biura. Żadnych uprzejmości, żadnego powitania i już nie: panie Downes ani Steve, tylko od razu po nazwisku. — Nie masz kogo ścigać?

Dyrektor pozostał niewzruszony. Obok niego stał ten sam asystent w białym fartuchu, z dokumentami i słóiczkami w rękach. Równie ponury jak poprzednim razem.

220

— Jaja sobie obrywam, żeby doprowadzić ten oddział do stanu używalności — krzyczał Jack — a ty wciąż usiłujesz marnować mój czas, żądając, abym nasikał do jakiegoś słóiczka!

Helen wycofała się dyskretnie, zawstydzona wybuchem swojego szefa. Tak gwałtowna reakcja potwierdzała gwałtowną naturę, którą tak wielu mu przypisywało.

Downes tego dnia miał na sobie służbowy biały fartuch, co było raczej rzadkim widokiem, na piersi widniało wielkie logo szpitala, pod nim przypięta była plakietka identyfikacyjna. Wetnopodobne włosy sterczały jak zwykle we wszystkich kierunkach.

— Profesorze Hunt — powiedział, wymawiając słowa powoli i wyraźnie, jakby chciał w ten sposób podkreślić ich wagę — punkt dwudziesty czwarty pańskiego kontraktu mówi wyraźnie, że ma pan obowiązek poddania się każdemu testowi na obecność niedozwolonych substancji, jaki zarządzymy. — Zamachał kopią podpisanego porozumienia przed oczami Jacka. — Sika pan profesorze czy odchodzi ze stanowiska?

W jego głosie dało się wyczuć tryumfalną nutkę, kiedy Jack wyrwał naczynie na mocz z ręki asystenta.

— Wtedy, kiedy mi się zachce — powiedział, wracając do biura i usiłując zamknąć za sobą drzwi.

Downes włożył stopę pomiędzy skrzydło i futrynę.

— Wtedy, kiedy nam się zachce. A nam chce się teraz.

Stali tak może z dwadzieścia sekund, mierząc się wzrokiem, zanim Jack nie spuścił z tonu i nie odwrócił wzroku w stronę asystenta.

— Tylko tym razem nie podchodź pan za blisko — ostrzegł.

Downes zareagował natychmiast.

— Mój asystent otrzymał polecenie dokładnej obserwacji przebiegu pobierania próbek. Jeśli coś mu się nie spodoba, będziemy zmuszeni do powtórzenia testu. — Spojrzał na zegarek. — Jest trzecia dziesięć, ma pan godzinę na oddanie moczu.

Helen podała Jackowi szklankę wody.

— Jeśli pan dużo wypije, będzie łatwiej — poradziła.

Jack przełknął gniewnie zawartość szklanki, pochłaniając ją dwoma łykami. Pięć minut później zaciskał dłoń, aby napompować żyły w zgięciu łokcia. Wysilił się przy tym na próbę żartu.

221

— Jeśli będziecie pobierali ode mnie krew w tym tempie, mogę niedługo potrzebować transfuzji.

— Nadal wyglądasz znakomicie.

Beth stała przed wysokim lustrem w sypialni. Zbliżała się już godzina osiemnasta, a na zewnątrz wciąż lało, szyby w oknach mieszkania pokryte były strumieniami ściekającej wody.

Miała na sobie białe adidasy, niebieskie džinsy i żółty bawełniany T-shirt. Stanęła bokiem do lustra i wypchnęła brzuch do przodu. Nie było jeszcze widać zaokrąglenia. Teraz pora na widok en face: też dobrze. Pogłaskała się po brzuszku, sprawdzając jego twardość, potem przyjrzała się reszcie. Włosy koloru popielaty blond aż do ramion, długie czarne rzęsy, wysokie kości policzkowe i pełne wargi. Wydęła je, by sprawdzić, czy równo nałożyła szminkę, potem wyszczerzyła zęby prawie jak małpa, aby skontrolować stan uzębienia. Półobrót i w polu widzenia znalazło się siedzenie. Wciągnij brzuch, wypnij

pierś, stań prosto. Nie opuszczaj ramion. Pięć stóp osiem cali, równiutko jak strzełił. Jeszcze nie wypadasz z gry, oceniła. Nie była przesadnie próżna, tylko ostrożna. Jadła co trzeba, starała się nie nadużywać alkoholu, hamowała też skutecznie łaknienie czekolady. Dość skutecznie na razie. Ale jak każda w miarę atrakcyjna kobieta w jej wieku z lękiem wypatrywała pierwszych oznak starości. Zmrużyła oczy: nie ma nowych zmarszczek. Uśmiech: teraz jest kilka. Przynajmniej zniknęły bruzdy na czole będące oznaką ciągłego zmartwienia.

Przez ostatnich kilka tygodni Beth czuła, że jej życie wreszcie zmienia się na lepsze. Przerazający atak młodocianego przestępcy na Danny'ego wydawał się wręcz prehistorią.

— U paniusi wszystko w porządku? — zagaił przez telefon funkcjonariusz Nelson z posterunku przy parku Lincolna. — My nie znaleźli żadnego śladu chłopaka w tej dzielnicy. Może się teraz przeniósł do innej i tam straszy ludzi.

Także czarny mercedes z przyciemnionymi szybami zniknął spod ich domu. Beth przestała już wyglądać przez okno w środku nocy z bijącym sercem, uczuciem suchości w ustach, przerażona, że znów ujrzy coś podejrzanego. Jack także wydawał się ostatnio radośniejszy, perspektywa przeprowadzki do Wilmette na wszystkich wpływała uspokajająco. Tylko Danny szalał wprost z ekscytacji.

222

— A ja pomaluję mój pokój na niebiesko i będę miał miejsce na wszystkie plakaty i na zdjęcia też. — Podjął już nawet próby urzeczywistnienia tej wizji w starym mieszkaniu przy West Deming.

— Wydaje mi się, że powinniśmy zmienić nazwę tego domu na „Lawina” — oznajmił pewnego ranka, zając porcję płatków chee-rios. Ślady rozchłapanego mleka zdołały cały stół.

— Nie mówi się z pełnymi ustami — napomniła go matka. Danny wyprostował się na krześle i zaczął nabierać niepełne łyżki.

— „Lawina” — powtórzył.

Jack wytknął w końcu nos zza „Chicago Tribune”.

— Dlaczego?

Kolejna porcja cheerios zniknęła w ustach.

— Bo śnieg leży na Shimna Avenue dłużej niż na innych ulicach.

— Skąd o tym wiesz?

— Ze szkolnej biblioteki. Jest tam książka o okolicach Chicago. W Wilmette mieszka ponad dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. — Z jego ust popłynął strumień danych dotyczących ich nowego miejsca zamieszkania, nie wyłączając średnich opadów śniegu w ciągu ostatniego ćwierćwiecza.

Jack uśmiechnął się.

- A Shimna? Skąd możesz wiedzieć, że na niej śnieg utrzymuje się najdłużej?
- Od pana Ridge'a. Tego staruszka, który tak głośno mówi. On mi powiedział.

Beth przesunęła talerz z naleśnikami i syropem klonowym na środek stołu.

- No... nie wiem, Danny. Mnie się podoba „Joliet”. To była pierwsza nazwa nadana temu domowi i może powinna pozostać taka na zawsze. Będzie jakaś kontynuacja tradycji, zważywszy na te wszystkie zmiany, które zaplanowałam.

Teraz Beth przeszła z sypialni do salonu, krzycząc do syna:

- Danny, dzisiaj będziemy mieli specjalną kolację. Mam już dość pakowania tych kartonów, zróbmy sobie przerwę. Tato z pewnością poświęci ostatnią butelkę ulubionego chianti i może nawet pozwoli ci wypić jeden łyżek.

Danny podskoczył z radości i uścisnął matkę, to był naprawdę silny, choć czuły uścisk.

223

- Dobrze mówisz, mammo. Takie wieczory to ja rozumiem.

Beth roześmiała się, słysząc, że zażartował jak dorosły. Sprawdziła godzinę. Osiemnaście dziesięć. Jack nie powinien być w domu wcześniej niż za godzinę, miała więc sporo czasu. Przez następne pięćdziesiąt minut mruczała i nuciła, kręcąc się po pogrążonej w chaosie kuchni. Mielone mięso zostało przykryte warstwą makaronu, posypane serem i wstawione do piekarnika. Następnie przyszła pora na doczyszczenie stołu, zdjęła z niego kartony, umyła blat i rozłożyła trzy nakrycia. Wcześniej zerwała z klombu ostatnie kwiatki tego lata i zrobiła z nich stroik. Na koniec pojedyncza czerwona świeca. Odkorkowała też butelkę wina, wypła szybko łyżek i zdziwiła się smakowi. Uśmiechnęła się do siebie. Tyle czasu już minęło, odkąd ostatnio była wybredna, jeśli chodzi o potrawy i napoje.

- Już tu jest! — Danny stał na czatach.

Beth odpakowała sukienkę, tę długą, białą, wiedziała, że Jack ją wprost uwielbia. Wcisnęła się w nią w ostatniej chwili i przysiadła na końcu stołu, promieniejąc radością.

Danny zmierzył ją wzrokiem spod okna.

- Wiesz, mammo, wyglądasz lepiej niż Britney Spears.

Beth udała, że dziwi ją rozeznanie syna w seksownych gwiazdkach muzyki pop.

Gdy klucz zachrobotał w zamku drzwi wejściowych, Danny uniósł oba kciuki w górę. Jack otworzył drzwi na całą szerokość, odłożył stos dokumentów, z którymi zazwyczaj jeździł, i powiódł po wnętrzu zaskoczonym spojrzeniem.

- Niespodzianka! — Danny rzucił się w objęcia ojca, ściskając go jak szalony.

Beth ujęła męża za dłonie i posadziła go przy stole.

— Pomyśleliśmy, że trzeba to uczcić.

Jack wyglądał na lekko oszołomionego. Twarz miał pobladłą i spiętą, czoło poznaczone zmarszczkami.

Beth pocałowała go delikatnie w usta i przysunęła do siebie Danny'ego.

— Jeszcze nie zdążyłam wam o tym powiedzieć... — Zaintrygowany chłopiec zadarł głowę. Beth zmierzwiła mu włosy, a potem spojrzała prosto w oczy męża. — Będziemy mieli następne dziecko.

224

Danny podskoczył, a potem zamarł z rozdziawioną na całą szerokość buzią. Wreszcie nabrał powietrza do płuc i zaczął krzyczeć z radości.

— Będziemy mieli następne dziecko! Będziemy mieli następne dziecko! — Zaczął tańczyć po pokoju, kręcąc się pomiędzy kartonami. — Będę miał braciszka! — Nagle zatrzymał się i spojrzał na nich z wyrzutem. — Lepiej, żeby to był braciszek.

Ale Jack nie wyglądał na uradowanego, ramiona miał opuszczone, twarz smutną.

— Beth, och, Beth — wyszeptał. — O mój Boże... — Głos mu się nagle załamał. — Zwolniono mnie ze szpitala.

ROZDZIAŁ 21

— Zajebicie, kurewsko zajebicie.

Stan Danker zasiadł w swoim biurze na Manhattanie uśmiechnięty od ucha do ucha, ze słuchawką w dłoni.

— Jak ci się udało to dostać? — zapytał, przerzucając ponownie dwustronicowy faks.

— Nasz kontakt w „Chicago Tribune” obiecał mi pierwszy szkic artykułu natychmiast po napisaniu. — Hend de Mart wypełnił swoim masywnym ciałem jedną z budek telefonicznych w ogromnym holu chicagowskiej Union Station. Dłonią przyciskał drugie ucho, by odciąć się od panującego wokół hałasu. — I przefaksował mi go, tak jak obiecał.

— Gdzie?

— Do biura FedEx-u, tutaj, na Union Station. — De Mart musiał krzyczeć, by jego rozmówca w ogóle go usłyszał, jego afrykanerski akcent ginął w tym szumie.

— Pozwól, że przeczytam to jeszcze raz. — Danker zagłębił się w lekturę. — „Znany lekarz wyrzucony ze Szpitala imienia Cartera.” Znakomity nagłówek. — Pokręcił głową i czytał dalej.

Oddziałem kardiologicznym jednego z najlepszych szpitali w Chicago wstrząsnęła dzisiaj oszałamiająca informacja. Powołany niedawno na stanowiska ordynatora Jack Hunt został zwolniony z pracy. Pochodzący z Irlandii doktor Hunt został wyrzucony na podstawie negatywnego wyniku testu na obecność substancji uzależniających. To już drugie upokorzenie, jakie spada na oddział kardiologiczny tego

226

szpitala w mijającym roku. Latem jego poprzedni ordynator, profesor Sam Lewins, został zastrzelony w biały dzień we własnym gabinecie. Nieco później ofiara została powiązana z siecią pedofilów rozpowszechniających dziecięcą pornografię.

Zwolnienie Hunta, równie szokujące jak nieoczekiwane, zostało przyjęte z ulgą przez wielu lekarzy. Personel szpitala przyznaje, że Irlandczyk wszedł przebojem na tak wysokie stanowisko, robiąc sobie wielu wrogów agresywnym wprowadzaniem własnych porządków i głośno wyrażanych ambicji reformowania oddziału. Anonimowe źródła nie kryją radości z jego upadku. „Jestem wstrząśnięty— wyznaje jeden z lekarzy pracujących na tym oddziale. — Ten człowiek jeździł po starszych i bardziej doświadczonych kolegach jak po łysej kobyle, co często prowadziło do niepokojów źle służących leczeniu naszych pacjentów. Robił wiele hałasu o niskie standardy, a teraz okazało się, że sam zażywał kokainę. Cieszę się, że już nie pracuje w naszym szpitalu.”

— Skąd ten facet tak dobrze zna sytuację panującą na oddziale? — Dankerowi zaimponował ostry ton materiału.

— Ode mnie — wyjaśnił de Mart. — Kiedy dowiedziałem się o wpadce, sam zadzwoniłem do naszego kontaktu i sprzedałem mu historyjkę ukazującą drugie oblicze pana doktora.

— Znakomicie — Danker powrócił do lektury.

Porażony dyrektor szpitala, pan Steven Downes, natychmiast podjął działania zmierzające do oczyszczenia reputacji oddziału kardiologicznego. Kiedy do niego zadzwoniłem, potwierdził, że wybrał już następcę profesora, którym został doktor Harry Chan. „Doktor Chan jest doświadczonym kardiologiem i wieloletnim uznanym pracownikiem Cartera. Jego rozsądek i wyważone podejście pozwolą na szybkie wyprowadzenie kardiologii z kryzysu.” Pan Downes znalazł się w niezwykle ciężkiej sytuacji, wszyscy naciskają, by jak najszybciej oczyścić swoją placówkę medyczną. Nie dalej jak tej wiosny jeden ze starszych asystentów został już usunięty z pracy za zażywanie narkotyków.

— Gdzie jeszcze wysłałeś tę wiadomość?

— Do pozostałych dzienników w Chicago oraz do wszystkich liczących się stacji telewizyjnych i radiowych.

227

— A Wschodnie Wybrzeże?

- „New York Times”, „Washington Post”, „Boston Globe”, „USA Today”, także do ważniejszych mediów lokalnych w Seattle, Los Angeles i San Francisco.
- Dobrze, bardzo dobrze... — Chwila przerwy. — Tą samą drogą? Przez FedEx?
- Tak.
- O której godzinie?
- O siódmej piętnaście czasu centralnego. Artykuły powinny trafić na pierwsze strony jutrzejszych wydań, może załapią się do kilku dzisiejszych popołudniówek.
- Rozmawiałeś już z Chanem?
- To pierwsze co zrobiłem.
- Przylecę najbliższym połączeniem. Musimy ostro ruszyć z pracami, żeby zdążyć na czas.
- Rozumiem.

Połączenie zostało przerwane.

Czerwona świeca stopiła się w bezkształtną masę, chianti pozostało nietknięte, lasagne spaliła się na węgiel. Danny uciekł do swojej sypialni. Beth podłożyła sobie pod plecy dwie poduszki, siedziała na podłodze w salonie, wysłuchując opowieści męża na temat wydarzeń z tego dnia. Jack przysiadł na skrawku wolnej podłogi pomiędzy pudłami. Twarz miał nadal bladą, ręce wciąż trzęsły mu się ze zdenerwowania. Zbliżała się dziesiąta trzydzieści pięć, pierwsze informacje o jego wylaniu pojawiły się na WLS, stacji współpracującej z ABC. Ich treść zabolęła tak mocno, że Beth natychmiast wyłączyła telewizor.

- Pobrali ode mnie próbki zaraz po trzeciej — powiedział Jack. — Pokłóciłem się z Downesem, powiedziałem mu, że mam dość tego nachodzenia, zwłaszcza podczas ważnych momentów w pracy nad przekształceniem oddziału.
- A co on na to?
- Nic specjalnego. Odczytał mi treść klauzuli z kontraktu, tej, która dotyczy losowych testów, i zażądał, abym został do momentu zakończenia badań próbek.

228

- A co wydarzyło się później? — Beth poczuła kolejny nawrót nudności, ale siłą woli powstrzymała wymioty. Nie mieli czasu na takie przerywniki.
- Zszedłem na dół. Dostarczono nam tej nocy trzech pacjentów, w tym dwóch w stanie krytycznym. Ci ludzie trafili pod moją opiekę, więc zabrałem pięciu studentów, aby przy okazji zaliczyć kolejne zajęcia.

Szlochanie z pokoju Danny'ego było tak głośne, że Jack musiał wstać i pocieszyć syna. Drzwi były zamknięte, więc delikatnie w nie zapukał.

— Daj mi spokój!

— Lepiej będzie, jeśli poradzi sobie z tym problemem po swojemu — wtrąciła Beth. — Przyjdzie do nas, jak zgłódnieje. — Położyła dłoń na czole, była naprawdę przerażona tym, co się stało.

Jack przysiadł znów na podłodze, koszulę miał rozpiętą aż do brzucha, włosy rozczochrane.

— Właśnie kończyłem przepisywanie leków, kiedy zadzwoniła Helen. Downes i Beck chcieli mnie natychmiast widzieć.

— Kim jest Beck?

— Forde Beck. Prawnik szpitala. Powinienem się domyślić, że coś jest nie tak.

— Dlaczego? Ten Beck jest taką szychą?

— To facet nadzorujący procedury dyscyplinarne.

Kiedy Jack wrócił do swojego biura, zastał w nim obu wymienionych. Mieli poważne miny, a prawnik przeszedł od razu do rzeczy.

— „Doktorze Hunt, nie przeszedł pan dwóch losowych testów na obecność substancji uzależniających.” Zajrzał do szpitalnej dokumentacji dotyczącej wyników testów. Szczerze mówiąc, nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. W głowie mi się zakręciło, w uszach dzwoniło. To był naprawdę koszmar na jawie. Najpierw test na alkohol, pozytywny. Test numer dwa był negatywny, ale potem dostałem wynik testu trzeciego, kombinowanego na produkty przemiany materii alkoholu i kokainy. Chciałem zaprotestować, ale zostałem natychmiast uciszony. „Doktorze Hunt”, warknął Beck, „w pana kontrakcie znajduje się klauzula mówiąca jasno, że kończymy współpracę, jeśli zostanie pan złapany na picie albo braniu narkotyków. Wyciszylibyśmy sprawę w wypadku, gdyby dzisiejsze badanie nie potwierdziło wyników

229

pierwszego, ale w takiej sytuacji nie możemy stać z założonymi rękami.” Nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. W gardle mi zaschło, język miałem jak z gumy.

Beck uderzył ponownie, nisko i mocno.

— Moim obowiązkiem jest poinformować pana, że z dniem dzisiejszym przestaje pan być pracownikiem naszego szpitala, odebrano panu także tytuł profesora. — Po wypowiedzeniu tego zdania prawnik odwrócił się na pięcie i wyszedł. Steve Downes poczekał tylko chwilę dłużej, do momentu przybycia ochroniarza, wysokiego, mocno umięśnionego mężczyzny z głęboką blizną biegnącą przez cały policzek.

— Proszę pokazać doktorowi Huntowi drzwi wyjściowe. — Odwrócił się do Jacka. — Pańskie rzeczy osobiste i wyniki badań zostaną złożone w recepcji na parterze. Nie chcę pana więcej widzieć w tym szpitalu. Ponadto będę zmuszony poinformować Izbę Lekarską stanu Illinois o tym wydarzeniu. Sugeruję wynająć dobrego adwokata, ponieważ zostanie wobec pana wszczęte dochodzenie i z pewnością utraci pan prawo wykonywania zawodu lekarza. Zgłosimy także pański przypadek do narodowej bazy danych lekarzy.

Po tym oświadczeniu Jack Hunt został wyprowadzony z oddziału kardiologicznego na oczach lekarzy, z których miał zamiar zrobić jeden z najlepszych na świecie zespołów kardiologicznych. Przemaszerował obok swojej sekretarki Helen, która rozpląkała się na ten widok. Jack chciał coś powiedzieć, ale ochroniarz chwycił go za ramię i pchnął bezceremonialnie w stronę korytarza.

— Spadaj, koleś. — Oblicze zadowolonego z siebie Martina Shreeve'a było ostatnim obrazem, jaki Jack zapamiętał. No i jeszcze urwane słowa Harry'ego Chana.

— Wychodzisz tak wcześnie, Jack? Czy coś się stało?

A potem jego świat legł w gruzach.

— Nie wiem nawet, jak dotarłem do domu. Wydaje mi się, że wziąłem taksówkę. — Jack wbił wzrok w podłogę, głowa mu się trzęsła.

Beth mruczała coś uspokajająco, starając się powstrzymać łzy. Ale jej ból nie mógł się równać z katuszami, jakie cierpiał Jack. Chciał zostać lekarzem jeszcze jako dzieciak, marzył o noszeniu białego fartucha i stetoskopu, o tym, że będzie nazywany „doktorem”. Zanim uzyskał dyplom, wiele razy ćwiczył nowy podpis — doktor Jack Hunt. A po wielu latach wyrzeczeń i ciężkiej pracy wreszcie wspiął się na

230

szczyt. Tylko po to, by dzisiaj spać boleśnie na samo dno. Gorzej nawet, bo utracił reputację na zawsze. Prawdę mówiąc, był bezrobotny i nie miał żadnych szans na zatrudnienie w zawodzie. Na koncie pozostało mu sześć tysięcy dolarów, przed domem nowy Chevrolet. I był jeszcze depozyt na wymarzony dom w Wilmette. Jego rodzina, po tułaczce niemal przez cały świat, została praktycznie bez grosza.

Danny nie wyszedł ze swojego pokoju, w końcu usnął wymęczony płaczem. Beth poddała się zmęczeniu około wpół do dwunastej.

— Odpocznijmy chwilę. — Przytuliła delikatnie męża. — Rano pomyślimy, co dalej.

Rzucała się i kręciła jeszcze przez dłuższą chwilę, ale tuż po północy zasnęła.

W zagraconym salonie, pośród stosów kartonów, Jack patrzył otępiąłym wzrokiem na ciemny ekran telewizora. Zawsze był racjonalistą, człowiekiem trzeźwo myślącym. Szkolono go, jako lekarza, we wszelkiego rodzaju obserwacjach, ocenach i analizach. Wykorzystując chorych ludzi, jego nauczyciele wpoili mu, jak ważna jest umiejętność wysłuchania pacjenta (jak zachorował?), potem były badania, które mogły dostarczyć kolejnych wyjaśnień (miał gorączkę? a co z pulsem? zauważono podejrzaną

wysypkę albo guzy?). Dopiero posiadając pełne rozeznanie, był w stanie stwierdzić, czy ma wysłać człowieka na prześwietlenie czy na inne badania. Inaczej mówiąc, musiał być kimś w rodzaju detektywa. Doświadczeni lekarze nazywali tę umiejętność „przenikliwością kliniczną”. Jack zawsze był uzdolniony na tym polu.

Około wpół do drugiej zaczął się trząść, jesienne październikowe chłody dotarły już do wnętrza mieszkania. Przeszedł na palcach obok Beth i podniósł płaszcz, którego jeszcze nie zapakowała. Raz jeszcze spróbował otworzyć drzwi pokoju Danny'ego. Były zamknięte na klucz. Używając innego klucza, w końcu udało mu się otworzyć zamek. Odczekał pod drzwiami jeszcze trzy minuty, aby upewnić się, że nie obudził dziecka, potem przeszedł cicho po wyłożonej grubym dywanem podłodze. Danny cicho pochrapywał, leżał na plecach z otwartymi ustami. Jack poprawił mu kołdrę, a potem ucałował syna lekko w czoło, nie chciał go przecież obudzić. Po wyjściu przekradł się ponownie do salonu pomiędzy kartonami i zwinął w pozycji embrionalnej na jednym z foteli, otulając się grubą tkaniną płaszcza.

231

Jego wycieńczony umysł wciąż wrzał. Straciłem pracę. Przemierzyłem tyle krajów i kontynentów, by dostać porządną pracę. Wlokłem Beth i Danny'ego od jednego do drugiego podrzędnego szpitalnego mieszkania, zajmując się wyłącznie własną karierą. A teraz wszystko zniknęło, i to w bardzo dziwny sposób. Zostałem wyrzucony z pracy, pozbawiony honoru. Poniżony. Wiadomość rozprzestrzenia się po branży medycznej niczym pożar. Szef reformowanego oddziału kardiologicznego potraktowany jak zwykły kryminalista. Chciało mu się rzygać, gdy pomyślał, że jego nazwisko będzie łączone z aferą narkotykową. Co powie na to Sinead i rodzina w Irlandii? Na rany Chrystusa, a bliscy Beth w Sydney? Już słyszał ich błagania przez telefon. Przecież nie masz domu, twój mąż jest bezrobotny, nie macie ani grosza. Wracaj do nas, Beth, póki jest jeszcze czas. Czekamy na ciebie.

Taki scenariusz wydarzeń rozżłościł go jeszcze bardziej, a w zaślepieniu znacznie trudniej było ogarnąć ten burdel, który go nagle otoczył. Wiedział, że jest niewinny. I nie chodziło tutaj o żadną pomyłkę. Wrobiono go. Bez wątpienia. Ale dlaczego?

Nie musiał długo szukać, jego myśli niemal od razu skierowały się ku Zemdon Pharmaceuticals. Najpierw lawina telefonów i faksów, potem zaproszenie na wycieczkę. Goryl wysiadujący w sekretariacie Helen całymi dniami. Ewidentna próba przekupstwa ze strony nowojorskiego dyrektora, który doskonale przygotował się do tej roli. Przeszkolone pielęgniarki, najnowocześniejsze rezonatory magnetyczne. Idę o zakład, że ten drań wiedział o wszystkim. Steve Downes też. Tkwił w tym gównie po same uszy. Nie wkurwiał mnie, Hunt. Ten układ został zawarty, zanim Sam Lewins został zastrzelony. Przypomniat sobie pierwsze starcie z dyrektorem, tuż po zawarciu umowy o pracę. Ten program został już uruchomiony. Są już pierwsze zwiastuny, reklamy, zrobiliśmy zamówienia, ludzie są przygotowani. Możemy załatwić tę sprawę z marszu. A kiedy pozostał niewzruszony w obliczu tego nagabywania, Downes wściekł się strasznie. Powtarzam ci, że już dobiliśmy targu. Twoim zasranym obowiązkiem jest doprowadzić sprawę do końca.. Ale i to go nie przekonało. Decyzja należy do pana, profesorze... Ale proszę mi ją zakomunikować.

Promocja cyclintu. O nią tutaj chodziło.

ROZDZIAŁ 22

W sobotę rano drugiego października Jack Hunt rozpoczął walkę o przywrócenie dobrego imienia.

O godzinie siódmej czterdzieści pięć włożył dres i adidas, na głowę naciągnął opaskę chroniącą oczy przed potem. Beth i Danny jeszcze spali, więc zostawił im wiadomość. „Wyszedłem pobiegać. Ubierzcie się i bądźcie u Weinberga i współników o dziesiątej. Później wszystko Wam wyjaśnię.”

Podejrzewając, że każdy jego ruch może być obserwowany, nie skorzystał z głównego wyjścia, wymknął się z budynku przez drzwi przeciwpożarowe w piwnicy, potem pochylony przebiegł wzdłuż trawnika za ścianą zieleni. Zrobiło się chłodno, temperatury rzadko przekraczały granicę sześćdziesięciu pięciu stopni Fahrenheita, nocami z ciężkiej zasłony chmur padały intensywne i obfite deszcze. W większości ogródków znajdujących się na tyłach budynków przy West Deming roślinność wyrosła ponad normalną wysokość, więc nie miał specjalnych problemów z przedostaniem się na sąsiednią ulicę, choć rozdarł przy tym spodnie. Wystarczyła chwila obserwacji, by sprawdzić, że nikt go nie śledzi, mógł więc szybko przebiec na następne podwórze. Udało mu się pokonać jeszcze trzy podobne odcinki, zanim nie natknął się w końcu na warczącego dobermana. Musiał zrezygnować z maskowania i wrócić na ulicę.

Rozglądając się na lewo i prawo, biegł ulicą North Deming, a potem skręcił w stronę parku Lincoln. Spodnie aż do kolan miał oble-

233

pione błotem. Trzy minuty później dotarł w pobliże szpitala Kolumba, tutaj musiał omijać wielu mieszkańców pobliskich wieżowców, którzy właśnie o tej porze wybierali się na spacer z swoimi psami. Przebiegł na North Lake View Avenue, nie zważając na niewielki jeszcze ruch uliczny, i skierował się na południe, aby potem kluczyć i skręcać w siedem kolejnych ulic. Po pokonaniu dwóch trawiastych wzgórz w parku ujrzał w końcu wody Stawu Północnego, niewielkiego zbiornika wodnego, na którym uczył kiedyś Danny'ego trudnej sztuki wiosłowania. Ominął gruby pień dębu, wciąż strzelając oczami, czy ktoś za nim nie podąża. Ale nie zauważył nikogo prócz grupy rowerzystów, którzy zmierzali w przeciwnym kierunku. Poślizgnął się na mokrej trawie, a potem pomknął w stronę restauracji przy zoo. Odwiedził kiedyś to miejsce i zapamiętał, że tuż przy wejściu znajduje się budka telefoniczna. Ignorując gniewne spojrzenia pracowników z pierwszej zmiany, zadzwonił do Nowego Jorku. Była ósma trzydzieści czasu lokalnego, czyli dziewięć trzydzieści na Wschodnim Wybrzeżu.

— Vendine Placements, mówi Ellen, w czym mogę pomóc?

Wydał z siebie głośnie westchnienie ulgi. Po pierwsze, nie był nawet

pewien, czy Vendine Placements w ogóle istnieje. Po drugie, gdyby jednak istniało, czyjego biura będą czynne w sobotę. Zrobił wszystko, aby poskromić nerwy i mówić spokojnym głosem.

— Witam, czy mógłbym prosić Monikę Casselte? — Kropelka potu spłynęła po jego nosie, startł ją jednym ruchem dłoni.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła na chwilę cisza.

— Czy mógłby pan przeliterować nazwisko?

Jack sięgnął do kieszeni; zaklął pod nosem, gdy zobaczył blade kościste kolano wystające przez rozdarty materiał na nogawce. Wydawało mu się, że poszukiwanie trwa całe eony, zanim w końcu namierzył wizytówkę. Monika Casselte, Vendine Placements, Nowy Jork — piękna kobieta, która przysiadła się do niego podczas dorocznego balu kardiologów i oferowała pracę w Londynie. Jej uwodzicielska twarz i ponętne ciało wciąż stały mu przed oczami. Wymienił wszystkie litery po kolei, wolno i wyraźnie, żeby akcent nie zmylił słuchającej.

Międzynarodowa korporacja farmaceutyczna wynajęła nas, abyśmy złożyli ci oficjalną ofertę... Spędził całą noc na przypominaniu sobie ludzi, którzy mogli mu się teraz przydać. Teraz słowa Moniki nadal nie dawały mu spokoju. Mój klient proponuje naprawdę dobre

234

warunki finansowe, do tego natychmiastowe przeniesienie całej rodziny, oczywiście czasowe, do jednego z luksusowych penthouse'ów w Knightsbridge. Kogo naprawdę reprezentowałaś tego dnia, Moniko? Nie ma podpisu, nie ma nazw... Uzyskałam zapewnienie, że ta firma wie o tobie wszystko. Ma pełne dane o twoich osiągnięciach naukowych i wie, że naprawdę poświęcasz się kardiologii. Zapoznano się tam ze wszystkimi twoimi pracami, sprawdzono także twoje dokonania..

— Przykro mi, proszę pana, ale nikt o takim nazwisku u nas nie pracuje. — Dziewczyna z Nowego Jorku powiedziała to bardzo wyraźnie.

— A może pracowała do niedawna? Może to pani dla mnie sprawdzić? Naprawdę zależy mi na skontaktowaniu się z nią.

— Spróbuję, proszę pana, proszę dać mi chwilkę...

Klik, klik, klik, na odległej klawiaturze.

— Zgadza się, proszę pana. Mieliśmy pracownicę o takim nazwisku. Monika Casselte. Pracowała na krótkoterminowym kontrakcie. Od piątego do dziewiętnastego lipca.

Za jego plecami rozstawiano stoliki i krzesła, Jack miał problemy z usłyszeniem wszystkiego.

— Nie zostawiła adresu?

Przerwa i odpowiedź.

— Nie, proszę pana, nie mamy żadnych danych na jej temat.

— A może mi pani powiedzieć, kto wynajął ją na tak krótko? — Z kuchni po lewej rozległy się krzyki. Spojrzał w tamtą stronę, ale nie zauważył nikogo przed budynkiem.

— Jedną chwilę — kolejne odgłosy pisania na klawiaturze. — Niestety nie mam nic na ten temat. — Jack słyszał, że w biurze po drugiej stronie rozdzwonił się kolejny telefon i dziewczyna ma ochotę zakończyć już tę rozmowę.

— To normalne w takich wypadkach? — spróbował ostatniej szansy.

— Przykro mi, proszę pana, ale danych o pracy firmy nie możemy przekazywać podczas rozmów telefonicznych. Jeśli napisze pan do...

Odwiesił słuchawkę. Miał już to, czego chciał. Nie potrzebował niczego więcej.

Ruszył biegiem w stronę West Deming.

235

Herb Weinberg nie zwykł wstawać tak wcześnie jak Jack. Ale wstał na czas, aby zdążyć wbić się w przyciasny garnitur, poczęstować się kawą i bajgłem, a potem otworzyć wreszcie podwoje swojego biura. Herb nie miał dzisiaj humoru. Obejrzał pierwsze informacje

0 wyrzuceniu z pracy swojego klienta jeszcze poprzedniego wieczora na WGN, potem wielokrotnie zmieniał kanały, aby śledzić rozwój skandalu. W porannych wydaniach „Chicago Tribune” i „Sun-Time-sa” temat trafił na pierwsze strony, dodano też pogłębione analizy

1 zdjęcia wewnątrz numerów. Nie czytało się tych artykułów z przyjemnością. Już sam fakt istnienia lekarzy zażywających narkotyki był sam w sobie wystarczająco odrażający. Ale myśl, że profesor jednego z najbardziej znanych oddziałów kardiologicznych wędruje szpitalnymi korytarzami z nosem pełnym kokainy, przekraczała wszelkie wyobrażenie.

Herb nie poczuł specjalnej sympatii do Jacka, kiedy spotkali się po raz pierwszy, by omówić sprawę hipoteki domu w Wilmette; prawdę mówiąc, lekarz wydał mu się wyniosły i arogancki. Ale jego żona i syn sprawiali zupełnie odmienne wrażenie, zastanawiał się nawet, jak wytrzymują z takim nadęciuchem. Herb był nieludzko zakochany w swojej dziesięcioletniej córeczce, która była jego oczkiem w głowie, i potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo czułaby się przybita i zdradzona, gdyby jemu przydarzyło się coś podobnego.

Siedział teraz w swoim fotelu za biurkiem, kręcił głową i pogwizdywał cicho. Artykuł w „Chicago Tribune” był bezlitosny. To prawdziwa tragedia. Nie dla profesora, ale dla jego uroczej żony i synka. No i firma straciła całkiem sporą sumkę za pośrednictwo w transakcji.

— Panie Weinberg, przepraszam za tak nagłe wtargnięcie, ale zostałem wrobiony.

Te słowa sprawiły, że adwokatomal nie wyskoczył z przyciasnego garnituru. Miał przed sobą człowieka, którego zdjęcia prezentowały wszystkie liczące się gazety w kraju, którego upadek można było obserwować krok po kroku w telewizji i radiu nie tylko na Środkowym Zachodzie, ale i daleko poza jego granicami.

— Co pan, do cholery, robi w moim biurze? — Herb zgrywał twarziela, chociaż był bliski paniki.

236

Jack pozostał niewzruszony. Był nieogolony, opaska na głowie zsunęła się z jednej strony, opadając całkiem na ucho, co wyglądało wręcz komicznie, dres miał nieludzko ubłocony i przemoczony, na dodatek podarte nogawki w okolicy kolan odsłaniały gołe ciało. Oczy straszły przekrwionymi białkami. Czterdzieści sekund później w biurze pojawiła się Beth z Dannym, co nieco uspokoiło prawnika. Zarówno kobieta, jak i dziecko wyglądali na wymęczonych, ale normalnych. Herb kaczym krokiem dopadł drzwi gabinetu i dość obcesowo wyprosił protestującą głośno sekretarkę. Poczekał chwilę, a gdy zaczęła ponownie torturować swojego peceta, zamknął drzwi.

— Lepiej, żeby pan miał na to dowody — syknął.

Jack przysunął krzesło do krawędzi biurka i rozłożył teczkę z dokumentami. Beth opadła na jedyne wolne siedzisko, jakie znajdowało się w ciasnym gabinecie, nadal nie mogąc złapać tchu i zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. W jej umyśle powoli rodziło się słuszne podejrzenie. Ubrała się w pośpiechu, sweter włożyła na lewą stronę, włosy upięła byle jak, a o kosmetykach w ogóle nie pamiętała. Danny przysiadł na podłodze, miał na sobie pobrudzony czekoladą sweterek i spodnie co najmniej o cal za krótkie. Na jego twarzy widać było jeszcze resztki masła orzechowego ze śniadania.

— Ktoś mnie wrabia — powtórzył Jack.

Herb wyrzucił raptownie obie ręce w górę.

— Nie wciskaj mi, doktorku, takich kitów. W życiu nie spotkałem przestępcy, który twierdziłby, że jest winny. Każdy morderca był daleko od miejsca zbrodni, w momencie gdy naciskano spust. — Przesunął palcem okulary zjeżdżające po jego pulchnym nosie. — Nie obrażaj pan mojej inteligencji! — wrzasnął gniewnie, a policzki aż mu poróżowiały. — Jeśli tylko tyle ma mi pan do powiedzenia, marnujemy mój czas.

— Panie Weinberg, proszę wysłuchać mojego męża — wtrąciła się Beth. — Tylko o tyle pana prosimy. Zapłacimy za tę usługę. — Wyciągnęła zwitek studolarowych banknotów z kieszeni. — Ile pan chce?

Prawnik spoglądał na niech oboje z niedowierzaniem, potem przeniósł wzrok na dziecko siedzące na podłodze, patrząc prosto w jego oczy wielkie jak spodki.

237

— Zapomnij pani o pieniądzach. — Zsunął zegarek z nadgarstka i położył go przed sobą na blacie biurka. — Daję panu piętnaście minut i ani sekundy więcej.

— Nigdy nie brałem narkotyków — zaczął Jack.

Herb odwrócił się od niego.

— Nawet niewiele piję.

Prawnik zaśmiał się cynicznie.

— Jesteś, chłopie, Irlandczykiem, wy nawyk chłania gorzały wysysacie z mlekiem matki. — Zaczął się kręcić na obrotowym fotelu.

— Mogę udowodnić, że to przekręt.

Herb zatrzymał się w pół obrotu. Jego oczy zwężyły się.

— Jak?

Jack poczuł się teraz pewniej, właśnie wkraczali na dobrze znane mu terytorium.

— Testy DNA. Są stuprocentowo pewne i niepodważalne. W ciągu kilku ostatnich miesięcy oddałem w pracy co najmniej kilka próbek. Jestem pewien, że ktoś je podmieniał. Wszystkie wyniki wykazujące, że biorę narkotyki, musiały pochodzić z próbek krwi i moczu pobranych od innego człowieka. Możemy to udowodnić i zaskarżyć szpital o niesłuszne zwolnienie i całą masę innych rzeczy, które pan z pewnością potrafi wymyślić.

Herb ujrzał oczami wyobraźni tony banknotów wypełniające jego biuro. W grę wchodziło nie tylko zwolnienie bez powodu, ale i utracone przychody, zszargana reputacja, stres emocjonalny et cetera. Wielkie odszkodowanie i wielka prowizja. Mimo to prawnik pozostawał czujny.

— Proszę kontynuować. — Spojrzał na zegarek. — Zostało panu dziesięć minut.

— Beth, proszę, opowiedz o tym, co się stało. Ja nie mam siły.

Zrobiła, o co prosił ją mąż, i opowiedziała o wszystkim, co zdołała

zapamiętać — począwszy od historii napadu na Danny'ego podczas półkolonii letnich, przez zniszczenie samochodu ręką tego samego napastnika, a skończywszy na tym, że policja z posterunku przy parku Lincolna stwierdziła, iż sprawa jest nader dziwna. Beth mówiła o czarnym mercedesie z przyciemnionymi szybami, o Monice Casselte i jej dziwacznej ofercie, o podejrzanym zachowaniu Harry'ego Chana i Martina Shreeve'a, a Herb notował wszystko skrzętnie bez

238

względu na to, jak błahe mu się wydawało. Jack dorzucał szczegóły za każdym razem, gdy żona spoglądała błagalnie w jego stronę.

— To za mało, żeby uwierzyć w teorię spiskową — rzucił Herb, kiedy skończyli referować. — O wiele prostsza i wiarygodniejsza jest wersja przedstawiana w „Chicago Tribune”. Profesor uzależnił się od kokainy. Może nie spłacał na czas należności, więc diler postanowił dać mu nauczkę i kazał pobić jego syna.

— To jeszcze nie wszystko. — Jack się nie poddawał. — Jest coś znacznie poważniejszego.

Starając się uprościć maksymalnie lekarski żargon, Jack streścił historię swych kontaktów z doktor Carlottą Drunker z Sacramento. Opowiedział o jej zawołanych ostrzeżeniach dotyczących odnalezienia „starszego brata”, co jak teraz zrozumiał, oznaczało raczej „wielkiego brata”, i na koniec o jej śmierci w bardzo podejrzanych okolicznościach. Potem wspomniał o sugestiach Helen dotyczących rozkręcania jego komputera. W tym momencie Herb sięgnął do in-terkomu i poinformował swoją sekretarkę, aby nie ważyła się łączyć jakichkolwiek rozmów do gabinetu. Odpiął najwyższy guzik koszuli i zaczął coś szybko notować.

— Mamy więc do czynienia z dwiema odrębnymi sprawami

— podsumował po chwili. — Sprawa pierwsza i najważniejsza: czy rzeczywiście próbki moczu i krwi mogły zostać podmienione albo skażone?

— Można zanieczyścić próbkę moczu — odparł szybko Jack.

— Ale z krwią nie da się tego zrobić. Nie można wprowadzić do krwi metabolitów alkoholu czy narkotyków.

Herb wyraźnie się rozluźnił, chyba po raz pierwszy od momentu nagłego najścia na jego biuro.

— Brzmi pan strasznie przekonująco, doktoru.

— Jestem lekarzem, muszę znać się na takich rzeczach. — Jack ściągnął wreszcie przeпоconą opaskę z głowy. — Ktoś tak bardzo chciał mnie usunąć z drogi, że zdecydował się na zrujnowanie mojej kariery zawodowej i życia prywatnego. Nie obchodziło go nawet, czy moja rodzina straci cały majątek. Ten ktoś jest bardzo bezwzględny i sprytny, ale nie pomyślał o wszystkim. — Pochylił się nad biurkiem, wyłapując wzrok prawnika. — Mogę udowodnić, że podmieniono próbki. A potem dojdziemy do tego, dlaczego to zrobiono.

239

— Co prowadzi prosto do drugiej z wymienionych przeze mnie spraw. — Herb wypolerował szkła okularów i nasadził je ponownie na nos. — Do kobiety z Sacramento. Ale zapomnijmy o niej na chwilę. Mamy do czynienia z kimś, komu cholernie zależało na usunięciu pana ze szpitala i z naszego miasta. Tego musimy dowieść w pierwszej kolejności.

Jack rozluźnił się, otarł czoło brudnym rękawem.

— Zapłać panu.

Prawnik podniósł wzrok.

— Ile pieniędzy wam zostało?

Beth dwukrotnie sprawdziła stan ich konta, zanim wyszła z domu.

— Około sześciu tysięcy, plus minus parę setek.

Herb zdjął marynarkę i zawiesił ją na oparciu obrotowego fotela.

— Niewiele — oszacował. — A pańskie ubezpieczenie od błędów lekarskich nie obejmuje takiej sytuacji.

Beth spoważniała.

— Zastawimy, co się da. Pójdę na kelnerkę albo będę prowadzić taksówkę. Nie dbam o to. — Głos załamał jej się ze stresu.

— A ja będę rozwoził gazety — dorzucił Danny, chcąc poprawić jej nastrój.

Adwokat uciszył ich oboje.

— Mogę unieważnić umowę i odzyskać przynajmniej dziesięć tysięcy z zaliczki, którą wpłaciliście za posiadłość przy Shimna Avenue...

— Nie — przerwał mu nerwowo Jack. — To nasz dom i będziemy w nim mieszkali. Beth czekała na to tak długo. Nie ma mowy o odwrocie. — Wstał, zaciskając pięści z bezsilnej złości. — Mam zamiar dowiedzieć się, kto za tym stoi, z pańską pomocą lub bez niej.

Herb pozwolił sobie na błądy uśmiech.

— Sprawdzalem pana — wyznał. — Chciałem się przekonać, na ile jest pan zdecydowany na walkę. — Jack usiadł. — Gdyby nie był pan tak bardzo przekonany o swojej racji, nie mielibyśmy wielkich szans na wygranie tej sprawy. — Spojrzał Jackowi prosto w oczy. — Ale jeśli mnie pan okłamuje, jest pan mniej wart niż psie gówna.

— Zaczniemy działać — poprosił Jack — a sam pan się przekona.

Po tych słowach przez całą minutę panowała niczym nie zmacona

cisza, a potem prawnik zabrał się do roboty.

— Okay, zrobimy to w taki sposób...

240

rozdział 23

Caleb Rossi, technik laboratoryjny z Cartera, był człowiekiem niewiele znaczącym. Zajmował podrzędne stanowisko w najdalszym zakątku szpitala, za pracę otrzymywał bardziej niż skromne wynagrodzenie. Lecz Caleb miał ambicje. Chociaż nie posiadał żadnych talentów, chwycił się każdej lewizny, jaka pojawiła się na jego drodze. Jak na przykład przekazywanie informacji. Rossi wiedział o brudach większości ludzi zatrudnionych w szpitalu. Orientował się, kto jest homoseksualistą, kto daje w toaletach, znał też sekrety transseksuali-stów. Miał dzienniczek, w którym zapisywał, kto jest gotów

zapłacić za sfałszowanie wyników testów na obecność narkotyków. Pamiętał, które młode atrakcyjne lekarki są widywane ze znacznie starszymi od siebie (i żonatymi) doktorami. Słuchał pilnie plotek, którzy lekarze załamują się po popełnieniu błędu na ostrym dyżurze. A do tego miał kontakty z ludźmi podobnymi do Luthera, dzieciaka z blokowiska, który za pieniądze napastował Danny'ego i Beth.

Dzięki temu zarabiał sporą kasę jako szpitalny kret Henda de Marta. Tak wielką, że postanowił zerwać z ubogim wyglądem. Ubierał się lepiej, nosił nowe ciuchy i buty, zmienił fryzurę. Zaczął nawet zapuszczać brodę. Ubrania wisały na jego wychudzonym ciele jak na wieszaku, nie polepszając ani o włos jego notowań. Nowe uczesanie nadawało mu wygląd więźnia, który wyszedł właśnie na krótką przepustkę, ale zarost chociaż częściowo zamaskował paskudne w gruncie rzeczy oblicze. Niczym jednak nie dawało się poprawić piskliwego głosu.

241

A w poniedziałek rano czwartego października Rossi kwilił wyjątkowo głośno.

Historia wyrzucenia z pracy Jacka Hunta znalazła się na czołówkach wszystkich gazet, w dziennikach telewizyjnych i radiowych. Cały szpital aż huczał od plotek, oddział kardiologiczny pogrążył się w kompletnym chaosie i pomimo ogromnych wysiłków czynionych przez dyrektora Downesa nie udawało się odbudować jego wiarygodności. Wszakże wielu ludzi miało poważne wątpliwości co do tego, czy Irlandczyk naprawdę dawał sobie w żyłę i chlał. Zwłaszcza ordynatorzy oddziałów, z którymi Hunt ściśle współpracował, nie przełknęli łatwo oficjalnej historyjki. Byli to doświadczeni lekarze z wieloletnią praktyką, pozwalającą na wychwycenie charakterystycznych zachowań osób biorących narkotyki. Może i Jack był narwańcem, ale nikt nigdy nie zauważył u niego jakichkolwiek symptomów uzależnienia. Im więcej takich wątpliwości się pojawiało, tym bardziej Rossi się niepokoił. To był turniej wagi superciężkiej z największymi gwiazdami ringu, a on znalazł się pomiędzy linami bez jednego ochraniacza. Za bardzo wyszedł z ukrycia, a te wszystkie nowe ciuchy, z którymi tak się obnosił, ciążyły mu teraz bardzo. Wyobrażał sobie, że są czymś w rodzaju tablicy informacyjnej, na której widnieje jeden tylko napis: oto winowajca!

— Reprezentuję profesora Jacka Hunta.

Herb Weinberg stanął w wejściu do Szpitala imienia Cartera równo o godzinie dziewiętej. Kilka stopni niżej rozłożyła się spora grupa dziennikarzy i ekip telewizyjnych. Wszyscy czekali od dawna na to przedstawienie. Spoglądali bojaźliwie w niebo, zadzierali kołnierze, by ochronić się od porywów zimnego wiatru, obawiając się załamania pogody. Herb włożył najlepszy dwurzędowy garnitur, doskonale leżący, granatowy w drobnutkie niebieskie prążki. Rażąca biel wykroch-maloney koszuli tonowała ciemna muszka. Buty z wyższym obcasem pozwoliły mu zwiększyć wzrost do pięciu stóp i sześciu cali. Włosa zaczesał tak, by zamaskować nieco pucołowatą twarz, na nosie miał okulary, które się nie ześlizgiwały. W prawej ręce trzymał wypchaną aktówkę, która nadawała mu wygląd naprawdę grubej ryby.

— Doktor Hunt zwrócił się do mojej kancelarii w sprawie odzyskania dobrego imienia utraconego niedawno wobec mieszkańców

Chicago i całego świata. — Herb dodał ostatnie słowa, aby jego wypowiedź zabrzmiała bardziej dramatycznie. — Mój klient zaprzecza, jakoby kiedykolwiek zażywał kokainę i pełnił obowiązki służbowe, pozostając pod wpływem alkoholu. Przybyłem dzisiaj w to miejsce Herb odwrócił się w stronę wielkiego napisu „Szpital imienia Cartera”, widocznego nad głównym wejściem do budynku, a wszystkie kamery podążyły śladem jego wzroku — aby zabezpieczyć próbki rzekomo pobrane od doktora Hunta. Zostaną one poddane testom w niezależnych instytucjach na obecność substancji niedozwolonych. — Herb przerwał, aby dziennikarze dokładnie zanotowali jego słowa. Okręcił się w miejscu, by kamerzyści mogli zrobić korzystniejsze zbliżenia, i przeszedł do najbardziej kontrowersyjnej części wywodu. — Zamierzmy udowodnić, że próbki, które posłużyły do wydalenia doktora Hunta z pracy, nie pochodzą z jego organizmu. — Rozległo się kilka gwizdnięć. — Tyle mam w tej chwili do powiedzenia. — Pokazał przedstawicielom mediów plecy i ruszył w stronę zadaszonych drzwi, pozostawiając za sobą tłum sfrustrowanych reporterów. Na szczęście nagły deszcz rychło rozpędził ich do samochodów i furgonetek, w których pośpiesznie formułowali treść wiadomości.

Wszystkie testy chemiczne w szpitalu, wliczając w to także te na obecność substancji uzależniających, przechodziły przez pracownię znajdującą się na parterze. Herb pomaszerował najpierw, charakterystycznym dla niego kaczym krokiem, do głównej recepcji szpitala, gdzie okazał swoje pełnomocnictwo i otrzymał jednodniową przepustkę. Dwie minuty później sunął już wzdłuż korytarza, witając z uśmiechem wszystkich mijanych pacjentów i odzianych w białe fartuchy lekarzy. W poniedziałki szpital zapełniały zwyczajowo ofiary weekendowych szaleństw. Część pacjentów z izby przyjęć trzeba było szybko przenosić na wyższe piętra. W korytarzach gromadzili się krewni i znajomi, aby dowiedzieć się o stan bliskich im osób. Sanitariusze pędzili z noszami do najodleglejszych rejonów szpitala, leżący na nich ludzie mieli popodłączane kroplówki i maski tlenowe na twarzach.

Herb przebijał się przez ten tłum, kręcąc się i uskakując co chwila. Raz tylko zatrzymał go ochroniarz, aby sprawdzić posiadaną przepustkę.

— Weinberg i wspólnicy, kancelaria adwokacka, jestem tutaj w sprawie służbowej. — Dzięki temu wyjaśnieniu został odprowadzony prosto do właściwego laboratorium. — Oto moja wizytówka — powiedział do strażnika na odchodnym. — Nigdy nie wiadomo, kiedy przydadzą się panu moje usługi. — Rozejrzał się konspiracyjnie po korytarzu. — Zwłaszcza jeśli się pracuje w podobnym miejscu.

Laboratoria medyczne wyglądają identycznie na całym świecie. Zaraz za drzwiami znajduje się wysoka na metr lada podawczo-od-biorcza. Przy niej dyżurujący technik odbiera próbki, sprawdzając, czy zostały odpowiednio opisane i zabezpieczone, potem ustala, jak pilne są testy. W następnej kolejności odebrane próbki trafiają do właściwych sektorów. Część próbek krwi wędruje na hematologię, reszta na biochemię. Mocz i płwocina mogą być przekazane na mikrobiologię, gdzie będą sprawdzone pod kątem obecności flory bakteryjnej. Badania chemiczne, w tym testy na obecność substancji niedozwolonych, wpływu przepisanych leków czy zatrucia metalami ciężkimi trafiają do specjalnej maszyny analitycznej. Zanim jakkolwiek test zostanie zakończony, technik musi wprowadzić wszystkie dane, dopiero po tej

czynności można załadować próbkę. I za to właśnie odpowiadał Caleb Rossi. Wyjmował słoiczek z transportera, sprawdzał po raz kolejny, czy nazwisko na próbce odpowiada temu na dokumentacji, przepisywał dane do formularza w komputerze i umieszczał materiał w maszynie. Nie musiał być Einsteinem, a system wyglądał na doskonale zabezpieczony przed pomyłkami. Jedynym niepewnym czynnikiem był tutaj człowiek. Właśnie ludzką interwencję podejrzewał Jack i ją miał za zadanie udowodnić Herb Weinberg.

— Reprezentuję doktora Jacka Hunta. — Adwokat przedstawił się grobowym głosem, przekrzykując szum maszyn pracujących w tle i szmery rozmów.

Gdy wymienił nazwisko wyrzuconego profesora, w laboratorium natychmiast zrobiło się ciszej. Ubrani na niebiesko pracownicy laboratorium, z maskami na twarzach i siatkami na włosach, siedzieli sztywno przy swoich stanowiskach, zerkając w mikroskopy i pilnie nasłuchując. Laboratorium mieściło się w rozległym pomieszczeniu podzielonym na szereg boksów i stojących wolno biurek, pogrupowanych w kilka działów, każde stanowisko znajdowało się zaledwie kilka kroków od pozostałych. Wszędzie pełno było plastikowych pojem-

244

niczków, szklanych probówek, odczynników i całej masy drobnego wyposażenia. Zapach chemikaliów unosił się wszędzie. W tej chwili słychać było jedynie szum stojących w głębi urządzeń.

Herb wyciągnął z aktówki plik dokumentów.

— Zostałem upoważniony do przejęcia próbek moczu oraz krwi wykorzystanych w tym laboratorium do przeprowadzenia testów na obecność alkoholu i narkotyków w organizmie profesora Hunta. — Ludzie wymieniali zdumione spojrzenia. — Z tego co zrozumiałem, wszystkie próbki muszą być przechowywane przez co najmniej sześć miesięcy — dodał zaraz prawnik. Dyżurna, młoda lokata kobieta ubrana w zielony mundurek, sięgnęła po słuchawkę telefonu. Adwokat tymczasem kontynuował, nie zwracając na nią uwagi: — Mamy zamiar poddać je niezależnej analizie. — Zauważył, że jego słowa nikogo nie wzruszyły. Każdy, kogo oskarżano na podstawie takich testów, miał prawo do sprawdzenia ich wyników. Ale najlepsze Herb zostawił sobie na koniec. — Mamy zamiar udowodnić, że próbki badane w tym laboratorium nie pochodzą od doktora Hunta. Naszym zdaniem ktoś podmienił je przed dokonaniem analizy.

Prawnicza ingerencja w procedury medyczne zawsze jest odbierana jako postępek kontrowersyjny. Ale jawne postawienie zarzutu, że ktoś z pracowników medycznych dokonał czynu karalnego, siłą dorównuje eksplozji. I taki też efekt osiągnął Herb w tym wypadku. Dyżurna zaczęła gorączkowo wciskać klawisze na telefonie, po chwili nastąpiła krótka, lecz gwałtowna wymiana zdań. W tle narastał rwetes czyniony przez zaskoczonych i zdenerwowanych techników. Porzucono instrumenty, odstawiono pipety, wszystkie oczy zwróciły się w stronę adwokata. W końcu dyżurna skończyła rozmowę.

— Panie Weinberg, nie mogę wydać panu żadnych próbek, dopóki nie będę miała zgody dyrektora szpitala, a on już schodzi tutaj do nas. Czy zechce pan poczekać na zewnątrz na jego przybycie?

Herb uśmiechnął się, mając świadomość, jak bardzo im przeszkadza jego obecność.

— Jeśli pani nie będzie miała nic przeciw — powiedział — wolałbym pozostać w tym miejscu. — Przesunął krzesło na koniec kontuaru i usiadł. — Straszna pogoda, nieprawdaż?

◆

245

Z laboratorium można było wyjść przez dwoje drzwi. Pierwsze znajdowały się obok lady recepcyjnej, tam gdzie adwokat zajął miejsce pozwalające mu obserwować każdy ruch. Drugie prowadziły do wyjścia przeciwpożarowego i znajdowały się z boku, często wymykali się tamtędy pracownicy uzależnieni od nikotyny. Stanowiło to wyraźne naruszenie przepisów, ale ta droga była o wiele krótsza niż przechodzenie przez korytarz, hol i recepcję, aby stać tuż obok wejścia w tłumie nałogowych pariasów.

Caleb Rossi wybrał drzwi przeciwpożarowe.

Ruszył na tyły budynku, kucał i uskakiwał za przeszkody, byle nikt go nie dostrzegł. Omijał wielkie pojemniki na śmieci, strumienie pary z wywietrzników szpitalnych kuchni, rampy towarowe zawałone stosami skrzyń, gigantyczne zbiorniki oleju i gazu, przemykał obok wielu oznaczonych różnymi kolorami drzwi, które prowadziły do korytarzy wiodących na poszczególne oddziały szpitala. Rossi minął je wszystkie.

W końcu dotarł do parkingu, zeskoczył na beton i wbiegł między samochody. Pięć minut później szedł już po West Harrison, zerkając nerwowo przez ramię, czy aby nie jest śledzony. W końcu zauważył automat telefoniczny i zaczął wrzucać do niego monety, drugą ręką nerwowo skręcał pomiędzy palcami pukiel własnych włosów.

— Chciałbym zostawić pilną wiadomość dla pana Henda, więc przestań pierdolić głupoty, laluniu. Muszę z nim rozmawiać, i to szybko. — To był już czwarty telefon od Rossiego, na który nie nadeszła żadna odpowiedź, a dziewczyna z drugiej strony linii wciąż usiłowała przekonać go, że wszystkie wiadomości przekazała adresatowi. — Powiedz mu, że dzwonił Caleb. — Rossi stracił resztki rezonu. — Powiedz mu, że siedzę w gównie po uszy. — Słuchawka z trzaskiem powróciła na widełki.

— Po co pan tu właściwie przyszedł, panie Weinberg?

Steve Downes stanął za recepcją laboratorium zziębnięty i mocno podenerwowany. Jego obwisłe podgardle wciąż falowało, a poskręcane włosy sterczały w nieładzie.

Herb przywołał na usta uśmiech świętego i zaczął z zupełnie innej beczki.

— Ładnie tu u was.

246

Downes wyglądał, jakby miał za moment eksplodować, ale adwokat nie dał się zbić z tropu. Wyjął z aktówki plik dokumentów, położył na ladzie jeden komplet, resztę schował.

— Otrzymałem instrukcje, aby zabezpieczyć próbki pobrane od profesora Jacka Hunta.

Dyrektor trochę się uspokoił.

— Nie ma sprawy, panie Weinberg. Do tej pory niewiele osób decydowało się na podważanie wiarygodności naszych testów. Głównie dlatego, że byli winni jak cholera.

Napięcie towarzyszące tej rozmowie wzrastało, że wszyscy pracownicy laboratorium przysłuchiwali się uważnie wymianie zdań. Żadne z urządzeń już nie pracowało, sprawdzone próbki pozostawały w podajnikach.

— Być może — odparł Herb — ale my zamierzamy przeprowadzić dodatkowe analizy DNA. Profesor Hunt twierdzi, że próbki poddane testom nie pochodzą od niego. Uważa, że zostały celowo podmienione. — Herb rozejrzał się po pomieszczeniu, notując w pamięci wpatrzone w niego nienawistne twarze. — Uważamy, że zamiany dokonano na terenie tego właśnie laboratorium.

Z głębi pomieszczenia dobiegło kilka gniewnych pomruków.

— Nie mamy niczego do ukrycia, panie Weinberg — odpowiedział Downes.

Herb podciągnął spodnie.

— Cieszę się, że to słyszę. Ale mój klient ma odmienne zdanie na ten temat. Jeśli niezależne badania potwierdzą prawidłowe pochodzenie próbek, uznamy zwolnienie za zasadne. — W tym momencie skończyły się żarty. — Jeśli jednak próbka moczu albo krwi nie będzie należała do profesora Hunta, będziecie mieli z czego się tłumaczyć.

Zamieszanie wzrosło, kiedy okazało się, że nigdzie nie można znaleźć Caleba Rossiego. Wszyscy wiedzieli, że to on odpowiadał za sporne próbki. Co gorsza, nie znaleziono także próbek moczu i krwi pobranych od Hunta. Herb obserwował nerwową krzątanicę za wysokiej lady. Obok niego stali zniecierpliwieni sanitariusze i pielęgniarki z nowymi dostawami próbek, które pokrywały już niemal całą wolną powierzchnię blatu. Po drugiej stronie ludzie w niebieskich uniformach biegali od jednej szafki do drugiej, otwierali jedne szuflady,

247

inne zamykali z hukiem. Coraz częściej kręcili głowami, dając wyraz niedowierzaniu i bezradności.

Wkrótce sam Downes przyłączył się do poszukujących. Przetrzęsnięto składziki, lodówki, najdalsze zakamarki laboratorium. Telefonowano do pozostałych placówek o tym profilu znajdujących się na terenie szpitala. W końcu dyrektor zwołał szybkie zebranie w wydzielonym aneksie, aby adwokat nie mógł niczego usłyszeć. Ludzie machali gwałtownie rękami w stronę Herba, inni w stronę drzwi przeciwpożarowych. Ktoś nawet podszedł do nich, pociągnął za klamkę i zauważył, że nie są domknięte. Rozbrzmiały gniewne głosy.

— Jakiś problem?

Downes miotał się czerwony na twarzy, dyszący. Zignorował pytanie prawnika.

Lokata dyżurna w końcu znalazła drogę do lady.

— Panie Weinberg, mamy niewielkie problemy z odnalezieniem próbek, o które pan prosił. Czy może nam pan dać nieco więcej czasu? Pan Downes sugeruje, żeby pan zadzwonił do niego o pierwszej. Do tej godziny z pewnością je znajdziemy.

Herb pochylił się nad ladą i wbił złowróżbne spojrzenie w dziewczynę. Widział, jak się cofnęła.

— Panienko, jeśli ktoś z waszego laboratorium zapodział próbki pobrane od profesora Hunta, ściągnę na wasze głowy istny gniew Boży!

W chwili gdy prawnik opuszczał szpital, mżawka zaczęła przybierać na sile. Niedawna ulewa przemieściła się nad jezioro Michigan, ale niebo było wciąż szare, ulice i chodniki pokryte cieniutką warstewką wody. Na West Harrison honda civic wpadła w poślizg i uderzyła w wysoki krawężnik, wóz strażacki właśnie przygotowywał się do odholowania uszkodzonego samochodu. Ekipy telewizyjne i dziennikarze odsunęli się od schodów i głównego wyjścia ze szpitala, zajmując inne dogodnie punkty obserwacyjne z dala od dróg uczęszczanych przez licznych pacjentów. Weinberg zatrzymał się na kilka sekund i odetchnął świeżym powietrzem. Okulary natychmiast zasły mu mgiełką, zdjął je więc i wsunął do kieszeni marynarki. Ruszył dziarsko na parking, zwracając uwagę na część wydzieloną dla lekarzy. Mercedesy, bmw, saaby, volvo. Wiele drogich wozów z importu stało

248

wraz z najdroższymi modelami forda i chevroleta. Ale prawnik zmierzał prosto do zacisza swojego skromnego buicka z dziewięćdziesiątego ósmego roku.

Spoglądając na strefę przeznaczoną dla gości szpitala, zauważył dwóch kurierów DHL-u, którzy rozładowywali samochód na tyłach szpitala. Na paczkach znajdował się wielki napis: materiały medyczne: zemdon pharmaceuticals. Herb podkraść się do miejsca dostawy i czekał na dogodną okazję. Gdy obaj kurierzy zajęci byli w głębi rampy, szybko zajrzał do jednej z paczek. W środku znajdowały się skrzyneczki z winem. Gran premier cru, najwyższa klasa, a do każdej z butelek dołączono ozdobną karteczkę. Herb otworzył jedną z nich i szybko przeczytał treść.

przypominamy o ósmym października, najważniejszym dniu w historii kardiologii.

czerwone wino jest dobre na serce, cyclint jest jeszcze lepszy.

życzymy smacznego.

najlepsze życzenia od zemdon pharmaceuticals,

światowego lidera w produkcji leków etycznych.

Ci faceci nie marnują czasu, pomyślał Herb. Mój klient jeszcze dobrze nie wyszedł za drzwi, a oni już futrującego następców. To może być wielka sprawa.

Ale nie wystraszył się, to odkrycie jeszcze bardziej upewniło go w postanowieniu dojścia do prawdy. Skoro Zemdon chce działać widowiskowo, dostanie cholernie dobrą okazję do zrobienia prawdziwego widowiska.

Herb zaaranżował lunch w tawernie pani Park przy East Delaware. Jedzenie było dobre i nieprzesadnie drogie, za to obsługa znakomita i bardzo szybka. Prawnik zarezerwował stolik w rogu sali przy oknie,

249

a gdy przybył, Jack z Beth i Dannym już przy nim siedzieli. Cała trójka patrzyła na Herba badawczo, więc dał im znak, że jest tak sobie, zanim jeszcze się przysiadł. Zaraz pojawił się kelner i podał napoje.

— Nie potrafili znaleźć próbek — wyjaśnił Weinberg, jak tylko kelner odszedł. Na twarzy Jacka pojawił się grymas przerażenia.

— Powinniście widzieć tę panikę. Biegali w koło jak kurczaki z poobcinanymi głowami. W życiu nie widziałem tak dokładnej rewizji pomieszczenia. Dzwonili po całym szpitalu i... nic.

Beth spojrzała ciepło na męża, chcąc go wesprzeć na duchu, ale on nie zareagował. Danny nie podnosił głowy, wpatrywał się w resztki coli na dnie szklanki.

— Co to oznacza? — zapytał Jack.

Herb podniósł menu.

— Że będziemy tutaj siedzieli i jedli. Mam zadzwonić do Downe-sa o pierwszej. Twierdził, że do tej godziny odszukają pańskie próbki.

— Sprawdził zegarek. — Mają jeszcze trzydzieści minut. Co macie zamiar zjeść?

Ani Jack, ani Beth nie mieli apetytu. Wybrali z menu tylko sałatki i poprosili o wodę z lodem. Danny zamówił frytki i ketchup.

— A ja wezmę tuńczyka na ostro, a potem wieprzowinę z grilla, z pieczywem kukurydzianym i sałatką. — Herb czuł wielki głód po tak wielkim wysiłku, do jakiego był zmuszony tego ranka. — Równie amerykańskie żarcie jak szarlotka — uśmiechnął się. — A jak tam nowe miejsce zamieszkania?

To właśnie on wpadł na pomysł, by rodzina Huntów się przeprowadziła. Już w chwili ustalania strategii dalszego postępowania doradzał im, aby opuścili mieszkanie przy West Deming.

— Lada moment zaroi się tam od kamerzystów i reporterów, którzy będą was nękać, aby uzyskać choć słowo komentarza. A jeśli nie dopadną ciebie, doktoru, zabiorą się do Beth. Nawet Danny nie będzie mógł spokojnie wyjść z domu. Musicie ukryć się na jakiś czas z dala od jupiterów.

Przed wszystkim jednak potrzebowali nowych ubrań. A Jack dodatkowo musiał się wykąpać i ogolić. Zatrzymali się w Foksie, tanim sklepie przy North Clark. Kupili po jednej zmianie ubrania i po parze

butów, czyli tyle, ile potrzebowali na przetrwanie kilku najbliższych dni. Herb twierdził, że po tym czasie media przestaną się nimi interesować.

250

sować i będą mogli wrócić do domu po resztę rzeczy. Potem musieli znaleźć jakiś kąt, żeby przeczekać ten czas. Po sprawdzeniu w książce telefonicznej wybrali hotel Cass na North Wabash. Nie było to specjalnie piękne miejsce, zarówno od zewnątrz, jak i wewnątrz. Niewielkie pokoiki i proste umeblowanie. Telewizor znajdował się na wysokiej półce, a ustawiono go pod takim kątem, że nie sposób było zobaczyć ekranu, siedząc na łóżku. Ale cena za dobę wynosiła jedynie sześćdziesiąt dolarów, co było o tyle istotne, że kwestie finansowe odgrywały w tym momencie największą rolę. Pierwszą noc Danny spędził na dostawce, a Jack i Beth musieli się mocno przytulać na wąskim tapczanie. Zresztą i tak gapili się w sufit do samego rana.

Dokładnie o trzynastej Herb otarł brodę i usta serwetką, dopił kawę, a potem przeprosił wszystkich i zadzwonił do szpitala.

— Co to znaczy, że wciąż ich nie znaleźliście?

Steve Downes nie miał niestety dobrych wiadomości.

— Musieliśmy je gdzieś zapodziać.

— Chce pan powiedzieć, że ktoś je wyniósł ze szpitala?

— Nie mam zamiaru komentować tego w taki sposób.

— Zniszczyliście reputację mojego klienta — przypomniał mu prawnik. — Pozbawiliście go pracy w trybie dyscyplinarnym, co może mu grozić także odebraniem prawa wykonywania zawodu lekarza... — przerwał tylko dlatego, żeby zaczerpnąć powietrza. — A teraz wmawia mi pan, że jedyny dowód, na którego podstawie zrobiliście to wszystko, zniknął?

— Tak to wygląda, panie Weinberg. — Downes musiał się przyznać do porażki.

Herb zapał z uciechy.

— Cholerka, panie Downes, czuję zapach pieniędzy, wielkich pieniędzy.

Wrócił do stolika i przekazał czekającym na niego Huntom treść rozmowy.

— Zgubili? Nie wierzę w to — żołądkowała się Beth. — Jak można zgubić coś tak ważnego?

— Niczego nie zgubili — przerwał jej Jack. — Ukradli je, najprawdopodobniej już zniszczyli.

— Tu się zgadzamy, doktorku — Herb wyglądał na nieszczęśliwego — a to znaczy, że mamy prawdziwy problem. Bez tych próbek

251

nie będziemy mogli udowodnić, że został pan wrobiony. Może pan powtórzyć procedurę, ale to niczego nie zmieni. Przecież mógł pan w międzyczasie odstawić wódkę i prochy.

Na twarzy Beth malował się strach. Zauważyła, że oczy Danny'ego stają się wilgotne, i zabrała chłopca od stołu.

Gdy odeszli, Herb zwrócił się do Jacka.

— Nadal możemy wygrać tę sprawę. Skoro nie ma dowodów, nie mogą udowodnić panu winy. Najprawdopodobniej dojdzie do cofnięcia wypowiedzenia z przyczyn proceduralnych. Ale to może potrwać i będzie sporo kosztowało. Muszę pana o tym uprzedzić.

Jack nie odpowiedział. Czuł, że jego koszmar wkracza na kolejny poziom. Na początku współpracy z Herbem miał jeszcze nadzieję, ale ostatni zwrot akcji rozbił ją w pył. Istniała szansa na oczyszczenie nazwiska, ale przed nim aż roiło się od pułapek. Zwłaszcza finansowych. Nie walczył tutaj z normalnym przeciwnikiem. Ktoś używał nie tylko ogranych chwytów, ale także miał się przemoc, żeby go usunąć z drogi. Jack przypuszczał, że działania te miały go skłonić do współpracy przy promocji cyclintu. Kiedy to się nie udało, Zemdon albo nawet sam Downes uknuł przeciw niemu spisek. W końcu Jack sprzeciwił się jednej z najpotężniejszych korporacji farmaceutycznych świata, firmie obracającej miliardami dolarów. I omal nie został pokonany. A teraz, kiedy jedyny dowód oskarżenia zniknął, nie będzie w stanie przekonać nikogo, że przez cały czas był niewinny. Było jego słowo przeciw ich słowu, a ci ludzie przygotowywali każde swoje posunięcie tak pieczołowicie, że raczej wyjdzie na głupca, jeśli spróbuje ich ruszyć. Był Dawidem, a oni Goliatem, z tym że on nawet nie miał procy ani kamieni.

— Pójdę na to — powiedział w końcu. — Administracja będzie się broniła zębami i pazurami, nie mają innego wyjścia. Gdyby się okazało, że wyniki testów można podważyć, szpital zostałby rozszarpany przez media. Dlatego będą bronili swojej linii i pozytywnych wyników testów do upadłego, nigdy nie przyznają się do tak poważnej pomyłki. — Spojrzał adwokatowi w twarz. — Poświęć mnie dla swojej sprawy. — Zaczął zaciskać nerwowo dłoń. — Na pewno w przyszłości zaostrzą procedury kontrolne. Ale za nic nie przyznają się do zniszczenia mojego życia i mojej kariery.

Herb wzruszył ramionami, nie miał nic do dodania. Przywołał kelnera skinieniem ręki.

252

— Głowa do góry, doktorcu. Jeszcze wiele może się wydarzyć w tej rozgrywce. Myśl, co robić, a nie wpadaj w depresję. Musisz pamiętać o żonie i dziecku.

Jack niewiele z tego usłyszał, myślami był bardzo daleko od tego miejsca. Poskładał nieświadomie serwetkę w cieniutki klin, mięśnie na twarzy drgały mu z wściekłości.

— Musi być jakiś inny sposób. Musi być!

ROZDZIAŁ 24

Harry Chan nie marnował czasu i od razu przejął dowodzenie na oddziale kardiologicznym Cartera. W czasie gdy Herb Weinberg przemierzał korytarze na parterze, mikry kardiolog zadomawiał się w gabinecie Jacka, od razu też zastrzegł Helen, że będzie zatrudniona tylko do końca miesiąca.

— Po tym czasie, pani Bradley, sugeruję pani poszukać sobie nowej pracy.

Roztrzęsione dłonie i nerwowe chichoty towarzyszyły każdemu kolejnemu poleceniu, sekretarka obserwowała ekscytację nowego szefa z wyraźną niechęcią.

Godzinę później dwóch obcych mężczyzn przekroczyło progi profesorskiego gabinetu. Wyższy przedstawił się:

— Dzień dobry, nazywam się Stan Danker, przyszedłem na spotkanie z profesorem Chanem.

Ubrany był w granatowe spodnie i szarą marynarkę, niebieską koszulę i żółtą muszkę. Włosy miał żelowane, zaczesane do tyłu. Wszystkie zęby bielusiękie i zdrowe. W ogóle wyglądał na silną osobowość.

Helen sprawdziła kalendarz, ale nie znalazła żadnego wpisu, nie pamiętała też, by umawiała takie spotkanie. Ale po odejściu Jacka wszystko się rozpadało, a ona nie przywykła jeszcze do nowych porządków.

— Umówiliśmy się osobiście, profesor Chan czeka na nas.

Słowa te, choć nie pozbawione akcentu charakterystycznego dla

Wschodniego Wybrzeża, zabrzmiały tak pewnie, że Helen od razu za-

254

proponowała gościom kawę i miejsce w poczekalni. Odmówili przyjęcia napojów, ale zajęli wskazane krzesła.

Helen wróciła do przerwanej pracy: przepisywania listów i odbierania telefonów, ale cały czas miała oko na przybyłych mężczyzn. Drugi z nich nie odezwał się od momentu, kiedy wszedł do sekretariatu. Wyglądał starzej od swojego towarzysza, był też znacznie szczuplejszy, wręcz przygarbiony, czego nie zdołał zamaskować nienagannie skrojony garnitur, biała koszula i niebieski krawat. W prawej dłoni trzymał okulary w drucianej oprawie, którymi nieustannie stukał w policzek. Czekaając na spotkanie, bacznie przyglądał się wystrojowi sekretariatu.

O jedenastej piętnaście do biura wpadł podniecony i zasapany Harry Chan. Miał na sobie zielonkawe ubranie operacyjne, a grube okulary lekko mu zaparowały.

— Pan Danker, jakże się cieszę, że pana znowu widzę.

Stan Danker zdążył już wstać.

— Jak się masz, Harry? — Ucisnął mocno dłoń niskiego lekarza.

— To mój kolega z Zurychu, o którym ci opowiadałem.

Zanim padło nazwisko drugiego z gości, Chan zaprosił obu mężczyzn do gabinetu i zamknął dokładnie drzwi.

— Proszę nie łączyć żadnych telefonów do mnie, panno Bradley. Kiedy pojawi się pan Downes, proszę go natychmiast skierować do mojego gabinetu.

Dyrektor dołączył do zebranych trzy minuty później.

Stan Danker odezwał się pierwszy, gdy wszyscy znaleźli się we wnętrzu niedawnego sanktuarium Jacka Hunta.

— Steve, Harry, przedstawiam wam doktora Gerta Crozera...

— przerwał, aby mogli ucisnąć sobie dłonie. — Doktor Crozer jest dyrektorem operacyjnym korporacji Zemdon i jest osobiście zainteresowany promocją cyclintu na terenie Chicago. Przyleciał z Zurychu natychmiast po informacji, że sytuacja została opanowana. — Teraz Danker zwrócił się wprost do Chana. — Cieszymy się, że jesteś po naszej stronie, Harry. To były ciężkie czasy dla nas, a wiesz, jak bardzo nam zależy na osiągnięciu dobrego wyniku. — Wszyscy pokiwali głowami na znak, że się zgadzają. — Panie Downes, jeśli może pan potwierdzić nominację profesora Chana, ja potwierdzę gotowość wpłaty pół miliona dolarów na konto waszego szpitala.

255

Steve Downes skinął głową. Jego ręce pozostały na wydatnym brzuchu, wydawało się, że opięta koszula w każdej chwili może na nim pęknąć. Odwrócił się na krześle tak, by mówić prosto do doktora Crozera.

— Domyślam się, że wie pan o tym, iż to mnie przypadło w udziale niezbyt przyjemne zadanie pozbycia się profesora Hunta. Odkryliśmy podczas rutynowych testów, że nadużywał narkotyków.

— Twarz Crozera pozostała nieprzenikniona. — Wiem już, że wynajął prawnika, aby obalić to oskarżenie, ale uprzedzam, że nie muszą się panowie niczym przejmować. — Przeszedł szybko do rzeczy.

— Natychmiast po usunięciu profesora Hunta zaproponowałem na jego stanowisko Harry'ego Chana. Rada lada chwila zatwierdzi tę zmianę. Z pewnością nie będzie chciała przechodzić skomplikowanych procedur konkursowych. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności doktor Chan przystał na moją propozycję i objął dzisiaj rano obowiązki profesorskie na kardiologii. Postawiłem mu tylko jeden warunek, a on zgodził się natychmiast na współpracę przy naszym projekcie.

— W chwili gdy Downes kończył to zdanie, Crozer odwrócił się w stronę kardiologa. — Harry zgodził się poprzeć oficjalny start cyc-lintu w ten piątek. Umowa zawarta przez Sama Lewinsa zostanie dotrzymana w stu procentach.

Downes opadł na oparcie fotela i rozpiął guzik w najbardziej napiętym miejscu koszuli.

— A gdzie teraz znajduje się zwolniony profesor? — zapytał Crozer. — Czy nadal przebywa w Chicago?

— Nie wiem i nie bardzo mnie to obchodzi.

Taka odpowiedź nie usatysfakcjonowała Szwajcara.

— Ale mnie obchodzi. Czy utrzymamy stawiane mu zarzuty? Czy jego reputacja legnie ostatecznie w gruzach, a kariera zostanie złamana? Czy nie będzie już stanowił zagrożenia?

Downes poruszył się niespokojnie na fotelu.

— Proszę o nim zapomnieć, jego już nie ma. Nie dostanie w tym mieście żadnej pracy, gdzie indziej prawdopodobnie też nie.

Crozer chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili, jakby coś nagle wpadło mu do głowy.

Steve Downes natychmiast poderwał się na nogi, wskazał na zegarek.

256

— Jeśli panowie wybaczą, mam posiedzenie rady za kilka minut.

Szybko wymienił ze wszystkimi uścisk dłoni. — Liczę na następne spotkanie w przyszły piątek.

Jak tylko Downes opuścił gabinet, Stan Danker przeszedł do meritum.

— Harry, mamy naprawdę sporo roboty z dopracowaniem wszystkich szczegółów akcji promocyjnej cyclintu. Co powiesz na wspólny lunch, wyjaśnię ci podczas posiłku, na czym nam najbardziej zależy.

Przy lampce szampana w jednej z najdroższych restauracji w Chicago Harry Chan wysłuchał opowieści o wielkim wyzwaniu, jakie go czekało w najbliższej przyszłości.

Debiut rynkowy cyclintu miał być wydarzeniem porównywalnym do startu rakiety wystrzelwanej przez NASA. Wszystkie oddziały narodowe koncernu przygotowywały własne programy uczczenia jego startu. Opiniotwórczy dziennikarze i kardiologowie mieli ucztować na koszt firmy, i to bez żadnych ograniczeń. Zarezerwowano już luksusowe wagony kolejowe i najlepsze miejsca w samolotach, by dalej mieszkający mogli dotrzeć wygodnie i na czas. Na miejsca imprez wybrano najdroższe hotele, Hilton Head w Karolinie, La Jolla w Kalifornii, Savoy w Londynie, Excelsior w Rzymie, Ritz w Paryżu, Raffles w Singapurze, Peninsula w Hongkongu i wiele im podobnych na całym świecie. Mniej ważnych uczestników akcji firma zamierzała podjąć tańszym winem i szwedzkim stołem w lokalnych hotelach.

W Zurychu zaplanowano bal, do którego miała przygrywać trzydziestoosobowa orkiestra, na jego zakończenie przewidziano gigantyczny pokaz ogni sztucznych. Najlepszy szampan miał płynąć aż do rana.

Ale głównym punktem programu miało być połączenie z Chicago. Każde centrum znajdujące się w rozsądnej strefie czasowej miało połączyć się bezpośrednio z Harrym Chanem, aby przeprowadzić dokładnie reżyserowaną dyskusję. Rozmowy te byłyby później transmitowane dla tych, którzy celebrowali pojawienie się nowego leku w najbardziej oddalonych miejscach świata. Chan miał oświadczyć ze stuprocentowym przekonaniem i jeszcze większym entuzjazmem, że cyclint jest „najważniejszym i najbardziej ekscytującym przełomem w kardiologii na przestrzeni ostatniej dekady”. Spisane już dialogi zawierały także następującą frazę: „Zemdon Pharmaceuticals i jego laboratoria badawcze zasłużyły na najwyższe uznanie. Liczę, że ten

257

cudowny lek tylko w pierwszym roku stosowania ocali życie nie mniej niż pół miliona ludzi, a co najmniej ośmiuset tysiącom oszczędzi trudów dochodzenia do zdrowia po rozległych zawałach serca”. W tym momencie komputerowe symulacje przedstawią wykresy i statystyki dotyczące wspomnianych liczb. Kolejne slajdy będą zawierały dane na temat oszczędności i wyników po roku, dwóch i pięciu latach wykorzystywania tego leku. „Oddział Kardiologii Szpitala imienia Cartera, jedna z najlepszych placówek medycznych na terenie całej Ameryki, przyjmuje pojawienie się cyclintu z ogromnym entuzjazmem” — tymi i tylko takimi słowami Harry miał zakończyć swoje przemówienie. Czas połączenia został wyliczony do ostatniej sekundy, nie pozwalając na najmniejsze nawet odstępstwa.

W czasie rozmowy myśli Harry'ego krążyły nieustannie wokół tajnego konta w szwajcarskim banku. Pół miliona dolarów za godzinę pracy. I kolejne kwoty w przyszłości. Łatwizna.

Jednakże życie Jacka i jego rodziny z pewnością nie należało teraz do łatwych. Poniedziałkowe popołudnie i wieczór cała trójka musiała spędzić w maleńkim hotelowym pokoiku. Ujadając na siebie jak psy walczące o kość w ciemnym zaułku.

— Co do cholery miało znaczyć, że odmówiłeś zatrudnienia dodatkowych pielęgniarek?

Beth skacząc po kanałach trafiła na pierwsze dzienniki, w których podawano informacje o nominacji Harry'ego Chana. Newsa ozdobiono trzydziestosekundówką, na której kardiolog szczerząc się do kamer, wsiadał do swojego samochodu. Wyglądał przy tym pewnie jak człowiek, który jest bardzo zadowolony z siebie. Prezenter zakończył informację kilkoma cytatami z prasy:

— Carterowi udało się zatrudnić cztery dalsze pielęgniarki posiadające specjalistyczne przeszkolenie w dziedzinie kardiologii, które umożliwiły w końcu zlikwidowanie kolejek pacjentów oczekujących na zabiegi. Poprzedni profesor, niedawno zwolniony doktor Jack Hunt, blokował zwiększenie liczby miejsc pracy. Powody tej decyzji nie są znane, ale dyrektor szpitala, pan Downes, twierdzi, że mógł to być po prostu jeden z licznych kaprysów niesubordynowanego Irlandczyka.

Beth wściekła się jak cholera.

258

— Co jeszcze robiłeś w tym szpitalu, tylko zapomniałeś mi powiedzieć? — Stała przed mężem z zaciśniętymi zębami i rękami opartymi na biodrach.

Jack nie odpowiedział, spojrzał jedynie znacząco w stronę Danny'ego. Chłopiec siedział na podłodze, robiąc wielkie oczy, widać było, że martwi go kolejna konfrontacja rodziców.

— Nie zasłaniaj się własnym synem — wyszczała Beth. — Nawet słowem o tym nie wspomniałeś. Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Zasłużyłam sobie na wyjaśnienia, panie Hunt. Nie uważasz, że powinnam znać całą prawdę, skoro trafiłam z tobą w tak ohydne miejsce?

Jack ukrył twarz w dłoniach. Nawet nogi zaczęły mu się trząść, gdy dotarło do niego oskarżenie zawarte w głosie żony.

— To nie tak, kochanie. Chcieli mnie przekupić. Nie chciałem się zgodzić na uczestnictwo w promocji ich nowego lekarstwa, więc ścielili mi cały świat u stóp, bylebym uległ.

— A ty, oczywiście, nie zamierzałeś niczego przyjmować. — Sarkazm przebijający z tonu Beth bolał bardziej niż uderzenia. — Zdecydowałeś, że lepiej będzie wpędzić rodzinę w ruinę, niż pójść na ugodę ze swoimi wybujałymi ideałami. — Zaczęła krążyć po niewielkim kawałku wolnej podłogi. Zaciskając i prostując dłonie, z napięciem malującym się na twarzy.

Jack zdawał sobie sprawę, że jej ostatnie słowa nie były wyłącznie skutkiem przemęczenia i żalu. Utknęli we trójkę w podrzędnym mote-liku. Tutaj naprawdę trudno było ruszyć się, żeby nie wpaść na drugą osobę albo mebel.

— Beth, już raz przez to przechodziliśmy. — Próbował ją uspokoić. — Nie dołuj siebie tym raz jeszcze. — Wyciągnął do niej rękę, ale odtrąciła ją gniewnie.

— Jak mam siebie nie dołować? — zadrwiła. •— Nie uważasz, że jest już trochę za późno na tego typu uwagi? Gdybyś nie zauważył, ja i Danny żyliśmy przez parę ostatnich miesięcy na ostrzu noża. Ale ty ratując świat, nie miałeś czasu, żeby o tym słuchać. — Jack zwinął się, jakby go uderzyła w brzuch. — A teraz masz nas dość, bo nie możesz już uciec do swojej choleralnej roboty! — Beth nie potrafiła już pohamować wściekłości. Ten wybuch odebrał jej jednak siły, i po prostu opadła na jedyny wolny fotel, po czym zaczęła strasznie pł-

259

kać. Dopiero tży Danny'ego powstrzymały ją od dalszego wylewania żalów.

Okolo północy zmęczenie pokonało gniew i Beth w końcu zapadła w męczący sen. Kilka minut później ciche chrapanie Danny'ego potwierdziło, że on także już nie czuwa. Jackowi niestety nie dane było wytchnienie, spędził całą noc wpatrując się w elektroniczny zegar stojący przy łóżku. Widział zmianę każdej minuty aż do świtu.

Beth obudziła się, wymamrotała przepaszając kilka słów i popędziła do łazienki, aby wymiotować. Jack słysząc, jak targają nią kolejne torsje, przeżywał istne emocjonalne piekło.

Około dziesiątej wysłał Danny'ego do holu hotelowego, aby tam się pobawił, a sam zaczął planować kolejne posunięcia.

— Do kiedy mamy opuścić mieszkanie?

Beth sprawdziła w notesie, powoli przesuując palcem po zapisanej maczkiem stronie. Była wyraźnie wycieńczona pierwszymi objawami ciąży, zwłaszcza atakami nudności każdego ranka, których efekty odczuwała przez resztę dnia. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin nie odżywiła się właściwie, pogryzając jedynie suchary, aby całkiem nie opaść z sił.

— Zawiadomiłam administrację zaraz po wpłaceniu zaliczki na „Joliet”. Powinniśmy się ostatecznie wyprowadzić w piątek, piętnastego października. — Zachrypta, co było ostatnim widocznym skutkiem awantury z ubiegłej nocy.

Jack jęknął.

— Zostało nam tylko dziesięć dni.

Jak mam oczyścić się z zarzutów w tak krótkim czasie? Nie mam pracy, nie mam dochodów, nie mam przed sobą żadnych perspektyw. Jak utrzymać żonę w ciąży i ośmioletniego syna, kiedy na koncie zostało nam zaledwie sześć tysięcy dolarów? Przez moment pomyślał o zakupie trzech biletów do Dublina. Nie, tego nie mógł zrobić. Mam wziąć czapkę w rękę i zebrać o pomoc? Nie ma takiej możliwości, wolę umrzeć, niż tak się poniżyć. Ale może Danny i Beth dadzą się namówić na wyjazd, jeśli powiem im, że to tylko taki urlop.

Położył obie dłonie na ramionach żony i ścisnął ją, nie za mocno, jednocześnie uciekając wzrokiem przed jej pytającym spojrzeniem.

— Wydaje mi się, że powinnaś wyjechać z Dannym na kilka tygodni do Irlandii. Mamy wystarczającą ilość pieniędzy na opłace-

260

nie biletów lotniczych i zapewnienie wam środków do życia na taki czas.

Twarz Beth stężała, ta propozycja mocno ją zszokowała, krew odpłynęła jej z policzków.

— A ty co zamierzasz zrobić?

— Zostanę tutaj i stawię czoło sprawie. Nie pozwolę im zrujnować naszego życia.

— Az czego będziesz żył? Gdzie będziesz mieszkał? — W głosie Beth pojawiła się desperacja.

Jack przytulił ją do piersi, czując, jak jej wątłe ciało drży.

— Nie wiem jeszcze, mamy za mało pieniędzy, ja jestem bezrobotny, a lada chwila stracimy dach nad głową. Co innego możemy jednak zrobić?

Płacz Beth sprawiał fizyczny ból umęczonemu Jackowi. Zrozumiał, że bez żony i dziecka przy sobie będzie mógł jaśniej myśleć i efektywniej działać. Nagle dotarło do niego, że chce, aby wyjechali. Jezu Chryste, cały czas walczyłem, aby ich przy sobie zatrzymać, a teraz chcę, by mnie opuścili. Rozdarły go gniew i żal, tym razem przytulił Beth tak mocno, że z trudem mogła oddychać. A potem nagle odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy. Jej piękna twarz wyglądała strasznie. Skóra wokół oczu napuchnięta i wilgotna, białka nabiegłe krwią, ślady tuszu do rzęs rozmazane od nosa aż po uszy.

— Och, Beth, Beth, tak cię kocham. — Otarł własne łzy. — Jak mogłem wpakować cię w takie bagno?

Jack pociągnął żonę w stronę łóżka i położył ją ostrożnie. Potem usiadł obok i przytulił się, ale tak delikatnie, jakby była zrobiona z chińskiej porcelany.

— Już dobrze, już dobrze. Jestem tu z tobą, wszystko będzie dobrze.

Rzucił okiem na zegar, dochodziła dziesiąta czterdzieści, a byli umówieni z Herbem Weinbergiem na lunch o pierwszej. Może on będzie miał jakieś nowe pomysły. Boże, spraw, żeby sytuacja uległa zmianie.

ROZDZIAŁ 25

Herb Weinberg wiedział, że postawił laboratorium w Carterze w nader trudnej sytuacji. Był też pewien, że wiadomość o kontrataku ze strony Jacka Hunta rozejdzie się po szpitalu lotem błyskawicy.

— Musimy się teraz dowiedzieć, jak zareagowano na nasz krok na oddziale kardiologicznym. Jasne jest, że zaskoczyliśmy, nawet zadziwiliśmy wszystkich, ale to normalne w takiej sytuacji. Ja mówię o konkretnych reakcjach konkretnych ludzi. Kogo oblały zimne poty, kiedy się o tym dowiedział? Kto zaczął nagle wydzwaniać po ludziach? Kto przeprosił i wyszedł na godzinkę? Takich informacji potrzebuję. — Jack, chcąc dostarczyć adwokatowi potrzebnych danych, musiał zadzwonić w poniedziałek rano do swojego dawnego biura, na szczęście Helen bez wahania zgodziła się pomóc mu w tej sprawie. Wyraziła także gotowość, by spotkać się z nimi dwoma we wtorek w porze lunchu i osobiście podzielić się spostrzeżeniami. Lecz choć mijała już druga trzydzieści, nie pojawiła się w restauracji.

Herb zaczął się denerwować, chciał wyjść. Ostrzegł też Jacka o czekających ich problemach.

— Pogadałem z adwokatami, którzy mieli do czynienia z podobnymi przypadkami. I nie mam zbyt dobrych wiadomości. Taka sprawa może ciągnąć się miesiącami. Jeśli nie mamy w ręce próbek użytych do testów, Downes może wymyślać dziesiątki wymówek dotyczących ich zniknięcia. Może także po jakimś czasie odnaleźć je cudownym trafem, ale zepsute albo nie nadające się już do ponownych badań.

— Cekał na Helen tak długo, jak mógł. — Wybacz, dok-

262

torku, sala sądowa wzywa. Postaram się zdobyć te informacje przez moich informatorów w mediach. — Podniósł aktówkę. — Nie traćcie ducha.

Jack i Beth siedzieli przy stoliku milcząc, a Danny'ego spacyfikowano kolejną porcją coca-coli. Beth wzięła się trochę w garść, ale wciąż była smutna i zła.

Restauracja znajdowała się w pobliżu Instytutu Sztuki, na chodniku za oknem klienci objuczeni markowymi torbami zmagali się z silnym wiatrem. Od brzegu jeziora dzieliło to miejsce zaledwie kilka przecznic, pomiędzy ścianami pobliskich wieżowców widać było mgliste opary unoszące się z wody. Po przeciwnej stronie ulicy taksówki i minibusy wypluwały ze swoich wnętrz turystów zmierzających do pobliskich hoteli. Ludzie wyglądali na szczęśliwych i podekscytowanych, pachnieli też pieniędzmi. Cieszyli się z odwiedzenia Magnificent Mile i całej masy luksusowych sklepów.

Za piętnaście trzecia.

— Życzą sobie państwo coś jeszcze?

Meksykański kelner przywołał Huntów do rzeczywistości, nie mając nic innego do roboty. Tylko trzy stoliki w całej restauracji były teraz zajęte. Miał długie, sumiaste wąsy, ogorzałą skórę, na okrągłym brzuchu nosił biały fartuszek. Mówił dobrze po angielsku, ale miał straszny akcent. Uśmiechnął się służbowo, ukazując jeden ubytek z boku i zepsuty ząb z drugiej strony.

Beth rzuciła okiem w dół, na nietknięte jeszcze danie.

— Nie, jeszcze nie — odparła, bawiąc się szparagiem. — Jeszcze nie skończyliśmy.

Kelner uniósł oczy ku niebu.

— Nie musi się pani śpieszyć — mruknął na odchodnym. — Mamy przed sobą cały dzień.

Sytuacja robiła się kłopotliwa. Nie mieli dokąd pójść ani zbyt wiele pieniędzy do wydania. Herb ostrzegął, żeby na tym etapie nie wracali na West Deming i raczej nie używali nowego samochodu.

— Większość reporterów zna wasze numery rejestracyjne. Wytropią was w ciągu godziny — powiedział. Dlatego ich srebrny Chevrolet stał zaparkowany w cichym miejscu z dala od wścibskich oczu. Wszędzie chodzili pieszo albo korzystali z metra i autobusów. Taksówki nie wchodziły w grę, były zbyt drogie.

263

A do tego wszystkiego dochodziło zmęczenie i depresja. Słowa Herba załamały ich kompletnie, a Helen spóźniła się już dwie godziny. Cierpliwość Danny'ego była na wyczerpaniu. O tej porze roku powinien już pójść do szkoły, uczyć się, trenować, a wciąż włóczył się za rodzicami, służąc im za swoisty piorunochron, tylko przez wzgląd na niego nie kłócili się bez przerwy.

— Ja chcę do domu — oznajmił w końcu.

Jack chciał coś warknąć w odpowiedzi, jego nerwy były napięte jak postronki, ale gniewny wzrok Beth kazał mu milczeć.

Dziesięć po trzeciej. Nadal ani śladu Helen. Na zewnątrz coraz więcej taksówek przywoziło pasażerów.

— Lepiej już stąd chodźmy — zaproponowała Beth. Nie mogła znieść niecierpliwych spojrzeń ze strony obsługi. Ci ludzie dobrze wiedzieli, czym są przedłużające się posiłki, znali każdą taktykę przeciągania czasu przez klientów, dlatego co chwilę, od za piętnaście druga, sprawdzali stan nienaruszonych potraw na stole Huntów. Wzrok Meksykanina mówił wyraźnie, za kogo ich uważa.

— Patrzcie — ostrzegł nagle Danny — pan z wąsem znów do nas idzie.

Jack dopił kawę wystudiowanym ruchem i wstał, zmuszając się do uśmiechu.

— Czas wychodzić. Mamy sporo sklepów do obejścia.

Kelner stanął obok niego.

— Pan nazywa się Hunt?

— Przepraszam — odparł Jack — wiem, zagadaliśmy się trochę. Ale nie widzieliśmy się od tak wielu lat.

Danny przewrócił oczami.

— Nie, nie — zdenerwował się kelner. — Pytałem, czy nazywa się pan Hunt. Mamy telefon do pana Hunta. — Przetoczył wzrokiem po niemal pustej sali. — Jeśli to nie pan, powiem, że nie ma tu nikogo takiego.

— Tutaj dzieje się coś dziwnego — Helen zadzwoniła z automatu znajdującego się w poczekalni szpitalnej przy izbie przyjęć — nie mogłam się wyrwać wcześniej bez wzbudzenia podejrzeń. Na oddziale aż wrze.

264

Opisała Jackowi przebieg wcześniejszego spotkania w gabinecie profesora.

— Steve Downes i dwaj obcy mi mężczyźni, jeden miał akcent ze Wschodniego Wybrzeża, drugiego nie potrafię zlokalizować. Chyba był Niemcem. Słyszałam go tylko w momencie, gdy wychodził. Spędzili z Harrym Chanem niemal godzinę. A dzisiaj on siedzi w biurze Downesa od dziewiątej, nie wiem, co tam się dzieje, ale z pewnością coś kombinują.

Serce Jacka przyśpieszało w miarę, jak słuchał. Przejmowałem się Martinem Shreeve'em, a prawdziwego zdrajcę miałem cały czas pod nosem! Shreeve to zwykły pijaczyna, nikt więcej, nie ma tyle szarych komórek w przepitym mózgu, żeby zaangażować się w tak skomplikowaną aferę. A Chan to hazardzista, potrafi zagrać o wysokie stawki. To dlatego był ostatnio taki radosny. Założę się, że czekał na ten moment od dłuższego czasu.

— Wydarzyło się coś jeszcze? — zapytał.

— Pamięta pan Trenta Crilly'ego? Korespondenta działu medycznego z „Chicago Tribune”, który zrobił z panem wywiad pod koniec lipca?

Jack jęknął. Oczywiście, że pamiętał tego człowieka. Przecież dni jego chwały nadeszły tak niedawno.

— Facet zamęcza mnie o wywiad z panem. Z tego co wiem, przesłuchał już niemal wszystkich pracowników naszego oddziału.

— Nie jestem zainteresowany. Na mojej liście priorytetów ta sprawa zajmuje odległe miejsce.

— Przekażę mu.

— Coś jeszcze? Bez względu na to jak błahe by ci się wydawało...

Długa przerwa. W tle Jack mógł słyszeć hałasy: krzyki, płacz, normalne odgłosy towarzyszące pracy na izbie przyjęć.

— O mój Boże, byłabym zapomniała! — krzyknęła rozgorączkowana Helen.

— Co takiego?

— Zabrali z biura pański komputer.

— Co takiego?

— Z samego rana przyszedł jakiś facet i powiedział, że kazano mu zabrać pański komputer. Nie znałam go, ale miał na sobie strój służbowy działu technicznego.

265

— Po jaką cholere im mój komputer?

— Pytałam, ale nie uzyskałam żadnej odpowiedzi.

Jack zastanowił się nad znaczeniem uzyskanej informacji. Przypomniał też sobie, co Helen mówiła kilka dni wcześniej o tym, że wydawało jej się, iż ktoś przesunął jego komputer. Próbował połączyć te fakty w logiczną całość, ale jakkolwiek się starał, nie wychodziło mu nic sensownego.

— To wszystko?

— Obawiam się, że tak. Proszę być ze mną w kontakcie, będę miała oko na wszystko. Muszę już iść.

Jack odwiesił słuchawkę, odwrócił się i zobaczył, że tuż za nim stoi Beth; w jej oczach widział nadzieję.

— Nic — skrzywił się. — Nic, o czym już bym nie wiedział. — Twarz Beth natychmiast posmutniała.

Jack zauważył, że Danny przygląda im się uważnie. Kiedy spojrział w jego stronę, chłopak natychmiast odwrócił wzrok, tym gestem ugodził prosto w serce Jacka. Oni liczą, że zrobię coś, co odmieni naszą sytuację, a ja za każdym razem liczę, że ktoś inny zdoła to za mnie załatwić. Tymczasem zostaliśmy sami

na polu walki. Błędny rycerz nie wynurzy się z lasu, niosąc wieści, które natychmiast oczyszczą moje nazwisko. Zbyt dobrze to zaplanowano i wykonano. Znalazłem się w narożniku i mogę liczyć tylko na siebie.

— Beth, wracaj z Dannym do hotelu. Ja pójdę do mieszkania. Mam w dupie, czy przed drzwiami stoi cała horda dziennikarzy. Wchodzę do środka, zabieram ubrania i resztę potrzebnych rzeczy, spotkamy się za jakąś godzinę. Potem podejmiemy kilka ważnych decyzji.

Pozostało im wystarczająco dużo drobnych, żeby pojechać taksówką do hotelu Cass na North Wabash. Stamtąd Jack pobiegł na Michigan Avenue i złapał autobus jadący na North Clark. Trzydzieści minut później szedł po West Deming w stronę dawnego mieszkania. Trzymał się przeciwnej strony ulicy, głowę miał opuszczoną tak, by widzieć całą okolicę. Na razie nie widział żadnych reporterów zgromadzonych przed wejściem do budynku. Aby zyskać pewność, przeszedł dalej i sprawdził także wyloty sąsiednich uliczek. Nic. Już położyli na mnie lachę. Teraz Harry Chan jest numerem jeden, a ja należę do przeszłości. Złość i gorycz — tyle mu zostało, a potrzebował jasności umysłu.

266

Musiał się skoncentrować. Odrzucić wszystkie negatywne emocje. I myśleć. Jest dobrze, uznał. Brak mediów w pobliżu pozwala mi na powrót do domu.

Pośpieszył w stronę wejścia do budynku. Wpadł do holu i oparł się

O drzwi, ciężko dysząc. O tej porze większość mieszkańców powinna być jeszcze w pracy, wiedział więc, że ryzyko napotkania kogokolwiek jest niewielkie. Czułny jak nigdy, szedł ostrożnie stopień po stopniu. Na klatce schodowej panowała kompletna cisza, starał się więc poruszać bezszelestnie. Wychylał się co chwilę przez poręcz i nasłuchiwał. Ani jednego dźwięku. Po trzydziestu sekundach dotarł na pierwsze piętro. W zasięgu wzroku nie było nikogo, wszystkie drzwi do mieszkań były zamknięte. Sięgnął do kieszeni i wyczuł ostre kształty kluczy, wybrał ten, którym otwierało się rygiel. Z niewiadomych przyczyn poczuł się nagle jak włamywacz, chociaż miał tylko otworzyć drzwi do własnego mieszkania. Klucz obrócił się bez problemu. Pora na zamek bębnekowy, znajdujący się na wysokości oczu. Otworzył drzwi i sięgnął do klawiatury alarmu antywłamaniowego. Ze zdziwieniem odkrył, że zapomnieli go włączyć. Nie ruszył się, starał się sobie przypomnieć, kto ostatni wychodził, kiedy uciekali z mieszkania. On był ostatni. I z pewnością uruchomił alarm.

— Doktorze Hunt.

Dźwięk słów wypowiedzianych tuż za jego plecami sprawił, że serce skoczyło mu do gardła. Odwrócił się szybko i zobaczył, że tuż za nim stoi konserwator budynku.

— Marty, to ty. Jezu, ale mnie wystraszyłeś.

Marty był starszym mężczyzną, który odwiedzał ich dom, aby zająć się naprawami. Do jego zajęć należało także sprzątanie korytarzy

1 sprawdzanie, czy mieszkańcy zachowują się zgodnie z regulaminem osiedla. Był niski, miał nieco ponad pięć stóp wzrostu, piegowatą, łysą czaszkę i cieniutki siwy wąsik. Nosił służbowy dżinsowy kombinezon, ten sam co zwykle.

— Przepraszam, że pana wystraszyłem — odezwał się, wolno cedząc słowa wypowiedane z zaśpiewem charakterystycznym dla ludzi z tej okolicy. — Byłem na ostatnim piętrze, kiedy usłyszałem, że ktoś otwiera frontowe drzwi. — Machnął ręką. — Sprawdzałem po prostu, czy wszystko w porządku. — Jeśli do Marty'ego dotarli już wieści o odejściu Jacka w niesławie, nie pokazał tego po sobie. Ruszył w kie-

267

runku schodów, ale nagle zatrzymał się i dodał: — Koleżka ze szpitala zabrał już pański komputer.

Jack zamarł. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał, więc cofnął się na korytarz.

— Przepraszam, Marty, co przed chwilą powiedziałaś?

Konserwator był już niemal na ostatnim stopniu schodów, trzymał

się ręką poręczy i dyszał z wysiłku.

— Pana asystent ze szpitala zadzwonił jakąś godzinę temu i wszedł do pańskiego mieszkania. Miał klucze i wiedział, jak wyłączyć alarm. Kiedy pojawiłem się w budynku, już wychodził z pańskim komputerem. Zatrzymałem go w drzwiach. Wylegitymował się i powiedział, że ma zanieść twardy dysk do Cartera. Pojęcia nie miałem, o czym ten człowiek mówi. Twardy dysk, miękki dysk, co to w ogóle znaczy?

Marty skręcił na następny ciąg schodów, Jack podążył za nim. Serce mu waliło jak oszalałe, w ustach czuł suchość.

— Jak wyglądał ten człowiek? — Musiał szybko wymyślić odpowiednie kłamstwo. — U mnie pracuje kilku ludzi. Zastanawiam się, który z nich tu był.

Czoło Marty'ego pokryło się zmarszczkami, musiał się mocno zastanawiać.

— To był wielki facet, tego jestem pewien. — Zmierzył Jacka wzrokiem. — Znacznie wyższy od pana. Chyba nawet o trzy albo i cztery cale. Blondyn, dobrze ubrany. — Odwrócił wzrok na ścianę, jakby tym sposobem mógł odświeżyć pamięć. — No i ten śmieszny akcent. Nigdy wcześniej takiego nie słyszałem.

Jack chwycił konserwatora za ramiona.

— Marty, to naprawdę ważne. Czy ten człowiek powiedział coś jeszcze?

Mężczyzna spojrzał w górę, najwyraźniej zaskoczony siłą chwytu Jacka.

— Nie, nic innego nie mówił. Tylko: „Jestem asystentem doktora Hunta i muszę odnieść ten twarde dysk do szpitala”. Wyglądał na porządnego faceta.

Jack zbiegł po schodach w sekundę. Wpadł do mieszkania i od razu skierował się do maleńkiej pracowni. Monitor nadal stał na blacie biurka, ale wieża zniknęła. Przeszedł do salonu. Kartony zostały rozerwane, ich zawartość wałała się po całej podłodze. Natychmiast

268

zorientował się, że intruz przeszukał tylko te, które były przypisane jego osobie. Ubrania, buty i bielizna leżały tam, gdzie je zostawił. W dużej sypialni. Wszystkie szuflady były wysunięte, a ich zawartość rozsypana. Przeszukano nawet pokój Danny'ego, ale tutaj zrobiono to mniej starannie, sądząc po mniejszym bałaganie. Wrócił do pracowni. Szuflady biurka zostały opróżnione, ktoś zabrał całą dokumentację.

Jack stał pośrodku tego bałaganu, myśląc gorączkowo. Co tu się dzieje, do kurwy nędzy? Był tak zaskoczony, że nie mógł zebrać myśli. Pokonali mnie i doskonale o tym wiedzieli. Ale po jaką cholere im mój komputer? Moje komputery! Najpierw ten z biura w szpitalu, teraz prywatny, z domu. Czego ci ludzie szukają? Chodził z pokoju do pokoju, usiłując przeniknąć motywy, którymi kierowali się jego wrogowie. Szuflady powyciągane, kartony porozpruwane, ale tylko te należące do mnie...

Nagle rozległo się skrzypnięcie otwieranych drzwi frontowych i Jack nie zastanawiając się wiele, ukrył się za sofą. Jednakże nikt nie wszedł do mieszkania; to był tylko przeciąg, uznał, wstając powoli i zaglądając ostrożnie do przedpokoju. Ręce drżały mu mocno, pot spływał po czole. Zamknął drzwi i znów zaczął przyglądać się bałaganowi.

Marty twierdził, że facet był wysoki, wyższy niż ja. Blondyn z dziwnym akcentem. Myśl, myśl, Hunt. Wysoki facet. Co ci to przypomina? Twarze i sylwetki przemykały przez jego myśli, ale tylko jeden człowiek pasował do opisu. To ten goryl, który panoszył się w moim sekretariacie, ten, z którym widziałem Harry'ego Chana w windzie. Ale co on chciał mi ukraść? Przecież nie pieniądze, tych nie mam. Tak samo jak nie miałem niczego, co mogłoby mi pomóc w oczyszczeniu się z zarzutów stawianych przez szpital. Nadal chcą mnie zastraszać? Ale po co? I dlaczego zabierają tylko komputery?

1 wtedy pomyślał o swojej internetowej znajomej, doktor Drun-ker. Wielki Brat. Carlotta, czy to przed nim próbowałaś mnie ostrzec? Szalone wiadomości przesyłane przez koleżankę z Sacramento teraz nabrały złowieszczonego znaczenia. Co mieliśmy wspólnego? Nasze badania. Czyżby ta promocja leku była tylko pobocznym wątkiem afery? Ale dlaczego prześladowania trwały nadal, skoro udało im się usunąć mnie ze stanowiska profesorskiego na kardiologii? Myślał coraz in-

269

tensywniej. Widocznie mam coś, czego oni naprawdę chcą. Jezus Maria.

Wpadł w panikę, gdy zrozumiał, o co tym ludziom chodzi. Sięgnął po telefon i zaczął wykręcać numer, ale przerwał w połowie. Telefon mógł być na podsłuchu. Rozejrzał się po pokoju. Całe mieszkanie mogło być na podsłuchu.

O siedemnastej czterdzieści Jack o mało nie doprowadził do zawału swojej byłej sekretarki. Na dworze już zaczęło zmierzchać, kiedy przycupnął na parkingu dla pracowników pomiędzy czarnym nissanem a ścianą. Zobaczył, że światła samochodu mignęły dwukrotnie, chwilę później usłyszał dźwięk klucza wsuwanego do zamka. Wtedy wstał.

— Helen, to ja, Jack.

Prawa dłoń kobiety powędrowała gwałtownie do gardła, lewą wysunęła w obronnym geście przed siebie.

— O mój Boże, o słodki Jezu. — Oparła się czołem o krawędź dachu. — Doktorze Hunt, dlaczego pan czai się na mnie?

Była wściekła, ale Jack uciszył ją w jednej chwili.

— Nie mam tyle czasu, by opowiedzieć ci wszystko, ale możesz mi chyba zaufać. — Helen patrzyła mu prosto w oczy, widać było pewną podejrzliwość w jej wzroku. — Potrzebuję wielkiej przysługi.

Teraz oczy sekretarki zwęziły się w wąskie szparki.

— Czyli czego?

Jack wziął naprawdę głęboki oddech.

— Chciałbym, abyś zaopiekowała się Beth i Dannym. Muszę znaleźć im jakieś bezpieczne schronienie. — Zauważył, że zwątpienie w jej oczach zostało zastąpione przez troskę. — Tu chodzi o coś znacznie więcej niż utraconą pracę.

Zaczął opowiadać. Beth i Danny przenieśli się do Helen dokładnie o siódmej tego wieczora.

Bradleyowie mieszkali w Chicago Lawn, na północno-zachodnich przedmieściach aglomeracji, gdzie obok siebie istniało wiele enklaw etnicznych. W okolicy było gęsto od bungalowów z drewna i cegły, których mieszkańcy zajmowali się swoimi sprawami i o nic nie pytali. Helen była matką dwu córeczek, pięcio- i trzyletniej, obie miały wło-

270

sy zaplecione w warkoczyki, duże brązowe oczy i białe uśmiechy. Jej mąż, Spencer, pracował jako szef kuchni w Joe's Crab Shack na North Wells. Był wielki i wyglądał naprawdę groźnie, miał co najmniej sześć stóp i cztery cale, był szeroki w barach i mocno umięśniony. Mówił głębokim barytonem. Ale równocześnie był przemiłym człowiekiem, zwłaszcza wobec dzieci. Spędził całą godzinę, która mu pozostała do wyjścia na nocną zmianę, by wysprzątać pokój przeznaczony dla Beth i Danny'ego. Potem przeciągnął tam łóżko i ustawił je w kącie. Dla Danny'ego zorganizował dmuchany materac.

— Ależ, Spencer — zaprotestowała Beth. — Nie możesz przecież spać na gołych deskach.

Spojrzał na nią z góry.

— Pani Hunt, skoro Helen mówi, że ma pani mieć łóżko, to je pani dostaje. Ona tutaj rządzi, ja tylko tańczę, jak mi zagra.

Pokoik nie był wielki, raptem dwadzieścia stóp kwadratowych, z jednym oknem wychodzącym na tyły domu i drewnianymi okiennicami dla zachowania prywatności. Całe ściany wyklejone były plakatem z Garfieldem, od podłogi po spękany drewniany sufit. Oboje, Helen i Spencer, naciskali, żeby Jack także zatrzymał się u nich.

— Nie powinniście się rozdzielać. Ty i twoja rodzina.

Tej nocy umęczony Jack zasnął bez problemu.

ROZDZIAŁ 26

— Helen, chciałbym cię poprosić, żebyś coś dla mnie ukradła.

Dochodziła siódma trzydzieści rano w środę szóstego października. Rodzina Huntów nie była w swoim mieszkaniu od poprzedniej soboty, a teraz, kiedy ich mieszkanie zostało splądrowane, Jack zaś odkrył prawdziwe motywy działania przeciwników, nie mogli się tam pokazywać. Musiał opracować odpowiednią strategię działania, ale skradziono mu narzędzia, którymi miał się posłużyć. Dlatego teraz, przy stole kuchennym w mieszkaniu Helen, usiłował ją nakłonić do współpracy.

Dwa pomieszczenia dalej Spencer odsypiał nocną zmianę. Helen zazwyczaj wychodziła około ósmej, żeby podwieźć córki do przedszkola i zdążyć do pracy przed dziewiątą. Beth, starając się w jakikolwiek sposób odwdziżyć tym ludziom za okazaną gościnę, zrobiła dziewczynkom śniadanie, a teraz ubierała je. Ich radosne piski, towarzyszące tak niezwyklej odmianie, wypełniały cały przedpokój, wywołując próby uciszenia kończące się kolejnymi chichotami. Danny chrapał w najlepsze pomimo wcześniejszych narzekań, że dmuchany materac jest bardzo niewygodny.

— Na zapleczu mojego gabinetu są dwie dyskietki. Na jednej są dane dotyczące moich badań, a na drugiej wyniki tej lekarki z Sacra-mento.

Znów poczuł ukłucie winy. Gdybym wsłuchał się lepiej w to, co usiłowała mi przekazać Carlotta, pewnie nie znaleźlibyśmy się w tak tragicznej sytuacji. Ale nie było czasu na rozpamiętywanie. Stawka, o jaką grał, była zbyt wysoka, wiedział też doskonale, że ludzie poszu-

272

kujący wyników jego badań będą chcieli dopaść i jego samego. Wiedza oznacza władzę. Pomimo niedostatku, w którym się znalazł, Jack czuł się najpotężniejszym człowiekiem świata. Na razie ta wiedza kryła się w jego umyśle. Ale aby jej użyć, musiał ją potwierdzić, przedstawić niezbite dowody. 1 najważniejszą część tej układanki stanowiły dwie dyskietki ukryte w trzewiach Szpitala imienia Cartera.

— Leżą w brązowej kopercie, mniej więcej takich rozmiarów. — Rozsunął dłonie na piętnaście cali.
— Wyciągnij stojącą na drugiej półce książkę zatytułowaną „Interna”. To takie opaste tomiszcze w pomarańczowej okładce. Koperta znajduje się za nią.

Helen popijała kawę z kubka, nie spuszczać Jacka z oczu. Wzięła już prysznic, ubrała się, uczesała, zdążyła nawet się umalować, jak zwykle delikatnie, głównie szminka na usta i tusz do rzęs. Wyglądała i pachniała wspaniale. Po drugiej stronie stołu siedział jej niedawny szef w poplamionej potem koszulce i równie nieświeżych szortach. Gruby zarost, gołe nogi i stopy, włosy w nieładzie jak u szaleńca.

— Cokolwiek zamierzasz jeszcze dzisiaj zrobić, Jack, umyj się najpierw dokładnie i zmień ubranie. Jeśli wyjdiesz z tego domu, wyglądając, jakbyś właśnie zwiął z psychiatryka, gliny na pewno zdejmą cię, zanim dojdiesz do pierwszego skrzyżowania.

Jack zaczerwienił się ze wstydu. Ta sama dziewczyna, którą zaledwie przed kilkoma miesiącami przyjmował do pracy, prawila mu teraz wykłady na temat higieny osobistej.

— Wiem, wiem. Ale przyniesiesz mi te dyskietki?

Helen dmuchnęła na parę wydobywającą się z jej kubka.

— Chodzi o regał w gabinecie? — Jack skinął głową. — Wielka księga w pomarańczowej okładce na drugiej półce?

Jack dostrzegł swoje odbicie w szybie i spróbował przyczesać włosy. Helen uśmiechnęła się, widząc jego wysiłki.

— „Interna” — przypomniał jej. — Jeśli ją wyciągniesz, zobaczysz za nią brązową kopertę.

Helen odstawiła kubek na stół i spojrzała na zegar.

— Muszę się zbierać. — Odsunęła krzesło, a potem spojrzała na niego przenikliwie, wydymając usta. — Dlaczego tam? I skąd w ogóle wiedziałeś, że coś się stanie?

Jack wzruszył ramionami.

273

— To było zaraz po tym, jak poinformowałam mnie, że ktoś majstrował przy moim komputerze. Poczułem się niepewnie, wiedząc, że ktoś chce wykraść wyniki moich badań. Dlatego zgrałem wszystko na dyskietki i schowałem je. Razem z pracami doktor Drunker.

Helen była już na korytarzu.

— Dziewczynki, idziemy. Czas na nas. — Z pokoju dobiegł pomruk protestu. — No dalej, idziemy. Tylko nie obudźcie tatusia.

Beth pozapinała płaszczyki i ponakładała czapki obu dziewczynkom, podczas gdy Jack udzielał ostatnich instrukcji swojej byłej sekretarce.

— Będę dzwonił co godzinę, począwszy od wpół do dziesiątej. — Helen zaczęła protestować, ale Jack nie ustąpił. — Zadam ci tylko jedno pytanie: „Czy możemy przywieźć pacjenta z rozległym zawałem na oddział kardiologiczny?” Jeśli zdobędziesz dyskiety, odpowiedz: „Tak, zaraz załatwię to z izbą przyjęć”. Jeśli ci się nie uda albo nie będziesz mogła spokojnie rozmawiać, powiedz coś w rodzaju: „Przepraszam, proszę spróbować za godzinę, dowiem się, czy lekarze wyrażą zgodę”. Co o tym sądzisz? — Helen nie wyglądała na przekonaną, ale w końcu skinęła głową. — Jeśli uda ci się wymknąć na chwilę, schowaj kopertę za prawym przednim kołem swojego samochodu. Kiedy będziesz wieczorem wychodziła z pracy, upewnij się, czy zniknęła. Nie chciałbym, żebyś rozjechała ostatni dowód rzeczowy.

Drzwi zamknęły się cicho i Jack został sam w korytarzu.

— Jack — Beth stanęła tuż za nim — musimy porozmawiać, zanim Danny się obudzi.

Usiedli przy stole kuchennym, kawa parzyła się w ekspresie. Beth miała na sobie niebieską pidżamę pożyczoną od Helen. Nawet na nią pasowała, jako że obie nosiły podobne rozmiary. Spięta włosy w niedbały kok, masowała opuszkami prawej dłoni odkrytą skroń. Jack wyczuwał, że znów jest niezadowolona.

— Jak się czujesz?

Pochylił się i usiłował chwycić pukiel jasnych włosów, ale odsunęła się gwałtownie, aby natychmiast rzucić mu ostre spojrzenie. W jej oczach widział wiele smutku, zapadły się chyba, a może był to efekt stresu i wychudzenia.

— Trzeba powstrzymać to szaleństwo, więc mówię: dość! — wypowiedziała te słowa spokojnym, niskim tonem. — Wracam do Syd-

274

ney i zabieram Danny'ego ze sobą. — Kawa zaczęła bulgotać, więc wyłączyła ekspres. — Ja już tak dalej nie mogę. Pięć dni temu mieliśmy świat u stóp. Dzisiaj zostałeś pozbawiony honoru i pracy. I jeśli nasz prawnik się nie myli, masz niewielkie szanse na wygraną. Jakby tego było mało, informujesz mnie, że możemy być ścigani, bo chcą ci odebrać wyniki badań, i przez to nasze życie może być zagrożone. — Zaskoczony Jack chciał jej przerwać, ale uciszyła go jednym gwałtownym gestem. — Od dnia ślubu szłam za tobą wszędzie jak wierna i kochająca żona. Prałam twoje gacie, prasowałam koszule i składałam skarpetki. Wychowywałam naszego syna, kiedy nie miałeś dla niego czasu, i to ja wymyślałam setki wymówek, kiedy siedziałeś w pracy do późna. Przeprowadzaliśmy się nieskończenie wiele razy, ale trzymałam język za zębami, kiedy odrzucałeś lepsze oferty pracy. — Rozgoryczenie wzięło górę, nic już nie mogło jej powstrzymać przed wygarnięciem mu wszystkiego prosto w oczy. — Przyznaję, że imponowały mi twoje wysokie standardy, rozumiałam też, dlaczego jesteś tak ambitny, ale czasami miałam ochotę krzyknąć: „dość”. Przez cały ten czas wierzyłam, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym

będziemy w końcu szczęśliwi. — Nalała sobie trochę kawy do kubka i objęła go obiema rękami. — I w tym mieście nieomal nam się to udało. Byliśmy dosłownie o włos od szczęścia.

Jack słuchał jej z krwawiącym sercem. Beth jeszcze nigdy nie była z nim tak szczerą. Pochyliła się i przejechała delikatnie palcami po brodzie męża. A potem się uśmiechnęła. Jack jeszcze nigdy w życiu nie widział tak smutnego uśmiechu.

— Ja już nie mogę... Muszę zadbać o syna i jeszcze nie narodzone dziecko. Nie mogę ciągle uciekać, nie mam na to siły. — Nagle odstawiła kubek na blat, jedną ręką chwyciła się za brzuch, drugą przytknęła do ust. — Niedobrze mi. — Jack chciał się przysunąć, ale odepchnęła go. — Muszę się na chwilę położyć. Kiedy wstanę, ciebie już tu nie będzie, popędzisz po te dyskiety czy co tam chcą ci zabrać źli ludzie. Ale kiedy będziesz się z nimi ścigał, weź pod rozwagę to, co ci powiedziałam. Jeden bilet z Chicago do Sydney z przesiadką w Amsterdamie kosztuje około dwóch tysięcy dolarów. Za Danny'ego pewnie nie policzą pełnej stawki, ale z półtora tysiąca trzeba będzie zapłacić. Zostanie mi pięćset na wszelki wypadek. Tobie zostawimy dwa tysiące. Wiem, że to niewiele, i przykro mi z tego powodu, ale

275

tyłe wypada na głowę. Zostań tutaj i walcz, skoro tego właśnie chcesz. Albo uznaj swoją porażkę i leć z nami.

Drzwi kuchni otworzyły się i stanął w nich Danny, łzy płynęły mu po twarzy. Było jasne, że słyszał każde słowo. Beth wstała, by go uspokoić. Stali tak w przejściu, mocno przytuleni do siebie, matka kołysała w ramionach syna, szepcząc mu do ucha uspokajające słowa.

Jack spoglądał na nich bezsilny i załamany. Straciłem rodzinę, tym razem naprawdę. Bez nich moje życie będzie nic niewarte.

— Wszystko w twoich rękach, Hunt — powiedziała Beth i zabrała Danny'ego do ich pokoju.

— Chciałbym zgłosić włamanie.

O godzinie dziewiątej piętnaście Jack stał w poczekalni posterunku przy parku Lincolna. Wykąpał się i ogolił, włożył granatowy dres pożyczony od Spencera. Był wprawdzie o dwa numery za duży, ale przynajmniej zrobił z niego człowieka. W recepcji zapytał o funkcjonariusza Nelsona, ale okazało się, że dzisiaj ma dzień wolny, więc złożył zawiadomienie o włamaniu u młodej czarnoskórej policjantki.

W niewielkim pomieszczeniu, w którym się znalazł, panował spokój, ale dało się wyczuć atmosferę wyętej pracy, jaka panowała za jego ścianami. Na ladzie leżał cały stos formularzy zgłoszeń, oświadczeń z wypadków i toreb z dowodami rzeczowymi. Dwa telefony stojące obok dzwoniły bez przerwy, lecz nikt ich nie odbierał. Faks regularnie wypluwał z siebie kolejne wiadomości.

Dziewczyna nawet nie podniosła wzroku, gdy Jack powtórzył zgłoszenie, sięgnęła tylko pod ladę i wyjęła odpowiedni formularz.

— Proszę przeczytać tutaj, a potem wypełnić. Kopia jest dla pana ubezpieczalni. Proszę ją zatrzymać na wypadek roszczeń.

Jeden z telefonów znów zadzwonił, tym razem policjantka podniosła słuchawkę tylko po to, by ją bez słowa odłożyć na bok.

Jack spróbował jeszcze raz.

— Proszę mnie posłuchać, to bardzo ważne. Tu nie chodzi o samo włamanie, ale o to, co osoby, które go dokonały, mogają jeszcze zrobić.

Z głębi budynku dotarły gniewne wrzaski, potem jakieś huki, wreszcie ryk bólu. Policjantka spojrzała w stronę, z której dochodziły te dźwięki, i wreszcie podniosła wzrok na petenta.

— Co pan powiedział?

276

Jack usiłował okiełznać opanowującą go frustrację.

— Jestem lekarzem, pewna firma farmaceutyczna próbuje ukraść wyniki moich badań. Ukradli mój komputer... nie, ukradli oba moje komputery i... — Bezmyślny wyraz twarzy policjantki zmusił go do zamilknięcia. Nagle zdał sobie sprawę, jak śmiesznie musiały zabrzmieć jego słowa. — Przepraszam, spróbuję załatwić to po mojemu.

Gdy się odwracał, policjantka zawołała za nim:

— Proszę nie zapomnieć o wypełnieniu formularza, jeśli chce pan wystąpić o odszkodowanie.

Wyszedł z przepętnionego szarością budynku prosto w równie bezbarwny poranek i spróbował zebrać myśli. Jestem obcym w bardzo obcym kraju.

Helen nie mogła się dostać do gabinetu profesora.

— Pani Bradley, będę u siebie przez całe przedpołudnie — powiedział Harry Chan, ubrany w szykowny garnitur, koszulę i krawat. Tego dnia nie zamierzał się męczyć pracą. — Spodziewam się wielu gości, proszę ich wprowadzać do mnie bezzwłocznie.

Umysł Helen pracował na najwyższych obrotach.

— Nie chce pan, żebym posprzątała, zanim przyjdą pierwsi goście? — zapytała, ale Chan już trzasnął drzwiami. Nad jego ramieniem Helen zauważyła szeroką pomarańczową okładkę, dokładnie taką, jak opisywał ją Jack. Druga półka, mniej więcej pośrodku.

Pierwszy gość przyszedł o dziewiątej pięćdziesiąt pięć. Była to młoda kobieta, która przedstawiła się jako Lisa Montes, dyrektorka Zemdton Pharmaceuticals. Była schludnie ubrana w granatowy żakiet i długą szarą spódnicę, wycięcie z boku odsłaniało jej smukłą nogę.

— Przyszłam, aby omówić z doktorem Chanem kwestie promocji cyclintu.

Helen zapukała cicho w drzwi gabinetu i otworzyła je. Serce zamarło jej, gdy zobaczyła, że Chan wyciąga książki z regału i przegląda je pobieżnie. Opróżnił już prawie całą górną półkę.

— Właśnie przyszła pani z Zemdon Pharmaceuticals.

Chan odłożył książkę, którą wertował, na stos jej podobnych zalegających na blacie biurka i ruszył w stronę drzwi, by powitać gościa.

— Zapraszam dalej.

277

Gdy Helen zamykała drzwi, zauważyła, że zaczęli już rozmawiać, a Lisa właśnie wyjmowała z teczki gruby plik dokumentów. Proszę, proszę, daj mu jakieś zajęcie.

— Czy możemy przywieźć pacjenta z rozległym zawałem na oddział kardiologiczny?

Właśnie mijało wpół do jedenastej, gdy Jack Hunt zadzwonił po raz pierwszy. Helen siedziała w sekretariacie sama ze stertą materiałów do przepisania i siedmioma wiadomościami do doktora Chana, których nie mogła przekazać. Trzy przyszły z Zemdon Pharmaceuticals, trzy następne z prasy, a jedna z apartamentu w penthousie chicagowskiego Sheratona.

— Przepraszam, proszę spróbować za godzinę, dowiem się, czy lekarze wyrażą zgodę.

Jack odwiesił słuchawkę bez słowa. Stał przy automacie na Michigan Avenue. Miał godzinę czasu do zabicia. Przeliczył drobne i ruszył na poszukiwanie taniej kawiarni.

Szedł ulicą i zastanawiał się nad słowami wypowiedzianymi tego ranka przez Beth. Mówiła całkiem serio o odejściu i wyjeździe, a mnie to wcale nie zaskoczyło. Ja też mam dość tej sytuacji, ale nie muszę przejmować się ciężą i Danym jednocześnie. Mam pecha na całej linii, a jedyną szansą na zatrzymanie rodziny są te dyskietki, po prostu muszę je odzyskać.

Wziął ze stoiska egzemplarz „Chicago Tribune” i przerzucił go, aby zyskać kilka minut. Na dwunastej stronie znalazł sześciokolumnowy artykuł prezentujący sylwetkę Harry'ego Chana wraz ze stosownymi zdjęciami. Wychwalano go za to, że podjął się kierowania oddziałem kardiologicznym w tak trudnej sytuacji. Podkreślano, że jest weteranem tego oddziału. Nawet wyrażano się pochlebnie o jego starych publikacjach w szanowanych pismach medycznych. Jack wiedział, że były to trywialne artykułiki, dlatego widząc tak nachalne władupstwo, poczuł niesmak.

Lisa Montes wyszła o 10.48. Helen obserwowała uważnie, jak odprowadzana przez Harry'ego Chana kobieta wśród śmiechów i luźnych uwag zmierza w stronę korytarza. Odczekała do momentu, w którym oboje zniknęli za załomem, i przystąpiła do działania.

278

Wpadła do świątyni profesora, serce waliło jej jak młot. Opasłe tomiszczce w pomarańczowej okładce wręcz prosiło się o wzięcie w rękę. Górna półka była już niemal pusta, wszystkie zdjęte z niej książki leżały teraz na blacie biurka. Helen zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Nic, cisza.

Zachowując pełną ostrożność, prześlizgnęła się na drugą stronę gabinetu i wyciągnęła rękę.

— Co pani tutaj robi?! — Harry Chan stanął w drzwiach. Twarz mu pociemniała jak niebo przed burzą, zmrużone oczy miały pioruny, bezwiednie zacisnął pięści.

— Chciałam posprzątać ten bałagan, doktorze Chan — odparła spokojnie Helen, zastanawiając się w trakcie mówienia, skąd jej przyszło do głowy takie kłamstwo. Zmusiła się do przeproszącego uśmiechu. — Pomyślałam sobie, że nie zechce pan sprawić wrażenia bałaganiarza przed kolejnymi ważnymi gośćmi.

Chan odprężył się nieznacznie. Rozejrzał się chyłkiem i w końcu przytaknął jej słowom.

— Ma pani rację, ale zostawmy to na popołudnie, o jedenastej spodziewam się niezwykle ważnego gościa.

Helen zauważyła, że nie chichotał już nerwowo ani nie machał bezwolnie rękami. W jego postawie zaszła istotna zmiana. Dla odwrócenia uwagi postanowiła przekazać mu informacje o odebranych telefonach.

— W czasie spotkania dzwoniło do pana kilka osób, doktorze Chan. — Jeszcze nigdy nie mówiła do niego tak słodkim głosem. — Trzy telefony z Nowego Jorku i trzy od dziennikarzy, którzy chcieli zrobić z panem wywiad. Dzwonił też doktor Crozer z Sheratona.

Chan stanął na baczność, słysząc ostatnie nazwisko.

— Natychmiast połącz mnie z doktorem Crozerem. Odbiorę w gabinecie. 1 niech mi nikt nie przeszkadza, dopóki nie skończymy rozmawiać.

Helen zamknęła cicho drzwi i zaczęła łączyć rozmowę, zrobiłaby wszystko, byle tylko Chan nie wyciągał kolejnych książek.

— Już łączę, doktorze Crozer.

— Czy możemy przywieźć pacjenta z rozległym zawałem na oddział kardiologiczny?

279

Wpół do dwunastej. Jack dotarł do budki telefonicznej przy centrum Water Tower. Był to masywny blok z cegły, stali i szkła, z setką butików rozlokowanych na siedmiu poziomach, wszystkie piętra połączone ruchomymi schodami i strumieniami leniwie, acz nieprzerwanie płynącej wody. Ludzie przechodzący obok Jacka objuczeni byli naręczami toreb z logo najwykwintniejszych firm. Większość śmiała się i żartowała, wskazując kolejne cele zakupowego amoku. On sam stanowił ich przeciwieństwo, bezdomny, załamany i ścigany przez ludzi, którzy — przynajmniej w jego mniemaniu — odpowiadali za śmierć

Carlotty Drunker. Czas uciekał. Jeśli nie zdąży udowodnić własnej niewinności, straci na dokładkę żonę i syna. I rozum.

— Przepraszam, proszę spróbować za godzinę, dowiem się, czy lekarze wyrażą zgodę.

Helen siedziała za swoim biurkiem, tuż przed nią krążył po sekretariacie podenerwowany Steve Downes.

— Kiedy on wreszcie skończy? — Dyrektor warknął na Helen, ledwie odłożyła słuchawkę.

— Nie mam pojęcia, zaczął tę konferencję około trzydziestu minut temu.

Downes prychnął ze wstrętem.

— • Proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił, kiedy będzie wolny — powiedział i wyszedł z biura.

Jack przewędrował wielkie centrum handlowe od dołu do samej góry i z powrotem. A potem powtórzył tę wycieczkę jeszcze trzydzieści razy. Po pewnym czasie zaczął rozpoznawać twarze detektywów sklepowych, wpadł też na pomysł, by zabijać czas obserwowaniem szybkiebieżnych wind.

Spotkanie Harry'ego Chana wyznaczone na godzinę jedenastą skończyło się dopiero dziesięć po dwunastej. Kolejna przedstawicielka Zemdonu opuściła jego gabinet, tym razem niosąc dwie wypchane aktówki. Doktor pojawił się tuż za nią, rozanielony i uśmiechnięty.

— Pani Bradley, może podała by mi pani kawę. — Spojrzał nerwowo na zegarek. — Za moment spodziewam się kolejnego gościa.

Helen zdecydowała się na przejęcie inicjatywy. Podobna sytuacja mogła trwać do końca dnia, a na to nie mogła pozwolić.

280

— Przykro mi, doktorze Chan, ale pan Downes zszedł do nas osobiście, aby z panem pomówić. Był bardzo zły. Prosił, by przyszedł pan do jego biura w pierwszej wolnej chwili.

Chan skrzywił się wyraźnie.

— Dlaczego on nie może przyjść do mnie?

Helen spojrzała na niego, udając zdumienie.

— Nie mam pojęcia, ale pan Downes nalegał, aby to spotkanie odbyło się najszybciej, jak to tylko możliwe. — Posłużyła się półprawdą, z której mogła się wyłgać bez problemu, gdyby zaszła taka konieczność.

Chan zebrał plik faksów i wiadomości, przejrzał je szybko.

— Okay. Wracam za pięć minut. Jeśli ktoś przyjdzie, proszę go wprowadzić prosto do mojego biura.

— Papiery wylądowały na biurku, a kardiolog pośpiesznie wyszedł na korytarz.

Helen ruszyła do gabinetu, ale zatrzymała się w pół kroku. Szybko rozważyła wszystkie okoliczności i równie błyskawicznie znalazła się przy głównym wejściu, by zamknąć drzwi na klucz. Dwie minutki, tyle tylko potrzebuję. Gabinet profesora cuchnął dymem cygar. Jack nigdy by na coś takiego nie pozwolił. Na biurku leżał stos porzrzucanych dokumentów, materiały promocyjne Zemdon Pharmaceuticals, umowy dotyczące tego i owego i dość poważnie wyglądające materiały dotyczące cyclintu. Helen stanęła przed regałem, wyciągnęła dłoń w stronę tomiszcza, gdy nagle rozdzwoniły się oba telefony w sekretariacie. Wsunęła palce pomiędzy ściśnięte medyczne opracowania, łamiąc przy tym paznokiec. Zabolęło jak cholera i telefony denerwowały ją coraz bardziej, lecz dzielnie wyciągnęła „Interne” oprawioną w pomarańczowy plastik i natychmiast dostrzegła leżącą z tyłu brązową kopertę. W tym momencie usłyszała głośne walenie w drzwi. Omal się nie udławiła ze strachu, chwytając kopertę. Wsunęła książkę na miejsce i sprawdziła, czy nie ma śladów jej wysuwania.

— Co to za hałasy?! — krzyknęła przekręcając klucz i otwierając drzwi. Nadrabiała miną, bo cóż jej pozostało.

— Dlaczego drzwi były zamknięte?

Helen natychmiast rozpoznała twarz pytającego. To był goryl z Zemdon Pharmaceuticals.

— Ponieważ korzystałam z łazienki. A pan za kogo się uważa, żeby zadawać mi takie pytania? I czego pan tu szuka?

281

Hend de Mart nie słuchał, jego oczy już lustrowały wnętrze sekretariatu. Widok wyraźnie go uspokoił, wszedł więc i usiadł na krześle, teraz beczelnie obserwował samą Helen.

— Byłem umówiony z doktorem Chanem. — Podniósł gazetę ze stolika i zaczął nerwowo przerzucać strony. — Niech mi pani lepiej poda kawę.

— Czy możemy przywieźć pacjenta z rozległym zawałem na oddział kardiologiczny? — Wpół do pierwszej.

Helen rzuciła okiem na Henda de Marta, zdając sobie sprawę, że nasłuchuje każdego jej słowa.

— Tak, zaraz załatwię to z izbą przyjęć.

Poczekala na powrót Harry'ego Chana i zaniosta dwa kubki świeżo zaparzonej kawy do gabinetu.

— Doktorze Chan, muszę zejść na izbę przyjęć, żeby sprawdzić możliwość przeniesienia pacjenta. Mogę odwiesić słuchawki telefonów na te kilka minut?

Jedyną odpowiedzią było lekceważące machnięcie ręki.

Jack namierzył sklep komputerowy o dwie przecznice od ratusza, gdzie za dwadzieścia dolarów można było wydrukować materiały znajdujące się na dyskietkach. Najpierw odczekać obowiązkowe skanowanie plików, aby wykryć i usunąć ewentualne wirusy, potem zostawić materiały asystentowi i wrócić po

godzinie po gotowe wydruki. Jack spacerował wietrznymi i zatłoczonymi ulicami, dopóki wystarczyło mu cierpliwości. Na szczęście wydruki z obu dyskietek były już gotowe, chociaż pojawił się po nie o piętnaście minut za wcześnie.

— Od cholery stron było — powiadomił go sprzedawca, inkasując kolejne dwadzieścia dolarów, o które zwiększył się rachunek.

Jack był gotowy zapłacić sto razy więcej.

Szybko przedostał się do w miarę spokojnego zakątka Chicago Cultural Center przy East Randolph. W czasie gdy wycieczki turystów podziwiała na ekranach wizerunki najnowszych dzieł sztuki albo zameęczały obsługę setkami pytań typu: co jeszcze można zwiedzić i gdzie pójść się zabawić w tym mieście, Jack zgłębiał tajemnice własnej teorii o „wpływie infekcji dziecięcych na wcześniejsze wystę-

282

powanie chorób serca". Znał dobrze swoje prace, więc nie potrzebował więcej niż dziesięć minut, by wszystko przejrzeć. Ale z danymi, które przesłała mu Carlotta Drunker, nie miał okazji zapoznać się wcześniej. Dlatego dopiero około szesnastej udało mu się objąć całość materiałów. A gdy to zrobił, umierał z głodu i ze zgryzoty.

Po trzech dużych kawach i dwu roladkach warzywnych zaczął się zastanawiać nad kolejnym posunięciem. Jednakże jego myśli wciąż dryfowały do maili, które otrzymywał od Carlotty. To co wtedy wydawało mu się bzdurne i szalone, teraz mogło oznaczać jedyny ratunek. Nie pamiętał wszystkich wiadomości, ale treść trzech utkwiała mu wystarczająco dobrze.

JACK, RUBENSTEIN Z KOLORADO NIE ODZYWA SIĘ DO MNIE JUŻ OD SZEŚCIU TYGODNI. CZY KIEDYKOLWIEK KOMUNIKOWAŁ SIĘ Z TOBĄ? C.

NIE WYSYŁAJ NICZEGO WAŻNEGO E-MAILAMI ANI POCZTĄ.

MIGRACJA LEUKOCYTÓW W USZKODZONYM MIĘŚNIU SERCOWYM JEST PROROCZA DLA OSTATECZNYCH WYNIKÓW.

Rubenstein z Kolorado nie odzywał się od sześciu tygodni. Czyżby jego także dopadli? Czy już nie żył? Nie wysyłaj mi niczego e-mailem ani pocztą? Wiedziała, że jest obserwowana, wiedziała, że ktoś przejmuje jej pocztę zwykłą i elektroniczną. Komu mogła w takiej sytuacji zaufać? Mnie, to oczywiste (jeszcze większe poczucie winy). Ale czy miała jeszcze kogoś? W tym momencie przypomniał sobie o ostatniej wiadomości. Zupełnie bezsensowny ciąg słów. Użyła w niej słowa „migracja”, i to w taki sposób, jakby chciała mu coś pokazać. Ale nie potrafił wysnuć właściwego skojarzenia, tylko pojedyncze słowa krążyły mu pod czaszką. Transformer, transduktor, transatlantyk, transsyberyjski. No i transwestyta.

Zamówił kolejną roladkę i jeszcze jedną kawę. Rozejrzał się za kolejnym spokojnym kątem. Dwie sale dalej znalazł takie miejsce, jasno oświetlone pomieszczenie, w którym wystawiano abstrakcyjne malowidła. Większość zwiedzających zaglądała tutaj i natychmiast cofała się, kręcąc głową z

dezaprobatą. Jack stanął przed jednym z płócien, na którym na czarnym tle ktoś rozchlapał zieloną, niebieską i czerwo-

283

ną farbę. Dzieło to nosiło tytuł: „Czas marzeń w mieście przerażenia”. Jack uznał, że pasuje jak ulał także do jego sytuacji.

Wrócił do wiadomości od Carlotty. Uznał, że chciała mu przekazać treść zaszyfrowaną w medycznym żargonie. Migracja leukocytów... Białe krwinki gdzieś wędrują? ...w uszkodzonym mięśniu sercowym jest prorocza dla ostatecznych wyników... Uszkodzony mięsień sercowy sugeruje którąś z patologii serca. Czyżby niedokrwienie? Wirusowe zapalenie? Jack wykorzystał całe doświadczenie medyczne, żeby rozgryźć tę zagadkę, ale nie doszedł do niczego sensownego. A jeśli mówiła o swoim sercu? Jeśli chciała powiedzieć, że to jej serce było złamane? Że coś złego stało się j ej? Krew zaczęła żywiej pulsować w jego żyłach, gdy wreszcie złamał kod. Tak, pomyślał podekscytowany tą myślą, to właśnie chciała powiedzieć. Jeśli coś mi się stanie, wtedy będzie to prorocze dla ostatecznych wyników — to mogło oznaczać ostateczny dowód, ostatni fragment układanki. Teraz nawet pierwsze słowa tego zdania miały dla niego wyraźny sens. Migracja leukocytów. Tu nie chodziło o ruch białych krwinek, ale dowodów. Carlotta przeniosła gdzieś dowody.

Istna lawina myśli przetoczyła się przez umysł Jacka. Mogę to zrobić, pomyślał. Wciąż mogę doprowadzić tę sprawę do końca. Z dowodem Carlotty i materiałem zawartym na dyskietkach mogę doprowadzić tę korporację do upadku. Nie, to m y możemy doprowadzić tę pierdoloną firmę do upadku. Ja i ty, doktor Carlotta Drunker. Aż machnął ręką, czując radość i ulgę.

I wtedy wrócił do rzeczywistości. Gdzie przeniosłaś swoją dokumentację? Nie ufałaś nikomu w szpitalu, wiem, bo dawałaś temu wyraz w swoich wiadomościach. Wiedziałaś także, iż obserwują twoje mieszkanie. Gdzie je wyniosłaś, Carlotta?! Zaczął gorączkowo przypominać sobie wszystko, co wiedział o życiu zabitej koleżanki po fachu. Nie miała męża ani dzieci. Do kogo mogła się zwrócić w chwili wielkiego kryzysu?

Kolejne dziesięć minut zeszło mu na gorączkowym myśleniu. Odpowiedź mogła kryć się wszędzie. Patrzył więc dalej na „Czas marzeń w mieście przerażenia”. A co z twoim prawnikiem w Sacramento? Z człowiekiem, który przesłał mi dyskietki? Nie, on przecież odezwałby się do mnie, gdyby miał coś jeszcze do przekazania. Chyba że...

284

Jack pobiegł do najbliższej budki telefonicznej i w pośpiechu wybrał numer. Odebrała Helen.

— Możesz mówić?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

— Proszę mówić. Zapiszę szczegóły i przekażę doktorowi Chanowi, kiedy przyjdzie.

— Potrzebuję nazwisko i numer telefonu prawnika z Sacramento, który przesłał do mnie dyskietkę od Carlotty Drunker. Muszę mu podziękować. Oryginalny list powinien być wciąż w kopercie. Zadzwonię za dwadzieścia minut.

Helen odpowiedziała natychmiast, jej głos był spokojny i pewny.

— Dziękuję, zapisałam.

Odłożył słuchawkę i poganiał każdą sekundę, spoglądając na zegarek.

— Znalazłaś te dane? — Serce Jacka waliło jak szalone, tył dresu zupełnie przesiąknął potem. Nawet dłonie miał wilgotne i roztrzęsione. Długopis, który trzymał nad karteczką, latał mu w palcach.

Tym razem głos Helen był ostrzejszy, ale cichszy.

— Nazywa się Tod Benson. Podaję jego numer...

Jack zaczął zapisywać. Potem wrzucił kolejną garść monet do automatu telefonicznego.

— Czy mogę rozmawiać z panem Todem Bensonem? — Był bardzo podekscytowany, ale starał się mówić spokojnie.

— A kto mówi? — Słodki głos młodej kobiety. Jack spróbował ją sobie wyobrazić: zadowoloną, rozluźnioną, być może czyszczącą teraz paznokcie i planującą weekendowy wypad.

— Nazywam się profesor Jack Hunt, mam sprawę związaną z materiałami, które pan Benson przesłał mi w zeszłym tygodniu przez kuriera.

Szarżował i wiedział o tym. Ale używanie oficjalnego tytułu było bardzo skuteczne. Działo niemal tak jak nazwisko gwiazdy rezerwującej stolik w obleganej restauracji. Tym sposobem można było załatwić więcej i szybciej. Ale jeśli jego nazwisko zostało obsmarowane także w Sacramento, równie dobrze mogło się to obrócić przeciw niemu.

— Chwileczkę.

285

Jack wpatrzył się w ścianę budki. Ktoś wymalował na niej graffiti mówiące: AL CAPONE NA BURMISTRZA. Obok inny idiota albo idiotka dopisał: AL CAPONE WYKITOWAŁ, PACIULO KU. CO CI NIE PASI W DAŁY M?

— Mówi Tod Benson, czym mogę służyć? — Bogaty, melodyjny głos, jak u rasowego spikera.

Jack zaczerpnął powietrza i wyjaśnił swój problem. Opierał się jednak wyłącznie na półprawdach i czystych kłamstwach, aby jego opowieść nie wyglądała na twór umysłu paranoika.

— Niestety nie mogę udzielić panu żadnych informacji na temat bliskich krewnych ani przyjaciół pani Drunker.

Jack nie zamierzał poddać się tak łatwo. Jego małżeństwo się rozpadało, był bliski wyładowania w rysztołu, groziła mu nawet utrata życia. Niespecjalnie miał się gdzie cofać. Jednakże musiał zachowywać pełen luz.

— W pełni doceniam pańskie zachowanie, panie Benson, ale materiały, które mi pan przesłał, są niezwykle ważne z medycznego punktu widzenia. Przestudiowałem je bardzo uważnie i wiem, że Carlotta zamierzała mnie naprowadzić na pewne wnioski w nich zawarte. Niestety w przesyłce zabrakło najważniejszych dokumentów, dlatego pomyślałem, że być może przekazała je komuś z bliskich przyjaciół albo jakimś krewnym. — W słuchawce panowała kompletna cisza. — Jest pan tam jeszcze?

— Jasne, że tu jestem, profesorze Hunt — odparł ostro Tod Benson. — I właśnie czytam artykuł o pańskim wydaleniu ze Szpitala imienia Cartera. Może mi pan wytłumaczyć, o co tu naprawdę chodzi?

I znów świat Jacka legł w gruzach. Potrzebował tych dodatkowych informacji i wierzył, że Carlotta ukryła je w bezpiecznym miejscu. Ale natrafił na mur oporu ze strony zbyt sprytnego prawnika z Sacramento. Jezu, odpuść mi choć trochę!

— Panie Benson, zaskarżyłem tę decyzję z całą stanowczością. Próbkę, na których podstawie mnie oskarżono, zostały podmienione. Wiem nawet przez kogo... — Zaczerpnął tchu. — Wydaje mi się, że sprawa jest powiązana z moimi badaniami. Także z tymi, które prowadziła Carlotta Drunker. Mam uzasadnione podejrzenia, że to właśnie z ich powodu mogła zostać zabita.

286

— Tak też sądziłem, profesorze Hunt. Miałem przeczucie, że coś się za tym kryje. — Jack chciał wytłumaczyć zawiłości tej sprawy, ale Benson nie dopuścił go do słowa. — Doktor Drunker miała bliską krewną, której przekazała w posiadanie pozostałe wyniki badań. Ta kobieta już mi zleciła dokładniejsze zbadanie okoliczności śmierci Carlotty.

Wreszcie Jack znalazł okazję, aby coś powiedzieć.

— I do czego pan doszedł?

— Nie mogę udzielić żadnych informacji bez zgody klientki. Ale zrobię coś dla pana: zadzwonię do niej i zapytam, czy wyraziłaby zgodę na rozmowę z panem. Może mi pan podać swój numer?

Jack miał mało czasu na zastanowienie.

— Obawiam się, że w najbliższym czasie będę w nieustannym ruchu. Co pan powie na to, że zadzwonię jeszcze raz, powiedzmy za czterdzieści minut?

Nazywała się Rita Callard. Była ciotką Carlotty i sądząc po głosie, staruszką. Jack oczekiwał kogoś młodszego, może kuzyna biegłego w sztuce medycyny, który rozumiałby zawiłości kardiologii. Starsza pani mieszkała w Pacific Grove w Kalifornii, jakieś sto dwadzieścia mil na południe od San Francisco. O osiemnastej trzydzieści Jack otrzymał jej numer telefonu.

- Halo? — Usłyszał słaby, łamiący się głosik.
- Dobry wieczór, czy mówię z panią Callard?
- Tak. — Nawet tak krótkie słowo wymówiła z wyraźnym trudem.
- Nazywam się doktor Jack Hunt. Dostałem pani numer od prawnika, Toda...
- Wiem o panu wszystko, doktorze Hunt. — Starsza pani przerwała mu w pół zdania. — I to nie od Toda Bensona. Carlotta nie przestawała szczebiotać o panu... — Głos jej się załamał, ale za moment znów był bardziej stanowczy. — Pracowaliście, zdaje się, nad tym samym programem badawczym?
- Tak, to prawda. Wymienialiśmy się pomysłami od kilku lat.
- A teraz ma pan wielkie problemy. Wyrzucono pana ze szpitala. Widziałam to w NBC, a dzisiaj czytałam w gazecie. — Jack zaklął bezgłośnie. Jezu, już wyczuwał niechęć w jej głosie. Nie miał ochoty

287

wysłuchiwać kolejnych połajanek. — Ale to, co panu się przydarzyło, jest niczym w porównaniu z tym, co zrobili tej biednej dziewczynie.

Jack nieomal wcisnął sobie słuchawkę do ucha.

- O czym pani mówi?
- Nie wiem tego dokładnie, ale Carlotta zachowywała się dziwnie przez kilka ostatnich tygodni przed śmiercią. Nie wierzę też, że policja powiedziała mi całą prawdę. Zadawali zbyt wiele dziwnych pytań.

Rozmowa zaczynała dryfować w stronę tematów związanych z policją w Sacramento, więc Jack zaczął się niecierpliwic. Gotował się w środku, ale na zewnątrz musiał zachować idealny spokój. Obawiał się, że pani Callard jest odrobinę niezrównoważona, może nawet ta sprawa odbiła się na jej psychice.

- Mam tutaj cały pokój wypełniony jej dokumentacją. — Jack nieomal wypuścił słuchawkę z dłoni, kiedy to usłyszał. — A oni przysłali mi tu zóttodzioba, który przerzucił kilka kartek, a potem przeleżał całe popołudnie na pobliskiej plaży.

- Ma pani jej dokumentację? — Jack już wiedział, że trafił w dziesiątkę. To j e s t to! Słodki Jezu, to jest to! Mogę jeszcze ocalić moje małżeństwo, moją karierę! Moje życie! A jeśli mi się poszczęści, rzucę tego pieprzonego chemicznego giganta na kolana.

- Tak, doktorze. Carlotta wynajęła samochód dostawczy, załadowała go i przewiozła do mnie wszystkie papiery na dwa tygodnie przed tym, jak została zabita. Sama to wszystko zrobiła. A miała spory kawał drogi do przejechania. Mieszkam tuż pod San Francisco. I dlatego uważam, że przekazała mi naprawdę ważne dokumenty.

Jack zaczerpnął powietrza i z trudem zapanował nad drżeniem rąk.

— Gdzie dokładnie pani mieszka?

Wypowiedział te słowa takim tonem, jakby zamierzał przesać jej kartkę z życzeniami.

ROZDZIAŁ 27

Czwartek, 7 października, godzina 4.37 rano, Chicago

W przydymionym świetle lampki nocnej Jack Hunt włożył gruby sweter, dzinsy i dwie pary skarpetek, zanim wciągnął na nogi ciężkie buty robocze, które kupił w sklepie Foxa na North Clark przed pięcioma dniami. Beth już od dawna nie spała. Wciąż cierpiała, co chwilę wymiotowała, teraz już niemal na sucho, do plastikowej torby, którą położyła sobie obok służącego im za łóżko materaca. Nie narodzone jeszcze dziecko dawało jej nieźle popalić, prawdę mówiąc, nie przypominała sobie, żeby jej pierwszej ciąży towarzyszyły aż tak wielkie sensacje. Danny pomimo dość głośnych hałasów spał w najlepsze, ale dźwięki dochodzące z sąsiedniego pokoju świadczyły, że gospodyni ma problem z zaśnięciem. Beth, z twarzą bladą z wycieńczenia i widocznym na niej smutkiem, ucałowała męża na pożegnanie, by natychmiast opaść na poduszkę, wzniecając przy tej okazji poruszenie wśród papierowych wizerunków Garfielda wiszących nad jej głową na ścianie. Najbardziej ze wszystkiego pragnęła choć jednej godziny niczym nie zakłóconego snu.

— Lepiej weź lżejsze rzeczy. — Spencer czekał na Jacka na korytarzu tuż za drzwiami. Podał mu niewielką płócienną torbę. — Będą na ciebie za duże, ale tylko takie mam. — Uśmiechnął się w mroku poranka. — Tam gdzie lecisz, będzie o wiele cieplej niż tutaj.

Jack ujął ogromną dłoń i ucisnął ją mocno.

— Dzięki.

289

Tylko tyle przeszło mu przez gardło. Spencer przecież nie znał go wcale, a gotów był z nim dzielić dom, oddał mu własny materac, teraz także część swoich ubrań. Było to naprawdę wzruszające zachowanie, Jack z trudem przełknął ślinę, starał się jak mógł, aby nie okazywać przepętniających go emocji.

Spencer spojrzał na niego z góry groźnie.

— Trzymaj się, chłopie. — Starał się mówić cicho, ale przy tym brzmieniu głosu nie na wiele się to zdało. — Nie wiem wprawdzie, co się dzieje, ale Helen wspomniała mi o ludziach, którzy chcą was dopaść. W tym mieście już nikt nie używa pięści do załatwiania porachunków. Teraz każda awantura kończy się użyciem broni palnej.

Jack wyszedł z bungalowu około piątej piętnaście prosto w wietrzny i chłodny poranek. Niebo było jeszcze czarne, a w powietrzu unosił się zapach deszczu. Szedł przed siebie, często się zatrzymując i oglądając przez ramię, dopóki nie dotarł do miejsca postoju srebrnego chevroleta, którego ukryli zaraz

po przeniesieniu się do Chicago Lawn. Jeśli Rita Callard nie pomyliła się w obliczeniach, potrzebował nie mniejszego auta, by przewieźć dokumenty złożone w jej domu przez Carlottę. Pełen dobrych myśli odpalił silnik.

Ruch na ulicach był niewielki, szczyt miał się zacząć dopiero za kilka godzin. Jack jechał spokojnie, trzymając się wolniejszego pasa, na głównych ulicach napotykał jedynie wozy pomocy drogowej i policję. Dopiero po wjechaniu na Tri-State Tollway trafił na normalne natężenie ruchu. Cały wąż aut walczył o pozycję, zajeżdżając sobie drogę, wyprzedzając się i zwalniając, piszczwały klaksony, migały długie światła. Wozy pasażerskie były wyprzedzane przez vany, a te z kolei musiały ulegać wielkim osiemnastokółowcom, których klakson potrafił obudzić zmarłego. Jack przebił się na pas, z którego miał zjechać na lotnisko. Ale na pierwszym zjeździe wykonał ostry skręt, by wrócić na teren miasta, i zrobił to tylko po to, by znów wjechać na autostradę kilkaset jardów dalej. Wątpił, aby ktoś go śledził, ale na wszelki wypadek postanowił utrudnić potencjalnym prześladowcom życie.

Na parkingu długoterminowym zaparkował chevy'ego pomiędzy ścianą a lśniącym nowością lexusem. Potem obejrzał to miejsce ze wszystkich stron, żeby upewnić się, iż wóz nie rzuca się zanadto w oczy. Dziesięć minut później usiadł w kącie kolejki dowożącej pasażerów pod terminale. Po kwadransie dotarł do tętniących życiem

290

i gwarem hal i podążył ruchomym chodnikiem na terminal pierwszy, gdzie przeszedł odprawę przy stanowisku linii United, miał bilet na lot numer 129 do Los Angeles o godzinie szóstej piętnaście airbusem A319. Ta przyjemność kosztowała go osiemset szesnaście dolarów. Pieniądze pochodziły z jego działki, z tych dwóch tysięcy, jakie powinny mu zostać, jeśli Beth z Danym odlecą jednak do Australii. Tak wielki wydatek oznaczał też, że nie będzie mógł im towarzyszyć, nawet gdyby chciał.

Kupił sobie nowy numer „Sun-Timesa” i zauważył, że publicyści wciąż trzymają rękę na pulsie.

Raporty docierające do nas ze Szpitala imienia Cartera sugerują, że tamtejszy oddział kardiologiczny pogrąża się w chaosie. Sześć dni temu wyrzucono z pracy poprzedniego ordynatora, irlandzkiego kardiologa, doktora Jacka Hunta, po tym jak w dwóch pobranych od niego próbkach stwierdzono obecność substancji niedozwolonych. Po czterdziestu ośmiu godzinach profesor przeszedł do kontrataku, oświadczając, że badane próbki zostały podmienione. Adwokat Hunta wystąpił z pozwem o niezasadne zwolnienie z pracy i grozi dalszymi pozwami o odszkodowanie, jeśli sprawa nie zostanie wyjaśniona w najbliższych dniach. Administracja szpitala nie daje jednak za wygraną. Jednakże próbki krwi i moczu zniknęły ze szpitalnego laboratorium, a plotka głosi, że technik przeprowadzający testy także nie pojawia się w pracy.

Miałem rację, pomyślał Jack, śmieć, który podmienił próbki, zwiął. Nigdy go nie znajdziemy.

Planowana na dzień dzisiejszy konferencja prasowa władz szpitala została odwołana. Nie można się też dodzwonić do dyrektora.

Po wejściu do samolotu Jack zajął miejsce przy oknie z prawej strony i starał się od niego nie odwracać. Stewardesy odciągnęły go tylko na moment, kiedy podano śniadanie, które wręcz pożarł: zimne płatki, zimne mleko, zimne croissanty. Tylko kawa była gorąca i słodka. Rozejrzał się po kabinie, większość pasażerów albo zagłębiła się w lekturę dokumentów, albo czytała książki, sporo ludzi drzemało.

291

Wyglądało na to, że jest jedynym zdenerwowanym człowiekiem na pokładzie.

Ciekawe, co znajduje się w posiadaniu Rity Callard? — myślał. — Nie podała zbyt wielu szczegółów przez telefon. A jeśli są tam tylko kopie danych, które dostał od Carlotty na dyskietce? Spokojnie, nie zamęczaj sam siebie, człowieku. Cokolwiek ta kobieta posiada, nie zmienię tego teraz, materiały są albo wartościowe, albo bez żadnej wartości. W tym drugim wypadku powinienem od razu zacząć uczyć się zmywania naczyń.

Zwinął się na siedzeniu i zamknął oczy, próbując zasnąć. Nie zadziało. Wciąż miał w pamięci słowa Beth, te, które wypowiedziała, gdy poprzedniej nocy przedstawił jej wyniki swojego dochodzenia. „Jeśli to kolejna ślepa uliczka, panie Hunt, wylatujemy z Dannym najbliższym samolotem.”

Szybki rzut oka na zegarek. Jeszcze godzina do Los Angeles. Gdyby tak mógł przyspieszyć tempo lotu...

Airbus wylądował na lotnisku międzynarodowym w Los Angeles dokładnie o ósmej czterdzieści czasu lokalnego. Jack wypadł z samolotu jako jeden z pierwszych i popędził na terminal obsługujący transferowe loty liniami Skywest. Wokół niego biznesmeni w lekkich garniturach przeglądali strony finansowe poważnych dzienników, a turyści żartowali i wybuchali głośnym śmiechem. Byli równie rozbawieni jak fatalnie ubrani. Krzykliwe motywy roślinne i bufiaste szorty wydawały się strojem obowiązkowym w tych sferach.

Zimowe ubranie Jacka dość szybko stało się źródłem sporego dyskomfortu, dlatego w jednej z toalet szybko przebrał się w koszulkę pożyczoną od Spencera. Zwisła z niego okropnie, spędził sporo czasu, zanim udało mu się, podwijając ją i marszcząc, doprowadzić się do jako takiego porządku. Z gęstym zarostem poradził sobie za pomocą jednorazówki, mydła i strumienia ciepłej wody z kranu. Nie obeszło się niestety bez kilku zacięć i krwawienia. Efekt końcowy: podstarzały hipis po ataku stada rozwścieczonych owadów. Inni pasażerowie widząc go wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i starali się nie

siadać zbyt blisko. I to mu pasowało.

*

292

Samolot wystartował o czasie i tuż po jedenastej trzydzieści czasu lokalnego Jack wędrował przez hol południowokalifornijskiego lotniska w Monterey. Mając tylko bagaż podręczny, szybko przedostał się

przez zieloną strefę, obserwując uważnie twarze ludzi oczekujących na pasażerów. W końcu dostrzegł swoje nazwisko wypisane na kawałku kartonu. JACK HINT.

— Żle pan napisał moje nazwisko.

Karton spoczywał w dłoniach przyszczonego młodzieńca w niebieskim uniformie. Chłopak przyjrzał się napisowi i wzruszył ramionami.

— I co z tego, przecież pana znalazłem. — Dzieciak był wysoki i chudy, miał przeciągły akcent i równie powolne ruchy. Wyglądał tak blado, jakby nie widział słońca od wielu miesięcy.

Firma Rick's Rent A Miser oferowała najniższe stawki za wynajem samochodu, do jakich Jack dotarł przed zabukowaniem lotu. Teraz widać było wyraźnie dlaczego. Parkingowy szedł przodem, ramiona miał przygarbione, w gębie wyżutą dawno gumę, w oczach brak zainteresowania potrzebami klienta. Jack szedł za nim, wpatrując się w brud i smar pokrywający niemal całe logo widoczne na niebieskim kombinezonie.

— Dokąd jedziemy? — Pryszczaty zagaił niezobowiązująco, chyba wyłącznie dla zabicia czasu, kiedy prowadził Jacka przez niekończące się rzędy samochodów, od których dachów odbijały się promienie słońca. Powietrze pachniało tu paliwem lotniczym, po chwili ryk rozpędzającej się turbiny odrzutowca uniemożliwił im dalszą rozmowę. Jack musiał zakryć uszy, żeby nie ogłuchnąć.

— Do Pacific Grove — odparł po chwili.

— Fajna dziura, niezłe widoczki — powiedział młodzieniec. — Dobra pora roku na wizyty. Deszczu nie uświadczysz, w dzień słońeczko, w nocy chłodek. Łatwiej zasnąć w taką pogodę.

Rick z nazwy wypożyczalni samochodów okazał się rozczarowanym mechanikiem, który swego czasu obsługiwał dalekie trasy w jednej z podrzędnych firm transportowych. Tam zrozumiał, że sam może rozwinąć podobny interesik w tanim segmencie tych usług i nabył sporą liczbę przechodzonych gruchotów. Osobówki, dostawczaki, ciężarówki, wozy sportowe, nawet motocykle. A potem usiadł na tyłku

293

i czekał na miliony. Firma mieściła się o pięć mil na wschód od starego centrum Monterey, na południe od autostrady numer jeden, w pobliżu jeziora Del Monte. Tutaj, za zdewastowanym i pokrytym graffiti niewielkim centrum handlowym, wystawiał swoją kolekcję złomu.

Biuro mieściło się w drewnianej szopie pokrytej dachem z blachy falistej i o oknach tak brudnych, że zajrzenie przez nie do wnętrza graniczyło z niemożliwością. Wewnątrz rudery znajdowało się wyłącznie zasypane stosem papierzyk oraz wymiętych magazynów dla panów biurko i dwa zdezelowane krzesła po obu jego stronach. Umowa najmu była tak wyblakła, że Jack z trudem mógł odcyfrować druk, dlatego nawet nie starał się zapoznawać z jej treścią. Wszystkie samochody i motocykle czekały na klientów na niewielkim placu znajdującym się tuż obok. Cały teren otaczała wysoka siatka zwieńczona drutem

kolczastym. W jednym z rogów parkingu w cieniu furgonetki wylegiwał się wygłodzony kundel, łańcuch przytwierdzony do jego obroży kończył się przy słupku wbitym jakieś dwadzieścia stóp dalej. Pies ciężko dyszał, język zwisał mu z otwartego pyska, widać było wyraźnie ostre kły. Przewrócona miska na wodę leżała pomiędzy jego przednimi łapami.

Ricka nie było w biurze, więc jego pomagier pokazał Jackowi dwa jeepy, mazdę MPV z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego i dodge'a caravana z rejestracją na przewóz siedmiu osób. Żadna z tych propozycji nie przypadła Jackowi do gustu. W końcu stanęli przy białym fordzie 250 cargo z osiemdziesiątego czwartego. Wóz miał liczne otarcia po obu stronach, widać było nieudolne ślady lakierowania, i to wielokrotnego. Opony były kompletnie łyse, a drzwi od strony pasażera zamknięte na stałe. Blokujący je drut wystawał przez otwór wywiercony w drzwiach i bocznej części obudowy kabiny. Samochód był ponadto niemiłosiernie brudny, kurz i pył pokrywały nie tylko deskę rozdzielczą, ale i siedzenia. Jedna wycieraczka działała, ale w zbiorniku od dawna nie było żadnego płynu.

— Zapomnieliśmy napełnić — wyjaśnił uprzejmie młodzieniec. Powęszył i spojrzał gdzieś w dal. — Chciałeś pan dostawczaka, masz pan dostawczaka. Chcesz pan cadillaca, płac pan jak za cadillaca.

Jack już przygotowywał się do awantury, ale uznał, że lepiej odpuścić. Czas uciekał. Ten kawał porzewiałego złomu miał go jedynie dostarczyć z punktu a do punktu b i z powrotem w ciągu najbliż-

294

szych dwudziestu czterech godzin. Tylko czy nie rozleci się w tym czasie?

— Ta maszyna chodzi jak złoto — powiedział chłopak. — Jeszcze nigdy nie padła. — Jack spojrzał na przyszczatego niedowierzająco. — Nigdy — powtórzenie zostało o wiele mocniej zaakcentowane. — Tutaj masz pan mapę południowej Kalifornii i prognozę pogody na najbliższe dwa dni.

Jack przyjrzał się papierom. Następną dobę powinna upłynąć pod znakiem lekkiego zachmurzenia i temperatur pomiędzy siedemdziesiąt pięć a pięćdziesiąt sześć stopni Fahrenheita, przy wilgotności powietrza sięgającej dziewięćdziesięciu procent. T-shirt Spencera już przyklejał mu się do ciała.

— Szef powiedział, że pan zapłacisz teraz.

Jack sięgnął po zwitek banknotów.

— Szef powiedział, żeby brać tylko karty kredytowe.

Jack się wzdrygnął. Musiał wprawdzie zapłacić kartą Visa za bilet lotniczy do Los Angeles, ale jego plan zakładał, że zatrze za sobą wszelkie ślady właśnie w Monterey. Zdawał sobie sprawę, że postępuje jak rasowy paranoik, ale naprawdę nie chciał niepotrzebnie ryzykować i dać się namierzyć przez głupą transakcję.

— Mam tylko gotówkę. — Wyjął z kieszeni zwitek banknotów dwudziestodolarowych. Oczy przyszczatego wyszły z orbit.

— No to pięć setek jako kaucja na poczet ewentualnych uszkodzeń. Zwracamy, jak pan oddasz auto bez jednej rysy.

Jack odliczył dziewięć banknotów i włożył je do umorusanej smarem dłoni. Przypuszczał, że chłopak zatrzyma je dla siebie.

— Powiedz szefowi, że stłuczka tylko doda blasku temu wrakowi.

Chłopak przesłonił oczy, patrząc pod słońce.

— Szefowi się to nie spodoba.

Jack wspinał się już na fotel kierowcy, strącając z tapicerki stare pety i papierki po batonikach.

— To już jego problem.

Przypominająca półokrąg o średnicy pięćdziesięciu mil zatoka Monterey wciniała się w linię brzegową Kalifornii, dzieląc ją na część południową i północną. Autostrada numer jeden ciągnęła się

295

wzdłuż jej wybrzeża, tuż obok piaszczystych plaż, wielkich wydm i gęstych karczochów rozciągających się aż po linię horyzontu. Wokół zatoki rosły też rozległe lasy, głównie składające się z powyginanych przez wiatr guzowatych cyprysów, pod jej wodami natomiast kryły się ogromne wąwozy, o wiele głębsze od Wielkiego Kanionu.

W innych okolicznościach Jack radowałby się tymi widokami. Samo Monterey składało się ze świetnie zachowanych zabytkowych budynków, wiele z nich nadal służyło urzędom państwowym, mieściło w sobie restauracje i banki. Na wybrzeżu przycupnęła niewielka przystań rybacka, przy skrzypiących pomostach wciąż cumowały sprawne kutry. W licznych sklepach można było kupić kubek zupy rybnej albo owoce morza na wynos. A tuż za nimi dało się zobaczyć stado lwów morskich, ich bolesne porykiwania niezmiernie bawiły turystów w dzień i spędzały sen z powiek hotelarzy nocami.

Jednakże Jack miał zbyt wiele problemów na głowie, by cieszyć się tymi historyjkami i widokami. Czas uciekał. Miał żonę w ciąży i kilkuletniego synka, którzy lada chwila mogli opuścić ten kraj. A on nie wiedział nawet, czy nie biega teraz za własnym cieniem. Tkwił w starym wozie dostawczym o tak zdartych oponach, że w każdej chwili mogły rozsypać się w proch, posyłając go w przepaść. Kierownica ledwie się kręciła, za to pedał hamulca nie stawiał żadnego oporu. Na domiar złego zapomniał zabrać okulary przeciwsłoneczne i ostry blask irytował go coraz bardziej, zmuszając do nieustannego mrużenia oczu. Po czole spływały strugi potu, a walka z klimatyzacją wciąż nie przynosiła efektów. W końcu walnął pięścią w plastikowy panel, z którego wciąż wiało wyłącznie gorącym powietrzem.

Znalazł aleję Del Monte i skręcił w głąb lądu, pozostawiając plażę po prawej stronie. Potem jechał tunelem, dopóki nie zobaczył wyjazdu na Ocean View Boulevard. Z tego co pamiętał, miejsce, ku któremu zmierzał, znajdowało się pięć mil dalej, w następnym miasteczku.

Pacific Grove było naprawdę niewielką miejsciną ulokowaną na najdalej wysuniętej na północ części półwyspu Monterey. Główną jego część stanowiły równe rzędy pamiętających jeszcze dziewiętnasty wiek rezydencji zwróconych frontami w stronę oceanu. Pokrywająca je farba łuszczyła się pod wpływem kontaktu ze słoną zawiesiną. Miasto stanowiło kiedyś bezpieczną przystań dla ludzi wielu religii, do dzisiaj zresztą towarzyszyła mu specyficzna atmosfera spokoju

296

i tolerancji. Miejscowi zwali je „ostatnim prawdziwie amerykańskim miasteczkiem”. 1 rzeczywiście, było to jedno z ostatnich miejsc, w którym człowiek mógł wybrać się na przechadzkę, podziwiać widoki, czuć rześkie morskie powietrze i odpoczywać w promieniach gorącego słońca.

Jack nie zważał jednak na to, co oferowała mu okolica, skupiał się na poszukiwaniu konkretnego adresu. Jechał z mapą rozłożoną na desce rozdzielczej, kierując jedną ręką i starając się przywołać w pamięci wskazówki podane przez Ritę Callard.

— Jedź do Ulicy Dwunastej i skręć w lewo. Po jakichś stu jardach ponownie skręć w lewo.

W kabinie panował istny żar; mimo iż otworzył oba okna i bez przerwy ocierał skrawkiem koszulki czoło, pot obficie rosł mu oczy. Był spragniony i zaniepokojony, wykończony, ale zarazem podekscytowany. Zdawał sobie sprawę, że od zbawienia albo strącenia na dno piekieł dzieli go zaledwie kilkaset jardów. Minął ciąg domków z elewacjami z listew, potem stojące pojedynczo wielkie wiktoriańskie wille. Prawo. Lewo. Kolejny zakręt. Znow w prawo, na Kenton. No, wreszcie. Ale gdzie jest numer sto cztery?

Jechał powoli, uważnie odczytując cyfry na skrzynkach pocztowych. Uliczka była zaciszna, stały przy niej wyłącznie parterowe domki z szerokimi podjazdami. Przed każdym rozciągał się niewielki, ale idealnie przystrzyżony trawnik, nawadniane często zielone spłachetki kontrastowały z mijanymi jeszcze niedawno wyschniętymi zaroślami na poboczach dróg. W ogrodach rosły rozłożyste palmy. Pomarańczowe, żółte, czerwone i niebieskie kwiaty mamły owady na skraju działek. Czerwonawe kolczaste krzewy pokryte purpurowym kwieciem. I wciąż żadnego ruchu, jeśli nie liczyć dzieci ścigających się na rowerkach. Zatrąbił, żeby je ostrzec. Zauważył zdziwienie w oczach siwowłosej kobiety wyglądającej zza żywoplotu, ale to był dopiero numer dziewięćdziesiąt sześć. Cóż za spokojna okolica.

I nagle zobaczył liczbę sto cztery.

ROZDZIAŁ 28

Czwartek, 7 października, godzina 10.30, Chicago

— Przywieźliśmy ci kolejnego klienta.

Biuro głównego koronera hrabstwa Cook mieściło się na ulicy West Harrison 2121 w samym centrum Chicago. Tam też ulokowana była kostnica oraz oddział medycyny sądowej wykonujący około czterech tysięcy autopsji rocznie. Ale budynek, w którym mieściły się te instytucje, nie wyróżniał się niczym specjalnym. Stał w pewnym oddaleniu od ulicy, miał trzy kondygnacje z szarego betonu i szkła,

utrzymane w prostym stylu architektonicznym. Raczej funkcjonalny niż piękny, co zresztą było w jego wypadku zaletą.

Główne wejście prowadziło do przestronnego i dobrze oświetlonego atrium. Żadnego wyposażenia. Tylko gołe ściany i tabliczki informacyjne, naprawdę proste w formie i treści, do tego błyszcząca czystością podłoga. Za szeroką ladą recepcji siedziała tylko jedna sekretarka, do niej należało załatwianie wszystkich spraw bieżących. Prawdę powiedziawszy, nikt, kto nie pracował w tym budynku, nie miał ochoty na jego odwiedzanie. Tutaj trafiało się, aby zidentyfikować zwłoki albo w charakterze zwłok.

Korytarz po lewej stronie prowadził do działu administracji, tym po prawej można było dojść do zasadniczej części placówki. Po prawej znajdowały się także laboratoria zajmujące się analizami tkanek. Tutaj sprawdzano zawartość alkoholu we krwi po wypadkach. Heroina, trawka, barbiturany, kokaina, amfetamina — wszelkie mieszanki i wariacje, a także wszystkie narkotyki — to można było tu-

298

taj wykryć. Mózg, kości, wątroba, mikroskopowe badania mięśni, w nich szukano wskazówek dotyczących przyczyn śmierci i ustalano czas zgonu. Czy ten człowiek został zastrzelony, a potem spalony? A może był jeszcze żywy, kiedy podłożono ogień, i dopiero gdy płonął, zaczęto strzelać? Czy tę dziewczynę zgwałcono, a potem uduszono, a może była już martwa, kiedy sprawca tego czynu doznał erekcji? Patolodzy mieli sposoby, aby znaleźć prawdziwą odpowiedź na takie pytania.

W tej strefie, za wieloma dobrze zamkniętymi drzwiami, znajdowała się mała sala okazań. To tutaj trafiali ci, którzy potrafili podać pasujący rysopis albo musieli przyjść, by potwierdzić swoje przypuszczenia. Tutaj zawsze leżało tylko jedno ciało.

W ten czwartek — mniej więcej o tej samej porze, kiedy Jack docierał do Los Angeles — do kostnicy dostarczono kolejne zwłoki.

Dostawy odbywały się w bocznej części budynku, z dala od ciekawskich oczu. Grube oszronione drzwi z pleksiglasu otwierają się na hol. Korytarz ma około dwudziestu stóp kwadratowych, na podłodze glazura z wbudowaną ramą stalowej wagi. Obok znajduje się długa drewniana miarka, zawsze składana w tym samym miejscu dla wygody. Nieważne, w jak złym stanie znajdują się dostarczane zwłoki, najpierw muszą być dokładnie zważone i zmierzone.

Około dziesięciu kroków za oszronionym wejściem z pleksi znajdują się większe i jeszcze grubsze drzwi, otwierane podobną dźwignią jak te, w które są wyposażone wszystkie stare amerykańskie lodówki. Prowadzą one do obszernej sali oświetlonej sześcioma gołymi żarówkami. Pomieszczenie ma ponad pięćdziesiąt stóp długości, trzydzieści szerokości i dwadzieścia wysokości. Można tutaj przechowywać nawet trzysta zwłok na raz, oczywiście poukładanych w równych rzędach. Od podłogi po sufit, od ściany do ściany, głowa przy stopach kolejnego ciała, z wąskimi przejściami pomiędzy rzędami, tak zmarli oczekują na swoją autopsję. Niektóre zwłoki wciąż mają przytwierdzone do klatki piersiowej elektrody EKG, widomy znak, że próbowano im pomóc, ale medycyna niestety zawiodła. Inne, całe pokryte krwią, przywiezione tak, jak je znaleziono. Pod najdalszą ze ścian złożono sosnowe trumny. Proste, bez ozdóbek

i niemalowane, w nich chowano ofiary, których nie zdołano zidentyfikować. Poniżej poziomu ulicy, w piwnicach, rozlokowano sześć stołów autopsyjnych, nad każ-

299

dym wisiała fluorescencyjna rura. Przy takiej kolejce czekających na górze rzadko bywały puste. Priorytet miały ofiary zabójstw — ale gliniarze i tak nie potrafili cierpliwie czekać. Zawsze kilku z nich, tych najbardziej ciekawskich, schodziło na dół, by obserwować postępy w badaniach.

— Ktoś zadzwonił na numer alarmowy. — Sanitariusz wyjaśniał okoliczności znalezienia zwłok. Był niskim, otyłym Afroameryka-ninem wciśniętym w przyciasny czerwony strój. Miał cienki głosik i miejscowy akcent. Na obie dłonie naciągnął gumowe rękawice, ale okulary ochronne trzymał wysoko na czole. — Pierwsi pojawili się gliniarze. Kiedy przyjechaliśmy, mogliśmy tylko robić za DHL.

— Robienie za DHL w tutejszym slangu oznaczało zabranie zwłok z miejsca zbrodni i dostarczenie ich koronerowi. — Jedna kulka nad prawe ucho. Oczy miał otwarte, jakby zagapił się na uroki piekieł.

— To już drugi w ciągu dwunastu godzin. — Lekarz dyżurny, wysoki, chudy i trupio blady mężczyzna w plastikowych butach i gumowanym fartuchu, pochylił się nad stalowymi noszami. Mówił przez nos, jakby cierpiał na przewlekłe przeziębienie.

— Bez jaj — zdziwił się sanitariusz.

— Mamy tu już jednego takiego z bardzo podobną raną. Policja rzeczna wyłowila go opodal Dwudziestej Piątej Zachodniej. Sądzą, że zrzucono go z wiaduktu autostrady minionej nocy. — Strzelił z palca.

— Bum, a teraz spływasz!

— Pierdoleni psychole. — Sanitariusz rozpiął górny guzik fartucha. — Może ze zmianą pogody przyjdzie opamiętanie. W telewizji zapowiadają kolejne deszcze i ochłodzenie.

— Jakies dokumenty? — Dyżurny ziewnął przeciągle.

— Nie. Po prostu leżał w budynku do rozbiórki koło placu budowy, z kieszeni wystawał mu studolarowy banknot. — Wymienili zdziwione spojrzenia. — Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. — Celowo zaakcentował te słowa. — Nikt nic nie chciał wiedzieć.

— Męska prostytutka?

— Cholera wie... — Pełna namysłu przerwa. — Wątpię. Miał spodnie na dupie.

Nadeszła kolej na sprawdzenie rany wlotowej.

— Wygląda mi na trzydziestkęósemkę — zawyrokował ze znawstwem sanitariusz.

300

— Tak. — Ale lekarz niespecjalnie zainteresował się tą informacją. Po dziesięciu godzinach męczącego dyżuru czuł się bardziej niż marnie. Wcześniej widział już o wiele gorsze rzeczy. Podniósł sztywną kończynę denata. — Czy to jego imię?

Drugi z mężczyzn obejrzał uważnie tatuaż na wyglądającej, jakby była zrobion z wosku, ręce.

— Może być.

Zmierzyli i zważyli zwłoki.

— Osiemdziesiąt funtów. Pięć stóp i sześć cali. — Teraz znaki szczególne. — Po trzy metalowe kolczyki w każdym uchu, metalowy ćwiek w lewym skrzydełku nosa. — Wymieniono także wszystkie bardziej widoczne blizny. Każdy szczegół mógł się okazać przydatny, kiedy policjanci przystąpią do identyfikacji zwłok.

W końcu przenieśli ciało ponownie na nosze i zawieźli je do kostnicy. Dźwignia przy masywnych drzwiach wydała ciche jęknięcie, ale drzwi otworzyły się płynnie. Za nimi spoczywało trzydzieści rzędów zwłok.

Nadszedł dzień rozliczeń i Luther, dzieciak, który napastował rodzinę Huntów, został pierwszą ofiarą Henda de Marta.

Godzina 15.00, Chicago

— Jak ich znalazłeś?

Afrykaner przedstawił swoje najnowsze osiągnięcia w luksusowych wnętrzach apartamentu mieszczącego się w penthousie chicagowskiego Sheratona. Siedział w odległości około dziesięciu stóp od wielkiego stołu w kształcie litery U, tuż przy panoramicznym oknie ukazującym widok na rzekę. Tego dnia włożył dżinsy i rozpiętą pod szyją koszulę. Siedział z wyprostowanymi nogami, założył wygodnie jedną na drugą, jego masywne ciało wypełniało cały fotel. Apartament miał ponad tysiąc pięćset stóp kwadratowych powierzchni, dwie pary drzwi prowadziły do sąsiednich pomieszczeń. Jasnozielone ściany, punktowe halogeny skręcone do połowy mocy. Na podłogach gruba wykładzina z włosiem, na ścianach obrazy olejne oświetlane własnymi lampkami. Przy długim drewnianym barku kilka wygodnych foteli i parę stołków. Na drugim końcu pokoju kolejne panoramicz-

301

ne okno od sufitu do podłogi, a w nim wycięte drzwi prowadzące na werandę.

— Nie ufałem tej sekretarce — wyjaśnił de Mart. — Zamknęła na klucz drzwi do biura, kiedy tam wczoraj zająłem. W środku nikogo nie było, a telefony wydzwaniały jak szalone. Kiedy w końcu otworzyła, wydała mi się podejrzenie zdenerwowana. — Poprawił się na fotelu, przerywając na moment, aby podkreślić wagę informacji. To on był tym, który wytropił wroga. — Nakazałem jednemu z naszych, żeby za nią poszedł. — Zajrzał do notesu. — Mieszka w niewielkim bungalowu na południowo-zachodnich przedmieściach. Mój człowiek czekał, dopóki z domu nie wyszedł chłopak. — Podniósł wzrok i wyjaśnił: — Syn Hunta. Ten, który wiecznie gania za piłką. — Znów opuścił wzrok na notes. — Po

minucie dołączyła do niego blondyna. Poruszała się bardzo wolno, trzymając się ogrodzenia. Przeszli razem tam i z powrotem wzdłuż ulicy, potem kazała małemu wracać do domu.

— A co z doktorem?

— Zgubiliśmy go dzisiaj rano. — De Mart ponownie zaczął kartkować notes. — Mam dziesięciu ludzi pracujących nad tą sprawą. Troje pilnuje, żeby Harry Chan nie zszedł z właściwej drogi, pięciu śledzi Huntów. Chłopcy pracują na zmiany, ci z rana pogubili się na autostradzie. Za duży ruch.

— To błąd, poważny błąd. — Doktor Gert Crozer, jeden z dyrektorów Zemdon Pharmaceuticals, obserwował de Marta i słuchał raportu, siedząc wygodnie w fotelu z wysokim oparciem. Ubrany był, jak zawsze, w granatowy jednorzędowy garnitur, białą koszulę i firmowy krawat. W zamyśleniu stukał okularami w drucianej oprawie o policzek. — A co z Rossim?

— Usunąłem go już dwa dni temu. Będzie siedział w bezpiecznym miejscu, dopóki ta zadyma się nie skończy. Potem wygłosi kilka oświadczeń, udzieli wywiadu na wszelki wypadek i zniknie. Kiedy przyjdzie czas, zostanie zlikwidowany. — Afrykaner odłożył w końcu notes. — Załatwiłem już tego dzieciaka za slumsów. Tym sposobem zniknął ostatni trop łączący nas ze sprawą szpitala.

Tak wielka różnica akcentów, afrykanerskiego zaśpiewu i twardej wymowy Szwajcara, sprawiała obu wielką trudność w komunikacji.

— Czy herr Danker wie o wszystkim?

302

— Nie, ale sądzę, że jest zadowolony z efektów. Wątpię, żeby chciał mu się babrać w szczegółach.

— Pilnuj, żeby to się nie zmieniło.

Nagły poryw wiatru zabębnił kroplami deszczu o okna apartamentu, intensywność szumu zmusiła de Marta do głośniejszego mówienia.

— Harry Chan zaczyna puszczać farbę.

Crozer pochylił się, jego sokole oczy zwięziły się w szparki.

— To znaczy?

— Powiedział swojemu kumplowi, Martinowi, żeby włożył całe swoje oszczędności w akcje Zemdonu.

Crozer wściekł się, ale opanował gniew.

— Nie rób niczego do czasu premiery cyclintu. — Wyjął z kieszeni białą chusteczkę, otarł nią czoło i złożył dokładnie. — Ale kiedy będzie po wszystkim, daj mu porządny wycisk.

De Mart skinął głową. Coraz więcej kropel rozbijało się o szyby. Za moment panorama miasta skryje się za strumieniami deszczu.

— Mam też dwóch ludzi pilnujących mieszkania przy West De-ming. — Spotkanie trwało dłużej, niż spodziewał się tego Afrykaner. — Czy ich stamtąd wycofać?

— Nie, Hunt może tam wrócić w każdej chwili.

— Jeśli się pokaże, mamy go zdjąć?

Nie było nawet sekundy zastanowienia.

— Natychmiast. Zdejmijcie go natychmiast bez względu na miejsce.

De Mart skoncentrował się.

— Przerzucę jeszcze trzech agentów do Chicago Lawn. Będziemy mogli pilnować obu głównych dróg ze wszystkich stron. Będziemy mieli też podsłuch na telefonie — de Mart spojrzał na zegarek — mniej więcej za godzinę.

— Jak to załatwićś?

— Przekupiłem inżyniera z IT&T. Zacznie przepinać linię za pół godziny.

Crozer wstał i zaczął się nerwowo przechadzać po apartamencie, wydając polecenia z szybkością karabinu maszynowego.

— Potwierdź ostatnie rozkazy.

De Mart skinął głową.

303

— Skontaktuj się z Zurychem i powiedz, że mamy wszystko pod kontrolą.

— Załatwione.

— Przekaż profesorowi Chanowi, że zapraszam go na obiad dzisiaj po południu, będziemy na nim tylko my dwaj. Upewnij się, że herr Danker będzie w pobliżu, chcę go mieć pod ręką do czasu, gdy zakończymy wszystkie działania.

— Oczywiście.

W tym momencie Crozer spojrzał prosto w oczy de Marta.

— Ale nade wszystko znajdź mi Hunta. Gdziekolwiek jest.

Godzinę później Helen Bradley szła spokojnie jedną z ulic dzielnicy, w której mieszkała. Harry Chan wypuścił ją z pracy nieco wcześniej niż zwykle.

— Jutro wielki dzień, pani Bradley. Bardzo ważna inauguracja farmaceutyczna, a ja gram w niej główną rolę. — Kardiolog wyglądał na mocno podekscytowanego. — Proszę odpocząć dzisiaj wieczorem. Potrzebuję całej powierzchni biur na potrzeby kolejnych spotkań. — Helen nie mogła nie skorzystać z okazji i z radością opuściła mury szpitala.

Omijając kałuże i rozlewiska, zastanawiała się, jak długo jeszcze Beth Hunt wytrzyma w takich warunkach. Helen martwiła się o nią, widziała, że ta kobieta jest wręcz zaszczuca.

Pięćdziesiąt jardów od niej na ulicę wyskoczył Danny, jego radosny chichot słychać było aż tutaj. Chłopak wbiegł między zaparkowane samochody. Ruszyła w jego stronę i zobaczyła, że może z dziesięć jardów za synem podąża Beth. Wyglądała źle, jedną ręką trzymała się ogrodzenia. Krzyczała i machała na chłopca ręką.

— Danny! — Helen dopadła dzieciaka. — Wiesz przecież, że nie wolno ci wychodzić na ulicę. Możesz grać w piłkę na podwórzu, ale nie tutaj. — Groziła mu palcem podczas tej przemowy, a Danny spoglądał na nią smutno, ze wzrokiem pełnym winy.

— Mam dosyć siedzenia cały dzień w domu — odparł w końcu gniewnie. — Mamusia się źle czuje, a na dodatek nie ma nic ciekawego w telewizji.

Beth zdążyła już do nich dołączyć, pociała się niesamowicie pomimo panującego chłodu. Miała na sobie ten sam niebieski dres, który

304

nosiła od pięciu dni. Brud i ślady poprzednich posiłków były na nim bardziej niż widoczne.

— Chodź, Danny, wystarczy tych ucieczek na dzisiaj. Jazda do domu.

Kiedy chłopiec odbiegł wystarczająco daleko, by ich nie słyszeć, Beth zaczęła przeproszać.

— Nie potrafię go utrzymać w zamknięciu. Nigdy wcześniej nie miał takich ograniczeń. Jack co prawda ostrzegał, żebyśmy nie opuszczali domu, ale szczerze ci powiem, że teraz jest mi wszystko jedno, czy pół świata dybie na moje życie. Nie mam już siły na wyklócanie się z nim.

Helen pomyślała, że Beth zaraz upadnie. Wzięła ją za rękę i poprowadziła w stronę domu. Była tak przejęta jej stanem, że nie zwróciła uwagi na czarnego transita z logo firmy hydraulicznej na przesuwanych drzwiach, który stał u wylotu ulicy. Nie mogła też słyszeć cichego mrużenia kamery, którą współpracownik Henda de Marta nagrywał każdy ich ruch.

ROZDZIAŁ 29

Czwartek, 7 października, godzina 13.30, Pacific Grove, Kalifornia

Rita Callard była drobniutką kobietką. Mierzyła pięć stóp i dwa cale wysokości i nie ważyła więcej niż sto funtów, jej skóra, ogorzała od wiatru i cienka jak pergamin, zwiślała luźno z odkrytych ramion i marszczyła się na szyi. Na twarzy miała bruzdy głębokich zmarszczek, ręce i nogi patykowate,

poznaczone starczymi plamami. Oczy żywe, niebieskie, nad prawym widniała paskudna narośl. Rzadkie siwe włosy skrywała pod bandaną. Kiedy otworzyła drzwi posiadłości numer sto cztery przy ulicy Kenton w Pacific Grove, ubrana była w turkusową bluzę i jasne bawełniane szorty. Jack ocenił jej wiek na ponad siedemdziesiąt lat.

— Tak, to ja jestem pani Callard — powiedziała, taksując wzrokiem wrak człowieka stojący przed jej drzwiami. — Pan jest tym lekarzem z Chicago? — Nie wydawała się zdziwiona jego wyglądem. Wysoki, ciemnowłosy, wręcz przystojny, gdyby go umyć i porządnie ogolić, ale w tym momencie mógł się kojarzyć co najwyżej ze zbiegłym więźniem. Zacięcia na szyi i policzkach, przeпоcony i o kilka numerów za duży T-shirt. — Dobrze się pan czuje?

Jack zmusił się do uśmiechu.

— Musiałem wstać dzisiaj przed piątą rano, dlatego jestem taki zmęczony. — Zauważył, że kobieta uważnie mu się przygląda. — Musiałem też pożyczycь coś do ubrania — wyjaśnił nieśmiało.

306

— I to od wielkiego chłopiska, jak widzę. Na pana miejscu postarałabym się nie zapomnieć o zwrocie. — To był ten sam głos, który Jack usłyszał w telefonie. Każde zdanie zaczynało się głośniej, a potem cichło w miarę wypowiedzania kolejnych słów. Nie potrafił odgadnąć, jaki to akcent. — Proszę, niech pan wejdzie, nie będziemy przecież stali w drzwiach. Jeszcze sąsiedzi pomyślą, że mam nowego chłopaka. — Rita Callard roześmiała się. — Wygląda mi pan na człowieka, który potrzebuje odrobiny wytchnienia. Co powie pan na szklankę mrożonej herbaty i kawałek domowego ciasta?

Jack nie słuchał jej zbyt uważnie, ale słowa „mrożona herbata” i „ciasto” dotarły do niego.

— Na pewno nie odmówię. Dziękuję.

Domek Rity był parterowym budynekczkiem z cegieł i drewna. Całą lewą ścianę pokrywały czerwone kwiaty geranium, rosnące w długich skrzynkach zawieszonych pod dachem wiaty. Pod nimi stał bardzo stary pontiac, dziwacznie przekrzywiony na jedną stronę. W oponach już dawno nie było powietrza, wóz nieomal opierał się podwoziem o podjazd. Jack zaparkował fordą, którym przyjechał, pod czujnym okiem Rity Callard. Jeśli nie spodobał jej się stan wypożyczonego auta, nie dała tego po sobie poznać.

Pięć mocno zużytych drewnianych stopni prowadziło na słoneczny ganek. Schodki po obu stronach ograniczone były wysokimi poręczami. Elewację domu pomalowano na jaskrawożółty kolor, tylko wokół okien i drzwi pozostawiono wąskie białe pasy. Wnętrze domku pachniało kurzem, większość mebli wyglądała jak żywcem przeniesiona z lat pięćdziesiątych. Chromowane krzesła z plastikowymi siedziskami i oparciami, laminowane tanie białe szafki. W części jadalnej stał wiśniowy stół z sześcioma krzesłami, ale w całym pomieszczeniu panował nieopisany bałagan, wszędzie walały się stosy książek, gazet i innych papierzysk. W kącie stała antyczna maszyna do pisania z do połowy zapisaną kartą na wałku, jakby ktoś przed chwilą przerwał pracę. Wąski korytarz prowadził do tylnej części domku, po obu jego stronach widać było drzwi. Tylko jedne były zamknięte. Wiszące na ścianach fotografie rodzinne sprawiały wrażenie, że przy pierwszej okazji mogą spaść na podłogę.

Okno kuchni wychodziło na ogród, wprost na głośny spryskiwacz, który z terkotem rosił pięknie utrzymany trawnik zajmujący sam śro-

307

dek. W wodnej zawieszynie za oknem widać było przez chwilę migotliwą tęczę, która bladła, gdy urządzenie odwracało się, wykonując kolejny obrót. Krzewy i wielkie kaktusy porastały obrzeża ogrodu po jednej stronie, przed nimi czarny kot z białymi łapkami skakał w ślad za pomarańczowo ubarwionymi motylami. Po drugiej stronie ogrodu roilo się od kwiatów. Purpurowe begonie, żółte nagietki, kalifornijskie maki we wszystkich odcieniach czerwieni. W częściowym cieniu liści wysokiego eukaliptusa kryły się i walczyły o dostęp do światła białe płatki hibiskusów.

Jack usiadł na stopniach werandy, przyglądając się zielonemu ogrodowi i wystawiając twarz na promienie słońca. Był wyczerpany, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, chyba tylko adrenalina łącząca się z ostatnim odkryciem trzymała go na nogach. Gdzieś tutaj, może nawet w tym pokoju, który miał za plecami, kryły się odpowiedzi na setki męczących go pytań. Ale jaką będą miały treść?

— Proszę. — Rita Callard pojawiła się obok niego, niosąc tacę z łakociami. — Niech mi pan teraz powie, doktorze Hunt, co sprawiło, że wpadł pan w tak okropne kłopoty?

Jack przedstawił Ricie historię swojego życia, oczywiście w przerwach pomiędzy ogromnymi kęsami ciasta. Kim był i skąd pochodził. Gdzie mieszkał i jak poznał swoją żonę.

— A Carlotta nigdy nie wyszła za mąż — przerwała mu starsza pani w pewnym momencie. Siedziała na schodach obok, tyle że stopień wyżej. — Nie wyciągała nosa z książek i chyba nigdy nie spotkała mężczyzny, który by ją pociągał bardziej niż praca. — Opuściła ramiona, a na jej twarzy pojawił się bezbrzeżny smutek. — Bardzo lubiła mojego męża. Obie się załamałyśmy, kiedy on umarł.

Jack zaczynał już wątpić, czy pan Callard kiedykolwiek istniał. Nie wspomniała o nim ani razu, kiedy rozmawiali po raz pierwszy, nie było też śladu mężczyzny w tym domu.

— Tak mi przykro — wyszeptał.

— Nie ma potrzeby, młody człowieku. Nie znałeś go przecież... — Nie przeszkodziło jej to w opowiedzeniu całej historii. — Na imię miał Richard, aleja nazywałam go Rick. Pracował w kontroli ruchu na lotnisku w Los Angeles, zanim nie przenieśliśmy się tutaj jakieś pięć lat temu, po przejściu na emeryturę. Miał problemy z ciśnieniem krwi, byłam pewna, że to z powodu stresów, jakie miał w pracy. Zawsze brał

308

wszystko tak strasznie poważnie — poszukała chusteczki w kieszeni szortów, potem delikatnie wysiękała nos. — A kiedy poznaliśmy sąsiadów, zawsze był gotowy pomagać, kiedy tylko ktoś zachorował na tutejszym lotnisku, jechał na zastępstwo. — Jej głos znów zaczął cichnąć. — Carlotta ostrzegała go, by nie przesadzał, ale odparł wtedy, że jeśli nie zajmie czymś umysłu, jego życie nie będzie niczym więcej niż

marną wegetacją. — Zrzuciła kilka okruszków ciasta na ziemię obok kamienia leżącego na grzędce, potem podważyła go palcem u stopy, nie trwało długo, a wokół słodkości zaroilo się od czerwonych mrówek. — No i w końcu odszedł. — Na tym zakończyła opowieść. — Ale nadal utrzymuję kontakty z jego kolegami po fachu. Są bardzo mili, dzwonią co jakiś czas, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku.

Nastąpił moment bolesnej ciszy. Dopiero po jakimś czasie Jack zdecydował, by przejść od historii swojego małżeństwa do aktualnych wydarzeń. Słuchała go uważnie, wtrącając jedynie zwyczajowe „ojej” w odpowiednich momentach, a gdy skończył, wszystkie okruszki ciasta zniknęły już w mroku pod kamieniem.

— A jak poznał pan Carlottę?

— Nigdy jej nie spotkałem osobiście. Komunikowaliśmy się jedynie przez Internet. — Kaszlnął, by ukryć zażenowanie. — Nie wiem nawet, jak wyglądała.

Rita Callard spojrzała na Jacka z niedowierzaniem charakteryzującym każdego, kto nie jest w stanie pojąć, jak szybko i anonimowo toczy się współczesne życie.

— Pokażę panu jej zdjęcie. — Gdy wstawiała, coś chrupnęło jej w kolanie.

Jack przeciągnął się i wyszedł dalej na słońce. Oślepiający blask wciąż go irytował, dlatego opuścił wzrok na ziemię. Czuł zapach kwiatów, spokój, ciepło, widział mknące przez błękit nieba motyle — jakże różniło się to wszystko od mroków Chicago, które opuszczał tego ranka. Przypomniat sobie Danny'ego leżącego na plecach z otwartymi ustami, chrapiącego. Beth wymiotującą do plastikowej reklamówki. I nagle poczuł wstyd, że nie ma pojęcia, co robią w tej właśnie chwili, gdy on rozkoszuje się urokami kalifornijskiego klimatu.

Rita przerwała mu tę wyprawę do krainy winy. Kolorowe zdjęcie było naprawdę duże, miało co najmniej dwadzieścia na dwanaście cali, oprawiono je w ciężką ramkę. Znajdowało się za szkłem.

309

— Zrobiono je trzy lata temu. — Rita spojrzała na zdjęcie, zanim z grymasem bólu odwróciła oczy. — Tuż po zrobieniu kolejnego doktoratu. Byliśmy z niej tacy dumni. Nikt z naszej rodziny nie był tak mądry jak ta dziewczyna.

Kobieta uśmiechająca się do obiektywu była pewna siebie, widać było, że wie czego chce i osiąga to. Wiem, kim jestem i dokąd zmierzam, zdawała się mówić. Szczegółami twarzy przypominała swoją ciotkę. Niebieskie oczy, ciemne rzęsy, wysokie czoło, kruczoczarne włosy zaczesane do tyłu i przerzucone przez ramię. Mały zadarty nos i szeroki uśmiech odsłaniający dwa rzędy równych, białych zębów. Nawet wąska broda nie psuła efektu, Carlotta była bowiem prawdziwą pięknoscią.

Jack oddał zdjęcie i znów musiał odczekać dłuższą chwilę, zanim ramka nie została odniesiona na swoje miejsce gdzieś w głębi domu.

Kiedy Rita Callard wróciła, jej spojrzenie było twardsze, a na twarzy malowała się determinacja.

— Naprawdę chciałabym się dowiedzieć, czy Carlotta zginęła w wypadku czy też było to zabójstwo.

— Spojrzała Jackowi prosto w oczy. — Była najmłodsza w rodzinie. Siostra miała jeszcze dwóch chłopaków, jeden z nich jest nauczycielem w Los Angeles — pociągnęła nosem — a drugi pewnie trafił po raz setny na odwyk do któregoś szpitala na północ stąd. — Głos po raz kolejny zaczął cichnąć, ostatnich słów Jack musiał się praktycznie domyślać. — Nigdy nie mieliśmy własnych dzieci, dlatego Carlotta była mi taka bliska.

— Usiedli znów na schodach werandy, spoglądając na tęczę odbijającą się w miliardach drobinek wody wyrzucanych ze spryskiwacza.

— Nie wierzę, że to był zwykły wypadek.

— Dlaczego sądzi pani, że było inaczej? — zapytał Jack. Machnął ręką, by opędzić się od muchy brzęczącej mu przy uchu.

— Detektywi z Sacramento sugerowali mi, że to normalna rzecz. Ale wiem, że nie powiedzieli mi całej prawdy. Prawdopodobnie bali się przyznać, że ich śledztwo prowadzi donikąd. Dlatego wynajęłam Toda Bensona. Kazałam mu naciskać na nich bez przerwy.

— Wspomniała mi pani, że Carlotta zachowywała się ostatnio bardzo dziwnie — powiedział Jack.

Rita ponownie wstała, tym razem towarzyszyło temu znacznie więcej trząśnień w stawach. Poszła chwiejnym krokiem za narożnik

310

domu i zniknęła z pola widzenia, chwilę później strumień wody ze zraszacza zaczął słabnąć. Kiedy wróciła, ostrożnie rozprostowała jedną nogę, potem drugą i usiadła bardzo powoli na stopniu schodów.

— Nic nie słyszałam przez to terkoczące cholerstwo. Gdzie to skończyliśmy? Ach tak, dlaczego uważałam, że Carlotta zachowuje się dziwnie? Nie mówiła mi zbyt wiele. Tylko tyle, że jest przekonana, iż ktoś ją śledzi. Nawet opłaciła kogoś, żeby ją udawał, kiedy przyjechała do mnie.

— Dlaczego nie zgłosiła tego na policję? — zapytał Jack.

— Też jej tak radziłam. Ale kiedy uprzedziła mnie, że przyjedzie z całą ciężarówką dokumentacji, chciałam wiedzieć, o co chodzi. Lubiłam, kiedy mnie odwiedzała, więc nie miałam jej za złe najścia, ale te wszystkie kartony? To nie miało najmniejszego sensu według mnie.

Dla mnie też nic nie miało sensu, pomyślał Jack. Całe tygodnie niepewności i podejrzeń. Beth wyglądająca zza firanki na ulicę w samym środku nocy, rozglądająca się za czarnym mercedesem. Atak na Danny'ego. No i to zniszczenie samochodu, przeprowadzone w biały dzień, z pełnym rozmysłem, jakby było zaplanowane. To zdziwiło nawet funkcjonariusza Nelsona z posterunku przy parku Lincolna. Muszą przyznać, że to najdziwniejsza sprawa, z jaką miałem do czynienia od kilku lat. Tak powiedział,

kiedy dowiedział się o tym incydencie. Jak zatem Carlotta mogła przedstawić dręczące ją problemy? Musiała stawić im czoło samotnie. Jeśli nawet ja zacząłem działać pod wpływem wydarzeń irracjonalnie, dlaczego ona miała zrobić coś rozsądniejszego?

— I co na to powiedziała?

— Nic. Ostrzegła tylko raz po raz, żebym nikomu nie powiedziała o tym, że złożyła te papiery u mnie. — Rita nagle ujęła dłoń Jacka i ścisnęła ją delikatnie. — Powinam wtedy udać się na policję. — Zobaczył, że z oczu staruszki zaczynają spływać łzy. — Chciałam, ale ona tak bardzo nalegała, żeby utrzymać to wszystko w tajemnicy. Dlatego jej posłuchałam. — Otarła policzki. — No i zginęła.

Zapadła długa, bolesna cisza, a potem Rita wskazała za siebie kciukiem.

— W tych kartonach musi być coś naprawdę ważnego.

*

311

Przeszła na front budynku, wciąż ocierając łzy. Przez wąski korytarz, obok poprzekrzywianych zdjęć i przez pokój z wiśniowym stołem. Stała przed jedynymi zamkniętymi drzwiami.

— Wszystko jest tutaj. — Przekręciła gałkę, ale zamek nie puścił.

— Och. — Spojrzała w górę, posyłając mu przepaszający uśmiech.

— Schowałam klucz w bezpiecznym miejscu.

Jack spojrzał na drewniane drzwi. Mosiężna gałka i lśniująca farba, najnormalniejsze w świecie drzwi do pokoju, mógłby je wyważyć kilkoma kopnięciami. Ale w tym momencie jawiły mu się niczym potężny głaz, dziesięć ton litego granitu oddzielającego go od nieznannej bestii. Kiedy czekał na powrót Rity z kluczem, czuł, że wąski korytarzyk zaczyna się zaciskać wokół niego, że ściany napierają. Nagle poczuł mdłości, zrobiło mu się zimno, serce zaczęło walić tak mocno, że myślał, iż za moment przebije się przez jego żebra. Chciał uciekać, pobiec prosto ku słońcu, w stronę dźwięków i zapachów wypełniających ogród. Nie otwieraj tego pokoju, na rany Chrystusa. Zapomnij o tym, co się tam znajduje. To nie może być nic dobrego.

— Przepraszam, że to tak długo trwało. Schowałam klucz w bezpiecznym miejscu i zapomniałam gdzie. — Zamek kliknął i pchnięte ramieniem drzwi stanęły otworem. — Zostawię pana sam na sam z tymi materiałami. Muszę przestawić zraszacz. Będę na zewnątrz, gdyby mnie pan potrzebował.

ROZDZIAŁ 30

Czwartek, 7 października, godzina 17.20, Chicago

— Kalifornia? Mówiłeś, że masz swoich ludzi wszędzie. Co on do kurwy nędzy robi w Kalifornii?

Cały penthouse aż drżał w posadach, a Hend de Mart wyglądał dziś na znacznie mniej pewnego siebie niż zazwyczaj. Siedział plecami do okna wychodzącego na rzekę, szkło od zewnątrz zroszone było tysiącami kropel. Gert Crozer przemierzał podłogę tam i z powrotem, tam i z powrotem. Na grubej wykładzinie widać było coraz wyraźniej ślad jego nieustannej wędrówki.

— Śledziliśmy go aż do autostrady, kiedy rano opuścił dom w Chicago Lawn — powiedział de Mart.
— Tam nam się urwał. — Klepnął się w boczną kieszeń. — Odebraliśmy tę informację o trzeciej trzydzieści, natychmiast rozkazałem naszym ludziom, aby przetrzasnęli parkingi na lotnisku.

Crozer zawędrował na fotel z wysokim oparciem za mahoniowym biurkiem. Oparł się o jego blat obiema rękami, mięśnie na jego twarzy wciąż drgały. Okulary w drucianej oprawie wyjątkowo tkwiły na nosie.

— Odtwórz nagranie.

De Mart wyjął kasetę z zamykanej na zamek błyskawiczny kieszeni i włożył ją do odtwarzacza stojącego na biurku. Następnie połączył urządzenie z przenośnym głośniczką. Było to maleńkie pudełeczko, nie większe niż paczka papierosów, w plastikowej obudowie z delikatną siatką zdobiącą front.

313

— Udało nam się podłożyć cztery pluskwy, trzy przy okapie dachu, czwartą naprzeciw sypialni Huntów. Tylko z niej udało się uzyskać dźwięk przyzwoitej jakości. — Nacisnął klawisz, ustawił głośność.

— Kiedy tatuś wróci?

— To ten dzieciak.

— Powiedział, że będzie w domu jutro przed wieczorem.

— A to jego żona — wtrącił raz jeszcze de Mart.

— Przecież znam tych ludzi! — warknął Crozer. — Przestań przeszkadzać. — Odwrócił głowę tak, by trzymać ucho jak najbliżej głośniczka.

— Obiecał, że przywiezie ci coś ładnego znad morza. Ale powiedział mi też, że nie możesz siedzieć do późna tylko dlatego, że nie ma go w mieście i nie będzie cię mógł utulić na dobranoc.

— Ale mam...

— Nie ma żadnego „ale mam”. Idziesz spać o zwykłej porze.

— Nie mogę zasnąć na tym obleśnym materacu.

— Cicho, Danny. Helen może cię usłyszeć. Ci ludzie byli bardzo uprzejmi, że pozwolili nam zatrzymać się u siebie, dopóki tata nie posprząta tego bałaganu. Nic na to nie poradzę, że mieli tylko stary dmuchany materac. Musisz na nim spać, dopóki nie znajdziemy czegoś lepszego.

Pojawiły się zakłócenia, szумы i mamrotanie, gdy obiekt zmienił położenie. Nie można było zrozumieć ani słowa z tego fragmentu rozmowy.

- Dokąd tata pojechali
- Do miasta, które nazywa się Monterey, w Kalifornii.

Tym razem głos Beth brzmiał głośno i wyraźnie. Nie można było pomylić tej nazwy. De Mart nacisnął klawisz pauzy.

- To pierwsze odniesienie do Kalifornii. — Ponownie włączył odtwarzanie.
- Po co tata tam pojechał?
- Pojechał, żeby spotkać się z kimś, kto pomoże mu w odzyskaniu pracy.
- Z kim?

Crozer nieomal położył się na białce, by dokładniej słyszeć następne zdania.

314

- Nie powiedział mi.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Tata nigdy nie mówił mi wszystkiego o swojej pracy. Ty pewnie też masz wiele tajemnic dotyczących szkoły, o których nie raczyłeś mnie poinformować.
- Nieprawda.

Taśma została zatrzymana.

- Teraz będzie długi fragment przekomarzań się z chłopakiem na temat szkoły i tym podobnych rzeczy, nie ma sensu tego słuchać.
- De Mart przewinął taśmę do przodu, odsłuchał kawałek, potem cofnął do właściwego miejsca.
- Ta pani ma coś, czego szuka tata.
- A czym jest to coś?
- Naprawdę nie wiem. Może jakieś interesujące dokumenty. Wiesz, co on lubi czytać. Nudne akta pacjentów i tym podobne rzeczy.

Crozer zbladł. Zdjął okulary w drucianej oprawie i zaczął masować nasadę nosa.

- Pojechał aż do Kalifornii, żeby oglądać akta pacjentów?

- w głosie dziecka dało się wyczuć niedowierzanie.
- Posłuchaj mnie, Danny. Twój tata pracuje ciężko, żeby odzyskać pracę. Ktoś zrobił coś złego i wyrzucono go ze szpitala.
- Mamo, to zupełnie jak na filmie. — Głos Danny'ego był teraz pełen sarkazmu.

Długa przerwa.

- Muszę wyjść na dwór.
- Nie możesz. Wiesz o tym doskonale, więc przestań mnie męczyć.
- Nudzi mi się.
- Mnie też, ale staram się zrobić coś pożytecznego. Przyniosę ci książkę, poczytasz sobie.
- Nie chcę czytać tej wstrętnej książki. Chcę wyjść na dwór i pograć w piłkę.
- Ale nie możesz, więc przestań marudzić. Przerwa.
- Co takiego ciekawego jest w tych aktach? ■— Nie wiem, Danny. Tata mi nie powiedział.
- Dlaczego? Przecież mówi ci o wszystkim innym, prawda!

315

- O większości spraw tak.
- Więc dlaczego nie powiedział ci o aktach?

Kolejna długa przerwa.

- Danny, tata naprawdę boi się, że ludzie, którzy sfałszowali wyniki jego testów w szpitalu, nie pozwolą mu przywieźć tutaj tych dokumentów.

Szum, piski. Palce Crozera powędrowały w stronę odtwarzacza, ale ostrzegawcze spojrzenie de Marta powstrzymało je.

- Myślisz, że mogą go skrzywdzić?

Ruch, szelesty w tle.

- Danny, musisz potraktować tę sprawę serio. Naprawdę serio. Cokolwiek tam jest, twój tata uznał te papiery za bardzo ważne. Bardzo, bardzo ważne.

Długa przerwa. Sporo szumów i szelestów. Dźwięk otwieranych i zamykanych na powrót drzwi. Mruczenie. Odgłosy chodzenia. Chlipanie.

- Kiedy tata wróci?
- Chodź tutaj, przytul się do mnie.

Szelesty.

— Nie chciałam cię przestraszyć. To nie jest zabawa, Danny, to dzieje się naprawdę. Musimy zostać tutaj, dopóki tata nie wróci. Potem wszystko znów wróci do normy i będziemy mogli żyć jak kiedyś.

Głośniejsze chlupanie.

- Ale kiedy tata wróci do domu? Powiedziałaś, że jutro. Ale kiedy jutro?
- Przypuszczam, że tata wejdzie przez te drzwi jutro o osiemnastej.
- Będę siedział przy oknie i czekał na niego.

Szpula z taśmą zatrzymała się. Obaj mężczyźni patrzyli na niewielkie urządzone, jakby było czymś żywym, a oni spodziewali się, że za moment samo zacznie po raz kolejny odtwarzać tę rozmowę. W końcu Crozer się odezwał.

- Kto jeszcze o tym wie?
- Tylko my dwaj. Grupa nagrywająca te rozmowy przekazywała je natychmiast bezpośrednio do mnie.

Zapanowała nieznośna cisza. Crozer odwrócił fotel w stronę okna, tak że zza wysokiego oparcia widać było jedynie kilka siwych wło-

316

sów. De Mart zwiesił nisko głowę, jakby miał zamiar sprawdzać jakość splotu wykładzin.

— Zawsze obawiałem się, że ten dzień w końcu nadejdzie. — Kiedy Crozer ponownie się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć zwątpienie. Fotel obrócił się o kilkanaście stopni, głowa także. — Zastanawiałem się jedynie, kiedy to się stanie i kto będzie tym człowiekiem.

— Dyrektor machnął ręką w geście rezygnacji. Pogrzeżał się w świecie własnych koszmarów. — Miałem nadzieję, że nie nastąpi to nigdy. Że wszystkie te zagrożenia znikną albo zostaną zgromadzone gdzieś w mrocznym pomieszczeniu na końcu świata i nikt nigdy nie otworzy do nich drzwi. — Fotel w trakcie tego przemówienia zatoczył pełne koło.

— Nadal możemy ich powstrzymać — powiedział gniewnie de Mart. Debiut rynkowy cyclintu miał się rozpocząć już za dwadzieścia cztery godziny. Ale wszystkie przygotowania, każdy niebezpieczny ruch, na jaki się zdecydowali, mógł zdać się psu na budę, jeśli Jack Hunt dopnie swego. — Mamy prawdziwą armię w Chicago Lawn. W chwili gdy się tam pojawi, odbierzemy mu akta i naprawdę będzie skończony.

Crozer nie odpowiedział od razu. Kiwał się w fotelu w tył i w przód z pochyloną głową opartą na zaciśniętej pięści.

— Wyślij wszystkich ludzi, jakich masz, na lotnisko. — Odzyskał już kontrolę nad nerwami. Uniósł głowę, głos miał pewny i władczy.

— Znajdźcie samochód. Kiedy się przy nim pokaże, przejmijcie akta i jego samego. Dostarczcie mi to wszystko tutaj. — Wskazał palcem na podłogę. — Ale chcę go mieć żywego. — Okręcił fotel, wstał i spojrzał w dół przez panoramiczne okno. — Chcę z nim porozmawiać, zanim go zabiję.

ROZDZIAŁ 3

Czwartek, 7 października, godzina 15.10, Pacific Grove, Kalifornia

Za drzwiami nie kryła się żadna bestia, żaden ryczący Minotaur nie rzucił się, by rozdrzeć go na strzępy. Wręcz przeciwnie, wszystko w tym pomieszczeniu było aż do bólu normalne. Jack spodziewał się istnego piekła, mrocznych szaf pełnych mordy i gruzu, a ujrzał najwykleszy w świecie pokoik zastawiony stertami sfatygowanych, ponaddzieranych tu i ówdzie kartonów.

Pomieszczenie miało nie więcej niż osiemnaście stóp kwadratowych i jedno poznaczone naciekami okno wychodzące na miejsce do garażowania samochodu. I tak niewiele przez nie byłoby widać, wiekowy pontiac Rity blokował całe pole widzenia. Grube zasłony w pasy były rozsunięte do połowy, jeszcze bardziej redukując ilość światła. Farba na ścianach zdążyła już wypłowieć, ciężko było określić jej kolor. Po głębszym zastanowieniu Jack uznał, że kiedyś była jasnoniebieska, teraz jednak pokrywał ją kurz i gęste pajęczyny. Ze środka sufitu zwisała pojedyncza żarówka, okryta prostym białym plastikowym kloszem, ona także została szczelnie opleciona sieciami utkanyymi przez pająki. W pokoju nie stał ani jeden mebel, a krawędzie leżącego na podłodze dywanu były w wielu miejscach mocno postrzępione. Pachniało tam stężonym kurzem i stęchlizną.

Kartony zajmowały całą podłogę, od ściany do ściany, mniejsze ustawiono na większych. Było ich tak wiele, że nawet drzwi nie dało się otworzyć na całą szerokość i Jack musiał przesunąć jeden z naj-

318

większych pakunków, by wcisnąć się do środka. Pudła z dokumentami miały przeróżne kształty i wielkości, różny był także ich stan, niektóre wręcz się rozsypywały, większość miała porozrywane rogi, część nie była nawet zamknięta, przez co zawartość zaczynała już pleśnieć. Wyglądało na to, że zostały zapakowane w wielkim pośpiechu, bez ładu i składu.

Policzył kartony pomimo panującego w pokoju półmroku. Było ich dwadzieścia, ale łączna objętość przekraczała znacznie jego szacunki. Z pewnością upchnąłby je wszystkie na pace starego forda, ale jego chevy, czekający przy lotnisku, nie był w stanie ich pomieścić. Sprawdził wagę pierwszego pudła z brzegu, podnosząc je o parę cali. Jakieś sto dwadzieścia funtów, ocenił. Sięgnął po drugie, nieco bardziej rozwalone. Na pewno nie było wiele lżejsze, a na dodatek rozdarło się przy pierwszej próbie ruszenia. Zjrzał przez szparę i dostrzegł papiery upchnięte w środku. Stosy papierów. Dlaczego Carlotta

przewiozła je tak daleko? Dlaczego chciała je ukryć? Dlaczego poświęciła dla nich życie? I jak, do cholery, mam je dostarczyć do Chicago?

Po raz pierwszy spojrzął na zegarek. Trzecia piętnaście czasu lokalnego. Jack obiecał żonie, że zadzwoni do niej natychmiast, kiedy tylko zorientuje się, z czym ma do czynienia. Przyjrzał się zbiorom zgromadzonym w tym pokoju, raz jeszcze szacując ich objętość. Cholera, zapoznanie się z nimi potrwa wiele godzin.

Zdecydował się na przejrzanie zawartości najbliższego pudła. Był to gruby brązowy karton, dwadzieścia na piętnaście cali. Wszystkie rogi i zamknięcia zabezpieczono czerwoną taśmą klejącą. Zapewne tuż przed wywozem z Sacramento, ocenił Jack. Powoli przesunął pudło w stronę wyjścia, odwracając je z boku na bok tak długo, aż znalazł się na korytarzu. Tylko tutaj mógł pracować, wewnątrz pokoju było zbyt ciasno i ciemno.

Na jednej ze ścianek kartonu zauważył napis zrobiony grubym zielonym flamastrem. CONDY: 1947—1953. Jack wątpił, by w roku pięćdziesiątym trzecim istniały już fluorescencyjne markery. Czyżby inna praca Carlotty? Zapewne. Wierzch kartonu zaklejony był tą samą czerwoną taśmą, Jack złamał paznokiec, próbując ją oderwać.

Rita Callar przyszła mu jednak z odsieczą.

— Znalazł pan coś ciekawego? — Zapytała, grzebiąc w szufladzie w poszukiwaniu noża.

319

Jack uśmiechnął się ponuro.

— Jeszcze nie. Nie zdążyłem nawet otworzyć pierwszego pudła.

Staruszka pochyliła się nad nim.

— Powinien się pan pośpieszyć, tam czeka jeszcze dziewiętnaście innych. — Podała mu niewielki nożyk. — Ja w tym czasie zrobię panu kanapki.

Przesunął ostrzem po taśmie, nie za mocno, aby nie uszkodzić czegoś, co było pod spodem. Skrzydełka otworzyły się bez problemów, odsłaniając warstwę kurzu i stos papierów. Zauważył wśród nich dokumentację, część kartek była spięta w grube pliki solidnymi spinaczami, inne po prostu owinięto gumkami. Jack podniósł ostrożnie pierwszy z nich, gruby może na cal. Strony były zapisane maszynowo, krawędzie papieru pożółkły. Usiadł obok kartonu i porozkładał kartki na podłodze jedną obok drugiej. Wierzchem dłoni sprawdził, czy w szparze pod drzwiami nie ma przeciągu. Ale ruch powietrza był tak nikły, że nie powinien przeszkadzać. Wstając, Jack omal nie strącił jednego z portretów rodzinnych wiszących na ścianie.

Naliczył siedemnaście stron, podniósł pierwszą i zaczął czytać. W prawym górnym rogu kartki zauważył nazwę: Condy Institute, stan Teksas, dalej widniał adres w Austin. Data: 170349. Dokument był kopią odbitą przez kalkę, zawierał wiadomość napisaną przez doktora Schneidera, krótką i prostą:

„Potwierdzam, że w dniu dzisiejszym otrzymaliśmy fundusze”. Kropla potu spadła na powierzchnię papieru i została wchłonięta natychmiast, jakby trafiła na bibułę. Jack otarł czoło.

Sprawdził kolejny dokument, znów kopia korespondencji doktora Schneidera, tym razem datowana na drugi października czterdziestego dziewiątego roku.

Drogi doktorze Crozer,

Program został szczegółowo omówiony na Radzie Gubernatorów, uzyskaliśmy ich jednogłówną zgodę. Uważam, że musimy osiągnąć szybkie postępy, ponieważ jest tylko kwestią czasu, kiedy zostaniemy zmuszeni do zmiany profilu.

O co chodzi w tych kwitach? Jack przerzucił kolejne kartki. Trafił na następne listy od Schneidera do Crozera. Wszystkie z lat

320

1949—1950. Ten sam styl: „postępy”, „utrzymanie aktualnej strategii”.

Usiadł w miejscu, w którym bez problemu mógł rozprostować nogi. Z końca korytarza dobiegały odgłosy świadczące, że właścicielka domu krząta się po kuchni, mamrocząc coś pod nosem. Moskitiera w drzwiach wyjściowych trzasnęła głośno, kiedy kobiecina wyszła do ogrodu. Ra-ta-ta-ta... Spryskiwacz znów zaczął wybijać rytm i Jack nagle zapragnął znaleźć się na zewnątrz, cieszyć się słońcem, tęczą odbijającą się w zawieszynie wodnej i zapachem kwiatów. Niestety wciąż tkwił pomiędzy zbutwiałymi starymi papierzyskami. Wrócił więc do czytania.

Kolejna kopia dokumentu nosiła datę dziewiętnastego lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

Drogi doktorze Crozer,

Właśnie rozmawiałem z przełożonym podobnego ośrodka w Kolorado. To bardzo miły dżentelmen, który odpowiada jedynie, kiedy nazywa się go, zgodnie z wymogami zakonu, bratem Sebastianem. Okazał się bardzo pomocny, wręcz entuzjastycznie nastawiony do naszej propozycji. Poinformował mnie, że ma pod sobą dwustu dwudziestu czterech podopiecznych. Czy to wystarczy? Czekam niecierpliwie na odpowiedź.

Doktor Rand Schneider.

— Kawy? — Zza węgła wychynęła twarz Rity Callard.

— Tak, byłbym wdzięczny.

Jack przeczytał raz jeszcze ten sam list i odłożył go na miejsce. Sięgnął do kartonu i wyjął kolejne papiery. Tym razem trzymał w ręce spięte ze sobą wielkie koperty z wytrzymałego papieru, w których znajdowały

się dokumenty osobowe, na każdej z nich wypisane było nazwisko. Jack, pomiędzy kolejnymi kęsami kanapki z tuńczykiem i łykami mocnej kawy, naliczył ich osiemdziesiąt dziewięć. Wszystkie nazwiska zostały wypisane identycznym charakterem pisma, ale numery dopisano już wieloma tuszami, podobnie jak uwagi pod spodem.

Emilio W; 286, Anita R; 124, Samuel E; 143, Ricardo W; 181, Vladimir Z; 208, Marella R; 214, Giuseppe N; 229.'

321

Chrześcijańskie imiona, żadnych nazwisk, zauważył Jack. Na razie nie rozumiał znaczenia numerów. Nie dostrzegał też żadnego wzorca, według którego były ułożone.

Otworzył jedną z kopert, wybraną na chybił trafił, stary klej puścił od razu. Wewnątrz znajdowało się kilka pożółkłych kartek, spiętych razem pordzewiałym ze starości spinaczem. Wszystkie dotyczyły jednej osoby — Konstancji B; 132. Data urodzenia 021036. Kraj pochodzenia: Meksyk. Tyle tylko mógł się dowiedzieć o osobie, której dotyczyły te dane, ale zaczął się zastanawiać, gdzie mogła przebywać w tej chwili. Według jego wyliczeń powinna jeszcze żyć.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Wreszcie pojawiły się zapiski dotyczące spraw medycznych, dlatego postanowił wyjść z nimi na zewnątrz, gdzie było o wiele jaśniej.

Rita Callard siedziała przy stole w kuchni, paląc i mamrocząc pod nosem. Gdy przechodził obok niej, podniosła głowę.

— Znalazł pan coś ciekawego?

Jedyną odpowiedzią było lekceważące machnięcie ręki. Doktor był całkowicie pochłonięty lekturą.

Do osiemnastej Jack pootwierał wszystkie kartony i ustawił je, jeden przy drugim, na całej długości korytarza. Fotografie rodzinne zniknęły ze ścian, pozostały po nich jedynie wyraźne odbarwienia na farbie. Wszystkie pudła zostały tak ustawione, żeby widział zdobiące je napisy. Ale nie na wszystkich znajdowały się oznaczenia zrobione zielonym markerem, dlatego musiał je uzupełnić pożyczonym od gospodyni pisakiem, którym wybazgrał własne opisy. Wybrane dokumenty leżały na podłodze. Chodził wokół nich, sprawdzał, a potem jeszcze raz oglądał.

Zaczynał właśnie ogarniać ich znaczenie.

Rita Callard przeszkodziła mu pół godziny później, najwyraźniej zaciekawiona aktywnością, jaką przejawiał jej gość.

— Udało się w końcu?

Jack odruchowo skinął głową, jego umysł nie zarejestrował nawet pytania.

Krążył po wąskim korytarzyku, zmuszając Ritę do cofnięcia się za każdym razem, gdy ją mijał.

— No znalazł pan coś czy nie? — Staruszka nie odpuszczała, zwłaszcza że zauważyła spustoszenie na ścianach. Potem odnalazła wzrokiem stos ramek leżący przy drzwiach wejściowych.

Jack zatrzymał się i odwrócił. Jego T-shirt lepił się od potu i brudu, a czarne włosy sterczały na wszystkie strony. Od dawna golony niedokładnie zarost był coraz lepiej widoczny na jego twarzy, i to nawet w tym półmroku.

— Jestem już blisko — oznajmił. — Jestem już bardzo blisko... — Sięgnął do kolejnego kartonu i wyjął plik korespondencji. — Wszystko tu jest, muszę to tylko poukładać w odpowiedniej kolejności.

Rita wzruszyła ramionami. Jej gość coraz bardziej przypominał zbiegłego więźnia, zachowywał się też coraz dziwniej.

— Proszę odpocząć chwilę, doktorze. Siedzi pan w tych papierach już tyle godzin. Zrobię panu coś do jedzenia.

Jack nie zwracał na jej słowa uwagi.

— Tak, tak — mruknął.

Kolejne kopie zwróciły jego uwagę, tym razem papier był lamowany złotem, a adres w narożniku był szwajcarski, z Zurychu.

Drogi doktorze Schneider,

Dodatkowe fundusze już wpłynęły na nasze konto. Jeśli zajdzie taka potrzeba, dokonam przelewu do Nowego Jorku.

Wydaje mi się, że rozsądnie będzie podwyższyć honoraria teraz, kiedy znaleźliśmy się tak blisko celu.

Zdajemy sobie sprawę z trudności, jakie opisał Pan na ostatnim spotkaniu, ale firma ma nadzieję, że nie będą one źródłem dalszych problemów. Ufamy, iż potrafi Pan sobie poradzić ze wszystkim na szczeblu lokalnym. Zważywszy na odległość, jaka nas dzieli, nie jesteśmy w stanie dokonać precyzyjniejszej oceny.

Mam zamiar pojawić się w Nowym Jorku na początku lutego. Sądzę, że powinniśmy się spotkać osobiście i omówić pozostałe problemy.

U nas jest już bardzo zimno. Od pierwszego śnieg padał nieustannie i większość dróg jest nieprzejezdna. Od dziesięciu dni nie wytykam nosa poza moją ulicę, chadzam tylko do sklepu po podstawowe zakupy. Budowa kompleksu w Winterthur ma przestoje i jak sądzą, zostanie zakończona dopiero dwa miesiące po planowanym terminie.

Szczęściarz z Pana, nic, tylko zazdrościć pobytu w ciepłym klimacie.

Załączam serdeczne pozdrowienia Helmut Crozer.

Jedli w kuchni wielkie porcje pieczonych żeberek z sałatką co-leslaw, popijali wodą z lodem. Rita przez cały czas opowiadała o swoim zmarłym mężu, Richardzie. O pracy, której się podejmował, o nadgodzinach branych bez opamiętania, o sygnałach, które zlekceważył.

— I nagle bum! Obudził się w środku nocy, krzycząc, że go głowa boli. Usiadł na łóżku, mamrotał coś, kiwał się na boki. A minutę później po prostu jęknął i odszedł. Zadzwoiłam po naszego doktora, ale przyjechał za późno. Dowiedziałam się później, że to był wylew krwi do mózgu. A potem także o tym, że Rick nie chodził na badania kontrolne i nie zażywał przepisanych mu leków na wysokie ciśnienie.

Zapadła długa cisza, podczas której oboje siedzieli ze wzrokiem wbitym we własne talerze, starając się ograniczyć ból, jaki te słowa przywołały. Potem Rita włączyła pilotem niewielki telewizor upchnięty w kącie i mieli na czym zawiesić wzrok, dopóki nie skończyli jeść.

— A niech mnie — westchnęła nagle staruszka. — Przecież ta reklama leci na okrągło od kilku dni.

Jack odwrócił się, aby spojrzeć na ekran, pamiętając jednak, aby trzymać uświnione paluchy z dala od koszulki Spencera. Dwóch zatopionych w rozmowie mężczyzn wędrowało szosą szpalerem szumiących drzew. Jeden z nich był o wiele starszy od drugiego, włosy miał siwe, kończyny powykręcane, na oczach dwuogniskowe okulary. Uśmiechał się. Młodszy przewyższał go o głowę, ale był i szczuplejszy, i miał gęste czarne włosy, a jego twarz wyrażała zdecydowanie. Oświetlał ją blask zachodzącego słońca, które przebijało się przez listowie, znacząc skórę ruchomymi cieniami. W tle słychać było ciche solo na skrzypcach. Obaj zatrzymali się przy prostej bramie, oparli się o nią i spoglądali gdzieś w przestrzeń. Następne ujęcie pokazało równinę porośniętą bujną trawą, rozciągającą się hen, aż po horyzont. A po nim nastąpiło zbliżenie na obie twarze.

— Sześćdziesięciosześcioletni Ben Travers we wrześniu miał atak serca. — Głos lektora był głęboki, ale zarazem delikatny. — Dzięki Bogu zdołał go przeżyć i dzisiaj rokowanie jest dobre. Ale Ben wciąż

324

się niepokoi. Skoro miał jeden atak, czy drugi nie czai się tuż za rogiem?

Mężczyźni spojrzeli na siebie. Zdawać się mogło, że są zadowoleni, szczęśliwi wręcz. Ruszyli w drogę powrotną, krocząc równo i zdecydowanie.

— Dzisiaj Ben już nie musi się bać, jego lekarz przepisuje mu cyc-lint, lek, który zapobiega chorobom serca.

Przebitka na nogi obu mężczyzn, widać, że starszy idzie bardziej dziarsko niż jego kompan. Wyprzedza go już o jard, o dwa.

— Cyclint przywrócił Benowi Traversowi siły i wiarę w przyszłość.

Następne ujęcie pokazuje starszego mężczyznę z rodziną, jest tutaj jego żona, dorosłe już dzieci i gromadka wnucząt, wszyscy stoją w zwartej grupie. Nagłemu pojawieniu się promieni słońca towarzyszy gwałtowne crescendo skrzypiec.

— Zapobiegający chorobom serca cyclint jest już dostępny na receptę. Cyclint jest produktem szwajcarskiej firmy Zemdton Pharma-ceuticals, światowego lidera w produkcji leków nasercowych.

Jack poczuł narastającą wściekłość. Światowy lider wśród firm farmaceutycznych? Chyba raczej światowa szajka oszustów i złodziei. Międzynarodowi specjaliści od rujnowania ludziom życia i karier. Globalne zbiry.

— Był pan kiedyś w Szwajcarii? — zapytał Rita niby od niechcienia.

Jack powrócił do rzeczywistości.

— Nie.

— Carlotta pojechała tam w zeszłym roku.

Spojrzał na staruszkę.

— POCO?

— Tego nie wiem. Ale to też dziwna sprawa. Dla niej nawet Nowy Jork wydawał się tak niedostępnym miejscem jak sam Księżyc. Pojechała do tej Szwajcarii tylko na trzy dni. — Wstała powoli, ale stawy w nogach i tak chrupnęły jej z wysiłku, potem przeszła, opierając się ręką o półkę pełną szklanek i kubków. W końcu znalazła właściwą kartkę pocztową. — Zurych, to tam pojechała. — Wytarła pocztówkę z kurzu i podała Jackowi.

Po jednej stronie znajdowało się zdjęcie niewielkich łódek płynących po szerokiej rzece, w tle widać było wysokie spiczaste wieże

325

kościół. Zwykła widokówka. Po drugiej stronie mógł przeczytać tyl-ko trzy zdania: „Przybyłam. Zobaczyłam. I znalazłam to, czego szukałam”.

— Niech mnie licho, jeśli wiem, cóż to znaczy.

Jack spoglądał na widokówkę, dłonie drżały mu z ekscytacji.

— Rito — powiedział w końcu — w pokoju, w którym trzyma pani stare książki, czasopisma i gazety, zauważyłem maszynę do pisania. Czy ona działa?

— Oczywiście. Sama jej używam od czasu do czasu. Czy potrzebuje pan czegoś jeszcze?

— Tak, trzech albo czterech kartek papieru. — Raz jeszcze spojrzął na pocztówkę. — Ale najpierw muszę gdzieś zadzwonić. — Wstał i szybko otarł dłonie. — A później pani i ja będziemy mieli mnóstwo roboty.

ROZDZIAŁ 3

Czwartek, 7 października, godzina 20.10, Chicago

— Mamy go!

Hend de Mart napawał się swoim sukcesem, stojąc na samym środku apartamentu w penthousie chicagowskiego hotelu Sheraton. Nie miał już smutnej, wylężnionej twarzy, na powrót stał się bezwzględny katem.

— Znaleźliśmy samochód Hunta na lotnisku. Zostawiłem przy nim czterech ludzi, czekają na dalsze dyspozycje. Jeśli pokaże się w pobliżu, kazałem im zdjąć go natychmiast.

Gert Crozer wysłuchał jego raportu, siedząc za biurkiem w ulubionym głębokim fotelu. Nie okazywał jednak radości. Znów się przebrał, tym razem w dwurzędowy grafitowy garnitur, białą koszulę i korporacyjny krawat. Przymknął oczy, na czole pojawiły się głębokie zmarszczki, gdy zaczął się koncentrować.

— Namierzyliśmy także pewną wypożyczalnię samochodów w Monterey. Nasz rezydent przekazał mi właśnie informację, że Hunt zadzwonił do niej, mówiąc, iż odstawi ciężarówkę na parking przy lotnisku w Monterey jutro przed południem. Mówiłem, że to nic trudnego.

— Ciężarówkę? — Crozer nagle wykazał zainteresowanie.

— Ciężarówkę albo vana, w każdym razie większy samochód. Coś, czym będzie mógł przewieźć kartony, bo o taki wóz prosił.

Crozer wstał i wciąż zatopiony w myślach zaczął się przechadzać wolnym krokiem. Zatrzymał się na moment, by obejrzeć obraz wiszący na ścianie, potem zaczął się bezmyślnie bawić podstawką pod piwo

327

leżącą na blacie barku. Wreszcie wrócił na głęboki fotel i okręcił go w stronę okna. Nie odezwał się w tym czasie nawet jednym słowem.

Pięć pięter niżej w hotelu aż wrzało. Podczas przygotowań do konferencji międzynarodowej zakładano, iż przybędzie na nią maksimum dwa i pół tysiąca gości, tymczasem sądząc po potwierdzeniach wciąż napływających ze świata, liczba ta była bliska rzeczywistości. Wielu sławnych lekarzy i dziennikarzy zajmujących się medycyną oraz wydawców pism branżowych i korespondentów czekało już w swoich apartamentach albo skromniejszych pokojach, osuszając skutecznie zawartość minibarów. W takim momencie nikt nie zamierzał skąpić sobie używek.

Sala główna na drugim poziomie została przystrojona kwiatami, a wszystkie kolumny ozdobiono szarfami w kolorach korporacji, w pomieszczeniu dominowała więc czerwień i zieleń. Wstążki o tych samych barwach zdobiły bukiety, które zajmowały centralne punkty na każdym ze stołów. W przedniej części sali montowano właśnie trzy ogromne ekrany, a technicy telewizyjni i akustycy rozkładali wokół swój sprzęt, sprawdzając kąty padania światła i natężenie dźwięku. Jeden kabel łączył podium ze strategicznie rozmieszczonymi mikrofonami. To z nich miały płynąć starannie dobrane i przemyślane pytania kierowane do doktora Harry'ego Chana. Zadawać je mieli zarówno delegaci znajdujący się na sali, jak i ludzie znajdujący się na innych kontynentach, co było możliwe dzięki połączeniom satelitarnym. Obecny profesor oddziału kardiologicznego Cartera miał na nie odpowiadać z wielką swobodą i pewnością siebie. Poznał już treść pytań i bez wątpienia znał wszystkie odpowiedzi. W tej chwili czekał niecierpliwie na rozpoczęcie najważniejszego punktu wieczoru, na specjalnie wynajętej sali, w towarzystwie zaproszonych przez siebie osób i VIP-ów. Jego żona, maniaczka odnawiania pomieszczeń i wymiany mebli, została poproszona o pozostanie w domu i przestudiowanie katalogów najmodniejszych tapet. Nic nie mogło zepsuć Chanowi tej imprezy.

W długich korytarzach przylegających do sali głównej dziesiątki pracowników Zemdonu i ludzi z obsługi hotelu dogadywało ostatnie szczegóły. Listy aperitifów, menu, karty win, gatunki brandy i szam-

328

pana do podania po posiłku. Ilu kelnerów będzie potrzebnych do obsłużenia wszystkich gości? Jak mają zostać ubrani? Czy będą to stali pracownicy hotelu czy personel najemny? Czy zostali odpowiednio przeszkoleni? Zgranie w czasie było najważniejszym czynnikiem pozwalającym na połączenie w jedną imprez organizowanych w kraju i zagranicą.

W powietrzu dawało się wyczuć narastające napięcie, zupełnie jak przed zbliżającą się burzą.

Nie wszystko bowiem szło zgodnie z planem. Historia walki Jacka Hunta z oskarżeniami wysuniętymi przez Szpital imienia Cartera wciąż nie schodziła z czołówek lokalnych gazet. Zwłaszcza że Caleb Rossi, technik biochemik, który dokonywał analizy próbek, nadal nie pojawił się i nie złożył wyjaśnień w tej sprawie. Ludzie pracujący w szpitalu zaczęli już wyrabiać sobie opinię o tym zdarzeniu, plotki krążyły po wszystkich oddziałach. Najbardziej popularna z nich głosiła, że profesor Hunt był niewinny, że stał się ofiarą prowokacji ze strony zazdrośników, którzy nie mogli mu darować tego, iż zostali odsunięci w cień, podczas gdy on brylował. Inna twierdziła, że Irlandczyk jest winien jak cholera, a Rossi był jego dostawcą i teraz ukrywa się, licząc, że policja dobierze się najpierw do grubej ryby. Nat Parker, jedyny starszy asystent, któremu Jack ufał, napisał list otwarty do dyrekcji szpitala, żądając w nim dochodzenia, w którego toku sprawdzono by wszystkie okoliczności towarzyszące zwolnieniu z pracy profesora. Jego pełną treść przedrukowano w popołudniowym wydaniu „Chicago Tribune”.

Zapanowało gorączkowe polowanie przedstawicieli mediów na wywiad z Jackiem Huntem czy choćby z jego żoną albo synem. Jednakże rodzina Huntów jakby zapadła się pod ziemię, a z Herba Wein-berga nie sposób było czegokolwiek wydusić.

— Mój klient wkrótce wyda oświadczenie — ogłaszał niezmiennie tłumowi dziennikarzy i reporterów okupujących wejście do jego biura w Wilmette. Pławił się w blasku sławy, dając wszystkim do zrozumienia, że przygotowuje się do prowadzenia wielkiej sprawy. Wywiadów udzielał na chodniku przed biurem na tle wielkiego szyldu „Weinberg i wspólnicy”. Pokusił się nawet o stosowanie ścisłej diety, aby poprawić swój wizerunek w mediach. Wyczytał o niej w jednym z magazynów prawniczych, ponoć stosowano ją w armii Izraela,

329

a składała się głównie z grejpfrutów i gotowanego ryżu. I działała, stracił już około pięciu funtów. Ale miał też przez nią sporo kłopotów podczas konferencji prasowych, głośne burczenie w brzuchu wielokrotnie zakłócało ich przebieg i wzbudzało konsternację. — Doktor Hunt stanie się w dniu jutrzejszym właścicielem jednej z piękniejszych posiadłości w tej dzielnicy. Namawiam go do tego, by pojawił się tutaj i odebrał klucze do niej zgodnie z naszą wcześniejszą umową. Będzie wówczas miał okazję odpowiedzieć na wszelkie pytania i wyjaśnić, dlaczego musiał się ukrywać.

Herb liczył, że jego słowa pojawią się we wszystkich ważniejszych lokalnych publikatorach tego samego wieczora. Spodziewał się także, że następnego dnia jego kancelaria będzie wręcz oblegana przez media. Jeszcze kilka takich wystąpień i rzeczywiście dorobię się wspólników, myślał.

Crozer wyglądał przez panoramiczne okno wychodzące na rzekę. Na zewnątrz zaczynał zapadać zmierzch, na wodzie odbijały się setki świateł z pobliskich drapaczy chmur. Łodzie wycieczkowe podskakiwały na wzburzonych falach. Dokładnie po drugiej stronie wodnej wstęgi, na East Wacker, znajdował się hotel Hyatt, drugi z hoteli posiadających ogromne centrum kongresowe. To właśnie z niego czternastego czerwca wyruszyła płatna zabójczyni, by wykonać robotę, która dzisiaj, sto piętnaście dni później, wciąż nie została skończona. Crozer był pewien, że jest w stanie rozpoznać okno pokoju na dwudziestym ósmym piętrze, w którym wynajęta zabójczyni przygotowywała się do zamachu.

— Usłyszałem wiele słów krytyki od Stana Dankera. — De Mart zasiadł na krześle z poręczami tuż przy wejściu do penthouse'u.

— To znaczy?

— Chciał, żebym wrócił do Nowego Jorku. Powiedział, że moje zadanie tutaj zostało wykonane bez zarzutu, więc czas, żebym wracał do domu. Wydaje mi się, że to wybieg z jego strony. Zadawał zbyt wiele pytań.

Crozer nadal przyglądał się zapadającej nocy. Jego głowa kołysała się powoli z boku na bok, ręce miał założone za plecy.

— Zostaniesz tutaj, dopóki ja nie powiem, że robota jest skończona. Zadaniem pana Dankera jest doprowadzenie do pomyślnego startu

330

rynkowego cyclintu. Pozwólmy mu zatem skoncentrować się na tym, co mu najlepiej wychodzi. Ja mam o wiele poważniejsze i bardziej skomplikowane zadanie do wykonania.

De Mart wzruszył ramionami.

— Co mam mu zatem odpowiedzieć?

Odpowiedź nadeszła dopiero po chwili.

— Powiedz, że martwi mnie doktor Chan, jest zbyt spięty i krnąbrny. Powiedz mu też, że jesteś mi potrzebny do utrzymania go w ryzach po inauguracji.

Afrykaner uśmiechnął się.

— Dobrze. Chan rzeczywiście zachowuje się nerwowo. Narzeka, że nikt nie interesuje się nim i jego potrzebami w wystarczającym stopniu, że media nadal skupiają się na poprzednim profesorze. Wydaje mi się, że oczekiwał szacunku, ale jakoś nikt mu go nie okazał.

Crozer prychnął pogardliwie.

— Te pół miliona dolarów złożone w berneńskim banku jest miarą naszego szacunku. Zresztą taki śmieć jak on nie jest w stanie odróżnić szacunku od odrazy.

Znów zapadła dłuższa cisza, Crozer przechadzał się wzdłuż panoramicznego okna tam i z powrotem.

— Gdzie jest rodzina Hunta?

De Mart podniósł głowę.

— Nadal w bungalowie.

— Ilu ludzi ich pilnuje?

— Trzech. Uzbrojonych.

Crozer przeszedł do drugiego okna, teraz spoglądał na wybrzeże oświetlone wysokimi latarniami. W dole grupa joggerów usiłowała przezwyciężyć porywiste podmuchy wiatru znad jeziora Michigan.

— Użyj ich jako zakładników. Jeśli nie uda się zatrzymać Hunta, będziemy mieli jego żonę i dziecko.

De Mart skrzywił się lekko.

— Okay. — Robota stawała się coraz brudniejsza

Crozer odwrócił się.

— Staną się naszym elementem przetargowym. Jeśli Irlandczyk zechce dostać ich żywych, będzie musiał oddać nam wszystkie akta. Bez dowodów jego oskarżenia będą gołosłowne.

Dyrektor Zemdonu odwrócił głęboki fotel i usiadł na nim, kiwając się przez chwilę. Sprawdził paznokcie, poprawił krawat, potem nałożył okulary w drucianej oprawie.

— Wydaje mi się, że powinieneś lecieć do Kalifornii i tam odebrać akta doktorowi Huntowi. — Spojrzał ponad szklami. — Tak będzie bezpieczniej.

ROZDZIAŁ 3

Czwartek, 7 października, godzina 23.15, Monterey, Kalifornia

Hend de Mart wyszedł z hali przylotów niewielkiego lotniska w Monterey prosto w ciemność. Na czarnym niebie gwiazdy skrzyły się jak rozsypane po aksamicie maleńkie brylanty, a na ziemi czekało na niego trzech mężczyzn, równie mrocznych jak ich intencje. Jednym z nich był Silvio, niemal sobowtór Eddiego Murphy'ego, brakowało mu tylko słynnego głupkowatego uśmiechu, poza tym ta sama hebanowa skóra, krótkie kręcone włosy i grube usta. Co rusz pociągał nosem, twierdził, że ma bardzo czuły węch. Dwaj pozostali byli biali. Vick — wysoki, szczupły, o małych oczkach, sterzącym nosie i ufarbowanych na czerwono włosach, oraz Macky — krępy i pękaty, ostrzyżony na jeża, z płaską twarzą.

Każdemu z nich obiecano podwójną zapłatę, jeśli zdołają schwytać Jacka Hunta i odbiorą dokumenty znajdujące się w jego posiadaniu. De Mart zmienił tę propozycję natychmiast po wylądowaniu. Od tego momentu liczyło się tylko przejście papierów. Zdecydował bowiem, że sam po cichu usunie Irlandczyka. W czasie lotu doszedł bowiem do wniosku, że do tej pory zbyt wiele pozostawiono przypadkowi, nie doceniając przy tym sprytu kardiologa. Miał cholerne szczęście od samego początku, kiedy płatna zabójczyni z Denver zastrzeliła nie tego człowieka co trzeba, myląc go z Samem Lewinsem, ale od tamtej pory niemal wszystkie posunięcia, jakie wykonywali przeciw niemu, spaliły na panewce, uznał więc, że nie może sobie pozwolić na kolejną wpadkę. Zwłaszcza że od inauguracji cyclintu dzieliły ich zaledwie

godziny. I chociaż wciąż nie wiedział, dlaczego Jack Hunt stanowi tak wielkie zagrożenie dla jego szefów, czuł, że upragniona emerytura jest na wyciągnięcie ręki.

Zanim samolot wylądował, Hend raz jeszcze przesłuchał taśmę nagraną tego wieczora w Chicago Lawn.

- Znalazłem to, Beth. Wszystko. Mam te papiery przed sobą.
- Dzięki Bogu, tak się o ciebie martwiłam. Czy oczyścisz dzięki tym dokumentom swoje nazwisko?
- Tutaj już nie chodzi o oczyszczenie mojego nazwiska. Te papiery to prawdziwy dynamit. Jeśli zostaną opublikowane, wstrząsną całym światem medycznym.
- Pieprzę cały świat medyczny. Przejmuję się wyłącznie nami. Tobą, mną, Dannym i naszym nienarodzonym dzieckiem. W dupie mam całą resztę. Chcę odzyskać moje dawne życie.

— I tak też się stanie, Beth. Ale ja wreszcie zrozumiałem, o co chodziło przez te wszystkie miesiące, kiedy nas nęcano. Dlaczego Danny został pobity, dlaczego obserwowano nasze mieszkanie i dlaczego wywalono mnie z Cartera. Carlotta Drunker nie była ofiarą wypadku samochodowego, została zamordowana. I ja wiem, kto to zrobił.

Na moment zapadła cisza, a potem kobiety głos powiedział:

— Nie podoba mi się to, co słyszę.

De Mart postarał się o swoją ulubioną broń, pistolet kalibru 38. Sprawdził go, wypróbował przy pustej komorze, dopiero później załadował. A potem cała czwórka zniknęła w ciemności.

Godzina 23.37, Pacific Grove

— To ty, Herb? Jezu, przepraszam, że cię obudziłem, ale potrzebuję twojej pomocy.

Jack Hunt siedział przy stole w kuchni domu numer sto cztery przy Kenton Avenue ze słuchawką w dłoni. Naprzeciw niego usiadła Rita Callard, jej drobne ciało było poskręcane, jakby dopadła ją wielka boleść, w jednej ręce trzymała chusteczkę mokrą od łez. Oczy miała mocno zaczerwienione od płaczu i emocji. Teraz także ona знаła każdy szczegół kryjący się w kartonach rozłożonych na całą długość ko-

334

rytarza. Wiedziała też, że jej ukochana inteligentna siostrzenica padła ofiarą zabójców.

W tej chwili w Chicago dochodziła druga w nocy i Jack usłyszał po drugiej stronie linii zduszone przekleństwa. Nie zważał na nie jednak i opowiedział prawnikowi o wszystkim.

— Jest zatem gorzej, niż myślałeś. — Weinberg podsumował jego wypowiedź bardzo trzeźwym głosem.

— Tu nie chodzi o wyrzucenie mnie z Cartera — przerwał mu Jack. — Carlotta Danker i ten lekarz z Kolorado, oboje nie żyją. Zaatakowano moją rodzinę. Niewykluczone, że jest tego o wiele więcej.

— To co wymieniłeś dotychczas, w zupełności wystarczy, żeby zacząć, profesorze. — Herb, leżąc w ciepłym i wygodnym łóżku, kiedy na zewnątrz lało i panował ziąb, rozpaczliwie usiłował ogarnąć całość sytuacji.

— Przywiozę te dokumenty. One stanowią dowód mojej niewinności. Mam tutaj listy i podpisy na oryginalnym papierze z dokładnymi adresami. Daty, numery, nazwiska. Wyciągi z kont bankowych. — Zaczerpnął tchu. — Tego jest tak wiele, że wprost trudno w to uwierzyć. Co mam z tym zrobić, Herb? Powiedz mi, jesteś w końcu moim prawnikiem. Pomóż mi zakończyć tę sprawę.

Godzina 00.27, Pacific Grove

— Gotowa?

Rita Callard stała na jednym końcu korytarza z notesem i długopisem w dłoniach, płonąc z podniecenia. Wszystkie światła w domu były zapalone, korytarz dodatkowo oświetlili przenośnym halogenem. Otworzyli także drzwi wejściowe, żeby powietrze mogło swobodniej krążyć po wnętrzach.

— Oczywiście. Zaczynamy!

Jack precyzyjnie się pomiędzy kartonami a ścianą. Spływał potem, jego koszulka była tak brudna, że Spencer by jej nie poznał. Przesunął dłoń po włosach, ale nic to nie dało, pozlepiane dalej sterczały na wszystkie strony pomimo jego rozpaczliwych wysiłków. Oczy miał opuchnięte i podkrążone, nabiegłe krwią, zarost zaczynał go swędzieć. Był już u kresu sił, mimo to nie potrafił ustać w miejscu.

335

— Pudło numer jeden — zawołał.

Wskazał palcem, a Rita napisała coś w notesie, wyrwała z niego kartkę i położyła na wskazanym miejscu.

— Pudło numer dwa.

Następny karteluszek wylądował gdzie trzeba.

— Pudło numer trzy.

Minęło dwadzieścia minut.

— Ważne dokumenty! — krzyknął Jack.

Rita już miała w dłoniach taśmę klejącą.

— Zapakowałem je do sześciu mniejszych pudeł. — Jack trącił prawą stopą stos kartonów leżących na innych. — Zaklej je dokładnie.

Godzina 1.03

— Będzie mi cię brakowało. Nie pamiętam, kiedy w tym domu było tyle ruchu. Wszystko znów się uspokoi, gdy wyjedziesz.

Konspiratorzy zasiedli znowu przy stole w kuchni, popijając mocną kawę i pogryzając kawałki odgrzanej pizzy. Rita była tak zmęczona, że wydawało się, iż zaraz się przewróci.

Jack za to promieniał. Był już o wiele spokojniejszy, wręcz odprężony. Wyciągnął wygodnie nogi, rozprostował plecy na oparciu krzesła.

— Nie mogę powiedzieć, żeby tak wyglądało moje dotychczasowe życie. Kiedy to wszystko się skończy, powrót do zawodu lekarza także będzie oznaczał nudy.

Staruszka zmrużyła oczy.

— Ale to jeszcze nie koniec tej sprawy. Najpierw musisz dostarczyć te kartony do Chicago. — Pochyliła się mocno nad stołem, by oprzeć się przy wstawaniu. — Masz jeszcze przed sobą podróż samolotem.

Jack ziewnął, potem się przeciągnął.

— Z tym sobie poradzę, nikt przecież nie wie, gdzie teraz jestem.

ROZDZIAŁ 3

Piątek, 8 października, godzina 6.37

Hend de Mart siedział na miejscu obok kierowcy w czarnym volks-wagenie golfie z rozkładanym dachem w kolorze khaki, zaparkowanym opodal miejsca zwrotu wypożyczonych samochodów przy lotnisku Monterey. Główna hala terminalu pasażerskiego znajdowała się po drugiej stronie dwupasmowej szosy, za szerokim chodnikiem, na którym można było pożegnać odlatujących, i zatoczkami prowadzącymi na krótko- i długoterminowe parkingi. Miejsca odbioru wypożyczonych samochodów ulokowano na samym końcu terenu lotniska, tuż przy wylocie na Olmsted. Afrykaner ustawił swoich ludzi tak, by w ich polu widzenia znajdował się każdy zwracany wóz.

Tego ranka Hend miał na sobie jasne dżinsy, a masywny tors z trudem mieścił się w żółto-niebieskiej koszuli z krótkim rękawem. Jabłko Adama poruszało mu się nerwowo nad rozpiętym kołnierzykiem. Zaczesane do tyłu, jasne jak zboże i proste włosy kontrastowały wyraźnie z fryzurą siedzącego obok Silva. Murzyn włożył szare szorty, T-shirt i okulary przeciwsłoneczne o szkłach grubych jak denka butelek po coca-coli. Obaj mieli przy sobie pistolety, odbezpieczone i załadowane, de Mart rewolwer kalibru 38, Silvo swojego ulubionego glocka 17. Ta dziewiątka była w stanie wpakować pięć kolejnych naboju w krąg o średnicy dwóch i pół cala. I to z dwudziestu pięciu jardów. Sprawdził to już niejedną raz podczas akcji. Silvo bębnił hebanowymi palcami po desce rozdzielczej volkswagena, bacznie przyglądając się przechodzącym ludziom i przejeżdżającym samochodom.

337

Pozostali dwaj członkowie zespołu, wysoki Vick i baryłkowaty Macky, czekali w pobliżu wejścia. Równie dobrze przygotowani, przyczaili się w skradzionym jeepie na fałszywych tablicach z Nevady.

U stóp de Marta spoczywał ognioodporny worek z dwudziestoma funtami najczystszej kokainy. Plan był prosty. Gdy tylko rozpoznają cel, pakują go na skrzynię ciężarówki i wywożą na mało uczęszczany odcinek autostrady numer sześćdziesiąt osiem. Tam skonfiskują wszystkie dokumenty, jakie będzie posiadał, i nafaszerują doktorka taką ilością kokainy, jaką zdoła przyswoić. Potem de Mart rozpędzi wypożyczony samochód do maksymalnej prędkości i rozbije go o drzewo, oczywiście wyskakując z niego tuż przed kolizją. Chodziło o to, by upozorować samobójstwo lekarza, dodatkowo wprowadzając spore zamieszanie wśród ekip dochodzeniowych, które znajdą w spalonym samochodzie u stóp ofiary dwudziestofuntowy worek z narkotykami.

— Uwielbiam zapach benzyny — Silvo rozdał nozdrza, gdy stojący za terminalem odrzutowiec zaczął rozgrzewać silniki — po prostu go uwielbiam. — Mówił powoli, tocząc słowa po języku, jakby szacował smak najszlachetniejszego wina.

Stanowiska zwrotu pojazdów świeciły pustkami, na placu stało tylko kilka samochodów z logo Hertz i Thrifty i jeden chrysler z Avisą przy punkcie wynajmu luksusowych limuzyn. Za to na sąsiednim parkingu długoterminowym ruch był coraz większy. Pasażerowie, pchający przed sobą wózki pełne walizek albo niosący pojedyncze sztuki bagażu, zmiierzali szybkim krokiem w stronę drugiego końca terminalu, do hali odlotów. Ludzie, którzy przylecieli, wysypywali się z budynków lotniska w znacznie wolniejszym tempie, ciesząc się blaskiem poranka i obietnicą pogodnego dnia. Tego dnia słońce weszło o godzinie piątej pięćdziesiąt pięć, zalewając teren lotniska żółtym światłem, temperatura powoli rosła, nic nie wskazywało, by nie zdołała osiągnąć zapowiadanych na popołudnie siedemdziesięciu pięciu stopni Fahrenheita.

Poprzedniej nocy wyciągnięty siłą z łóżka pracownik wypożyczalni samochodów Ricka udzielił ludziom de Marta wielu ważnych informacji. Za sto dolarów potwierdził, że człowiek pasujący do opisu Jacka Hunta wynajął u niego wrak półciężarówki. Za dodatkowe pięć dych wystraszony młodzian dorzucił kolor, markę i model wozu. Już

338

z własnej woli wspomniał o spartolonym lakierze, zdartych oponach i uszkodzonych hamulcach.

— Powiedział mi, że jedzie do Pacific Grove, ale dokładnego adresu nie podał.

Ludzie Silva przetrząsnęli sporą część wspomnianego miasteczka, ale w końcu musieli się poddać. Wiedzieli, że Hunt prędzej czy później zwróci ciężarówkę, więc zasadzili się na niego tam, gdzie powinien się pojawić. Za kolejne pięćdziesiąt dolarów chłopak z wypożyczalni obiecał poinformować przez telefon o każdej zmianie planów, o jakiej dowiedziałby się od Jacka. Koniec końców, tę noc młodzieniec mógł zaliczyć do najbardziej intratnych w życiu.

Odrzutowiec DHL-u z kasztanowym logo na ogonie właśnie poderwał się do lotu i natychmiast skręcił na północ, robiąc co najmniej trzydziestostopniowy przechył i zostawiając za sobą wyraźny ślad spalin. De Mart obserwował maszynę do momentu, gdy jakąś milę dalej dokonała następnego zwrotu, tym razem na wschód, i zobaczył, jak słońce odbija się od jej okien. Spojrzał na zegarek. Było już pięć po siódmej.

— Na pewno nie pomyliłeś godzin?

Silvo miał przymknięte oczy, głowę mocno zadartą, wdychał niknące ślady spalin lotniczych. Na jego twarzy malowała się błogość.

— Połączenie przez Los Angeles ma o ósmej piętnaście. Odprawa kończy się godzinę przed odlotem. — Nadal nie otwierał oczu, nozdrza poruszały mu się miarowo, gdy starał się wychwycić ostatnie ślady nafty lotniczej. — Jeśli facet ma ze sobą taką masę bagażu, nie może pojawić się na ostatnią chwilę. Spokojnie, kolego, za moment będziemy go mieli.

Zdobycie listy pasażerów lotu powrotnego, na której znajdowało się nazwisko Jacka, kosztowało go pięćset dolarów.

Godzina 7.10

Boeing 757-200 należący do United Airlines pojawił się w polu widzenia i skręcił, aby zatoczyć wielkie koło na błękitnym niebie. Gdy przelatywał nad ich głowami, usłyszeli basowy pomruk silników.

339

Dziesięć minut później samolot rozpoczął podejście do lądowania skrzydła giganta zatrzęsły się lekko, gdy w końcu przyziemił.

Silvo znów zaczął węszyć.

— Uwielbiam zapach benzyny...

— Zamknij się, do kurwy nędzy. — Głowa de Marta pulsowała, odczuwał już pierwsze objawy nadciągającej migreny. Wygrzebał z kieszeni imigran i zrobił głęboki wdech, inhalując się lekiem.

Silvo spojrzał na niego bykiem, potem odwrócił głowę, by sprawdzić przejeżdżające obok nich mitsubishi z Budgetu. Wskoczyły z niego dwie dziewczynki i mężczyzna w średnim wieku, za nimi z wnętrza wozu wytoczyła się kobieta o zatroskanym obliczu. Facet był wysoki i chudy jak szczapa, nosił śmieszna kwiciastą koszulę narzuconą luźno na spodnie. Jego żona, niska i gruba, nosząca luźne dresy, od razu zaczęła wrzeszczyć na dzieci, które natychmiast spokor-niały i ukryły się za ojcem wypakowującym bagaże. Chwilę później wciąż klócąca się rodzina ruszyła w stronę terminalu.

Godzina 7.25

De Mart zaczął się irytować. Ósmy października można było bez kozery nazwać Dniem D Zemdonu. O ósmej wieczorem przyjęcie w Chicago rozpocznie oficjalnie światowy debiut cyclintu. Bankiet rozpocznie się dokładnie o dziewiętnastej, przez godzinę będzie można się zadowolić, a potem wzrok wszystkich skupi się na kardiologu nazwiskiem Harry Chan. Dzięki łączom satelitarnym sala balowa Sheratona uzyska kontakt z innymi miejscami, w których świętowane będzie pojawienie się cyclintu na rynku. Doktor Chan wygłosi krótki referat dotyczący firmy i jej przełomowego produktu. Potem po-kadzi elokwentnie lekowi i jego zbawczym skutkom dla całej ludzkości. Około północy show się zakończy, Zemdon uzyska szansę na przetrwanie, a Afrykaner dorobi się wreszcie upragnionej emerytury w idyllicznym krajobrazie Kapsztadu. I będzie bardzo bogatym człowiekiem. Jeśli wymieni amerykańskie dolary na południowoafrykańskie randy, będzie mógł przez wiele lat żyć wyłącznie z procentów.

Ciepły poranek przypomniał de Martowi kraj ojczysty. Czas ruszyć tyłek i zacząć nowe życie. Jutro zakończy kontrakt, pożegna się z nimi wszystkimi i wyjedzie. Nareszcie.

340

Ale gdzie podziewa się ten sukinsyn Hunt? Jego samolot miał odlecieć za pięćdziesiąt minut.

Godzina 7.35

Pas startowy Grahama znajdował się zaledwie o trzy mile od lotniska w Monterey tuż przy autostradzie numer jeden, w miejscu, w którym zaraz za szpitalem łączy się ona z sześćdziesiątką ósemką. Ochrzczono go po jednym z tutejszych entuzjastów lotnictwa, emerytowanym pilocie American Airlines, Billu Grahamie, który bardzo kochał przebywanie na wysokościach, ale nie był w stanie sprostać wysokim opłatom parkingowym pobieranym od prywatnych użytkowników na głównym lotnisku.

Lądowisko było niewielkie, ale bezpieczne. W samym środku równiny pokrytej rzadkimi krzewami i wyschniętą ziemią znajdował się betonowy pas startowy, długi na pięć tysięcy stóp, szeroki na siedemdziesiąt pięć i wyposażony w system oświetlenia. Z pobliskim parkingiem łączyła go wąska dróżka, a do miejsc parkowania awione-tek można było dojechać taksówką. Z dala od podjazdu umiejscowiono pomarańczowy rękaw wiatrołapu, który w tym momencie zwiślał smętnie z wysokiego masztu. Cylindryczne zbiorniki z paliwem lotniczym, pomalowane w czerwono-białe szachownice, wkopano około pięciuset jardów od wieży kontrolnej. Główny budynek z wyblakłym niebieskim logo na ścianie nie był większy od przeciętnego domku, ale jego piętro składało się wyłącznie z okien, które pozwalały widzieć wszystko w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Całość ogrodzono drobną siatką, aby małe zwierzęta nie dostawały się na pas, oraz automatycznymi odstraszaczami ptactwa, co jakiś czas wydającymi huczące odgłosy. Na teren lotniska można było wjechać korzystając z podwójnej, zamykanej na kłódkę bramy. W tej chwili była otwarta na oścież. Dwa duże kamienie zabezpieczyły jej skrzydła przed przypadkowym zamknięciem.

Tego ranka na lądowisku znajdowały się cztery maszyny: pi-per cherokee, dwie cessny 172 i jedna cessna 340. Na końcu pasa stały także trzy samochody, jednym z nich był biały ford cargo 250 z osiemdziesiątego czwartego. Za jego kierownicą siedział Jack. Za nim w równo ułożonych rzędach stało dziesięć kartonów, wszystkie

341

dokładnie zalepione taśmą klejącą. Niektóre z nich składały się z części większych pudeł, które poprzedniej nocy Jack rozłożył na korytarzu u Rity Callard, pozostałe wyjęli z szopy na narzędzia albo po prostu ze śmietnika.

Z importowanego roadstera MG wysiadł opalony szczupły mężczyzna w skórzanej kurtce lotniczej. Na lewej piersi miał srebrną odznakę w kształcie samolotu. Wyciągnął rękę i ucisnął dłoń Jacka.

- Witam, nazywam się Hunt. Dziękuję za to, że zechciał mi pan pomóc.
- Pat Maguire. Pani Callard wyrażała się o panu w samych superlatywach.

Z krzaczastymi wąsami i wysokim czołem Maguire wyglądał na czterdziestkę, chociaż melodyjny głos, piegowata twarz, szeroki uśmiech i ciekawskie ciemne oczy przeczyły pierwszemu wrażeniu. Był niemal tego samego wzrostu co jego nowy współnik. Miał może cal ponad sześć stóp. Pod kurtką nosił rozpiętą pod szyją koszulę dżinsową wyłożoną na czarne sztruksy. W ręce trzymał pękatą torbę podróżną z logo przedstawiającym uskrzydloną цаpeczkę. W jej wnętrzu widać było różne dokumenty.

— Muszę wysłać faks z planem lotu, zanim zaczniemy przeładunek. Chce pan iść ze mną?

Ruszyli razem, idąc obok siebie, gawędząc. Maguire był synem jednego z najstarszych przyjaciół Rity Callard i pracował na etacie pilota w United Airlines. Posiadał także połowę udziałów w cессnie 340 i wykorzystywał wolne dni na zmniejszanie kosztów jej utrzymania. Poprzedniej nocy spędził przy słuchawce prawie dwadzieścia minut, słuchając cierpliwie, czego chce od niego przyjaciółka ojca. Nie wdając się w zbyteczne szczegóły, Rita wyjaśniła, kim jest jej gość i dlaczego potrzebuje naprawdę pilnego transportu sporego przeciw ładunku do Chicago.

— Dlaczego nie skorzystacie z usług UPS albo FedExu? — zapytał niezbyt rozsądnie.

Odpowiedź nie była wcale rozsądniejsza, ale w miarę rozwoju rozmowy Maguire zaczął pojmować, że na tym locie może zarobić około pięciu tysięcy dolarów, co pomogłoby mu w wykonaniu niezbędnych przeglądów i opłaceniu mechaników. No i miał ochotę odwiedzić

342

pewną gorącą dziewczynkę pracującą na O'Hare. Ta podróż mogła mu się w dwójnasób opłacić.

Poczekalnia lotniska miała około pięćdziesięciu stóp kwadratowych i niski sufit. Stał w niej stół bilardowy, telewizor i tarcza do rzutków. Niezbyt odległą linię wybrzeża zakrywała rzadka mgiełka, rzecz normalna o tej porze roku, więc przy plastikowych krzesłach ustawionych wzdłuż ściany i na brudnych drewnianych ławach widać było wyraźne ślady pozostawione przez ludzi, którzy spędzili na nich całe godziny, czekając na poprawę widoczności — puste puszkі po coli, papierki z batoników, paczki po papierosach pozostawione tam, gdzie upadły. Jedynym śladem zaawansowanej cywilizacji w tym wnętrzu był stojący w rogu faks.

Tego dnia w wieży kontrolnej dyżurował członek miejscowego aeroklubu i Maguire skontaktował się z nim za pomocą interkomu, zgłaszając potrzebę startu.

— Będziemy musieli robić międzylądowania, aby zatankować

— sprawdził mapę. — Powiedzmy w Las Vegas — przesunął palcem dalej — a potem w Denver. — Na koniec skupił się nieco bardziej.

— Chyba Des Moines w Iowa będzie najbardziej odpowiednim miejscem na ostatni postój.

Godzina 7.48

De Mart w końcu stracił cierpliwość. Przeszedł obok zwrotni wypożyczonych samochodów i przez parkingi długo- i krótkoterminowe, rozglądając się gorączkowo za białym fordem cargo. Każda terenówka, każdy van, nawet kabriolet wjeżdżający na ten teren był obserwowany jego czujnym okiem. Wielu pasażerów tych samochodów odwracało wzrok przed jego palącym spojrzeniem.

Nie tak dawny spokój Silva także zniknął bez reszty. Murzyn stanął na tylnym siedzeniu volkswagena i czujnie lustrował najbliższą okolicę. Jego glock leżał na podłodze, a on musiał naprawdę walczyć z sobą,

żeby po niego nie sięgnąć. Samochody wjeżdżały i wyjeżdżały z parkingów, ale żaden z nich nie odpowiadał opisowi pasującemu

do pojazdu wypożyczonego przez Jacka.

*

343

Godzina 7.52

— Witam. Nazywam się Jack Hunt, wczoraj wypożyczyłem u was białego forda cargo 250.

Siedzący w biurze wypożyczalni samochodów młodzieniec

0 przyszczatej twarzy omal nie upuścił słuchawki.

— Pamiętam. O tej porze powinien pan go już odstawić na lotnisko.

Jack pomyślał, że głos chłopaka jest nienaturalnie ożywiony. Jakby zaskoczył go ten telefon.

— Zmieniłem warunki naszej umowy — powiedział.

— Nie może pan, panie Hunt. — Teraz wyczuwał błaganie. — Musi pan odstawić forda na punkt zwrotu.

— Wybacz. Wkładam kluczyki i sto dolarów pod przednie siedzenie. Przepraszam za niedogodności, wiem, że Rick nie będzie z tego zadowolony, ale tylko tyle mogę dla was zrobić. Coś mi wypadło w ostatniej chwili.

— Nie możesz pan tego zrobić! — Młodzieniec zaryczał do słuchawki. — Nie możesz pan!

— Już to zrobiłem. — Jack uciął jego wrzaski. — Nie chcesz wiedzieć, gdzie zostawiam wasz samochód? Myślałem, że przydadzą ci się wskazówki.

— Zaraz, zaraz, do pieprzonej cholery. Muszę znaleźć długopis.

Godzina 7.55

Cessna 340 miała dwa silniki, białe, z niebieskim pasem, mniej więcej dziesięć razy mniejsze niż te stosowane w komercyjnych odrzutowcach. Mogła pomieścić pilota, drugiego pilota i czterech pasażerów, jeśli lubili ścisk. Jedyne wejście, pod postacią niewielkich drzwiczek, znajdowało się mniej więcej w połowie kadłuba. Obok nich widać było numer identyfikacyjny maszyny: N125CJ, dwa kolejne zdobyły skrzydła. Jeśli nie liczyć kilku zadrapań na lakierze

1 niewielkich wgnieceń, samolot był w idealnym stanie.

Gdy Pat Maguire chodził wokół samolotu, dokonując ostatniego przeglądu, czubek jego głowy sięgał do dolnej linii okien kabiny pilo-

344

tów. Kopnął każdą oponę, sprawdził bieżniki. Osuszył zbiorniki paliwa z zawiesiny wodnej, sprawdził poziom oleju za pomocą długiego bagnetu. Dopiero gdy uznał, że wszystko jest w idealnym porządku, zwrócił uwagę na cenny ładunek Jacka Hunta. O tej porze dnia słońce rzucało już długie cienie na ziemię, a temperatura sięgnęła dolnej granicy sześćdziesięciu stopni. Wysoka wilgotność powietrza zaczynała doskwierać.

— Po dwa jednakowe do skrytek pod skrzydłami — zdecydował, jak najrozsądniej rozlokować ładunek.
— Dwa następne do skrytki na dziobie, resztę zmieścimy bez problemu w przedziale pasażerskim.

Jack zaczął segregować kartony. Czuł się świetnie.

Wcześniej tego ranka, gdy spał w najlepsze w użyczonym mu łóżku w domku numer sto cztery przy Kenton Avenue, Rita Callard wyprała, wysuszyła i wyprasowała jego rzeczy. T-shirt, dżinsy, skarpetki, wszystko to zostało dokładnie oczyszczone i powróciło do dawnej świetności. A gdy przyrządziła śniadanie, kazała mu się dokładnie wykąpać i ogolić. Szybki telefon do Chicago upewnił Jacka, że Beth i Danny mają się dobrze. Nie potrafił im się przyznać, że wydał wszystkie pieniądze przeznaczone na bilety do Sydney — uznał, że to nie najlepszy czas. Chwilę później Helen sprzedała mu ciekawą wiadomość. Harry Chan ogłosił wszystkim, że będzie główną postacią na planowanym na godzinę ósmą balu inauguracyjnym cyclintu, który rozpocznie się po zwyczajowym posiłku w audytorium Sheraton Chicago Hotel and Towers.

Godzina 7.57

Hend de Mart nie potrafił powstrzymać gniewu. Właśnie zadzwonił chłopak z wypożyczalni i pieprzył coś o nowych warunkach umowy Jacka. Podał też nazwy ulic i autostrad, którymi mogli dotrzeć do pozostawionego samochodu. Silvio odpalił silnik volkswagena i już po chwili wóz wypadł ze strefy parkingowej, pędząc w stronę wyjazdu na autostradę. Tuz za nimi zasuwał skradziony jeep. Siedzący w nim Vick

i Macky mieli skwaszone miny. Premia zaczęła im znikać z oczu.

*

345

Godzina 8.13

— Poczekaj tutaj, napełnię zbiorniki paliwa.

Jack przeszedł na drugą stronę samolotu, aby osłonić oczy przed ostrym blaskiem słońca. Od północy po lazurowym niebie nadpływało kilka pierzastych chmur. Cała reszta nieboskłonu była pusta, jeśli nie liczyć

liniowych odrzutowców podchodzących do lądowania i startujących z odległego o trzy mile na wschód lotniska. Zatem Harry Chan tkwi w tym gównie po czubek uszu, tak jak przypuszczałem. Teraz on będzie rzecznikiem Zemdon Pharmaceuticals.

Nagle obejrzał się przez ramię. W odległości niecałej pół mili ktoś przeraźliwie trąbił na autostradzie. Gdy zmrużył oczy, dostrzegł jakiegoś człowieka stojącego na betonowej obudowie wiaduktu, który spoglądał w tę stronę. Kimkolwiek był, po chwili zniknął z widoku.

Beth i Danny są bezpieczni, co za ulga. Nikt nie odkrył miejsca, w którym się ukrywali. Jack obliczył w pamięci stan swoich finansów. Spłukał się niemal do zera. Pięć tysięcy dolarów opłaty za przelot do Chicago pozbawiło go ostatnich oszczędności. Teraz już żadne z nas nie zdoła odlecieć, jeśli coś pójdzie nie tak. Poklepał się po portfelu wciąż tkwiącym w jego kieszeni. Sto dwadzieścia dwa dolary i trochę drobnych, w tej sumie zawierały się wszystkie jego doczesne dobra.

Nagle jego wzrok spoczął na dacie wyświetlanej na zegarku: piątek, ósmy października. Tego dnia on i Beth mieli wejść w posiadanie wymarzonego domu w Wilmette. A gdzie jestem? Utknąłem gdzieś w Kalifornii, zamiast siedzieć w biurze Herba Weinberga, podpisywać ostatnie dokumenty i odbierać klucze od domu. Jezu, jaki beznadziejny burdel z tego wyszedł.

Godzina 8.20

Zdaniem De Marta znajdowali się o mniej niż piętnaście minut jazdy od lotniska. Niestety godziny szczytu na autostradzie oznaczały powolne wleczenie się zderzak w zderzak krótkimi zrywami. Volkswagen golf zmieniał pasy, lawirując pojedyncze tak gwałtownie, że wielu kierowców naciskało z całych sił na pedały hamulców, aby uniknąć zderzenia. W powietrze unosiły się zaciśnięte pięści, wokół rozbrzmiewał skowyt klaksonów.

346

Godzina 8.25

— Wieża kontrolna, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Proszę o zezwolenie na kołowanie.

Maguire siedział w kokpicie cessny na fotelu po lewej, ze słuchawkami na głowie, trzymając jedną ręką ster, a drugą popychając dźwignię przepustnicy znajdującą się obok jego prawego kolana. Przed nim nie było zbyt wiele miejsca, ledwie mógł rozprostować nogi, fotel, choć już lekko zużyty, był za to wygodny, wysoki, obity skórą. Okrągłe okna kabiny przypominały obłym kształtem oczy osy. Na desce rozdzielczej znajdowało się kilka rzędów przyrządów. Wskaźniki ciśnienia i temperatury, oleju i paliwa, wysokościomierz, transponder, kompas magnetyczny. Przetłączniki, klawisze, lampki i przyciski. Jack siedząc z tyłu, przysłuchiwał się zanikającej pośród trzasków wymianie zdań przez drugi komplet słuchawek.

— Przez kilka minut we wnętrzu maszyny będzie nieznośnie gorąco — ostrzegł go Maguire, sprawdzając poziom ciśnienia w kabinie. Skrzywił się lekko na mgnienie oka, ale zaraz się rozluźnił, gdy wskazówka wróciła do normalnego położenia. — Po rozgrzaniu silników znów zrobi się chłodniej.

Na niewielkim lotnisku nie było innych oznak życia. Dwa samochody osobowe i półciężarówka zaparkowane obok pasa, wymarły budynek główny, jeszcze jeden mały samolot stojący na miejscu postojowym obok hangaru. Tylko przez zabrudzone szyby wieży kontrolnej widać było sylwetkę poruszającego się człowieka.

— November jeden dwa pięć Charlie Juliet, zezwalam na kołowanie, macie wolny pas startowy, QNH jeden zero trzy zero, wiatr zachodni dziesięć węzłów, CAV okay.

— Roger — Maguire potwierdził przyjęcie danych — jeden zero trzy zero Charlie Juliet.

Zapalił silniki; najpierw zaskoczył lewy, rozpędzając się powoli, zanim śmigło osiągnęło maksymalne obroty, potem prawy. Głowa pilota poruszała się nieustannie, gdy sprawdzał wszystko w zasięgu wzroku. Jack poczuł lekkie szarpnięcie, gdy samolot zaczął się toczyć do przodu.

*

347

Godzina 8.30

De Mart i Silvo dotarli do bramy, koła ich samochodu zabuksowały na szutrze, wyrzucając w powietrze strugi kamyków i pyłu. Jadący za nim jeepem wspólnicy musieli dokonywać ostrych manewrów, skręcając to w lewo, to w prawo, by wyrwać się z chmury gęstego kurzu. Znajdowali się już nie dalej niż tysiąc jardów od cessny.

Godzina 8.31

Maguire sprawdził wszystkie instrumenty po raz ostatni. Zwiększył obroty silników do tysiąca siedmiuset na minutę, wsłuchując się w miarowe buczenie obu śmigieł. Potem sprawdził system iskrowników i lotki. Wszystko było w idealnym porządku.

— Gotowy?

Jack odwrócił się w stronę ogona maszyny. Na podłodze, pod siatką, znajdowała się torba Spencera i rząd równo ustawionych i oklejonych taśmą kartonów. Spojrzenie na nie uspokoiło go po raz kolejny.

— Tak, jestem gotowy.

Godzina 8.32

Volkswagen golf zatrzymał się z poślizgiem na skraju pasa startowego, tuż przy zabudowaniach. De Mart wyskoczył z niego i natychmiast zauważył białego forda cargo, dokładnie takiego, jakiego opisał mu

parkingowy, numery także się zgadzały. Szarpnął za klamkę i wskoczył do szoferki. Kilka sekund później znów stał na ziemi.

— Nie ma go. Samochód jest pusty.

Jadący z tyłu jeep przetoczył się przez pas i zarył w żwirze. W jego kabinie Vick i Macky klęli, ile wlezie. Afrykaner położył rękę na obudowie silnika fordą, była jeszcze ciepła. Rozejrzał się uważnie wokół.

Gdzie jesteś, draniu?

Godzina 8.33

— Wieża kontrolna, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet.

348

— Słucham cię, Charlie Juliet?

— Start za dwie minuty.

— Roger.

Godzina 8.34

De Mart usłyszał silniki cessny, zanim zobaczył sam samolot. Maszyna znajdowała się na samym końcu pasa, nie było jej widać wyraźnie w rozedrganym gorącym powietrzu. Ale Hend wiedział, że w jej wnętrzu znajduje się Jack Hunt i dokumentacja obciążająca Zemdon. Oraz jego przyszłość.

Sięgnął do kabiny golfa i wyjął swój rewolwer.

— Tam jest, tam!

Silvo wcisnął pedał gazu do dechy i zaczął palić gumy.

Godzina 8.35

Pat Maguire widział oba samochody od momentu, w którym wjechały w szutrową drogę i minęły bramę lotniska. Nie sposób było zignorować tak wielką chmurę pyłu. Kątem oka obserwował ich ruchy. Kimkolwiek są i czegokolwiek chcą, z pewnością nie należą do tutejszego aeroklubu, zawyrokował. Kiedy zauważył, że volkswagen i jadący za nim jeep wjeżdżają na pas startowy, połączył się z wieżą.

— Wieża, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet, mamy wtargnięcie na teren lotniska.

Przez moment nic się nie działo, potem usłyszał szum.

— Rozumiem, November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Sugeruję przerwanie procedur startowych. Powtarzam, przerwij procedury startowe.

Jack słuchał tej wymiany zdań z rosnącym przerażeniem. Przez przednią szybę widział oba samochody wjeżdżające na pas. Idioto, durniu skończony, a jednak cię namierzili! To dlatego parkingowy od Ricka był taki podniecony. Czekali na ciebie na lotnisku. Musieli się o wszystkim dowiedzieć! Serce zaczęło mu walić tak mocno, że o mało nie połamano otaczających je żeber. W ustach mu zaschło, a ręce zaczęły drżeć. Znalazł się w potrzasku.

349

Maguire nacisnął delikatnie stery, a potem powoli zaczął zwiększać obroty śmigieł. Ryk silników wypełnił kabinę, gdy cessna ruszyła do przodu, gwałtownie nabierając prędkości.

Kliknięcie i znów szum wypełnia słuchawki.

— Wieża, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Odmawiam, właśnie startujemy.

Godzina 8.36

Silvo prowadził, a de Mart starał się stanąć na siedzeniu pasażera. Zaparł się kolanami o deskę rozdzielczą, potem wyciągnął przed siebie trzydziestkęósemkę, starając się wymierzyć ją dokładnie, trzymając obiema wyprostowanymi rękami. Wystrzelił szybko, dwukrotnie.

Godzina 8.37

Silniki cessny pracowały już na pełnych obrotach, samolot osiągnął maksymalną prędkość. Kadłub drżał, skrzydła podskakiwały od nieustających wibracji. Siedzący w kabinie Jack czuł, jak całe jego ciało zaczyna drżeć. Podniósł wzrok i zobaczył bladą twarz Maguire'a, jego mocno zaciśnięte zęby. W słuchawkach rozległy się kolejne trzaski i szумы.

— Pat, na litość boską, przerwij start! — Kontroler lotu przestał używać lotniczego żargonu, zaczął za to krzyżeć. — On zaraz w ciebie uderzy! Hamuj!

Volkswagen znajdował się nie dalej niż dwadzieścia stóp przed nimi i Jack widział dokładnie Henda de Marta stojącego na siedzeniu, z wyprostowanymi rękami mierzącymi prosto w nich. Nagle dostrzegł także błysk stali i instynktownie skulił się na fotelu.

Silniki zmieniły ton, a Maguire przyciągnął do siebie kolumnę wolanta.

— Trzymaj się! — krzyknął w ogłuszający ryk.

Cessna wzbiła się ostro w górę, wciskając Jacka w siedzenie. Żołądek podszedł mu do gardła, poczuł, że zaraz zwymiotuje. Zamknął oczy na ułamek sekundy, a potem świat nagle zrobił się niebieski.

350

Podwozie maszyny minęło głowę de Marta o kilka cali, kiedy próbował odwrócić się i strzelić w tym samym czasie. Udało mu się jedynie opaść na fotel pasażera.

Maguire kontynuował ostre wznoszenie, nie popuszczając na prze-pustnicy i trzymając kurczowo stery, dopóki wysokościomierz nie pokazał pułapu tysiąca stóp. Wtedy wyrównał ostrożnie lot i położył maszynę na prawe skrzydło, obierając kurs na Las Vegas.

— Wieża, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Lecimy zgodnie z planem. Sugeruję zadzwonić na numer alarmowy i poinformować policję na lotnisku o wtargnięciu.

Odpowiedź nadeszła dopiero po dziesięciu sekundach.

— Rozumiem, November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Nasi goście właśnie wyjeżdżają.

Maguire dokonał jeszcze jednej korekty kursu, tym razem lewe skrzydło wychyliło się o czterdzieści pięć stopni. Jack mógł zobaczyć przez okno miniaturowe samochody mknące po wąziutkich drogach, niewielkie domki i szachownice pól. Chmura pyłu podnoszonego przez oba samochody uciekające z pasa startowego wciąż była widoczna na zachodzie. Pilot wyrównał kurs, kierując maszynę dokładnie na wschód. Sprawdził transponder, potem przyjrzał się kilku wskaźnikom, na końcu odwrócił się w stronę Jacka. Nie uśmiechał się, nie okazywał radości z udanej ucieczki.

— No, doktorze, ma pan stanowczo porąbanych kolegów.

ROZDZIAŁ 3

Tymczasem w Chicago Danny grał w piłkę na ulicy nie dalej niż trzydzieści jardów od sanktuarium domu Bradleyów. Jego mama spacerowała powoli, starając się rozruszać, zatrzymując się i opierając się

0 ogrodzenie podwórza za każdym razem, gdy poczuła mdłości. Nie mogła jeść, każda myśl o posiłku powodowała torsje. A niedożywienie, w połączeniu z brakiem ruchu i narastającym stresem, sprawiało, że Beth słabła z każdą godziną. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Twarz jej wychudła, pod oczami powstały sińce. Jasne włosy straciły zupełnie połysk.

Ale jej ośmioletni kruczowłosy syn wciąż tryskał entuzjazmem

1 energią i nie było sposobu na to, by pozostał w zamkniętym mieszkaniu, jeśli istniał choćby cień szansy na wyjście na dwór. Kiedy jego marudzenie przekraczało dopuszczalne granice, Beth ustępowała i oboje wyruszali, aby obejść przecznicę. Danny biegał, skakał, kręcił się jak szalony. Oczami wyobraźni widział siebie na boisku, oczywiście w amerykańskiej kadrze narodowej na mistrzostwach świata. Jego drużyna przegrywała jedną bramką, do zakończenia drugiej połowy pozostały zaledwie minuty. Danny był królem strzelców, ale odniósł kontuzję nogi. Właśnie otrzymał długie podanie od obrońców i nie zważając na ból, zdołał opanować piłkę. Wyminął sprytnie dwóch wyimaginowanych pomocników i okiwał właśnie środkowego obrońcę. Był teraz sam na sam z bramkarzem (w tej roli wystąpił hydrant) i oczami wyobraźni widział już, że stadionowy zegar odlicza ostatnie sekundy spotkania. Tuż przed ostatnim gwizdkiem przyśpieszył i posłał piłkę potężnym strzałem w sam słupek bramki, posypały się

drzazgi, wśród sędziów zapanowała konsternacja. Czy piłka minęła linię bramkową? Wszystkie oczy zwróciły się w stronę gigantycznego ekranu, na którym powtarzano w zwolnionym tempie całą akcję. Gol! Od ryku kibiców zatrzęsa się ziemia, a wszyscy zawodnicy z drużyny bohaterskiego chłopca podbiegli, by mu pogratulować. Zdziwiający wypad Danny'ego i niesamowity strzał dały im szansę na zwycięstwo. Nie było cienia wątpliwości, w dogrywce strzeli jeszcze jedną bramkę.

Biegł więc dalej, celowo oddając przeciwnikowi piłkę, by za moment całkiem go zaskoczyć.

Nawierzchnia ulicy była mokra, wiał ostry, porywisty wiatr, a temperatura powietrza spadła do pięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Po tegorocznych upałach, sięgających nawet stu pięciu stopni, nie pozostał nawet ślad. Ludzie opatulali się długimi płaszczami i grubymi kurtkami, śpiesząc ku znanym sobie miejscom, w których będą mogli zapomnieć o złej pogodzie. W taki dzień jedynie najbardziej zatwardziali joggerzy i ludzie niespełna rozumu mogli wybrać się na przechadzkę.

Wokół większości kolorowych bungalowów z drewna i cegły, tak charakterystycznych dla Chicago Lawn, nie było widać żywej duszy. Rodzice już dawno poszli do pracy, dzieci siedziały teraz w przedszkolach lub szkołach. Zniknęły też samochody, które wieczorami zajmowały każdy cal przy krawężnikach, pozostał tylko czarny ford transit z logo firmy hydraulicznej na rozsuwanych drzwiach. Za kierownicą nie było widać nikogo.

Po niebie mknęły nabrzmiące deszczem stalowe chmury, co jakiś czas rosząc ziemię. Gwałtowniejsze podmuchy zimnego wiatru porywały krople wody i uschnięte liście zalegające ziemię, tworząc z nich niewielkie trąby powietrzne.

— Danny, nie odchodź za daleko.

Beth z trudem nadążała za rozbrykanym synem. Danny miał o wiele więcej energii, niż ona była w stanie z siebie wykrzesać. Traciła czujność równie szybko jak siły, w tym momencie nie zwracała już uwagi na podejrzenie wyglądające twarze i dziwne samochody stojące w pobliżu. Była zbyt wyczerpana, by obciążać umysł podobnymi rzeczami. Jack już wkrótce powinien wrócić do domu. Boże, proszę, niech ten koszmar nareszcie się skończy.

— Ale, mamó. To ty nadążaj za mną!

353

Pac! Piłka odbiła się od siatki i upadła z powrotem na mokrą nawierzchnię ulicy. Danny pobiegł za nią. Pomimo takiego zimna był ubrany dość lekko, w dzinsy i niebieską koszulę, na którą naciągnął pożyczony cienki bawełniany sweter. Helen zaoferowała im także po parze butów, które Beth przyjęła z wdzięcznością, nie bacząc na to, że obuwie jest nieco za ciasne i pije ją w palce.

Ponownie kopnięta piłka poszybowała tym razem dalej i odbiła się od zderzaka czarnego forda z logo i rozsuwanymi drzwiami.

— Chłopcze, nie wiesz, gdzie mieszkają Jenksowie?

Dwie godziny i czterdzieści minut po raptownym starcie z Monterey Pat Maguire kierował cessną 340 w stronę międzynarodowego portu lotniczego imienia McCarrana w Las Vegas. Obniżał pułap i zmienił kurs do momentu, w którym zobaczył biegnący z południa na północ pas startowy 1L19R. Światła na poboczach były zapalone, a centralna linia naprowadziła go na tor płynnego lądowania. Kontrola lotu skierowała maszynę na boczną płytę lotniska, gdzie już czekała niewielka cysterna z paliwem.

Jack Hunt znalazł się w samym sercu pustynnego miasta, ociekający potem i pełen obaw.

Podczas lotu domyślił się, że ludzie Zemdona podążyli za nim do Monterey, mając nadzieję, że tam odbiorą mu akta. To, że nie zdołali tego zrobić, świadczyło o tym, iż nie dowiedzieli się, gdzie mieszka Rita. Ale mogli już odkryć kryjówkę Beth i Danny'ego. W czasie gdy Maguire sprawdzał przyrządy i podłączenie cysterny, Jack pobiegł do niewielkiego budynku poczekalni, w którym natychmiast zaczął karmić automat drobnymi monetami.

Dom w Chicago Lawn nie odpowiadał. Odczekał pięć sygnałów, zanim przerwał połączenie. Sekretarka Herba Weinberga poinformowała go, gdy wykręcił drugi numer, że jej szef wyszedł z biura i nie będzie go przez cały dzień, ale jeśli Jack chce, może zostawić wiadomość.

Na końcu zadzwonił do Rity Callard.

— Gdzie jesteś, synku? Już mi cię zaczyna brakować.

Ucieszył się z tego, że słyszy jej głos, więc krzyknął w słuchaw-

kę:

— W Las Vegas.

354

— To trzymaj się z dala od jednoręcznych bandytów. Byłam tam tylko raz, ale kosztowało mnie to stratę dwustu dolarów i nieźle się zmęczyłam, ciągnąc za te dźwignie.

Staruszka szybko straciła humor, kiedy opowiedział jej o zdarzeniu na lotnisku.

— Najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz na kilka dni, dopóki nie uporządkuję naszych spraw — ostrzegł ją Jack. — Zatrzymaj się u przyjaciół albo wynajmij pokój w hotelu. Po prostu zniknij.

Dwadzieścia minut później cessna kołowała po pasie startowym z pełnym bakiem paliwa i uzupełnionym olejem. Dziób maszyny poderwał się w górę prosto w najbardziej oślepiające słońce, jakie Jack kiedykolwiek widział. Nabrali prędkości i skręcili na północny wschód, w stronę Gór Skalistych.

— A słyszałeś ten o irlandzkim pilocie kamikadze?

Maguire próbował rozweselić swojego pasażera. W czasie przelotu z Monterey do Las Vegas Jack naświetlił wydarzenia ostatnich dni dramatu, w którym pilot niespodziewanie zaczął grać ważną rolę.

Wspólnie doszli dość szybko do przekonania, że do momentu, w którym kartony znajdują się w miejscu przeznaczenia, nie mogą zrobić niczego, aby zmienić swoją sytuację.

— Facet wykonał pięć udanych misji.

Jack spróbował się roześmiać, ale nie był w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny humoru. Gdzie jest moja żona i syn?

ROZDZIAŁ 3

Lecieli z prędkością stu pięćdziesięciu węzłów, z wiatrem od ogona, dzięki czemu osiągnęli nawet i sto siedemdziesiąt węzłów, licząc względem ziemi. Maguire utrzymywał samolot na najniższym możliwym bezpiecznym pułapie, około dwóch tysięcy stóp nad poziomem ziemi, i wykorzystywał VFR — zasady lotu z widocznością. Dzięki temu mogli przemieszczać się na bardzo niskim pułapie, jednocześnie utrudniając namierzenie maszyny przez ewentualnych wrogów. Ale z drugiej strony pilot nie mógł korzystać z pomocy komputera, musieli więc polegać wyłącznie na jego doświadczeniu. Maguire'a wspierał jedynie GPS, system pozycjonowania globalnego, dzięki któremu można było wytyczyć kurs.

Jack próbował zabić czas, wsłuchując się w przerywane zakłóceniami rozmowy załóg innych samolotów, ale dość szybko uległ stresowi — przestrzeń, w której go zamknięto, była zbyt ciasna, wręcz klaustrofobiczna, z trudem mógł wykonać najprostsze ruchy. W pierwszej fazie lotu nieustannie zezował w tył z fotela w kokpicie, sprawdzając stan cennego ładunku, ale później uznał, że przedział pasażerski oferuje nieco więcej przestrzeni, i postanowił się rozprostować. Przecisnął się więc na tył maszyny, żeby dociągnąć mocowania siatek towarowych w miejscu, gdzie obejmowały także złożone siedzenia, a potem spokojnie wrócił do kabiny pilotów. Ochłodził się strumieniem ożywczego powietrza płynącego z klimatyzatora, było o wiele przyjemniejsze od oblepiającego żaru, jakiego zakosztował podczas postoju w Las Vegas.

356

Gdy cessna zbliżyła się do Gór Skalistych, odległe do niedawna gęste chmury zaczęły pojawiać się wokół maszyny, musieli więc wejść na wyższy pułap, aby pokonać granie i odzyskać dobrą widoczność. Biały dywan rozciągający się daleko pod nimi czasami rozstępował się i obaj mogli ujrzeć ośnieżone szczyty i pokryte lodem doliny. Takie widoki stanowiły jedyną rozrywkę dla umęczonego umysłu Jacka.

Kiedy lądowali w Denver, mieli w baku paliwa na góra trzydzieści minut lotu. Na lotnisku wrzało jak w ulu, wielkie boeingi 747, airbusy A300 i A320, nawet stare DC-10 tłoczyły się przy terminalach dla pasażerów. United Airlines, Virgin, American, Continental i Northwest — większość najważniejszych linii lotniczych miała połączenia z tym miastem. Autobusy przewoziły stłoczonych pasażerów z terminali prosto do samolotów, a wozy techniczne, cysterny i pojazdy ochrony przemykały bocznymi trasami.

Maguire wprowadził cessnę na miejsce postojowe pomiędzy dwoma learjetami i korporacyjnym hawkerem siddeleyem, chwilę później obok pojawił się niewielki bus, Jack przebiegł do niego, z radością witając chłód panujący we wnętrzu. Niebo nad lotniskiem było zachmurzone, pasy startowe i dojazdowe wciąż mokre po niedawnym deszczu. Upalna pogoda odpowiednia na T-shirt została daleko za górami,

tutaj dzięki porywistym wiatrom temperatura opadała nawet poniżej pięćdziesięciu stopni Fahrenheita, dlatego Jack szybko powrócił do swetra, grubych dżinsów i podwójnych skarpet w butach.

— Mamy problem z ciśnieniem tlenu.

Maguire, jak zwykle po lądowaniu, zakończył kolejną inspekcję przyrządów pokładowych. On także włożył cieplejsze rzeczy, korzystając z ciuchów przechowywanych w specjalnym schowku pod fotelem. Wyjął z niego ocieplaną kamizelkę, sweter z wysokim kołnierzem i kalesony.

— Mógłbym sprowadzić technika, aby sprawdził, co się dzieje, ale musielibyśmy przedłużyć postój o co najmniej godzinę. — Tak charakterystyczny dla niego szeroki uśmiech zniknął, w ciemnych oczach pobłyskiwało zatroskanie. Na twarzy jego pasażera pojawił się wyraz udręki. — Zrób sobie przerwę na kawę, Jack. Postaram się, żeby naprawa trwała jak najkrócej.

357

Jack przyjął jego ofertę z niekłamana przyjemnością i natychmiast oddał się w poszukiwaniu budki telefonicznej. Nie uzyskał połączenia z Chicago Lawn, chociaż tym razem poczekał aż do dziesiątego dzwonka. Gdzie się podzialiście? Sekretarka Herba Weinberga nadal nie namierzyła swojego szefa, ale rozesała mu wiadomości po całym mieście. Dołożyła za to Jackowi kolejne zmartwienie do i tak już bogatej kolekcji. Prawnik osoby sprzedającej posiadłość w Wilmette wydzwaniał do biura niemal co godzinę. Czy Jack chce zakończyć tę transakcję i przejąć dom? Sprzedający chciał usłyszeć decydującą odpowiedź, i to szybko. Podobnie jak wszyscy w mieście dowiedział się

O nieciekawej sytuacji lekarza i chociaż życzył mu jak najlepiej, wolał mieć tę sprawę już za sobą. Więc tak czy nie?

— Kupuję — warknął gniewnie Jack. — Pieniądze zostaną przelane w poniedziałek. — Blefował i czuł, że musi jeszcze powiedzieć coś stanowczego i konkretnego. — Proszę mu przekazać, że chcę odebrać klucze natychmiast po dokonaniu wpłaty.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę, a potem wybrał numer Rity Cal-lard. Nikt nie odebrał. Poczł się odrobinę lepiej. Juź miał odejść, kiedy do głowy wpadła mu nowa myśl. Cztery minuty później, po długiej rozmowie z centralą, jego prawy palec wskazujący ponownie zatańczył na przyciskach automatu.

— Sheraton Chicago Hotel and Towers, przy telefonie Melania.

— Głos słodziutki jak sacharyna. — Czym mogę służyć?

Jack zaczerpnął tchu.

— Witam, czy może mnie pani połączyć z którymkolwiek szefem Zemdonu?

— Chwileczkę.

Przełączyła go do dziewczyny imieniem Laura.

— Witam, nazywam się... — Jego wzrok padł na reklamę hotelu.

— Stakis, doktor Stakis. Miałem nadzieję dotrzeć na przyjęcie, ale niestety mam opóźnienie. Jestem korespondentem „American Health”

1 przygotowuję omówienie waszego produktu do następnego numeru.

„American Health” było czasopismem o zasięgu kontynentalnym, prezentowało na swoich łamach wszystkie przełomowe wydarzenia na rynku medycznym. Miało ogromny nakład, głównie dzięki wsparciu finansowemu największych korporacji farmaceutycznych, które doskonale zdawały sobie sprawę, że jednostronowy artykuł wspierający

358

ich produkt może obrócić się w gigantyczny wzrost sprzedaży. Jeśli dzwonił ktoś z redakcji, należało potraktować go z szacunkiem godnym lepszej sprawy.

— Może ja będę w stanie panu pomóc? — zaoferowała się Laura. W jej głosie dało się jeszcze wyczuć akcent z południa. — Niestety niemal cały personel jest w tej chwili zajęty, ale mogę przestać panu faksem wszystkie potrzebne dokumenty.

Jack uznał, że dziewczyna z pewnością znajduje się na samym końcu tańcucha pokarmowego firmy.

— Nie trzeba, mam wszystko — skłamał i zakrył dłonią mikrofon, żeby jego rozmówczyni nie usłyszała zapowiedzi o kolejnym odlocie. — Ma pani jakieś materiały dotyczące najważniejszych ludzi? Dyrektorów, członków zarządu?

Rozejrzał się. Terminal pełen był pasażerów tłoczących się przy stanowiskach odprawy, ciągnących ciężkie walizy albo siedzących na rzędach plastikowych krzeseł z wyrazem zrezygnowania na twarzach. Ze stojącego w pobliżu kosza na śmieci wysypywały się zgniecione kubki po napojach i przekąskach. Ludzie stali także przed monitorami, na których wyświetlano informacje o aktualnych odlotach i przylotach, tu i ówdzie grupki pasażerów rozmawiały z ożywieniem, komentując jakieś wydarzenia. Na ten zgiełk i szum nakładały się kolejne komunikaty o opóźnionych albo anulowanych lotach. Oprócz kilkorga dzieci bawiących się w skakanie przez taśmy oddzielające szlak kolejki do odprawy nikt nie wyglądał na zadowolonego.

— Spróbuję namierzyć dyrektora filii północnoamerykańskiej — zasugerowała Laura. Naprawdę chciała okazać się pomocna.

— Nie... Potrzebny mi ktoś, kto zna całość programu.

— Oczywiście. Mamy tu człowieka z centrali w Zurychu, wszyscy czujemy jego gorący oddech na karkach.

— A który to? — Jack wypowiedział to pytanie w taki sposób, jakby znał personalia wszystkich zatrudnionych w szwajcarskiej centrali. I to po imieniu.

— Doktor Gert Crozer — odparła Laura. — Właśnie idzie w naszą stro...

Połączenie zostało przerwane. Jack trzasnął słuchawką. Crozer. To jedno nazwisko zmroziło mu krew w żyłach. Większość dokumentów, które miał okazję ostatnio przeczytać, skierowana była do osoby

359

nazwiskiem Helmut Crozer. W tym wypadku nie mogło być mowy

o zbiegu okoliczności. Dokładnie przeczytał wszystkie te listy, nawet pisane ręcznie, i miał przed oczami złożony papier z adresem. Gert Crozer, Helmut Crozer. Dwaj ludzie, być może spokrewnieni ze sobą,

1 to bardzo blisko, pracujący dla tej samej szwajcarskiej firmy farmaceutycznej. Tak, bez wątplenia byli ze sobą spokrewnieni, być może Jack miał do czynienia z ojcem i synem.

Teraz, gdy to zrozumiał, zyskał zupełnie inny ogląd wszystkich dotychczasowych wydarzeń.

Spoglądał przez jedno z widokowych okien terminalu na rodzącą się w oddali burzę. Ludzie z obsługi lotniska rozkładali parasole i przeciwdeszczowe peleryny, uskakiwali przed strumieniami wody tryskającej spod kół przejeżdżających ciężarówek. No, Pat, musimy ruszać.

W Chicago Gert Crozer także spoglądał na strugi deszczu ściekające po oknach jego apartamentu. Nieco wcześniej włożył płaszcz przeciwdeszczowy, otworzył szklane drzwi prowadzące na niewielką werandę i na chwilę dał się objąć chładowi. Rzęsisty deszcz, spadający na miasto przez prawie cały dzień, odpuścił na chwilę, pozwalając Crozerowi na niemal godzinę wytchnienia, gdy spoglądał z góry na ruch panujący na rzece, na który składały się głównie zadaszne łodzie wycieczkowe oferujące panoramę architektoniczną miasta widzianą od strony wybrzeża. Zastanawiał się, czy nie zejść wąskimi metalowymi schodami na ulice i nie wmieszać się w tłum, aby na własne oczy zobaczyć przygotowania do inauguracji. W końcu uległ tej myśli, a gdy inspekcja wypadła pomyślnie, wrócił tą samą, krętą drogą na dach, podniesiony na duchu wigorem, jakim wykazywali się wszyscy pracownicy jego firmy.

Zasiadł w głębokim fotelu za mahoniowym biurkiem w kształcie litery U i zamyślił się. Oparł brodę na wyprostowanych palcach dłoni, poruszał nieznacznie fotelem to w lewo, to w prawo. Raz jeszcze rozważał treść informacji, którą przed momentem mu dostarczono. Mamy żonę i syna doktora Hunta, ale nie zatrzymaliśmy jego samego. Po raz kolejny udało mu się wymknąć i to było niepokojące. Spojrzał na zapis ostatniej rozmowy pomiędzy Jackiem a Beth.

360

Znalazłem to, Beth... Wszystko. Mam te papiery przed sobą... Te papiery to prawdziwy dynamit... Jeśli zostaną opublikowane, wstrząsną całym światem medycznym.... Ale ja wreszcie zrozumiałem, o co chodziło przez te wszystkie miesiące, kiedy nas nękano... Carlotta Drunker nie była ofiarą wypadku samochodowego, została zamordowana... I ja wiem kto to zrobił.

Wie pan, doktorze Hunt? To niedobrze. Dla pana.

Hend de Mart wrócił do Chicago około siedemnastej trzydzieści czasu lokalnego. I był wściekły jak cholera. Jack Hunt wykiwał go, sprawił, że wyszedł na głupka wobec swoich własnych ludzi, a potem nieomal zabił, gdy koła cessny 340 dosłownie musnęły głowę Afrykanera.

De Mart ustalił w Monterey, że osobiście pozbędzie się doktorka, nawet popuścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądał ten moment, wymyślił nawet, jakimi słowami go pożegna: „Czas umierać. Walczył pan dzielnie. Nawet zaskoczył mnie pan kilka razy. Ale tym razem to już naprawdę koniec”. A potem miał rozpedzić forda ze związanym doktorem siedzącym na fotelu pasażera, kierując wóz prosto na pień drzewa. Jakies dwadzieścia jardów przed miejscem wypadku przycisnęły kamieniem pedał gazu i wyskoczył. Bum! Zderzenie przy maksymalnej prędkości. Potem zabiera kamień, przynosi nieprzytomnego Jacka za kierownicę, wrzuca worek z kokainą pod deskę rozdzielczą, zapala szmatę wetkniętą w wylot wlewu paliwa. I ucieka jak wszyscy diabli.

Ale cały misternie utkany plan spalił na panewce. Hunt przeżył i mknął w tej chwili gdzieś po nieboskłonie ze wszystkimi mrocznymi tajemnicami Zemdonu. Był jeszcze groźniejszy niż przedtem. Ale de Mart miał teraz jego żonę i dziecko. Ciekawe, co wybierze Irlandczyk: odgrywanie bohatera czy życie najbliższych? Afrykanerowi nie robiło to żadnej różnicy. Kierował się w stronę podrzędnego moteliku na Southside, w którym przetrzymywano Danny'ego i Beth. Miał zamiar załatwić wszystkie niedokończone sprawy.

ROZDZIAŁ 3

Chicagowskie lotnisko polowe imienia Merrila C. Meigsa mieściło się niedaleko jeziora Michigan i tuż przy planetarium Adlera w parku Granta. Miało tylko jeden pas startowy o długości czterech tysięcy stóp i szerokości stu pięćdziesięciu. Cała powierzchnia lotniska pokryta była asfaltem, łącznie z drogami kołowania do ramp przy trzech terminalach. Na południowej rampie umieszczono cztery lądowiska dla helikopterów, a dzięki zastosowaniu systemu okablowania port mógł obsłużyć do stu jednostek latających równocześnie.

O godzinie osiemnastej piętnaście w piątek ósmego października cessna Pata Maguire'a podchodziła do lądowania, robiąc nalot z północnego zachodu. Kopuła planetarium znajdowała się nieco po lewej, tuż przy granicy pola widzenia pilota, ale częściowo zasłaniały ją gęste chmury. Po prawej w zapadającym zmierzchu lśniły światła wielkiego miasta, czerwone światełka ostrzegawcze błyskały na dachach najwyższych drapaczy chmur, ostrzegając o istnieniu tych olbrzymów wszystkie przelatujące nad Chicago maszyny. Przed nim rozciągał się długi pas, na którym miała zakończyć się ta podróż. Wilgotny kawał asfaltu wyglądał bardzo nęcąco zwłaszcza dla ludzi, którzy mieli za sobą lot z Monterey. Konieczność zaradzenia problemowi z niskim ciśnieniem tlenu zauważonemu w Denver spowodowała godzinne opóźnienie w planie lotu. Potem był jeszcze jeden postój, w Des Moines w Iowa, gdzie Elliott Aviation załatwiło im szybką obsługę. Napełnienie zbiorników, natychmiastowy transfer gotówki, silniki zaczęły ponownie pracować po niespełna dwudziestu minutach. Ale podczas dalszego lotu na wschód mieli przeciw sobie coraz mocniejsze załamania pogody i to ich najbardziej spowolniło.

Pomiędzy granicami miasta a lotniskiem znajdował się sztuczny zalew, na którym cumowały całe szeregi prywatnych łodzi i motorówek kołyszających się na krótkiej fali. Znad jeziora ciągnęły też silne prądy powietrza, które rzucały i trzęsły niewielką cessną 340. Ma-guire trzymał stery mocno i zdecydowanie, co chwilę komunikował się też z kontrolą lotów. Tego dnia porywiste wiatry zakłóciły pracę wszystkich lotnisk w rejonie Chicago.

— Kontrola lotu, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Proszę o zezwolenie na lądowanie.

Po krótkiej przerwie wypełnionej trzaskami wieża odpowiedziała:

— Zrozumiałem, November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Zezwalam na kołowanie, podczas lądowania użyj toru podejścia od strony wybrzeża. W okolicy nie ma żadnej maszyny, wiatr zachodni, w porywach do trzydziestu węzłów. Zalecamy szybkie schodzenie.

Cessna najpierw skręciła na południe, by nakierować się na pas startowy, potem wykonywała małe korekty, w lewo i jeszcze raz, aby ustawić się dokładnie na wprost pasa. Intensywne opady deszczu, nadciągając z jeziora, ograniczały widoczność, a wycieraczki na przednich szybach z trudem radziły sobie z potokami wody. Jack ledwie widział najsilniejsze ze świateł pozycyjnych ustawionych tuż przed początkiem pasa.

— Kontrola, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Rozpaczynam podchodzenie do lądowania.

W słuchawkach znów coś zatrzęszczało.

— Zrozumiałem, November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Masz zezwolenie na lądowanie, widzialność dobra, wiatr w porywach do czterdziestu węzłów.

Cessna nagle wzbiła się w górę, potem równie raptownie opadła, by zaraz skręcić w lewo. Siła odśrodkowa była tak duża, że tylko pasy powstrzymały Jacka od roztrzaskania się o przyrządy wypełniające kokpit. Odwrócił się w stronę pilota i zobaczył, że Maguire wpatruje się niezwykle skupionym wzrokiem w ścianę deszczu przed dziobem maszyny, ściskając stery z taką siłą, że aż mu pobielały kostki na dłoniach.

— Kontrola, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet, natrafiłem na silne zmienne wiatry, zniosło mnie z kursu.

363

Nagle ryk silników wzmógł się i maszyna znów zaczęła piąć się w górę. Jack mógł zobaczyć po lewej stronie rozświetlone wieżowce centrum, które szybko zniknęły, gdy znów znaleźli się nad jeziorem, by wykonać nawrót do drugiego podejścia. Teraz jedyną rozpoznawalną rzeczą w zasłonie deszczu były światła pozycyjne płynącego pod nimi wycieczkowca.

— November jeden dwa pięć Charlie Juliet, masz zezwolenie na kołowanie i natychmiastowe lądowanie.

— Zrozumiałem, Charlie Juliet wykonuje zwrot.

Jack próbował zidentyfikować fragmenty ziemi widoczne przez grubą zasłonę chmur. Sears Tower na horyzoncie, bliźniacze wieże obserwatorium Hancocka tuż przy linii wybrzeża. Wysokie kondominia mieszkalne przy plażach Oak Street. Pirs floty wojennej wrzynający się daleko w wody jeziora. Cessna znów wykonała zwrot, ale tym razem prawe skrzydło wychyliło się wolniej i łagodniej, o przepisowe czterdzieści pięć stopni. Raz jeszcze mieli przed sobą światła pasa startowego.

— Kontrola, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Naprowadzanie zakończone.

W słuchawkach najpierw zaszumiło, potem nadeszła stłumiona odpowiedź.

— Zrozumiałem, November jeden dwa pięć Charlie Juliet, masz zezwolenie na lądowanie. Wiatr z zachodu, piętnaście, w porywach dwadzieścia węzłów.

Z szarości wyłoniły się ponownie zarysy wieżowców, potem łódki kołyszące się na falach pomiędzy wybrzeżem a pasem startowym. Cessna wciąż kołysała się, gdy wiatr na nią napierał, ale tym razem nie trafili na niespodziewane trudności. Maguire kontrolował odchyły od kursu delikatnymi ruchami sterów i przepustnicy. Nos maszyny zadarty był lekko w górę, ale światła pasa zbliżyły się błyskawicznie. Wycieraczki usuwały nadmiar wody z szyb w szaleńczym tempie i nagle dostrzegli białe linie namalowane na asfalcie. Jack złapał obite skórą podłokietniki swojego fotela, oczekując kolejnych turbulencji, ale niewielki samolot uderzył kołami w powierzchnię pasa, odbił się i znów opadł na ziemię. Maguire powoli wcisnął hamulce i zamknął przepustnicę, gdy samolot zaczął sunąć po asfalcie.

— Kontrola, tutaj November jeden dwa pięć Charlie Juliet. Wylądowaliśmy.

364

Godzina 18.48

— Chciałbym mówić z doktorem Gertem Crozerem.

Przemoknięty i ubłocony Jack Hunt stał przed ustawionymi

w trójkąt budkami telefonicznymi w terminalu lotniska. Znajdujące się opodal drzwi drżały pod naporem wiatru, a deszcz bębnił o blaszany dach, znacznie utrudniając prowadzenie rozmowy. Włosy i ubranie miał przemoknięte do ostatniej nitki, ale grube buty robocze ochroniły jego stopy przed wilgocią. Obok spoczywało w rzędzie dziesięć zapieczętowanych kartonów z niezwykle cennym ładunkiem, one także były zdrowo przemoczone. Personel lotniska załatwił wyładunek i transport w strugach rzęskiego deszczu za dodatkowe pięćdziesiąt dolarów, wyczerpując posiadane zapasy gotówki Jacka praktycznie do zera.

— Przykro mi, ale doktor Crozer nie może w tej chwili odbierać telefonów. — Kolejna płotka z Zemdonu próbowała go spławić.

— Ze mną będzie rozmawiał. — Postawił na konfrontację.

— Nie sądzę, sir. Otrzymałyśmy wyraźne polecenie, żeby mu nie przeszkadzać. Dyrektor ma teraz na głowie ważniejsze sprawy. — Dziewczyna wyrażała się tak wyraźnie, jakby ukończyła kurs krasomówczy.

— Proszę mu przekazać, że doktor Jack Hunt chce z nim rozmawiać, i to natychmiast.

— Naprawdę nie mogę, mam wy...

— Zrób to, do jasnej cholery! — ryknął Jack.

Rozejrzał się i napotkał pełne dezaprobaty spojrzenia innych podróżnych i pracowników lotniska. Tych ostatnich było czterech, ubrani w stroje robocze rozbierali jakieś rusztowania, oprócz nich na terminalu znajdował się całkiem spory tłumek ludzi, siedzących na rzędach plastikowych krzeseł obok swoich płaszczy i kurtek. Bagaże i parasole leżały tam, gdzie rzucili je ich właściciele.

— Spróbuję, doktorze Hunt, ale niczego nie mogę obiecać.

Czekał, przez trzy minuty wysłuchiwał wewnętrznych reklam chicagowskiego hotelu Sheraton.

— Słucham, czym mogę służyć?

Męski głos, wyniosły i pewny, zastąpił nagle reklamy. Klasyczny ton typu: „Nie pierdol mi tu, bo jestem cholernie zajęty”. Wściekłość

365

Jacka znów wzrosła. Przez cały lot czuł, że furia w nim wzbiera, teraz był gotów zabijać. Chwilę wcześniej udało mu się w końcu skontaktować z Helen Bradley w Chicago Lawn; z tego co powiedziała, wynikało, że Danny'ego i Beth nie było w domu od wielu godzin, a Jack wiedząc, jak ostrożna jest jego żona, zwłaszcza gdy chodzi o ich syna, przeczuwał najgorsze. Instykt podpowiadał mu, że jego bliscy zostali porwani. Domyślał się, przez kogo.

— Chcę rozmawiać z doktorem Gertem Crozerem.

— A kim pan jest?

— Doktor Jack Hunt.

Usłyszał szmer papieru, mężczyzna z drugiej strony zapewne przeglądał swoje notatki. Gdzieś wysoko w budynku zawył wiatr, gdy zimne powietrze wtargnęło do szybów wentylacyjnych, w tle trzasnęły mocno drzwi.

— Nie ma pana na liście naszych gości, doktorze Hunt. A ja obawiam się, że doktor Crozer nie może odebrać telefonu. Czy zechce pan zostawić wiadomość?

Jack z trudem pohamował złość. Chociaż jego znudzony rozmówca zagłębił się ponownie w lekturze książki albo gazety, cokolwiek miał przed sobą, Jack był pewien, że ktoś inny także słucha tej wymiany zdań. Lekarz proszący o rozmowę z taką szychą nie mógł nie spotkać się z żywym zainteresowaniem.

— Chcę, żebyś przełączył mnie bezpośrednio do doktora Crozera. Natychmiast. Powiedziałem, że on chce ze mną rozmawiać. A ty masz mu tylko przekazać, że dzwonię.

Znudzony mężczyzna zniknął z linii, pojawiły się za to kolejne reklamy.

— Chce pan rozmawiać z doktorem Crozerem, jak sądzę? — Nowy głos, głęboki, z nowojorskim akcentem, zupełnie odmienny od poprzedniego. — Może ja zdołam panu pomóc?

— Będę rozmawiał wyłącznie z doktorem Crozerem.

— Wybacz pan, ale nie podano mi pańskiego nazwiska, wspomniano jedynie, że dzwoni jakiś lekarz.

— Nazywam się doktor Jack Hunt — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Cisza trwała chyba ze trzydzieści sekund.

— Jack Hunt?

366

— Tak.

— Proszę poczekać.

Kolejne reklamy hotelu.

— Jak pan się miewa, doktorze Hunt. Nazywam się Gert Crozer. — Ten głos należał do człowieka z Europy, był charakterystyczny, z ledwie skrywanym brzmieniem urodzonego zdobywcy. — Czekałem na pański telefon.

— Gdzie jest moja żona i syn?

Stojący opodal ludzie przestali udawać, że interesują się czymś innym, teraz otwarcie przysłuchiwali się prowadzonej przez Hunta rozmowie, wymieniając zaskoczone spojrzenia.

— Są cali i bezpieczni, zajęliśmy się nimi. Wydaje mi się, że zostali umieszczeni w... jak by to wyrazić... bezpiecznym miejscu, tak, to jest właściwe określenie. Po tym wszystkim przez co przeszli, uznałem, że lepiej dla nich będzie, jeśli zostaną ze mną.

— Uważaj, Crozer, jeśli skrzywdzisz któreś z nich, osobiście przegryzę ci gardło! — Jack krzyczał, a jego słuchacze zbili się w ciasną grupkę, otwarcie komentując kolejne wypowiedzi. Rozmowa rozkręcała się z minuty na minutę.

- Pański gniew ściągnie na pana kłopoty. Proszę zachować te groźby na inny dzień i dla innej osoby. — Akcent Crozera był w tej chwili jeszcze wyraźniejszy, pełen nieskrywanego tryumfu. — W pańskim posiadaniu znajdują się dokumenty naszej firmy i żądam, aby mi je pan zwrócił.
- Zajebię cię, Crozer, ty śmieciu. Słyszysz mnie? Zajebię!
- Słyszę, ale jakoś mnie to nie przeraża. Proszę przynieść mi dokumenty, a żona i syn wrócą do domu.
- Zaraz zadzwonię na policję. Daję ci pięć minut na ich wypuszczenie.
- Nie radzę, doktorze Hunt. Jeśli ktokolwiek dowie się o tej sprawie, pańskiej rodzinie przydarzy się straszny wypadek. A to byłaby tragedia, nieprawdaż?

Jack rzucił słuchawkę na widełki, zaklął głośno. Walnął w automat pięścią, potem kopnął z furią w jeden z kartonów.

Odwrócił się i zobaczył tuzin par oczu wpatrujących się w niego.

ROZDZIAŁ 3

Godzina 18.55

Motel Southside był tanim, obskurnym jednopiętrowym budynkiem z płaskim dachem, mieszczącym się w dzielnicy słynącej głównie z handlarzy narkotyków. Wszystkie drzwi wychodziły na front i niewielki parking ciągnący się wzdłuż kompleksu, przyozdobiony nielicznymi drzewami, które z trudem nadawały całości nieco przytulniejszy widok. Mury motelu pomalowano bijącą w oczy żółcią, ale wszystkie wnętrza wykończono trupią bielą. Recepcja była sztandarowym przykładem minimalizmu, nawet jej meblowanie odstręczało, nie mówiąc już o kłębach tytoniowego dymu unoszącego się nieustannie nad kontuarem. Wykładzina z powypalanymi dziurami, postrzępiona na brzegach, przygaszone światło. Interes należał do brzuchatego, palącego jak smok białego faceta z Chicago, ciężko było jednak określić jego wiek, czas obszedł się z nim równie okrutnie jak z tymi wnętrzami. Wynajmujący otrzymywali to, za co zapłacili, ale najczęściej bywali nimi lokalni przestępcy, którzy chcieli z dala od ciekawskich oczu podzielić się zyskami z handlu narkotykami, jednym okiem oglądając kanały porno, drugim pilnując rozdziału banknotów.

W pokoju numer czterdzieści dwa, mieszczącym się na piętrze, Hend de Mart ciągnął wijącego się i wrywającego Danny'ego w stronę łazienki, wyglądającej jak niewielki sześcian wyłożony kafelkami, w którym miejsca wystarczyło tylko na sedes, umywalkę i prysznic. Pleśń i brud w kątach, pęknięte lustro, jedno z dwóch światel nie działało. Z prysznica ciekła woda, a kran wyglądał, jakby nigdy nie był

368

czyszczony. Nad wszystkim unosił się odór uryny. De Mart usiłował przywiązać chłopaka za pomocą niebieskiej nylonowej linki do sedesu, ale Danny wił się jak piskorz i wierzgał, usiłując krzyczeć i gryźć. Jego wysiłki spetzły niestety na niczym, usta miał zakneblowane szeroką taśmą klejącą, a nadgarstki i

kostki mocno związane. Jedynym dźwiękiem, jaki wydostawał się spod knebla, był głośny odgłos wciągania nosem powietrza, gdy dzieciak walczył o powietrze.

Oczy Danny'ego płonęły z gniewu, a na lewym policzku wciąż widać było ślady poprzednich razów. Całą koszulkę i szorty miał mokre od krwi i łez. Spojrzał w górę, by natrafić na najbardziej nienawistne oczy, jakie kiedykolwiek widział, i nagle zdał sobie sprawę, że już nigdy nie będzie obchodził urodzin. Ta myśl sprawiła, że zaczął walczyć z jeszcze większym zacięciem.

Afrykaner zawlókł przed chwilą Beth do sypialni, jego człowiek, najcięższy z tych, którzy obserwowali Chicago Lawn, pilnował jej tam teraz. Na głowie miała dwie poduszki, tym sposobem chcieli sprawić, by nie słyszała jęków, które wydawał chłopak. Wprawdzie nie miał wystarczająco wiele siły, by się obronić, ale sprawił de Martowi sporo problemów, raz udało mu się nawet sięgnąć stopami do krocza mężczyzny. Ale to tylko zwiększyło stopień agresji wielkoluda.

— Widzisz to, dzieciaku? — wyjął spod paska rewolwer kaliber 38. — Mam go specjalnie dla ciebie.

Oczy Danny'ego otworzyły się szeroko, raz jeszcze spróbował zamachnąć się związanymi nogami. De Mart cofnął się o krok, uśmiechnął. Pochylił się w stronę chłopaka, biała koszula i czarna wiatrówka okrywały masywny tors. Jego dłonie wyglądały jak głazy z granitu przy kruchych piątkach więźnia. Upewniając się, że Danny widzi każdy jego ruch, przeładował broń, potem spojrzął z lubością na stal połyskującą w wątym świetle jedynej żarówki.

— Nastąłem kiedyś na ciebie gnojka imieniem Luther. — Znów pochylał się, ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali. — Pamiętasz go jeszcze? Trochę wyższy od ciebie, ogolona głowa, kolczyki w uszach. I jeden ćwiek w nosie, o ile dobrze pamiętam. Prawdziwy mały zbir. Niezły wpierdol ci wtedy spuścił.

Akcent Afrykanera sprawiał, że słowa te zabrzmiały złowieszczo. Danny zadrżał, zapadł się w sobie, przestał wierzcąc nogami. Spojrzał oprawcy prosto w oczy.

369

De Mart odbezpieczył trzydziestkęósemkę.

— Ale Luther już leży w grobie. — Danny wciąż patrzył prosto przed siebie. — Tak, musiałem go usunąć, podobnie jak teraz ciebie. I zrobiłem to własnoręcznie, chociaż prawdę powiedziawszy, polubiłem drania.

Przystawił lufę do prawego ucha Danny'ego, potem przekreślił. Przyciął tym ruchem kilka włosów chłopca, który znów zaczął się rzucać, ale wielka jak bochen dłoń przytrzymała go na miejscu.

— To jeszcze nic w porównaniu z tym, co cię czeka. — De Mart znów się wyszczerzył, jabłko Adama podskakiwało mu w górę. — A kiedy z tobą skończę i zajmę się myciem kafelków z krwi, bądź tak miły i pozdrów ode mnie Luthera.

Gdzieś na zewnątrz zadzwonił telefon.

Godzina 19.45

Spotkali się z Jackiem na parterze. Było ich dwóch, obaj wagi ciężkiej, jeden wysoki, czarny, w obcisłej skórzanej kurtce i granatowym berecie śmiesznie przekrzywionym na bok głowy, drugi niższy, biały, w garniturze. Pomimo ciemności obaj mieli na twarzach okulary przeciwsłoneczne, ręce złożone z przodu na brzuchach. Ostatnia fala deszczu właśnie się skończyła, w powietrzu wciąż unosiła się rzadka mżawka, a chodniki pokryły się rozlewiskami kałuż.

— Bierz pudła — warknął czarny.

Jego kompan podstawił wózek i zaczął pakować na niego kartony. Wkrótce stało się jasne, że nie zabrają się z wszystkim naraz, a potrzebowali kolejnych pięciu minut, by zdobyć drugi. W tym czasie nie padło ani jedno słowo, czarny spoglądał czujnie to na Jacka, to na kartony, to na każdy podejrzany ruch w okolicy. Spocone dłonie wciąż spoczywały na jego brzuchu, tam gdzie kończyła się kurtka.

W pobliżu toczyło się normalne hotelowe życie, ludzie wychodzili, spoglądali w niebo, szukając kolejnych oznak nadchodzącej ulewy, przywoływali taksówki albo dopinali płaszcze i rozkładali parasole, zastanawiając się, czy spacer w taką pogodę ma jakkolwiek sens. Załadowywano i rozładowywano samochody dostawcze, ich drzwi zamykały się z trzaskiem, silniki wyły, gdy wozy ruszały.

370

Jack stał oparty o ścianę, desperacko starając się przewidzieć kolejne posunięcie przeciwnika.

Czarny bandzior poprowadził ich wąskimi mrocznymi korytarzami technicznymi, otwierając kolejne mocno sfatygowane wahadłowe drzwi. Wreszcie zatrzymał się przy windzie dla personelu i rozejrzał wkoło. W tym miejscu nikt nie powinien im przeszkodzić, uznał, i to go wyraźnie ucieszyło.

— Zabierz najpierw kartony. Ja tu z nim zaczekam.

— Nie ma takiej pierdolonej możliwości — warknął Jack, stając pomiędzy kabiną windy a ładunkiem. — Jadę tam, gdzie one.

Ładunek upchnięto w kącie kabiny, aby Jack mógł wcisnąć się do niej z niższym oprychem. W ciągu niespełna dwuminutowej jazdy w tak ograniczonej przestrzeni poczuł duszności. Zawilgnięte kartony, przemoczone ubrania, nieświeże oddechy i te wrogie spojrzenia. Jack odetchnął z ulgą, gdy dotarli na piętro, łapczywie chwytając świeże powietrze, gdy tylko otworzyły się drzwi.

— Czekaj tutaj. — Poleceniu towarzyszyło znaczące machnięcie pistoletem.

Stali w kompletnej ciszy, dopóki w głębi korytarza nie odezwał się cichy dzwonek oznajmiający przybycie windy dla gości. Ubrany w skóry bandzior wychynął na moment z kryjówki.

— Okay, to swój, możecie wyjść.

Załadowali kartony i przeszli do oddalonego o dziesięć jardów szybu kolejnej windy. Wejście do kabiny zdobyły złożone liście, same drzwi były lśniąco srebrną taflą. Na tabliczce znajdującej się obok można

było wyczytać, że to winda do apartamentu w penthousie. Poniżej niej znajdował się otwór na klucz. Dłoń czarnego powędrowała do kieszeni kurtki, gdy ją wyjął, miał w niej tłumik. Powoli, z wielką dbałością i bez jednego słowa, dokręcił go do lufy swojego pistoletu. Przez cały czas nie spuścił z oczu twarzy Jacka. Potem skierował przedłużoną lufę w jego stronę.

— Kiedy otworzą się drzwi tej windy, wejdiesz do kabiny, staniesz w jej prawym rogu twarzą do tylnej ściany.

Jego biały wspólnik wyjął kartę magnetyczną i wsunął ją do szczeliny zamka. W tym samym momencie rozległ się cichy syk i mechanizm zamka został zwolniony. Kilka sekund później Jack został silnie pchnięty i upadł na grubą wykładzinę, jaką wyścielono podłogę

371

kabiny. Wstał powoli, przyzwyczajając oczy do o wiele jaśniejszego światła.

Godzina 19.48

Całe audytorium chicagowskiego Sheratona wypełniał gwar rozmów ludzi, którzy mogli dzisiaj bawić się i jeść, nie wydając ani grosza. Dwa tysiące dwudziestu pięciu gości, do tego stu trzydziestu ośmiu przedstawicieli firmy zasiadło przy dwustu okrągłych stołach w ogromnej sali. Wokół w najbardziej eksponowanych miejscach znajdowały się ogromne standy z logo cyclintu i Zemdonu. Sala bankietowa została przystrojona kwiatami, dominowały kolory firmy: czerwony i zielony. Białe lniane obrusy, kryształowa i porcelanowa zastawa najwyższej klasy. Dźwięczały kieliszki, opróżniano talerze, wydmuchiwano dym z cygar. Gości zaproszono na posiłek równo

0 dziewiętnastej, chociaż trafiło się kilku maruderów. W menu znalazł się kawior z białugi, świeży łosoś, pieczeń wołowa i specjalnie zamówione na tę okazję truskawkowe tarty w kształcie serca. Do posiłku podano najwykwintniejsze wina, a po nim przyszła kolej na brandy

1 likiery. Karty dań także miały kształt serca, zdobiły je złocenia i inskrypcja symbolizująca emblemat cudownego leku. Prawdziwa gratka dla kolekcjonerów.

Przy głównym stole zasiadali członkowie zarządu Zemdonu na Amerykę Północną, wśród nich zajmujący należne mu miejsce rozluźniony Stan Danker. Nadszedł kulminacyjny moment niezwykle długiej i ciężkiej kampanii. Chwyty marketingowe, kontrowersyjne reklamy, nieustający nacisk z Zurychu, aby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Wielu z tych ludzi wierzyło, że bierze udział w najdroższej i najbardziej śmiałej promocji leku w całej historii. Teraz, gdy spoglądali na tak wielu znakomitych gości zaproszonych na bal, na łącza satelitarne, przez które można było nawiązać kontakt z innymi centrami, czuli satysfakcję z ogromnego wysiłku. Cyclint powinien stać się przebojem rynkowym, prawdziwym blockbusterem branży farmaceutycznej. Dlatego rozkoszowali się dymem z cygar, popijali najlepsze wina, ciesząc się w głębi ducha, że za moment będą mieli cały ten zgiełk za sobą.

372

Obok nich zasiadł Harry Chan ubrany w doskonale skrojony smoking, z muszką, na której także widać było logo cyclintu. Martin Shreeve także znajdował się na liście zaproszonych, ale siedział przy jednym ze stolików w głębi sali. Jego cztery podbródki trzęsły się nieustannie, gdy pakował w siebie tony jedzenia i wina, musiał je ocierać nieustannie, by nie wyglądać jak ostatnia świnia.

Niedaleko stołu dla VIP-ów siedział niepozorny mężczyzna w garniturze, koszuli i krawacie, z niewielką plakietką z nazwiskiem w klapie. Miał siwe kręcone włosy, krzaczaste brwi i nosił okulary o grubych szklach, które ustawicznie zsuwały się z pękatego nosa. Dłonie miał wciąż nalane, chociaż na twarzy widać było ślady niedawnej utraty wagi. Stał spokojnie, wsłuchując się w rozmowy prowadzone przy sąsiednim stole. Uśmiechał się nawet, gdy ktoś spoglądał w jego stronę, ale generalnie sprawiał wrażenie osoby nieobecnej duchem w tym miejscu. Kogoś, z kim trudno byłoby nawiązać rozmowę.

Plakietka na piersi sugerowała, że człowiek ten nazywa się doktor Nat Parker i pracuje na oddziale kardiologicznym w Szpitalu imienia Cartera. Ale tak naprawdę był to Herb Weinberg. W kieszeni jego marynarki spoczywał faks przesłany z Pacific Grove w Kalifornii.

Podczas gdy wszyscy wokół obżerali się nieprzyzwoicie, Herb ledwie ruszył jedzenie i napił się zaledwie kilka łyków źródlanej wody, za to często spoglądał na zegarek. O godzinie dziewiętnastej pięćdziesiąt zdobył się na szerszy uśmiech i oddalił, wybąkując słowa przeprosin do sąsiadów.

ROZDZIAŁ 3

Godzina 19.50

Pierwszym, co zobaczył Jack, byli Beth i Danny. Siedzieli związani, jedno przy drugim, ale na osobnych krzesłach, niebieska nylonowa linka oplatała ich kostki, znikając za drewnianymi oparciami. Za nimi stał wysoki muskularny mężczyzna w dżinsach, białym golfie i czarnej wiatrówce. W prawej dłoni trzymał rewolwer, w tym momencie wycelowany w plecy Danny'ego. Jack poznał go natychmiast, to był ten gorylowaty typ, który nachodził Helen i włamał się do jego mieszkania.

Beth prezentowała wymizerowaną twarz, na której -wciąż malowało się szaleństwo, łzy bez ustanku spływały jej po policzkach, mocno potargane mokre włosy lepiły się do ciała. Dżinsy miała przetarte na wysokości kolan, wełniany sweter brudny i porozciągnięty. Przy każdym szlochu cała drgała, a oczy wpatrzone w męża zdawały się mówić tylko jedno: Pomóż! Na ubraniu Danny'ego widać było zaschnięte plamy krwi, a na jego twarzy czerwoną pręgę od ucha do ucha, ostatni ślad po taśmie, którą zakleiono mu usta i która teraz zwisała na lewym policzku. Był blady, przerażony, włosy, podobnie jak matka, miał w nieładzie. Pomimo ciasnych więzów jego nogi wciąż- drżały, zgrzytał też zębami.

— Tatusiu, tatusiu — jęczał błagalnie. — Pomóż mi, proszę.

Ale Jack nawet nie drgnął, wciąż starał się ocenić swoje szanse.

Ta część penthouse'u, w której się znajdowali, miała mniej więcej sto pięćdziesiąt stóp kwadratowych powierzchni, dwie pary drzwi pro-

wadziły do innych pomieszczeń. Zielone ściany, halogenowe oświetlenie ustawione na połowę mocy. Grube wykładziny, obrazy olejne pod punktami świetlnymi na ścianach. Wygodne fotele i drewniane stołki przy ladzie barku. Na samym końcu pomieszczenia znajdowało się okno panoramiczne sięgające od podłogi po sufit, w szkle wycięty był otwór na drzwi, którymi można było wyjść na zewnątrz. Przed nimi stał szerokoekranowy telewizor, dźwięk był wyciszony, ale obraz wyraźny. No i to wielkie mahoniowe biurko zasypane stertą papierzysek, z telefonami i faksem na blacie. Po jego drugiej stronie, wygodnie rozparty w głębokim skórzanym fotelu, siedział mężczyzna o włosach przyprószonych siwizną, w czarnym garniturze w delikatne prążki, białej koszuli i krawacie.

— Dobry wieczór, doktorze Hunt. — Arystokratyczny europejski akcent zmroził Jacka. Gert Crozer.
— Przybył pan w samą porę, by rozkoszować się chwilą tryumfu naszego nowego leku.

Crozer nacisnął klawisz na pilocie i na ekranie telewizora pojawił się nowy obraz, zbliżenie na grupę ludzi ubranych w smokingi i suknie od najlepszych projektantów, siedzących przy okrągłym stole z głowami zwróconymi w jedną stronę. Niektórzy popijali wino, inni wciąż jedli. Parę osób było pogrążonych w rozmowie. W tle widać było ogromny stand z logo i nazwą cyclintu. Wokół tylko czerwień i zieleń, kolory Zemdon Pharmaceuticals.

— Mógł pan być bardzo ważną częścią dzisiejszej celebry — powiedział Crozer i westchnął głośno, jakby nagle przypomniał sobie

0 czymś naprawdę nieprzyjemnym — ale tak się nie stało, a wina leży po pańskiej stronie.

Ubrany w garnitur oprych wtoczył ciężki wózek z kartonami

1 rozładował je, stawiając jeden obok drugiego tuż przy biurku. Crozer obserwował każdy jego ruch.

— Widzę, że ocalił pan nasze akta.

Trzy minuty później do apartamentu dotarł drugi ładunek.

— Zablokujcie windę — rozkazał de Mart i wózek spoczął w otwartych drzwiach prowadzących do ciasnej kabiny. — A teraz zamknijcie drzwi wejściowe na klucz i czekajcie na zewnątrz, dopóki was nie zawołam. — Jedyne wyjście z apartamentu zostało odcięte.

Jack czuł, że oszalałe serce za moment rozsadzi mu klatkę piersiową. Crozer i reszta bandziorów z Zemdonu patrzyli prosto na niego.

Jesteśmy uwięzieni, stąd nie ma drogi ucieczki. Jednakże musiał przejąć kontrolę. Każ im mówić, każ im się zastanawiać. Nie ustępuj ani na krok.

— Wypuście moją żonę i syna, oni nie mają z tą sprawą nic wspólnego.

Crozer pochylił się nieco na swoim fotelu.

— Był pan dla mnie brzemieniem, doktorze Hunt. Wielkim brzemieniem. Obserwowałem postępy pana prac od niemal dwóch lat i muszę przyznać, że jest pan niezwykle utalentowanym człowiekiem, być może nawet tak mądrym, że zaczął pan stanowić groźbę dla samego siebie. — Spojrzał na pozostałych zakładników. — I dla własnej rodziny.

Beth spoglądała szeroko otwartymi oczami na męża i Jack pomyślał, że może mieć na ten temat identyczne zdanie co Crozer. Ten człowiek obserwował mnie od dwóch lat. Zatem ta sprawa zaczęła się jeszcze przed przyjazdem do Chicago.

— Utrudnił pan też życie mojemu pracownikowi.

Hend de Mart uśmiechnął się, potem wbił lufę pistoletu w plecy Danny'ego, aż dzieciak jęknął z bólu. Jack ruszył w jego stronę, ale bezwzględne spojrzenie osadziło go w miejscu.

— Rusz się jeszcze raz, a odstrzelę mu głowę.

Dłonie Jacka zaczęły się trząść zarówno z wściekłości, jak i ze strachu.

— Mogę cię zniszczyć, Crozer. Wiem wszystko o tobie i twojej skorumpowanej firmie. Zdeponowałem odpowiednie papiery u mojego prawnika. Jeśli nas skrzywdzisz, przekaże wszystkie dokumenty policji.

Jego słowa nie zrobiły na Crozerze najmniejszego wrażenia.

— Jest pan skończonym człowiekiem, doktorze Hunt. Zdyskredytowanym, a w pana zawodzie reputacja jest wszystkim. — Zakotłosał się na fotelu. — Kto panu dzisiaj uwierzy? Już raz wyśmiano pańskie oskarżenia. Jeszcze kilka takich oświadczeń, a ludzie zaczną pana traktować jak wariata. — Oparł brodę na wyprostowanych palcach. — Może mi pan wierzyć, że zabijając pana, wyrządę panu wielką przysługę.

Jack rozpaczliwie szukał zmiany tematu, czegoś, co pozwoliłoby mu na ocalenie, ale Crozer od razu wbił nóż głębiej.

376

— A kiedy pan zniknie, de Mart przekaże prasie spreparowaną historyjkę o tym, jak uciekł pan cichcem z kraju razem z rodziną, aby uniknąć niesław. Na potwierdzenie będzie miał pańskie e-maile. Bilety na pańskie nazwisko zostały już zarezerwowane na lot z Chicago przez Nowy Jork do Irlandii. Mamy nawet wasze paszporty.

Jack uznał już swoją przegraną, ale starał się z całych sił nie okazywać tego, mimo że porażka i śmierć patrzyły mu prosto w twarz.

Crozer podniósł się z fotela i stanął za biurkiem.

— Nie ma pan przyjaciół w tym mieście, nikt inny też się nie przejmie pańskim losem. Proszę mi powiedzieć, kto zainteresuje się pańskim zniknięciem? Policja? Koledzy z pracy? Dla nich jest pan zwykłym narkomanem, a tacy znikają każdego dnia. Nikt nie będzie po panu płakał.

— Planowaliście to od jakiegoś czasu, prawda? — Jack był tak wściekły, że zapomniał o swojej przegranej pozycji. — A ja głupi myślałem, że chcecie mnie tylko usunąć z drogi, żeby promować ten gówniany specyfik.

Crozer usiadł w fotelu i wbił wzrok w Jacka.

— O wiele dłużej, niż pan sądzi. Kula, która trafiła profesora Le-winsa, była przeznaczona dla pana.

Jack zachłysnął się powietrzem, jakby nagle doznał ataku serca. Beth zaczęła histerycznie krzyczeć, uciszył ją dopiero siarczysty policzek wymierzony przez de Marta. Jack ruszył w jej stronę, ale ujrzał przed sobą lufę pistoletu.

— Daj mi tylko powód, a już zakończę tę sprawę.

Crozer wskazał na kartony leżące przed biurkiem.

— Same w sobie te dokumenty są bezwartościowe. Ale w rękach inteligentnego śledczego z wykształceniem medycznym mogą być bardzo groźne dla mojej firmy. Dlatego stanowią dla nas zagrożenie. Dlatego musiałem usunąć Drunker i innych, których pan nawet nie znał. I dlatego muszę usunąć także pana.

Na ekranie telewizora pojawił się stojący na podium Harry Chan. Przy wyłączonym głosie nie sposób było usłyszeć jego słowa, ale jak zwykle ruchliwe ręce kardiologa znacząco wskazywały w róg sali. Zbliżenie na Harry'ego ujawniło, że obficie się poci, z wyrazu twarzy można było wywnioskować, że jest poruszony, może nawet zmartwiony.

377

Crozer zerwał się na równe nogi i chwycił pilota. Teraz wszyscy wyraźnie usłyszeli zaniepokojony głos Chana.

— Powtarzam, nie wiem nic o szczegółach, o których pan wspominał. — Z sali dobiegły gniewne krzyki.

Jack jęknął głośno, jemu też nie było to na rękę.

Hend de Mart rzucił okiem na ekran, ostrożnie, żeby nie utracić kontroli nad więźniami, potem spojrzął na Crozera.

— Otwórz kartony — rozkazał Szwajcar. — Chcę się upewnić, czy przywiózł wszystko. — Opadł na fotel, kryjąc się za wielkim biurkiem, tylko jego paznokcie bębniły nerwowo po lakierowanej powierzchni. Jednym okiem spoglądał na ekran, drugim na kartony.

Hend de Mart przemknął bokiem, nie spuszczając muszki z Jacka. Kopnął pierwszą z brzegu paczkę, ale taśma klejąca Rity Callard dobrze trzymała, udało mu się tylko naderwać jeden z rogów. Afrykaner zaczął mozolnie poszerzać szczelinę.

Korzystając z momentu nieuwagi, Jack ostrożnie przesunął stopę za stopą, kierując się w stronę Beth. Skamieniała z przerażenia żona obserwowała go szeroko otwartymi oczami.

— Jeszcze jeden ruch — ostrzegł de Mart, celując w Danny'ego z trzydziestkiósemki — a zabiję go.
— Jack zatrzymał się. — A potem — Afrykaner sapnął, odrywając kolejny kawałek grubej tektury — zadbam, żeby twoja żona nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Na ekranie telewizora widać było jakieś zamieszanie. Wielu ludzi odwracało się od mówcy i spoglądało w przeciwną stronę sali bankietowej, niektórzy stawali nawet na krzesłach. Krzyki rozlegały się ze wszystkich stron. Crozer przysunął się do ekranu.

— Co tam się dzieje?

Jack spróbował odwrócić jego uwagę od wydarzeń na dole. Jeśli Crozer zorientuje się, że tajemnica jego firmy została ujawniona całemu światu, każe natychmiast zastrzelić całą jego rodzinę.

— Ma pan rację, jestem beużyteczny! — krzyknął. — Zbankrutowałem, nie mam pracy i zostałem skompromitowany. W żaden sposób nie jestem w stanie zaszkodzić waszej organizacji.

— Zamknij się pan — warknął Crozer. Wpatrywał się coraz intensywniej w chaos widoczny na ekranie telewizora.

Jack obliczył, że znajduje się w odległości dziesięciu kroków od przeciwnika.

378

— Wypuść nas, a znikniemy ci z oczu na zawsze.

Zrobił krok do przodu, serce waliło mu jak oszalałe, czoło pokrywały krople potu. Pozostało jeszcze dziewięć. Przechwycił przerażone spojrzenie Danny'ego i dał mu wzrokiem znak, by milczał, żeby skupił się na widoku zalanej deszczem werandy za panoramicznym oknem.

Kolejny kawałek tektury został w ręce Afrykanera, ale kartony trzymały się zadziwiająco dobrze i chcąc nie chcąc, de Mart musiał skupić się na tej robocie.

— Co tam się dzieje?

Crozer pogłośnił dźwięk, przestępując nerwowo z nogi na nogę, jak nie przymierzając szalenic w psychiatryku. Penthouse wypełnił się podniesionymi głosami ludzi. Kamera zogniskowała się w końcu na postaci Herba Weinberga. Prawnik krzyczał i szamotał się, walcząc z pracownikami Zemdonu o dostęp do mikrofonu.

— A to kto? Kim jest ten człowiek?

Jack wyłożył ostatnie karty.

— Zatrzymałem dla siebie jeden karton. Mam w nim najistotniejsze dokumenty. — Walczył o życie swojej rodziny. — Jeśli nas wypuścisz, zaprowadzę cię do miejsca jego ukrycia. Tylko wtedy twoja firma zyska prawdziwe bezpieczeństwo.

Ale Crozer już go nie słuchał. Stał tuż przed ekranem, manipulując przy pilocie, aby zrobić powiększenie.

De Mart przeklął głośno. Nie potrafił jedną ręką rozedrzeć kartonu, musiał więc odłożyć na moment broń, by uchwycić obie krawędzie.

Jack zdołał w tym czasie zrobić trzy kroki, czego żaden z mężczyzn nie zauważył. Stał teraz o sześć kroków od olbrzyma z drgającym jabłkiem Adama i czynił rozpaczliwe wysiłki, by przypomnieć sobie wszystkie lekcje anatomii, które mogłyby teraz okazać się przydatne. To zgrubienie nad tchawicą wydawało się idealnym celem, ale czy zdoła w nie trafić?

— Wypuść nas, na litość boską! — Jack ryknął głośno, by Crozer usłyszał go w tej wrzawie, i zacisnął obie pięści, żeby ręce przestały mu drżeć, gdy będzie niezauważalnie przybliżał się do swojej ofiary.

Dźwięk rozdieranego papieru oznajmił wszystkim, że karton wreszcie się poddał. Jego zawartość rozsypała się po podłodze.

— Kurwa, kurwa, kurwa! — Przekleństwa i zaskoczenie. — To tylko makulatura. Tu są same stare gazety!

379

De Mart odwrócił się w stronę Crozera i w tym samym ułamku sekundy obaj zorientowali się, że zostali wystrychnięci na dudka. Szwajcar miotał się za biurkiem jak raniony zwierz w klatce. Ale Jack czekał na taki właśnie moment nieuwagi. Gdy Hend de Mart sięgał po pistolet, wyprowadził ciężkim butem roboczym kopnięcie z półobrotu, trafiając idealnie w odsłoniętą krtani. Usłyszał chrzęst miażdżonej tkanki i chrapliwy dźwięk, gdy Afrykaner usiłował chwycić powietrze. Padł strzał, trzydziestkaósemka wypadła z jego wiotczej dłoni. Jedno z okien rozpadło się na miliony odłamków z głośnym trzaskiem, zasypując szkłem całą wykładzinę.

Beth krzyczała, Danny wył z przerażenia. Oboje starali się uwolnić z więzów, ale chłopiec szamocząc się, zdołał jedynie przewrócić krzesło i leżał teraz jak długi, wierzgając nogami i waląc głową w podłogę.

Ktoś zaczął łomotać w drzwi wejściowe do penthouse'u.

Gert Crozer spoglądał przez chwilę prosto na Jacka z twarzą wykrzywioną nienawiścią i osłupieniem. Potem jego pięść przemknęła w powietrzu, trafiając lekarza w bok głowy. Pod uderzonym momentalnie ugięły się nogi. Crozer ruszył w stronę drzwi wejściowych, ale Jack zdążył jeszcze wyciągnąć rękę i chwycić go za kostkę, starzec jęknął i zwałił się bezwładnie na podłogę. Leżał na niej w bezruchu i głośno sapał.

— Wypuście nas stąd! — krzyczała Beth. Kiwała krzesłem w przód i w tył, starając się poluznić więzy. Danny płakał.

Jack oparł się o wielkie biurko i zaczął rozkopywać rozbite szkło. Znalazł spory spiczasty i ostry odłamek, który dało się trzymać w dłoni.

Zgięty wpół Hend de Mart wywalił język, oczy wyszły mu przy tym z orbit. Obiema rękami trzymał się za zmiażdżoną krtani, paznokciami rozdzierał ciało, aby zyskać dostęp do życiodajnego powietrza. Ale z trudem łapał choć odrobinę tlenu. Trzydziestkaósemka leżała tam, gdzie ją upuścił.

Jack ściągnął sweter i owinął końcem rękawa koniec szkła. Zaczął przecinać sznur na rękach Danny'ego.

Walenie w drzwi przybrało na sile, spojrzął więc w tamtym kierunku. Zamek dobrze trzymał. Nagle rozległ się strzał i w drewnie pojawiła się spora dziura. Potem dwie następne kule przeszły okolice zamka.

380

Niebieski nylon poddawał się z trudem, a histeryczny wrzask dziecka tylko dekoncentrował Jacka. Chaos widoczny na ekranie telewizora potęgował ogólne zamieszanie. W końcu udało mu się uwolnić chłopca, który natychmiast odtoczył się po wykładzinie, prostując i zginając wszystkie kończyny, by przywrócić krążenie krwi. Potem patrzył z nieukrywanym przerażeniem, jak ojciec przecina więzy krępujące jego matkę. Wierzganie Beth jedynie zacisnęło mocniej węzły na jej rękach i nogach. A szkło nagle pękło na dwoje.

Trzy kolejne kule rozorały drewno wokół zamka. Kopnięcia z zewnątrz nasiliły się jeszcze, drzwi drżały po każdym z nich. Nagle srebrne drzwi do windy także zaczęły się poruszać, naciskając za każdym razem na poręcz blokującego wózka i przy każdym uderzeniu przesuwając go nieznacznie.

Hend de Mart zdołał się podnieść, trzydziestkaósemka ponownie znalazła się w jego dłoni. Ślina płynęła mu z ust, gdy starał się wycelować. Widział tylko cienie — mężczyzny pochylonego nad krzesłem, wrzeszczącego dziecka podskakującego tuż za nim.

Jack darł linkę pętającą dłonie Beth większym z odłamków szkła. Nylon znów dzielił się na włókna, każde z nich poddawało się ostrzu bardzo wolno. Krew kapłała z pociętych palców lekarza w miejscach, gdzie szkło zdołało wedrzeć się w ciało.

Kolejne salwy podziurawiły drzwi jak sito, drewno poddawało się z głośnym hukiem uderzeniom, potem rozległ się ostry trzask i skrzydło drzwi pochyliło się wyraźnie. W szczelinie pojawiła się czarna dłoń, palce sięgnęły do zamka.

Pokryta krwią linka pękła w końcu i Jack mógł podnieść żonę z krzesła. Chwiejąc się i zataczając, ruszyli w stronę syna. W tej chwili drzwi windy zamknęły się i kabina ruszyła w dół.

To Danny pierwszy zauważył, że de Mart znów w nich celuje. Wielkolud oparł się o biurko, by zyskać równowagę, twarz miał wykrzywioną, siną z braku tlenu. Podpierał łokieć na lakierowanym blacie i

chwycił broń obiema rękami. Wciąż chrapliwie łapiąc powietrze, przymknął jedno oko i skupił wzrok na wylocie lufy.

Chłopiec krzyknął, a Jack chwycił żonę i osłonił ją własnym ciałem. Danny po prostu zwinął się w kłębek. Zabrzmiały cztery, oddane szybko po sobie, strzały.

381

Drzwi wejściowe wypadły z framugi dosłownie w tym samym momencie, gdy do penthouse'u dotarła winda. Kilka sekund później do apartamentu wpadli obaj zabójcy pozostający na usługach Zemdo-nu. Zastali w nim Henda de Marta klęczącego przed mahoniowym biurkiem z martwymi oczami. Gert Crozer podnosił się z podłogi, masując obolałe żebra i jęcząc z bólu. Krew ciekła mu z nosa. Panoramiczne okno było strzaskane, cała powierzchnia wykładziny zasypana odłamkami szkła, a silny wiatr rozwiewał zasłony i rozrzucał po całym pomieszczeniu papiery, pozwalając, by grube krople deszczu moczyły stojące pod oknem meble. Dwa krzesła leżały na podłodze, a wokół nich walały się zwoje niebieskiej linki.

Na szklanych drzwiach prowadzących na werandę widniał krwawy odcisk dłoni.

ROZDZIAŁ 0

Silne wiatry pędziły skłębione chmury przez cały Środkowy Zachód, sprawiając, że burze nękały Chicago przez trzy kolejne dni. Na równinach rzeki występowały z brzegów, zamykano też drogi na najniższej położonych terenach. Ekipy ratunkowe musiały ewakuować całą rodzinę z zatopionej farmy. Przerażone bydło schroniło się na okolicznych wzgórzach.

Ale we wtorek dwunastego października huragan należał już do przeszłości. Nawierzchnia ulic była wciąż mokra, ale nie płynęły po nich potoki wody, chociaż kałuże pozostały, równie wielkie i głębokie jak przedtem, a ruch uliczny zmuszał przechodniów do używania jak najdalszej części chodników. Służby porządkowe dwoiły się i troiły, by usunąć wszystkie zniszczenia poczynione przez wichurę, ale większość połamanych gałęzi i śmieci po prostu zrzucano na stos na bocznych uliczkach. Na szarym niebie pojawiło się słońce, choć nie grzało jeszcze zbyt mocno, prześwitując pomiędzy gnanyymi z zachodu chmurami, które nie niosły już ze sobą zagrożenia. Nie zrobiło się też ani trochę cieplej, dlatego Tom Skilling, szef meteorologów pracujący dla stacji WGN-TV, przewidywał na ten dzień maksymalnie pięćdziesiąt osiem stopni Fahrenheita. Zbliżała się zima, lada chwila mógł spaść pierwszy śnieg.

Ludzie korzystający z automatów gazetowych wrzucali odliczone drobniaki, by wyjąć z podajnika egzemplarz „Chicago Tribune”, „Sun-Timesa” czy jakiegokolwiek innego dziennika, który był aktualnie dostępny. W drodze do pracy zazwyczaj przerzucali pierwsze strony gazet, wczytując się jedynie w nagłówki, ale tego dnia wielu

383

zatrzymywało się na chodnikach albo w bramach, by dokładniej przeczytać cały artykuł.

W domu należącym do starszego i co ważniejsze, bogatszego brata Herba Weinberga, znajdującym się w Lake Forest na zachodnich przedmieściach miasta, rodzina Huntów także pogrążona była w lekturze historii, która przyciągnęła uwagę nawet zagranicznej prasy. Posiadłość ta stała na zalesionej działce w najstarszej części dzielnicy, był to ogromny dom ze ścianami z czerwonej cegły, wysokimi spadzistymi dachami i witrażowymi oknami. Ogrodu strzegły cztery ostre psy, obszczekujące każdego przechodnia. Herb załatwił użyczenie dwóch pokoi dla swoich klientów, ale gdy przyszło co do czego, cała trójka wcisnęła się w jedno wielkie łóżko, aby przytulać się do siebie każdej nocy, jakby była ich ostatnią.

Większość z minionych siedemdziesięciu dwóch godzin spędzili na przesłuchaniach, zarówno na policji, jak i w FBI. Pytania, pytania, pytania. Zeznania, zeznania, zeznania. I jeszcze raz, przed coraz to wyższymi stopniem przesłuchującymi.

Dziennikarze i reporterzy obsiedli kancelarię Weinberg i współpracownicy, licząc na ekskluzywne wywiady. W powietrzu szeleściły książeczki czekowe, a na stole lądowały pokaźne sumy w gotówce, byle tylko Jack Hunt opowiedział właśnie im całą historię ze szczegółami. Co aktywniejsi dziennikarze śledczy już weszli w Kalifornii i Zurychu.

Na konferencji prasowej poprzedniego wieczora FBI ogłosiło wydanie międzynarodowego nakazu aresztowania Gerta Crozera. Beth nie wytrzymała napięcia tych chwil, musiała zniknąć z oczu tłumów i oddać się pod opiekę doświadczonych położników. Zalecono jej odpoczynek, mnóstwo odpoczynku. Herb interweniował i zawarto porozumienie. Żadnych konferencji prasowych, dopóki wszyscy członkowie rodziny nie wydobrzeją.

W ten wtorkowy poranek, cztery dni po zakończeniu koszmaru, Danny przetaczał się z piskiem po łóżku pomiędzy mamą a tatą, choć oczy miał wciąż szkliste, bo tego, co przeżył, nie dało się całkowicie zapomnieć. Beth czuła się lepiej, ale wciąż była osłabiona. Na szczęście nudności związane z jej stanem przestały być tak uciążliwe, wymiotowała teraz znacznie rzadziej. Zdecydowała się nawet na niewielkie śniadanie. Twarz znów zaczęła jej się różowić, wracały też siły, ale pod względem psychicznym wciąż była wrakiem człowieka.

384

Cierpienia zadane przez porywaczy, a potem stres związany z ryzykowną ucieczką, wszystko to pozostawiło głębokie ślady w psychice. Nie odstępowała na krok męża i syna, starając się wyprzeć z pamięci obrazy tego, co mogło się z nimi stać. A gdyby potężny Afrykaner nie chybił, gdy strzelał do nich po raz ostatni? Gdyby w apartamencie nie było szklanych drzwi i schodów przeciwpożarowych prowadzących na ulicę? Co by się stało, gdyby nie zdołali się uwolnić, zanim pozostali bandyci dostali się do środka? Właśnie te wszystkie „co by było, gdyby” najbardziej ją martwiły.

Leżący obok niej na trzech poduszkach Jack przyglądał się grubo obandażowanym dłoniom. Lekarze z izby przyjęć Cook County Ho-spital potrzebowali aż dwu godzin, by pozszywać i połatać wszystkie rany poczynione przez szkło.

— Będzie dobrze — pocieszył go chirurg. — Nie ma pan naruszonych ścięgien i naczyń krwionośnych. Czas zagoi rany.

I Jack dochodził do siebie, leżąc teraz w łóżku, na stosie poduszek dla wygody.

— Zaczynj jeszcze raz od początku — poprosił.

Beth podniosła gazetę i po raz kolejny zaczęła czytać artykuł zatytułowany:

SIEROTY WYKORZYSTYWANE DO TAJNYCH EKSPERYMENTÓW MEDYCZNYCH.

Zemdon Pharmaceuticals, jedna z największych korporacji chemicznych świata, prowadziła tajne i nielegalne eksperymenty na dzieciach z amerykańskich sierocińców w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Istnieją dokumenty potwierdzające udział trzystu sześćdziesięciu dwóch nieletnich pochodzących z dwu placówek nadzorowanych przez Kościół na terenie stanów Kalifornia i Kolorado.

Mamy potwierdzone dane, że:

- Osiemdziesięcioro czworo zmarło na skutek przeprowadzanych na nich testów.
- Lekarze zamieszani w te działania fałszowali akty zgonu.
- Pielęgniarki i czynniki kościelne przekupywano, aby sprawa nie ujrzała światła dziennego.

385

— Eksperymenty były podobne do tych, jakie naziści przeprowadzali w obozach koncentracyjnych.

Na kolejnych stronach było więcej na ten temat. Zemdon Pharmaceuticals przyjął do pracy wielu lekarzy, którzy podczas drugiej wojny światowej pracowali w obozach śmierci, i wykorzystywał dane uzyskane podczas ich eksperymentów, aby badać powiązania pomiędzy genetyką a zapadalnością na konkretne choroby. Pod koniec lat czterdziestych szefowie firmy wielokrotnie podróżowali do Stanów Zjednoczonych, aby wyszukać placówki medyczne, na których terenie można by kontynuować podobne badania. Nawiązali oni kontakty z organizacją kościelną Bracia w Chrystusie, zakonem, który prowadził siedem sierocińców na terytorium USA. Dwie z tych placówek znajdowały się na dalekiej prowincji i były słabo finansowane. Szwajcarska firma zaproponowała w obu wypadkach bezpośrednią, ale dyskretną pomoc w zamian za pełen dostęp do dzieci i ich kart chorobowych.

Pierwsze eksperymenty przeprowadzono w roku 1949. Trzysta sześćdziesiąt dwie osoby, głównie chłopcy i dziewczynki w wieku nie przekraczającym dziesięciu lat, zostały celowo zakażone różnymi szczepami bakterii. Badacze, trzymając się ściśle zasad opracowanych przez firmę, sprawdzali, w jaki sposób dana bakteria wpływa na uszkodzenie konkretnych organów wewnętrznych i naczyń krwionośnych pacjenta. Próbowano też ustalić tymi samymi metodami, dlaczego jedni ludzie chorują bardziej niż inni, a nawet umierają. Czy jest to proces determinowany genetycznie czy też dzieło przypadku? Dlaczego niektórzy z biorących udział w eksperymencie odnoszą poważny uszczerbek na

zdrowiu, podczas gdy pozostali wychodzą z niego praktycznie bez szwanku? Genetyka czy po prostu pech?

Badania tego typu trudno nazwać etycznymi, więc nikogo nie dziwiło, że przeznaczano ogromne sumy na utrzymanie ich w całkowitej tajemnicy. Jednakże skutki eksperymentów okazały się katastrofalne, dzieci umierały bądź chorowały tak poważnie, że wymagało to ich hospitalizowania (wówczas płacono kolejne łapówki, by rzecz się nie wydała). Wielu z tych, którzy przeżyli, wciąż cierpiało, gdy w latach sześćdziesiątych zamykano owe przytułki, ale niestety nikt nie intere-

386

sował się ich dalszymi losami, więc nie ma wiarygodnych danych na temat długoterminowych skutków uczestnictwa w tych odrażających eksperymentach.

— Kto wpadł na pomysł, żeby zamienić kartony? — zapytała Beth, gdy dobiegła do końca artykułu.

Wciąż leżeli pod narzutą z Dannym pośrodku, chłopak kurczowo trzymał dłoń matki. Ojciec wpatrywał się intensywnie w sufit, starając się zebrać myśli. Tak wiele się wtedy działo.

— Herb. Po rozmowie, którą przeprowadziłem z nim z Pacific Grove, przygotował plan działania. Kazał mi spisać wszystkie najważniejsze fakty wynikające z tych dokumentów i przesłać je faksem do jego biura. A potem zasugerował, bym zdublował ładunek, fałszywy miałem zabrać ze sobą, a prawdziwy wysłać UPS-em na adres jego kancelarii. Więc spisałem wszystko na starym remingtonie Rity Callard, a ona załatwiła mi przelot niewielkim czarterem i wysłała czterostronicowy faks do Chicago, kiedy wyjechałem. Gdy Weinberg otrzymał przesyłkę, natychmiast skontaktował się z redakcją „Chicago Tribune”, a potem odszukał Nata Parkera i wspólnie zabrali się za planowanie zakłócenia debiutu rynkowego cyclintu.

Żona spojrzała na niego i pokręciła głową ze zdziwienia. A potem klepnęła dłonią w pierwszą stronę gazety.

— Ale co to miało wspólnego z tobą? Dlaczego oni tak długo cię obserwowali?

Jack podłożył sobie jeszcze jedną poduszkę pod głowę. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, a zarośnięty był jak jaskiniowiec.

— Studiowałem związki pomiędzy infekcjami przebytymi w dzieciństwie a chorobami serca od wielu lat. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale każdy przełom na tym polu zbliżał mnie do dokumentów Zemdonu dotyczących powstania cyclintu. A cała ta wiedza opierała się na zakazanych prawem eksperymentach. Gdyby udało mi się ustalić, w jaki sposób firma osiągnęła takie rezultaty, prędzej czy później doszłoby do odkrycia sprawy sierocińców. Carlotta dotarła aż tak daleko.

Danny przytulił się do matki i po raz pierwszy od wielu dni zaczął ssać kciuk.

— Zlokalizowała archiwa i całą dokumentację — kontynuował Jack. — A te dokumenty w połączeniu z wynikami naszych badań

sprawiły, że stała się zagrożeniem dla Zemdonu. Jednakże korporacja popełniła błąd, zabijając ją, zanim odzyskała dokumentację.

Beth odłożyła gazetę i ułożyła się wygodniej. Tak wielu rzeczy wciąż nie wiedziała, ale była jeszcze zbyt słaba, żeby wysłuchać niektórych odpowiedzi. Postanowiła więc, że może z nimi poczekać. Teraz miała na głowie syna i drugie, nienarodzone dziecko. I małżeństwo do uratowania. Danny już nigdy nie będzie taki sam, ona zresztą też. Zostali wtrąceni w otchłań przemocy i przeżyli. Ale emocjonalnie zostali okaleczeni po wsze czasy.

Opatuliła się szczelniej narzutą i wyciągnęła pod nią rękę. Danny oparł głowę w zgięciu jej łokcia, przytuliła go więc mocniej. Odwróciła się lekko i napotkała badawcze spojrzenie Jacka.

— Cześć. Właśnie chciałem ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Beth westchnęła i spróbowała się uśmiechnąć.

— Ja też chciałabym móc powiedzieć, że cię znowu kocham — odparła zamykając oczy i pozwalając, by jej zmysły zgasły. — Ale teraz chce mi się tylko spać.

Jack spoglądał na nerwowe ruchy jej rąk, na drżenie ciała. Wkrótce jednak, kiedy oddech się wyrównał, zrozumiał, że udręczony umysł żony znalazł chwilę wytchnienia. Danny spał obok z otwartymi ustami. Nadal są tuż obok mnie, pomyślał. Ale jak długo pozostaną? Beth uprzedziła mnie przecież, że nie zamierza wychowywać swoich dzieci w Stanach. Czy mam pozostać tutaj sam, bez nich? Czy warto w ogóle rozpatrywać taką możliwość? Doskonale wiedział, że jego wiara w system i społeczeństwo legła w gruzach. Nie wierzył też w czystość gry, po tym jak sfałszowano jego próbki w laboratorium, jak zdradzili go najbliżsi współpracownicy i próbował zgładzić farmaceutyczny gigant. Wprawdzie policja zajęła się tymi wszystkimi sprawami, ale kiedy naprawdę potrzebował pomocy, nikt mu nie pomógł, oddalano jego zarzuty i patrzono jak na wariata. Odwrócił się na bok. Ten sukinsyn Crozer w jednym miał rację: nie mam prawdziwych przyjaciół. Spędziłem całe dorosłe życie, ryjąc w książkach i ślęcząc nad mikroskopem. Czym innym jest oddanie pracy, czym innym obsesja. Teraz wiedział już, z kim męczyła się przez tyle lat jego żona. Wysoko zawieszona poprzeczki i ambicje — czymże one są, kiedy zabraknie odrobiny człowieczeństwa, które pozwala uciec od brutalnej rzeczywistości? Niczym.

Spojrzał raz jeszcze w stronę Beth i Danny'ego, a potem przysunął się do nich. Wydałem wszystkie pieniądze, które przeznaczyci na ucieczkę. Wydałem je do ostatniego dolara, myśląc tylko o sobie. Położył rękę na żonie i synu i przytulił ich delikatnie.

Wszystko zależy teraz od ciebie, Beth.

POSTSCRIPTUM

FBI ścigało Gerta Crozera z Chicago aż do Toronto. Szwajcar opuścił terytorium Stanów Zjednoczonych na pokładzie prywatnego odrzutowca. Według niesprawdzonych informacji udał się potem do Londynu rejsowym lotem, wykorzystując sfałszowany paszport. Na terytorium Anglii zgubiono jego trop. Ale rozesłany za nim międzynarodowy list gończy nie został cofnięty do dzisiaj.

Cyclint został całkowicie odrzucony przez lekarzy niemal na całym świecie. Okazał się najkosztowniejsza porażką w historii współczesnej medycyny. Sześć tygodni po wydarzeniach w Chicago Ze-mdon Pharmaceuticals ogłosił bankructwo.

Stan Danker zdecydowanie zdystansował się od brudnych sztuczek stosowanych w tej kampanii, rozgłaszając swoją niewinność wszem wobec. Wynajął najlepszą kancelarię adwokacką w Nowym Jorku i zagroził pozwem każdemu, kto będzie go łączył z tą sprawą. Pracuje aktualnie jako dyrektor wyższego szczebla w innej korporacji farmaceutycznej.

Harry Chan i Martin Shreeve złożyli podania o zwolnienie, Steve Downes zaś poszedł w ich ślady niedługo później, opuszczając posadę dyrektora w Carterze. Oficjalnym powodem jego rezygnacji i przejścia na wcześniejszą emeryturę były problemy zdrowotne, do samego końca zaprzeczał, że ma to cokolwiek wspólnego ze sprawą doktora Jacka Hunta.

Caleba Rossiego nigdy nie odnaleziono. FBI zakłada, że został zabity, a jego ciało pogrzebano w niewiadomym miejscu.

390

Kancelaria Weinberg i wspólnicy zaatakowała z ogromną furią Szpital imienia Cartera. Herb nie posiadał wprawdzie nowych dowodów, ale był wściekły i uważał, że zasługuje na większe biura w znacznie bardziej prestiżowej okolicy. Rada szpitala nie uległa jego naciskom i stanowczo torpedowała jego wygórowane roszczenia. Po trzech tygodniach przepychanek zaproponowano Jackowi jedynie rekompensatę w wysokości miesięcznej wypłaty. Przyjął ją, mając zapewnione znacznie większe dochody ze sprzedaży mediom praw do wykorzystania jego historii.

Nat Parker przejął stanowisko ordynatora na oddziale kardiologicznym w Szpitalu imienia Cartera.

Jack Hunt opuścił Chicago dwudziestego ósmego listopada. On, Beth i Danny odlecieli do Singapuru z przesiadką w Amsterdamie. Wypoczywali przez kolejne trzy dni na słonecznych plażach, by po kolejnych dwunastu godzinach podróży dotrzeć do Sydney.

Jack pracuje obecnie w swoim dawnym szpitalu, Parramatta General, na Północnym Wybrzeżu. Specjalnie dla niego utworzono nowe stanowisko — dyrektora do spraw badań naukowych. Nie otrzymał tak wysokiego wynagrodzenia, jakie mógł osiągnąć, gdyby pozostał w Chicago, ale wcale tego nie żałował.

Beth wyszła z tych wydarzeń okaleczona psychicznie. Ale zdecydowała się na walkę i po kilku tygodniach jej życie i małżeństwo wróciło do normy.

Także Danny z początku nie potrafił poradzić sobie z tak dramatycznymi przeżyciami i potrzebował pomocy psychologów. W końcu wydostał się z piekła i znów zaczął biegać za piłką, ale zabrakło w nim dziecięcego zapału.

Beth uspokoiła się naprawdę dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła na ultrasonografie dziecko, które nosiła. Była to dziewczynka. Nowe życie, wolne od straszego bagażu wspomnień. Wiedziała, że dzięki córce zdołają puścić wszystko w niepamięć. Niemowlę miało być początkiem ich nowego życia w bezpieczniejszym świecie.

GRUPA WYDAWNICZA

PUBLICAT S.A.

Firma rozpoczęła swoją działalność w 1990 roku pod nazwą Podsiedlik-Raniowski i Spółka. W 2004 roku przyjęto nazwę PUBLICAT S.A., w tym samym roku w skład grupy PUBLICAT weszło wrocławskie Wydawnictwo Dolnośląskie. W 2005 roku dołączyło do niej katowickie Wydawnictwo Książnica. Rok 2006 to objęcie nazwą Papiilon programu książek dla dzieci. W roku 2007 częścią grupy stała się warszawska Elipsa.

Papiilon - baśnie i bajki, klasyka polskiej poezji dla dzieci, wiersze i opowiadania, książki edukacyjne, nauka języków obcych

publicat

Publicat - książki kulinarne, poradniki, książki popularnonaukowe, literatura krajoznawcza, hobby, edukacja

Elipsa - albumy tematyczne: malarstwo, historia, krajobrazy i przyroda, książki popularnonaukowe

Wydawnictwo Dolnośląskie - literatura faktu, kryminały, science fiction, powieści dla dzieci i młodzieży, biografie, literatura współczesna, książki i powieści historyczne

Wydawnictwo Książnica - światowa literatura kobieca, sensacja, fantastyka, science fiction, powieści historyczne

Publicat S.A., 61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24, tel. 061 652 92 52, fax 061 652 92 00,

e-mail: publicat@publicat.pl, www.publicat.pl Oddział w Katowicach: Wydawnictwo Książnica, 40-160 Katowice, Al. Korfantego 518,

tel.fax 032 203 99 05, e-mail: ksiaznica@publicat.pl Oddział we Wrocławiu: Wydawnictwo Dolnośląskie, 50-010 Wrocław, ul. Podwale 62, tel. 071 785 90 40, fax 071 785 90 66, e-mail: sekretariat@wydawnictwodolnoslaskie.pl Oddział w Warszawie: 00-466 Warszawa, ul. Polna 467

PAUL CARSON



(ur. 1949 r.), irlandzki powieściopisarz, mistrz thrillera medycznego. Jest pediatrą, prowadzi klinikę alergologiczną w Dublinie. Autor fachowych publikacji medycznych i książek dla dzieci. Karierę pisarską rozpoczął w 1997 r. powieścią *Skalpel*, która zyskała światowy rozgłos. Jego kolejne książki *Ostatni dyżur*, *Cold Steel*, *Betrayal* powtórzyły sukces debiutu. Tłumaczony na kilkanaście języków, w swych książkach łączy tematykę medyczną z wątkiem sensacyjnym. Mieszka w Dublinie z żoną i dwójką dzieci.